

ERIC FLINI

W SERGU

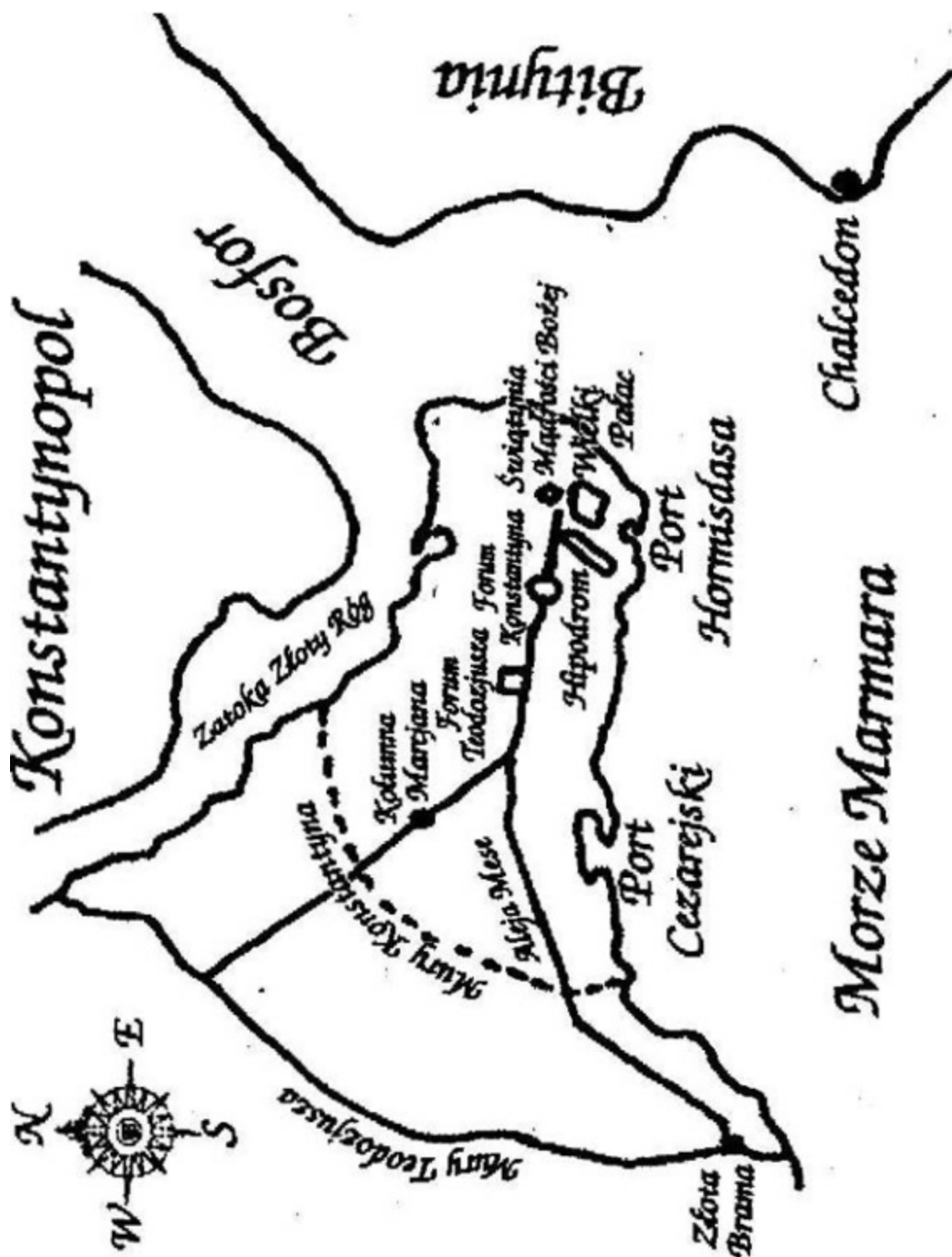
GIEKINOŚCI



DAVID DRAKE

**Eric Flint**  
**David Drake**  
**W SERCU CIEMNOŚCI**  
*In The Hart Of Darkness*  
**Tłumaczenie: Justyna Niderla-Bielińska**





## Prolog

Kiedy już skończyli wystawny obiad, a służący zostali odprawieni, szpieg przekazał złą wiadomość.

- Belizariusz żyje – powiedział szorstko.

W pokoju, oprócz niego, siedziało jeszcze siedmiu mężczyzn. Jeden z nich, podobnie jak szpieg, był obcokrajowcem. Brak reakcji na wiadomość wskazywał, że mężczyzna ten już o tym słyszał. Natomiast pięciu Rzymian podniosło się ze swoich siedzisk, a na ich twarzach malowały się

różnorakie odcienie konsternacji.

Siódmy mężczyzna, ostatni z Rzymian, po prostu zacisnął wargi i zadowolił się jedynie przeniesieniem ciężaru ciała z jednego łokcia na drugi.

Był zde gustowany przez cały wieczór.

Od świętoszkowatej paplaniny dwóch kościelnych hierarchów robiło mu się niedobrze. Gliceriusz z Chalcedonu i Jerzy Barsymes byli diakonami, działającymi z polecenia Rufinusa Namatianusa, biskupa Rawenny. Ale w gruncie rzeczy ich pobożność była tylko przykrywką dla ambicji. Biskup Rawenny pragnął zostać papieżem, a jego podwładni ostrzyli sobie zęby na patriarchaty Konstantynopola i Aleksandrii.

Siódmym mężczyzną również powodowała ambicja, ale nie krył jej pod płaszczkiem fałszywej pobożności. Zresztą ta pobożność była wręcz śmieszna – sprzymierzali się przecież z heretyckimi Hindusami przeciwko heretykom chrześcijańskim. Siódmy mężczyzna popełnił wiele grzechów, kładących się cieniem na jego duszy, śmiertelnych i godnych pogardy, ale nie było między nimi hipokryzji.

Siedzący w pokoju dwaj szlachcice budzili w nim niesmak swą pychą i puszeniem się. Nazywali się Hypacjusz i Pompejusz. Byli braćmi, siostrzeńcami poprzedniego imperatora, Anastazjusza. Biorąc pod uwagę wszelkie zasady dziedziczenia i przekazywania władzy, to właśnie oni byli prawowitymi następcami tronu. Ale Rzymianie nigdy nie stawiali na ołtarzu praw dziedzicznych. Prawo do noszenia purpury dawała raczej kompetencja i umiejętność sprawowania władzy. A trudno byłoby znaleźć w Imperium Rzymskim dwóch bardziej słabych i bezmyślnych braci.

Kolejny Rzymianin, wysoko postawiony urzędnik, także nie wzbudzał w nim pozytywnych uczuć. Jan z Kapadocji był prefektem pretorów na dworze imperatora Justyniana. Z pewnością zaliczał się do kategorii ludzi bezdusznych i okrutnych. Ale jego okrucieństwo i bezduszność przekraczały wszelkie granice. Morderca, złodziej, szantażysta, kat, gwałcieciel – tymi wszystkimi słowami można było określić Jana z Kapadocji. I wszystkie te określenia byłyby prawdziwe.

Czuł również niesmak na myśl o dwóch siedzących w pokoju obcokrajowcach. Nie lubił Adzasutry, zabójcy, ale jeszcze bardziej Balbana, tłustego szpiega – częściowo za ich fałszywą przyjacielskość i pretensje do koleżeństwa, ale głównie za to, że udawali bezinteresowną troskę o dobro Rzymu, w którą nikt, z wyjątkiem ślepego idioty, by nie uwierzył. Siódmy mężczyzna nie był ślepym idiotą i uważał malawiańskie próby udawania przyjaciół za obrazę dla swojej inteligencji.

I wreszcie – siódmy mężczyzna był zde gustowany także sobą. Pełnił funkcję kanclerza Imperium Rzymskiego. Był jednym z najbardziej poważanych i zaufanych doradców cesarza Justyniana, którego właśnie planował zdradzić. Był bliskim i osobistym przyjacielem cesarzowej Teodory, którą właśnie planował zabić. Miał dodać zdradę do długiej listy swoich grzechów i wydłużyć listę morderstw. I wszystko po to, aby osiąść choć odrobinę władzy. Był eunuchem, więc nigdy by mu nie pozwolono zasiąść na tronie. Ale przecież mógł zostać kanclerzem imperatora słabego, a nie sprawnego i potężnego, a tym samym pełnić prawdziwą władzę w Rzymie.

Siódmy mężczyzna był pewny, całą pewnością inteligentnego i sprytnego umysłu, że jego ambicje to całkowita głupota. Był starym człowiekiem. Nawet jeżeli dopnie swego, prawdopodobnie będzie się cieszył zwycięstwem nie dłużej niż kilka lat.

I dla tej głupiej, małostkowej ambicji siódmy mężczyzna ryzykował własną głową i wiecznym potępieniem w piekle. Pogardzał sobą za tę małostkowość i mierziła go własna głupota. Ale po prostu nie mógł postępować inaczej. Gdyż mimo żelaznej woli, z jakiej był dumny, siódmy mężczyzna nie potrafił kontrolować własnej ambicji. Ambicja powodowała nim tak, jak pożądanie popycha satyra do działania. Działo się to od dawna, odkąd pamiętał, od dni dawno minionych, kiedy inni

chłopcy poniżali go i bili za jego płciową odmienność.

Ale najbardziej siódmy mężczyzna był niezadowolony z tego, że zebrani w pokoju Malawianie i Rzymianie postanowili spożyć posiłek według starożytnej tradycji, zamiast usiąść normalnie na krzesłach, jak to czynili rozsądni ludzie w dzisiejszych czasach. Zmęczone ciało siódmego mężczyzny dawno już straciło młodzieńczą gibkość, więc jedzenie w półleżącej pozycji na szezlongu nie sprawiało mu przyjemności.

Mężczyzna ten nazywał się Narses i teraz bardzo bolały go plecy.

\* \* \*

Indyjski szpieg czujnie obserwował postać Narsesa od chwili, kiedy przekazał zebrany wiadość o Belizariuszu. Wiele miesięcy temu Balban zdał sobie sprawę, że eunuch był najgroźniejszym ze wszystkich rzymskich sprzymierzeńców i jako jedyny z nich na pewno nie należał do naiwnych. Kościelni hierarchowie byli tylko prowincjonalnymi bigotami, cesarscy siostrzeńcy bezmyślnymi dupkami, a Jana z Kapadocji, przy całej jego niezaprzeczalnej kompetencji, zbyt ogłupiały własne przywary i nie potrafił odróżnić prawdy od wyobrażeń. Ale Narses doskonale pojął intrygę Malawian. Zgodził się przystąpić do spisku po prostu dlatego, że był przekonany o jednej rzeczy. O tym, że po przejściu władzy w Rzymie będzie w stanie pokrzyżować plany Malawian.

Balban wcale nie był do końca przekonany, że eunuch myli się w swoich przewidywaniach. Narses przy władzy mógłby się okazać znacznie niebezpieczniejszym przeciwnikiem dla Malawy niż Justynian. Tak więc Balban już dawno zaczął planować zabójstwo Narsesa. Ale Hindus był człowiekiem metodycznym, doceniał cierpliwość i zawsze kroczył powoli, stawiając drugą nogę dopiero wtedy, kiedy pierwsza mocno opierała się na ziemi. Przez jakiś czas przymierze z eunuchem było koniecznością.

Więc...

- Co o tym sądzisz, Narsesie? – zapytał. Greka Hindusa była doskonała, chociaż dosyć ciężko akcentowana.

Eunuch wykrzywił twarz siadając na szezlongu. Podniesienie ciała do pozycji pionowej sprawiło mu ból.

- Mówiłem ci, że to głupi pomysł – warknął. Jak wiele razy wcześniej, Balbana zaskoczył głęboki, bogaty i potężny dźwięk głosu wydobywającego się z tak drobnego i starego ciała. I w dodatku pozbawionego jaj.
- Wcale nie – zaskomlił Hypacjusz. Jego brat gwałtownie przytaknął głową, co miało zapewne wywrzeć na zebranych wrażenie, że jest dystygowany i wytworny. Głowa arystokraty, starannie uczesana i zadbana, skacząca tam i sam na wątlej szyjce, przypominała raczej główkę lalki, szarpanej niemiłosiernie przez malucha.

Błotnistozielone oczy eunucha spoczęły ciężko na obu siostrzeńcach. W oprawie kościstej twarzy, otoczone siecią zmarszczek, sprawiały wrażenie niemalże gadzich – śmiertelnie niebezpiecznych, ale należących do istoty zimnokrwistej. Bracia uciekli przed jego spojrzeniem jak przerażone myszy.

Narses zadowolił się tą milczącą groźbą. Bardzo często miał na to ochotę, ale nigdy nie posunął się do obrażania braci. Jeden z nich będzie mu w przyszłości potrzebny jako marionetkowy imperator. Którykolwiek – to nie miało znaczenia. Ten, który pierwszy zbierze w sobie wystarczająco dużo odwagi, żeby zaplanować z Narsesem zabójstwo drugiego. Tak więc eunuch, jak

zwykle, powstrzymał się i zachował respekt, jedynie oczyma wyrażając niemą groźbę i zaznaczając swoją dominację.

- Mówiłem wam od samego początku, że plan jest żaloszny – powiedział. – Jeżeli chcecie zabić kogoś takiego, jak Belizariusz, korzystanie z usług pospolitych rzezimieszków jest raczej wątpliwym rozwiązaniem.

Po nim odezwał się Adzasutra – po raz pierwszy tego wieczoru. Mężczyzna ten był szefem indyjskiej misji w Rzymie. Specjalizował się w bezpośrednich akcjach i lubił działać w pełnym świetle alejek i uliczek, inaczej niż Balban, który snuł swoje sieci w mroku. Jego greka, podobnie jak Balbana, była płynna, i jedynie wyczulone ucho usłyszałoby w niej obcy akcent. Adzasutra mógł, i często to wykorzystywał, uchodzić za obywatela Rzymu pochodzącego z jakiejś odległej i bardziej egzotycznej prowincji Imperium. Może za Syryjczyka o nieco ciemniejszej karnacji, albo pół Izauryjczyka.

- To był doskonale przygotowany plan, tak czytałem w raporcie – wymamrotał. Głosem beznamytnym i spokojnym oceniał wydarzenia. – Belizariusz wpadł w zasadzkę zaraz po tym, jak dotarł do Barakuchy. W nocy, po ciemku. Był sam, bez tych swoich katafraktów-ochroniarzy. Napadło go ośmiu zbirów. Każdy z nich był doświadczonym mordercą.
- Doprawdy? – sarknął na to Narses. Z wielką radością oskarżał i obrażał Malawian, zresztą miał powód. Więc pozwolił sobie na gwałtowne zaciśnięcie ust, ale powstrzymał się od splunięcia na wypolerowaną, drewnianą podłogę. – Powiedz mi, Adzasutro, jak wielu z tych, jak ich nazwałeś? Och tak! Doświadczeni mordercy, ni mniej, ni więcej. Jak wielu z nich przeżyło spotkanie z Belizariuszem?
- Trzech – nadeszła szybka odpowiedź. – Uciekli, kiedy zobaczyli, jak Belizariusz rozprawił się z piątką zbirów. Zajęło mu to kilka sekund, nawiązując do raportu.

Uśmiezek Narsesa zniknął powoli. Adzasutra był odporny na rzymską ironię. Oczy agenta wypełniało tylko i wyłącznie profesjonalne zainteresowanie. A ponadto eunuch doskonale pamiętał, że Adzasutra sam wyrażał wiele wątpliwości na spotkaniu wiele miesięcy temu, kiedy podjęto decyzję, żeby zasugerować morderstwo Belizariusza zaraz po tym, jak dotrze on do Indii. Zasugerować, ale nie rozkazać. To pan Venandakatra był osobą, która miała podjąć ostateczną decyzję. Balban stał wysoko w hierarchii Imperium Malawy, ale nie był członkiem dynastycznego klanu. Nie miał prawa wydawać rozkazów takim jak Venandakatra. Nie, jeżeli planował długie życie.

Narses westchnął, zarówno z powodu bólu w plecach, jak i z rozdrażnienia.

- Mówiłem wam już wtedy – kontynuował – że nie docenicie możliwości Belizariusza.

Rzadki moment gniewu zabarwił czerwienią jego nos.

- Myśleliście, że niby z kim macie do czynienia, na miłość boską?! – zawołał. – Ten człowiek jest jednym z największych generałów, jakich wydał Rzym. I ciągle jeszcze jest młody. I pełen wigoru. I bardzo sławny jako szermierz. I ma więcej doświadczenia w walce niż żołnierze dwukrotnie od niego starsi.

Spojrzał na Balbana.

- Mam na myśli prawdziwe doświadczenie w walce, przeciwko prawdziwym wrogom. A nie – szyderstwo znów pojawiło się w jego głosie – przeciwko tym waszym „doświadczonym mordercom”, którzy doskonale sobie radzą, wbijając nóż w plecy tłustego kupca. – Przerwał i zasyczał. Częściowo ze złości, ale głównie z powodu bólu, jaki przeszył jego umęczony kręgosłup. Opadł z powrotem na kanapę i zamknął oczy.

Balban odchrząknął, aby oczyścić gardło.

- Jak to się czasem zdarza, nasza porażka może nam wyjść na dobre w ostatecznym rozrachunku. Ten raport, który właśnie otrzymaliśmy od pana Venandakтры, a pisał go własną ręką, mówi także, że Belizariusz jest otwarty na propozycje z naszej strony. Pan Venandaktra z rozmowy z generałem wywnioskował, że Belizariusz mógłby zdradzić za odpowiednim wynagrodzeniem. Pan Venandaktra zaprzyjaźnił się z Belizariuszem, tak pisze, i wielokrotnie ze sobą rozmawiali podczas długiej podróży do Indii. Generał jest przepełniony gorzkim żalem do Justyniana za to, jak go potraktowano, i wymknęło mu się kilka aluzji, jakoby chciał zmienić pracodawcę.

Narses, z oczyma ciągle zamkniętymi i walcząc z bólem, słuchał rozmowy, jaka nagle wypełniła pokój jadalny. Rzymianie byli bardzo poruszeni. Konwersacja stanowiła mieszaninę zimnej kalkulacji, nonsensownej paplaniny, planów i intryg, oraz dzikich spekulacji, ale najwięcej można było wyczuć ukrywanego strachu.

Wszyscy Rzymianie w pokoju, z wyjątkiem Narsesa, byli niepewni i rozbici. Zyskanie sojusznika w postaci Belizariusza znacznie zwiększyłoby powodzenie wspólnych planów i intryg. Co do tego wszyscy się zgadzali. Ale równocześnie zmniejszyłoby to ich osobiste zyski. Co do tego także wszyscy się zgadzali, ale po cichu.

Narses się nie odzywał. A po minucie, czy dwóch przestał zupełnie zwracać uwagę na padające słowa. Niech sobie paplają i grają w te swoje bezsensowne gierki.

Gierki, które nie miały szansy powodzenia. Kanclerz był stary, był eunuchem, ale nie miał cienia wątpliwości – był pewien, że nie ma najmniejszej szansy, by Belizariusz złamał przysięgę złożoną Justynianowi. Szansa, by tak się stało była nawet mniejsza, niż to, że Belizariusz zostanie pokonany w walce przeciwko bandzie ulicznych zbrodniarzy atakujących z zasadzki.

Obraz Belizariusza pojawił się w myślach Narsesa – starzec zobaczył go, jakby generał stał tuż przed nim. Wysoki, przystojny, dobrze zbudowany. Archetyp prostego żołnierza, może wyjąwszy ten krzywy uśmiezek i to dziwne, jakby wszystkowiedzące, delikatne spojrzenie.

Narses wpatrzył się w sufit nieświadomy toczącej się wokół konwersacji – cały czas próbował bezskutecznie zwalczyć ból.

Do jego świadomości przebił się głos Balbana.

- Więc, to tyle. Mam nadzieję, że wszyscy się co do tego zgadzamy. Będziemy czekać, aż pan Venandaktra osiągnie sukces w swoich rokowaniach i przekona Belizariusza. W tym czasie tutaj, w Konstantynopolu, zwiększymy wysiłki, żeby przekabacić jego żonę, Antoninę. Jak wszyscy wiecie, przyjechała do stolicy miesiąc temu ze swojej posiadłości w Syrii. Adzasutra już nawiązał z nią kontakt.



Oczy Narsesa nadal wwiercały się w sufit. Teraz słuchał uważnie słów Adżasutry.

- Jak na pierwsze podejście, wydaje mi się, że poszło całkiem nieźle. Najwyraźniej wstrząsnęły nią moje przypuszczenia, że imperator Justynian planuje wraz z Malawianami zabójstwo jej męża podczas podróży do Indii, kiedy będzie daleko od swoich przyjaciół i armii. Mam się z nią ponownie spotkać niebawem, bo ciągle pozostaje w stolicy.

Do rozmowy włączył się Jan z Kapadocji, który szorstkim i zdecydowanym tonem dodał:

- Jeżeli to nie zadziała, po prostu uwiedź tę dziwkę. Wygląda na to, że ta niby nawrócona kurwa nie zmieniła ani na jotę swoich przyzwyczajęń. A przynajmniej tak twierdzi Prokopiusz, prywatny sekretarz Belizariusza. Pogadałem z nim trochę wczoraj. Ona rozkłada nogi przed każdym od dnia, kiedy jej zakochany mąż wyruszył do Indii.

Po pokoju przetoczył się lubieżny śmiech. Narses lekko odwrócił głowę, którą opierał na zagłówniku szezlongu. Tylko odrobinę, lecz wystarczająco, żeby uwięzić Jana z Kapadocji pod spojrzeniem swoich gadzich oczu.

O nie, dla ciebie ich nie rozłoży. Nigdy tego nie zrobi. I podejrzewam, że dla nikogo. Tylko kretyń uwierzyłyby w te złośliwe plotki, które Prokopiusz tak chętnie rozpuszcza.

Narses najpierw powoli usiadł, potem wstał.

- Opuszczam was – oznajmił. Skinął grzecznie głową wszystkim mężczyznom zebranych w pokoju poza Janem z Kapadocji. Tutaj grzeczność nie była potrzebna i, w takim czy innym wypadku, poszłaby na marne. Prefekt pretorów był nieświadomy obecności Narsesa. Jego oczy zapatrzyły się w pustkę, a umysł wybiegał myślą naprzód, skoncentrowany na obrazie pięknej Antoniny.

Więc Narses po prostu patrzył przez chwilę na Kapadocjana, podziwiając widok chorej obsesji. Kiedy nadejdzie czas – eunuch był tego pewien – i kiedy już zdobędą to, co planowali tak długo, Jan będzie chciał w końcu zaspokoić swą żądzę, czyli posiąść Antoninę.

Narses odwrócił wzrok. Kiedy nadejdzie ta chwila, Jan z Kapadocji będzie sam, bez swoich strażników. I wtedy właśnie, w tej doskonałej chwili, zabije go.

Dzika satysfakcja wypełniła jego duszę. W swoim przepelnionym goryczą sercu, ukrytą niczym płonący węgiel w lodowatym umyśle, Narses kompletował listę wszystkich żyjących na tym świecie, których nienawidził. To była bardzo, bardzo, bardzo długa lista.

Imię Jana z Kapadocji figurowało na liście bardzo wysoko. Narses z radością go zabije. Będzie to ogromna przyjemność.

Jednak przyjemność z pewnością zblednie, przyćmiona bólem, zrodzonym z innych zbrodni. Bólem, spowodowanym śmiercią Belizariusza, którego głęboko podziwiał. Żałem po zabójstwie Teodory, który sprawi, że, koniec końców, będzie się wił w agonii leżąc na łożu śmierci.

Służący pomógł mu założyć płaszcz, po czym otworzył przed nim drzwi.

Narses stał w drzwiach, czekając aż inny sługa przywoła jego lektykę, pozostawioną tymczasowo w stajniach na tyłach willi. Spojrzał w górę. Nocne niebo było czyste, bezchmurne. Niczym nieskażone.

Mimo to ich zabije, a potem będzie sądzony za swoje czyny.

Z tyłu, z wnętrza słyszał głos Jana z Kapadocji. Nie mógł odróżnić słów, ale wszędzie

rozpoznałby ten szorstki, obleśny ton.

Wstrętny głos i czyste niebo przemieszały się w umyśle Narsesa. Obrazy zabitego Kapadocjana i zamordowanych Traków opuściły go. Zimna, stanowcza twarz eunucha w końcu zmarszczyła się i wróciła do swojej zwykłej postaci. Nie było w niej już nic gadziego. Po prostu twarz ciepłokrwistej bestii. Twarz prawie dziecinna, mimo tych wszystkich zmarszczek i załamania – o ile twarz dziecka mogła być tak pełna bezsilnego gniewu.

Przeklęta, znenawidzona ambicja. Zniszczy sam siebie, jeżeli dalej będzie jej słuchał.

Przyniesiono lektykę. Czterech służących, którzy trzymali drążki, czekało w milczącym posłuszeństwie, podczas gdy piąty pomagał Narsesowi wygodnie usiąść wśród miękkich poduszek. Lektyka ruszyła z miejsca.

Narses oparł się wygodnie na poduszkach i zamknął oczy.

Teraz czuł tylko silny ból pleców.

RANAPUR

*Wiosna, 530 r. n. e.*

## **Rozdział 1**

Belizariusz obserwował kamienną kulę mknącą po niebie. Leciała po łuku nie mniejszym niż pocisk wyrzucony z katapulty, ale uderzyła w kamienną ścianę otaczającą Ranapur ze znacznie większą siłą. Nawet przytłumiony wybuchami dział odgłos uderzenia był wprost ogłuszający.

- Co najmniej trzydzieści centymetrów średnicy – stwierdził Anastazjusz.

Belizariusz pomyślał, że ocena wielkości pocisku, jakiej dokonał katafrakt, zgadza się także z jego oceną, więc kiwnął potakująco głową. Walentynian, kolejny doświadczony weteran z jego ochrony, skrzywił się kwaśno.

- I co z tego? – zapytał zrzędliwie. – Widziałem już katapulty, które miotały większe pociski.
- Wcale nie takie wielkie – zaprzeczył Anastazjusz. – I nie miotały ich z taką siłą. – Potężny Trak wzruszył ramionami. – Nie ma powodu, żebyśmy się nawzajem oszukiwali. Te piekielne urządzenia Malawian sprawiają, że nasza artyleria wygląda przy nich jak zabawki.

Menander, ostatni z trzech katafraktów, którzy towarzyszyli Belizariuszowi w podróży do Indii, wtrącił się do rozmowy.

- A co ty o tym myślisz, generale?

Belizariusz chciał odwrócić się w siodle, żeby odpowiedzieć. Ale ten szybki ruch nagle przerwało cicho wymamrotane przekleństwo.

Anastazjusz zachichotał.

- To naprawdę zadziwiające, jak szybko zapominamy nasze stare umiejętności, nieprawdaż?

Belizariusz uśmiechnął się ze smutkiem, gdyż prawdziwości tej uwagi nie można było zaprzeczyć. Generał wprowadził strzemiona do oficjalnego wyposażenia swojej kawalerii zaledwie kilka miesięcy temu, zanim wyruszył w podróż do Indii. I szybko zdążył zapomnieć o wszystkich drobnych sztuczkiach, które umożliwiały utrzymywanie równowagi w siodle bez strzemion. Jednakże misja ambasadorska, którą Belizariusz prowadził, nie pozwoliła mu oczywiście na zabranie tych nowych

urządzeń do Indii. Strzemiona były jedną z niewielu rzeczy należących do militarnego wyposażenia Rzymu, która mogłaby dać im przewagę w wojnie z Imperium Malawy, i Belizariusz nie uważał za słuszne, aby zdradzać ich tajemnicę przed przyszłymi wrogami.

Ale w głębi duszy bardzo tęsknił za strzemionami i każdy drobny ruch w siodle, powodujący utratę równowagi, przypominał mu o tych przedmiotach tak bardzo ułatwiających jazdę na grzbiecie konia. Nawet gdy wykonywał tak prostą czynność, jak odwrócenie się w siodle, by odpowiedzieć na pytanie stojącego za nim młodego Traka.

- Zgadzam się z Anastazjuszem, Menandrze – powiedział generał. – A nawet wydaje mi się, że pomniejsza on ten problem. Polega on nie tylko na tym, że w tym momencie działa Malawian są znacznie skuteczniejsze od naszej artylerii. Gorsze jest to, że nasze techniki i urządzenia artyleryjskie już dawno osiągnęły szczyt rozwoju i możliwości, podczas gdy sprzęt Malawian ciągle należy do prymitywnych i surowych.

Oczy Menandra otworzyły się szerzej.

- Naprawdę? Wydają się takie...

Młody żołnierz dokładnie omiół spojrzeniem pole walki. Belizariusz i jego świta dotarli do Ranapur zaledwie przed tygodniem. Ale północna prowincja Indii, której stolicą było właśnie Ranapur, zbuntowała się już dwa lata temu przeciwko swoim malawiańskim panom. Od prawie roku miasto było obleżone przez wojska Imperium. Tereny wokół potężnej stolicy, niegdyś tętniące życiem, dawno już zamieniły się w jałową pustynię, a potem przeryto je całymi systemami rowów i ziemnych fortyfikacji.

Widok miasta, bardziej niż cokolwiek innego, przypominał Menandrowi ogromny kopiec mrówek. Gdziekolwiek spojrzał wszędzie widział mrowie żołnierzy i niewolników noszących towary, zapasy, amunicję. Czasami posługiwali się wózkami i taczkami, ale zwykle po prostu nosili ciężary na własnym grzbiecie. W odległości nie mniejszej niż trzydzieści metrów od nich dwóch niewolników dźwigało gęsto pleciony kosz z prochem, zabezpieczony od góry gliną. Kosz wisiał na bambusowym drągu, którego końce spoczywały na ramionach tragarzy. Niewolnicy pocili się bardzo mocno pomimo skromnego ubioru – nosili jedynie przepaski biodrowe. Oczywiście dużą część tej wilgoci wyciskał z nich obezwładniający skwar, wszechobecny na nizinach wielkiego Gangesu północnych Indii podczas pory suchej, którą Hindusi nazywali *garam*. Ale większość potu pojawiała się na skórze pracujących z powodu ciężaru, jaki dźwigali na ramionach. Menander oceniał wagę kosza na ponad trzydzieści kilogramów i wiedział, że ten ciężar jest jednym z wielu, jakie dzisiejszego dnia ci ludzie już przenieśli.

Podobna scenka powtarzała się wielokrotnie – wszędzie tam, gdzie tylko spojrzał. Całe miasto Ranapur otoczone było drewnianymi palisadami, wałami ziemnymi, rowami i wszelkimi innymi umocnieniami. Rowy zostały zbudowane przez Malawian jako osłona przed pociskami z katapult z obleżonego miasta i okazjonalnymi wypadami obrońców.

Menander pomyślał, że Malawianie są wyjątkowo ostrożni. On sam był zbyt niedoświadczony, żeby prawidłowo ocenić szanse oblegających i obleżonych, ale Belizariusz i jego weterani na oko szacowali liczebność armii Imperium otaczającej Ranapur na około dwieście tysięcy.

Ta liczba była wprost oszałamiająca. Żadne zachodnie mocarstwo nie byłoby w stanie zebrać takiej siły na polu bitwy. A żołnierze – Menander zdawał sobie z tego sprawę – byli tylko niewielką

częścią ogromnej populacji zamieszkującej Indie. Młody katafrakt niewiele widział ze swojego obecnego punktu widokowego, ale wiedział, że na wszystkich drogach w pobliżu miasta tłoczyły się wozy i zaprzęgi dostarczające żywność dla armii.

Zerkając na południe, widział barki, wolno płynące po rzece Jamunie w kierunku tymczasowych doków, które Malawianie wzniesli naprędce, żeby móc wyładowywać pożywienie dla żołnierzy. Każdy z tych statków miał wyporność od trzech do sześciu ton – była to wielkość przeciętnych dalekomorskich okrętów, jakie opuszczały stocznie nad Morzem Śródziemnym. Barki zwoziły z całych północnych Indii zapasy i jedzenie, produkowane przez zastępy poddanych Imperium Malawy.

Oprócz barek z zaopatrzeniem, na rzece – przy południowym brzegu – cumowało sporo statków podobnej wielkości, ale znacznie bardziej luksusowych i lepiej wyposażonych. Stanowiły one tymczasowe miejsca zamieszkania dla malawiańskiej szlachty i wysokich urzędników. W wielu miejscach na rzece Menander mógł zobaczyć poruszające się bardzo szybko wąskie wiosłowe łodzie. Na ich pokładach rojło się od żołnierzy. Malawianie utrzymywali stałe patrole, pilnujące rzeki i całkowicie odcinające obleżony Ranapur od rzecznej szlaki.

Ale wzrok Menandra najbardziej przyciągały odlane z brązu potężne działa, które stale ostrzeliwały Ranapur. Z niewielkiego wzniesienia, z którego on i pozostali Rzymianie przypatrywali się obleżeniu, widział osiem z nich. Każde działo ustawiono na kamiennej podstawie i otoczono niskim ziemnym wałem – wokół dział nie ustawiała krzątająca gromada żołnierzy i niewolników.

- To prawie jak magia – stwierdził Menander.

Belizariusz potrząsnął głową.

- Nie ma w tym nic magicznego, przyjacielu. To tylko metalurgia i chemia, nic więcej. I na dodatek, jak już mówiłem, surowa i prymitywna metalurgia i chemia.

Generał rozejrzał się dookoła. Pokażna radzpucka eskorta kręciła się w pobliżu, ale żołnierze pozostawali poza zasięgiem jego głosu.

Belizariusz przechylił się w siodle do przodu. Kiedy przemówił, jego głos był cichy i skupiony. Mówił jednak wystarczająco głośno, żeby trzej katafrakti mogli usłyszeć jego słowa, ale były one skierowane głównie do Menandra. Z wszystkich katafraktów, tworzących osobistą ochronę Belizariusza – a jego doborowy oddział złożono z najlepszych najemników – żaden nie był tak śmiertelnie niebezpieczny jak Walentynian i Anastazjusz. To właśnie dlatego wybrał ich na towarzyszy podróży do Indii, pełnej nieznanymi niebezpieczeństw. Ale, pomimo wszystkich bojowych umiejętności, żaden z weteranów nie potrafił sobie dobrze radzić z wyzwaniem, jakie stawiała przed nimi zupełnie nowa sytuacja. Nawet po kilku latach zdobywania doświadczeń młody Menander nie dorówna w walce Anastazjuszowi i Walentynianowi. Ale okazało się, że katafrakt znacznie szybciej dostosowuje się do nowych warunków i przyswaja sobie nowe umiejętności i strategie, jakie Malawianie wprowadzali do sztuki wojennej.

- Posłuchajcie mnie. Wszyscy. Możliwe, że nie uda mi się przetrwać tej podróży. Cokolwiek jednak się wydarzy, najważniejsze jest, aby któryś z nas powrócił do Rzymu z całą wiedzą, jaką tutaj zdobyliśmy i przekazał te informacje Antoninie i Janowi z Rodos.

Walentynian chciał zaprotestować, ale Belizariusz zbył go machnięciem ręki.

- To idiotyczne, Walentynianie, i ty zdajesz sobie z tego sprawę lepiej, niż ktokolwiek inny. Z tysiąca powodów można zginąć na polu bitwy, podobnie jak poza nim, a ja wcale nie jestem bardziej odporny niż ktokolwiek inny. Najważniejsze są informacje.

Spojrzał ponownie w kierunku Radżputów, ale kawalerzyści ciągle utrzymywali sporą odległość od oddziałku Rzymian.

- Wyjaśniłem wam już, na jakiej zasadzie działają te ich armaty – powiedział. Mrugnął okiem do Menandra. Młody Trak natychmiast zaczął recytować skład prochu i wymieniać kolejne etapy, pozwalające na dokładne przygotowanie mieszanki. Jego słowa brzmiały trochę jak kołysanka – jak piosenka powtarzana często i już niemal bezwiednie.

Belizariusz pokiwał głową.

- Tak, moczenie i mielenie są drogą do sukcesu. Pamiętajcie o tym. – Kiwnął nieznacznie głową w kierunku odległych dział. – Proch Malawian jest raczej kiepskiego gatunku, w porównaniu z tym, co można w tej dziedzinie osiągnąć. Podobnie jak ich umiejętności obróbki metali.

Nagle wyprostował się w siodle, przyglądając się jednej z armat.

- Popatrzcie – powiedział rozkazującym tonem. – Zaraz odpalę dział. Obserwujcie lot pocisku.

Menander i dwaj pozostali katafrakci popatrzyli w kierunku, w którym wskazywał generał. Chwilę później zobaczyli, jak malawiański żołnierz wyciąga długi żelazny pręt z małego paleniska. Pręt był zagięty na końcu pod kątem dziewięćdziesięciu stopni i ostatnie kilka centymetrów żelaza rozgrzano aż do czerwoności. Żołnierz ostrożnie wetknął rozżarzony pręt w mały otwór na górze armaty. U wylotu działa pojawiła się chmura czarnego dymu, a chwilę później do obserwujących dotarł potworny huk wystrzału.

Siła odrzutu szarpnęła działem, które oparło się o wały okalające podstawę. Menander zobaczył, jak artylerzysta próbuje pozbyć się prętu do odpalania. Żelazo natychmiast przekazano innemu malawiańskiemu żołnierzowi, który wycofał się szybko, uważając, aby nie dotknąć końcówki pręta, ciągle rozżarzonego do czerwoności. Menander nie zazdrościł malawiańskim artylerzystom – ich praca była wyjątkowo ryzykowna. Dwa dni wcześniej widział, jak siła odrzutu wyrzuciła działo poza usypane wały i jeden z żołnierzy został przygnieciony tonami mosiądzu.

Menander i inni Rzymianie obserwowali lot pocisku, aż do momentu uderzenia w potężne mury Ranapuru. Nawet z tej odległości mogli zobaczyć, jak umocnienia miasta zadrżały, a kawałki kamieni i cegieł wystrzeliły w górę, by potem opaść deszczem na okoliczne poletka.

Belizariusz spojrzał na swoich towarzyszy. Wszyscy marszczyli brwi – weterani po prostu ze zdumienia, natomiast Menander wyraźnie się nad czymś zastanawiał.

- Nie poleciał prosto – oznajmił młody katafrakt. – Leciał dużym łukiem i zboczył z kursu. Powinien uderzyć w mur jakieś pięć, dziesięć metrów na wschód.
- Dokładnie – powiedział Belizariusz z zadowoleniem. – Jeżeli przypatrzysz się uważnie i będziesz śledził lot pocisku, to w końcu się przekonasz, że działa strzelają bardzo

przypadkowo. Bardzo rzadko udaje im się strzelić prosto. Najczęściej kula schodzi z kursu na bok, a wysokość na której leci także jest nie do przewidzenia.

- Dlaczego? – zapytał Menander.
- To kwestia dopasowania – odparł generał. – Różnica pomiędzy średnicą lufy a kalibrem pocisku powinna być jak najmniejsza. Żeby działo strzelało prosto, kula musi dokładnie przylegać do ścian otworu wyborowanego w lufie. To wymaga dwóch rzeczy: przede wszystkim otwór w lufie musi zostać bardzo precyzyjnie wywiercony na całej jej długości, a ponadto wszystkie kule powinny być jednakowe i pasować do otworu.

Anastazjusz wydał policzki.

- To spore wymagania, generale. Nawet dla greckich rzemieślników.

Belizariusz kiwnął potakująco głową.

- Tak, masz rację. Ale im lepiej pasuje kula do lufy, tym dokładniejsze są strzały. Malawianie nie zadali sobie nawet odrobiny trudu. Te armatnie kule są niczym więcej jak tylko z lekka ociosanymi kamieniami, lepiej by było, gdyby odlewali je z żelaza. A lufy dział to tylko surowe odlewy, nawet ich nie wygładzono. Podejrzewam, że proces odlewania jest także mocno prymitywny.

Walentynian nachmurzył się.

- Ale jak zrobić coś tak dużego i w dodatku bardzo precyzyjnie? To pierwsze pytanie – powiedział ponuro. – A już szczególnie z metalu.

Belizariusz uśmiechnął się.

- Nawet bym nie próbował, Walentynianie. Bo w wypadku tak dużych dział niechlujne wykonanie nie jest aż takim wielkim problemem. Ale przyjrzyjmy się temu zagadnieniu z innego punktu widzenia. Czy trudno byłoby zrobić bardzo małe działo?
- Bardzo trudno – odparł natychmiast Anastazjusz. Jego ojciec był kowalem i od małego przyuczał swojego syna do zawodu. – Każdy rodzaj obróbki surowca jest trudny, nawet jeżeli mamy do czynienia z drewnem. Prawie nikt nie próbuje obróbki precyzyjnej metalu. Ale... tak, gdyby było wystarczająco małe...
- Działa do strzelania z ręki – wykrzyknął podekscytowany Menander. – To masz na myśli? Coś na tyle małe, żeby jeden mężczyzna mógł z tego samodzielnie strzelać... no, może dwóch.
- Jeden mężczyzna – powiedział z naciskiem Belizariusz.
- Nie widziałem wśród Malawian podobnej broni – powiedział niepewnie Walentynian. – Może... – Przerwał nagle i zakaszał. Wiał lekki wietrzyk i chmura dymu ze spalonego prochu, która wydobyła się z ostatnio odpalonego dział, w końcu dotarła do grupki Rzymian.
- Boże, jak to gównie śmierdzi – wymamrotał Walentynian.
- Lepiej się do tego przyzwyczaj – powiedział Anastazjusz, raczej nieuprzejmie. Przez chwilę wielki Trak tak wyglądał, jakby chciał wygłosić jedno ze swoich licznych filozoficznych kazań, ale wściekłe spojrzenie Walentyniana przywołało go do porządku.
- Nie widziałeś żadnych ręcznych dział, Walentynianie, ponieważ Malawianie takowych nie

mają. – Głos Belizariusza był cichy, ale przepełniony pewnością siebie. – Nie ukrywają ich przed nami. Jestem tego pewien. Trzymają nas daleko od pola bitwy, ale znów nie tak bardzo. Gdyby mieli jakiegokolwiek ręcznie działa, to do tej pory już byśmy je zauważyli.

Począł, aż hałas spowodowany wybuchem kolejnego działa przetoczy się nad okolicą, zanim podjął przerwany wątek.

- I to jest właśnie nasza szansa na przyszłość. Ręczne działa. Jeżeli uda nam się wrócić do Rzymu, jeżeli którykolwiek z nas wróci do Rzymu, przekaże te informacje Janowi z Rodos i wtedy będziemy mieć jakąś szansę. Będziemy mieć lepszy proch, a nasi rzemieślnicy są dużo lepsi od malawiańskich, nie ma co do tego wątpliwości. Możemy stworzyć całkowicie nowy model armii. Armii, która zdoła pokonać tego kolosa.

Przez chwilę zastanawiał się, czy powinien podzielić się z katafraktami częścią swoich pomysłów dotyczących organizacji nowej armii i taktyki, jaką miałyby się posługiwać. Ale zdecydował, że jeszcze nie nadszedł na to czas. Te pomysły ciągle pozostawały jedynie mglistymi zarysami w jego głowie. Raczej wywołałyby u katafraktów zmieszanie, niż pobudziły ich do myślenia. Belizariusz potrzebował więcej czasu. Więcej czasu, żeby pomyśleć. I jeszcze więcej czasu, żeby nauczyć się wszystkiego od tej dziwnej osobowości, w jakiś tajemniczy sposób zamkniętej w klejnocie, który nosił na szyi w małej sakiewce. Tej osobowości, która nazywała siebie Doradcą i mówiła, że pochodzi z odległej przeszłości.

Jego myśli zostały zakłócone przez głos Walentyniana.

- Uwaga – wymamrotał katafrakt. – Zbliżają się Radżpuci.

Belizariusz obejrzał się przez ramię i zobaczył, że kłusuje w ich kierunku mała grupka Radżputów, która oderwała się od oddziału konnych. Na czele grupy jechał przywódca eskorty – jeden z wielu drobnych książąt, z jakich składała się górna warstwa radżpuckich wielmożów, będących wasalami Malawian. Ten akurat należał do klanu Chauhar, jednego z najznamienitszych pośród radżpuckich rodów. Nazywał się Rana Sanga.

Obserwując nadjeżdżającego Sangę, Belizariusz czuł się rozdarty pomiędzy dwoma odczuciami.

Z jednej strony złościło go to, że Radżputa przerwie im rozmowę. Eskorta, postępując zgodnie z rozkazami Malawian – co do tego Belizariusz nie miał wątpliwości – pilnowała, żeby Rzymianie nie podchodzili zbyt blisko do pola bitwy i nie przypatrywali się zbyt długo magicznej broni Imperium. Pomimo tych ograniczeń, Belizariusz był w stanie wywnioskować bardzo wiele obserwując oblężenie Ranapuru. Ale z pewnością byłby w stanie nauczyć się znacznie więcej, gdyby pozwolono mu podejść bliżej i gdyby czas obserwacji był nieco dłuższy niż tylko kilka minut.

Z drugiej jednak strony...

Prawdę mówiąc, Belizariusz w miarę upływu czasu żywił do Rana Sangi coraz większy szacunek. I nawet, w jakiś dziwny sposób, zaprzyjaźnił się z nim, mimo, że radżpucki pan miał zostać w przyszłości jego przeciwnikiem.

Przeciwnikiem, którego należy się obawiać, pomyślał generał.

Pod każdym względem, może z wyjątkiem jednego aspektu swojej osobowości, Rana Sanga był typowym przedstawicielem narodu Radżputów. Mężczyzna był bardzo wysoki, wyższy nawet niż Belizariusz, i bardzo dobrze zbudowany. Łatwość i gracia, z jaką dosiadał konia, świadczyła nie tylko o doskonałej kondycji fizycznej Sangi, ale przede wszystkim wskazywała na to, że świetnie

opanował tajniki jazdy konnej – podobnie zresztą, jak wszyscy Radżpuci, których Belizariusz do tej pory poznał.

Ubiór i dodatki, jakie nosił Rana Sanga, również były typowe dla Radżputy, chociaż wykonano je staranniej i z lepszych materiałów. Radżpuci preferowali zdecydowanie lżejszą zbroję i uzbrojenie niż katafrakci czy perscy kopijnicy – nosili wzmocnione metalem kaftany sięgające do połowy uda, ale pozostawiające odkryte ramiona, hełmy nie zakrywające twarzy i obcisłe spodnie wpuszczane w wysokie, sięgające kolan buty. W skład ich uzbrojenia wchodziły lance, łuki i sejmitary. Właściwie Belizariusz nigdy nie widział, żeby Sanga miał przy sobie jakąkolwiek broń, ale nie miał najmniejszej wątpliwości, że był on ekspertem, jeżeli chodzi o ich użycie.

Tak, idealny portret Radżputy, w każdym calu, z jednym tylko wyjątkiem...

Sanga był teraz zaledwie kilka metrów od grupy Rzymian. Belizariusz uśmiechnął się do niego i z ledwością ograniczył powitalne gesty do grzecznościowego minimum.

Radżputa w każdym calu – z wyjątkiem tego cudownego, ironicznego poczucia humoru.

- Obawiam się, że muszę prosić ciebie, generale Belizariuszu, i twoich ludzi o opuszczenie pola bitwy – powiedział Radżputa zatrzymując konia nieopodal Rzymian. – Wkrótce zacznie się tutaj robić gorąco, jak mniemam. Jak zwykle, musimy dbać o bezpieczeństwo naszych gości i stawiać je na pierwszym miejscu, ponad wszystkim innym.

W tym właśnie momencie, jakby przywołany słowami Radżputy, na niebie nad Ranapurem pojawił się jakiś obiekt. Belizariusz przypatrywał się pociskowi – prawdopodobnie wyrzuconemu przez katapultę skrytą gdzieś za murami miasta – lecącemu w kierunku szeregów oblegających miasto Malawian. Nawet z tak dużej odległości widział malutkie isierki, spadające z tłęcego się lontu.

- Widzicie, zagrożenie jest duże – oznajmił Sanga.

Lont, jak spostrzegł Belizariusz, był zbyt krótki. Ładunek eksplodował w powietrzu, znacznie wcześniej, nim dotarł do zamierzonego celu, czyli do pierwszej linii rowów okalających miasto. Które zresztą wykopano w miejscu odległym o co najmniej półtora kilometra od pozycji zajmowanej aktualnie przez Rzymian.

- Śmiertelne zagrożenie – rozwodził się dalej Sanga.
- W rzeczy samej – powiedział w zamyśleniu Belizariusz. – To prawdopodobnie najbardziej niebezpieczna chwila w całym moim życiu. Chociaż właściwie nie. Zajmuje raczej drugą pozycję po tym okropnym wydarzeniu, kiedy moja siostra terroryzowała mnie łyżką do zupy, gdy miałem osiem lat.
- Ach, te siostry to brutalne stworzenia – zgodził się natychmiast Sanga. – Ja sam mam trzy, a każda z nich jest okrutna nie do pojęcia. Łyżka w ich rękach to śmiertelne narzędzie. Więc nie mam wątpliwości, że tamta chwila była odrobinę bardziej niebezpieczna, niż obecna. Ale ciągle nalegam, żebyście stąd odjechali. Bezpieczeństwo naszych czcigodnych rzymskich gości jest największą troską naszego imperatora. Najmniejsze zadrapanie na czcigodnych obliczach wysłanników imperatora Justyniana położy się niezmywalną plamą na honorze naszego władcy.

Twarz Radżputy przybrała uroczysty wyraz, ale Belizariusz nagle pokazał zęby w szerokim uśmiechu. Spór z Rana Sangą nie miał najmniejszego sensu, gdyż Belizariusz szybko się zorientował, że pod uległą grzecznością Radżputy kryje się iście stalowa wola.



Belizariusz szarpnął za wodze swojego konia, zatoczył koło i zaczął oddalać się z terenu walk. Jego katafrakci natychmiast podążyli za nim. Cała radżpucka eskorta, prawie pięciuset konnych, szybko zajęła swoje miejsca. Większość Radżputów jechało w pewnej odległości za grupką Rzymian, ale spora część oddziału zajęła pozycje flankujące. Niewielka gromadka kłusowała przed obcymi, pełniąc funkcję przedniej straży tej małej armii, przebijającej się przez kotłujący się tłum malawiańskich żołnierzy i niewolników.

Rana Sanga jechał obok Belizariusza.

- Robisz bardzo duże postępy w hindi, generale – zauważył Radżputa grzecznościowo po dłuższej chwili milczenia. – To zdumiewające, jak szybko nauczyłeś się tego języka. I obcy akcent zniknął już prawie z twojej wymowy.

Belizariusz powstrzymał się od wykrzywienia twarzy i w duchu przeklął swoją głupotę. Oczywiście, potrafił mówić płynnie w hindi, kiedy tylko zechciał, bez choćby nawet najlżejszego śladu akcentu. Ta prawie magiczna zdolność do uczenia się języków była jedną z wielu umiejętności, jaką zapewniała mu obecność Doradcy. Belizariusz już wielokrotnie korzystał z pomocy klejnotu przy nauce nowych języków.

Jednakże ten talent był przydatny tylko i wyłącznie wtedy, kiedy stanowił absolutną tajemnicę dla przeciwnika.

Belizariusz leciutko westchnął. Zdążył się już przekonać, że ze wszystkich trudnych rzeczy, jakim człowiek musi stawić czoła na tym świecie, prawdopodobnie najtrudniejsze jest udawanie, że jest się kiepskim w języku, którym w rzeczywistości włada się perfekcyjnie.

Belizariusz odchrząknął, żeby oczyścić gardło.

- Bardzo miło mi to słyszeć. Sam tego nie dostrzegam.
- Tak mi się wydawało – odparł Sanga. Radżputa obejrzał się przez ramię. – W związku z tym, że twój hindi, generale, staje się tak dobry, czy nie masz nic przeciwko temu, żebyśmy rozmawiali od tej pory po grecku? Moja greka, jak zapewne wiesz, pozostawia wiele do życzenia. Bardzo bym się cieszył, gdybym mógł się trochę podciągnąć.
- Oczywiście – zgodził się Belizariusz, przechodząc na język grecki. – Sprawi mi to niekłamaną przyjemność.

Rzymski generał pokazał ręką za siebie, w kierunku miasta Ranapur.

- Jestem ciekaw jednej rzeczy, Rana Sango. Zauważyłem, że rebelianci nie mają ani jednego działka, podobnego do waszych, ale jednocześnie posiadają ogromne zapasy prochu. Czy to nie dziwne, że mają jedną rzecz, nie posiadając drugiej do kompletu?

Radżputa przez chwilę zastanawiał się nad odpowiedzią. Belizariusz z całą pewnością mógł stwierdzić, że Rana Sanga w duchu wyznacza sobie granice tego, co może powiedzieć obcemu generałowi.

Ale chwila ta była bardzo krótka. Sanga nie wahał się zbyt długo. To była jedna z wielu drobnych cech charakteru tego człowieka, pomyślał Belizariusz, która wskazywała na jego umiejętności i zdolności nie tylko jako dowódcy wojsk.

- To wcale nie jest takie dziwne, generale Belizariuszu. Działka pozostają pod ścisłą kontrolą

malawiańskich kszatryjasów i nigdy się ich nie przydziela do garnizonów w prowincjonalnych miastach. Jeżeli już o to chodzi, takie same przepisy obowiązują względem prochu. Ale działa są bardzo trudne do wykonania i wymagają specjalistycznych surowców i sprzętu. Prawo zabrania sytuowania manufaktur, wykonujących działa, poza obrębem naszej stolicy, miasta Kausambi. Z drugiej strony proch jest znacznie łatwiejszy do zrobienia. A przynajmniej tak mnie poinformowano. Ja sam, oczywiście, nie znam sekretu jego produkcji. Nikt go nie zna, z wyjątkiem kapłanów Mahwedy. Ale cały proces nie wymaga skomplikowanych urządzeń. Więc jeżeli ktoś posiada odpowiednie składniki...

Radżputa przerwał, wzruszywszy lekko ramionami.

- ...których oczywiście, nie muszę chyba mówić, nie...

Gadanina, pomyślał Belizariusz. Wątpię, czy zna dokładnie cały proces, ale jestem pewien, że tak dokładny obserwator jak Sanga, zna trzy składniki prochu i chociaż przybliżone proporcje, w jakich się je miesza.

- ...i z niezbędną wiedzą proch może być wykonany. Nawet w oblężonym mieście.
- Jestem zdumiony, że kapłani Mahwedy przyłączyli się do powstania przeciwko imperatorowi Skandagupcie – zauważył Belizariusz. – Miałem raczej wrażenie, że malawiańscy bramini są ślepo oddani sprawom waszego Imperium.

Sanga parsknął.

- Och, nie mam wątpliwości, że ich współpraca została wymuszona. Bez wątpienia większość kapłanów zginęła, kiedy doszło do rewolucji w całej prowincji, ale z pewnością władca Ranapur pozostawił sobie kilku przy życiu. Prawdą jest, że kapłani Mahwedy przysięgają popełnić samobójstwo, zanim zostaną ostatecznie zmuszeni do wyjawienia sekretów wedyjskiej broni, ale...

Radżputa zacisnął usta.

- Ale kapłani nie są prawdopodobnie całkowicie wolni od słabości, podobnie jak my, maluczcy. A już szczególnie, gdy stają się ofiarami przymusu, zamiast...

Nagle zamilkł. Belizariusz w myślach sam dokończył zaczęte zdanie.

*Zamiast stać po drugiej stronie jako nadzorcy, pilnujący swoich oprawców mahamimamsa przy pracy.*

Ze wszystkich rozmów, jakie prowadził Belizariusz z Rana Sangą, ta właśnie najbardziej zbliżyła się do tematu tajemniczej broni Malawian. Generał postanowił sprawdzić, co jeszcze uda mu się wyciągnąć z Radżputy.

- Zauważyłem, że powiedziałaś o tych waszych niesamowitych urządzeniach militarnych, jako o broni wedyjskiej. Moi ludzie skłaniają się raczej ku pogładowi, że działanie tych armat to wynik czarnoksięskich mocy.

Tak jak się spodziewał, ostatnie słowa uraziły Radżputę.

- To wcale nie są czary! Tak, broń jest magiczna. Ale to odrodzona potęga naszych wedyjskich przodków, a nie jakieś podejrzané sztuczki nowoczesnych barbarzyńców.

Taka była właśnie oficjalna wersja, dotycząca nowej broni, utrzymywana przez Imperium Malawy. Urządzenia pochodziły ze starożytnych czasów Wedów – odkryli je ponownie dociekliwi kapłani, należący do nowo powstałego kultu Mahweddy. Belizariusz był zdumiony widząc, jak szybko ta wersja została przyswojona nawet przez radżpucką szlachtę.

Ale może, pomyślał, to wcale nie jest aż takie zaskakujące. Żaden inny naród Indii, o czym Belizariusz wiedział, nie był tak dumny z dziedzictwa wedyjskich przodków, jak właśnie Radżputci. Duma była tym większa, a raczej lepszym słowem byłoby tutaj zaciekle, że wielu Hindusów, nie mających radżpuckiego pochodzenia, odmawiało Radżputom prawa do tego dziedzictwa. Twierdzili oni, że Radżputci przybyli do Indii całkiem niedawno jako nomadzi z centralnej Azji. Miało się to wydarzyć zaledwie kilka pokoleń temu. Podbili część północno-zachodnich Indii i natychmiast zaczęli się wywyższać. I to jak! Słowo „Radżputa” samo w sobie oznacza syna króla, którym jakoby miałby być każdy z Radżputów.

To było zdanie większości ludności Indii, nie pochodzącej z narodu Radżputów. Ale, jak zauważył Belizariusz, mówiono o tym jedynie pokątnie. I nigdy w obecności samych zainteresowanych, czyli Radżputów.

Belizariusz naciskał dalej.

- A więc to tak? Ja sam nigdy nie miałem okazji studiować wedyjskich tekstów...

Kiepskie kłamstwo. Belizariusz spędził wiele godzin, rozszyfrowując pisane sanskrytem manuskrypty, kiedy jego niewolnik Dadadzi Holkar uczył go pisać i czytać w języku Hindusów.

- ...ale nie słyszałem, żeby wedyjscy herosi walczyli za pomocą jakiegokolwiek innej broni, poza tą, którą każdy z nowoczesnych ludzi uważa za dobrze znaną.
- Sami herosi oczywiście nie. A przynajmniej nieczęsto. Ale bogowie i półbogowie także brali udział w tych starożytnych bitwach, Belizariuszu. A oni nie mieli takich ograniczeń.

Belizariusz spojrzał szybko na Sangę. Radżputa nachmurzył się wyraźnie.

*Jeszcze tylko trochę, tak myślę.*

- Musisz więc być szczęśliwy, widząc jak te boskie siły znów zstępują na ziemię – zauważył niewinnie generał.

Rana Sanga nie odpowiedział. Belizariusz znowu na niego spojrzał. Chmurna mina znikła, pozostały tylko zmarszczone brwi.

Chwilę później zmarszczone brwi także znikły i Rana Sanga lekko westchnął.

- To jest oczywiste bez mówienia, Belizariuszu – powiedział miękko. Rzymianin nie omieszkał zauważyć, że Radżputa po raz pierwszy nazwał go jego imieniem, nie dodając żadnych oficjalnych tytułów typu generał.
- To jest oczywiste bez mówienia. Jednakże, z pewnych względów, wolałbym, żeby okruchy

wedyjskiej chwały pozostały częścią przeszłości. – Znów na chwilę przerwał. – Chwała – powiedział jakby do siebie. – Ty sam jesteś żołnierzem, Belizariuszu, więc tym samym lepiej rozumiesz, co kryje się pod słowem chwała. Antyczna bitwa pod Kurukszetą, na przykład, może być opisana jako chwalebna. O tak, w rzeczy samej była bardzo chwalebna.

Do obozu Rzymian było już zaledwie kilkadziesiąt metrów. Belizariusz widział kuszańskich żołnierzy, zbierających się wokół pawilonów, w których mieszkali Rzymianie i ich etiopski sprzymierzeńcy. Kuszanie byli wasalnymi żołnierzami, których Malawianie przydzielili jako osobistą i nad wyraz gorliwą ochronę zagranicznych podróżników.

Jak zwykle, Kuszanie radzili sobie ze swoimi obowiązkami gładko i bez problemów. Ich dowódca nazywał się Kungas, a cała trzydziestka żołnierzy-strażników, z których składał się niewielki oddział, należała do jego klanu i związana była z nim więzami krwi – z łatwością więc utrzymywał wśród nich żelazną dyscyplinę. Kuszanie pod każdym względem należeli do elitarnych żołnierzy. Nawet Walentynian i Anastazjusz z niechęcią to przyznawali, więc z pewnością Kuszanie byli co najmniej tak dobrzy, jak traccy katafrakci.

Kiedy zatrzymali się przed namiotem, w którym mieszkał Belizariusz wraz ze swoim niewolnikiem Dadadżim Holkarem, natychmiast pojawił się marathański sługa, aby przejąć wodze generalskiego konia. Belizariusz zsiadł, jego katafrakci także.

Stojąc już na ziemi, Belizariusz wpatrywał się nadal w Rana Sangę.

- Wydaje mi się, że nie dokończyłeś swojej myśli – powiedział cichym głosem.

Rana Sanga na chwilę odwrócił wzrok.

- Bitwa pod Kurukszetą była ukoronowaniem potęgi Wedów, Belizariuszu – odezwał się w końcu, ponownie spoglądając na generała. – Cała Bhagawadgita[1] z Mahabharaty[2] jest jej poświęcona. Kurukszeta to największa bitwa, jaką kiedykolwiek stoczono w historii świata. Napisano o niej niezliczoną ilość rozpraw, próbując pojąć jej dwojakie znaczenie – jej przesłanie filozoficzne i religijną ważność.

Twarz Rana Sangi – ciemna, przystojna, z bujną brodą – wyglądała teraz jak maska wycięta z jednego kawałka drewna.

- Napisano także, że w tej bitwie zginęło osiemnaście milionów zwykłych ludzi.

Radżputa szarpnął za wodze i zawrócił konia.

- I nie zapisano imienia nawet jednego z nich.

## **Rozdział 2**

Belizariusz patrzył za odjeżdżającym Rana Sangą i jego żołnierzami. Jak tylko radżpucka ochrona zniknęła z horyzontu, generał odwrócił się do Dadadzi Holkara.

- Nie wydaje mi się, żeby on był typowym Radżputem – powiedział. To było raczej pytanie, niż stwierdzenie faktu.

Marathański niewolnik nie zgodził się. Zaprzeczył natychmiast i bez wahania. Gdyby był sługą innego pana, nigdy by tego nie zrobił. Zgodnie ze starożytnymi indyjskimi zwyczajami, chociaż tylko Malawianie wprowadzali je w życie, niewolnik powinien we wszystkim zgadzać się ze swoim panem oraz bez wahania wypełniać jego polecenia. To, że Dadadźi Holkar nie wahał się wypowiadać swojego zdania było spowodowane podejściem Belizariusza, który wymagał od sługi poświęcenia się celowi i sprawie, z jaką wyruszyli do Indii, a nie jego osobie.

- Nie zrozumiałeś go dobrze, panie. Rana Sanga jest bardzo sławny. Większość Hindusów i wszyscy Marathanie uważają go za prawdziwego Radźputę. Jest prawdopodobnie największym radźpuckim wojownikiem, jaki obecnie stąpa po tej ziemi, i z pewnością najlepszym radźpuckim generałem. Jego wyczyny przeszły już do historii. Oczywiście jest także królem – Maratha uśmiechnął się – ale to samo w sobie nic nie znaczy. Pęta się tutaj tak wielu radźpuckich królów, a większość z nich rządzi swoim podwórkiem, tak jakby było ono pępkiem świata. Ale Rana Sanga wywodzi się z dynastii Chauhar, która najprawdopodobniej jest ich najświetniejszą arystokratyczną linią. I potomkowie rodu Chauhar są znani nie tylko z inteligencji i błyskotliwości, ale też z doskonałego władania łukiem i mieczem.

Belizariusz zmarszczył brwi.

- Więc?

Dadadźi Holkar wzruszył ramionami.

- Więc Rana Sanga jest najprawdziwszym z prawdziwych Radźputów i z tego faktu czerpie bardzo głęboką dumę. Ale właśnie dlatego, że taki jest, i że myśli jak Chauhar, zastanawia się także, co to oznacza być prawdziwym Radźputą. Wie – nawet słyszano, jak czynił na ten temat okazjonalne żarty – że pochodzenie Radźputów nie jest w rzeczywistości tak wspaniałe, jak mówią, nie jest lepsze niż nasze pochodzenie – prostych górali Maratha. Ale jednakowoż wie, że to pochodzenie jest prawdziwe, mimo tego. Więc zastanawia się nad pochodzeniem i nad tym, jak ono powstaje i jak rzeczywistość wyłania się z iluzji. I deliberuje, tak przynajmniej sobie myślę, gdzie przebiega granica pomiędzy rzeczywistością i iluzją i jaki to ma wpływ na jego *dharma*[3].

Niewolnik poklepał konia po szyi.

- To są niebezpieczne myśli, panie. Bez tych swoich czarodziejskich broni i nieprzeliczonych armii Malawianie nie posiadają bardziej przydatnych sprzymierzeńców niż Rana Sanga ze swoimi umiejętnościami na polu bitwy. Ale jestem przekonany, że boją się tych sprzymierzeńców na równi z tym, jak ich potrzebują.
- A więc mają powód, żeby się go obawiać? – zapytał Belizariusz.

Dadadźi Holkar zapatrzył się przymrużonymi oczami w miejsce, gdzie jeszcze chwilę temu było widać oddziałek Radźputów.

- Trudno powiedzieć, panie. Raghunath Rao powiedział pewnego razu, że nadejdzie taki dzień, kiedy Rana Sanga będzie musiał wybrać pomiędzy honorem Radźputy i obowiązkiem

Radźputy. I, kiedy nadejdzie ten dzień, ten najprawdziwszy z Radźputów zrozumie, że tylko honor nadaje służbie prawdziwe znaczenie.

Rzymski generał podrapał się po brodzie.

- Nie wiedziałem, że ci dwaj mężczyźni się znają.
- O tak. Raz walczyli ze sobą, jeden na jednego. W tamtych czasach obaj byli młodzi, ale już otaczała ich sława wojowników. Ta historia jest bardzo znana.

Belizariusz wzdrygnął się lekko.

- To cud, że wyszli z tego cało!

Niewolnik uśmiechnął się.

- Oni też się dziwili! I wszyscy świadkowie! Ale jednak to przeżyli. Oczywiście obaj byli ciężko ranni. Zaraz na początku pojedynku Sanga zastrzelił z łuku konia dowódcy Marathów, a potem zranił Rao w ramię. Ale potem stał się zbyt pewny siebie i zbliżył się do przeciwnika dosyć nieostrożnie. Rao rozplątał brzuch jego wierzchowca, a potem natarł na niego z mieczem i wzmocnioną żelazem rękawicą. Od tej chwili walka była bardzo wyrównana i obaj walczyli, aż spłynęli krwią z licznych ran i utracili oręż. A potem walczyli gołymi rękami. Żaden mężczyzna w Indiach nie byłby w stanie walczyć z Raghunath Rao gołymi rękami – żaden z wyjątkiem Rana Sangi. Oczywiście Radźputa nie był tak doskonale wyszkolony, ale przewyższał Rao wzrostem i siłą. Pod koniec dnia obaj przeciwnicy byli zbyt słabi i wyczerpani, żeby podnieść rękę – nie mogli nawet stać. Więc położyli się obok siebie i kontynuowali walkę za pomocą słów.

Belizariusz zachichotał.

- I kto wygrał?

Holkar wzruszył ramionami.

- A kto to może ocenić? O zachodzie słońca zdecydowali, że ich honor został uratowany i obroniony. Więc zawołali swoich towarzyszy, żeby przyszli po nich i opatrzyli im rany. Armie, którymi dowodzili nawet nie rozpoczęły bitwy. Wszyscy obecni tam Marathowie i Radźputy czuli, że pojedynek był tak chwalebny, że jakakolwiek walka na polu bitwy tylko zaciemni jego wspomnienie. Lata minęły, zarówno Rao, jak i Sanga zostali sławnymi dowódcami, chociaż od tamtej walki nigdy nie spotkali się na polu bitwy, ani jako wojownicy, ani jako generałowie. Ale od tamtego dnia aż do chwili obecnej, Raghunath Rao zawsze utrzymywał, że na całym świecie nie ma lepszego łucznika niż Rana Sanga, a równych mu w umiejętnościach szermierczych znalazłoby się może czterech, nie więcej. Podobnie Sanga twierdził, że nikt nie dorównuje Rao we władaniu opancerzoną rękawicą i walce na gołe pięści i przysięgał, że wolałby walczyć własnymi zębami i pazurami z tygrysem, niż ponownie zmierzyć się z Rao na polu filozofii.

Chichot Belizariusza zamienił się w gromki śmiech.

- Co za wspaniała opowieść! Jak myślisz, ile w niej jest prawdy, a ile fikcji?

Twarz Holkara przybrała uroczysty wyraz.

- Wszystko jest prawdą, panie. Każde słowo. Byłem przy tym, w tamtej bitwie, i sam pomagałem opatrzyć rany Rao.

Rzymski generał wpatrywał się w swojego niewolnika. Dadadzi Holkar był niewielkiego wzrostu i drobnej budowy, więc Belizariusz spoglądał na niego z góry. Niewolnik miał już młodzieńcze lata za sobą, włosy przyprószyła mu siwizna. Zarówno jego wygląd, jak i zachowanie dobitnie świadczyły, że zanim został niewolnikiem Malawian, był doskonale wykształconym i zdolnym pisarzem. Belizariusz przypomniał sobie, że pomimo całej swojej inteligencji i intelektu, Dadadzi Holkar pochodził z Maharasztry. Z Maharasztry, Wielkiego Kraju. Kraju wulkanicznych głązów, kraju nieprzyjaznego i nie wybaczącego. Z kraju Marathów, którzy może nie byli najszlachetniejszymi mieszkańcami Indii, ale z pewnością najbardziej zادیornymi.

- Nie twierdzę, że zmyślasz, Dadadzi – powiedział miękko Belizariusz. Wielka dłoń rzymskiego generała na moment spoczęła na drobnym ramieniu marathańskiego niewolnika. I w tej właśnie chwili niewolnik wiedział, że jego pan odwzajemnia szacunek, jakim on go darzył.

Holkar chwilę później odszedł szybkim krokiem, prowadząc za sobą konia do żłobu, gdzie posilały się inne zwierzęta. Potarł ręką oczy, powstrzymując łzy. Dzielił namiot ze swoim panem i noc w noc słuchał, jak Belizariusz przemawia po cichu do boskiej istoty obecnej w jego umyśle. Wiedział z tych cicho mamrotanych słów, że generał spotkał już kiedyś Rao, ale nie w tym świecie, tylko w świecie swoich wizji. W tamtym nierzeczywistym czasie całe Indie skamlały pod panowaniem Malawian, a Rzym koniec końców także podzielił ich los. W tamtym świecie Rao nie zdołał uratować Maharasztry i stał się, jakimś dziwnym zrzędzeniem losu, marathańskim sługą i niewolnikiem rzymskiego generała.

Dadadzi Holkar delikatnie rozsiódł klacz i zaczął szcztokować jej spocone boki. Bardzo lubił konie, i, sądząc po tym, jak łagodnie i przyjacielsko trącały go nosem, zwierzęta odwzajemniały tę sympatię. Wiedział także, że niezmienna sympatia Belizariusza do niego wiąże się z pewnym przeniesieniem uczuć z Raghunath Rao, który był przecież rodakiem Holkara. Belizariusz powiedział mu kiedyś, że w całym swoim życiu spotykał wielu godnych podziwu ludzi, ale żaden z nich nie dorównywał Rao. Ale Dadadzi Holkar – przez te miesiące, kiedy byli razem – zdążył już dobrze poznać swojego pana, odkąd Belizariusz kupił go na targu w Barakusze, żeby niewolnik nauczył go indyjskich języków. I zdawał sobie sprawę, że jest dla generała człowiekiem, a nie tylko przedmiotem mającym zastąpić mu innego mężczyznę, i że szacunek generała jest szacunkiem do jego osoby, a nie odległej postaci Raghunath Rao. Jest szacunkiem dla jego oddania, jego służby oraz świadectwem pamięci o jego podbitym narodzie i rozproszonej po Indiach rodzinie.

Niewolnik Dadadzi Holkar zaczął karmić klacz generała. Był teraz sam, więc pozwolił, aby łzy nieskrępowanie spływały po jego twarzy. Potem, po krótkiej chwili, podniósł zapłakane oczy i spojrzał przed siebie na roztrzaskane kamienne ściany broniącego się Ranapur.

*Ranapur niedługo upadnie. Malawiańskie bestie zbezczeszczą miasto i jego mieszkańców.*

*Potraktują ich bardziej okrutnie niż moich rodaków.*

Opuścił wzrok i otarł łzy. Patrzył, jak klacz spokojnie je. Lubił się przyglądać, z jaką niewymowną przyjemnością koń zjada swoją paszę. To przypominało trochę radość, jaką dawało mu patrzeć na żonę i dzieci podczas wspólnego rodzinnego posiłku. Zanim przyszli Malawianie i zniszczyli jego rodzinne szczęście.

Cieszcie się ze swojego zwycięstwa, malawiańskie kobry. Nie będzie trwało długo. Właśnie wpuściliście mangustę do swojego gniazda.

Klacz skończyła wreszcie jeść. Holkar zaprowadził ją do krytych strzechą stajni, które rzymscy żołnierze wzniesli dla swoich wierzchowców. Stajnie były bardzo duże i całkowicie osłonięte przed wzrokiem obcych. Mogliby się oni dziwić, dlaczego tak niewielki oddziałek żołnierzy potrzebuje aż tak wielkiej ilości koni. I to jakich koni!

W rzeczy samej wierzchowce były wspaniałe. Holkar uważał, że klacz generała jest dobrym wierzchowcem, ale wiedział też, że na tle pozostałych, mieszkających w stajni, wygląda jak najędzniejsze zwierzę. Rzymianie nigdy nie dosiadali najlepszych wierzchowców – tych doskonałych biegaczy, jakie Holkar z polecenia generała nabywa sukcesywnie od różnych kupców, koczujących wokół obleżonego miasta Ranapur. Zawsze kupował konie u schyłku dnia i pod osłoną nocy sprowadzał je do stajni.

Jego pan nigdy mu nie tłumaczył motywów, dla których wydaje polecenia, a Holkar nie próbował go skłonić do wyjaśnień.

Belizariusz nie tłumaczył się także z innych zakupów, które były daleko bardziej dziwaczne.

Nie dalej niż dwa dni temu na rozkaz swojego pana Holkar kupił trzy słonie. Trzy małe, doskonale ujarzmione, potulne istoty, które obecnie rezydowały w wielkim, ale prostym namiocie ustawionym na polance w lesie, wiele kilometrów od obleżonego miasta, wiele kilometrów od oficjalnego obozu zajmowanego przez Rzymian i Etiopczyków.

Holkar nie zadawał żadnych pytań. Nie pytał, dlaczego namiot postawiono tak daleko od obozu i dlaczego miał tak odmienny wygląd od tych wyszukanych pawilonów, jakie etiopski książę Eon wznosił dla siebie i swoich konkubin. Ani dlaczego te słonie mają tak odmienny wygląd od tych dwóch wielkich zwierząt, które Etiopczycy trzymali jako swoje oficjalne wierzchowce. Ani dlaczego słonie były karmione tylko w nocy i tylko przez afrykańskiego niewolnika o imieniu Ousanas, który o zmroku był niewidzialny – częściowo z racji koloru skóry, ale głównie z powodu niesamowitych umiejętności łowcy i człowieka lasu, jakimi obdarzył go los.

Nie. Holkar po prostu wykonywał polecenia swojego pana i nie prosił o żadne wyjaśnienia. Maratha nie sądził, by jego pan musiał mu cokolwiek wyjaśniać, nawet gdyby zapytał. A przynajmniej nie powiedziałaby mu wszystkiego. Nie do końca. Umysł Belizariusza pracował w odmienny sposób. Jego myśli nigdy nie poruszały się po prostych torach, ale zawsze kluczyły. Kiedy inni ludzie myślą tylko o następnym kroku, Belizariusz zastanawia się, co go czeka za zakrętem drogi. I podczas gdy inni, mijając ten zakręt, natykają się na rozstaje i muszą wybrać, czy iść w prawo, czy w lewo, Belizariusz decyduje się na kopanie dołka albo podjęcie podróży na przelaj.

Niewolnik zamknął plecione drzwi prowadzące do stajni. Nie było przy nich zamka, nie miał zastosowania. Kuszanie szybko by się rozprawili z każdym złodziejem, czy intruzem. Uśmiechał się, wolno idąc w kierunku swojego namiotu. Zapadł już zmrok, ale czuł, że jest pod obserwacją bystrych oczu kuszańskich strażników.

Prawie tak samo bystre, jak ciekawe, pomyślał i zachichotał. Ale trzymają ciekawość na wodzy. Kiedy dowódcą jest Kungas, jego ludzie bez wahania wypełniają rozkazy. Kuszanie także nie zadają zbędnych pytań.



Holkar obejrzał się przez ramię na duży pawilon, który należał do księcia Eona. Pomyślał sobie, że nic tak nie interesuje Kuszanów, jak właśnie ten namiot. Chociaż nie był pewien, wydawało mu się, że kuszański dowódca odkrył już sekret pawilonu księcia Eona. Odkrył go i choć znał swoje obowiązki, postanowił je zignorować dla powodów, których Holkar mógł się tylko domyślać. Z twarzy Kungasa nie można było wyczytać ani jednej myśli, ani jednej emocji. Ale Holkarowi wydawało się, że zna duszę tego mężczyzny.

Sam Dadadzi Holkar też nie został o czymkolwiek powiadomiony. Zresztą nigdy nie wchodził do namiotu księcia Eona. Ale miał doskonale wyrobiony zmysł obserwacji i przez wiele miesięcy dobrze poznał swego pana. Holkar był pewien, że w środku pawilonu ukrywa się księżniczka Szakuntala, która jako jedyna z dynastii Satavahana przeżyła wojnę z Malawą – władczyni obecnie podbitej Andhry.

Podobnie jak każdy mieszkaniec Indii, Holkar wiedział, że Raghunath Rao – sławny dowódca Marathów – uwolnił księżniczkę z rąk Malawian miesiąc temu. Opowieść o tym rozprzestrzeniła się po kraju, jak ogień po suchej trawie. Ale podczas gdy wszyscy myśleli, że dziewczyna uciekła z Rao, Holkar był pewien, że została ukryta w tym pawilonie przez Belizariusza i jego etiopskich sprzymierzeńców. Ukryta pomiędzy kobietami jako jedna z wielu nałożnic Eona.

Znowu zachichotał. To był właśnie dokładnie taki sprytny manewr, jakiego można było się spodziewać po jego panu. Uderzenie i parowanie. Cios z zasadki, nigdy wprost. Zmieszanie i zatarcie śladów. W jakiś sposób, Holkar tak przynajmniej podejrzewał, Belizariusz był nawet odpowiedzialny za zastąpienie kuszańskich strażników księżniczki kapłanami i oprawcami. Tych samych kuszańskich strażników, którzy teraz służyli jako eskorta Belizariusza, a wcześniej pilnowali księżniczki Szakuntali. Holkar napatrzył się na nich wystarczająco dużo przez ostatnie miesiące i zdawał sobie sprawę, że nawet Raghunath Rao nie dałby sobie z nimi rady.

Zatrzymał się na chwilę, patrząc na namiot. Na jego bladej twarzy pojawił się szyderczy uśmiezek.

Malawianie zapłaciliby mu fortunę za te informacje. Ale Holkar nigdy nie brał pod uwagę możliwości zdrady. Był oddany Belizariuszowi tak bardzo, jak bardzo nienawidził Malawian. A poza tym, podobnie jak Raghunath Rao, był Marathą. Księżniczka Szakuntala – teraz już imperatorowa Szakuntala – była prawowitą władczynią Maharasztry i, z ukłonem w duchu, Dadadzi Holkar uznawał jej panowanie.

Podjął marsz w kierunku namiotu Belizariusza. Na jego twarzy pojawił się lekki uśmiech. Podobnie jak wielu inteligentnych, wykształconych ludzi, Dadadzi Holkar wyrobił w sobie ironiczne podejście do historii. Więc uznał, że jego zaciekła lojalność względem Andhry jest w pewien sposób bardzo dziwna.

Kiedy dynastia Satavahana była u szczytu władzy, Maharasztra należała do najbardziej niesfornych poddanych Andhry. Nigdy, od czasu wchłonięcia, prowincja ta nie zbuntowała się otwarcie przeciwko swoim władcom. Ale Satavahanowie zawsze uważali, że Wielkim Krajem rządzić trzeba lekką ręką. Teraz, kiedy Andhra została podbita przez Malawę, Marathowie stali się najwierniejszymi jej poddanymi i najbardziej zaciekłymi partyzantami broniącymi upadłej dynastii. Dadadzi Holkar również się do nich zaliczał.

Nagły jasny rozblęsk nad horyzontem przyciągnął jego wzrok. Holkar zatrzymał się i popatrzył w tamtym kierunku. Chwilę później odgłos kanonady przetoczył się ponad obozem.

Podjął przerwany marsz.

*Niedługo, tak, już wkrótce Ranapur upadnie. A kobra ponownie nasyci swój głód. Podobnie jak czyniła to już wiele razy.*

Zbliżył się do namiotu swojego pana. Zatrzymał się przed nim na chwilę, przyglądając się prostej konstrukcji.

*Po prawdzie nie ma na co patrzeć. Ale przecież mangusta nigdy nie zwraca uwagi na swoje otoczenie. Po prostu uważnie przypatruje się kobrze i rozważa swoje możliwości.*

Holkar zaczął odsuwać zasłonę przy wejściu do namiotu. Ponowna sekwencja wybuchów sprawiła, że znów się zatrzymał i spojrzął za siebie. Przez chwilę jego twarz uczonego skurczyła się, przypominając oblicze gargulca – tak bardzo nienawidził Malawian i wszystkich ich wynalazków.

Ale w pobliżu nie było żadnych malawiańskich szpiegów, którzy mogliby zobaczyć jego twarz. Szpiedzy szybko się nauczyli, że niekończące się sprzeczki, dotyczące kobiet, pomiędzy obcymi a kuszańską eskortą nieodmiennie kończyły się nagłymi bijatykami, w których, co dziwne, najbardziej obrywali nie sami zainteresowani, ale ciekawscy podpatrujący walkę. W pierwszych dniach, kiedy obcy przybysze rozstawiali namioty, dwaj malawiańscy szpiedzy zostali przypadkowo wciągnięci w taką nagłą sprzeczkę. Po tym zdarzeniu kolejni szpiedzy trzymali się w pewnej odległości od przybyszów i starali się przynosić swoim panom jak najmniej interesujących wieści, żeby nie zmuszano ich do zmniejszenia tego dystansu.

Niewolnik odsunął zasłonę przy wejściu i wszedł do namiotu. Zobaczył swojego pana skulonego na macie, wpatzonego w nicość i mrużącego słowa tak cicho, że nie dawało się ich zrozumieć.

Nienawiść znikła. Zastąpiło ją najpierw oddanie swojemu panu. A potem oddanie celowi pana, które w końcu zamieniło się po prostu w oddanie, gdyż niewolnik zamknął za sobą diabelski świat Malawian i wstąpił do namiotu, gdzie królowała boska aura.

Ukląkł do modlitwy. Modlił się po cichu, bo nie chciał przeszkadzać swojemu panu. Ale mimo to jego modły były bardzo gwałtowne.

Mieszkańcy wielu zakątków ogromnego kraju, jakim są Indie, także modlili się tej nocy. Były ich miliony.

Dwieście tysięcy mieszkańców modliło się w mieście Ranapur. Przede wszystkim modlili się o uwolnienie spod panowania Malawy. A potem, wiedząc, że wybawienie nie nadejdzie, modlili się, żeby nie utracić swoich dusz, mimo utraty ciał, które pójdą na pożarcie przez asuryjskie psy.

Kiedy Holkar wznosił modły do bogów, modliła się także jego rodzina, chociaż on o tym nie wiedział. Jego żona, daleko w domu szlachcica w stolicy Malawy, Kausambi, kuliła się na własnej macie w rogu wielkiej kuchni, gdzie spędzała całe dnie, harując w pocie czoła i modląc się o bezpieczeństwo męża. Jego syn, ściśnięty pomiędzy tuzinem innych niewolniczych pracowników, leżących na ubitej ziemi w chałupie w dalekim Biharze, modlił się o to, aby Bóg dał mu siłę i pozwolił przetrwać jeszcze jeden dzień na polach. Jego dwie córki, przytulając się do siebie w ciasnym łóżku w niewolniczym burdelu w Pataliputrze, modliły się, żeby sutenerzy nie rozdzielali ich i pozwolili przepracować jeszcze jeden dzień razem.

Z tych milionów w całych Indiach, wielu, podobnie jak Holkar, modliło się o nadejście dziesiątego awatara[4], który został im obiecany. Modlili się o Kalkina[5] który nadejdzie pewnego dnia i uwolni ich od malawiańskich demonów.

Ich modlitwy, podobnie jak Holkara, były bardzo żarliwe.

Ale modły Holkara, w odróżnieniu od pozostałych, nie były tylko i wyłącznie żarliwe. Były także radosne. Ponieważ on, jako jedyny w Indiach wiedział, że jego prośby zostały wysłuchane. Wiedział, że dzieli swój namiot z dziesiątym awatarem. Wiedział, że nie dalej niż dwa metry od niego znajduje się Kalkin przelewający swoją duszę w naczynie, które będzie zbawieniem dla świata. W ten dziwny, pokręcony, sprytny umysł mangusty, należący do jego zagranicznego pana.

### Rozdział 3

*Słońce praży niemiłosiernie ziemię, która wygląda jak wyjęta z nocnego koszmaru. Kiedyś były tutaj pola i sady. Teraz ziemię przecinają głębokie rozpadliny – nie rośnie tutaj nic, z wyjątkiem kilku nędznych pokurczonych drzew, garstki połamanych kłosów i pojedynczej łodygi kukurydzy.*

- Gdzie jesteśmy? – zapytał Belizariusz. Mówił cichym głosem. Oczy miał zamknięte, żeby lepiej skoncentrować się na obrazach pojawiających się w jego głowie. – I kiedy?

**Blisko miejsca nazywanego Kursk**, odparł Doradca. Płaszczyzny zawirowały zaledwie przez mikrosekundę, tłumacząc krystaliczną precyzję umiejscowienia w czasie na pojęcia przyswajalne dla ludzkiego umysłu i zrozumiałe daty. **Półtora tysiąca lat od chwili obecnej.**

*Linia potworów wpada na pole bitwy. Gigantyczne maszyny rozrywają ziemię dziwnymi taśmami z metalowymi zębami na toczących się kołach. Z kopuł wystają metalowe ryje. Wydobywa się z nich ogień i dym. Na bokach maszyn widnieją emblematy – krzyże – niektóre kwadratowe o podwójnych liniach, inne z zagiętymi końcami.*

- Metalowe słonie – wyszeptał Belizariusz. – Podobne do tych, jakie zbudują Malawianie, ale... o ile lepsze!

**Czołgi. Będą je nazywać czołgami. Akurat ten typ nazwą PzKw V „Pantera”. Będą osiągać masę czterdziestu pięciu ton i poruszać się z prędkością do pięćdziesięciu kilometrów na godzinę. Strzelają pociskami, których kaliber zostanie kiedyś określony jako siedemdziesiąt pięć milimetrów.**

*Z drugiej strony pola rusza naprzód kolejna linia potworów..., nie – czołgów. Ostrzeliwiają tamte czołgi, a one odpowiadają im tym samym.*

Belizariusz wyczuwał, że te nowe czołgi nieco się różnią od pierwszych, ale jedyna wyraźna różnica, jaką dostrzegały jego niedoświadczone i nienauczone oczy dotyczyła emblematów. Te czołgi zamiast krzyża miały na boku czerwoną gwiazdę.

**To najlepsze czołgi, jakie będą wtedy produkowane. Będą je nazywać T-34.**

Bitwa była potworna, ale jednocześnie olśniewająca.

Potworna ze względu na jej destrukcyjną siłę. Belizariusz widział, jak kopuła czołgu...

**Wieżyczka.**

*...wieżyczka czołgu wybuchła. Tony metalu mknę w powietrze – czołg wygląda niczym człowiek pozbawiony głowy. Metalowy staje w płomieniach i Belizariusz zdał sobie sprawę, że ludzie siedzący w środku nie mają już szans. Widział mężczyzn wydostających się z innego płonącego czołgu, wrzeszczących, kiedy ich mundury zajmowały się ogniem. Widział, jak umierają, jakby nagle ścięci niewidzialną kosą.*

**Ogień maszynowy.**

*Olśniewająca, gdyż czołgi poruszały się tak szybko i tak dokładnie eliminowały przeciwnika. To było jak obraz świętego Jerzego walczącego ze smokiem, z jednym tylko wyjątkiem – sam święty też był smokiem, a jego lanca magiczną różdżką, plującą ogniem i zniszczeniem.*

- Jak?

Obrazy skomplikowanych... maszyn?

## **Maszyny oparte na kontrolowanym spalaniu.**

*Obrazy precyzyjnych metalowych rur... to lufy dział – zdał sobie sprawę Belizariusz. Patrzył, jak do jednej z luf wprowadzono jakiś przedmiot. Pasował doskonale. Zastanawiał się, co to jest, aż zobaczył, jak działo strzela. Ta kula armatnia, pocisk – zauważył ze zdumieniem... – nie miał kształtu kuli. To był cylinder tępo zakończony jak kopułka.*

- Jak można tak precyzyjnie obrabiać metal?

Był teraz wewnątrz wielkiego budynku. Domyślił się, że to rodzaj fabryki. Wszędzie widział pręty i sztaby żelaza kształtowane i przycinane z niezwykłą szybkością i precyzją. Rozpoznał jedną z maszyn jako tokarkę, podobną do urządzeń, używanych przez doświadczonych stolarzy do kształtowania drewnianych nóg stołów i krzeseł. Ale ta tokarka była znacznie większa i daleko bardziej potężna. Te tokarki, które znał, napędzane były siłą ludzkich mięśni – to noga naciskała na pedał. Żadne z tych urządzeń nie byłoby w stanie tak strugać metalu, nawet brązu. Patrzył, jak strumień żelaznych struzyn spada z pracującej tokarki niczym wodosпад.

Innych maszyn w ogóle nie rozpoznawał.

**Pozioma wiertarko-frezarka. Pionowa tokarka rewolwerowa. Stacjonarna wiertarka radialna.**

- To niemożliwe – stwierdził stanowczo generał. – Nie da się zrobić takich maszyn. Nie tymi środkami, którymi dysponujemy. Musielibyśmy zrobić maszyny, które zrobią inne maszyny, żeby one zrobiły jeszcze inne maszyny, które w końcu zrobią te maszyny. Nie mamy na to czasu.

Fasety – zmieszane – zadrżały przez mgnienie oka. Krystaliczna inteligencja, która nazywała siebie Doradcą, postrzegała rzeczywistość w zupełnie inny sposób niż ludzie. Logika wynikająca ze stwierdzenia Belizariusza była dla klejnotu obca. Tam, gdzie człowiek widział skomplikowane sekwencje przyczynowo-skutkowe, Doradca widział chwalebny kalejdoskop wieczności.

## **Malawianie będą mieć czołgi.**

Myśl niosła ze sobą ładunek żalu. Belizariusz uśmiechnął się lekko. Głos przypominał mu narzekanie małego dziecka, że chłopak z sąsiedztwa ma piękną nową zabawkę, więc dlaczego ono nie może mieć takiej samej.

- Czołgi Malawian są zupełnie inne. Nie są wykonane w taki sam sposób, takimi... – Szukał słów, żeby opisać tę rzeczywistość, której nigdy sam nie doświadczył, nazwać przedmioty, których nigdy w życiu nie widział.

Doradca wypełnił pustkę. **Precyzyjne maszyny. Produkcja masowa.**

- Tak. Malawianie nie stosują tych metod. Pracują takimi samymi prymitywnymi narzędziami jak my, Rzymianie. Zatrudniają rzemieślników i majstrów.

## **Nie rozumiem.**

Belizariusz westchnął. Mimo całej błyskotliwej inteligencji Doradcy, jego dziwna mentalność często gubiła się w prostych ludzkich realiach.

- Każdy z czołgów Malawian, tych czołgów, które zrobią w przyszłości, będzie unikatowy

i jedyny w swoim rodzaju. Zrobiony ręcznie. Produkt powolnej, starannej pracy. Malawianie mogą sobie pozwolić na takie działania, bo mają ogromne zaplecze. Grecy rzemieślnicy są doskonali, ale nie aż tak. Nigdy nie będziemy w stanie dorównać Malawianom, jeżeli zajmiemy się tylko kopiowaniem ich wynalazków. Musimy mieć własne pomysły i zacząć je realizować.

Generał uczynił krótki gest dłonią, jakby coś przecinał.

- Zapomnij o czołgach. Pokaż mi więcej obrazów z bitwy. To przecież nie mogła być tylko... hmm, raczej nie będzie mogła być tylko potyczka czołgów.

*Kalejdoskop obrazów. Piechota w rowach – żołnierze strzelają z ręcznych dział i rzucają granaty. Linia dział ukryta w cieniu drzew, plująca ogniem. Dziwaczny metalowo-szklany wóz zatrzymuje się gwałtownie. Nie ma żadnego konia, który by go ciągnął i żadnego konia, żeby go zatrzymał. Na wozie stojak z cylindrami. Nagle stojak pluje ogniem i cały pęk rakiet leci do góry. Inny...*

- Zatrzymaj! Tam... skoncentruj się na tamtym! Na wozie z rakietami.

*I znowu wóz. Belizariusz teraz widzi, że na oszklonym przodzie wozu siedzi jakiś mężczyzna. Inni ludzie wkładają rakiety do cylindrów. Cylindry stoją na płaskim tyle wozu i mierzą w niebo. Znowu, cylindry plują ogniem. Znowu w niebo mkną rakiety.*

- Co to jest?

**Będą je nazywać katiuszami. To ośmioszynowe wyrzutnie raketowe do pocisków o kalibrze sto trzydzieści dwa milimetry zamocowane na wozie, który będzie nazywany ciągnikiem sześciokołowym.**

- Tak. Tak. To jest do zrobienia.

Myśl, która teraz nadeszła ze strony Doradcy, zawierała coś znacznie silniejszego niż tylko ślad zniecierpliwienia.

**Dlaczego niby to jest możliwe, a czołgi nie? Oba urządzenia są wykonane za pomocą tych samych maszyn, które, jak twierdzisz, są nie do zrobienia. To sprzeczność.**

- Mylisz te... ciężarówki?... z rakietami. To dwie różne rzeczy. Nie jesteśmy w stanie zrobić ciężarówki, ale możemy wykonać rakiety. Nie takie dobre, jak w wizji, ale wystarczające. A potem możemy zastąpić czymś podobnym te... – Przerwał, przypominając sobie obce słowa i nieznane określenia.

**Wyrzutnie raketowe.**

- Tak. Dokładnie tak.

Belizariusz wyprostował plecy i ramiona, przeciągając się. Ruch lekko rozproszył jego koncentrację. Zobaczył Dadadzi Holkara klęczącego na swojej macie, zatopionego w cichej

modlitwie. Niewolnik podniósł głowę. Holkar i Belizariusz patrzyli na siebie w milczeniu przez krótką chwilę, a potem niewolnik opuścił z powrotem głowę i podjął modlitwę. Mimo powagi sytuacji i uroczystej postawy niewolnika, Belizariusza zdumiał delikatny uśmiech na jego twarzy. Nigdy nie rozmawiał z Holkarem na temat Doradcy, ale wiedział, że Maratha sam potrafi wyciągać wnioski ze swoich obserwacji. Wnioski, Belizariusz był pewien, które zapewne niewiele odbiegały od prawdy.

Belizariusz zamknął oczy i powrócił do przerwane zadania.

- Pokazujesz mi rzeczy, które są zbyt skomplikowane i trudne do wykonania takimi środkami, jakimi dysponuję – wyszeptał. – Musimy się ograniczyć do najprostszyc rzeczy. Najprostszyc z możliwych. Przynajmniej przez kilka następnyc lat.

Ze strony Doradcy poczuł rozdrażnienie. Zobaczył kolejną wizję.

*Przez las skrada się mężczyzna – przygarbiony, brudny, odziany w byle jak wyprawione zwierzęce skóry. W ręku ściska toporek. Ostrze broni jest wykonane z prymitywnie obrobionego kamienia i przymocowane niezdarnie do drewnianego trzonka za pomocą surowego rzemienia.*

Belizariusz zachichotał.

- Myślę, że jesteśmy w stanie poradzić sobie z czymś więcej niż to, Doradco. W końcu jesteśmy cywilizowanymi ludźmi.

I znów rozdrażnienie. Ponowna wizja.

*Mężczyzna stojący w rydwanie. Ubrany w błyszczącą zbroję z brązu – napierśnik, naramienniki. Piękny, zdobiony hełm, zwieńczony końskim ogonem, osłania jego głowę. Na lewym przedramieniu ma dużą, okrągłą tarczę. W prawej ręce dzierży włócznię. Rydwan jest małym pojazdem opartym na jednej tylko osi, ciągną go dwa konie. Tył rydwanu jest otwarty. Poza uzbrojonym wojownikiem w pojeździe jest miejsce tylko dla woźnicy, który kieruje wyścigowymi końmi, podczas gdy włócznik koncentruje się na nacierającym wrogu.*

Belizariusz zaczął się lekko śmiać. Doradca ciągle się dąsał. Obraz, mimo całej swej przejrzystości, pokazywał przecież żartobliwą imitację nieistniejącego, legendarnego bohatera. To był Achilles pod murami Troi.

Ale potem, całkiem nagle, śmiech ucichł.

- Tak! – wyszczał Belizariusz. – Rydwany!

Teraz śmiał się już na cały głos.

- Matko Boska! Nikt nie używa już rydwanów, od stuleci nie ma ich na polach bitew! Ale z raketami... i po kilku przeróbkach...

Płaszczyzny zamigotały, przekształciły się, zadrżały, zatańczyły, a wszystko to w ułamku sekundy. Klejnot próbował podążyć tropem kluczących myśli generała. Sekwencje obrazów wybuchły w kalejdoskopie barw. Doradca błyskawicznie zaprowadził wśród nich porządek. Powstał nowy obraz, rezultat wizji kryształu i ludzkich pomysłów.

*Inny rydwan. Trochę dłuższy i szerszy. Także oparty na jednej osi, także otwarty z tyłu. Znowu jeden woźnica trzyma wodze. Ale teraz wojownik, który mu towarzyszy nosi tylko lekką zbroję*

*z utwardzanej skóry i nie ma broni z wyjątkiem krótkiego miecza zatkniętego w pochwie za pas. Nie jest włócznikiem, ale artylerzystą. Na środku rydwanu wznosi się platforma, wysoka na około półtora metra. Na szczycie platformy, umieszczono pęk sześciu cylindrów, połączonych obrotowo i zebranych trójkami w dwóch rzędach. Wojownik mierzy z wyrzutni przed siebie w kierunku armii wroga, nacierającej w odległości około stu metrów. Woła ostrzegawczo. On i woźnica kucają. Artylerzysta podpala lont, żeby wypuścić rakiety. Chwilę później pół tuzina rakiet z sykiem mknie w kierunku nadchodzącej armii.*

*Woźnica zawraca konie i ucieka. Inni woźnice powtarzają jego manewr. W ciągu niecałej minuty oddziały wroga zostają zasypane deszczem rakiet. Pociski nie są zbyt celne, ale ich liczebność i sposób, w jaki wybuchają, niweluje tę niedogodność.*

**Głowice rozpryskowe,** nadeszła myśl od Doradcy. Tym razem myśl była przepelniona satysfakcją. **Szrapnele.**

Belizariusz, wzdychając, opadł ciężko na plecy. Potarł zmęczone oczy.

- Tak, tutaj jest jakaś nadzieja. – Podrapał się po brodzie. – Ale te... katusze... sprawdzą się tylko na równinach. W górach będziemy potrzebować czegoś innego. Czegoś, co mały oddziałek ludzi może nieść na własnych plecach i co może być odpalane w skalistym terenie.

Fasety zadrżały z podniecenia.

**Moździerze.**

Belizariusz otworzył szeroko oczy.

- Pokaż mi – rozkazał.

Kątem oka dostrzegł niewielki ruch. Marathański niewolnik skończył pacierze i kładł się właśnie na swojej macie, przygotowując się do snu. Nie mógł widzieć jego twarzy, bo odwrócony był do niego tyłem. Belizariusz przerwał na chwilę swoją rozmowę z Doradcą i poświęcił chwilę czasu na kontemplowanie postaci Dadadzi Holkara.

Doradca nie miał nic przeciwko temu, ani nie przerywał. Klejnot nie rozumiał zbyt dobrze wielu rzeczy, które dotyczyły ludzkości. Nie rozumiał ludzi, tym bardziej nie pojmował Belizariusza. Belizariusza, jedyne spośród ludzi z antycznej przeszłości, którego kryształy uznały za klucz do ocalenia swojej przyszłości. To oni dokonali tego wyboru, ale doradzali im Wielcy.

*Znajdźcie generała, który nie jest wojownikiem.*

Belizariusz był wielkim generałem.

Doradca uczył się, co oznacza to dziwne pojęcie. Uczył się powoli, z trudem szukając sensu po omacku.

Belizariusz był człowiekiem. Najdziwniejszą istotą, z jaką Doradca zetknął się do tej pory.

Więc Doradca czekał cierpliwie. Czekał, aż przeminie smutek człowieka rozmyślającego nad cierpieniem jego sługi. Czekał cierpliwie nie dlatego, że rozumiał rozpacz, ale dlatego, że znał przyszłość. I wiedział, że jego własna przyszłość zostanie uratowana nie przez broń, którą pokazywał generałowi, ale przez naturę tego człowieka.

Chwila minęła. Człowiek zniknął w oddali.

- Pokaż mi – rozkazał generał.

KONSTANTYNOPOL

## Rozdział 4

- Czy jesteś pewna? – zapytała z naciskiem Teodora. – Nie ma żadnej pomyłki?

Siedząca na swoim luksusowym krześle imperatorowa Rzymu pochyliła się do przodu. Wyraz jej twarzy świadczył tylko o tym, że z napięciem oczekuje odpowiedzi. Ale kostki dłoni ściskających poręcze krzesła były białe jak śnieg, a ścięgna na szyi napięły się jak struny.

Irena odważnie wytrzymała spojrzenie ciemnych oczu.

- Jestem pewna, Wasza Wysokość. Spotkałam się z Narsesem twarzą w twarz zaledwie trzykrotnie, ale znam go całkiem dobrze. Od wielu lat przyglądam się temu człowiekowi, tak jak profesjonalista i ewentualny współzawodnik studiuje swojego rywala. Nie ma możliwości, żebym go nie rozpoznała, jeżeli nie jest przebrany za kogoś innego. Ani on mnie – jeżeli już o to chodzi – dlatego właśnie podjęłam tak skomplikowane kroki, żeby ukryć się przed jego wzrokiem.

Teodora przeniosła swoje przeszywające spojrzenie na Hermogenesa. Młody generał skrzywił się i wzruszył ramionami.

- Nie mogę za to ręczyć, Wasza Wysokość. Nigdy nie spotkałem osobiście Narsesa. – Wziął głęboki oddech. – Ale znam Irenę i jeżeli ona mówi, że to był Narses...

Imperatorowa uciszyła go gwałtownym gestem dłoni. Swoje czarne oczy zwróciła teraz na Maurycego.

- To był Narses – warknął Maurycy. – Spotkałem go już wiele razy, imperatorowo, podczas służby u mojego pana, Belizariusza. Oczywiście, nigdy nas sobie nie przedstawiono i wątpię, czy on by mnie rozpoznał. Ale jego wygląd jest bardzo charakterystyczny. Poznałbym go wszędzie, o ile nie byłby w przebraniu i nie było zupełnie ciemno. – Siwowłosy weteran zaczerpnął głęboko powietrza. – Ten człowiek nie był przebrany. Zarówno jego twarz, jak i cała sylwetka były doskonale widoczne, kiedy wychodził z willi, w której mieszka Balban, i gdy czekał na swoją lektykę. I światło było wystarczająco dobre, księżyc w drugiej kwadrze na czystym niebie.

Imperatorowa odwróciła wzrok. Z wyrazu jej twarzy nadal nie można było nic wyczytać.

- Możliwe, że on prowadzi podwójną grę – powiedziała niepewnie Irena. – Po prostu próbuje zmylić tych zdrajców, zanim...

Imperatorowa pokręciła głową w sposób gwałtowny i definitywny.

- Nie. Nie rozumiesz tego, Ireno. Narses i ja byliśmy bliskimi... bardzo bliskimi przyjaciółmi przez wiele lat. Gdyby podejrzewał zdradę i chciał, żeby ujrzała światło dzienne, powiedziałby mi o tym. Jest tylko jedno wytłumaczenie, usprawiedliwiające jego obecność na tamtym spotkaniu.



Odwróciła się, podniosła wyniosłe głowę i popatrzyła z góry na Maurycego i Hermogenesa.

- Dziękuję wam, panowie – powiedziała. Jej głos był zimny, może trochę zdławiony. Ale tylko trochę, nie więcej. Imperatorowa lekko odwróciła głowę, wpatrując się w ścianę.
- A teraz proszę, opuście nas. Chcę zostać sama z Antoniną i Ireną.

Przebywający w pokoju dwaj mężczyźni wyszli natychmiast. Kiedy zamknęli za sobą drzwi, popatrzyli na siebie i odetchnęli z ulgą.

- Niech teraz kobiety się nią zajmą – wymamrotał Maurycy. Pomaszerował korytarzem w kierunku wyjścia, mimo że Hermogenes nadeptywał mu na pięty, nie starając się ani odrobinę złagodzić impetu, z jakim stawiał stopy na posadzce.

\* \* \*

W pokoju imperatorowa wpatrywała się tępo w ścianę, zachowując wyćwiczoną wyniosłą postawę dopóty, dopóki odgłos kroków odchodzących żołnierzy całkowicie nie zmieszał się z szumem pałacowego gwaru. A potem gwałtownie się załamała, ale nie jak źdźbło, tylko jak kruszący się głaz. Zanim jeszcze na twarzy władczyni pokazała się pierwsza łza, Antonina zerwała się z krzesła i przycisnęła jej głowę do swojego brzucha. Imperatorowa łkając przytuliła się kurczowo do Antoniny i ukryła twarz w fałdach jej sukni. Tiara na jej głowie zsunęła się do tyłu, pociągając za sobą włosy i burząc misterną fryzurę.

Irena pozostała na swoim krześle. Na jej twarzy także malowało się cierpienie. Kiedy wstała, chcąc podejść do Antoniny, żona Belizariusza powstrzymała ją spojrzeniem i delikatnym potrząśnięciem głowy.

Irena, zrozumiawszy, o co chodzi, usiadła z powrotem. To zrozumienie z kolei wywołało u niej strach i poczucie niebezpieczeństwa.

Strach. Strach podobny do tego uczucia, jaki ogarnia doświadczony żeglarz, który wyczuwa, że pod powierzchnią morza kryją się niebezpieczne skały i zdradliwe prądy.

Irena Macrembolitissa była jednym z najlepszych i najbardziej doświadczonych szpiegów w Imperium Rzymskim. I także jednym z najlepszych intrygantów i spiskowców, w czasach, kiedy intrygi i spiski były tak istotne i tak doskonałe, że w przyszłości zapiszą się w historii świata jako bizantyjskie.

Żeglowała teraz po niebezpiecznych wodach. Ludzi, którzy widzieli imperatorową Teodorę w podobnym stanie można było policzyć na palcach jednej ręki. Taka sytuacja była jednocześnie przywilejem i śmiertelnym niebezpieczeństwem.

Po mniej więcej minucie, łkania powoli ustały. Irena zauważyła mimowolnie, w sposób typowy dla szpiega, że pomimo wielkiego ładunku goryczy i bólu, płacz imperatorowej był prawie bezgłośny. Teodora nigdy by sobie nie pozwoliła na głośny lament. Podobnie jak każda kobieta, mogła mieć złamane serce. Ale jej serce było małe i twarde – jak z kamienia. Jego rany goiły się bardzo szybko, pozostawiając jedynie kolejne blizny.

Kiedy tylko płacz ustał, imperatorowa odwróciła twarz od sukni Antoniny i przygwoździła Irenę przenikliwym wzrokiem. Kobieta skuliła się na krześle – siedziała nieruchomo, zmrożona spojrzeniem dwojga czarnych, zimnych oczu. Czowała się jak zając, który na próżno próbuje umknąć przed wzrokiem jastrzębia.

- Powiedz mi, Antonino – zażądała Teodora. W jej głosie ciągle słychać było nutę cierpienia,

ale nie była aż tak mocna, ton stał się zimny i mroczny.

- To moja dobra przyjaciółka, Teodoro – powiedziała Antonina, a jej głos, chociaż łagodny, był jeszcze bardziej zimny. – Kocham ją tak bardzo, jak jej ufam.

Zapanowała cisza. Irenie wydawało się, że milczenie trwa już co najmniej kilka godzin. Ale w rzeczywistości nie minęło nawet pół minuty i Teodora wypuściła z objęć Antoninę.

- Dobrze i to – wymamrotała. Imperatorowa wzięła głęboki oddech i oparła się wygodnie na krześle. Jednakże w trakcie tych czynności, ani na chwilę nie spuszczała wzroku z Ireny. Na jej twarzy pojawił się uśmiech. Co prawda, nie był zbyt wesoły, ale Irena odkryła nagle, że znów może oddychać.

Teodora zaśmiała się. Ten śmiech zabrzmiał jak krakanie gawrona.

- Witaj w klubie starych dziwek, Ireno – wychrypiała. Majestatycznie zamachała dłonią. – Niniejszym czynię cię jego honorową członkinią.

Teodora wyciągnęła szyję, patrząc w górę na Antoninę. W końcu jakieś inne uczucie, odmienne od bólu, zagościło na jej twarzy.

- Dziękuję ci, Antonino – wyszeptała. – Jak zwykle.

Wyprostowała się i usiadła. Automatycznie, jakby chciała dodać sobie pewności siebie, sięgnęła dłonią do czoła i pomacała głowę w poszukiwaniu tiary. Obręcz przesunęła się do tyłu i imperatorowa usiłowała ustawić ją w prawidłowym położeniu. Niestety, wysiłek poszedł na marne, gdyż masa potarganych włosów całkowicie to uniemożliwiała.

- Och, do diabła z tym – wymamrotała Teodora. Zdjęła tiarę z głowy i położyła ją na podłodze obok krzesła.

W tym momencie Irena niemalże się roześmiała, widząc na twarzy Antoniny wyraz zaskoczenia. Bardzo często, od kiedy zaczęły się przyjaźnić, Antonina opowiadała jej o obsesji Teodory na punkcie insygniów władzy i ich poprawnego noszenia.

Imperatorowa ruchem ręki nakazała Antoninie, aby wróciła na swoje krzesło.

- Przejdźmy do ważniejszych spraw – rozkazała i zamilkła, czekając, aż jej przyjaciółka usiądzie.
- Po pierwsze, Antonino – kontynuowała, kiedy żona Belizariusza zajęła miejsce – będziesz dążyła do nawiązania kontaktu z tym Hindusem. Powiedz mi jeszcze raz, jak on się nazywa?
- Adzasutra.
- Tak... z tym Adzasutrą. Będzie usiłował przyłapać cię na wygłaszaniu jakichś zdradzieckich opinii, zdajesz sobie z tego sprawę?

Antonina kiwnęła głową.

- Oczywiście. I wtedy, zupełnie przypadkowo, znajdzie się jakiś świadek tej mojej zdrady. Może to będzie Jan z Kapadocji.

Irena potrząsnęła przecząco głową.

- To nie będzie on. Zbyt wielu ludzi mu nie dowierza, nawet gdy ten plugawy bękart twierdzi, że słońce wschodzi na wschodzie, a zachodzi na zachodzie. Nie, prawdopodobnie będzie to jeden... albo lepiej nawet dwóch duchownych. – Wzruszyła ramionami. – Albo ktokolwiek inny, kogo możemy nawet jeszcze nie znać.

Teodora naciskała dalej.

- To naprawdę bardzo ważne, żebyś dała im do zrozumienia, że możesz zdradzić Rzym, Antonino. To klucz, który sprawi, że otworzą się dla nas liczne drzwi. Tak długo, jak Malawianie będą myśleli, że coś na ciebie mają, będą ci ufać.

Antonina zachichotała.

- I ty to nazywasz zaufaniem?

Imperatorowa uśmiechnęła się.

- To właśnie jest rozumiane pod pojęciem zaufania na tym świecie. Na naszym świecie, obawiam się.
- To dobre jak złoto – wtrąciła się Irena. – A nawet lepsze. W żaden inny środek nacisku spiskowiec nie będzie wierzył bardziej, niż w zwykły szantaż.

Antonina skrzywiła się lekko z niesmakiem.

- A potem co? – zapytała.

Teodora wzruszyła ramionami.

- Zobaczymy. Kiedy Malawianie już się upewnią, że mogą tobą manipulować używając szantażu, zażądają od ciebie pewnych usług. Prawdopodobnie będą chcieli, żebyś im przekazywała jakieś tajne informacje. Kiedy się dowiemy, jakich informacji potrzebują, upewnimy się, co jest dla nich naprawdę ważne.

Antonina przez moment zastanawiała się nad słowami imperatorowej.

- To ma jakiś sens – powiedziała. – Niech tak będzie – zgodziła się, posyłając Teodorze łagodne spojrzenie.

Imperatorowa wytrzymała jej wzrok. Przez dłuższą chwilę nie padły żadne słowa. Kiedy Teodora odwróciła oczy, Irena zauważyła, że na jej twarz powróciły już normalne kolory.

- Dziękuję ci Antonino – wyszeptała Teodora. – Po raz kolejny.

Na początku intensywność, z jaką wypowiedziano te słowa, uderzyła Irenę. Jednakże szybko

zdała sobie sprawę, co się właśnie stało. Kiedy tylko ta myśl przyszła jej do głowy, zwróciła swoje przenikliwe spojrzenie na Antoninę.

Z twarzy egipskiej kobiety nie można było nic wyczytać – gładka oliwkowa skóra, ciemne włosy i zielone oczy, które nie wyrażały żadnych emocji.

W ciągu kilku miesięcy, odkąd pierwszy raz zetknęła się z Antoniną, Irena często była pod wrażeniem tej kobiety. Ale nigdy to wrażenie nie było tak silne, jak w tej chwili.

Cichy śmiech Teodory przyciągnął uwagę Ireny. Ku swojemu zdumieniu zobaczyła, że imperatorowa przygląda się jej z uwagą.

- Dobrze, Ireno. Widzę, że rozumiałaś. A tym samym weszłaś do nielicznego grona tych, którzy rozumieją.

Irena wydeła policzki.

- Niewiele kobiet zdecydowałoby się na obciążenie własnej osoby zarzutem zdrady na rzecz imperatorowej, której mąż, jak głosi plotka o mocnej podstawie, próbuje zabić męża tej pierwszej. I robi to bez zadawania pytań. To raczej odmienny rodzaj zaufania od tego, z jakim zazwyczaj się spotykam.
- I z jakim zazwyczaj wszyscy się spotykają – odparła Teodora. Przez chwilę jej usta zacisnęły się gniewnie. – Jestem pewna, że słyszałaś, skąd się wywodzi nasza przyjaźń. Wiesz, że w rzeczywistości obie pracowałyśmy kiedyś jako kurwy w Aleksandrii? My, kobiety z nizin społecznych, musimy sobie ufać – tak przynajmniej mawiają.

Irena przytaknęła.

- Też o tym słyszałam.
- Idiotka – syknęła Teodora. – Znam, a przynajmniej znałam, tysiące aleksandryjskich dziwek, które za nędzne dwa denary poderznęłyby gardło własnej siostrze.
- Jesteś niesprawiedliwa Teodoro – wymamrotała Antonina. – Może kurwy z Antiochii tak. Ale żadna szanująca się egipska dziwka nie zrobiłaby tego za mniej niż jednego solida.

Teodora zaśmiała się chrapliwie. Imperatorowa pochyliła się do przodu na krześle i uderzyła dłońmi o kolana.

- Chcę, żebyś szpiegowała dla mnie, Ireno.

Teodora poprawnie zinterpretowała wyraz lekkiego zawahania na twarzy kobiety i lekceważąco zamachała dłonią, jakby odpychając coś na bok.

- Załatwię to z Sitasem. On nie potrzebuje twoich usług tak bardzo jak ja. I ja zapłacę ci więcej niż on. Może on jest bogaty, ale ja jeszcze bardziej. I, w odróżnieniu od Sitas, nie jestem kutwą.

Irena zaśmiała się, omiatając wzrokiem pokój urządzonej z wielkim przepychem.

- Rzeczywiście nie jesteś!

Kiedy tydzień temu Irena przyszła do Teodory z oskarżeniami pod adresem Narsesa i z planem, jak złapać go podczas zebrania wrogów tronu, imperatorowa nabyła tę willę, w której właśnie siedziały, żeby służyła ich celom. Po prostu... ją kupiła. Tak jak pani domu kupuje na targu warzywa od ulicznego przekupnia.

Irena potrząsnęła przecząco głową.

- To nie ma żadnego sensu, Teodoro. Mogę być twoim szpiegiem, poprzestając na oficjalnym wynagrodzeniu od Sitasa. Tak będzie znacznie lepiej. Pieniądze zostawiają ślad, który najłatwiej jest wytropić. Jeżeli ty będziesz mi płacić, nawet w tajemnicy, ktoś prędzej czy później się o tym dowie.
- Te same zastrzeżenia można mieć do twojej posady u Sitasa – zaprzeczyła imperatorowa. – A nawet większe. Jestem pewna, że moje zabezpieczenia są dużo lepsze niż Sitasa.

Irena wzruszyła ramionami.

- Więc cóż z tego? Niech nasi wrogowie się dowiedzą, że jestem szpiegiem Sitasa. Zresztą jestem pewna, że już dawno o tym wiedzą. I dobrze. Wspaniale. Niech sobie tak myślą. Sitasa raczej się nie obawiają. To tylko tłusty generał, który nienawidzi pałacowej służby w Konstantynopolu. Utknął gdzieś tam na zadupiu, w Syrii. Dobry w swoim fachu, ale leniwy i bez ambicji.

Teodora w zamyśleniu przeczesła palcami swoją wymyślną fryzurę. Prawie natychmiast jej palce utknęły w tej niewyobrażalnej plątaniu. Nagle imperatorowa gwałtownie wcisnęła palce pomiędzy pasma włosów i wyciągnęła szpilki, pozwalając włosom opaść swobodnie. Długie, czarne sploty opadły na jej ramiona. Włosy, teraz widoczne w pełnej krasie, były bardzo piękne.

- Boże, od dawna miałam na to ochotę!

Kobiety znowu się zaśmiały. Ale to był bardzo krótki moment beztroski.

Teodora kiwnęła potakująco głową.

- Masz rację. Cokolwiek planują, nie wydaje mi się, żeby ich intrygi dotyczyły armii bezpośrednio. Zauważyłam, że na tym dzisiejszym spotkaniu nie było żadnych wojskowych.
- Nie, nie było. Jestem prawie pewna, że kilku oficerów udało im się przekabacić, ale raczej niewielu. Jedyne z nich, który ma jakieś znaczenie to Egidius, dowódca armii w Bitynii. Nie jestem do końca pewna, ale wydaje mi się, że go mają. Oczywiście jest ich podwładnym, a nie prowodyrem.

Teodora nachmurzyła się.

- Nigdy nie lubiłam tego tłustego bydlaka. Boże, mój mąż ma strasznie kiepski gust, jeżeli chodzi o generałów!

Skinęła przepaszająco głową w kierunku Antoniny.

- Oczywiście z wyjątkiem Belizariusza. I Sitasa.

Imperatorowa znowu zatopiła palce w gęstych włosach, burząc doszczętnie i tak już zniszczoną fryzurę. Przyjemność, jaką czerpała z rozpuszczenia włosów, dawało się wyczuć w każdym jej ruchu, chociaż nie pozwoliło jej to uwolnić się całkowicie od niepokojących myśli.

- Czy to ci się nie wydaje dziwne, Ireno? Ten brak zainteresowania armią? Wszystkie inne zdradzieckie intrygi, o jakich jestem w stanie pamiętać, zawsze miały na celu wyniesienie armii nad imperatora. Zresztą z oczywistych przyczyn.
- Właściwie to bardzo sprytne z ich strony. Wiedzą, że Justynian będzie bardzo uważał na wojsko. Więc trzymają się od niego z daleka, przynajmniej na razie, wciskając swoje zatrute macki wszędzie indziej, gdzie tylko się da.
- Ale ciągle tego nie rozumiem. – Głos Teodory aż drżał ze zdenerwowania. – Rozumiem, co masz na myśli, ale... i co z tego? Jaki sens ma intrygowanie i spiskowanie, kiedy nie można osiągnąć celu, gdy przychodzi co do czego? A żeby osiągnąć cel, potrzebują siły, jaką da im armia. I to o wiele większej siły, niż posiada armia Bitynii. Co to za armia... marne dziesięć tysięcy. I to w najlepszym razie.
- Osiem tysięcy – podpowiedziała Irena. – Nie wystarczy, żeby przejąć władzę, ale można tą siłą zneutralizować lojalne jednostki. A już szczególnie, jeżeli te jednostki zdecydują się na stanie z boku i czekanie, aż opadnie pierwszy kurz. Na co zresztą, niestety, decyduje się większość oddziałów podczas wszelkiego rodzaju przewrotów pałacowych. – Irena chciała dodać coś jeszcze, ale nagle zamilkła. Rzuciła szybkie spojrzenie na Antoninę.

Teodorze ono nie umknęło.

- Wy dwie o czymś wiecie – oznajmiła.

Cisza.

- Powiedźcie mi. – Ten głos należał do imperatorowej, nie do Teodory.

Oczy Ireny spoczęły błagalnie na Antoninie; Antonina westchnęła.

- Powiem ci wszystko, Teodoro. Tu i teraz. Ale i tak mi nie uwierzysz.
- Powiedz mi.

\* \* \*

Kiedy Teodora opuszczała willę, Irena i Antonina towarzyszyły jej w drodze do lektyki czekającej na dziedzińcu. Po usadowieniu się w lektyce Teodora nachyliła się w kierunku stojących kobiet.

- Miałaś rację, Antonino – wyszeptała. – Nie wierzę ci. To absurd! Belizariusz ma talizman od boga? Posłańca z przyszłości?

Antonina wzruszyła ramionami.

- Nie wierzyłaś Irenie, kiedy powiedziała ci o Narsesie, prawda? Ale jednak tu przyszłaś, żeby osobiście się przekonać.

Dwie stare przyjaciółki przez chwilę patrzyły na siebie. Imperatorowa pierwsza odwróciła wzrok.

- Tak, nie wierzyłam i przysłam.

Odchyliła się do tyłu i oparła na miękkich poduszkach. Antonina ledwie widziała jej twarz w półmroku panującym we wnętrzu zabudowanej lektyki, ale nie mogła nie dostrzec grymasu na twarzy imperatorowej.

- Nienawidzę podróżować – zajęczała Teodora.

Westchnienie.

- Tak, Antonino. Zrobię to. Przyjadę do Daras i sama zobaczę. Tego lata.

Kolejne westchnienie.

- Nienawidzę Syrii w lecie.

Głębokie, królewskie westchnienie.

- Właściwie, jak się nad tym zastanowić, nienawidzę Syrii o każdej porze roku.

\* \* \*

Kiedy brama zamknęła się za oddalającą się lektyką, Antonina i Irena przez chwilę stały na dziedzińcu zachwycając się czystym nocnym niebem.

- Jedna rzecz mnie ciekawi, Antonino – powiedziała Irena.
- Co takiego?
- Nie do końca to rozumiem. No cóż, powiedzmy po prostu, że nie spodziewałam się aż tak gwałtownej reakcji Teodory na wieść o tym, że Narses, jeden z jej najbliższych doradców, jest zdrajcą, ale...
- Był kimś więcej, znacznie więcej, niż tylko doradcą, Ireno – odparła Antonina, potrząsając ze smutkiem głową. – Znacznie, znacznie więcej.

Niska Egipcjanka musiała spojrzeć do góry, żeby popatrzeć na swoją wysoką grecką przyjaciółkę.

- Jestem pewna, że słyszałaś już wszystkie historyjki dotyczące przeszłości Teodory?

Irena wzruszyła ramionami.

- Oczywiście. Co nie znaczy, że nie mam mieszanych uczuć co do ich prawdziwości. Ludzie zawsze szybko wymyślają...

Antonina potrząsnęła głową.

- Prawda jest taka, że te historie są w większości prawdziwe. A przynajmniej jeżeli chodzi o raporty o jej czynach.

Odwróciła wzrok, zaciskając szczęki.

- Podczas gdy kłamstwo leży w samej naturze tych czynów – dodała. – Teodora jako młoda dziewczyna była najwspanialszą dziwką, jaką udałoby ci się znaleźć. Jednak nigdy nie zaliczała się do rozwiązłych kurw. – Zaśmiała się cicho. Śmiech brzmiał bardziej jak chichot. – To właściwie ironia losu. Prosto myślący, szanowani i odpowiedzialni ludzie, kiedy porównują mnie z nią, są skłonni na mnie rzucać wszystkie najgorsze i najobrzydliwsze podejrzenia. To prawda, zanim poznałam Belizariusza, sprzedawałam swoje wdzięki za pieniądze. Ale tylko najstarszemu wybranym klientom, których i tak nie było wielu. Podczas gdy Teodora... – Jej głos nabrał szorstkich tonów. – Jeżeli już uprzesz się nas porównywać, wynik wypada raczej odwrotnie. To, co robiłam, robiłam z własnej woli i wyboru. Zresztą nie miałam zbyt dużego wyboru, zauważ, jako brudny i biedny dzieciak pętający się po ulicach Aleksandrii. Moja matka była dziwką, a ojciec woźnicą. Ale... mogę ci szczerze wyznać, że nikt mnie do tego nie zmuszał.

Wzięła głęboki oddech, a potem spojrzała swojej przyjaciółce prosto w oczy. Irena zamrugała.

- Nie jestem pewna, czy chcę usłyszeć dalszy ciąg.
- Sama pytałaś, kobieto. Teodora nigdy nie czerpała przyjemności ze swojej pracy i nigdy nie miała wyboru. Jej tatuś o aparycji wieprza zgwałcił ją, kiedy miała dziewięć lat, i sypiał z nią, aż skończyła dwanaście. Wtedy sprzedał ją sutenerowi, który był jeszcze gorszy. Ten śmierdzący...

Przerwała nagle, ucinając zdanie gestem dłoni.

- Nieważne. Cała ta historia przyprawia mnie o mdłości. – Wzięła kolejny głęboki oddech i długo wypuszczała powietrze z płuc. – Chodzi mi o to, Ireno, że Narses był dla Teodory prawie ojcem, a przynajmniej najbliższym jej człowiekiem – przypominał prawdziwego ojca, którego ta kobieta właściwie nie miała. Kiedy go po raz pierwszy spotkała, była po prostu młodą, biedną, ale ambitną dziewczyną, pomagającą swemu młodemu, biednemu, ale ambitnemu kochankowi, pokonywać kolejne szczeble kariery. Narses wziął ją pod swoje skrzydła i od tej pory jej pomagał. Czasami dawał pieniądze, czasami przekazywał poufne informacje, czasami przedstawiał ją ważnym i wpływowym osobistościom. Ale głównie pomagał jej w taki sposób, w jaki dobry ojciec wspiera córkę. Po prostu... ją uczył.

Przerwała na chwilę.

- Jestem pewna, że on tylko... – wtrąciła się Irena, korzystając z przerwy.

Antonina potrząsnęła przecząco głową.

- Nie. Nie. To zbyt oczywiste. Człowiek taki, jak Narses zawsze trzyma rękę na pulsie. Ale w tym wypadku nie chodziło o to. Uwierz mi, nie chodziło. Narses jest bardzo bystry, ale nie ma



takiej mocy jak Bóg wszechmogący. A w tamtych dniach tylko nasz Pan mógł wiedzieć, że Teodora w przyszłości stanie się imperatorką Cesarstwa Rzymskiego. Nawet ona i Justynian wtedy o tym nie wiedzieli. Nawet o tym nie myśleli.

Wzięła Irenę pod ramię i zaczęła powoli prowadzić ją w kierunku domu.

- Nie, wydaje mi się... wydaje mi się, że w jakiś sposób Narses widział w Teodorze dziecko, którego nigdy nie miał. Którego nigdy nie mógł mieć. Więc całe dziecięce zaufanie, jakie pozostało w dziewczynie, z zasady nie ufającej mężczyznom, przeniosło się na podstarzałego eunucha. A cała rodzicielska nadopiekuńczość, jaka tkwiła w starym człowieku, który nie mógł mieć dzieci, otoczyła młodą dziewczynę.

Zatrzymała się, próbując powstrzymać łzy. Popatrzyła zamglonym wzrokiem na niebo.

- Dobry Boże w niebiosach – wyszeptała. – Tak bardzo chciałam, żeby Narsesa nie było na tym zebraniu. Miałam nadzieję, że się mylisz, chociaż w głębi serca wiedziałam, że masz rację. – Wreszcie pozwoliła popłynąć łzom. – Teodora nigdy się z tego nie otrząśnie.
- Nie możesz być tego pewna – zaprzeczyła Irena. – W końcu ma jeszcze Justyniana.

Antonina potrząsnęła głową.

- Nie, Ireno. To nie to samo. Teodora kocha Justyniana, ale nigdy mu nie zaufa. Nie w taki sposób, w jaki ufała Narsesowi. – Otarła oczy. Ponownie złapała Irenę za ramię i zmusiła ją do opuszczenia dziedzińca. Teraz jej kroki były szybkie.
- Teodora jest twardsza niż stal – powiedziała, kiedy były trzy metry od drzwi wejściowych – i szczyści się tym, że nigdy nie popełnia tego samego błędu dwukrotnie. Nigdy już nie zaufa żadnemu mężczyźnie. Nieważne, kim on będzie. Nigdy.
- Boże, biedna kobieta – powiedziała smutno Irena, kiedy były niecałe dwa metry od drzwi.

W drzwiach Antonina zatrzymała się. Odwróciła się do przyjaciółki i spojrzała jej prosto w twarz. W jej pięknych zielonych oczach nie można było teraz dostrzec nawet śladu współczucia.

- Biedna kobieta? – zapytała z mocą. – Nigdy tak o niej nie myśl, Ireno. Daj Teodorze swoją miłość, jeżeli potrafisz. Ale nigdy nie myśl o tym, że możesz się nad nią litować. – Jej oczy przybrały teraz zieloną barwę egipskiej kobry. – Jeżeli czujesz, że historia o jej ojcu i sutenerze przyprawia cię o mdłości, to pozwól, że opowiem ci kiedyś, co im się przydarzyło później, po tym, jak Teodora zasiadła na tronie.

Irena poczuła, jak zaciska jej się gardło.

- Cokolwiek masz zamiar zrobić w przyszłości, nigdy nie wchodź w drogę tej biednej kobiecie. Lepiej już, zamiast tego, pójść do piekła i napluć szatanowi w twarz.

Weszła przez drzwi do środka budynku.

- Biedna kobieta – rzuciła jeszcze przez ramię do Ireny. Jej głos brzmiał jak syk węża.

Dwie godziny i wiele butelek wina później, Antonina opuściła głowę na oparcie sofy, na której siedziała, i popatrzyła na Irenę.

- Jedna rzecz mnie ciekawi, Ireno. – Mówiła w ten powolny, dokładny i precyzyjny sposób właściwy ludziom, u których taka uroczysta forma oznacza, że niebawem będą w stanie kompletnego zamroczenia alkoholem.
- Pytaj, o co chcesz! – rzuciła kobieta-szpieg, machając wielkopańsko ręką. Dopiero co opróżniona butelka wina, którą trzymała w ręku umniejszyła nieco majestatyczność tego gestu. Czknięcie, które nastąpiło potem umniejszyło go jeszcze bardziej.

Antonina wyszczerzyła zęby w uśmiechu, a potem spróbowała zebrać rozpięchłe myśli.

- Wszystko co powiedziałaś... – chciała zatoczyć uroczyście dłonią okrąg, niestety, gest został przerwany w połowie. – No, wcześniej, tego wieczora... kiedykolwiek... to miało sens.

Udało jej się powstrzymać czknięcie, więc spojrzała z triumfem na swoją przyjaciółkę.

- No, o tym pozostaniu na usługach Sitas – kontynuowała. – Ale... nie uległaś choć trochę pokusie? To znaczy, Teodora jest okropnie bogata. Przy niej Sitas wygląda jak żebrak. Naprawdę zapłaciłaby ci znacznie więcej. Znacznie więcej.

Irena wyciągnęła rękę, złapała się za oparcie sofy i powoli podciągnęła się do pozycji siedzącej. Próbowała skupić spojrzenie na przyjaciółce, ale próby okazały się bezskuteczne. Więc zadowolona się własnym, szerokim, triumfującym uśmiechem.

- Tak naprawdę nie rozumiesz mnie, moja droga przyjaciółko. A przynajmniej nie tutaj... nie w tej sprawie. Ty i Teodora dorastałyście... no wiesz, biedne. Pieniądze coś dla ciebie znaczą. Ja dorastałam w bogatej rodzinie... – Zatoczyła szeroki krąg ręką. Zbyt szeroki, niestety. Straciła równowagę, stoczyła się z sofy i upadła na kolana. Potem, śmiejąc się, wdrapała się z powrotem na sofę. Kiedy już siedziała, podniosła dumnie głowę, obwieszczając całemu wąpiącemu wszechświatowi, że wcale nie straciła wątku opowieści.
- ...więc uważam pieniądze za coś oczywistego. Prawda jest taka... – Powstrzymała beknięcie. Jej pochmurna twarz zdradzała toczącą się gorzką walkę z ogarniającymi ją falami alkoholowego upojenia.
- Prawda jest taka... prawda jest taka, że nie wydaję nawet połowy pieniędzy, jakie płaci mi Sitas. – Znów próba powstrzymania beknięcia, znów krótkie, urywane oddechy znamionujące przegrywaną bitwę.
- Osobiście. To znaczy – na siebie. Nie potrzebuję ich.

Zwycięska, wbrew wszelkim przewidywaniom, opadła na oparcie kanapy, wpatrując się tępo w jeden z wielu przepięknych gobelinów wiszących na przeciwległej ścianie. Tak naprawdę nie widziała go już zbyt dokładnie, ale wiedziała, że jest piękny. Niesamowicie wspaniały.

Jak to się często zdarza w podobnych sytuacjach, radosny triumf zamienił się w rzewne łzy.

- Największe znaczenie ma dla mnie fakt, że sama imperatorowa Rzymu chciała skorzystać z moich usług. To jest – czknięcie – dla mnie niesamowity zaszczyt i pochlebia mojej próżności, oczywiście. Ale to także oznacza, że mam teraz dostęp do samego źródła... do królewskich zasobów. Tajemnic.

Zakręciła palcem, niewielkim gestem obejmując całą otaczającą ją przestrzeń willi.

- Popatrz na to! To nic więcej, jak tylko cholerna klatka, na miłość boską.

Spojrzała na swoją przyjaciółkę, popatrzyła na gobelin, skoczyła na równe nogi i rozłożyła ramiona szerokim gestem czystej radości.

- O Boże, będę mieć tyle zabawy!

Antonina próbowała ją złapać, zanim upadnie, ale jedyne co jej się udało, to samej osunąć się na podłogę. Leżąc na brzuchu, z policzkiem przyciśniętym do parkietu, zdołała na tyle długo skoncentrować swoje spojrzenie na przyjaciółce, żeby się upewnić, że Irena nie jest mocno poobijana. Tylko, w końcu, okropnie pijana.

- Ta kobieta nie wie, kiedy przestać – wymamrotała do siebie, chociaż dla uważnego i podejrzliwego obserwatora słowo „przestać” mogłoby zabrzmieć bardziej jak chrapnięcie.

\* \* \*

- Chodź Hermogenesie, zanieśmy je do łóżka.

Maurycy bez trudu zarzucił sobie Antoninę na grube ramię i przeniósł ją przez drzwi. Szedł korytarzem, niosąc kobietę zupełnie bez wysiłku. Hermogenes poszedł za nim z równą łatwością. Irena była wyższa od Antoniny, ale raczej szczupła niż mocno zbudowana i nie ważyła nawet grama więcej.

Najpierw doszli do pokoju Antoniny. Maurycy odwrócił się, popchnął plecami drzwi i wszedł do środka. Położył Antoninę na jej łóżku. Podobnie jak wszystkie inne meble w willi, pościelenie to było wspaniałe. Bardzo pięknie wykonane, bardzo luksusowe i bardzo... wielkie.

Maurycy odwrócił się i spojrzał na Hermogenesa. Młody generał stał w drzwiach, tuląc Irenę w ramionach. Maurycy przynaglił go gestem.

- Wnieś ją tutaj, Hermogenesie. Możemy je równie dobrze ułożyć do snu razem.

Hermogenes wyraźnie się zawahał, patrząc na bezwładną, zwisającą głowę Ireny. Jego lekko zaciśnięte usta zdradzały wszystko – Hermogenes był rozczarowany.

- No chodź – zachichotał Maurycy. – Nie będziesz miał z niej pożytku tej nocy. Jeżeli położysz się z nią do jej łóżka, sam nie pośpisz ani chwili. Skończysz drzemiąc na kanapie. Będzie chrapała jak prosiak, chyba zdajesz sobie z tego sprawę tak samo dobrze, jak ja.

Hermogenes uśmiechnął się smutno i wniósł Irenę do pokoju. Delikatnie położył ją na łóżku obok Antoniny. Na ogromnym pościeleniu obie kobiety wyglądały jak dzieci.

- Nigdy wcześniej nie widziałem jej pijanej – powiedział Hermogenes cicho. W jego głosie nie było krytyki, tylko zaskoczenie i zdziwienie. – Nigdy nie widziałem jej nawet wstawionej.

Maurycy popatrzył na Irenę.

- Ona jest szpiegiem – powiedział Maurycy burkliwie. – I w dodatku grecką szlachcianką.

A potem popatrzył na Antoninę. To było długie, uporczywe i wnikliwe spojrzenie. Nie było w nim potępienia, tylko miłość.

- Widziałem już, jak się kiedyś upiła – wymamrotał. – Dwa razy.

Zaczął wypychać Hermogenesa z sypialni.

- Po raz pierwszy, kiedy Belizariusz pojechał na manewry. Zostałem jeszcze w koszarach na kilka dni, organizując dostawy żywności. Zabalsamowała się tej nocy, kiedy wyjechał. Następnego ranka wdrapała się na konia i pojechała za nim, żeby do niego dołączyć w obozie. Wysłałem z nią pięciu katafraktów jako ochronę. Dowodził nimi Anastazjusz. Powiedział mi później, że musieli ją przywiązać do siodła, żeby nie spadła. Ale dała radę – całą drogę tak wytrzymała.

Zatrzymał się w drzwiach i spojrzał za siebie z dumą.

- Byłem pod wrażeniem, kiedy mi o tym opowiadał.

Hermogenes przytaknął z uśmiechem.

- To nie jest łatwe, jechać konno z takim kaczem. Wiem. Sam też próbowałem parę razy.

Maurycy popatrzył na niego pogardliwie.

- Nie, nie próbowałeś. Wiedziałeś już, jak się jeździ konno. A ona wtedy po raz pierwszy siedziała w siodle.

Hermogenes zagapił się z otwartymi ustami. Maurycy wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- O tak. To, na swój sposób, bardzo twarda mała kobietka. Chociaż patrząc na nią, nigdy byś na to nie wpadł. – Wyciągnął rękę i zamknął drzwi do sypialni.
- A ten drugi raz?

Dobry humor zniknął z twarzy Maurycego.

- Drugi raz upiła się następnego dnia po tym, jak on pojechał do Indii. Następnego ranka powlokła się do stajni i spędziła tam prawie cały dzień. Po prostu siedziała na beli siana i patrzyła na konia.

Hermogenes wydał policzki, a następnie wypuścił powietrze.

- Boże.

Maurycy wzruszył ramionami.

- Och, do diabła. Chciałbym, żeby częściej się upijała.

Popatrzył w głąb korytarza.

- Zbyt wielki to ból, żeby go trzymać w tak drobnym ciele.

Kiedy Irena obudziła się następnego ranka, całą minutę zajęło jej skupienie wzroku na czymkolwiek. Gdy wreszcie jej się udało, zobaczyła Antoninę, ubraną w suknię i wyglądającą przez okno na ulicę w dole.

Irena przyglądała się jej przez dziesięć minut ani na chwilę nie odrywając wzroku od przyjaciółki.

Na początku po prostu dlatego, że nie była w stanie poruszyć oczami. Potem, kiedy już mogła, ogarnął ją nagły ból. Nie ruszała się, bo miała nadzieję, że ból, znudzony, w końcu odejdzie, jeżeli grzecznie go zignoruje. Kiedy jednak ból dał jej do zrozumienia, że wpadł z dłuższą wizytą, nie ruszała się, bo chciała o czymś pomyśleć. I w końcu nie poruszyła się, bo właśnie zaczęła myśleć.

- Co do diabła tam robisz? – wychrypiała.
- Nic wielkiego – nadeszła spokojna odpowiedź. – Po prostu patrzę na konia.

RANAPUR

*Wiosna, 530 r. n. e.*

## **Rozdział 5**

Dziesiątego dnia po przybyciu do Ranapur, kiedy Belizariusz i jego mała eskorta jak zwykle zmierzali w kierunku małego wzniesienia, skąd zazwyczaj obserwowali oblężenie, radżpucka eskorta zatrzymała ich, zanim zdążyli ujechać choć jeden kilometr. Kawalerzyści wydawali się spięci i nieugięci, chociaż ich negatywne uczucia najwyraźniej nie były skierowane przeciwko Rzymianom.

Sam Rana Sanga, kiedy podjechał do Belizariusza i ustawił konia tuż przy wierzchołku generała, nie okazywał nic więcej poza zwyczajną dla siebie rezerwą i nienagannymi manierami. Ale jego pierwsze słowa wskazywały na to, że dzień dzisiejszy nie będzie podobny do zwyczajnych dni, jakie upłynęły do tej pory.

- Generale Belizariuszu, ty i twoi ludzie nie będziecie mogli dzisiaj obserwować walk ze swojego ulubionego pagórka.

Belizariusz zmarszczył brwi.

- Jeżeli każesz nam się przesunąć jeszcze bardziej na tyły, Rana Sango, będziemy mieli równie dobry widok na bitwę jak z księżycą.

Sanga nachmurzył się.

- Nie musisz się o to obawiać, generale! – warknął. – Raczej wręcz przeciwnie. – Radżputa potrząsnął głową w gwałtowny, nerwowy sposób. – Wybacz mi – wymamrotał – że jestem nieuprzejmy. Po prostu się denerwuję. Chyba wyładowuję swój zły humor na tobie z braku kogoś innego w zasięgu ręki. Proszę, przyjmij moje przeprosiny.

Belizariusz uśmiechnął się.

- Przyjmuję, Rana Sango. Z chęcią. Ale... cóż, to nie moja sprawa, ale...

Rana Sanga znowu potrząsnął głową.

- Sam się przekonasz, niebawem. Najwyższy dowódca naszej armii, pan Harsza, wydał dekret, że Ranapur upadnie właśnie dzisiaj. Sam imperator przybył tutaj, żeby podziwiać zdobycie rebelianckiego miasta. Zostałeś zaproszony do pawilonu imperatora, żeby oglądać walki z powstańcami. Nakazano mi, abym cię tam eskortował.
- Ach – odparł Belizariusz. Odkąd przybyli do Ranapur, rzymska delegacja była starannie ignorowana przez imperatora i jego dworaków. Nawet Venandakatra nie nawiązał żadnego kontaktu, poza wysłaniem oficjalnej noty. Ta dyplomatyczna niezręczność, Belizariusz był pewien, miała na celu pokazanie Rzymianom, że w hierarchii malawiańskiego Imperium zajmują bardzo skromne i niepozorne miejsce. Również rozszyfrowanie tak nagłego zaproszenia przed oblicze imperatora nie sprawiło Belizariuszowi trudności. Najwyraźniej Malawianie chcieli, aby Rzymianie w dostojnej obecności imperatora podziwiali potęgę i okrucieństwo Malawy.

Protestowanie przeciwko tak haniebnemu i poniżającemu postępowaniu nie miało żadnego sensu. A już szczególnie w stosunku do Rana Sangi, który sam został zesłany na peryferie malawiańskiego dworu i, jak podejrzewał Belizariusz, wzywano go przed oblicze najwyższych tylko wtedy, kiedy potrzebowano wojennych umiejętności Radżputów. Ale tam, gdzie protest byłby daremny, odrobina ironii mogła sprawić nieco radości. Belizariusz zmarszczył brwi, głęboko pogrążony w myślach, i pozwolił, aby jego szczeka opadła niby w zachwycie.

- Cóż za wspaniała strategia! Zakończyć oblężenie po prostu wydając dekret o jego zakończeniu! Wyznaję ze wstydem, że nigdy na to nie wpadłem, chociaż brałem udział w bardzo wielu oblężeniach.

Sanga wybuchnął szorstkim, szczekliwym śmiechem.

- Ani ja! – zawołał. Zły humor Radżputy wydawał się poprawiać. Zawrócił konia i zaczął oddalać się w kierunku przeciwnym do pola bitwy. – Chodź, Belizariuszu – zawołał przez ramię przyjaźnie. – Poobserwujmy tego militarne go geniusza przy pracy.

Podążyli kłusem z powrotem – w kierunku wschodniej ściany oblężonego miasta. Belizariusz szybko się zorientował, że dotrą do niego na odległość znacznie mniejszą, niż to się udawało Rzymianom do tej pory. Z pewną trudnością generał usiłował podtrzymać towarzyską i niezobowiązującą konwersację. Jednakże, zerkając szybko przez ramię, z przyjemnością zauważył, że jego katafrakci z wielką uwagą przyglądali się otoczeniu. Menander mamrotał coś do siebie po cichu – przyzwyczajenie to odzywało się w młodym katafrakcie zawsze wtedy, kiedy musiał coś zapamiętać.

Wkrótce na horyzoncie Belizariusz zobaczył niesamowicie wielki pawilon ustawiony na łagodnym zboczu na wschód od miasta. Namiot usytuowano poza zasięgiem katapult rebeliantów, ale pozostawiono bardzo mały margines bezpieczeństwa. Najwyraźniej imperator Skandagupta miał zamiar podziwiać upadek Ranapur z najmniejszej możliwej odległości.

Belizariusz nie miał jeszcze okazji obserwować walk od tej strony miasta. Zawsze musiał się ograniczać do południowych murów. Ale dawno już zaczął podejrzewać, wsłuchując się w hałas czyniony przez działa, że to właśnie na wschodzie Malawianie skoncentrowali swe siły i wojenne maszyny. Kiedy podjechali bliżej, stało się oczywiste, że przypuszczenia Belizariusza były słuszne. Po wschodniej stronie wielka kamienna ściana, która otaczała Ranapur, wyglądała jak kupa gruzu. Ostrzał z dział pogruchotał ją na małe kamyczki.

Na równinie, przed granicą wyznaczoną wałem z porozbijanych murów, ustawiała się potężna armia, szykując się do zadania ostatecznego ciosu. Była to w większości regularna malawiańska piechota wzmocniona oddziałami Ye-tai, które miały trzymać prostych żołnierzy w ryzach. Najwyraźniej nie mieli oni brać udziału w prowadzeniu natarcia, tylko dopilnować, żeby niezadowoleni wojownicy nie uciekali z pola bitwy.

W polu widzenia znajdowała się zaledwie garstka Radźputów. Belizariusz chciał właśnie jakoś to skomentować, ale Rana Sanga przerwał mu szorstko.

- Przydzielono nam inne zadania. Wszyscy radźpucy konni, z wyjątkiem waszej eskorty i kilku kurierów, zostali wysłani do patrolowania przedmieść i dróg wokół miasta. Żeby zatrzymać rebeliantów, którym udało się umknąć przed przeznaczeniem.
- Ach – powiedział Belizariusz. Rzucił szybkie spojrzenie na ciemną twarz Rana Sangi. Radźputa zacisnął usta. – Bardzo sprytny manewr – kontynuował – używać swoich najlepszych oddziałów do sprzątanego po wielkim zwycięstwie, które zresztą jeszcze nie zostało osiągnięte. Chociaż, oczywiście, zostało już ogłoszone specjalnym dekretem. – Potarł brodę. – Ze wstydem przyznaję, że ja sam, militarny prostak, zawsze robiłem błąd, używając moich najlepszych oddziałów w głównej bitwie.

Znowu, Sanga zaśmiał się szczekliwie.

- Ja też! Ach, Belizariuszu, jesteśmy tylko dziećmi bawiącymi się u stóp mistrza. – Potrząsnął głową. – Rzeczywiście, pan Harsza jest godny, aby zaliczyć go do grona tak sławnych dowódców, jak Aleksander Wielki i Aszoka.
- To prawda – zgodził się Belizariusz.

Rzymski generał przyjrzał się uważnie polu bitwy. Ponieważ był doświadczonym żołnierzem, od razu się zorientował, że Malawianie już od dawna planowali tak zmasowany atak na wschodnie mury miasta.

- Widzę, że wielki pan Harsza nie pokłada ufności w zaskoczeniu i podstępach – skomentował.

Sanga zwinął wargi w trąbkę.

- Takie metody są poniżej godności pana Harszy – odparł jadowicie. – To taktyka bandytów, tak przynajmniej nazywa tych, co ją stosują.

Przez chwilę Rzymianin i Radźputa patrzyli na siebie. Potem obaj się uśmiechnęli – lekko, ale całkiem przyjaźnie. Po chwili Sanga westchnął i odwrócił wzrok.

- Ale, w końcu pan Harsza jest bardzo potężnym człowiekiem i nie ma powodu, dla którego miałby się poniżać – wymamrotał Radźputa. Wzruszył ramionami. – A zresztą dysponuje takimi siłami, że w zasadzie wcale nie musi uciekać się do podstępów.

Byli teraz zaledwie dwieście metrów od ogromnego pawilonu imperatora. Kwatery zajmowane przez Skandaguptę wydały się Belizariuszowi jak wyjęte z jakiejś baśni. Nigdy jeszcze nie widział



czegoś podobnego – przynajmniej nie na polu bitwy. Nawet w przypadku najbardziej próżnego perskiego imperatora... nawet w przypadku antycznego Kserksesa, albo Dariusza. Żaden z nich nigdy nie postawił tak niesamowitej budowli w tak małej odległości od pola bitwy.

Pawilon wznosił się w górę na ponad piętnaście metrów, podwieszony na czterech bardzo wysokich masztach, przypominających drzewa. Otaczała go niezliczona ilość grubych na dwa palce lin – mocno naciągniętych i umocowanych do haków wbitych w ziemię – biegnących niemalże w każdym kierunku. Sam namiot był zrobiony z bawełny. Nawet władca Malawy nie mógł sobie pozwolić na użycie aż takiej ilości jedwabiu, ale wszystkie mniejsze baldachimy ocieniające wejścia do pawilonu, wykonano właśnie z tego kosztownego materiału, podobnie jak ozdobne frędzle i linki. Bawełna namiotu była przepięknie ufarbowana, nie w proste kolory i wzory, ale w bardzo skomplikowane geometryczne figury, starannie cieniowane.

Mały konny oddziałek Ye-tai jechał w ich kierunku. Belizariusz, patrząc na ich bogate mundury i czerwono-złote proporce przymocowane do lanc, doszedł do wniosku, że muszą być członkami osobistej straży imperatora. Według zasłyszanych informacji ochrona ta liczyła sobie osiem tysięcy żołnierzy, chociaż wprawnym okiem Belizariusz oszacował, że w najbliższym otoczeniu namiotu imperatora mogła być ich najwyżej połowa.

W tym właśnie momencie zagrzmiały bębny, dając rozkaz do rozpoczęcia natarcia. Pierwsza linia malawiańskiej piechoty zaczęła powoli, nieubłaganie zbliżać się do murów miasta. Jednakże marsz poszczególnych jednostek był bardzo nierówny. Nie wynikało to z braku dyscypliny, ale z prostego faktu, że ziemia w tym miejscu była tak zryta wybuchami pocisków, że malawiańscy żołnierze nie byli w stanie uformować prostej linii, jednocześnie zbyt duża liczba wojowników wprowadzała dodatkowe zamieszanie. Belizariusz na oko ocenił, że na polu znajdowało się około czterdzieści tysięcy piechoty oraz kolejne pięć tysięcy konnych barbarzyńców Ye-tai trzymających się z tyłu.

Mniej więcej trzy czwarte malawiańskich żołnierzy, mozolnie przedzierających się przez porytą ziemię, uzbrojonych było w tradycyjną ręczną broń. Większość piechurów niosła ze sobą włócznie i miecze, chociaż tu i tam generał widział żołnierzy trzymających w dłoniach bojowe topory i maczugi.

Belizariusz wiedział na podstawie swoich wcześniejszych obserwacji, że ta broń była wykonana bardzo kiepsko – z tanich i słabych materiałów – podobnie jak zbroje żołnierzy. Ye-tai, którzy poganiali malawiańską piechotę, wyposażeni byli w metalowe napierśniki i stożkowe, żelazne hełmy. Ale zwykli żołnierze musieli się zadowolić skórzaną półbroją, wzmocnianą łatkami metalu na ramionach. Ich hełmy nie były niczym innym, tylko skórzаныmi czapczkami, chociaż nie poskąpiono metalu na ich wzmocnienia, odwrotnie niż w przypadku skórzanych kaftanów. Różnica między tarczami także była uderzająca. Tarcze Ye-tai, podobnie jak rzymskie, zrobiono z twardego, laminowanego drewna i dodatkowo wzmocniono żelaznymi okuciami i listwami. Natomiast tarcze zwykłych oddziałów malawiańskich były niemalże żalozne – wiklinowe ramy, obciążone niewyprawioną skórą.

Jednakże wśród całej masy żołnierzy wyposażonych w prymitywną broń, Belizariusz dostrzegł równomiernie rozsiane gromadki Malawian, niosących drabiny i materiały łatwopalne, oraz grenadierów, uzbrojonych w pęki malawiańskich granatów w kształcie tłuczka. Rzymianie po raz pierwszy mieli zobaczyć grenadierów w akcji i Belizariusz postanowił wykorzystać tę okazję do maksimum.

Belizariusz i Rana Sanga zatrzymali się, aby popatrzeć na atakujące wojska. Kątem oka generał dostrzegł, że nadciągający oddziałek Ye-tai także się zatrzymał, ale nie zwracał na nich większej uwagi, gdyż skupił się na podziwianiu pola walki. Znowu uderzył go niesamowity obraz podeptanej

i porytej ziemi. Najwyraźniej oblężenie miasta trwało już bardzo długo i było żmudne, pozbawione wszelkich niespodzianek. To był dokładnie taki rodzaj zniszczeń, który poruszał jego umysł taktyka, i Belizariusz złapał się na tym, że zabawia się wymyślaniem alternatywnych metod prowadzenia oblężenia, które by zastosował, będąc głównodowodzącym tej armii.

Albo dowódcą oblężonych rebeliantów.

Nagle wpadła mu do głowy jedna myśl, nie do końca dopracowany pomysł, będący połączeniem jego wieloletniego doświadczenia i nowo nabytej wiedzy. Odwrócił się do Sangi.

- Czy aby mi nie mówiłeś kilka dni temu, że Ranapur to prowincja górnicza?

Sanga kiwnął potakująco głową.

- Tak. Wydobywają tutaj prawie jedną trzecią całej miedzi pozyskiwanej przez imperium.

Belizariusz zerknął na ziemię, po której malawiańscy żołnierze szli z mazołem w kierunku murów. Zauważył, że obrońcy wcale nie witają armii nieprzyjaciela ogniem z katapult. To było dziwne, szczególnie w takim momencie. Niewyraźna myśl zaczęła kiełkować w umyśle generała.

Sanga zauważył nagłe zainteresowanie swojego towarzysza.

- Zastanawiasz się nad czymś, Belizariuszu. Czy mogę zapytać, nad czym?

Belizariusz wahał się przez chwilę. Mimo całej swej sympatii dla Rana Sangi, zdawał sobie sprawę, że Radżputa jest w końcu jego przyszłym wrogiem. Z drugiej jednak strony, w tej chwili los Belizariusza i jego ludzi był związany z Radżputami.

- Wybacz mi Rana Sango, że to mówię, ale wydaje mi się, że wasze malawiańskie techniki oblężenia są cokolwiek... hmm, jak to powiedzieć, prymitywne. A przynajmniej wedle rzymskich standardów. Podejrzewam, że dzieje się tak, ponieważ większość waszych wojen odbywa się w tej przeogromnej dolinie rzecznej. Nie wydaje mi się, żebyście mieli jakieś doświadczenie w walce w terenie górzystym.

Sanga zamyślił się, szarpiąc swoją długą brodę.

- To zapewne celne spostrzeżenie. Nigdy nie miałem okazji przypatrywać się rzymskim oblężeniom. Ale z pewnością prawdą jest, że jedną z przyczyn, dla których Marathowie są tak ostrym cierniem w boku imperium jest ich doskonała znajomość gór i umiejętność budowania fortec na górskich szczytach. Oblężenia w Maharasztra są zawsze dwukrotnie bardziej skomplikowane niż na równinie Gangesu.

Zaintrygowany, przyjrzał się Belizariuszowi.

- Coś podejrzewasz – stwierdził.

Belizariusz zawahał się ponownie. Obserwował uważnie marsz malawiańskiej piechoty. Pierwsza linia żołnierzy pokonała już prawie połowę półkilometrowej łańcuchowi ziemi niczyjej, która oddzielała okopy malawiańskiego frontu od murów Ranapur. Ciągłe jednak katapulty oblężonych milczały.

Belizariusz wyprostował się w siodle.

- Dziwią mnie trzy rzeczy w zaistniałej sytuacji, Rana Sango. Po pierwsze, rebelianci mają doświadczonych górników w swoich szeregach. Po drugie, wiedzą już od tygodni... nie, nawet od miesięcy, że atak na miasto nastąpi właśnie od tej strony. Pan Harsza najwyraźniej nie zadał sobie trudu, żeby pozorować walki w jakimś innym miejscu. Po trzecie, nie ma ognia katapult, jakby oblężeni nie chcieli pozbywać się ani odrobinki prochu.

Potał brodę.

- Teraz, kiedy się nad tym zastanawiam... tak, wydaje mi się, że w ogóle przez kilka ostatnich dni ogień katapult z oblężonego miasta był bardzo ograniczony i skąpy. Pozwól, że cię zapytam. Może wiesz, czy pan Harsza ma saperów rozbijających miny przeciwnika?

Odpowiedź była oczywista. Na twarzy Radzputy malowało się bezgraniczne zdziwienie, jakby Rana Sanga nie wiedział, o czym generał mówi.

Belizariusz jednak ciągle się wahał. Podejrzenie lęgnące się w jego głowie ciągle było niejasne i nie do końca uformowane... więcej pytań niż odpowiedzi. Możliwości prochu i jego wielorakie zastosowanie na polu walki ciągle stanowiły nowość i w dużej mierze zagadkę dla generała. Nie był nawet do końca pewny, czy...

Płaszczyzny wybuchły w drżącym poruszeniu. Dla Doradcy ludzkie pola bitwy były tylko i wyłącznie konceptem teoretycznym. I w dodatku raczej dziwacznym dla jego krystalicznej osobowości. Ale teraz, w końcu, dziwny pomysł formujący się w umyśle Belizariusza przybrał na tyle realne kształty, że Doradca zdołał go uchwycić. Wiedza o całej historii rodzaju ludzkiego zakipiała w wirujących fasetach.

*Niebezpieczeństwo! Niebezpieczeństwo! Oblężenie Petersburga! Bitwa pod Kraterem!*

Belizariusz zachłysnął się intensywnością wizji, która przemocą wdarła się do jego umysłu.

*Tunel... wiele tuneli... pod ziemią, podparte drewnianymi stemplami i deskami. Mężczyźni w niebieskich mundurach, w sztywnych kaszkietach ustawiają kosze wypełnione kółkami... to nie są kółki, ale jakiś rodzaj urządzeń wykorzystujących siłę prochu... ustawiają je na całej długości korytarzy. Opierają jedne o drugie. Kładą lonty. Uciekają.*

*Na powierzchni. Żołnierze ubrani w szare mundury biegną tu i tam.*

*Pod ziemią. Zapalono lonty.*

*Nad ziemią. Koniec świata.*

Belizariusz zaczął zsiadać z konia. Spojrzał na swoich katafraktów i lekko skinął głową. Trzech Traków natychmiast podążyło w ślady generała. Na szczęście Rzymianie ubrani byli jedynie w lekkie półbroje. Gdyby zaopatrzyli się we wszystkie akcesoria katafrakta, nie byłoby im łatwo samodzielnie zsunąć się z siodła, a szybkie jego opuszczenie należałoby do rzeczy niemożliwych.

- Może się mylę, Rana Sango – powiedział generał cicho – ale mocno nalegam, abyście ty i twoi ludzie zsiadli z koni. Gdybym to ja dowodził obroną Ranapur, zryłbym tę ziemię niczyją tunelami, wypełnił każdą zaoszczędzoną odrobiną prochu i podłożył miny wszędzie tam, gdzie to tylko możliwe.

Rana Sanga popatrzył na pole bitwy. Cała masa żołnierzy, stanowiących malawiańskie siły uderzeniowe, została aktualnie stłoczona na obszarze mającym nie więcej niż trzy kilometry długości

i dwieście metrów szerokości. Utrzymywany z trudem szyk bojowy znikł całkowicie. Nacierająca armia była niczym więcej, jak tylko zdezorientowanym tłumem, którego tylne szeregi zmuszały przednie do dalszego ruchu, po prostu na nie napierając. W tyle wojownicy Ye-tai kłusowali tam i sam poganiając maruderów. Jednak ich wysiłki powodowały tylko powstawanie jeszcze większego bałaganu.

Armia stanowiła idealny cel dla zmasowanego ostrzału z katapult. Ale nie było żadnego ostrzału z katapult.

Ciemna twarz Sangi lekko zbladła. Odwrócił się w siodle i zaczął donośnym głosem wydawać rozkazy swoim ludziom. Zaskoczeni, ale przecież doskonale zdyscyplinowani, Radźpuci posłuchali natychmiast. W ciągu kilku sekund cała pięćsetosobowa radźpucka eskorta znalazła się na ziemi, trzymając swe wierzchowce za wodze krótko przy pyskach.

Belizariusz zauważył, że mały oddziałek kawalerii Ye-tai patrzy na nich ze zdziwieniem. Dowódca Ye-tai zmarszczył brwi i zaczął coś krzyczeć.

Jego słowa zagubiły się w krzyku. Nastąpił koniec świata.

Niewidzialna siła rzuciła Belizariusza na ziemię. Dudniąca seria eksplozji przetoczyła się przez pole bitwy. Nawet z tej odległości hałas był potężny, tak potężny, że zwał z nóg. Leżąc na boku i patrząc w kierunku Ranapur, generał zobaczył, jak cała malawiańska armia znika w chmurze pyłu. Przez kurzawę i dym leciała chmara bliżej nieokreślonych obiektów, raniąc i zabijając żołnierzy. Większość z tych pocisków, jak domyślał się Belizariusz, była tym, co Doradca nazywał szrapnelami. Ale siła wybuchu była tak wielka, że prawie wszystko, co zostało wyrzucone w górę stawało się automatycznie śmiertelnym zagrożeniem.

Ciągle na wpół ogłuszony Belizariusz obserwował tarczę, dobrej jakości tarczę, należącą do jakiegoś Ye-tai, solidne koło z drewna obramowanego żelazem, żeglującą po niebie niczym dysk rzucony przez giganta. Kawaleria Ye-tai, która przed wybuchem zbliżała się do Rzymian, ciągle usiłowała poskromić swe szalejące wierzchowce. Wirująca tarcza pozbawiła ich dowódcę głowy tak gładko, jak gospodyni domowa ucina łeb kurczaka. Chwilę później cały oddział Ye-tai został zasypany gradem odłamków i szczątków.

Odłamki spadały również na Rzymian i Radźputów. Jednakże nie odnieśli oni wielkich obrażeń, głównie dzięki temu, że zsiadli z koni, zanim nastąpił wybuch i zdołali jakoś się ukryć na ziemi, kiedy nadleciał rój odłamków. Większość zranień, jakich doznali Radźpuci, została zadana kopytami przerażonych i poranionych koni, wierzgających nad głowami swoich panów.

Kiedy minęło zaskoczenie, Belizariusz, już w pełni sprawny umysłowo, zaczął gorączkowo myśleć.

*Pierwsze prawo wojny opartej na wykorzystaniu prochu. Trzymaj się blisko ziemi.*

Spadało na niego coraz więcej odłamków. Zwinął się w kłębek, żeby jak najskuteczniej osłonić swoje ciało tarczą.

*Bardzo blisko.*

Czuł, jakby całe plemię karłów waliło w niego drewnianymi młotami.

Chciałbym znaleźć jakąś dziurę, żeby się do niej schować. Albo mieć łopatę, żeby sobie taką dziurę wykopać.

Usłyszał Doradcę. *Będą je nazywać okopami. Żołnierze nauczą się kopać je automatycznie za pomocą saperek, tak jak potrafią od urodzenia oddychać.*

Bum-bang bum-bang bum-bang bang-łup bum-bang.

Wierzę ci.

Spróbował wyobrazić sobie, jak może wyglądać saperka.

Bum-bang bum-bang bum-bang bang-łup bum-bang.

Doradca podsunął mu pewien obraz .

*Mała łopatka, zgięta w ruchomym miejscu, gdzie ostrze spotyka się z trzonkiem. Łatwo ją zmieścić w sakwie z podstawowymi rzeczami żołnierza.*

Bum-bang bum-bang bum-bang. Bang-łup bum-bang.

*To będzie pierwsza rzecz, jaką zaczniemy produkować, kiedy wrócimy do Rzymu.*

Bum. Bum. Bum. BUM.

*Najpierwsza z pierwszych.*

Wybuchy straciły na sile. Generał ostrożnie podniósł głowę. Potem wydostał się jakoś ze swojej kryjówki, utworzonej z tarczy, która teraz była już całkowicie zasypana ziemią i kamieniami. Krzywiąc się starł odrobinę krwi z rozciętej nogi.

Popatrzył na swoich katafraktów. Wszyscy trzej, zauważył z ulgą, byli cali i właśnie gramolili się na nogi. Żaden z nich nie odniósł obrażeń. Spoglądali na generała błędnym wzrokiem. Koń Menandra leżał w pobliżu, słabo wierzgając kopytami. Patrząc na zachowanie biednego zwierzęcia, Belizariusz domyślił się, że klacz złamała sobie kręgosłup, padając z impetem na ziemię. Inne konie Rzymian uciekły i zapewne stanowiły teraz część oszalałego stada, pędzącego na wschód. Rozejrzał się wokół i zobaczył, że żaden z Radżputów nie zdołał opanować swego wierzchowca. A tych kilku, którzy próbowali, prawdopodobnie zostało stratowanych i skopanych.

Kilka metrów dalej zobaczył Rana Sangę, wydobywającego się spod osłony swojej tarczy i usiłującego przyjąć wyprostowaną pozycję. Ale najwięcej uwagi generał poświęcał sytuacji na polu bitwy, gdzie niesamowita eksplozja wyrządziła straszliwe szkody.

Przed wybuchem równina pod murami miasta była ponura – jałowa pustynia poryta rowami i ziemnymi fortyfikacjami, podziurawiona małymi jamkami po uderzeniach bomb. Teraz wyglądała jakby żywcem wyjęta z koszmaru, jakby bogowie zapragnęli wybić w ziemi ogromne kratery i wypełnić je ciałami zabitych.

Ciała, ciała, ciała. Kawałki trupów. Kawałki kawałków trupów. Szczątki, których nie dawało się zidentyfikować. Mięso poszarpane na małe ochłapy niemożliwe do rozpoznania. Generał rozróżniał jedynie odcienie czerwieni.

Ku swemu wielkiemu zdumieniu Belizariusz dostrzegł, że wielu malawiańskich żołnierzy przeżyło tę rzeź. Minęło zaledwie kilka chwil od wybuchu, a w jego miejscu widział kłębiącą się masę ciał. Zdał sobie sprawę, że ponad połowa żołnierzy żyła, chociaż wielu z nich było rannych, większość oszołomionych, a jak podejrzewał, wszyscy stracili słuch. On sam nie słyszał zbyt dobrze – w uszach ciągle mu dzwoniło.

*Nie mogę uwierzyć, że ktokolwiek przeżył ten wybuch.*

Nadeszła zimna myśl od Doradcy.

***To typowe. Nadzwyczajne, jak wielu ludzi przeżywa tak okrutne i zmasowane bombardowania.***

Nadeszły obrazy.

*Ludzie w mundurach, mają metalowe hełmy. Jest ich bardzo wielu, atakują biegnąc po ziemi podobnej do tej, jaką widział pod murami Ranapur. Niosą ze sobą broń, którą Belizariusz już zna. To karabiny uzbrojone dodatkowo w bagnety. Oprócz broni, żołnierze uginają się pod ogromnym ciężarem dodatkowego ekwipunku. Belizariusz rozpoznaje granaty, torby z amunicją, pojemniki z wodą i jedzeniem, saperki i dziwaczne przedmioty, przypominające nieco maski, których nigdy przedtem nie widział. Nacierające oddziały szarpane są przez niezliczoną ilość spadających z nieba pocisków. Rzeź, jakiej nigdy dotąd nie widział, mimo wieloletniego doświadczenia w sztuce*

*wojennej. Żołnierze ciągle nacierają.*

**To będzie nazywane bitwą pod Sommą. Zacznie się dnia, który zostanie oznaczony w kalendarzu jako pierwszy lipca 1916 roku. W tym natarciu, tylko pierwszego dnia, zginie dwadzieścia tysięcy ludzi. Dwadzieścia pięć tysięcy odniesie rany. Ale większość przeżyje i znów zaatakują – następnego dnia.**

Belizariusz potrząsnął głową.

*Ale jak...?*

**Nie wiemy. Nie do końca pojmujemy ludzi, nawet Wielkich. Ale ty to zrobisz. Będiesz nacierał raz za razem. I przeżyjesz raz i drugi, i znowu. Nie wiemy jak. Nie wiemy dlaczego. Ale tak jest.**

Dziwne, ale uwagę Belizariusza przyciągnęło właśnie to napomknienie Doradcy o Wielkich.

*Wielcy... ci Wielcy... oni są ludźmi?*

Doradca tylko raz wspomniał o tych obcych istotach. Wielcy, którzy byli, w jakimś sensie, stwórcami? Zdrajcami? Kreatorami przyszłości, do której należała krystaliczna inteligencja w rodzaju Doradcy? Ale w wizjach Doradcy, Wielcy wyglądali jak gorejący giganci, bardziej podobni do uskrzydłych wielorybów żeglujących po niebie niż do ludzi.

Doradca odpowiedział z wahaniem.

**Tak nam się wydaje. Nowi bogowie mówią, że są ostatecznym narzędziem do pokonania ludzkości.**

*Nowi bogowie.* Belizariusz przypomniał sobie krótkie migawki, w jakich Doradca ukazywał mu te istoty. Ogromne, piękne, doskonałe bezlitosne twarze, unoszące się na niebie. Wrócili na ziemię, żeby podbić kruszaki i z powrotem uczynić z nich niewolników.

Chciał zadać następne pytanie, ale zdecydował, że musi odłożyć na potem problem Wielkich i wyrzucić ich na razie ze swojego umysłu. Nakazał mu tak instynkt generała. Z miasta bowiem ruszyło kontrnatarcie. Widział już pierwsze szeregi żołnierzy, nadbiegających od strony odległych murów Ranapur. Tysiące rebeliantów nacierało na ogłuszonych Malawian, którzy przetrwali podziemny wybuch, mordując ich bez litości i wrzeszcząc jak szaleńcy.

Ale rebelianci nie koncentrowali się tylko i wyłącznie na krwawej zemście. Przebijali się przez kłębiących się malawiańskich żołnierzy w określonym, jasno sprecyzowanym celu. Masakra była tylko produktem ubocznym tej szarży, a nie jej powodem ani celem.

Cel i powód tego szaleńczego ataku szybko stał się dla wszystkich oczywisty. Belizariusz odwrócił głowę. Pawilon imperatora Malawy ciągle stał na swoim miejscu i był nadal w nienajgorszym stanie, chociaż wiele linek zostało zerwanych, przedsionki pozapadały się, a kosztowny materiał w kilkunastu miejscach podziurawiły odłamki, wyrzucone w górę siłą eksplozji. Ale Belizariusz był pewien, że mieszkańcy tej wspaniałej budowli przetrwali wybuch, podobnie jak większość czterotysięcznego oddziału Ye-tai, stanowiącego przyboczną straż imperatora.

Ponownie odwrócił głowę i spojrzał na szarżujących rebeliantów. Na oko ocenił ich liczbę na dziesięć tysięcy. Jednakże malawiańscy żołnierze, którzy przeżyli wybuch ciągle przewyższali ich liczebnie. Ale w tej chwili liczby nie znaczyły już nic. Malawianie, błakający się po polu bitwy, stanowili teraz jedynie stado bezmyślnych owiec, jeżeli brać pod uwagę ich zdolności bojowe. Nawet barbarzyńcy Ye-tai nie byli w stanie podjąć walki. Padali pod ciosami atakujących rebeliantów, nie podnosząc nawet ręki we własnej obronie. Większość z nich po prostu uciekała, pozwalając rebeliantom przejść bezkarnie dalej. W ciągu kilku chwil, podczas których Belizariusz obserwował pole bitwy, mieszkańcy Ranapur przedarli się przez całą armię Malawian. Teraz, poza

oddziałem Ye-tai, pomiędzy rebeliantami a zniechęconym imperatorem nie było już nic.

Belizariusz usłyszał syknięcie. Spojrzał w bok i zobaczył Rana Sangę, który również uważnie przyglądał się bitwie.

Podobnie jak pięć setek radżpuckich kawalerzystów. Co prawda nie na koniach, ale ciągle w pełni sił bojowych.

Przez chwilę generał wpatrywał się brązowymi oczami prosto w czarne tęczówki Rana Sangi.

*I czterech Rzymian, którzy w przyszłości staną się wrogami Malawian.*

Twarz Sangi była zupełnie bez wyrazu. Ale w tym momencie Belizariusz rozumiał tego człowieka tak dobrze, jak rozumiał samego siebie.

- Złożyłem przysięgę – powiedział Sanga.
- Tak – skinął głową Belizariusz.

Sanga zaczął wydawać rozkazy. Nie były skomplikowane. Proste wariacje oparte na wyrazach „tamędy” i „natychmiast”.

Radżpuci zaczęli pędzić w kierunku pawilonu imperatora, który wznosił się w odległości około stu pięćdziesięciu metrów. Biegli na skróty przez pole bitwy. Belizariusz był pod wrażeniem szybkości, z jaką się poruszali. Niewielu kawalerzystów, po zejściu z siodła, mogło się poszczycić taką umiejętnością. W takim tempie mieli szansę na dotarcie do namiotu imperatora i zajęcie pozycji na długo przed rebeliantami. Pięć setek Radżputów i cztery tysiące Ye-tai miało stawić czoła dziesięciu tysiącom Ranapurczyków, którzy w dodatku z determinacją pragnęli zabić imperatora.

*Za co nie mogę ich winić, pomyślał Belizariusz uśmiechając się do siebie. Ale pozostaje jeszcze jeden problem. Co mamy zrobić my, Rzymianie?*

Jego trzech katafrakci trzymali się blisko niego. Wszyscy otrząsnęli się już z szoku, jaki wywołała w nich potężna eksplozja. Patrzyli na niego, czekając na rozkazy.

Zaledwie kilka razy w całym swoim życiu Belizariusz miał trudności z podjęciem decyzji. To był właśnie jeden z tych momentów. Nie miał obowiązku pomagać Malawianom. Wręcz przeciwnie, przecież w przyszłości mieli oni stać się jego wrogami i już teraz nimi gardził. To prawda, że nauczył się szanować Rana Sangę i Radżputów i z pewnością byłoby mu przykro oglądać jego wewnętrznosci rozwłócone po okolicy przez rozszalałą zgraję rebeliantów, ale... – zawahał się. Widział już, jak w bitwie umierają ludzie, których darzył sympatią. Niektórych z tych ludzi – Persów – sam pomagał zabijać. Takie były jego obowiązki, taką przysięgę złożył swemu imperatorowi.

Więc jakie były jego obowiązki teraz? Próbował skalkulować korzyści, jakie Rzym może odnieść w zaistniałej sytuacji – w zależności od podjętej decyzji. Odpowiedź była prosta: niech imperator Malawy umrze i Bóg z nim. Ale wiedział, że w grę wchodzi dużo więcej czynników, które były tak subtelne, że nie wpasowywały się w ogóle w równanie. Komplikacje, które ciągle były zbyt mgliste i mroczne, aby mógł je poprawnie zidentyfikować.

Po raz pierwszy od czasu, kiedy biskup Aleppo przyniósł mu kryształ, Belizariusz bezpośrednio poprosił tajemniczą istotę o natychmiastową pomoc.

Doradco! Co powinniśmy zrobić?

Poruszające się dotychczas fasety zastygły w bezruchu. Chwila zatrzymania, podczas której istota zwana Doradcą próbowała zinterpretować prośbę generała. Pytanie zawierało w sobie to, co ludzie zwą taktyką – zjawisko, które Doradca rozumiał bardzo słabo. Klejnot próbował rozwiązać ten problem bezpośrednio i natychmiast poniósł klęskę – zdał sobie sprawę, że nie jest w stanie odtworzyć ludzkiego rozumowania. Doradca porzucił więc te próby i zaczął poruszać fasetami,

próbując obejść przeszkodę. Podobnie jak mistrz go zabiera się do rozwiązania szachowej zagadki.

Kaskada myśli i obrazów pomknęła wprost do umysłu Belizariusza.

**Imperator nie jest kluczem, w żadnym ujęciu problemu.** *Kalejdoskop obrazów historii. Różne imperia, stworzone przez ludzkość na przestrzeni wieków. Imperia, których przetrwanie zależało całkowicie od jednego człowieka. Aleksander Wielki – Belizariusz znał to imię. Ktoś nazywany Tamerlainem, którego nie znał. Potwór. Inni, o których także nie słyszał. Imperia oparte na solidnej biurokracji i dobrze sytuowanych elitach. Rzym. Chiny. Śmierć jednego imperatora nie ma znaczenia, gdyż zawsze na jego miejscu pojawia się kolejny. Imperia, które się zmieniają, kiedy wokół dynastii kształtują się nowe elity i arystokracja.*

**Skoncentruj się na tym, co jest tutaj. Jesteśmy w Malawie.** *Szybkie obrazy, przedstawiające stabilność malawiańskiej dynastii – rodu Guptów. Belizariusz nagle zrozumiał, po raz pierwszy, jak to się dzieje, że ludzie tacy jak Venandakatra i Harsza zajmują pozycję na dworze. I inni, im podobni. Niektórzy inteligentni i zdolni, inni nie. Ale wszyscy mają dostęp do władzy. Ludzie z krwi Malawy, krewniacy dynastycznej linii bez prawa sukcesji, ale ich losy są całkowicie wplecione w walkę o przetrwanie rodu. W jakiś prymitywny sposób, oni sami są dynastią i mają dbać o jej dobro.*

**Imperator nic nie znaczy. Jeśli on umrze, inny natychmiast zajmie jego miejsce. Malawa przetrwa. Ranapur upadnie. Persja upadnie. Rzym upadnie. Musisz znaleźć i zniszczyć Ogniwo.**

Nazwa brzmiała dla generała nieznamo.

*Kto to jest Ogniwo?* – zapytał generał.

**Nie kto. Co. Ogniwo to...**

*Kolejne obrazy. Dziwne obiekty. Wyglądają jak maszyny. Ale maszyny, które nie robią nic, tylko myślą.*

**Maszyny, tak. Nie myślą. Maszyny nie myślą. Te maszyny nazywać się będą komputerami. One nie myślą, tylko kalkulują. Obliczają. Ludzie myślą. Kryształy myślą.**

*Więc jak może być naszym wrogiem, skoro nie potrafi...*

**To narzędzie. Narzędzie nowych bogów. Wysłane w przeszłość, żeby zmienić...**

Wizja stała się mało czytelna. Belizariusz wyłapał jedynie fragmenty dosyć mętnego opisu walki, mającej miejsce w przyszłości pomiędzy nowymi bogami a Wielkimi. Nie rozumiał jej ani trochę, ale z całości przebijał jeden uderzający fakt – zarówno nowi bogowie, jak i Wielcy byli w pewnym sensie ludźmi.

Generał wyczuł wzrastającą frustrację Doradcy i wiedział, że krystaliczna istota próbuje mu przekazać informacje, których ani ona, ani Belizariusz nie są jeszcze w stanie zdefiniować. Rzymianin poczuł, jak wraca mu pewność siebie.

*Nieważne. Czy Ogniwo będzie w tym pawilonie?*

**To prawdopodobne.**

Belizariusz natychmiast podjął decyzję. Ciągłe podstawowym celem jego wyprawy było zbieranie informacji. Kiedy odwrócił się do swoich katafraktów, zdał sobie sprawę, że jego rozmowa z kryształem trwała zaledwie kilka sekund.

- Pomożemy Malawianom – oznajmił. Jego katafrakci natychmiast zaczęli biec w kierunku pawilonu, ale Belizariusz zatrzymał ich gestem.
- Nie, nie w ten sposób. Cztery dodatkowe miecze nie dadzą im przewagi. – Pokazał dłonią w kierunku leżącego w oddali Ranapur. Nadciągający rebelianci przedarli się już całkowicie przez szeregi Malawian i właśnie zaczęli wbiegać na łagodne wzgórze, na którym stał namiot



imperatora. Spora część malawiańskich żołnierzy i wojowników Ye-tai, którzy nie odnieśli obrażeń ani podczas wybuchu, ani z ręki rebeliantów, nadal kłębiła się u podnóża murów Ranapur na porytym wybuchami polu walki, ogłuszona i niezdolna do podjęcia decyzji.

- Oni mogą dać nam przewagę.

Walentynian i Anastazjusz od razu zrozumieli, o co chodzi. Dwaj weterani zaczęli kierować się w dół wzgórza z wyciągniętymi mieczami. Próbowali okrążyć pole bitwy z lewej strony, trzymając się w bezpiecznej odległości od rozszalałej hordy atakujących rebeliantów.

Belizariusz i Menander poszli za nimi. Zdumienie młodego katafrakta było tak wielkie, że generałowi chciało się śmiać.

- Zastanawiasz się, jak niby poradzimy sobie z Malawianami? Jak zmusimy ich do słuchania naszych rozkazów? – zapytał. – I że jeszcze trudniej będzie z Ye-tai?
- Tak, panie. Ja nie ro...
- Popatrz, Menandrze. Patrz i ucz się. Nadejdzie taki dzień, kiedy będziesz musiał pogonić do walki rozbite i rozproszone oddziały.

Przerwał, żeby nabrać powietrza. Teraz, kiedy już wydostali się z obszaru, gdzie zagrażały im przypadkowe ciosy zaślepionych rebeliantów, Walentynian i Anastazjusz przyspieszyli jeszcze bardziej i zaczęli biec. Nawet dla mężczyzn w tak doskonałej kondycji, był to bardzo duży wysiłek. Co prawda, katafraktowi nie nosili na sobie pełnej zbroi, ale palące słońce Indii robiło wszystko, żeby tę przewagę zniwelować.

- Patrz – rozkazał generał ponownie. – I ucz się. – Zrobił przerwę na oddech. – Najważniejsze jest niezachwiane poczucie posiadanego autorytetu. – Przerwa. – Zdezorientowani żołnierze instynktownie cię posłuchają.

Dotarli już prawie do pierwszych szeregów rozbitej malawiańskiej armii. Belizariusz dostrzegł w pobliżu grupkę wojowników Ye-tai. Biegając w ich kierunku, minął Anastazjusza i Walentyniana i, wymachując mieczem w kierunku pawilonu imperatora, zaczął wywrzaskiwać komendy – posługując się językiem Ye-tai w sposób doskonały, płynnie, bez śladu obcego akcentu.

- Zbierzcie tych śmierdzących, tchórzliwych bękartów z powrotem do szeregu!

Ye-tai gapili się na generała. Belizariusz machnął mieczem w kierunku tłumu zwykłych malawiańskich żołnierzy, kręcących się bez celu nie dalej niż pięćdziesiąt metrów od Ye-tai.

- Słyszeliście mnie? Zbierzcie to bezużyteczne bydło w szeregi! Rebelianci atakują imperatora!

Ye-tai nagle zrozumieli. Jak jeden mąż spojrzeli w kierunku zwykłych żołnierzy. Chwilę później zabrali się do znajomego i doskonale przez nich opanowanego zajęcia, jakim było poganianie piechoty.

Walentynian i Anastazjusz zaczęli naśladować swojego generała. Weterani nie mówili oczywiście w języku Ye-tai, ale ich prosty hindi był więcej niż dobry do tego celu. W ciągu kilku minut Rzymianie zebrali trzy setki Ye-tai i zorganizowali ich w oddziały, które z kolei zaganiały

i kierowały w odpowiednią stronę około dwóch tysięcy zwykłych żołnierzy. Malawiańscy żołnierze nie protestowali przeciwko takiemu traktowaniu, szczególnie po tym, jak Ye-tai zademonstrowali swoją gotowość do zabicia każdego, kto by się wahał, czy próbował uciekać.

Menander był zaskoczony sukcesem tego manewru. Sam próbował naśladować działania generała i weteranów. Niestety, nie osiągnął podobnego rezultatu, ale jego rozkazy nie spotkały się z pełnym brakiem odzewu. Tylko jeden Ye-tai zakwestionował autorytet Rzymian i nie posłuchał rozkazu. Menander zgadywał, że to oficer, o ile dobrze rozpoznał subtelne szczegóły jego uniformu. Ale nie był pewien, bo mundur męczyzny prawie natychmiast pokrył się krwią. Uderzenie miecza Walentyniana pozbawiło żołnierza lewego ramienia, po czym ostrze do połowy weszło w klatkę piersiową.

Teraz, zebrana naprędce, niewielka armia Belizariusza poruszała się w górę zbocza. Zwykła piechota szła przodem, w liniach tak poszarpanych, że trudno je było w ogóle nazwać formacją. Ale poruszali się naprzód z bronią w ręku, z oczami utkwionymi w rebeliantów, którzy atakowali żołnierzy, trzymających straż przy namiocie imperatora jakieś dwieście metrów przed nimi. Za nimi szli Ye-tai. Szyk bojowy barbarzyńców był tak samo poszarpany jak linie piechoty, ale Ye-tai odzyskali swój bojowy zapał i odwagę. Bez litości pędzili przed sobą malawiańskich żołnierzy.

Czterej Rzymianie trzymali się z tyłu, nie spuszczać wojska z oczu i kontrolując sytuację.

Menander szedł teraz obok Anastazjusza i Walentyniana. Ciągłe nie przestawał się dziwić.

Anastazjusz, patrząc na minę młodego katafrakta, zaśmiał się.

- Widzisz, chłopie? – zadudnił gigant. – Pobite oddziały są jak stado owiec. A jeżeli chodzi o Ye-tai...

Walentynian wyszczerzył zęby.

- To alfonsi, chłopcze. Nic więcej, tylko pieprzeni sutenerzy.

Menander zamknął usta, a jego twarz splonęła czerwienią. Młody katafrakt popatrzył przed siebie, ponad masą nacierających Malawian i Ye-tai idących przed nim. Zobaczył pawilon, teraz do połowy zawalony, a wyczuwał furię walczących stron – rebeliantów i straży przybocznej imperatora.

- Ciągłe mają nad nami przewagę liczebną – zauważył. Anastazjusz spojrzał na niego z uznaniem. W głosie młodzieńca nie było strachu, tylko prosta, zimna kalkulacja.
- To prawda, chłopie. – Potężny Trak szybko oszacował wzrokiem idącą przed nimi małą armię. – Ale uderzymy na tyły rebeliantów i wtedy zostaną zamknięci w kleszczach pomiędzy dwiema siłami. I...
- Teraz myślą sobie, że już wygrali – wtrącił się Walentynian. – Kiedy uderzymy na nich z tyłu, będzie to dla nich całkowitym zaskoczeniem.

Menander pamiętał bitwę z piratami na statku wiozącym emisariuszy Malawy z Rzymu do Indii. W tej potyczce odniósł ciężką ranę, ale był na tyle przytomny, żeby zauważyć, jak szybko upadło morale piratów, kiedy Belizariusz poprowadził na nich niespodziewane kontrnatarcie. Skinął głową i mocniej zacisnął dłoń na rękojeści miecza. Byli teraz nie dalej jak sto metrów od miejsca walki, toczącej się przed pawilonem.

- Pamiętajo tym, chłopcze – zasyczał mu do ucha Walentynian – nigdy nie uznawaj bitwy za

wygraną, zanim nie zapłacisz za pierwszy kielich wina na libacji czczącej zwycięstwo. Zapłacisz, miej to na uwadze. Zgrabione wino to okazja dla głupców. Wróg powróci i podetnie ci gardło, zanim przełkniesz pierwszy łyk.

Anastazjusz zamierzał dodać kolejny okruch weterańskich mądrości do zbioru Menandra, ale jego słowa utonęły w nagłym hałasie. Malawiańscy żołnierze rozpoczęli atak, wyrzaskując swoje zawołania bitewne. Teraz Menander nie mógł już nic zobaczyć z wyjątkiem idących przed nim Ye-tai i pozostałości namiotu imperatora, furkoczących w oddali. Ponad hałasem, czynionym przez wrzeszczących Malawian, słyszał pierwsze wycia rebeliantów zaskoczonych i przerażonych nagłą napaścią. Chwilę później szcęk metalu o metal powiększył jeszcze ogólny rozgardiasz i hałas na polu bitwy. A potem, tu i tam, zahuczały wybuchy granatów, niemożliwe do pomylenia z jakimkolwiek innym dźwiękiem.

Menander zaczął pchać się do przodu. Belizariusz powstrzymał go ruchem dłoni.

- Nie – rozkazał. – Niech Malawianie sami walczą za swojego władcę. My dostarczyliśmy im armię. Niech jej użyją, albo niech zmarnują okazję. My wykonaliśmy już nasze zadanie.

Menander zobaczył, jak z oczu generała w jednej chwili znika wszelka myśl o terażniejszości. Młody katafrakt wstrzymał oddech. Wiedział, czego jest świadkiem, widział to już wcześniej wiele razy, ale ten widok niezmiennie napełniał go nagłą falą uczuć religijnych i respektu. Jego wielki generał komunikował się z talizmanem od Boga.

Chwila, jak zwykle, szybko minęła. Kiedy Belizariusz zwrócił swe brązowe oczy na katafraktów, znów wypełniała je bystra inteligencja, tak dla niego charakterystyczna.

- Ale bądźcie gotowi – rozkazał im. – Może nadejść taka chwila, kiedy będziemy musieli włączyć się do walki. O ile nam się uda, musimy dotrzeć jak najbliżej imperatora.

Rozejrzał się uważnie dookoła i uśmiechnął swoim krzywym uśmiechem.

- A na razie, Menandrze, będziesz tak miły i podasz mi ten granat, który tam leży? I ten drugi. Postępuj jak złodziej w nocy. Chcę przesznuć kilka takich urzędzeń z powrotem do Rzymu.

Nie widząc żadnych nieprzyjacielskich oczu, które mogłyby go śledzić, Menander szybko zabrał dwa granaty i ukrył je w fałdach tuniki. Potem, po chwili namysłu, przewiązał swoją tunikę krwawym strzępem, oddartym z odzienia martwego malawiańskiego piechura.

Walentynian zmarszczył brwi.

- To może nie być taki dobry pomysł, chłopie – wymamrotał. – Prawdopodobnie malawiańscy felczerzy zechcą obejrzeć tę twoją tak zwaną ranę.

Anastazjusz zaczął coś mówić, ale Menander przerwał mu w pół słowa.

- Malawianie nie mają felczerów. Ani sanitariuszy. Jeżeli zostajesz ranny w bitwie – młody katafrakt wzruszył ramionami gestem człowieka dużo starszego i bardziej doświadczonego – to masz przesrane. Sam się pozbieraj, albo poproś przyjaciela, żeby ci pomógł.

Walentynian cicho zagwizdał.

- Żartujesz sobie. – Jego pociągła twarz przybrała bardziej niż zwykle łasicowaty wygląd. – Myślałem, że oni są cywilizowani!

Podczas tej wymiany zdań, Belizariusz ani na moment nie przestawał patrzeć na pole bitwy, toczącej się przed pawilonem. Ale zareagował na ostatnią uwagę Walentyniana.

- Oni są cywilizowani, Walentynianie – powiedział szorstko. – I to właśnie czyni z nich tak niebezpiecznych przeciwników.

Bitewny zgiełk zaczął się wzmagać. W masie żołnierzy pojawiły się puste miejsca – coraz więcej rebeliantów decydowało się na ucieczkę. Malawianie ruszyli za nimi w pogoń. Rebelianci zostali rozbici, ich szalona odwaga załamała się, kiedy znaleźli się pomiędzy przyboczną strażą imperatora a niespodziewanie atakującymi Malawianami. Na wpół zorganizowane szeregi obu stron powoli zamieniały się w rozszały chaos, rozpadały się na małe grupki walczących, tnących i tratujących się nawzajem. Bitwa przerodziła się w masakrę. Rebelianci ciągle przewyższali liczebnie Malawian, ale teraz nie miało to znaczenia. Uciekający żołnierze stawali się łatwą zdobyczą.

- Za mną – rozkazał Belizariusz. Generał zaczął przedzierać się przez chaos bitwy, niemalże wycinając sobie drogę w szalejącym tłumie. Jego katafrakci ochraniali go po bokach, uważni i czujni do granic możliwości, gotowi zabić każdego, rebelianta czy lojalistę, kto chociażby spojrział na Belizariusza złym okiem. Walentynian zranił jednego z rebeliantów. Mężczyzna nie zamierzał ich atakować, szukał tylko wolnej ścieżki, którą mógłby się wydostać z masakry i uciec na wolność. Ale w swej desperacji mieszkaniec Ranapuru pędził prosto na Belizariusza, machając mieczem, aż Walentynian zadał mu śmiertelny cios w gardło. Anastazjusz zabił jednego z Ye-tai. Barbarzyńca stał na drodze i wrzeszczał, jego oczy były pełne wściekłości i furii. Nawet nie patrzył w ich stronę, ale oszołomiła go żądza krwi i katafrakt wiedział, że pojawienie się obcych w zasięgu wzroku może go sprowokować do ataku. Anastazjusz nie dał mu tej szansy.

Wreszcie dotarli do pawilonu, a przynajmniej do tego, co z niego pozostało. Mijali stosy zmasakrowanych ciał Ye-tai i Radżputów, którzy zginęli osłaniając swojego władcę. Musieli się przebić przez masę splątanych linek i pofałdowanej tkaniny, żeby dostać się do środka.

Wnętrze namiotu jawiło się niczym jakaś fantastyczna, przerażająca kraina. Po jednej stronie stała waza o przepięknym kształcie i wzorze, a z jej uchwytych zwieszały się girlandy ludzkich jelit. Z drugiej strony ze szczątków naczynia połączonego z wazą wylewał się mózg martwego Ye-tai, którego roztrzaskana głowa spoczywała na podstawie kolumny. Obeszli niewielką stertę złożoną z ciał trzech pozbawionych życia żołnierzy – Radżputy i dwóch rebeliantów, złączonych nie tylko śmiercią, ale także wspólnie zaplątanych w metry poszarpanego jedwabiu, który dla każdego z nich jednakowo służył jako całun.

Dotarli do dziwacznej przeszkody – jedna z wielkich tyczek podtrzymujących namiot leżała na ich drodze niczym zwalone drzewo, blokujące ścieżkę w lesie. W tym miejscu stoczono bardzo ząartą bitwę. Ye-tai użyli masztu jako barykady. Wiele ciał lojalnych żołnierzy zwieszało się z tyki, ale i tak ilość ta była nieporównywalna ze stertami wznoszącymi się przed przeszkodą niczym górskie stoki.

Nie było innej drogi i musieli wspiąć się na te góry ciał. Rzymianie zrobili to bez wahania,

weterani i Belizariusz z zimnym, pozbawionym emocji wyrazem twarzy doświadczonych wojowników, Menander blady i skupiony. Blisko wierzchołka sterty, tuż poniżej krawędzi wyznaczonej przez zwalony maszt, Menander natknął się na ciało martwego rebelianta. Był to chłopiec, nie miał więcej niż piętnaście lat, leżał na plecach i niewidzącym wzrokiem patrzył na wiszące nad nim zwoje przepięknego jedwabiu. Cięcie miecza albo pchnięcie włócznią rozplatało klatkę piersiową i brzuch chłopca. Ale to nie rozwłózione jelita, przelewające się przez krawędź żeber tak wstrząsnęły Menandrem – to klatka piersiowa wyglądająca jak delikatne i kruche żebra bezdomnego kociaka.

Menander nagle zdał sobie sprawę, że atak rebeliantów, chociaż bardzo sprytny i dobrze zaplanowany, był jednakże aktem ostatecznej desperacji. W Ranapur ludzie umierali z głodu.

- Jesteśmy po złej stronie – wymamrotał. Myślał, że nikt go nie usłyszał, ale odpowiedź Walentyniana dotarła do niego natychmiast.
- Cierpliwości, kolego. Cierpliwości. Niedługo będziemy przedzierać się przez zwały malawiańskich trupów. – Głos Walentyniana, co nieczęsto się zdarzało, był miękki i delikatny. Lata nabywania doświadczenia sprawiły, że katafrakt stał się zimny i bezduszny, ale przecież nie do końca pozbył się serca. Ciągłe pamiętał pierwszą bitwę, w jakiej brał udział, i rzeź, jaka nastąpiła później. Podczas tej walki jego flaki nie dołączyły do rozwłóczonych w pyle wnętrzności innych żołnierzy. Już jako młodzieniec Walentynian był niesamowicie sprawny w boju. Ale kiedy bitwa dobiegła końca, zawartość żołądka katafrakta obficie upstrzyła jego ubranie i ziemię wokół. Nie mógł powstrzymać wymiotów jeszcze długo po tym, jak w jego żołądku nie zostało absolutnie nic do wyrzucenia, aż zapadł miłosierny, kryjący wszystko mrok.

Kiedy przedarli się już przez zwalony maszt, Rzymianie znaleźli się na większej, nieograniczonej przeszkodami przestrzeni. Byli w centrum pawilonu. Cztery główne maszty ciągle stały, podtrzymując tkaninę, która chociaż nieco obwisła, ciągle wznosiła się co najmniej pięć metrów nad ziemią. Panował tu półmrok, rozjaśniany jedynie przez promyki słońca wpadające do środka przez liczne rozdarcia w tkaninie namiotu.

Krzyki i jęki z pola bitwy dochodziły tutaj mocno stłumione. I po raz pierwszy od czasu, kiedy weszli do pawilonu, Rzymianie napotkali żywych ludzi. Byli to strażnicy Ye-tai w pełnej bojowej gotowości. Ośmiu Ye-tai, zauważywszy obcych, podniosło miecze i zaczęło ich okrążyć. Nagie ostrza w ich dłoniach pokrywała gruba warstwa krwi.

Belizariusz zaczął coś mówić, ale przerwał mu szorstki głos. Był to głos Rana Sangi.

- Zatrzymajcie się! To Rzymianie. Goście naszego imperatora.

Chwilę później radzpucki książę wyłonił się z mroku i stanął pomiędzy Ye-tai i Rzymianami. Radzputa był cały pokryty krwią, od nasiąkniętej posoką brody do mokrych butów. Ale nikt, kto widział jego majestatyczną postać, nawet przez moment nie wątpił, że ani kropla tej krwi nie należała do niego.

Sanga stawiał czoło Ye-tai, podnosząc swój miecz. Ostrze, podobnie jak jego właściciel, spływało krwią.

- Odłóżcie miecze na bok! – zawołał donośnym głosem. – Albo sam wypruję wam flaki!

Strażnikom Ye-tai, mimo że posiadali wiele negatywnych cech, nie brakowało odwagi. Ale

w zderzeniu z Sangą stchórzyli niczym szakale uciekające przed tygrysem.

Sanga nie wysilił się nawet na drwinę. Odwrócił się do nich plecami i skłonił Rzymianom. Podniósł miecz gestem pozdrowienia. Grzeczność jego poczynań była niemal komiczna, w pewien makabryczny sposób, gdyż za ruchem jego miecza podążył mały łuk rozprysniętej krwi.

- Witaj Belizariuszu. – Przerzucił miecz do lewej dłoni, jego tarcza nie nadawała się już do użytku, strzaskana na drobne kawałki. Postąpił krok do przodu i wyciągnął prawą rękę. – I dziękuję ci... my ci dziękujemy. Widziałem wasze przeciwnatarcie. Tylko dzięki temu zachowaliśmy życie.

Ale w uścisku ich rąk trudno było się dopatrzeć ciepła i szczerości. Podobnie jak w spojrzeniu dwóch par ciemnych oczu, patrzących na siebie – obaj mężczyźni byli prawie jednakowego wzrostu, więc bez wysiłku mogli patrzeć sobie w oczy. Belizariusz, uważnie wpatrując się w Rana Sangę zrozumiął, jakie pytanie kryje się w jego źrenicach.

- Ja też złożyłem przysięgę – powiedział miękko. Rana Sanga zmarszczył brwi.
- Innemu imperatorowi – głos Rzymianina prawie zamienił się w szept.

Zamiast zdziwienia na twarzy Radżputy pojawiło się zrozumienie. Belizariusz prawie pożałował swoich słów, gdyż wiedział, że zbytnio się odkrywa. Był pewien, że Sanga nie rozumiał, dlaczego on zrobił to, co zrobił. Nie miał wątpliwości także co do tego, że Radżputa znał go doskonale. A generał nikogo nie bał się bardziej niż przeciwnika, który dobrze go rozumiał.

Przez chwilę dwaj przysli przeciwnicy patrzyli na siebie. Potem usta Sangi wykrzywiły się w sposób, przynajmniej dla przyglądających się katafraktów, uderzająco podobny do krzywego uśmiešku generała.

- Więc – wymamrotał Sanga tak cicho, że tylko Belizariusz mógł go usłyszeć. – Mówi się zawsze w obronie pana Venandakaty, że on nie jest naiwniakiem. To jego jedyna zaleta, tak mówią. – Uśmiech jeszcze bardziej wykrzywił twarz Radżputy. – Wygląda jednak na to, że ten wielki pan nie posiada nawet tej zalety.

Belizariusz nie odezwał się. Wzruszył tylko lekko ramionami, podniósł brew i też uśmiechnął się swoim krzywym uśmieżkiem.

Sanga odwrócił się.

- Czy masz ochotę na spotkanie z imperatorem? – zapytał. – Nie sądzę, żeby w tej sytuacji etykieta była jakąkolwiek przeszkodą. Nie mogą odmówić widzenia komuś, kto uratował im tyłki.

Belizariusz poszedł więc za Radżputą do małego, wydzielonego pomieszczenia w namiocie, uformowanego przez naprędce ułożoną barykadę z mebli i rzeźb. Było tam bardzo ciemno – do pomieszczenia docierało niewiele słonecznego światła. Ale Belizariusz mógł zobaczyć skulonego na podłodze mężczyznę w średnim wieku, niskiego i raczej korpulentnego, ubranego w kosztowne jedwabne szaty i otoczonego gromadą innych ludzi w podobnym wieku i strojach. Jednym z nich był pan Venandakatra. Twarz Nikczemnika była prawie nierozpoznawalna. Zwyczajową inteligencję na jego obliczu zastąpiła teraz maska zastygłego strachu.

- Musisz wybaczyć imperatorowi jego pozycję – wymamrotał Sanga. – Musiałem użyć tronu, żeby wzmocnić barykadę.

Radźputa wystąpił naprzód. Imperator i jego dworzanie popatrzyli na niego z dołu. Pod ciemną indyjską karnacją, skóra ich twarzy powlokła się bladością.

- Wasza Wysokość, czy mogę wam zaprezentować generała Belizariusza, emisariusza z Rzymu? Zawdzięczamy mu życie. To on zorganizował przeciwnatarcie, które rozniosło rebeliantów w pył.

Do mózgu Belizariusza wdarł się głos Doradcy, ostry i zimny jak stal.

**Musisz spojrzeć mu w oczy. Muszę zobaczyć oczy imperatora.**

Belizariusz postąpił krok do przodu i ukląkł na kolana, kłaniając się przed imperatorem Malawy. A potem podniósł wzrok i spojrzał prosto w oczy Skandagupty z odległości nie większej niż pół metra.

Imperator miał oczy małe, blisko osadzone, ciemnobrązowe. Były lekko rozkojarzone, jakby umysł, kryjący się za nimi, ciągle pozostawał w stanie szoku. Co zresztą, jak sądził Belizariusz, pewnie było prawdą. Podejrzewał, że nigdy przedtem wielki imperator Malawy nie spojrzał śmierci w twarz z tak małej odległości.

Poza tym w oczach imperatora Belizariusz nie zauważył niczego więcej.

Chwilę później Doradca przekazał mu swój własny osąd, zimny i pozostający w zgodzie z obserwacjami generała.

**Nic. Ognia tu nie ma. Nie ma nic więcej, tylko imperator.**

Belizariusz mógł tylko powstrzymać się od tłumionego śmiechu.

## **Rozdział 6**

- To zwierzęta – wysyczał Menander.

Młody katafrakt miał z natury bladą cerę. Ten kolor skóry, wraz z jasnymi włosami i niebieskimi oczami, odziedziczył prawdopodobnie z krwią Gotów, która płynęła w jego żyłach, podobnie jak u wielu Traków. Teraz jego skóra nie miała jasnego odcienia. Była po prostu kredowobiała. Częściowo dlatego, że czuł się niedobrze, ale głównie, jak przypuszczał Belizariusz, z powodu trawiącego go gniewu.

- Zabijają nawet dzieci! Nawet niemowlęta!

Cera generała, inaczej niż u Menandra, zachowała swój naturalny, lekko oliwkowy kolor. Nie mógł zamknąć całkowicie uszu na odgłosy masakry, słyszał je z odległości nawet ponad kilometra. I chociaż, odwrotnie niż przyciągany jakąś chora ciekawością Menander, generał nie udał się pod zdobyte miasto, żeby być świadkiem rzezi, nie miał najmniejszej trudności z wyobrażeniem sobie scen, dziejących się w Ranapur. On, podobnie jak jego weterani, widział już takie rzeczy. Widział je więcej niż jeden raz, jeżeli już o tym mowa, nawet jeżeli nigdy nie widział masakry na taką skalę.

Czterej Rzymianie stali w małej, odizolowanej od reszty grupce tuż przed wejściem do pawilonu imperatora Malawy. Przed wejściem do jego nowego pawilonu, wzniesionego w pośpiechu w ciągu czterech dni od momentu, w którym Ranapur się poddał.

Teraz zdobywanie miasta było już prawie zakończone. Nie z powodu nagłego przypływu

miłosierdzia, ale dlatego, że Malawianie zabili już prawie wszystkich, którzy ukrywali się w Ranapur. Wszystkich – nawet, jak mówił Menander, małe dzieci.

Dzisiaj upływał piąty dzień od chwili, kiedy Malawianie złamali wreszcie ostatecznie opór obrońców miasta. Skuteczny atak nastąpił następnego ranka po tym, jak Belizariusz i jego ludzie pomogli odeprzeć wycieczkę rebeliantów, mającą na celu zabicie imperatora. Ta wycieczka była ostatnim zrywem oblężonego miasta.

- To nasza wina – wyszeptał Menander.

Belizariusz położył delikatnie dłoń na ramieniu katafrakta.

- Tak i nie, Menandrze. Nawet gdyby rebelianci zabili imperatora, Ranapur i tak by upadł. Może trzymałby się kilka tygodni dłużej, ale następca Skandagupty z pewnością by go zdobył.

Słowa generała najwyraźniej nie przyniosły Menandrowi ulgi. Wzdychając lekko, Belizariusz odwrócił katafrakta przodem do siebie i spróbował popatrzeć mu w oczy. Młodzieniec spuścił wzrok.

- Spójrz na mnie, Menandrze – rozkazał generał. Katafrakt posłusznie podniósł głowę. Belizariusz z trudem wytrzymał jego spojrzenie, przepełnione goryczą i niewypowiedzianym oskarżeniem.
- Jeżeli ktokolwiek ponosi za to winę, Menandrze, to ja, a nie ty. Ja jestem twoim generałem i ja wydałem ci rozkaz.

Menander zacisnął szczęki i odwrócił oczy.

Walentynian, stojący za plecami Menandra, wtrącił się szorstko do rozmowy.

- To czysta bzdura, panie, wybacz mi, że tak mówię. Ty przecież nie wydałeś rozkazu, żeby zrobić coś takiego.

Weteran zamierzał dodać coś jeszcze, ale Belizariusz uciszył go ruchem dłoni.

- Nie o to chodzi, Walentynianie. Po prostu wiedziałem, że do tego dojdzie, kiedy wydawałem te rozkazy, które wydawałem. Już tak robiłem wcześniej – wydawałem rozkaz moim żołnierzom, żeby szturmowali miasto, które nie zamierza się poddać.
- To nie to samo, panie – zagrzemiał Anastazjusz. – Prawda, zdarzało się, że traciłeś kontrolę nad swoimi oddziałami podczas oblężenia. Nie znam generała, który jest w stanie w pełni kontrolować swoich żołnierzy podczas szturmów. Ale robiłeś wszystko, co tylko mogłeś, żeby przywrócić dyscyplinę tak szybko, jak to tylko możliwe. Stosując surowe kary, z wieszaniem żołnierzy, którzy popełniali okrucieństwa, włącznie.

Wielki Trak splunął na ziemię.

- Ci Malawianie nie wyrwali się spod kontroli swoich dowódców. Im po prostu rozkazano zabijać i gwałcić. Osobista straż imperatora dawała im dobry przykład. – Splunął ponownie. – Te psy Ye-tai.



Menander zadrżał. Wydawało się, że ten gest przyniósł mu nieco ulgi. Chłopiec otarł twarz.

- Przynajmniej Radżpuci nie brali w tym udziału – powiedział cicho. – Nauczyłem się lubić tych ludzi, w pewien sposób, przez ostatnich kilka tygodni. Musiałbym ich znienawidzić, gdyby...

Walentynian zaśmiał się.

- Nie brali udziału? Matko Boska, wczoraj myślałem, że dojdzie do wojny domowej!

Belizariusz i Anastazjusz zachichotali. Menander nagle odzyskał naturalne kolory. Jednak uśmiech na twarzy młodzieńca był ostrzejszy, niż widuje się u jego rówieśników.

- To było coś, nieprawdaz? Kiedy Ye-tai zaoferowali im to, co pozostało po szlachciankach z Ranapur. Gdyby Rana Sanga ich nie powstrzymał, jestem pewien, że ten ich śmierdzący imperator potrzebowałby nowej przybocznej straży.

Menander wyprostował się, rozpostarł ramiona. Rzucił ostatnie, szybkie spojrzenie na Ranapur.

- Już wszystko w porządku, generale – powiedział.

Z namiotu imperatora dobiegł dźwięk kotłów. Podczas gdy Rzymianie używali rogów dla zwrócenia uwagi i podkreślenia wagi momentu, Malawianie walili w wielkie bębny.

- To sygnał dla nas – powiedział Belizariusz. – Chodźcie za mną. I pamiętajcie, cokolwiek będą robili Malawianie, my jesteśmy Rzymianami.

\* \* \*

Wnętrze pawilonu było bardzo zatłoczone, ale Rzymianie bez trudu przedarli się przez tłum. Malawiańscy szlachcice i dostojnicy rozstępowali się grzecznie na ich widok. Nawet straż przyboczna, złożona z Ye-tai, schodziła im z drogi, chociaż nie bez gniewnych, wieloznacznych uśmiezków, skierowanych w ich stronę.

- Jestem pewien, że szykują dla nas coś specjalnego – wymamrotał Anastazjusz.

W centrum pawilonu Rzymianie znaleźli wolną przestrzeń, gdzie Malawianie przygotowali dla swoich gości honorowe miejsca. Niewielki placyk miał nieregularny kształt koła o średnicy około dwunastu metrów. Przestrzeń tę otaczali żołnierze trzymający na dystans kłębiący się tłum urzędników, szlachty i innych ważnych osobistości. Większość wojowników należała do straży przybocznej imperatora, ale pomiędzy nimi wyróżniał się niewielki, piętnastoosobowy oddziałek Radżputów. Trzymali się na uboczu, wyprostowani i pełni godności, nie poświęcając otaczającym ich Ye-tai nawet jednego spojrzenia.

Sam imperator siedział na tronie zrobionym z jakiegoś nieznanego gatunku drewna, rzeźbionego w przepiękny sposób. Rzymianie nie mogli dostrzec zbyt wielu szczegółów, ale rzeźba była bardzo oryginalna. Większość drewna przykryto jedwabnymi poduchami, resztę przyozdobiono blaszkami złota, kamieniami i kością słoniową. Wokół imperatora, na nieco skromniejszych, ale równie pięknych siedziskach, spoczywali jego najbliżsi kuzyni i krewniacy. Venandakatra zajmował

pomiędzy nimi wyraźnie poczesne miejsce.

Po przekątnej, przed imperatorem i po jego prawicy, siedzieli główni dowódcy armii Malawy. Było ich ośmiu, zebranych w dwa rzędy. Spoczywali na bogatych poduchach, w dziwacznej pozie ze skrzyżowanymi nogami, tak chętnie przyjmowanej przez Indusów i nazywanej przez nich pozycją kwiatu lotosu.

Belizariusz z zaciekawieniem zauważył, że pomiędzy dowódcami zasiadał także Rana Sanga. Natomiast brakowało pana Harszy. Do Belizariusza doszły już słuchy, że poprzedni głównodowodzący armii został zdjęty ze stanowiska i w pohańbieniu wygnany do swoich posiadłości. Pan Harsza nie był bezpośrednio skoligacony z imperatorem, więc prawdopodobnie karą za jego porażkę będzie śmierć. Na jego miejscu siedział kolejny z wielu kuzynów Skandagupty, pan Tatagata.

Belizariusz z uwagą przyjrzał się nowemu dowódcy malawiańskiej armii. Pan Tatagata był średniego wzrostu, mocno zbudowany i w średnim wieku. Poza tym niewiele można było wyczytać z oczu tego człowieka, ukrytych pod opuszczonymi, ciężkimi powiekami i z grubo ciosanych rysów jego twarzy. Belizariusz spojrzał też na Rana Sangę. Radźputę posadzono w drugim rzędzie dowódców. Siedział wyprostowany, jego głowa znacznie wystawała ponad głowy innych. Napotkał spojrzenie Belizariusza. Jego oczy wyglądały jak czarne agaty – puste, wypolerowane i nic nie mówiące.

Po lewicy imperatora, także lekko po przekątnej, przygotowano miejsce dla zagranicznych gości. Etiopczycy już tam siedzieli. Dla wysokich rangą gości ustawiono wybite pluszem krzesła, przystrojone dodatkowo jedwabiem. Książę Eon i Garmat dostali takie właśnie siedziska, a Ousanas i dwaj sarweni stali za nimi w unizonych pozach. Trzecie krzesło czekało na Belizariusza. Zajął więc miejsce, a jego katafrakci ustawili się za nim.

- Czyż to nie zabawne? – wymamrotał Garmat, kiedy Belizariusz usiadł obok niego. Młody książę Eon, najwyraźniej pouczony przez doradcę, zachowywał kamienny wyraz twarzy. Ale Belizariusz, który znał chłopca już dość długo, po napięciu jego mocnych, muskularnych ramion wywnioskował, że Eona trawi wielki gniew.
- Jaki jest cel tej małej uroczystości? – zapytał Belizariusz. – Czy wiesz, po co nas tutaj wezwano?

Podobnie jak Garmat, generał mówił bardzo cicho, tak żeby jego słowa znikły w zgiełku czynionym przez zebranych w pawilonie rozmawiających ludzi. I tak jak Garmat używał języka ge'ez. On i Garmat dawno już ustalili, że mowa Etiopczyków nie jest znana Malawianom.

Garmat potrząsnął lekko głową.

- Nie wiem. Chociaż z pewnością nie jest to nic miłego. Tego możesz być zupełnie pewien.

Bębny zagrzmiały po raz kolejny. Tłum w pawilonie powoli się uciszał.

Garmat zacisnął usta.

- Cokolwiek by to było – wyszeptał – przynajmniej nie będziemy musieli tu wysiadywać przez całą niekończącą się audiencję. Popatrz na Venandakatrę.

Belizariusz spojrzał na malawiańskiego pana i napotkał jego wzrok. Pierwszy Nikczemnik skinął lekko głową, bardzo uprzejmie. Z jego oczu bił blask.

W pawilonie zapadła cisza. Venandaktra wstał z krzesła i wystąpił naprzód, tak że znalazł się na małym skrawku wolnej przestrzeni pomiędzy imperatorem a jego najbardziej honorowymi gośćmi i oficerami.

Jak tylko Venandaktra zaczął mówić, Belizariusz zorientował się, że Garmat miał rację. Przynajmniej nie będą musieli długo czekać na gwóźdź programu. Venandaktra przebrnął najszybciej, jak się dało przez oficjalne pozdrowienia imperatora, które zazwyczaj zajmowały pełną godzinę.

Zmarnował jednak sporo czasu, przypominając publiczności, że Skandagupta jest prawdziwym „księżycem pośród władców tego świata, ulubieńcem bogów i słońcem mężnych wojowników”.

Potem kolejne minuty zajęło mu rozwodzenie się nad krokiem imperatora, który jest „piękny jak krok wybranego słonia”, i że „bije z niego moc i zręczność tygrysa o niespotykanej mężności”.

Aby ukazać duchowe przymioty imperatora, Venandaktra przez jakiś czas opowiadał o „pogłosie kotłów, który stał się pogłosem Prawa Pobożności” i o innych podobnych przejawach prawości i sprawiedliwości Skandagupty.

Wreszcie przez kilkanaście minut rozwodził się na temat niesamowitej mądrości imperatora, z której to przemowy oniemiała publiczność dowiedziała się, że Skandagupta „zawstydzę wszystkich swym ostrym i wypolerowanym intelektem, umiejętnością śpiewu i grą na instrumentach. On sam jest wart tysięcy uczonych i ich przemyśleń. Jego poezje i styl nie mają sobie równych wśród obecnych i przeszłych pokoleń pisarzy.”

Na szczęście Venandaktra nie zdecydował się na recytację wierszy.

Perora Venandakтры, zbliżająca się już na szczęście do końca, zmieniła nagle kierunek i zahaczyła o niebiosa. Nikczemnik przypominał wszystkim, kim jest Imperator, a mianowicie:

Adihradzą – królem nad królami,

Radżatiradzą – królem nad królem nad królami,

Dewaputrą – synem niebios,

Mahati dewatą – wielką boskością w ludzkim kształcie.

A potem odrzuciwszy wszelką fałszywą skromność, Venandaktra dodał jeszcze:

Achintaja Purusza – niewysłowiona istota,

Paramadadziwata – najwyższa boskość.

- I to wszystko – zdziwił się Garmat, spoglądając na imperatora siedzącego na swoim tronie – w takim małym, tłustym ciałku. Któż mógłby przypuszczać?

Belizariusz z trudem powstrzymał uśmiech. Udało mu się to dzięki temu, że Venandaktra porzucił wreszcie temat imperatora i zaczął rozwodzić się nad Ranapurem. Szybko stało się jasne, że ten właśnie temat jest motywem przewodnim jego przemowy. Samo oblężenie Pierwszy Nikczemnik opisał zaledwie kilkoma zdaniem, co według malawiańskich standardów miało być jawną i zamierzoną obrazą pod adresem oficerów i dowódców. Następnie Venandaktra skoncentrował się na opisie kary, jaką ponieśli mieszkańcy Ranapur.

Belizariusz słuchał przez kilka minut, zafascynowany wbrew samemu sobie. Nie słowami, jakich używał Venandaktra, a które tworzyły niekończącą się rzekę barwnych opisów tortur, zastosowanych wobec mieszkańców zbuntowanego miasta, ale samym faktem, że Malawianie tak bezkarnie i z dumą się nimi chwalili. Nawet najbardziej okrutny rzymski cesarz zawsze kładł zasłonę milczenia na swe nikczemne czyny i krwawe postęпки.

Po pewnym czasie do generała przestały docierać słowa mówcy. Słyszał już nieraz opisy

nikczemnych postępków Malawian, co prawda nie z uśmiechniętych ust Venandakatry, ale z białych, zaciśniętych warg Menandra. Wiedział o ludziach wbitych na pal, o spalonych, o rozdzieranych na części przez rozszalałe woły, rzuconych na pożarcie tygrysom, deptanych przez słonie i – ulubiona tortura imperatora – o mężczyznach i kobietach, którym specjalnie szkolone bojowe słonie wyrwały ręce i nogi. Te słonie, jak słyszał generał, imperator dostał od samego Venandakatry jako prezent specjalny.

Belizariusz skoncentrował się na swoim wnętrzu i przywołał Doradcę.

*Czy to niewiarygodne okrucieństwo to robota Ogniwia? Czy imperator tak postępuje, bo Ogniwio mu każe?*

Odpowiedź nadeszła natychmiast i nie zawierała ani śladu niepewności.

**Nie. Ogniwio nie jest okrutne. Ogniwio to maszyna. Okrucieństwo nic dla niej nie znaczy.**

**Liczą się tylko rezultaty.**

*Więc może to nowi bogowie wymagają okrucieństwa?*

Moment zawahania. Tylko krótka chwila.

**My... my tak nie uważamy. Oni są zbyt... zbyt zimni. Oni też szukają tylko rezultatów.**

**Ale...**

Myśl zawirowała i rozpadła się na kawałki. Belizariusz złapał jednak wystarczająco dużo okruchów, żeby zrozumieć.

*Tak. Oni szukają tylko rezultatów i nie czerpią osobistej przyjemności z okrucieństwa. Ale rezultat można osiągnąć na wiele różnych sposobów. A oni w naturalny sposób wybiorą właśnie tę drogę. To ich instynktowna odpowiedź na opór: zabijanie, tortury, rządzenie terrorem.*

**Tak.**

*A Wielcy? Jaka jest ich instynktowna odpowiedź, kiedy pragną osiągnąć swe cele, a inni próbują im w tym przeszkodzić?*

Cisza. A potem niepewny głos.

**To trudno wyjaśnić. Oni są nawet zimniejsi, na swój własny sposób. Po prostu zaakceptują opór i będą próbowali go obejść. Dlatego właśnie nas stworzyli, nas, którzy prawdopodobnie jesteśmy najzimniejsi z wszystkich istot. Jesteśmy inteligentni inaczej niż komputery. Ale podobnie jak one, nie żyjemy.**

Jeszcze bardziej niepewnie.

**A przynajmniej nam się wydaje, że nie jesteśmy żywymi istotami. Nie jesteśmy pewni.**

Doradca zamilkł. Belizariusz wiedział, że w tej chwili nie uzyska od niego nic więcej. Rozmyślał nad tym, co usłyszał, aż Garmat przywrócił go do rzeczywistości.

- Już prawie skończył – wyszeptał Aksumita.
- W swej boskości – wrzeszczał Venandakatra – wielki Bóg Na Ziemi przeciągnął na swoją stronę wszystkie moce wszechświata. Nawet w momencie, kiedy złe siły były pewne swego triumfu, sprawił, że spadł na nich gniew naszych sprzymierzeńców. I tak zdławiono tę demoniczną rebelię!

Venandakatra wykonał drobny ruch dłonią. Czterech niedźwiedziowatych urzędników wystąpiło naprzód, niosąc wielką skrzynię. Postawili ją przed Belizariuszem. Trzech odsunęło się o krok do tyłu.

Venandakatra dramatycznym ruchem pokazał na skrzynię.

- Wielka jest nagroda dla tych, którzy zadowolili Boga Na Ziemi!

Czwarty urzędnik złapał za wieko i otworzył skrzynię, ukazując zebranym jej zawartość. Potem on także się odsunął.

Z gardeł strażników i szlachty zgromadzonych na tyle blisko, że mogli coś widzieć, wydobył się jęk zachwytu. Skrzynia była wypełniona po brzegi złotymi monetami, perłami, diamentami, szmaragdami, szafirami, rubinami i przepięknie rzeźbionymi ozdobami z nefrytu.

Belizariusz sam z trudem powstrzymał się od westchnienia. Nigdy nie zgrzeszył chciwością, chociaż jego praktyczny umysł doceniał zalety bogactwa. Ale teraz ogłuszyła go hojność daru – zawartość skrzyni stanowiła, dosłownie rzecz biorąc, królewski okup.

*A raczej królewską łapówkę.*

Przez chwilę się wahał, chociaż nie powodowała nim chciwość. Po prostu chciał być pewien, że zwalczył już poryw gniewu, który go ogarnął, więc trzymał głowę spuszczoną w dół. Patrzył ślepo na bogactwo skrzyni, jakby oszołomiony nagłą fortuną.

Podobnie jak w innych tego rodzaju bitwach, generał wybrał ironię jako broń. Belizariusz przypominał sobie, że chociaż chciwość nigdy nie należała do jego grzechów głównych, uległ on innej ludzkiej słabości. Poczucie honoru samo w sobie nie jest grzechem. Ale jest nim próżność wynikająca z poczucia, że się honor ma.

Przypominał sobie czerwone ze złości twarze Bouzesa i Coutzesa, dwóch młodych generałów, którym perski dowódca zarzucał tchórzostwo. W tamtej chwili zastanawiał się, dlaczego człowiek zdrowy na umyśle miałby się przejmować gadaniną jakiegoś nadętego perskiego błazna, a w dodatku wroga, i brać na poważnie jego zarzuty.

*Więc dlaczego mam się przejmować zdaniem jakiegoś malawiańskiego bubka na temat mojego honoru?*

Podniósł głowę i uśmiechnął się szeroko. Potem wstał, skłonił głowę przed Venandakatrą i uklonił się głęboko imperatorowi. Kiedy z powrotem usiadł na swoim krześle, cały pawilon trząsł się od okrzyków i gratulacji ze strony podeksycytowanych malawiańskich notabli.

- To jeszcze nie koniec – wymamrotał Garmat, niezauważalnie poruszając ustami.

Belizariusz lekko kiwnął głową, zgadzając się z Aksumitą.

- Oczywiście – wyszeptał w odpowiedzi. – Najpierw łapówka. Potem... test.

Wyczuł jakieś zamieszanie za plecami otaczającego go tłumu. Nieznaczny ruch, jakby ludzie rozstępowali się przed grupą idącą naprzód. Albo przed grupą popychaną naprzód.

Wiedział, jaki to rodzaj testu. Domyślił się, zanim Venandakatra zaczął mówić. Nowy atak gniewu prawie go obezwładnił, ale szybko się opanował. Jedyłą oznaką jego furii było to, że odezwał się do Garmata po arabsku, zamiast używać ge'ez, jak to czynił do tej pory.

- Zastanawiam się, dlaczego tak jest, że okrutni ludzie wyobrażają sobie, że mają monopol na bezwzględność?

Przez krótką chwilę on i jego przyjaciel Garmat patrzyli na siebie. Garmat się nie odezwał, ale Belizariusz rozpoznał charakterystyczne dla niego lekkie skrzywienie warg. Garmat miał poczucie humoru, podobnie jak większość Aksumitów. Ale cechował się także poetycką duszą, co odziedziczył

po plemienu, z jakiego wywodziła się jego matka. Wiedział, dlaczego Belizariusz odezwał się do niego po arabsku. Chociaż niektórzy Malawianie znali ten język, jednak nie mogli zrozumieć znaczenia tych słów. Tylko półkrwi Arab, pół Etiopczyk mógł je pojąć. Rzezimieszek z pustyni, który zdecydował się podjąć służbę u czarnego króla, zdobywcy południowej Arabii. Nie ze strachu, ani z chciwości, ale dlatego, że wiedział, że to będzie najlepsze wyjście dla jego ludu. Dla ludzi z plemion obu jego przodków.

Strażnicy, otaczający pustą przestrzeń na środku pawilonu, rozstąpili się na boki. Na środek wypchnięto małą grupkę więźniów. Brutalnie i szybko ustawiono ich w szeregu, przodem do Venandaktry, i zmuszono do padnięcia na kolana. Więźniów było sześcioro: mężczyzna w średnim wieku, równa mu wiekiem kobieta, trzech młodzieńców i dziewczyna licząca sobie nie więcej niż piętnaście lat. Ubrani byli w proste tuniki. Mieli wykręcono do tyłu ramiona i dłonie mocno związane za plecami. Wszyscy byli ośpiali – spojrzenie ich oczu było puste, ale żadne z nich nie doznało uszczerbku na zdrowiu i nie było torturowane.

Głos Venandaktry stał się piskliwy.

- Rebeliant z Ranapur we własnej osobie! I jego rodzina! Tylko oni przetrwali gniew Boga Na Ziemi! Wielki Skandagupta postanowił ich oszczędzić...

Wskazał dramatycznym gestem na Belizariusza.

- ...i wręczyć jako prezent błogosławionym cudzoziemcom!

Wrzask aprobaty przetoczył się przez zatłoczony pawilon. Belizariusz czuł na sobie rozgorączkowane spojrzenia zebranych Malawian. Za sobą wyczuł delikatny ruch – Menandra – uciszony natychmiast przez pomruk Anastazjusza.

- Stój chłopcze. To pułapka.

Venandaktra uśmiechnął się promiennie do Belizariusza. Jego oczy przypominały rozjarzone kamienie. Ponownie zamasyście pokazał na więźniów.

- Zrób z nimi, co chcesz, Belizariuszu! Pokaż nam, jak Rzymianie rozprawiają się z rebeliantami! A dziewczyna jest jeszcze dziewicą – dodał z obleśnym uśmiechem.
- Walentynian – warknął natychmiast generał.

Katafrakt wystąpił krok naprzód. Obrzucił więźniów szybkim spojrzeniem, a potem zwrócił się do najbliższej stojącego oficera Ye-tai i wyciągnął lewą rękę. Oficer uśmiechał się, szczerząc zębami niczym wilk.

- Jedwab.

Żołnierz przestał się uśmiechać, zamiast tego z niezadowoleniem zmarszczył brwi. Ale czując na sobie wzrok dowódcy, Ye-tai natychmiast zdjął szarfę. Mały kawałek jedwabiu, ufarbowany na czerwono i złoto – oficjalne kolory dynastii – oznaczał, że żołnierz jest członkiem osobistej straży imperatora.

Kiedy tylko szarfa znalazła się w lewej dłoni Walentyniana, w jego prawej pojawiła się spatha.

Dla tych, którzy nigdy nie widzieli katafrakta w akcji, wyglądało to na magiczną sztuczkę. Wojownik zawirował, zatańczył i uderzył.

Ciach. Ciach. Ciach. Ciach. Ciach. Ciach.

Venandaktra zaskowyczał, usiłując uskoczyć przed fontanną krwi, która trysnęła z sześciu przeciętych gardeł wprost na jego ubranie. Stopą trafił na jedną z toczących się po podłodze głów. Stracił równowagę i prawie opadł na kolana siedzącego nieopodal innego krewniaka imperatora. Zaskoczony szlachcic krzyknął ze złością i zepchnął go na ziemię. Potem wszyscy Malawianie siedzący wokół imperatora, i sam imperator także, nerwowo podnieśli do góry stopy obute w kosztowne buciki, chcąc uchronić drogie materiały przed rzeką krwi rozlewającą się po podłodze. Chcieli uniknąć potwornego zabrudzenia krwią, które nie ominęło ich kuzyna Venandaktry.

W pawilonie zapadła cisza. Walentynian jedwabną szarfą spokojnie otarł krew ze swojego miecza. Nie zwlekał z tym zadaniem ani chwili dłużej niż farmer, który wylewa pomyje swoim świnom. Kiedy już oczyścił miecz, wyciągnął rękę zwracając szarfę prawowitemu właścicielowi. Oficer Ye-tai zacisnął z wściekłości zęby, złapał za rękojeść swojego miecza i spiorunował Walentyniana wzrokiem.

A potem zastygł w bezruchu, napotykając spojrzenie zimnych, pustych oczu. Na wąskiej twarzy katafrakta nie było żadnego wyrazu. Ale Ye-tai widział miecz, który żołnierz trzymał w prawej dłoni. Opuszczony, trzymany niedbale, luźno, niby niegotowy do walki, ale ciągle trzymany w dłoni. W wąskiej, silnej, łasicowato szybkiej dłoni.

Ye-tai złapał szarfę z powrotem. Walentynian skłonił mu się, raczej niedbale i płytko, a potem, odwracając się wolno, skinął głową pozostałym strażnikom Ye-tai, stojącym dookoła. Odpowiedzieli na ten ukłon z roziskrzonymi ze złości oczami i zaciśniętymi szczękami.

Kiedy Walentynian, zataczając powoli koło, napotkał grupkę Radźputów, jego ukłon stał się znacząco i zauważalnie głębszy. A oni, ze swojej strony, skłonili się jeszcze głębiej w odpowiedzi. W zasadzie tak głęboko, że nikt nie mógł dostrzec ich twarzy.

Kiedy Radźpuci wyprostowali się, na ich twarzach można było zauważyć tylko respekt i uznanie. Ale Belizariusz uzmysłowił sobie, jakie to szczęście, że podłoga pawilonu jest zrobiona z materiału, a nie z luster. Był pewien, że w przeciwnym razie otaczający Radźputów ludzie oślepliby od szerokich uśmiechów, które na moment rozjaśniły te brodate twarze.

Walentynian powrócił na swoje miejsce, stając w pozie pełnej szacunku za generałem. Malawiańscy urzędnicy gwałtownie ruszyli do przodu, żeby szybko usunąć ze środka pawilonu ciała zabitych i krew. Nie wykonywali tej pracy z radością, co było naturalne. Nie przywykli do zadań, wypełnianych na ogół przez służbę.

Belizariusz ich zignorował. Zignorował także głosy zaszokowanych Malawian, zebranych w namiocie. Zignorował gniew i złość na twarzach Ye-tai. Ignorował bezustanne skamlania Venandaktry, oznaczające jego zagniewanie. Po prostu wpatrywał się w imperatora.

Skandagupta także patrzył się na niego. Belizariusz wstał, ponownie się ukłonił i wyprostował.

- Tak właśnie Rzymianie postępują ze swoimi wrogami, wielki Skandagupto – powiedział cicho. – Zrobiłem, jak mi kazałeś, Boże Na Ziemi.

## Rozdział 7

- Nie jestem pewien, czy to było rozsądne, Belizariuszu – odezwał się Eon.

Aksumicki ksiązę siedział na pokrytej dywanem podłodze swojego namiotu. Wiele tygodni spędzonych w towarzystwie Szakuntali sprawiło, że Eon nauczył się siedzieć w pozycji kwiatu lotosu i szybko nabrał zwyczaju siadać w ten sposób, szczególnie podczas omawiania ważnych spraw. Zaczął nawet poznawać inne pozycje jogi, specjalnej indyjskiej gimnastyki, których uczyła go Szakuntala. Twierdził, że pozycja kwiatu lotosu, podobnie jak joga pozytywnie wpływają na jego samopoczucie i stopień koncentracji.

Belizariusz zerknął na sarwenów. Rdzenni Afrykanie, Ezana i Wahsi, nie dali się przerobić na nową modłę i siedzieli wyprostowani na małych stołeczkach, jak to robią ich rodacy w Afryce. Co prawda, stołki te wykonano w Indiach, wycięto je z nieznanego gatunku drewna i ozdobiono na obcy sposób. Ale ze wszystkich mebli, jakie Aksumici zdołali znaleźć w tych okolicznościach, najbardziej przypominały ich oryginalne afrykańskie stołki.

Belizariusz wiedział, że sarweni niezbyt przychylnie patrzyli na fascynację ich księcia niektórymi dziwacznymi zwyczajami, panującymi w Indiach. Ale, oczywiście, nie protestowali, przynajmniej tak długo, jak ich ksiązę odrzucał poglądy Hindusów, że władca i król jest istotą boską, a nie zwykłym człowiekiem, mającym służyć swemu plemieniu.

Raczej nie było niebezpieczeństwa, że ksiązę Eon zaakceptuje ten ostatni zwyczaj. Gdyby to zrobił, wydałby na siebie wyrok, zresztą, nawet gdyby...

Belizariusz uśmiechnął się, patrząc na Ousanasa. Dawazz, podobnie jak jego ksiązę, również nauczył się pozycji kwiatu lotosu. Stare powiedzenie Ousanasa: „kiedy jesteś w Rzymie, zachowuj się jak Rzymianie”, odnosiło się najwyraźniej także do innych kultur. Belizariusz nie wątpił, że gdyby Ousanas znalazł się nagle wśród lwów, przejąłby ich kocie nawyki. Włącznie z jedzeniem surowego mięsa i walką na śmierć i życie z lwem – przywódcą stada. Chociaż raczej musiałby się powstrzymać od kopulacji z lwicą.

Ousanas siedział blisko swego księcia. Trzymał się lekko z tyłu, z szacunku dla władcy, ale znajdował się niedaleko, w zasięgu ręki, na wypadek gdyby jakaś głupia uwaga księcia zmusiła go do natychmiastowej kary w postaci silnego ciosu w głowę swego monarchy.

Belizariusz zobaczył, jak ręka dawazza zadrżała.

- Wcale nie było rozsądne, tak mi się wydaje – powtórzył Eon.

W głosie księcia nie było nagany, po prostu zatroskanie młodego władcy, zmagającego się z problemem odpowiedzialności i próbującego wybrać odpowiednią drogę postępowania nie mając wieloletniego doświadczenia.

- Nonsens – zaprzeczyła Szakuntala z wielką pewnością siebie. – To było doskonałe.

Głos Szakuntali był twardy jak stal, jak zawsze, kiedy jakiś potomek Satavahanów wypowiadał się na tematy polityczne. Była młodsza od Eona, a dźwigała na swoich barkach daleko większy ciężar niż ksiązę, ale...

Belizariusz powstrzymywał uśmiech, patrząc na Szakuntalę. Młoda imperatorowa uznałaby za obrażę, gdyby zauważyła, że się uśmiecha. Belizariusz był tego pewien. Dziewczyna nie należała do aroganckich monarchów, a przynajmniej nie wedle indyjskich standardów. Ale ukształtowano ją zgodnie z kulturą, która nie miała nic wspólnego z nieformalnym traktowaniem władcy właściwym dla kultury Rzymu, a jeszcze bardziej Etiopii. Dziewczyna, nawet po wielu tygodniach spędzonych w namiocie Etiopczyków, gdzie często brała udział w naradach wojennych, ciągle nie mogła się



przyzwyczajając do niefrasobliwego sposobu, w jaki Rzymianie i Etiopczycy wyrażali swoje zdanie, a nawet ośmielali się krytykować pewne posunięcia w obliczu swoich władców i dowódców.

Chęć do śmiechu minęła. Nadal patrząc na Szakuntalę, Belizariusz uświadomił sobie, że jej królewskie maniery kielkują z czegoś głębszego niż tylko tradycja i zwyczaj. Polubił księżniczkę w pewien specyficzny sposób. I, podobnie jak pozostali członkowie delegacji Rzymu i Etiopii, czuł, że jej magnetyczna osobowość przyciąga go coraz mocniej z każdym dniem. Oczywiście, nie czuł do dziewczyny miłości ani oddania, jak jej osobiste służki, Marathanki. Ale nie dziwił się im, że podziwiają i adorują swoją panią.

Miesiące temu, kiedy wyjaśniał swoim towarzyszom, dlaczego warto podjąć tak wielkie ryzyko i uwolnić księżniczkę z rąk porywaczy, Belizariusz powiedział im, że dziewczyna zostanie w przyszłości największym i najsłynniejszym władcą Indii. Mówił im, że Szakuntala zmusi Malawian do wściekłego skowytu.

Teraz, kiedy spędzili z nią tyle tygodni, a nawet miesięcy, nikt nie miał co do tego wątpliwości. Szakuntala spojrzała na Eona z ukosa.

- A co ty byś zrobił w tej sytuacji, Eonie?

Belizariusz pomyślał, że pytanie to jest pewnego rodzaju ustępstwem, podporządkowaniem się zwyczajom obcych, którzy wyjaśniają, zamiast po prostu rozkazywać. Potem, zastanawiając się ponownie nad sytuacją, doszedł do wniosku, że się myli. Dziewczyna na swój własny sposób po prostu przyswajała sobie najbardziej efektywne sposoby rozwiązywania problemów, czerpiąc je z obcych zwyczajów. Była niesamowicie inteligentna i na własne oczy widziała upadek swojej dynastii, zbyt skostniałej i pogrążonej w tradycji, żeby skutecznie opierać się napaści Malawian. I, poza tym, szkolił ją Raghunath Rao, kwintesencja Marathy.

- Cóż innego mógł zrobić? – ciągnęła.—Gdyby ich nie zabił, zdradziłby nas. Nasz z trudem budowany fałszywy wizerunek ległby w gruzach. Już nie byłby generałem rozważającym możliwość zdrady. Cały ten wysiłek... twój także, Eonie, żeby udawać, że jesteś okrutnym brutalem, którego nie obchodzi nic poza zaspokajaniem swego pożądanego, poszedłby na marne. Miesiące pracy... teraz już lata. I w imię czego?

Jej głos był zimny, przepełniony królewską pogardą.

- W imię czego? Litości? Czy myślisz, że Skandagupta dopuściłby do tego, żeby darować życie władcy Ranapur i jego rodzinie ocalonym z oblężenia? Nonsens! Po prostu by ich zabrali i zamęczyli na śmierć. A tak przynajmniej umarli tak szybko, jak to tylko było możliwe. I bezboleśnie, tak przynajmniej wynika z twojego opisu.

Imperatorowa rzuciła szybkie, aprobujące spojrzenie w kierunku Walentyniana. Katafrakt stał w towarzystwie Anastazjusza i Menandra w pewnym oddaleniu od rozmawiających. Zaoferowano im stołki, ale żołnierze grzecznie odmówili. Podwładni Belizanusza mieli swoje własne, głęboko zakorzenione poczucie, co jest dozwolone, a co nie, które wpoił im ich przełożony – Maurycy. W towarzystwie swojego generała może zachowywali się swobodnie i otwarcie wygłaszali swoje opinie. Ale nigdy nie siadali, kiedy ich generał omawiał ważne sprawy i dyskusji a toczyła się w obecności przedstawicieli innych krajów. Eon wzruszył z irytacją ramionami.

- Dobrze o tym wiem, Szakuntalo! – warknął. – Nie jestem... – Zaciął usta, nie pozwalając sobie na wypowiedzenie gorzkich słów. Wziął głęboki oddech i powoli się uspokoił. Ale kiedy się odwrócił i spojrzał imperatorowej w twarz, w jego oczach ciągle czał się płomień.
- My, Aksumici, nie szafujemy tak łatwo wyrokami śmierci, jak wy, Hindusi – warknął. – I w odróżnieniu od was nie szlachtujemy niewinnych owieczek.

Dwoje młodych ludzi wymieniło spojrzenia, tocząc niemy pojedynek królewskich sił woli. Belizariusz z trudem powstrzymywał się od uśmiechu. A już szczególnie wtedy, kiedy okazało się, że konflikt może się nieco przeciągnąć.

Popatrzył ukradkiem na Garmata i zobaczył, że doradca także z trudem panuje nad swoją twarzą, na której pojawił się wyraz zdumienia. Na chwilę spojrzenie generała spotkało się ze wzrokiem dawazza. Ousanas, którego twarzy nie mogli zobaczyć młodzi monarchowie, gdyż siedział on za nimi, uśmiechał się szeroko niczym zadowolony tygrys. Od czasu, kiedy Belizariusz i jego towarzysze uratowali ostatniego potomka dynastii Satawahana, Szakuntala i Eon przebywali w swoim bliskim towarzystwie. Najbliższym, jak tylko można.

To Belizariusz wymyślił ten cały plan. Po tym, jak Raghunath Rao pozabijał wszystkich oprawców mahamimamsa, którzy pilnowali księżniczki w pałacu Venandakтры, Maratha ukrył ją w szafie w pokojach gościnnych. Potem uciekł, wabiąc za sobą pościg i wiodąc żołnierzy Venandakтры na manowce pośród gór i lasów środkowych Indii. Etiopczycy, którzy dotarli do pałacu wraz z Rzymianami dwa dni później, zajęli apartamenty dla gości i przemycili Szakuntalę do swego orszaku. Przebrano ją za jedną z wielu konkubin Eona i od tamtej pory każdą chwilę spędzała bądź w palankinie księcia, bądź w jego namiocie. W nocy zawsze spała skulona w ramionach Eona, na wypadek gdyby jakiś malawiański szpieg zdołał pokonać wszystkie przeszkody i zajrzał do pawilonu.

Belizariusz czasami zastanawiał się mimowolnie, kiedy ta bliskość zamieni się w namiętność. Dwoje młodych ludzi cieszyło się dobrym zdrowiem, humorem i wigorem, a ponadto byli bardzo atrakcyjni fizycznie. Cała sytuacja dla postronnego obserwatora mogła mieć tylko jedno zakończenie.

Jednakże z opowieści Ousanasa i Garmata generał wiedział, że rzeczywistość była daleko bardziej skomplikowana. Nie miał żadnych wątpliwości, że Eon i Szakuntala czują do siebie naturalny i silny pociąg. Z drugiej jednak strony każde z nich rozwinięło, oczywiście na swój własny sposób, poczucie królewskiego honoru. Szakuntala, chociaż starała się tego nie okazywać, cierpiała, gdyż czuła się zależna od Eona. Z kolei książę jeszcze bardziej się pilnował, żeby nie zrobić nic, co by podkreśliło tę zależność i mogło wyglądać na czerpanie z niej korzyści.

Poza tym oboje mieli jakieś zobowiązania wobec innych. Zanim spotkał Szakuntalę, Eon związał się z Tarabai, jedną z Marathanek, które Etiopczycy wieźli ze sobą z Barakuchy. Przed przybyciem Szakuntali to właśnie Tarabai co noc spała wtulona w ramiona księcia i to nie ze względów taktycznych jak Szakuntala. Od przybycia Szakuntali, chociaż ta wielokrotnie deklarowała gotowość spoglądania w inną stronę, Eon i Tarabai nie sypiali już ze sobą. Książę dlatego, że starał się zachować królewską poprawność, Tarabai ze skrupowania, jakie czuła w obecności swej własnej imperatorowej.

Tak więc Eon znalazł się w swoistej pułapce: młody, zdrowy mężczyzna, otoczony przez piękne kobiety przez prawie cały dzień i noc, a żyjący niczym mnich. Mówienie o nim jako o człowieku sfrustrowanym byłoby znacznym niedopowiedzeniem.

Szakuntala natomiast cierpiała z innego powodu. Garmat i Ousanas nie byli do końca pewni, gdyż dziewczyna rzadko wspominała tego człowieka, ale podejrzewali, że uczucie Szakuntali do

Raghunath Rao znacznie wykroczyło poza zwykłe oddanie i podziw, jakie żywi uczeń do swojego mistrza. Rao opiekował się nią, odkąd skończyła siedem lat; wódz Marathów przez ten czas pełnił praktycznie funkcję jej ojca... a raczej wuja. Ale mimo różnicy wieku, Szakuntala była teraz kobietą, a Raghunath Rao, mimo średniego wieku, był nadal bardzo atrakcyjnym mężczyzną. A że nie łączyły go z księżniczką żadne więzy pokrewieństwa, nie widziała ona powodu, dla którego ich przyjaźń nie miałyby się przekształcić w romans.

Żadnego powodu, z wyjątkiem surowych i sztywnych indyjskich obyczajów. A szczególnie tej dziwacznej, przynajmniej dla Etiopczyków i Rzymian, troski o czystość królewskiej krwi i unikanie mieszania jej z jakakolwiek inną. Szakuntala wywodziła się z antycznego rodu, dziedziczyła najczystszą krew kszatryjasów. Podczas gdy Rao, mimo całej jego sławy i popularności, był tylko marathańskim wodzem, członkiem przygranicznego plemienia, które nie było w stanie odtworzyć genealogii swoich przodków dalej niż dwa pokolenia wstecz.

Więc, podobnie jak Eon, księżniczka została uwięziona pomiędzy sentymentem a honorem. Pułapka była może nieco odmienna od tej, w której znalazł się książę, ale wcale nie zadawała mniej bólu.

W końcu, jak zauważył Belizariusz, dwoje młodych wypracowało sposób na spędzanie czasu razem – przypominał on nieco postępowanie brata względem siostry. Byli bardzo sobie bliscy, aż do granicy intymności, i bardzo często się kłócili.

Spojrzenia, jakie sobie rzucali, wcale nie miękły. Belizariusz zdecydował się interweniować.

- Eonie, proszę, cię, wyjaśnij o co ci chodzi.

Książę oderwał wzrok od Szakuntali. Kiedy popatrzył na Belizariusza, z jego oczu znikła złość.

- Wcale nie krytykuję twego okrucieństwa, Belizariuszu. Raczej zupełnie odwrotnie. – Rzucił szybkie, złe spojrzenie na imperatorową, a potem zwrócił się ponownie do generała. – Zastanawiam się, czy byłeś wystarczająco okrutny.

Belizariusz wzruszył ramionami.

- A co więcej miałem zrobić? Torturować ich? Wiesz dobrze, że musiałbym to robić sam, własnoręcznie. Walentynian by odmówił. Po dobnie Anastazjusz, czy Menander. To są katafrakci. Znęcanie się nad innymi nie należy do ich obowiązków służbowych.

W rzeczywistości nie była to do końca prawda. Ani Walentynian ani Anastazjusz nie byli specjalnie wrażliwi i w przeszłości przy kilku okazjach zdarzyło im się zastosować wobec pojmanych żołnierzy – w celu wydobycia z nich informacji – pewne metody przesłuchania, określane przez nieco delikatniejszych ludzi mianem okrutnych. Ale sens wypowiedzi generała był prawdziwy. Belizariusz nie był do końca pewien, jak zareagowałby Walentynian, gdyby kazał mu torturować rodzinę z Ranapur ku ucieście i zabawie Malawian. Było całkiem prawdopodobne, że katafrakt usłuchałby rozkazu, nawet gdyby jego tortury przyniosły szybką śmierć, rozczarowując widzów. Ale generał nie miał nawet cienia wątpliwości, że ten rozkaz byłby ostatnim, jakiego posłuchałby Walentynian.

Eon zacisnął wargi i machnął dłonią, posyłając całe wydarzenie i dyskusję w niepamięć.

Ale Belizariusz nie dawał za wygraną.

- No i co? Taka była moja decyzja. Nie miałem innego wyboru. Eon westchnął i skulił się, chyląc do przodu ramiona.
- Wiem. Przecież tam byłem. Ale... – Westchnął jeszcze głębiej. – Obawiam się, że mogłeś im zdradzić naszą prawdziwą naturę, Belizariuszu. A przynajmniej tak bardzo obraziłeś Malawian, że przestaną wiązać z tobą jakiegokolwiek plany i zaniechają prób przekupstwa.

Belizariusz chciał coś odpowiedzieć, ale przerwał mu Ousanas.

- Całkowicie się mylisz, Eonie. Źle odczytałeś myśli Malawian. Dawazz podniósł się leniwie z podłogi i stanął tak, żeby wszyscy mogli go dobrze widzieć.
- Patrzyłeś na Venandakatre, chłopcze. To był twój błąd. Na jego twarzy pojawił się szeroki uśmiech.
- To oczywisty błąd! Co prawda ten głupiec przedstawiał sobą tak komiczny widok, gdy skakał wokoło niczym tłusta kura pokryta od stóp do głów własnymi potłuczonymi jajkami! Sam z trudem oderwałem od niego wzrok i odmówiłem sobie tak fascynującego przedstawienia.

Wszyscy, którzy byli obecni przy tym wydarzeniu, zachichotali.

- Ale to był błąd – kontynuował Ousanas. – Powinieneś patrzeć na imperatora. I, co najważniejsze, na jego doradców. Tak jak ja to zrobiłem. – Uśmiechnął się szeroko do Belizariusza. – Imperator siedział jak sparaliżowany, oczywiście. Bardziej unieruchomił go wzrok Belizariusza, niż rzeka krwi, płynąca po podłodze. To bardzo dobrze. Po raz pierwszy, od tej chwili, imperator będzie się bał Belizariusza... tak, jak się boi Venandakatra.
- Dlaczego to jest dobre? – zapytał Eon. – Przecież ten strach może doprowadzić do...
- Do czego? Do tego, że będą unikać Rzymian? Z pewnością. Pod władni imperatora i tak ich unikali. Ale czy myślisz, że będą unikać Rzymian także na płaszczyźnie polityki? Wprost przeciwnie, Eonie. Kiedy tylko imperator uspokoi skołataną nerwy, natychmiast zajmie się sprawą Belizariusza.

Eon zmarszczył brwi.

- Dlaczego?
- To proste, książę – odpowiedział Garmat. – Potencjalny zdrajca jest wartościowy wtedy, kiedy sam zajmuje jakąś pozycję. Podejrzewam, że do tej pory wszyscy wysoko postawieni Malawianie, może z wyjątkiem Venandakatry, uważali generała za nic nieznaczącego gościa z zagranicy. Mimo całego swego wyrafinowania, wszyscy Hindusi, a Malawianie w szczególności, są raczej prowincjuszami. Inny mi słowy, ich mania wielkości tak ich zaślepia, że nie doceniają ludzi z innych krajów.

Szakuntala stanowczo skinęła potakująco głową.

- Oczywiście nie mogę być tego pewien – mówił dalej Garmat – przecież nie było mnie na żadnej z narad prowadzonych przez wysokich kuzynów imperatora, ale podejrzewam, że Venandakatra z wielkim trudem próbował przekonać Malawian, że ten – niedbale wskazał ręką – dziwaczny obcokrajowiec przedstawia sobą jakąś wartość. Po dobie jak wy zauważyłem, że od czasu przyjazdu do Ranapur jesteście stale i niezmiennie ignorowani przez otoczenie dworu.

Ignorowani do tego stopnia, że można tutaj mówić o nieuprzejmości i złym wychowaniu.

Garmat z uśmiechem rozłożył szeroko ramiona.

- Ale zapewniam was, że to się niebawem zmieni. Taki będzie skutek dzisiejszego postępu generała. Imperator wreszcie da się przekonać i pozwoli Venandaktrze udowodnić waszą przydatność. Co oczy wiście Nikczemnik uczyni, żeby podnieść swoją ocenę w oczach władcy.

Zabrzmiał kolejny chichot zebranych.

- Słuchaj swego doradcy, chłopcze – dodał Ousanas. – Myślisz zbyt wiele o Venandaktrze i to jest twój błąd. Venandaktra jest niebezpieczny, to prawda, i stanowi typowy przykład rozdygotanego egoisty, myślącego tylko o własnej przyjemności i zysku. Ale nawet on, kiedy tylko się uspokoi, dojdzie do wniosku, że ta klęska może być dla niego korzystna. W końcu, przecież miał rację, nieprawdaż? Czyż ten groteskowy, półdziki barbarzyńca nie jest imponujący? – Dawaz zaśmiał się wesoło. – O tak, imperator był pod wrażeniem! Ale, co jest ważniejsze, jego doradcy także się zdziwili. Tak jak mówiłem, przyglądałem się im bardzo uważnie. Kiedy tylko otrząsnęli się z pierwszego szoku – kolejny uśmiech – i upewnili się, że ich kosztowne kaptcie są bezpieczne, zwrócili swoje oczy na Belizariusza. I byli bardzo zainteresowani, chłopcze. To był ten rodzaj zainteresowania, jakie wykazuje poszukiwacz złota, kiedy odkrywa, że zwykły kamyk jest w istocie bryłką cennego kruszcu.

Eon ciągle marszczył brwi. Garmat westchnął i znów spróbował mu wyjaśnić.

- Posłuchaj mnie, Eonie. Mówię do ciebie z perspektywy arabskiego nomada, który targował się o wszystko od kiedy skończył cztery latka. Jeżeli chcesz dostać najlepszą cenę za swój towar, który w przypadku Belizariusza jest zdradą, musisz zrobić COŚ więcej, niż tylko dać do zrozumienia, że masz coś na sprzedaż. To Belizariusz już zrobił, rzucając znaczące słówka przez ostatnie kilka miesięcy w chętnie ucho Venandaktry i akceptując złoto, które ofiarował mu imperator. Ale teraz musi pokazać, że jego cena jest bardzo wysoka. Ponieważ im wyższa jest cena, tym wartościowszy musi być towar.

Eon ciągle się marszczył.

- Głupi chłopcze! – zawołał Ousanas. – Imperator myślał sobie, że kupuje kolejnego oprawcę, a ma już ich mnóstwo do dyspozycji. Generał pokazał mu prawdę, kiedy rozkazał Walentynianowi zabić tych ludzi. Jeżeli imperator chce jego usług, może je mieć, ale musi zapłacić jak za generała. Jak widać, generałów ma, niestety, niewielu.

Ousanas uśmiechnął się szeroko.

- O tak, chłopcze, możesz być tego pewien. Dzisiaj w nocy my rozmawiamy ze sobą, ale jestem przekonany, że w pawilonie imperatora także odbywa się rozmowa. Namawiają go, żeby zapłacił.

## Rozdział 8

- Co ty sobie myślałeś, Venandakatro? Co niby miał zrobić? – za pytał szyderczo pan Tatagata. – Wkraść się w łaski wielkiego Skandagupty, obcinając nos tego psa z Ranapur swoim własnym mieczem? Zgwałcić publicznie suki zdrajcy?

Głównodowodzący malawiańskiej armii uniósł się lekko na krześle.

- Ten człowiek jest generałem, ty idioto. A nie mahamimamsą. Sam postąpiłbym podobnie – dodał wyniośle.

Ze swojego miejsca w pewnym oddaleniu, gdzie siedział z oficerami niższej rangi, Rana Sanga z uwagą przyjrzał się ciężkiej postaci pana Tatagaty. Głównodowodzący, wraz z innymi wysoko postawionymi dowódcami i urzędnikami, siedzieli na krzesłach półkoliście otaczających tron i siedzącego na nim imperatora.

Śmierdzący kłamca, pomyślał sobie Rana Sanga. Z radością zamęczyłby na śmierć rebelianta z Ranapur. I zgwałcił jego żonę i córkę. I jego synów także, jeżeli już o tym mowa. Oczywiście zakładając, że by mu stanął.

Żadna z tych myśli nie uwidoczniła się na jego twarzy, ale Sanga nie mógł dłużej patrzeć na odrażającą sylwetkę pana Tatagaty i odwrócił wzrok. Jego zdaniem Tatagata wcale nie był lepszy od pana Harszy. Może nieco bardziej kompetentny jako generał, ale jeszcze bardziej nikczemny jako człowiek.

Spojrzenie Sangi spoczęło na panu Dziwicie, drugim w hierarchii wodzu armii Imperium Malawy. Przyjrzał mu się pobieżnie. Pan Dziwita zrobiony był z tej samej gliny, co jego dowódca. Wzrok Sangi zatrzymał się na człowieku, siedzącym na samym końcu krótkiego rzędu ważnych osobistości. Temu przyglądał się dłużej. Ze wszystkich malawiańskich kszatryjasów, którzy opanowali górne stanowiska w Imperium Malawy, jedynie pana Damodarę Sanga darzył respektem.

Radźputa odwrócił wzrok, wzdychając lekko. Damodara miał wiele umiejętności, ale, na nieszczęście, był daleko spokrewniony z imperatorem. Sanga był właściwie zaskoczony, że Damodarze udało się zająć tak wysoką pozycję, szóstego dowódcy armii, wedle hierarchii przyjętej przez Malawian. Nie miał szans na awans, o ile jakaś nagła katastrofa albo militarna klęska nie zachwieje dynastycznym zwyczajem obsadzania stanowisk.

Co może się zdarzyć – zastanawiał się w duchu – jeżeli zaatakujemy Persję i Rzym. A już szczególnie wtedy, kiedy...

Ku swojemu wielkiemu zdumieniu, usłyszał, jak ktoś wymawia jego imię. To był pan Damodara.

- Chciałbym usłyszeć opinię Rana Sangi w tej kwestii. Podobnie jak pan Venandakatra, ma on z tym Belizariuszem częstsze kontakty niż ktokolwiek z nas. I sam także jest generałem z nie małym doświadczeniem. Mamy u niego zresztą dług wdzięczności.

Zapluwając się, Venandakatra zaczął wywrzaskiwać gniewne słowa, w proteście przeciwko nędznemu Radźpucie, który miałby wygłaszać jakiegokolwiek opinie w tak szacownym gronie, ale imperator szybko go uciszył.

- Siedź cicho, Venandakatro! – ponuro zbulgotał Skandagupta. – Ja sam chciałbym wysłuchać opinii Rana Sangi.

Skarcony Venandakatra opadł miękko na swoje krzesło.

Rana Sanga wyszedł na środek pawilonu. Ukłękł przed imperatorem, a potem wyprostował się i cofnął kilka kroków, tak żeby być widocznym zarówno przez władcę, jak i jego doradców.

- A więc, jakie jest twoje zdanie? – zapytał ponownie Damodara. Sanga zawahał się przez ułamek sekundy. Potem, krzyżując ramiona na piersiach, zaczął mówić z dumą. Był przecież Radźputa.
- Nie widzę możliwości, żeby Belizariusz mógł zareagować w jakikolwiek inny sposób w tamtej sytuacji – Są trzy powody jego postępowania. – Jeżeli już masz to robić, rób porządnie, powiedział sobie w duchu. – Po pierwsze, jego honor. Żaden generał, wart swojej funkcji, nie pozwoliłby, żeby jego honor uległ splamieniu. Gdyby zaczął torturować tych więźniów, gdyby rozkazał swoim ludziom to zrobić, zniżyłby się do poziomu... – Ostrożnie, pomyślał sobie, oni cenią swoich mahamimamsą. – ...do poziomu zwykłego sługi. Sługi od czarnej roboty. Równie dobrze moglibyście rozkazać mu posprzątać w stajniach imperatora.

Przerwał na chwilę. Malawianie pokiwali głowami, zgadzając się z jego oceną.

- Po drugie, jego reputacja. Z drugiej strony, gdyby odmówił zabicia więźniów, mogłoby to zniszczyć jego reputację człowieka zdecydowanego, zdecydowanego i nie bojącego się rozlewu krwi. Żaden generał nie może sobie pozwolić na zburzenie takiego wizerunku. A już na pewno nie taki, jak Belizariusz, który, jeżeli ktoś z was o tym wie, cieszy się wielkim szacunkiem w swojej ojczyźnie. A także w krajach swoich wrogów.

Znów przerwał. Większość Malawian znów pokiwała głowami, ale dosyć niepewnie. Pan Damodara i dwóch, może trzech innych nie poruszyło się. Najwyraźniej jedynie kilku z Malawian zadało sobie trud, żeby dowiedzieć się czegoś o generale, chociaż doskonale wyszkoleni szpiedzy mieli na ten temat wiele informacji.

- Gdyby odmówił egzekucji więźniów, dowodziłoby to braku silnej woli. Wskazywałoby na tendencję do unikania potrzebnego działania, do wahania się na polu bitwy.

Kiwnięcia nie były już powątpiewające. Malawiańscy dowódcy nie potrzebowali dalszych wyjaśnień na temat, jak cenna jest reputacja człowieka bezlitosnego.

- Po trzecie – jego męstwo.

Tym stwierdzeniem wprowadził wszystkich zebranych w osłupienie, z wyjątkiem może Damodary. Sanga wziął głęboki oddech i zaczął wyjaśniać.

- To właśnie męstwo tłumaczy nagłą i szybką decyzję o formie egzekucji, i sposobie, w jaki ją wykonano. Tłumaczy brak ostrzeżenia pana Venandakaty i innych dostojników przed rzeką krwi, jaka tryśnie z gardeł więźniów zabitych na środku pawilonu. Tłumaczy... – Musisz to powiedzieć, pomyślał sobie, tylko miej wyraz szacunku na twarzy. – ...brak szacunku, jaki generał okazał osobistej ochronie imperatora, Ye-tai.

Przerwał, przyglądając się swoim słuchaczom. Ciągłe nie rozumieli, o co mu chodzi. Sanga westchnął, wziął głęboki oddech i ponownie zaczął wyjaśniać rzeczy dla niego oczywiste.

- Nie możecie stawiać człowieka takiego jak Belizariusz w takiej sytuacji i oczekiwać, że postąpi w sposób sprzeczny ze swoim charakterem. Ten człowiek jest dumny i niczego się nie boi. Pan Venandaktra postawił Belizariusza przed problemem, który z oczywistych względów miał być dla niego testem. I to był błąd. Człowiek taki jak Belizariusz nie będzie tolerował testów, podobnie jak rozwścieczony tygrys.

Na twarzach słuchaczy zakiełkowało zrozumienie. Ciągle jednak bardzo słabe. Sanga postarał się dobrać jak najprostsze słowa.

- Panowie. Wielki imperatorze. Jeżeli macie ochotę, możecie drażnić tygrysa w klatce, żeby się przekonać, czy ma ostre zęby. Ale upewnijcie się przedtem, że używacie wystarczająco długiej tyczki.

Wszyscy dostojnicy zaśmiali się głośno, z wyjątkiem Venandaktry. Ten ostatni zaczął podnosić się z miejsca, ciskając na Radżputę milczące gromy, dopóki nie zauważył kątem oka, że imperator także się śmieje. Rana Sanga, wbrew samemu sobie zafascynowany, patrzył na walkę uczuć rozgrywającą się na twarzy Venandaktry. Nikczemnik najwyraźniej wahał się pomiędzy instynktownym okrucieństwem a poczuciem własnego interesu.

Wygrał własny interes. Venandaktra także zaczął się śmiać i dłonią uczynił mały, lekceważący gest. A potem podniósł się z krzesła.

- Zgadzam się z Rana Sangą – powiedział. – Wielokrotnie mówiłem wam o naturze tego człowieka. Może teraz zechcecie mnie słuchać. – Ponownie machnął ręką, jakby umniejszając wagę swojej osoby. – Sam powinienem słuchać tego, co mówię. Obawiam się, że pozwoliłem, aby zaraził mnie wasz sceptycyzm.

Jego cichy, krótki śmiech nabrał mocy, kiedy Venandaktra zaczął wreszcie działać w swoim własnym interesie. Nikczemnik uśmiechnął się smutno, skinął z wdzięcznością głową w kierunku Radżputy i kontynuował swoją przemowę.

- Dziękuję ci, Rana Sango, że przypomniałeś mi, jak niebezpiecznie jest drażnić tygrysa. Zapewniam cię, że następnym razem użyję dłuższej tyczki.

To była odprawa. Rana Sanga z ulgą zaczął się odwracać, żeby wrócić na miejsce. A potem, przypominając samemu sobie o własnym honorze, zatrzymał się w pół kroku.

Przysięgałem, przypomniał sobie w myślach.

- Muszę jeszcze powiedzieć, że...
- Wystarczy już, Sango! – przerwał mu pan Tatagata. Głównodowodzący malawiańskiej armii z radością przyglądał się klęsce Venandaktry, ale... narzędzie poniżenia było tylko nędznym Radżputą i po skończonej robocie miało znów zniknąć w lamusie.

Sanga stał bez ruchu.

- Wystarczy – wrzasnął Tatagata.



Sanga niezauważalnie wzruszył ramionami, pokłonił się ponownie przed obliczem imperatora i zajął swoje miejsce w ostatnim rzędzie.

Tatagata zaczął coś mówić, ale pan Damodara wpadł mu w słowo.

- Bardzo dobrze. Podejmiemy dyskusję za godzinę.

Kiedy wyszli z pawilonu, żeby zaczerpnąć powietrza, Damodara natychmiast odnalazł Sangę.

- Powiedz mi – rozkazał malawiański pan.

Sanga westchnął. Z jednej strony miał nadzieję, że Damodara go zapyta, co chciał powiedzieć. Z drugiej jednak bardzo się tego obawiał. Złożył przysięgę, powtórzył sobie w myślach.

- Mów Sango, nie obawiaj się. Nie spotkają cię żadne przykrości. Nie z mojej strony.

Radżputa patrzył w dół na małego, pulchnego oficera. Wedle malawiańskich norm, Damodara był młody jak na dostojnika tej rangi. Miał niecałe czterdzieści lat. Ale, podobnie jak inni członkowie dynastii z urodzenia przypisani do pełnienia wysokich godności, nie był wojownikiem. Ciągle jednak...

Przysięgałeś, przypomniał sobie Sanga w myślach.

- Venandakatra zupełnie nie zrozumiał Belizariusza, panie Damodaro. Ta cała dyskusja – pokazał ręką w kierunku pawilonu – to farsa.

Damodara zmarszczył brwi. Nie ze złości, po prostu się koncentrował. – Wyjaśnij mi.

- Nie ma najmniejszej szansy, żeby Belizariusz zdradził Rzym. Oczywiście Damodary zrobiły się okrągłe. Odsunął się pół kroku od Radżputy. Sanga mówił dalej.
- On po prostu robi z Venandakatry głupka. Nie ma najmniejszego zamiaru wchodzić w jakikolwiek sojusz z Malawą. Po prostu chce się wkraść w nasze łaski tak dalece, jak tylko się da, żeby wykraść nasze sekrety, zanim powróci do Rzymu.

Damodara odwrócił wzrok, szarpiąc się w zamyśleniu za brodę.

- Tak myślisz... ale skąd wiesz? Czy on coś ci mówił?

Sanga pokręcił przecząco głową.

- Nie, nigdy by o czymś takim ze mną nie rozmawiał. Ale znam tego człowieka, panie Damodaro. Zdrada nie leży w jego naturze.

Damodara rzucił na Sangę szybkie spojrzenie z ukosa. Mimo tego, że wychowano go na Malawianina, wiedział nieco o kodeksie Radżputów. Oczywiście nie dzielił z nimi tych zasad, żaden Malawianin tak nie postępował, ale on przynajmniej je rozumiał. Wykrzywił usta w drwiącym uśmiechu.

- Ale sam przecież twierdzisz, że Belizariusz nie zniży się do poziomu sługi. A teraz mówisz

znovu, że on przyjechał tutaj, żeby nas szpiegować. Sanga wzruszył ramionami.

- Jego honor nie jest taki sam jak mój... jak nasz. Nie znam Rzymian zbyt dobrze, ale z moich obserwacji wynika, że kładą oni większy nacisk na samo pojęcie honoru, a nie formę jego wyrażania. W końcu to barbarzyńcy, czego by o nich nie mówić, i nie rozumieją pojęć czystości i hańby. Ale nawet barbarzyńcy mają honor.

Damodara przez chwilę się nie odzywał – patrzył w przestrzeń i zastanawiał się.

- Jednak ciągle... – odezwał się w końcu. – Czy ty naprawdę myślisz, że tak wielki generał upadłby tak nisko, żeby parać się zwykłym szpiegostwem? To prawda, posiadliśmy sekret wedyjskich broni. Ale nie widzę możliwości, żeby on się o nich więcej dowiedział. Jesteśmy bardzo ostrożni. Zresztą sam wiesz... to w końcu twoje zadanie.
- I wykonuję je bardzo dobrze – odparł Sanga. – I prawdą jest – dodał ponuro – że Belizariusz nie miał okazji zbyt wiele wyszpiegować.

Damodara naciskał dalej.

- I nie będzie miał takiej szansy w przyszłości, nieważne jak daleko. .. jak to ująłeś?... jak daleko uda mu się wkraść w nasze łaski.

Sanga zauważył, że malawiański pan był na tyle uprzejmy, żeby nie dodać: nie więcej, niż kiedykolwiek pozwoliliśmy zobaczyć radżpuckim generałom.

Teraz to Sanga zaczął się wahać, targając swą czarną brodę.

- Rozumiem twoje słowa, panie. Sam zastanawiałem się nad tym nie raz. Nie rozumiem, co Belizariusz zamierza zrobić, ale wiem, że ten człowiek jest niesamowicie przebiegły. I widzi możliwości tam, gdzie nikt inny by ich nie dostrzegł.

Damodara zmarszczył czoło.

- Ja nic takiego nie zauważyłem. Wyjaśnij mi. Sanga uśmiechnął się ponuro.
- Ależ zauważyłeś, panie. Po prostu tego nie zarejestrowałeś... tak jak ja, wtedy, kiedy to się stało.

Sanga pokazał na zbocze, na którym stał pawilon. Wskazywał na to samo pole bitwy, gdzie odbyła się finałowa szarża Radżputów.

- Jestem dobrym generałem – stwierdził.
- Jesteś doskonałym generałem – podkreślił Damodara. Sanga wykrzywił twarz.
- Kiedyś tak myślałem. Ale pozwól, że cię zapytam, panie Damodaro, dlaczego nie przyszło mi do głowy, żeby pognać naszych żołnierzy właśnie w to miejsce? Przecież mnie przyszłoby to łatwiej, z pięcioma setkami Radżputów do dyspozycji, niż temu obcokrajowcowi z trzema tylko żołnierzami do pomocy. Ale wtedy o tym nie pomyślałem. Działąłem wedle jednego planu. Najprostszego, najoczywistszego planu.

Damodara patrzył na pole bitwy. Nawet teraz, kilka dni później, wszędzie widać było dzieło

śmierci i zniszczenia.

- Zaczynam rozumieć, do czego zmierzasz. Twierdzisz, że to człowiek, który do każdego problemu będzie podchodził, prawie automatycznie, z innej strony niżmy. Z pokrętej strony, jeżeli można tak powiedzieć.

Sanga kiwnął głową. A potem machnął ręką w kierunku pawilonu.

- Tam, panie Damodaro, porównałem Belizariusza do tygrysa. I za sugerowałem, że powinniśmy użyć długiego kija.

Damodara przytaknął z uśmiechem.

- Im dłużej o tym myślę, tym mniej trafne wydaje mi się to porównanie. Tygrysa możesz drażnić za pomocą długiego kija. Ale, pomyśl pa nie Damodaro, jak długiego kija potrzeba, żeby drażnić się z mangustą?

\* \* \*

Później, kiedy podjęto przerwane obrady, pan Damodara zażądał, żeby w pomieszczeniu pozostali tylko najwyżsi dostojnicy i dowódcy malawiańskiej armii. Imperator zgodził się dosyć chętnie i z pawilonu wyproszono wszystkich pozostałych uczestników spotkania. Nawet strażnicy Yetai wycofali się poza zasięg głosu.

Kiedy wstał, żeby przemówić, pan Damodara nie powtórzył ani słowa z rozmowy, jaką odbył z Rana Sangą. Poczucie honoru Radżputy było dla niego czymś obcym, ale je rozumiał. I może właśnie dlatego uchronił Rana Sangę przed konsekwencjami jego wypowiedzi.

Zamiast tego, Damodara po raz pierwszy, jako członek dynastii rządzącej Malawą, wykorzystał swe święte prawo. Zażądał, żeby problem Belizariusza przedstawić najwyższemu autorytetowi Imperium.

To żądanie zaskoczyłoby każdego innego, ale nie ludzi zebranych w pawilonie. Cały świat, a przynajmniej całe Indie, wiedziały, że imperator Skandagupta jest jedynym Bogiem Na Ziemi. Najwyższym dostępnym autorytetem.

Ale ludzie zebrani w pawilonie wiedzieli, że to nie do końca prawda. Skandagupia był potężny, ale oprócz niego istniała ważniejsza istota. W końcu ponad Bogiem Na Ziemi są jeszcze niebiosy.

Zgodzono się na żądanie Damodary. Co prawda nie było w tej zgodzie entuzjazmu, a w głosie Venandakтры zabrzmiały nutki złości. Ale zebrani zgodzili się, bo nie mieli innego wyjścia.

Problem Belizariusza miał zostać przedstawiony sercu dynastii. Wielkiemu i potężnemu umysłowi, kierującemu przeznaczeniem Malawy. Boskiej istocie, nazywanej Ogniwem.

Ogniwo. To było dziwne imię, ale całkiem odpowiednie. Boska istota często wyjaśniała, że jest tylko obliczem, jakie nowi wielcy bogowie w niebiosach ukazują swoim poddanym.

\* \* \*

Później tej samej nocy, na długo po tym, jak wszyscy inni Radżpuci zasnęli głębokim snem, Rana Sanga stał u wejścia do swego namiotu. Stał tam już od wielu godzin, prawie bez ruchu, po prostu patrząc przed siebie. Przez jakiś czas wpatrywał się w księżyc. Potem dłuższą chwilę przypatrywał się migoczącym płomykom, które wybuchały tu i ówdzie w ruinach nazywanych kiedyś miastem Ranapur. A potem patrzył w nicość, pogrążony w myślach.

W Ranapur panowała teraz cisza, więc myśli Rana Sangi nie zakłócał żaden hałas. Prawda, jego

nos drażnił odór śmierci ciągle unoszący się nad zrujnowanym miastem. Ale Radżputa już dawno temu przyzwyczał się do tego smrodu. Jego umysł automatycznie blokował dostęp dla wszelkich zapachów.

W końcu Rana Sanga odwrócił się i, rzucając jeszcze ostatnie spojrzenie przez ramię na srebrny księżyc płynący wysoko po niebie, wszedł do swego namiotu.

Jego ostatnia myśl, zanim wstąpił w ciemność, była taka sama jak ta, która od wielu godzin kołatała w jego zmęczonej głowie.

Złożyłem przysięgę.

\* \* \*

Następnego ranka królewscy heroldowie pomknęli przez całe wielkie obozowisko, oznajmiając, że imperator wraca do stolicy, do miasta Kausambi. Wieść o postanowieniu imperatora nadeszła szybciej niż ktokolwiek się spodziewał, więc przygotowania do podróży były nagłe i paniczne.

Obcokrajowcy, nauczeni długoletnim doświadczeniem i przyzwyczajeni do nagłych wymarszów, spakowali swe obozowisko zaledwie w godzinę. A przynajmniej dla postronnego obserwatora wyglądało to na złożenie obozowiska. Inne przygotowania zajęły im znacznie więcej czasu, więcej niż jeden dzień, ale obcy nie narzekali na jego brak. Mieli mnóstwo czasu, żeby zaaranżować przemieszczenie kilkunastu doskonałych koni i paru małych, łagodnych słońątek. Spędzili nawet jeszcze więcej godzin, żeby zaaranżować tę przeprowadzkę w taki sposób, aby nie dało się jej powiązać z ich osobami.

Bardzo wiele czasu... Pierwsza grupa ruszyła dopiero po trzech dniach od ogłoszenia wymarszu. Była to mała armia... wedle standardów Malawy, ale w rzeczywistości ogromna. Zaczęła ona mozolnie poruszać się na południe. Żołnierze zostali przydzieleni panu Venandaktrze, który objął funkcję goptri Dekami. Orszak był wprost oszałamiający, nawet jak na Venandakatre, więc potężny pan z niechęcią odniósł się do pośpiechu, z jakim musiał wyruszyć.

Ze wszystkich malawiańskich urzędów, żaden nie był tak znaczący jak goptri. Termin ten w odniesieniu do krajów zachodnich można by przetłumaczyć jako główny strażnik monarchii. Jako zwykły zarządca Venandaktra władał niewielką prowincją. Jako satrapa wielki pan trząsł całym regionem. Teraz, dzięki wspaniałomyślności swego imperatora, Venandaktra otrzymał panowanie nad całym półwyspem Dekami i, obdarzony zaufaniem swego władcy, miał wkrótce zmiażdżyć tę krainę swą żelazną piętą.

Mimo że go nienawidzili, wielu malawiańskich dostojników prawie poczuło dla Venandaktry litość.

Trzy dni później ruszyła armia imperatora. A raczej zaczęła się powoli przemieszczać. Jej droga była krótsza i prowadziła na wschód. Zresztą sam imperator i jego najbliższe otoczenie nie musiało znosić męki pieszej podróży. Skandagupta i członkowie dworu w najbardziej luksusowych barkach płynęli wygodnie w dół rzeki Jamuny, eskortowani przez małą flotyllę wąskich bojowych galer.

Większość armii imperatora jednakże szła na piechotę. Podobnie jak horda obozowych ciurów, którzy zawsze towarzyszą wojsku. A wraz z nimi szła mała grupka obcokrajowców, tkwiąca niczym mała drzazga w wolno płynącej ludzkiej rzece.

DARAS

*Lato, 530 r. n. e.*

## **Rozdział 9**

Pierwszy dzień po powrocie do Daras Antonina spędziła ze swoim synkiem. Focjusz z wielką radością powitał matkę, której nie widział kilka miesięcy, a jego zadowolenie wzrosło jeszcze bardziej, kiedy zobaczył małą górę prezentów, jakie przywiozła mu z bajkowego Konstantynopola.

Jednakże chłopiec, ciągle nie spuszczał zachłannego spojrzenia z nowych, fascynujących zabawek, cały pierwszy dzień poświęcił matce.

Radość siedmiolatka ze spotkania z matką wynikała ze zwykłej tęsknoty i zadowolenia z jej obecności, a nie z ulgi. Podczas jej nieobecności chłopiec był dobrze traktowany. A nawet, zdaniem Antoniny, która usiłowała go podnieść w ramionach zaraz po przyjeździe, traktowano go zbyt dobrze, aż do granicy psucia.

Oczywiście, drugiego dnia nieodparta chęć zabawy nowymi prezentami przemogła synowskie uczucia. Już o wschodzie słońca Focjusz zaczął się bawić. Kiedy jakąś godzinę później matka przysłała do niego, chłopiec nie zdobył się na nic więcej, jak tylko na zdawkowe pozdrowienie. W końcu matka jest matką. Wesoła i dobra jak promień słońca, i równie pewna i niezmienna. A zabawki... kto wie, kiedy mogą zniknąć, by wrócić do magicznego królestwa, skąd je przywieziono.

Antonina przez chwilę obserwowała zabawę swojego synka. W innej sytuacji może poczułaby ukłucie żalu, że jej dziecko samo zajmuje się przedmiotami, nie wciągając jej do zabawy. Ale teraz, prawdę mówiąc, żona Belizariusza niecierpliwiła się, chcąc zająć się własnymi sprawami. Więc po niedługim czasie opuściła chłopca i udała się do warsztatu, gdzie czekał na nią Jan z Rodos.

Warsztat, co zauważyła z daleka, przez ostatnie miesiące znacznie się rozrósł i wzbogacił. Kiedy podeszła bliżej, zdała sobie sprawę, że Jan ma nowego pomocnika. Przez otwarte drzwi pomieszczenia słychać było podniesione głosy.

Na początku nie była z tego faktu zadowolona. Nie chciała, aby ktoś obcy kręcił się po posiadłości. Miesiące spędzone w Konstantynopolu uczuliły ją jeszcze bardziej na problem szpiegów i konspiracji.

Jednakże już po kilku chwilach strach i niezadowolenie zamieniły się w inne uczucia. Przecież mogła być tylko jedna przyczyna, dla której Jan przyjął do pracy pomocnika.

Więc to nadzieja, a nie złość przyspieszyła jej kroki i kobieta przebiegła niewielki dystans dzielący ją od warsztatu.

To, co spotkało ją w drzwiach, odepchnęło wszystkie jej uczucia na bok.

Wzdrygnęła się, słysząc głośny trzask.

Dzięki momentowi zawahania miała czas, żeby przykucnąć, na szczęście.

Zdażyła. Nieznanej konstrukcji pocisk przemknął tuż nad jej głową, mijając czaszkę z zupełnie wystarczającym marginesem bezpieczeństwa.

Odwrotnie niż rykoszet, który uderzył ją prosto w pośladek.

Szczęśliwie rykoszet nie uderzył z wielką siłą. Upadła na ziemię, piszcząc bardziej z zaskoczenia niż z bólu.

- Na rany Chrystusa, Antonino – wrzasnął Jan z Rodos. – Czy nie umiesz czytać najprostszyc znaków?

Emerytowany oficer marynarki podniósł się zza pionowo postawionego stołu i podszedł do niej. Najwyraźniej stół został tak ustawiony celowo, gdyż otaczające go przedmioty odsunięto i ustawiono porządknie pod ścianami.

Jan wyciągnął rękę i pomógł Antoninie się podnieść. Potem, nie rozluźniając chwytu, wyprowadził oszołomioną kobietę z warsztatu przez drzwi, którymi właśnie weszła.

Na zewnątrz obrócił ją.

- Właśnie tutaj jest ten znak! – zagrzemiał. – Tutaj, gdzie wszyscy mogą go dobrze zobaczyć!

Pokazał triumfującym gestem na drzwi wejściowe.

- W prostej i jasnej grece! On mówi...

Zapadła cisza. Antonina potarła pośladki, lekko pojękując.

- Tak, Janie? I co on niby mówi? Cisza.
- Euzebiuszu! – zaryczał nagle Jan. – Chodź tutaj natychmiast!

Chwilę później z warsztatu wyłonił się młody człowiek, najwyraźniej pełen obaw. Był niski, chudy i ogorzały. Miał raczej niegodziwy i zły wygląd. Wcale nie był podobny do niewinnego aniołka, którego ze wszystkich sił starał się przypominać.

Jan oskarżycielsko pokazał na pustą przestrzeń ponad swoją głową.

- No i gdzie jest ten znak, który kazałem ci tutaj powiesić? – zapytał. Euzebiusz przybrał niewinny wyraz twarzy.
- Zapomniałem – wymamrotał.

Jan wziął głęboki oddech, wypuścił powietrze i zaczął biegać w kółko po dziedzińcu. Dłonie oparł mocno na biodrach, a ramiona podniósł do góry.

Antonina знаła tę pozę. Nie miała nastroju, żeby wysłuchiwać jednej z wielu tyrad, jakie miał w zwyczaju wygłaszać były oficer marynarki.

- Nieważne, Janie! – zawołała. – Nic mi się nie stało. Ucierpiała tylko moja godność osobista.
- Ale to nie o to chodzi! – ryknął Jan. – Te pociski są wystarczająco niebezpieczne bez... bez jakiegoś zidiociałego chłopaka, który ciągle... ciągle o wszystkim zapomina. Zapomina nawet o tak trywialnej rzeczy, jak powieszenie...
- Jakie niebezpieczne pociski? – przerwała mu Antonina, uśmiechając się radośnie. – Och, to brzmi strasznie podniecająco!

Jan przerwał dreptanie wokoło. Zamachał rękami.

- Wreszcie nam się udało, Antonino! – zawołał podekscytowany. – Mamy to! Proch! Chodź ze mną, pokażę ci!

Popędził do środka warsztatu. Euzebiusz, ustępując mu z drogi, rzucił Antoninie spojrzenie pełne wdzięczności.

Antonina po raz drugi spróbowała wejść do warsztatu. Nagle łupnęło, zagrzechotało, rozległ się gwizd. Antonina wyskoczyła na zewnątrz, odruchowo padając na ziemię. Zza jej pleców dobiegł ryk Jana.

- Euzebiuszu, ty idioto! Czy ci nie mówiłem, że masz zdławić lont?!
- Zapomniałem – nadeszła mamrotliwa odpowiedź.

- Poza tym, że ma pamięć jak oliwka, jest naprawdę bardzo po mocny – powiedział Jan trochę później. Zamyślony, upił kolejny łyk wina. – Chemia nie jest, niestety, moją mocną stroną. Euzebiusz natomiast ma do tego smykałkę jak nikt, kogo do tej pory znałem.
- Więc lepiej zatrudnij kogoś, kto będzie notował jego osiągnięcia, bo on ich z pewnością nie zapamięta – odparła Antonina z uśmiechem.

Jan z hukiem postawił kubek z winem na stole. Obok kubka położył zaciśnięte w pięści dłonie. Wyprostował się.

- Nie stać nas na to, Antonino – powiedział. – Nie ma sensu martwić się tą sprawą – dodał z mocą. – Prokopiusz prawie się udławił z radości i od tygodnia zaciera rączki – zaskowyczał. – Od czasu, kiedy wszedł do twojego gabinetu i przed twoim przybyciem przejrzał księgi – zaskowyczał znowu, tym razem z wściekłości. – Ta świnią nie może się doczekać, żeby ci powiedzieć. Nie mamy już pieniędzy. Nie został nawet jeden solid. Ani jeden – jęknął ze złości. – A Sitas... to tłuste skąpiradło! Nie jestem w stanie nic z niego wydusić. Ostatnim razem, kiedy z nim rozmawiałem, oskarżył mnie o rozrzutność.

Z twarzy Antoniny nie schodził uśmiech.

- A ile razy udało ci się coś z niego wydusić?
- Osiem – odparł ponuro. – Nie, zaczekaj... siedem. Siedem z sukcesem.
- Moje gratulacje – zaśmiała się Antonina. – To niewątpliwie rekord. O ile jestem dobrze zorientowana, to nikomu nie udało się wy rwać od niego trochę grosza więcej niż dwa razy pod rząd.

Na twarzy Jana pokazał się lekki uśmiech.

- To wcale nie jest śmieszne, Antonino. Nie możemy postąpić ani kroku naprzód bez większej ilości pieniędzy, a ja nie mam pojęcia, skąd je wziąć. Od Kasjana nie dostanę ani grosza. Biskup ma swoje własne problemy. Patriarcha Efraim przetoczył się ostatnio po okolicy, siejąc zniszczenie i grząc o marnotrawieniu kościelnych funduszy. Jego diakoni myszkowali po majątku Antoniusza jak pchły, tłoczące się na psie. Policzyli nawet jego osobiste srebra.
- A co się stało? Czyżby jedwabne szaty Efraima już się znosiły? – zapytała z przekąsem Antonina.

W uśmiechu Jana pojawiło się nieco więcej radości. Ale niewiele więcej.

- Ja przynajmniej tego nie zauważyłem. Oczywiście trudno się po łapać, przecież on ma tyle ubiorów. Nie. Wydaje mi się, że jest wkurzony, bo jest mu niewygodnie. Na jego lewej ręce jest mniej pierścieni niż na prawej. I dlatego łapie przechył, kiedy idzie ulicami Antiochii błogosławiąc biedaków.

Oficer marynarki prychnął, a potem westchnął. Rozejrzał się dookoła – siedzieli w głównym salonie willi, przy stoliku w kącie.

- Sugerowałbym, żeby sprzedać jeden z tych przepięknych gobelinów – wymamrotał. –

Tylko...

- Nie mamy żadnego.
- Dokładnie.

Uśmiech Antoniny zamienił się w radosne szczyrzenie zębów. Potrząsnęła głową.

- Muszę przestać się z tobą drażnić. Strasznie mi wstyd. Prawda jest taka, mój drogi Janie, że pieniądze nie są już dla nas problemem. Zdobyłam nowego sponsora dla naszego projektu.

Sięgnęła pod stół i podniosła do góry sakiewkę. Gdy położyła ją na stole, rozległ się brzęk złota.

Oczy Jana rozszerzyły się ze zdumienia. Antonina, ciągle z szerokim uśmiechem, rozwiązała sakiewkę i wysypała na stół jej zawartość. Mała kupka złotych monet spoczęła na blacie.

- Świeżo wybite, mam nadzieję, że zauważyłeś – powiedziała wesoło. Jan gapił się na stosik. Jednakże to nie same monety przyciągały jego wzrok. Po prostu wiedział, co kryje się poza nimi.

Możliwości. Morze możliwości.

Od czasów panowania cesarzy Walentyniana i Walensa, bardzo rzadko wybijano złote solidy – monety wprowadzone do obiegu w Cesarstwie Rzymskim przez Konstantyna Wielkiego, które przez bez mała dwa stulecia były stabilną walutą Imperium.

W Imperium Rzymskim było bardzo wiele legalnie działających mennic. Największe z nich mieściły się w Tesalonikach i Nikomedii, ponadto w mniejszych miastach były także mniejsze mennice. Ale wszystkie miały prawo do wybijania jedynie srebrnych i miedzianych monet. Tylko w mennicy imperatora bito monety złote. Mieściła się ona w Konstantynopolu, w samym Wielkim Pałacu.

- Powiedziałaś Teodorze – stwierdził Jan. Antonina przytaknęła skinieniem głowy.
- Ale czy to rozsądne? – zapytał. W tym pytaniu nie było nic oskarżycielskiego, jedynie ciekawość. Antonina wzruszyła ramionami.
- Tak mi się wydaje. W zaistniałej sytuacji nie miałam wielkiego wyboru. Zagmatwałam się głęboko w królewską intrygę podczas po bytu w Konstantynopolu. To dlatego Irena nie wróciła ze mną. Ona jest teraz, co prawda nieoficjalnie, osobistym szpiegiem Teodory.

Jan przyjrzał się jej z zainteresowaniem.

- Malawa?
- Tak. Snują coś na kształt pajęczej sieci, Janie. Niewiele wiemy, ale przypuszczamy, że... – przerwała nagle. – Zresztą nieważne. To długa opowieść i nie mam ochoty opowiadać jej dwukrotnie jednego dnia. Antoniusz, Michał i Sitas przychodzą dzisiaj na kolację. Maurycy i Hermogenes także do nas dołączą. Teraz oni dwaj również są w to wplątani. Podczas kolacji wszystko wam wyjaśnią.

Wyciągnęła rękę i zaczęła wrzucać monety z powrotem do sakiewki.

- Tak czy siak, myślę, że powiedzenie Teodorze prawdy było konieczne. I, jeżeli już o to chodzi, właściwe. I tak by się dowiedziała. Przybędzie tutaj późnym latem. Żeby zobaczyć, jakie



mamy wyniki.

- Co? – wrzasnął Jan. – Tego lata? – Skoczył na równe nogi. Za machał ze złością rękoma. – To niemożliwe! Niemożliwe! – Zaczął biegać nerwowo po pokoju w tę i z powrotem. – Szalone baby! Nie mają poczucia rzeczywistości... ani trochę. Niemożliwe. Ten proch jest ciągle nie do przewidzenia. Granaty nie przeszły jeszcze testów. A rakiet wcale nie mamy!

Nerwowo biegał w kółko.

- Lunatyczki! Wariatki! Myślą sobie, że chemia to jak pieczenie chleba. Nie wiem, ale coś jest nie tak w sposobie, w jaki pali się ten proch. Wiem, że coś jest nie tak. Muszę poeksperymentować z różnymi proporcjami składników.

Chodził dalej, tupiąc głośno. ,

- Idiotki. Może powinienem go zmielić, o ile to mi się uda bez wyśadenia samego siebie w powietrze. A może wcześniej go zmoczyć. To jest myśl. Co tam, do diaska, nic nie kosztuje spróbować.

Dreptał wokół stolika.

- Gówno, nic sienie może stać! Ten idiota Euzebiusz wysadziłby w powietrze wszystko, czego się tylko dotknie. Nawet trzęsącą się kupę krowiego nawozu, jeżeli go nie pilnować. Jest tak nieostrożny, jak kobieta.

Mocno wbijał stopy w podłogę.

Wczesne godziny wieczoru, tuż przed i w trakcie posiłku, poświęcono głównie Prokopiuszowi. Zabawianie go nie było trudne. Miesiące praktyki sprawiły, że Antonina zmieniała przedstawienie mydlenia oczu sekretarzowi męża w prawdziwie artystyczny spektakl.

Co prawda teraz, niestety, jej talent się marnował. Prokopiusz bowiem tak doskonale dał się już wytresować, że w zasadzie w każdym jej ruchu widział to, co wszyscy chcieli, żeby zobaczył. Podobnie jak zaprzęgnięty do wózka muł z klapkami na oczach widzi przed sobą tylko ścieżkę, po której stąpa. Wystarczyło, by Antonina rzuciła uwagę o wspaniałym wierzchowcu, Prokopiusz oczyma duszy widział ją spółkującą ze zwierzętami. Kiedy ucięła sobie pogawędkę z wiejską gospodynią domową, sekretarz przypisywał im skłanianie się ku miłości na sposób Safony. Gdy wlepiła swemu synowi klapsa... och, doskonale! Prokopiusz całą noc spędzał skulony nad stolikiem, w świetle lampy opisując skłonności Antoniny do pedofilii i innych niegodziwości.

Tak więc jej pożądlive spojrzenia rzucane na otaczających ją mężczyzn, jej zawołowane uwagi, zachęcający śmiech, obleśne zachowanie, nawet dowcip o tym, że czterech żołnierzy i dwóch świętych to zbyt wiele do zniesienia na jedno posiedzenie dla kobiety takiej jak ona, były zupełną stratą czasu i wysiłku. Mogłaby nawet siedzieć sama przy stole i jeść w ciszy posiłek o wschodzie słońca, a i tak już przed południem Prokopiusz zapewniałby każdego, kto tylko zechciałby słuchać, że ta dziwka onanizowała się przy śniadaniu.

Na szczęście Prokopiusz dość wcześnie wstał od stołu i udał się do swoich kwater. Antonina nawet nie musiała wymyślać pretekstu, pod jakim miałaby go odprawić. Mężczyzna odszedł sam, drżąc z niecierpliwości i chęci złapania za pióro.

- Boże, niedobrze mi na sam widok tego człowieka – jęknął Sitas. Przez chwilę generał wyglądał tak, jakby chciał wypluć wino, które trzymał w ustach. Ale tylko przez chwilę. Rozważył ten problem, połknął płyn i nalał sobie kolejną porcję.
- Czy to jest absolutnie konieczne? – zamruczał Michał z Macedonii. Antonina zrobiła głupią minę. Ale zanim zdołała odpowiedzieć, wtrącił się biskup Kasjan.
- Tak, Michale, to konieczne – powiedział szorstko. – Ta niegodziwa istota, chociaż jest zbyt głupi, żeby zdawać sobie z tego sprawę, to najważniejszy malawiański szpieg piklujący Antoniny. On jest akweduktem, który dostarcza im wiedzę. Z wyjątkiem tego, że Antonina zadbała, aby ten akwedukt zamienił się w ściek, pompujący do ich rezerwuarów tylko brud i śmieci. – Uśmiechnął się. Jak na biskupa jego uśmiech był nieco paskudny, prawie diabelski. – Przecież nie mamy tu żadnego tajnego spotkania i nie planujemy niczego przeciwko Malawianom. Po prostu się bawimy. To orgia! A może się tak złościsz, bo boisz się o swoją reputację? – zapytał ze złośliwym uśmieszkiem.

Macedończyk zapłonął gniewem.

- Reputacja to głupota— oznajmił. – Głupota...
- ...karmiona przez pychę, która jest jeszcze gorsza – dokończył biskup, uśmiechając się szeroko. – Naprawdę, Michale, musisz powiększyć nieco repertuar swoich napomnień.

Antonina odchrząknęła cicho.

- Tak jak już mówiłam...
- Nic nie mówiłaś, Antonino – stwierdził rzeczowo Kasjan. – Więc nie widzę powodu, żeby zażegnywać nasze spory jakąś jałową gadką...
- Przestań się czepiać Michała – zagrział Maurycy. – On czyni prawdziwe cuda, przekonując mieszkających tu chłopców do naszej sprawy. I ich żony, i rodziców. Nawet wioskowi starcy ryczą dzisiaj głośniejsze niż średniego rozmiaru morska burza.
- Cóż, oczywiście, że czyni cuda! – zawołał dobrodusznie Kasjan. – Przecież to święty człowiek. Musi się na coś przydać.

Antonina usiłowała zażegnać nadchodzący sztorm.

- Powiedz mi, Michale – powiedziała głośno. – Jakie jest twoje zdanie? Michale?

Macedończyk porzucił swój, raczej daremny, zamiar spalenia biskupa wzrokiem i popatrzył na Antoninę.

- Wybacz mi, Antonino. Nie usłyszałem, o co pytałaś.
- O wieśniaków – powtórzyła. – Co o nich sądzisz?

Michał lekceważąco machnął ręką. To nie był lekki gest. Wprost przeciwnie. Znamionował raczej solidność głazu.

- Nie będzie z nimi problemu. Żadnego.
- A nawet więcej – .dodał Maurycy. – Uważam, że większość z nich podskoczy do góry z

radości na wieść, że będą mogli wstąpić do naszego regimentu. – Popatrzył na Jana z Rodos. – Zakładając, że znajdzie się dla nich jakaś robota, oprócz pędzenia swoich owieczek prosto na szeregi wroga.

Jan nie starał się nawet bronić przed zarzutem żołnierza.

- Nie martw się, Maurycy. Po prostu poskładaj do kupy ten swój nowy regiment. Będę miał dla nich broń. Co najmniej granaty.
- A nie rakiety? – zapytał Hermogenes. Jan zamrugał.
- Nie liczyłbym na to. Te cholerne pociski są trudniejsze do wykonania, niż myślałem. – Osuszył kielich i nalał sobie nową porcję wina.
- Problem nie polega na samym ich zrobieniu – kontynuował ponuro. – W swoim warsztacie mam już dwadzieścia dobrych rakiet, ze branych na kupkę. Każda z nich polecie i wybuchnie całkiem spektakularnie. Ale problem polega na tym, że nie wiem, jak pokazać im, gdzie mają lecieć.

Zamrugał ponownie.

- Raz już wystrzeliłem taką jedną cholere, mówię wam całą prawdę, poleciała do przodu, zatoczyła koło i o mało co nie pozbawiła nas głów.
- Więc jak Malawianie nakierowują je na cel? – zapytał Sitas. – Musi być na to jakiś sposób.

Jan wzruszył ramionami.

- Nie mam pojęcia. Próbowałem już wszystkiego, co tylko przychodzi mi do głowy. Wystrzeliwałem je z rur. Robiłem im stateczniki, nawet oklejałem je piórami! Nic nie działa. Niektóre lecą całkiem prosto, inne nie, a ja nie jestem w stanie stwierdzić, dlaczego tak się dzieje nawet za cenę swojego życia.

Maurycy uderzył w stół dłonią.

- Więc przestańmy się tym przejmować – powiedział. – Kiedy generał wróci z Indii.
- Jeżeli... – wymamrotał Jan.
- ..kiedy on wróci – powtórzył z naciskiem Maurycy – jestem pewien, że zdradzi nam sekret, jak wystrzelić raketę, żeby poleciała prosto. Do tego czasu skupmy się na granatach. Już one wystarczą, żeby zająć czymś nasz nowy regiment na wiele tygodni.
- Maurycy ma jakiś pomysł – oznajmił Sitas. Generał promieniał z zadowolenia. – To doskonały pomysł, tak mi się wydaje! A przecież mnie znacie... ja odnoszę się do nowych pomysłów w taki sam sposób, jak do krowiego łajna.
- A o co chodzi? – zapytała Antonina.

Maurycy podrapał się po głowie. Ten gest był jednym z wielu jego przyzwyczajień. Włosy na jego czaszce całkowicie pokryły się już siwizną, ale katafrakt miał godną pozazdroszczenia, gęstą czuprynę, nie rzadszą niż za jego chłopięcych lat.

- Zastanawiałem się. Problem z granatami polega na tym, że trze ba je rzucić na znaczną

odległość, zanim wybuchną. W tej sytuacji trzeba połączyć jakoś dystans i efektywność broni, nie umniejszając jednego na rzecz drugiego. Silny mężczyzna o mocnych ramionach może rzucić granat bardzo daleko, ale tylko wtedy, kiedy pocisk jest i mały i lekki, a więc nie wyrządzi wielkich strat przeciwnikowi. Jeżeli będzie próbował rzucić duży granat, musi podejść do wrogich oddziałów na odległość mniejszą niż strzał z łuku. – Weteran wzruszył ramionami. – W warunkach większości bitew moi katafrakti zmieniliby takiego śmiałka w poduszeczkę do igieł, zanim zdołaliby wyrzucić chociaż dwa pociski. Muszę założyć, że wróg także jest do tego zdolny. A już na pewno Persowie na tyle dobrze strzelają z łuku.

- A więc jakie jest wyjście? – zapytał Jan. – Skorpiony? Maurycy potrząsnął przecząco głową.
- Nie. Zauważ, że ja mam zamiar uformować oddział artylerii, rzucającej granatami. Dałoby się przystosować do tego celu małego, miotającego kamienie skorpiona, ale nie o to chodzi. Mam już artylerię, przykutą do miejsca, a chcę mobilnej, uzbrojonej piechoty.

Hermogenes uśmiechnął się. Był jednym z niewielu nowoczesnych rzymskich generałów specjalizujących się w wykorzystywaniu piechoty w bitwach. Sam Belizariusz wychował go sobie na dowódcę i popchnął właśnie w tym kierunku.

- Albo kawalerii – ponuro wymamrotał Sitas. Ten generał, z drugiej strony, był wprost ślepo oddany tradycjom katafraktów.
- Zapomnij o kawalerii – powiedział Maurycy. – Ci chłopcy to wieśniacy, prości i nieco prymitywni, Sitasie. A do tego wieśniacy z Syrii. Trakowie i Ilyryjczycy mają jakieś doświadczenia z końmi, ale ci chłopcy takowych nie posiadają. Wiesz równie dobrze, jak ja, że oni nigdy nie staną się dobrymi jeźdźcami. A przynajmniej nie w czasie, który nam pozostał.

Sitas skinął potakująco głową, całkiem wspaniałomyślnie. Honor kawalerii został ocalony, więc nie zamierzał się dłużej o to spierać.

- I to jest właśnie klucz do rozwiązania problemu – oznajmił Maurycy. – Próbowałem w jak najlepszy sposób połączyć syryjskiego wieśniaka i granaty, wychodząc od pozytywnych i negatywnych cech broni i ludzi. Odpowiedź była prosta i oczywista.

Zapadła cisza. W końcu Jan nie wytrzymał i eksplodował.

- No, powiedz wreszcie!
- Proca. I procarze.

Jan zmarszczył brwi.

- Proce? – Zamierzał właśnie podać kontrargumenty, bardziej z przyzwyczajenia niż z realnych obiekcji, ale zdecydował inaczej i nie odezwał się.
- Hum... – Napił się łyk wina. – Hmm...

Antonina wyszczerzyła zęby w uśmiechu.

- Co się stało, Janie? Nie mów mi, że nie masz na ten temat swoje go zdania.

Oficer marynarki wykrzywił się w odpowiedzi.

- A więc... nie. Prawda jest taka, że, chociaż przyznaję się do tego z bólem serca, nie mam najmniejszego pojęcia o procach. Nigdy nie używałem tych głupich przedmiotów w bitwach morskich.
- Nigdy byś ich nie nazwał głupimi, gdybyś kiedykolwiek zobaczył, jak ich używają na polu bitwy balearscy procarze – zaburczał Maurycy. Hermogenes i Sitas pokiwali z entuzjazmem głowami.
- Ale ci tutaj to nie balearscy procarze, Maurycy – zauważyła Antonina. – Tamci wyspiarze są bardzo sławni... od wielu stuleci, a ci tutaj to zwykli wieśniacy.

Maurycy wzruszył ramionami.

- I co z tego? Każdy z tych wieśniaków, a już szczególnie pasterze, używa procy, odkąd skończył osiem lat. Oczywiście, nie są profesjonalistami, jak ci procarze z Balearów, ale dla nas to nie ma znaczenia. Jedyną różnicą pomiędzy balearskim procarzem a wieśniakiem stąd jest dokładność i celność. To ma znaczenie w wypadku, kiedy miotasz metalowymi kulkami. Ale kiedy rzucasz granaty, to przestaje być takie ważne.

Jan prawie wpadł w zachwyty, kiedy to usłyszał.

- A wiesz? Masz rację. Jak daleko ci syryjscy chłopcy są w stanie rzucić granatem?

Maurycy zatrzepotał ścierpniętymi palcami swej ogromnej dłoni.

- To zależy. Pokaż mi granat, jaki masz na myśli, a ja ci odpowiem. A tak na oko? Podejrzewam, że ze zwykłą procą tak daleko jak średni łucznik. A z procą bojową? Równie daleko jak katafrakt, czy Pers.
- Kawaleria zrobi z nich mielone mięso – oznajmił Sitas. Maurycy kiwnął potakująco głową.
- Gdyby byli sami, tak. Poza tym, musiałyby to być dobra kawaleria, która po pierwszej salwie nie wpadłaby w panikę. Wtedy rozgromiłaby tych procarzy z granatami...
- Mów o nich grenadierzy – wtrącił się Jan. – To brzmi bardziej dumnie.
- Więc niech będą grenadierzy. – Przerwał na chwilę i zastanowił się nad czymś. – Grenadierzy, podoba mi się!

Hermogenes pokiwał z entuzjazmem głową.

- Ta specjalna nazwa korzystnie wpłynie na morale – stwierdził młody dowódca. – Mnie też się podoba. Wydaje mi się, że nazwa ma kluczowe znaczenie.

Sitas zastanawiał się na głos.

- Więc będziemy potrzebować kawalerii na skrzydła...
- I solidnych oddziałów piechoty – przerwał mu Hermogenes. Maurycy zgodził się.
- Tak, piechota także. W granatach nie ma nic magicznego. We właściwej kombinacji, użyte we właściwy sposób...

- Może falanga – powiedział Hermogenes.
- Cholerny nonsens! – wrzasnął Sitas. – Falangi są tak samo przestarzałe, jak jedzenie na kanapie. Nie, nie, Hermogenesie, powinieneś przyjrzeć się starym, republikańskim maniłom. Myślę, że...

Biskup Kasjan zwrócił się do Antoniny.

- Czy mogę zasugerować, żebyśmy porzucili tych spierających się wojskowych, moja droga? Przewiduję, że za minutę ich dyskusja stanie się już tak fachowa, że i tak nic z niej nie zrozumiemy. A nie mogę się doczekać, aż zdasz mi relację ze swojej wizyty w Konstantynopolu.

Antonina wstała z uśmiechem.

- A więc chodźmy do salonu. – Popatrzyła na Michała. – Czy chcesz iść z nami?

Mnich potrząsnął przecząco głową.

- Podejrzewam, że wasza rozmowa także niebawem stanie się zbyt techniczna, abym mógł ją zrozumieć – powiedział smutno. – Obawiam się, że nie będę ani trochę bardziej przydatny w planowaniu dworskich intryg, niż w wymyślaniu militarnej taktyki i zastosowaniu broni. \*

Sitasowi udało się w jakiś sposób usłyszeć tę uwagę.

- Co się stało, Michale? – Na jego obliczu pojawił się zaczepny uśmiech. – Chyba nie sugerujesz, że nieśmiertelna dusza nie ma nic wspólnego z przyziemnymi sprawami?

Mnich popatrzył na generała jak orzeł, który właśnie zjadł mysz i nie jest już głodny. W jego oczach tliło się zainteresowanie, ale bardzo słabe.

- Ty i tobie podobni – powiedział – zaplanujecie bitwy i wykorzystacie broń. Antonina i Antoniusz, i im podobni, zdobędą wiedzę o na szych przeciwnikach. Ale i tak, Sitasie, będziecie musieli zmierzyć się z jednym problemem. Wszystkie rzeczy, jakie zgromadzicie, staną się niczym, jeżeli wiejski chłopak, któremu je wręczycie, nie będzie miał nieśmiertelnej duszy, która pozwoli mu stawić czoła szatanowi.

Wstał.

- I ja dam wam tego wieśniaka.

Wychodząc, Michał rzucił Sitasowi długie, tajemnicze spojrzenie, tak jak najedzony orzeł patrzy na mysz i widzi perspektywy na przyszłość.

- To zawsze jest kiepski pomysł, drażnić się ze świętym – wymamrotał Maurycy. – To prawda – dodał po chwili pod wpływem pałającego spojrzenia Sitas. Wypił do końca wino z kielicha. – Zapytaj któregoś z wieśniaków.

Następnego ranka dwaj generałowie w towarzystwie Jana z Rodos udali się na plac treningowy, z niecierpliwością wyglądając próby granatów. Czekał tam na nich Maurycy z około tuzinem ochotników z wioski. Syryjczycy byli na początku nieco zdenerwowani. Nawet kiedy ich skuteczne rzuty granatami zaowocowały pochwałami ze strony generałów, wieśniacy czuli się skrępowani w towarzystwie tak wielu notabli.

Jednakże niebawem nadszedł Michał z Macedonii. Nie powiedział ani słowa do generałów, ani do wieśniaków. Ale Maurycy ze zdumieniem patrzył, jak milcząca obecność świętego człowieka zmieniła syryjskich chłopców. Zachowywali się jak młode orlęta w towarzystwie gigantycznych myszy.

W południe młode orlętka swobodnie dyskutowały i kłóciły się z myszami.

Oczywiście przedmiotem sporu nie była taktyka, chociaż Syryjczycy dali generałom kilka niezłych rad, dotyczących praktycznych aspektów rzucania granatami. Większość wiązała się z rzeczami tak przyziemnymi, jak długość lontu i moment zapalenia. Młodzi ludzie nie byli głupcami. Może nie mieli wykształcenia i nie potrafili czytać. Ale nie byli głupi. Nie starali się zrozumieć wojennej sztuki i nie uważali, że znają się na tym lepiej niż Hermogenes czy Sitas, a już na pewno niż Maurycy, którego mierzyli swój ą własną wieśniaczą miarą.

Ale młodzieńcy mieli swoje zdanie na temat baraków i natury samej wojennej kampanii.

Ich dzieci nie polubią baraków, chociaż najprawdopodobniej życie w wojskowych namiotach będzie dla nich wesołą zabawą. Ich żony także zaoponują, ale raczej pogodzą się z obozowym życiem. To proste kobiety. Bardzo praktyczne.

Jednakże baraki po prostu nie przejdą. Nie ma tam prywatności. Jest niewygodnie. Ich żony to proste kobiety, ale wstydlive. To nie ciury obozowe.

Chcieli mieć chaty. Po jednej dla każdej rodziny. Oczywiście podczas wojskowych kampanii musieliby się zadowolić namiotami.

Generałowie usiłowali wyjaśnić im absurdalność takiego pomysłu. Mówili, że to pogwałcenie wojskowej tradycji.

Wieśniacy wyjaśniali im absurdalność wojskowej tradycji.

W końcu, a mnich obserwował to z lekkim uśmiechem, młodzi ludzie postawili generałów do pionu.

Nie ma chat?

Nie ma grenadierów.

\* \* \*

W willi odbywał się pojedynek woli innego rodzaju.

- To jest zbyt niebezpieczne, Antonino – nalegał biskup. – Myślałem tak wczoraj w nocy, a dzisiaj jestem nawet jeszcze bardziej o tym przekonany. – Odepchnął od siebie talerz z jedzeniem. – Nawet straciłem apetyt.

Antonina uśmiechnęła się, patrząc na jego krągłe kształty. Mimo prostego trybu życia i skromności, nikt nigdy nie wziąłby biskupa Kasjana za ascetę. A już na pewno nie podczas obiadu. Antonina wzruszyła ramionami.

- Może to i jest niebezpieczne. Ale nie w tej chwili. Zapewniam cię, Antoniuszu, że skrzywdzenie mnie jest ostatnim pomysłem, jaki przyszedłby Malawianom do głowy. Ja przecież jestem ich dumą i zabawką. Samą swoją obecnością cieszę ich oczy.

Kasjan patrzył uparcie na swój niedokończony posiłek. Antonina westchnęła.

- Czy ty nie rozumiesz, Antoniuszu? Mają mnie w potrzasku, przy najmniej oni tak uważają. Po tym, jak Adzasutra zastawił na mnie pułapkę... wyobraź sobie, pułapkę... ci dwaj diakoni słyszeli, jak wołam o śmierć dla Justyniana. Teraz starają się wycisnąć ze mnie wszystko, co ma jakąś wartość. Zanim opuściłam Konstantynopol, wydobyli ze mnie całą wiedzę o polityce frakcji na Hipodromie ze wszystkimi de talami.

Przerwała na chwilę, wykrzywiając twarz w grymasie.

- Do tej pory nie mam pojęcia, po co im ta wiedza. Matko Boska, powiedziałam im wszystko, co słyszałam jako dziecko od mojego ojca. Ten Niebieski zrobił to, a tamten Zielony tamto, a ci Niebiescy to ban da pajaców, ale nie spuszczaaj z oka tamtych Zielonych.

Rozłożyła ręce w geście bezsilności.

- Musiałam nawet wysledzić niektórych starych znajomych moje go ojca... tych, których zdołałam odnaleźć w Konstantynopolu, żeby uaktualnić moje wiadomości na temat frakcji. Boże w niebiosach, cóż to za banda nędznych obwiesi!
- Czy byli zadowoleni, widząc cię ponownie? – zapytał Kasjan delikatnie. – Po tym czasie, który minął?

Antonina wyglądała na zaskoczoną pytaniem. W końcu uśmiechnęła się szeroko i raczej wesoło.

- Żeby nie skłamać, wprost skakali wokół mnie. Dziewczyna z sąsiedztwa dobrze wychodzi za mąż i wraca, żeby odwiedzić starych znajomych. Nie zdawałam sobie sprawy, jak sławny jest Belizariusz wśród tych ludzi.

Wzruszyła ramionami.

- Więc, w końcu, byłam w stanie przekazać Balbanowi wszystkie szczegóły wydarzeń, które miały miejsce na Hipodromie. Ale dalej nie wiem, po co Malawianie...
- To wcale nie jest takie dziwne, Antonino – przerwał jej Kasjan. – Tych fanów Hipodromu musi być w Konstantynopolu dwadzieścia, a nawet trzydzieści tysięcy. To potencjalna potężna siła militarna.

Antonina skrzywiła się szyderczo.

- Opryszki z Hipodromu? Bądź poważny, Antoniuszu. Och, z pewnością, na ulicach oni mogą być twardzielami. Ale w starciu z katafraktami? Poza tym oni wiecznie są podzieleni na Niebieskich i Zielonych. Bardziej prawdopodobne, że naskoczą na siebie nawzajem, niż że pobiegną walczyć na skinienie Malawian.

Biskup zrobił ruch palcami w odwiecznym geście oznaczającym pieniądze.

Antonina w zamyśleniu przekrzywiła głowę.

- Taka jest też opinia Ireny. Ale wydaje mi się, że ona przecenia nieco siłę frakcji



Hipodromu, nawet jeżeli Malawianom udało się zjednoczyć ich za pomocą pieniędzy. – Potrząsnęła głową. – Wystarczy o tym. W końcu Malawianie zaczęli domagać się ode mnie sensownych informacji. Zanim wrócę do Konstantynopola, za kilka miesięcy, muszę im przekazać wieści o totalnej klęsce wojsk na wschodzie. Z detalami. Wszystkich kampanii... nie tylko tutaj, w Syrii, ale też w Palestynie. I w Egipcie też. – Wyszczrzyła zęby. – Albo gdziekolwiek indziej.

Kasjan przypatrywał się jej ciągle z poważnym wyrazem twarzy. Uśmiech Antoniny powoli przygasł.

- Martwisz się o to gdziekolwiek indziej, nieprawdaż? Kasjan wziął głęboki oddech i wypuścił powietrze.
- Właściwie nie. A przynajmniej nie bardzo.

Wstał od stołu i zaczął powoli przechadzać się po jadalni.

- Obawiam się, że nie do końca rozumiesz moje lęki, Antonino. Zgadzasz się z tobą co do Malawian. Wiem, że teraz nie zrobią ci krzywdy.

Antonina zmarszczyła brwi.

- Więc o co...

Teraz Antoniusz rozrzucił ręce w geście bezsilnej złości.

- Jak możesz być taka naiwna? Przecież nie tylko Malawianie są zaangażowani w tę intrygę, kobieto! Tkwią w tym także Rzymianie. I oni mają swoje własne porachunki. Mają z kim krzyżować miecze.

Podszedł do stołu, oparł mocno na blacie swoje pulchne dłonie i pochylił się do przodu.

- Antonino, rzuciłaś się na głęboką wodę, pełną wirów. Płyniesz pomiędzy Scyllą i Charybdą... i wieloma innymi potworami, które konspirują przeciwko swoim współkonspiratorom tak samo, jak knują przeciwko Imperium Rzymskiemu. – Wyprostował się gwałtownie. – Nie masz nawet pojęcia, skąd może nadejść śmiertelny cios, moje dziecko. Nie masz pojęcia. Ty widzisz tylko Malawian. A oni pokazują ci tylko swoją twarz.

Antonina patrzyła na niego ponuro. Nieustępliwie.

- I co z tego? Rozumiem, o co ci chodzi, Antoniuszu. Ale pytam cię ponownie, co z tego?

Wzruszyła ramionami i ten gest nieomal złamał biskupowi serce. To nie był gest kobiecy, taki gest pasowałby do weterana.

- Mamy wojnę, Kasjanie. Robisz wszystko, co w twojej mocy, żeby zniszczyć twojego wroga i wiesz, że on postępuje dokładnie tak samo. Jeden z was wygra, a jeden przegra. I umrze.

Wąty uśmiech powrócił na jej twarz.

- Belizariusz i Maurycy, wydaje mi się, że mój mąż właśnie od nie go się tego nauczył, mają takie powiedzenie na podobne okazje, Nazywają to Pierwszym Prawem Wojny. Brzmi ono: każdy plan, ułożony przed bitwą, okazuje się do dupy... wybaczyć mój język, biskupie... kiedy tylko wróg pojawi się w zasięgu wzroku. I dlatego właśnie nazywamy go wrogiem.

Kasjan szarpnął za brodę. Ten gest wskazywał na zmęczenie, ale najwyraźniej powoli odzyskiwał humor.

- Prymitywne, prymitywne – wymamrotał. – I w ogóle nieokrzese. Uczni teologowie ujęliby to w inny sposób. Każda doktryna na potka na oponentów, kiedy tylko inni dyskutanci pojawią się na spotkaniu. I dlatego właśnie nazywamy ich heretykami.

W końcu się uśmiechnął.

- Bardzo dobrze, Antonino. W każdym razie nie mogę cię powstrzymać. Pamiętaj, że masz zapewnioną moją pomoc, kiedy tylko będę w stanie ci jej udzielić.

Usiadł z powrotem na swoim miejscu. Potem, po kilku chwilach wpatrywania się w talerz, przysunął go do siebie i zaczął jeść z charakterystycznym dla siebie apetytem.

- Nie pomogę ci zbytnio, jeżeli chodzi o bywalców Hipodromu i militarne strategie. – Machnął beztrąsko nożem. – Z drugiej jednak strony, jeżeli chodzi o kościelnych dostojników, a jestem pewien, że niebawem znajdzie się ich całe mnóstwo, to zupełnie inna sprawa.

Nadział na nóż dwie oliwki.

- Gliceriusz z Chalcedonu i Jerzy Barsymes, nieprawdaż? Oliwki znikły, jakby za sprawą magii. Obrął gruszkę.
- Rufinus Namatianus, biskup Rawenny – wymamrotał w zamyśleniu z ustami pełnymi soczystego owocu. – Znam go bardzo dobrze.

Ostatni kawałek gruszki zniknął w otchłani jego gardła, jak prosiak połknięty przez potwornego ogra.

- Dzieci zagubione w lesie. – Beknął.

\* \* \*

Kiedy o zachodzie słońca do willi wrócili generałowie, Antonina przez prawie pół godziny musiała wysłuchiwać ich gniewnych tyrad. Pomyślała, że najwyraźniej brakuje im taktu i dyplomacji. A potem ona sama wypowiedziała swoje zdanie.

- Oczywiście, że oni nie będą mieszkać w żadnych barakach. Cały ten pomysł jest absurdalny. Ci mężczyźni to nie są żadni rekruci. To ochotnicy, mają swoje rodziny, swoje farmy. Tutaj wcześniej się pobierają i zaczynają wychowywać dzieci, to znaczy kiedy osiągną piętnaście lat. A dziewczęta są nawet młodsze.

Generałowie zaniemówili. Jan z Rodos zaczął jak zwykle chodzić w kółko. Antonina przyjrzała im się ciekawie.

- A czego się spodziewaliście? Myśleliście, że ci mężczyźni opuszczą swoje rodziny po to tylko, żeby zostać jakimiś tam procarzami i rzucać granatami?

Zażenowanie generałów wzrosło. Mężczyźni patrzyli na siebie. Oficer marynarki potknął się o własne nogi. Antonina prychnęła.

- Myśleliście tak? – Prychnęła ponownie. – Czasami muszę się zgodzić z Teodora. Mężczyźni...

Sitas spojrział na nią swoim najstraszniejszym wzrokiem. Wzrokiem rozjuszonego do granic możliwości dzika.

- Nie będziesz nam tutaj stroić żadnych królewskich fochów, młoda damo!
- A właśnie, że będę – odparła Antonina słodko. – Przecież to ja wam płacę, pamiętacie?

Przechyliła głowę w stronę Jana z Rodos.

- Czy aby nie masz już dość tego dreptania?

Oficer marynarki zatrzymał się. Antonina schyliła się i podniosła z podłogi ciężką sakiewkę. Położyła ją na stole.

- Wynajmij robotników, Janie. A może lepiej... zapłać samym wieśniakom. Ci chłopcy mają sprawne dłonie. Szybko wybudują chaty i będą zadowoleni, że mogą sami dla siebie budować domy.

Od drzwi dobiegł ją głos Michała.

- Będą chcieli mieć także kaplicę. Oczywiście prostą, nie wyrafinowanego.

Generałowie, uprzejmi względem kobiety, przenieśli swoją złość na mnicha.

Macedończyk wytrzymał ich palące spojrzenia. Patrzył, tak jak najedzony orzeł przygląda się gawędzącym myszom.

Pojedynek woli – śmiechu warte.

KAUSAMBI

*Lato, 530 r. n. e.*

## **Rozdział 10**

Z południowego brzegu Jamuny Belizariusz przypatrywał się świątyni, wzniesionej tuż nad wodą na przeciwległym brzegu rzeki. Słońce właśnie zachodziło i ostatnie jego promienie skąpały świątynię w złotym blasku. Belizariusz był zbyt daleko, żeby dostrzec wszystkie szczegóły postaci, przepięknie wyrzeźbionych w kamiennych schodach budowli, ale nie znaczyło to, że nie doceniał

piękna całego kompleksu.

- Cóż za wspaniała świątynia – wymamrotał. Kątem oka zauważył, że usta Menandra zaciskają się w wyrazie dezaprobaty.

Postanowił przemilczeć ten fakt, ale po chwili zdecydował, że jest to dobra okazja, żeby rozszerzyć nieco horyzonty młodego katafrakta.

- O co chodzi, Menandrze? – zapytał podnosząc brew do góry. – Czy moje uznanie dla architektury pogan obraża twoje uczucia?

Słowa te wypowiedział delikatnym i przyjacielskim tonem, ale Menander poczuł się bardzo zakłopotany.

- To nie jest moja sprawa... – zaczął, ale Belizariusz natychmiast mu przerwał.
- Oczywiście, że jest, mój chłopcze. Jako twój dowódca mam prawo wydawać ci rozkazy i musisz ich słuchać. Ale nie musisz zgadzać się z moimi religijnymi przekonaniem. Więc, wykrztuś to wreszcie z siebie. – Pokazał na odległą świątynię. – Co o tym myślisz? Jak możesz odmawiać tej budowli piękna?

Menander zmarszczył brwi. Na jego twarzy jednak nie było dezaprobaty, tylko zamyślenie – nie odpowiedział natychmiast. On i Belizariusz zatrzymali się na brzegu rzeki i zsiadli z koni, żeby się napić. Ich wierzchowce ciągle jeszcze zaspokajały pragnienie. Młodzieniec zaczął w zamyśleniu gładzić swego konia po szyi i odpowiedział dopiero po chwili.

- Nie mogę zaprzeczyć, że ta świątynia jest bardzo piękna, generale. Po prostu chciałbym, żeby uczyniono ją w innym nieco celu.

Belizariusz wzruszył ramionami.

- A w jakim? Jako świątynię chrześcijańską? Oczywiście, z pewnością, tak byłoby lepiej. Na nieszczęście, chrześcijańscy misjonarze dopiero zaczęli docierać do Indii i nie zapuszczają się tak daleko w głąb. – Uśmiechnął się ironicznie. – A poza tym i tak każdy z nich to nestoriański heretyk. Wcale nie lepszy niż ci poganie. A przynajmniej zdaniem większości ortodoksyjnych kapłanów.

Odwrócił się, żeby spojrzeć Menandrowi prosto w twarz.

- A w tym czasie miliony Hindusów szukają swej własnej drogi do Boga. I to – pokazał ręką na świątynię – jest dowodem tych poszukiwań. Czy wolałbyś, żeby zamiast tego w ogóle zignorowali głos Pana?

Menander jeszcze bardziej zmarszczył czoło.

- Nie – powiedział miękko po chwili. – Ja tylko... – zawahał się, westchnął i wzruszył ramionami. – Widziałem wielokrotnie, jak Dadadzi modli się w twoim namiocie. I nie wątpię, że jest on człowiekiem bardzo wierzącym. Ja tylko... – Znow wzruszył ramionami, a na jego

twarzy pojawił się wyraz rezygnacji.

- Chciałbyś, żeby się modlił do chrześcijańskiego Boga?

Menander kiwnął głową.

Spojrzenie Belizariusza ponownie spoczęło na świątyni. Teraz on wzruszył ramionami. Ale gest ten był raczej wesoły, bardziej odzwierciedlał zachwyty niż rezygnację.

- Jeżeli już o tym mowa, ja też bym tego chciał, Menandrze. Ale nie mogę powiedzieć, że ten problem spędza mi sen z powiek. Dadadzi ma czystą i uczciwą duszę. Nie sądzę, by Bóg skazał go na wieczne potępienie, kiedy już trafi przed jego oblicze.

Generał popatrzył na zachód. Dolna krawędź tarczy słonecznej dotykała już prawie linii horyzontu.

- Lepiej już wracajmy – powiedział. – Miałem nadzieję, że ujrzymy już Kausambi, zanim zapadnie zmrok, ale teraz obawiam się, że jesteśmy jeszcze co najmniej kilka kilometrów od jego przedmieść.

On i Menander dosiedli koni i oddalili się od rzeki.

- Myślałem, że jesteś ortodoksyjny, panie – powiedział Menander, kiedy jechali w stronę obozu. Młodzieniec w zamyśleniu marszczył czoło. Potem, zdawszy sobie sprawę, że jego stwierdzenie może być zrozumiane opacznie, Menander zaczął przeproszać. Ale jego generał zbył przeprosiny machnięciem ręki.
- Bo jestem ortodoksyjny. – Uśmiechnął się krzywo. – Tak mi się wydaje. Tak mnie wychowano, podobnie jak innych Traków. I zawsze trzymałem się zasad wpojonych mi w dzieciństwie.

Zawahał się.

- To trudno wytłumaczyć. Niezbyt dbam o takie rzeczy, Menandrze. Moja żona, którą kocham ponad wszystko na tej ziemi, nie jest ortodoksem. Dla zachowania mojej reputacji wyrzekła się oficjalnie swojej wiary, ale skłania się ku monofizytyzmowi, jak większość Egipcjan. Czy mam więc uwierzyć, że czeka ją wieczne potępienie i piekielny ogień?

Spojrzał na Menandra. Młody katafrakt zamrugał – wzorem innych katafraktów z oddziału Belizariusza podziwiał Antoninę nawet bardziej niż jej męża.

Belizariusz potrząsnął głową.

- Nie wydaje mi się. Bóg, w którego wierzę, nie dopuściłby do tego. A nie chodzi mi tylko o Antoninę, Menandrze. Jestem generałem i pro wadziłem do walki żołnierzy, wyznających różnorakie herezje, nawet arian, i patrzyłem, jak odważnie giną. I trzymałem ich w ramionach, kiedy umierali, słuchałem ich ostatnich modlitw. Czy ci ludzie są tak – że skazani na piekło? Nie wydaje mi się.

Zacisnął szczęki.

- Moje odstępstwa od wiary sięgają nawet głębiej. Lata temu, kiedy pełniłem funkcję dowódcy po raz pierwszy... – miałem tylko osiemnaście lat – zmierzyłem się z persko-armeńskim wodzem o imieniu Varanes. Jego oddziałek był mały, podobnie jak mój, a nasze zmagania trwały kilka tygodni. Raczej nie przypominały bitwy, tylko serię potyczek i zasadzek. On był doskonałym strategiem; przewyższał mnie we wszystkim.

Wziął głęboki oddech.

- Ponadto był honorowym i walecznym przeciwnikiem. Podobnie jak większość Medów. Pewnego razu zostałem zmuszony do pozostawienia trzech moich ludzi. Odnieśli zbyt ciężkie rany, żeby można było ich ruszyć z miejsca, a Varanes złapał mnie w pułapkę, z której natychmiast musiałem uciec, żeby nie stracić całego oddziału. Varanes, kiedy ich znalazł, dopilnował, żeby o nich zadbano.

Generał popatrzył w bok. Przez chwilę naturalny spokój zniknął z jego twarzy i pojawił się na niej smutek. Ale nie na długo. Belizariusz podjął swe opowiadanie. Menander słuchał go z wyjątkową uwagą.

- Odkryłem ten fakt po tym, jak pokonałem Varanesa. Sam go w końcu złapałem w pułapkę i najechałem na jego obozowisko. Moi trzej ludzie ciągle tam byli. Jeden z nich umarł co prawda na skutek odniesionych ran, ale nie było w tym żadnej winy Persów. Pozostali dwaj byli bezpieczni, dzięki Varanesowi. Sam Varanes odniósł śmiertelną ranę od pchnięcia włócznią w gardło. Umierał wiele godzin, a ja czuwałem przy nim. Próbowałem jakoś złagodzić te ostatnie chwile, ale jego rana była okropna. Musiał cierpieć w agonii, ale zniósł to bardzo mężnie. Nawet sobie ze mną żartował i spędziliśmy ten czas rozmawiając głównie o minionych tygodniach, podczas których walczyliśmy ze sobą. Przez te tygodnie to on wodził mnie za nos, ale szybko się nauczyłem. Przepowiedział mi wielką przyszłość.

Belizariusz przerwał na chwilę, prowadząc ostrożnie konia po zwężającej się ścieżce. Po kilku chwilach wyjechali wreszcie z cienia rzucanego przez drzewa, które gęsto porastały brzegi rzeki. Znaleźli się na otwartym terenie i generał opowiadał dalej.

- Kiedy wreszcie umarł, zapadła już noc. Varanes był zoroastraninem, podobnie jak większość Persów, czcicielem ognia. Poprosił mnie, żebym przygotował dla niego ognisko, żeby mógł umrzeć patrząc na oblicze swego boga. Zrobiłem to z chęcią. Księża, a przynajmniej większość z nich, obłożyliby mnie za to klątwą. Zoroastranin, jak wyjaśnili by mi kapłani, niebawem i tak miał się pogрузić w piekielnej otchłani, gdzie ognia mu nie zabraknie. Ale ja nie uważałem, że Varanes jest skazany na potępienie. Nie myślałem tak wtedy i teraz też tak nie myślę.

Menander spojrział na swojego generała i zdziwił się, widząc w jego oczach nagły chłód. Brązowe oczy Belizariusza zazwyczaj patrzyły na świat ciepło, z wyjątkiem momentów, kiedy dowodził w bitwie. Ale nawet w bitwie te oczy nie były tak zimne, jak teraz, tylko spokojne, skupione i uważne. ^

Naturalne ciepło powróciło jednak na oblicze generała w ciągu kilku sekund.

- Próbowałem kiedyś – powiedział generał niepewnie – wytłumaczyć Rao zawiłości Trójcy Świętej. Starałem się najlepiej, jak umiałem. – Machnął ręką. – Oczywiście nie na tym świecie, ale w świecie moich wizji.

Menander, już przedtem zainteresowany intymną opowieścią generała, teraz cały zamienił się w słuch. Wiedział o tych wizjach, które zsyłał na generała klejnot przyniesiony Belizariuszowi przez biskupa Kasjana rok temu w Aleppo. Belizariusz opowiedział mu tę historię, podobnie jak innym Rzymianom i Etiopczykom, kiedy płynęli do Indii.

Menander spojrział na tors generała. Nie mógł zobaczyć, co kryje się pod lekką zbroją i tuniką. Ale młody katafrakt wiedział, że talizman od boga właśnie tam jest ukryty – schowany w małej sakiewce, która zawsze wisiała na szyi Belizariusza. Menander nawet widział ten klejnot, gdyż Belizariusz pokazał go wszystkim, kiedy stłoczeni rozmawiali w ciasnej kabinie na statku malawiańskiej delegacji, który zawiózł ich do Indii. Menander był wtedy pod wrażeniem mistycznej wspaniałości talizmanu. Nawet wspomnienie jego widoku oszałamiało go.

Belizariusz zaśmiał się nagle.

- Rao bardzo cierpliwie wysłuchał moich wyjaśnień – kontynuował. – Ale najwyraźniej uznał je za gaworzenie niemowlęcia. Potem po wiedział mi, że jego wiara głosi, że na świecie i w niebiosach są trzy setki i trzydzieści milionów bogów i bogiń, które, na swój własny sposób, są manifestacją jednego boga.

Belizariusz uśmiechnął się krzywo.

- Nie ma wątpliwości, że ten człowiek jest potępiony. Ale powiem ci jedno, Menandrze, wolałbym wylądować w otchłani z Raghunath Rao, niż pójść do nieba razem z patriarchą Efraimem.

Przez resztę podróży powrotnej do obozu Belizariusz nie powiedział już ani słowa. Menander także milczał, bijąc się z myślami, które były dla niego nowe i które daleko wykraczały poza proste nauki, jakich udzielili mu w młodości wioskowi księża.

Dotarli wreszcie do wąwozu, gdzie Rzymianie i Etiopczycy rozłożyli swoje obozowiska. Menander jechał zamyślony i nie zajmował się zbytnio prowadzeniem konia pośród drzew. Ale kiedy przedarli się przez zagajnik i wyjechali na otwartą przestrzeń, wszystkie teologiczne myśli wywiało mu z głowy.

- Mamy kłopoty, Menandrze – powiedział cicho generał. Belizariusz natychmiast po wyjechaniu na małą polankę wiedział, że coś się stało. Ezana i Wahsi stali na straży przed pawilonem księcia Eona. W normalnych warunkach funkcję strażnika pełnił tylko jeden z nich. Ale jeszcze dziwniejsze było to, że sarweni rzeczywiście stali na straży. Zazwyczaj sarwen na służbie siedział sobie spokojnie na stołeczku. Nie było żadnego powodu, żeby miało być inaczej. Od wielu tygodni Rzymianie i Etiopczycy posiadali dodatkową eskortę w postaci Kuszanów – oddział liczył sobie około trzydziestu mężczyzn, którzy doskonale znali się na swoim rzemiośle i bez trudu pilnowali bezpieczeństwa w obozie.

W pozie Etiopczyków wyczuwało się napięcie. Nie stali tak po prostu... oni byli czymś zaalarmowani i czekali w gotowości.

Belizariusz szybko przeczesał wzrokiem polanę. Oświetlenie nie było najlepsze. Zmierzch zapadł już dawno i tylko lekki purpurowy ślad znaczył miejsce, w którym zaszło słońce. Tę odrobinę światła, która jeszcze pozostała, dość skutecznie blokowały drzewa otaczające obóz. Ze względów praktycznych zapalono lampy i zawieszono je na masztach namiotów, były one jedynym oświetleniem obozu.

Następnie generał omiół spojrzeniem namioty Rzymian, ustawione niedaleko ogromnego pawilonu księcia Eona. Zauważył, że Anastazjusz i Walentynian razem stali u wejścia. Wyglądali podobnie jak sarweni – zaalarmowani, spięci i przygotowani.

Potem popatrzył przez polanę w kierunku namiotów, które wyznaczały granicę obozowiska Kuszanów. Normalnie o tej porze dnia Kuszenie byli bardzo zajęci przygotowywaniem wieczornego posiłku. Teraz stali zbici w kilku małych grupkach i mruzcili coś do siebie po cichu, rzucając szybkie spojrzenia na pawilon księcia Eona i, znacznie częściej, na postać swojego dowódcy.

Belizariusz przyjrzał się Kungasowi. Kuszański dowódca stał sam. Jak zwykle, a teraz nawet bardziej niż zwykle, jak zauważył Belizariusz, jego twarz przypominała maskę wyrzeźbioną z metalu. Kaniszka, jego siostrzeniec i zastępca, stał kilka metrów dalej. Belizariusz chciał coś wyczytać z rysów jego twarzy – to co zobaczył świadczyło, że młody kuszański porucznik jest zrozpaczony.

Kungas napotkał wzrok generała. Kuszanin nie odezwał się, a na jego żelaznej twarzy nie drgnął nawet jeden mięsień. Ale Belizariusz nie przegapił niemal niezauważalnego wzruszenia ramion.

I wtedy domyślił się, co się stało. Widok Garmata, wybiegającego z namiotu Eona i pędzącego w jego kierunku, potwierdził te przypuszczenia.

- Wszystkie dobre rzeczy kiedyś muszą się skończyć – westchnął, zsiadając z konia. Kiedy Garmat do niego dobiegł, Menander właśnie zabierał oba wierzchowce.
- Mamy problem, Belizariuszu – powiedział nagłym tonem Garmat. – Bardzo duży problem.

Belizariusz uśmiechnął się krzywo.

- To nie mogło trwać wiecznie, Garmacie. Kuszenie nie są głupi. Oczywiście do pewnego momentu będą słuchać rozkazów Kungasa i nie zadawać żadnych pytań. Ale tylko do pewnego momentu.

Ponownie spojrzał na Kuszanów.

- Co się stało? – zapytał. Garmat wzruszył ramionami.
- Nie możesz oczekiwać po młodych, pełnych wigoru ludziach, takich jak Eon i Szakuntala, a w dodatku królewskiej krwi, że będą dzielić ze sobą jeden namiot, tydzień po tygodniu, bez możliwości ruchu, rozładowania energii, bez...

Westchnął. Belizariusz pokiwał głową.

- Pokłócili się.

Garmat uśmiechnął się słabo.

- O tak. To była królewska kłótnia! Nie mam pojęcia, co ją rozpętało. Teraz pewnie nawet



sami tego nie pamiętają. Eon trochę się uniósł i księżniczka... imperatorowa, powinienem powiedzieć, wy zwała go na pojedynek. Oczywiście pojedynek bez broni. Powie działa mu, że gdyby użył jakiegokolwiek broni, na wieki okrzyknięto by go tchórzem.

Mimo powagi sytuacji, Belizariusz nie zdołał powstrzymać głośnego śmiechu. Obraz, który właśnie pojawił się w jego wyobraźni był nieodparcie zabawny. Eon, książę Aksum nie był zbyt wysokim mężczyzną. Ale miał wspaniałe mięśnie i siłę bawołu. Natomiast Szakuntala była niska, mała i nie ważyła nawet połowy tego, co on.

A jednak...

Do walki gołymi rękami, bez broni, wyszkolił ją sam Raghunath Rao. Raghunath Rao, Pantera Maharasztry. Wicher z Niezmierzonego Kraju. Najbardziej bezwzględny zabójca Indii, a nie było to jego jedyną umiejętnością.

Belizariusz pokiwał głową ze zdumieniem.

- Zastanawiam się, jaki mógł być przebieg takiego pojedynku. Mam nadzieję, że nie doszło do wymiany ciosów?

Garmat potrząsnął głową.

- Są młodzi i nieokiełznani, ale mają trochę rozumu. Zrozumiałem, że wyzwanie Szakuntali zmieniło nieco atmosferę w namiocie. Kiedy tam wszedłem, wymieniali właśnie grzeczne przeprosiny i zapewnienia o dalszej owocnej współpracy.

Szarpnął się za brodę.

- Na nieszczęście przez te kilka chwil przed zmianą atmosfery cały ich pawilon aż się trząsał od gniewnych i bardzo głośnych okrzyków. A głos Szakuntali nie jest bardzo dystyngowany, zresztą wiesz, a już szczególnie, kiedy jest zła. Tak, w rzeczy samej, bardzo imperialny głos – dodał ponuro, ale nie bez admiracji.

Belizariusz podrapał się po podbródku.

- I Kuszanie ją usłyszeli – oznajmił.

Garmat przytaknął. Belizariusz znowu zerknął na kuszańskich żołnierzy. Ciągłe stali, zbici w małe gromadki, ale, ku jego uldze, nie wyglądali już na ludzi, którzy są skorzy do przystąpienia do akcji.

Jednakże ta chwilowa ulga skierowała myśli generała na kolejny problem. Belizariusz z uwagą przyjrzał się zaroślom otaczającym polaną.

Jak zwykle, jeżeli to tylko było możliwe, Belizariusz kazał rozbijać obóz w bezpośredniej bliskości drzew. Swoje preferencje tłumaczył Malawianom zwyczajnie – jako szukanie schronienia przed palącym słońcem Indii. Malawianie, ze swojej strony, nie mieli obiekcji. Mieli swoje powody-byli zadowoleni, że obcy odcinają się od reszty orszaku. W duchu Malawianie myśleli sobie, że zagraniczni goście to idioci. To prawda, że drzewa zapewniały cień, ale dobry pawilon także. Drzewa zaś nie dopuszczały do obozowiska odświeżającego wietrzyka i pod nimi wprost roiło się od wszelkiego rodzaju insektów.

Malawianie uważali także, bardzo z tego zadowoleni, że w zaroślach bez trudu ukryją się ich

szpiegdy.

Kiedy Belizariusz patrzył na las, z zarośli wynurzył się nagle Ousanas i wszedł w krąg obozowych świateł. Myśliwy niefrasobliwie wycierał krew z ostrza swój ej ogromnej włóczni.

Już po malawiańskich szpiegach, pomyślał Belizariusz. Jego usta same ułożyły się w charakterystyczny, krzywy uśmiech.

Ousanas był pewnego rodzaju niewolnikiem, bardzo dziwnego rodzaju. Wysoki Afrykańczyk nie pochodził z Etiopii. Jego skóra była czarna, podobnie jak u Aksumitów, ale szerokie rysy twarzy Ousanasa nie miały nawet śladu podobieństwa do orlich rysów, które były charakterystyczne dla większości Aksumitów. Pochodził z kraju leżącego pomiędzy wielkimi jeziorami, który od królestwa Aksumitów dzieliła spora odległość, jak powiadomiono wcześniej Belizariusza. Ousanas był osobistym niewolnikiem księcia Eona, jego dawazzem, jak Aksumici nazywali posadę przez niego zajmowaną. Dawazz był pewnego rodzaju doradcą. Bardzo dziwnego rodzaju.

Ousanas podszedł do Belizariusza i skinął mu uprzejmie głową. Generał zauważył, że zazwyczaj szeroko uśmiechnięty niewolnik teraz był poważny.

- Nie ma już szpiegów – powiedział miękko Ousanas. Wyciągnął rękę w kierunku namiotu.
- Wejdźmy do środka – warknął. – Muszę udzielić porady pewne mu głupiemu chłopcu.

Ousanas poszedł w kierunku wejścia do namiotu, a Garmat podążył jego tropem niczym mała rybka, płynąca w ślad za rekinem. Belizariusz przez chwilę poczuł litość do młodego księcia. Dawazz, kiedy uważał za stosowne, używał nieco brutalnych metod wychowawczych.

Belizariusz znowu szybko rozejrzał się po polanie. Jego trzech katafrakci zdążyli tymczasem wbić się w zbroje i wziąć do ręki broń, a ich twarze miały równie ponury wyraz, jak oblicza sarwenów. Belizariusz napotkał wzrok Walentyniana i lekko poruszył ręką. Walentynian nieco się odprężył i wymamrotał coś do Anastazjusza i Menandra. Katafrakci nadal pozostali czujni, ale w porównaniu z poprzednim napięciem, lekko się rozluźnili.

Belizariusz przeniósł teraz swoją uwagę na Kuszanów, próbując wczuć się w ich nastrój. Wasale Malawian także byli uzbrojeni i napięci do granic możliwości. Ale oni także wyglądali na ludzi, którzy chcą, aby sytuacja sama się wyklarowała, zanim dojdzie do jakichś nieodwracalnych kroków. Byli źli, prawda... to było oczywiste. Źli na swojego dowódcę, po większej części, jak myślał Belizariusz. Ale wyglądali także na zagubionych i niepewnych. W końcu Kungas był ich dowódcą i na to miano zasłużył sobie, dowodząc nimi w niezliczonych bitwach. A poza tym był ich krewniakiem. Razem stanowili członków jednego klanu, który zebrał siew oddział, żeby służyć Malawiańskim panom. I nie była to łatwa ani przyjemna służba.

Ciężkie lata i doświadczenia nauczyły Kuszanów, że mogą ufać tylko sobie nawzajem, a najbardziej powinni ufać swemu dowódcy. Takich przyzwyczajień nie da się odrzucić w ciągu jednej chwili. Belizariusz myślał, rozważał za i przeciw, i w końcu podjął decyzję. Jak zwykle podjął ją szybko. Przeszedł przez obóz i zatrzymał się przed oddziałem Kuszanów.

- Czekajcie – rozkazał im. – Muszę wejść do pawilonu. Nie róbcie nic, zanim stamtąd nie wyjdę.

Kuszanie zeszywnieli. Słowa te rzymski generał wypowiedział płynnym językiem kuszańskim. Wiedzieli, że zna ich mowę dość dobrze, ale nie do tego stopnia. Mówił bez obcego akcentu i z właściwą wymową. Kilku z nich rzucało ukradkowe spojrzenia pomiędzy drzewa.

Belizariusz uśmiechnął się... szeroko, a nie krzywo.

- Nie ma tam szpiegów. Już nie ma.

Ruszanie także widzieli powrót Ousanasa z lasu. I, gdyby nawet nie wiedzieli, jak doskonałym myśliwym jest Afrykańczyk, nie mogliby nie rozpoznać tego swobodnego chwytu, jakim Ousanas trzymał swoją wielką włócznię, która towarzyszyła mu zawsze. Żołnierze nieznacznie zaczęli się odprężyć. Tylko trochę.

Belizariusz popatrzył na Kungasa. Kuszański dowódca lekko kiwnął głową. Rzymski generał obrócił się na pięcie i poszedł w kierunku pawilonu. Kiedy się odwracał, zobaczył Dadadzi Holkara, stojącego w pobliżu namiotu. Chociaż stary, bezbronny i słaby, niewolnik najwyraźniej szykował się do obrony pawilonu przed spodziewanym atakiem.

Belizariusz nie uśmiechnął się, ale poczuł, jak jego serce zalewa gorąca fala uczucia.

- Chodź – rozkazał, kiedy mijał Holkara. – Podejrzewam, że i tak znasz już prawdę, ale równie dobrze możesz to zobaczyć na własne oczy.

Kiedy weszli do namiotu, Ousanas właśnie się rozkręcał.

- ...będę zmuszony powiedzieć *negusa nagast*, żeby lepiej utopił tego głupiego chłopaka w morzu i znalazł sobie innego. Dakuen Sarwe będą ze mnie niezadowoleni! Zabiją mnie, bo nie wypełniłem obowiązków. Ale zniosę ciosy całego regimentu z wielką radością! Wiedząc, że wreszcie pozbyłem się tego beznadziejnego zadania nauczania istoty o poziomie umysłowym żaby, jak być księciem.
- Daj mi spokój! – wciąła się Szakuntala. – To moja wina! Dziewczyna mówiła w języku ge'ez, podobnie jak Ousanas. Ciągłe nie opanowała tej mowy w stopniu zadowalającym, ciężko akcentowała każde słowo i robiła błędy, ale rozumiała Ousanasa na tyle dobrze, żeby podążać za j ego tokiem rozumowania.

Młoda kobieta siedziała po jednej stronie pawilonu na pluszowej poduszce ze skrzyżowanymi nogami. Była sztywna i wyprostowana. Mimo młodego wieku i niskiej postury, cała jej postać przejawiała królewską godność i dumę.

Ousanas skrzywił się. Jemu nie imponowały królewskie pozy. Aksumici w ogóle, a Ousanas szczególnie, nie mieli żadnych wspólnych tradycji z Hindusami, jeżeli chodzi o traktowanie władców. Ousanas zresztą był dawazem, osobą, której przydzielono specjalne zadanie wykształcenia księcia i nauczania go, że pomiędzy królem a niewolnikiem nie ma wcale tak dużej różnicy. To tylko kwestia szczęścia, na początku. Potem liczy się umysł.

Dawazz przerzucił się na hindi, który to język był powszechnie używany przez osoby zamieszkujące pawilon.

- Następnym razem, imperatorowo – warknął – nie wyzywaj tego skretyniałego księcia na pojedynek. Po prostu skocz na niego jak lwi ca i pobij go do utraty zmysłów. Głupia dziewczyna!

Ousanas ze smutkiem potrząsnął głową.

- Prawda, dzieci królów są głupcami z natury. Ale to! To nie jest głupota! To... to – zajęczał okropnie. – Na to nie ma nawet określenia! Nawet w grece, języku filozofów, który zna słowa na każdą głupotę znaną człowiekowi.

Eon, także siedzący na poduszce, podniósł pochyloną głowę. Młody książę – chłopiec miał dziewiętnaście lat, o rok więcej, niż Szakuntala – najwyraźniej próbował odzyskać choć odrobinę królewskiej godności.

- Przestań gadać w pidgin![6] – rozkazał dawazz.

Belizariusz z trudem powstrzymał uśmiech. Wiedział już, jakie słowa nastąpią po tym napomnieniu Ousanasa.

- Nie mów w pidgin. Mów lepiej jak niemowlę. Tylko tyle jest w sta nie zrozumieć głupi książę!

Kiedy Belizariusz po raz pierwszy spotkał Ousanasa, rok temu w Konstantynopolu, Afrykańczyk mówił tylko jakimś pokręconym dialektem. Ousanasowi udało się utrzymać tę manierę językową przez kilka miesięcy, do czasu, aż przymierze pomiędzy Etiopczykami i Rzymianami w końcu nabrało kształtów, tuż po bitwie z piratami na Oceanie Indyjskim. Wtedy, na rozkaz księcia, Ousanas przestał wreszcie udawać, że mówi tylko łamaną greką. Rzymianie ze zdumieniem odkryli, że ten obcy Afrykańczyk jest doskonałym lingwistą, który mówi płynnie wieloma językami. A szczególnie greką, który to język był ulubioną mową Ousanasa, gdyż uwielbiał on wszelkie filozoficzne dysputy... ku wielkiemu zadowoleniu Anastazjusza i przerażeniu pozostałych uczestników wyprawy.

Ousanas wybuchnął teraz kwiecistą przemową, traktującą o ontologicznym rozróżnieniu pomiędzy ignorancją i głupotą.

- ...na ignorancję można coś poradzić. Głupota jest nieodwracalna. Rozważ, mój głupi chłopcze, los...
- Wystarczy – rozkazał generał.

Ousanas ze szczękiem zamknął usta.

- Właśnie się rozgrzewałem – powiedział dawazz gorzko rozczarowany.
- Tak, wiem. Oszczędzaj się na inną okazję, Ousanasie. Kuszanie nie będą tak długo czekać.

Generał skinął głową w kierunku wejścia do namiotu.

- Musimy jakoś rozwiązać ten problem. I to szybko.

Eon nagle wydał policzki. Rozprostował swe masywne ramiona.

- A o czym oni się dowiedzieli? – zapytał. Nie patrzył na nikogo, odwracając wzrok.
- Wiedzą, że Szakuntala jest tutaj – odpowiedział Garmat. – W tym namiocie. Tej nocy. – Doradca przykucnął w odległości niecałych dwóch metrów od księcia.

To wszystko, co wiedzą – kontynuował. – Ale oni nie są głupi. Zrozumieją także, że księżniczka

musi być z nami od czasu masakry w pałacu Venandakтры w Gwaliorze. Zrozumieją, że ona nie uciekła z Raghunath Rao. Zrozumieją, że Rao wodzi Malawian za nos, pod czas gdy imperatorowa została przeszmglowana do twojej świty. I to, że ukrywamy ją od tamtego czasu.

Westchnął.

- I, co najgorsze, teraz domyśla się, dlaczego Kungas kazał im nękać nasze kobiety przez ostatnie kilka tygodni. Nękać je, ale nie poważnie. Tylko tyle, żeby uruchomić lawinę zdarzeń, prowadzącą do udawanej bijatyki pomiędzy katafraktami a sarwenami. Bijatyki, w której zupełnie przypadkiem ucierpiało paru szpiegów, a reszta, która ocalała, zaniósła Malawianom informacje, że jesteśmy w każdym calu tak nieokrzesani, jak twierdził Venandaktra.

Garmat spojrział na Belizariusza i wzruszył ramionami.

- Tak jak powiedziałem, Kuszanie nie są głupcami. Usłyszeli już na pewno do tej pory, że Venandaktra nie pozwolił im pilnować księżniczki w Gwaliorze, bo obawiał się ich niezaspokojonej żądy. I dla tego zmienił ich na mahamimamsów. Którzy pomarli jak owieczki, kiedy Rao wszedł do pałacu i uratował imperatorowa.

Doradca szarpnął się za brodę.

- Więc naturalnie będą podejrzewać, że to Belizariusz wymyślił całą tę intrygę od samego początku. Chociaż – uśmiechnął się – za pewne nie podejrzewają, że to właśnie Belizariusz podarował Rao ten sztylet, którym on pozabijał oprawców.
- Innymi słowy – zrędlawie powiedział Ousanas – wiedzą już wszystko.
- Tak – potwierdził Belizariusz. – I, co najgorsze, patrząc na nich nabieram przekonania, że oni są pewni udziału swojego dowódcy w tym całym spisku. A przynajmniej częściowego udziału. Nie kochają Malawian, ale ciągle przysięgali im służyć. A teraz okazuje się, że ich zdradzono, i zrobił to ich własny dowódca. Jeżeli Malawianie znajdą teraz imperatorowa, ich własne życie nie będzie warte funta kłaków.

Generał wciągnął głęboko powietrze.

- Chyba, że natychmiast ją odbiją i oddadzą w ręce malawiańskich władz.
- Ale wtedy będą musieli oddać w ich ręce Kungasa! – zaprotestował Eon. – Malawianie nigdy nie uwierzą, że Kungas do tej pory nie odkrył Szakuntali.

Belizariusz skinął głową.

- Tak, jestem pewien, że oni zdają sobie z tego sprawę. Ci ludzie są żołnierzami. Najlepszymi żołnierzami. Przyzwyczajonymi do szybkich i twardych decyzji. I do okrutnych konieczności i gorzkiej rzeczywistości świata. Więc musimy wymyślić, jak...
- Zaprosz ich do pawilonu – przerwała mu Szakuntala. – Wszystkich. Natychmiast.

Belizariusz podskoczył. Nawet imperator Rzymu, Justynian... nawet imperatorowa Teodora, nie byłiby w stanie wydać rozkazu takim tonem. Takim niesamowicie królewskim tonem.

Generał spojrział na dziewczynę. Szakuntala była bardzo piękna, na jakiś egzotyczny sposób. Ale,

w tej chwili, jej piękno nie było urokiem młodej kobiety, ale jakiegoś antycznego posągu.

I to jest właśnie różnica, pomyślał. Justynian i Teodora, mimo całej swojej władzy, wywodzą się z gminu. Jak wielu rzymskich cesarzy, przez minione stulecia, było w stanie wyprowadzić swe królewskie rodowody na więcej niż jedno pokolenie wstecz? Żaden. Podczas gdy dynastia Satavahana, która włada Andhrą... \

- Wielka jest Andhra – powiedział na głos. – Ale teraz została pod bita. Ale nawet dziki Beduin z pustyni czuje respekt przed obalonym sfinksem.

Szakuntala popatrzyła na niego. Generał potarł podbródek.

- Czy jesteś pewna, że tak właśnie chcesz postąpić, imperatorowo? – zapytał. Popatrzył na innych, zebranych w pawilonie. Widząc ich zmarszczone czoła, zorientował się, że tylko on odgadł zamiary Szakuntali. Nie był zaskoczony. Jej propozycja wykraczała poza wszelkie granice zdrowego rozsądku.

Kobieta przytaknęła stanowczym skinieniem głowy.

- Nie ma innego wyjścia, Belizariuszu. A poza tym.. Wzięła głęboki oddech. Przybrała królewski ton. – ...to jedyne wyjście, które nie splami honoru Andhry. Wszystkie inne byłyby niegodziwością.

Machnęła ręką, ucinając całą dyskusję.

- Niech Malawianie rządzą w ten sposób. Ja tak nie będę.

Zebrani, otaczający generała i dziewczynę, coraz bardziej marszczyli brwi, nie rozumiejąc, o co chodzi. Najwyraźniej nikt inny w pawilonie nie miał pojęcia, co planuje księżniczka.

Belizariusz uśmiechnął się krzywo i skłonił głowę.

- Jak rozkażesz, imperatorowo.

Odwrócił się w kierunku wyjścia. A potem, uderzony przez jakąś myśl, zawrócił. Jego uśmiech był teraz naprawdę krzywy.

- Jest w tym szaleństwie chociaż jedna pozytywna rzecz. Dowie my się w końcu, czy ulubione powiedzenie Rao ma odzwierciedlenie w rzeczywistości.

Chwilę później Belizariusz odsuwał zasłonę, kryjącą wejście do namiotu. Kiedy się zatrzymał, żeby ją złapać, kątem oka dostrzegł Ousanasa. Wysoki Afrykańczyk otwierał usta ze zdumienia. Ousanas jako pierwszy domyślił się prawdy. Otwarte usta szybko zastąpił szeroki uśmiech.

- To prawda, Grecy są szaleni! – zawołał dawazz. – To niestety uboczny skutek zbyt wielkiej ilości godzin, spędzonych na rozmyślaniu o duszy.

Belizariusz wyszczerzył zęby i wyszedł z namiotu. Kiedy zasłona opadała za nim, usłyszał następne słowa Ousanasa.

- Cóż za głupi nonsens... te gadki o tym, że tylko dusza się liczy w końcowym rozrachunku. Idiotyczny mistycyzm, wymyślony przez zwariowanego marathańskiego bandytę. Nie, nie, moi drodzy towarzysze, to jest zupełnie na odwrót, zapewniam was. Już Platon wyjaśnił to jasno i dobitnie. To wieczne i niezmiennie formy, przez które...
- Ousanas, zamknij się! – szczechnął książe. – O co tu do diabła chodzi?

Kiedy Belizariusz wszedł z powrotem do namiotu, prowadząc za sobą Kuszanów, zorientował się, że Szakuntala przejęła kontrolę nad sytuacją. Garmat i Eon siedzieli na poduszkach, ułożonych po jednej stronie. Za nimi stali Ezana i Wahsi. Dwaj sarweni byli uzbrojeni w swoje włócznie, ale trzymali je ostrożnie w pozycji formalnego spoczynku. Na ponurych obliczach Aksumitów wyraźnie malowało sienie najlepsze zdanie o szalonym planie, który wymyśliła księżniczka i na który Belizariusz tak ochoczo się zgodził. Ale wydarzenia biegły dla nich zbyt szybko i niestety zostali beznadziejnie zaplątani w obłąd Szakuntali.

Ku wielkiemu zdumieniu generała, marathańskie kobiety nie kulily się, drżąc ze strachu, w rogu pawilonu. Klęczały w rzędzie na poduchach, ułożonych tuż za Szakuntalą, która zasiadła w samym centrum wielkiego pawilonu.

Belizariusza uderzył spokój, malujący się na twarzach marathańskich dziewcząt. Spokojna słodycz na tych młodych twarzach, które wpatrywały się z oddaniem w swoją nawet jeszcze młodszą imperatorową, dodała Belizariuszowi otuchy. Spojrzał na Ousanasa, stojącego w najbliższym rogu namiotu, i zobaczył, że na jego twarzy maluje się lekki uśmiech myśliwego, co dodatkowo przydało generałowi pewności siebie.

Nie tak dawno te dziewczyny były niewolnicami. Należały do kasty nisko urodzonych, więc po tym, jak Malawianie podbili Andhrę, zmuszono je do uprawiania nierządu. Rzymscy i aksumicki żołnierze kupili je w Barakusze, częściowo dla przyjemności, jaką czerpali z ich towarzystwa, ale głównie ze względu na plan uwolnienia Szakuntali, wymyślony przez Belizariusza.

Na początku dziewczęta były bardzo przestraszone. Ale w miarę upływu czasu, kiedy przekonały się, że za brutalnym wyglądem cudzoziemców nie idzie brutalne zachowanie, Marathanki nabrały pewności siebie. Ale, kiedy się w końcu dowiedziały, jaka jest ich rola w planie Belizariusza, strach niemalże je sparaliżował. Do czasu, aż Szakuntala wezwała je przed swoje oblicze i oznajmiła, że od tej pory są jej damami dworu. Przysięgła im jednocześnie, że podzieli ich los, bez względu na to, jaki by on nie był.

Generał popatrzył na Dadadzi Holkara. Maratha również siedział obok imperatorowej, po jej lewej stronie. Ciągłe był ubrany w prostą przepaskę biodrową, strój niewolników, ale w jego postawie i wyrazie twarzy nie było nic z niewolnika. Bystra inteligencja, malująca się na jego obliczu, zazwyczaj ukryta na skutek wiecznie pochylonej sylwetki, teraz była widoczna dla wszystkich. Mężczyzna roztaczał wokół siebie aurę pewnego i zaufanego królewskiego doradcy. Nawet jeżeli aura ta niezbyt współgrała z ubogim strojem niewolnika, nie raziło to zebranych. Hindusi, podobnie jak Rzymianie, mieli w swojej kulturze miejsce dla ascetów.

Spokojne, pewne siebie i łagodne twarze. Kuszenie, kiedy weszli do pawilonu, natychmiast zauważyli ten spokój i im także on się udzielił. Tak jak to przewidziała Szakuntala, Belizariusz był o tym przekonany. Młoda imperatorowa zebrała wszystkie swoje siły, chociaż nie miała ich wiele, żeby sprawiać wrażenie władczyni, a nie wygnańca. Oczywiście była to fikcja, ale nie sztuczność. Zebrani w namiocie wcale nie zachowywali się sztucznie.

Kiedy wszyscy Kuszenie weszli do środka, nawet w tak wielkim namiocie zrobił się tłok. Potem, kiedy znaleźli się w nim jeszcze katafrakci, Belizariusz pomyślał, że pawilon niebawem pęknie w

szwach.

Szakuntala odezwała się pierwsza.

- Usiądźcie – rozkazała. – Wszyscy, z wyjątkiem Ousanasa.

Popatrzyła na Ousanasa.

- Przeszukaj lasy. Upewnij się, że nie ma tam żadnych szpiegów.

Dawazz uśmiechnął się szeroko. Rozkaz był nieco spóźniony, oczywiście. On już zajął się tym problemem. Ale wiedział, że Szakuntala po prostu próbuje uspokoić Kuszaków. Więc usłuchał jej natychmiast i bez narzekania.

- Zazdrość mi, Rzymianinie – wyszeptał do Belizariusza, wychodząc z pawilonu. – Ja przynajmniej będę mógł odetchnąć świeżym powietrzem.

Kuszenie ciągle stali, niepewni.

- Usiądźcie – powtórzyła Szakuntala. Wszyscy jej posłuchali w przeciągu kilku sekund. Kiedy siadali, Szakuntala zaczęła mówić.
- Kungasie, usiądź tutaj. – Szakuntala pokazała królewskim gestem na jedną z dwóch poduszek, ułożonych niedaleko od jej siedziska kręgiem po prawej stronie. Przypominając sobie ustawienie krzeseł w pawilonie imperatora Malawy, Belizariusz zorientował się, że taki sposób sadzania gości miał na celu ich uhonorowanie w obliczu monarchy.

Szakuntala pokazała na drugą poduszkę.

- Kaniszko, usiądź tutaj.

Kuszański dowódca i jego porucznik zrobili, jak im kazała.

Kiedy już wszyscy Kuszenie siedzieli na pokrytej dywanami podłodze namiotu, Szakuntala patrzyła na nich bez słowa przez dłuższą chwilę. Wojownicy także się w nią wpatrywali. Oczywiście bardzo dobrze znali jej twarz. To przecież oni uratowali ją z rąk Ye-tai, kiedy zdobyto Amawarati. To oni zawieźli ją do pałacu Venandakтры w Gwaliorze, gdzie miała zostać nową konkubina malawiańskiego pana. To oni pełnili funkcję jej strażników podczas długich miesięcy, kiedy czekała, aż Venandaktra powróci ze swojej misji w Konstantynopolu.

Jednak, mimo tego, że zdążyli ją dobrze poznać przez te miesiące, teraz patrzyli na nią z otwartymi ustami. Częściowo wynikało to z zaskoczenia, że widzą ją znów w tak nieoczekiwanej sytuacji. Ale w większości ze zdumienia, że Szakuntala wygląda tak inaczej. To nie była ta dziewczyna, którą pojmano, chociaż pełna dumy i buty, ale przecież nękana strachem i desperacją. To była... nie mogli się zdecydować, kto?

Ta chwila była krytyczna, Belizariusz zdawał sobie z tego sprawę. Nie miał czasu, żeby cokolwiek z nią omówić i ustalić. Teraz bał się, że przez naiwność młodości, Szakuntala zrobi błąd i zacznie wyjaśniać Kuszonom całą sytuację. Albo spróbuje ich do czegoś przekonać.

Imperatorowa Szakuntala, dziedziczka antycznego rodu Satawahana, prawowita władczyni Andhry, zaczęła mówić. I Belizariusz zdał sobie sprawę, że równie dobrze mógłby się martwić o to,



czy dzisiaj wszędzie słońce.

- Niebawem powrócę na tron Andhry – oznajmiła Szakuntala. – Moja misja tutaj jest prawie zakończona. Kiedy powrócę, odbuduję imperium moich przodków. Przywrócę jego chwałę. Strącę w otchłań ciemności Mahwedę i wymażę z ludzkiej pamięci ich służalczych psów, mahamimamsów. Odbuduję *viharas*[7] i *stupas*[8] Znów uczynię z Andhry błogosławiony kraj nauk indyjskich i buddyjskiej wiary.

Przerwała. Dziewczynę nazywano często czarnooką Perłą Satavahany. Teraz jej oczy płonęły niczym węglem.

- Ale najpierw muszę zniszczyć Imperium Malawy. Temu poświęcam moje życie i moją duszę. To moja dharm, mój obowiązek, i moje przeznaczenie. Sprawię, że Malawianie zawyją z wściekłości.

Znów zamilkła. Czarna furia, tłąca się w jej oczach, przygasła lekko.

- Już teraz Raghunath Rao powraca do Niezmierzonego Kraju. Wichur mknę przez równiny Maharasztry. On zbierze nową armię, zwoła ludzi z gór i wiosek, i wielkich miast. On zostanie nowym dowódcą armii Imperium Andhry.

Dała Kuszanom chwilę czasu, żeby zdołali przetrwać jej słowa. Mężczyźni, siedzący przed nią, należeli do żołnierskiej elity, do weteranów. Zнали Raghunath Rao. Podobnie jak do wszystkich Hindusów, i do nich dotarła jego sława. Ale, w odróżnieniu od większości, ich wiedza o nim była głębsza. Widzieli masakrę w pałacu w Gwaliorze, po tym, jak Pantera z Maharasztry przemknęła przez niego jak wichur.

Szakuntala patrzyła, jak żołnierze z dumą rozprostowują ramiona. Doceniała to uczucie. I liczyła na nie. Tak, kuszańscy żołnierze znali Rao i głęboko go podziwiali. Ale ich dum kielkowała z wiedzy, że on także ich podziwiał i doceniał. Gdyż Rao nie próbował uwolnić księżniczki, kiedy to oni jej chronili. Czekał, aż zostaną zastąpieni przez...

Szakuntala patrzyła, jak w zamyśleniu zaciskają usta. Doceniała to uczucie. I liczyła na nie. Dzisiaj Ruszanie należeli do elitarnych jednostek w służbie Imperium Malawy. Ale byli oni także potomkami tych gniewnych nomadów, którzy przybyli do Indii z centralnej Azji, i podbili Baktę, Sogdianę i pomocne Indie. Podbili je, rządili nimi i po tym, jak przybrali buddyjską wiarę i naprawdę się ucywilizowali, zostali prawdziwymi władcami. Do czasu, aż przybyli Ye-tai i Malawianie, i zamienili ich w bezrozumnych wasali.

Przez dłuższą chwilę Szakuntala i Kuszanie patrzyli na siebie. Patrząc z oddalonego zakątka pawilonu, Belizariusz z zaskoczeniem obserwował rosnące ciepło w krzyżujących się spojrzeniach. Księżniczka i żołnierze spędzili długie miesiące bardzo blisko siebie. I nawet, jeżeli podczas tego długiego i bolesnego okresu uwięzienia, nie było między nimi przyjaźni, zawsze darzyli się respektem. Respektem, który w miarę upływu czasu, zmienił się w niemy podziw.

Teraz, pomyślał Belizariusz.

I Szakuntala, jakby czytając w jego myślach, ponownie zabrała głos.

- Rao zbierze dla mnie armię. Ale będę potrzebowała także innych sił. Ja także będę musiała wstąpić na niebezpieczną ścieżkę. Potrzebna jest mi więc przyboczna straż, żeby chronić mnie,

kiedy podejmem walkę o odzyskanie Andhry.

Popatrzyła w bok.

- Bardzo długo myślałam nad tym problemem-powiedziała miękko. – Rozważałam wiele możliwości. Ale zawsze moje myśli powracały do jednej z nich, do jednego miejsca.

Znów zwróciła na nich swoje spojrzenie.

- Nie jestem w stanie wymyślić dla siebie lepszej ochrony niż ta, stworzona przez żołnierzy, którzy obronili mnie przed plugawymi Ye-tai i chronili mnie dobrze przez miesiące, spędzone w Gwaliorze.
- Mój Boże! – Belizariusz usłyszał za sobą szept zaszokowanego Menandra. – Ona chyba oszalała!
- Bzdura! – wysyczał Walentynian. – Doskonale sobie z nimi radzi.
- Nigdy nie zapominaj, mój chłopcze – do pozostałych dwóch dołączył się dudniący szept Anastazjusza, przepełniony filozoficzną satysfakcją. – W końcu tylko dusza się liczy.

Teraz przemówił jeden z Kuszanów, siedzący w środku grupy żołnierzy. Belizariusz nie znał jego imienia, ale rozpoznał go jako przywódcę szeregowych Kuszanów. Z grubsza człowiek ten odpowiadał rzymskiemu dziesiętnikowi.

- Musimy wiedzieć jedną rzecz, księżniczko. Czy...
- To nie jest księżniczka! – przerwała mu ostro jedna z Marathanek, klęcząca za Szakuntalą. Nazywała się Aszilibai. – To imperatorowa Andhry!

Kuszański żołnierz zacisnął szczęki. Szakuntala podniosła rękę nagłym rozkazującym gestem.

- Siedz cicho, Aszilibai! Mój tytuł nic nie znaczy dla tego człowieka. Pochyliła się do przodu, przewiercając Kuszanina spojrzeniem swoich czarnych oczu.
- Ten człowiek nazywa się Kudżulo i znam go dobrze. Jeżeli Kudżulo postanowi złożyć mi przysięgę lojalności, mój tytuł nigdy nie będzie miał dla niego znaczenia. Czy będę siedziała na tronie odbudowanym w Amawarati, czy będę się czołgać w okopach marathańskiej twierdzy, oblężonej przez Malawian, miecz Kudżulo zawsze będzie stał pomiędzy mną a naszymi wrogami.

Żołnierz rozluźnił zaciśnięte szczęki. Rozprostował ramiona. Patrzył przez chwilę na imperatorową, a potem głęboko skłonił głowę.

- Pytaj, o co chcesz, Kudżulo – powiedziała Szakuntala. Kuszański żołnierz podniósł głowę. Złość powróciła do jego oczu i ręką pokazał na Kungasa.
- Zrobiono z nas głupców – warknął. – Czy nasz dowódca także był częścią tego oszustwa?

Szakuntala odpowiedziała natychmiast.

- Nie. Kungas, podobnie jak wy, widzi mnie po raz pierwszy od czasu, kiedy byliście moimi strażnikami w Gwaliorze. Od tego dnia nigdy nie zamieniłam z nim nawet słowa. – Jej głos stał

się szorstki. – Ale jaki jest powód twojego pytania, Kudżulo? Przecież wcale nie zrobiono z was głupców. To z Malawian zrobiono głupców. I nie ja tego dokonałam, ale największy na świecie mistrz intryg, generał Belizariusz. Wszyscy Kuszanie poruszyli się, odwracając głowy. Belizariusz uznał to za znak dla siebie i podszedł kilka kroków naprzód, żeby przed nimi stanąć.

- Kungas nigdy nie był częścią naszego planu – powiedział generał z mocą. – Ani żaden inny kuszański żołnierz.

Potem uśmiechnął się i Kuszanie, widząc jego dziwny, ale znajomy uśmiech, zdali sobie sprawę, jak krzywy jest on w rzeczywistości.

- Właściwie – kontynuował – całe to oszustwo zostało zaplanowane ze względu na was. Rao nie byłby w stanie uratować księżniczki, gdybyście dalej pełnili swoją straż. Nawet dla niego takie zadanie byłoby niemożliwe.

Przerwał na chwilę, pozwalając, aby duma, wynikająca z tej wiedzy, wypełniła dusze jego słuchaczy. Podobnie jak Szakuntala wiedział, że wrodzona duma i szacunek do samego siebie jest kluczem do zdobycia zaufania tych ludzi.

- Więc, przekonałem Venandakatre, a przynajmniej tak mi powie dziano – tamtej nocy byłem bardzo pijany i niewiele pamiętam z naszej rozmowy. Więc przekonałem Venandakatre, że Kuszanie są najbardziej zdeprawowanymi ludźmi, stąpającymi po ziemi. Większość z nich to satyrowie, a już szczególnie nie mogą się opanować, kiedy widzą młodą dziewczycę. /

Wśród Kuszanów wybuchł cichy, krótki śmiech.

- Najwyraźniej moje słowa padły na podatny grunt. – Generał po drapał się po brodzie. – Obawiam się, że pan Venandakatra zbyt pochopnie i chętnie wierzy w złą naturę drugiego człowieka. W zasadzie można powiedzieć, że widzi innych przez pryzmat swojej osoby.

Znacznie głośniejszy śmiech wypełnił pawilon. Śmiano się wesoło z głupoty wielkiego pana. I śmiano się gorzko, gdyż Venandakatra nie bez powodu zyskał przydomek Pierwszego Nikczemnika. Belizariusz wzruszył ramionami.

- Resztę już znacie. Zostaliście bezceremonialnie odsunięci od księżniczki i zastąpieni przez kapłanów Mahwedy i oprawców mahamimamsa. To oni właśnie zetknęli się z Panterą z Maharasztry, kiedy jak wichur przemknął przez pałac.

Z głosu generała zniknął najlżejszy ślad humoru. Teraz twarz Belizariusza w każdym calu przypominała metalową maskę Kungasa.

- Ten sztylet, którym Pantera utoczył krew malawiańskich bestii pochodził z mojego kraju. To doskonała broń, wykonana przez najlepszych rzemieślników. Przywiozłem go ze sobą do Indii i dopilnowałem, żeby trafił w ręce Rao.

Jego twarz złagodniała lekko i pojawił się na niej ślad dobrego samopoczucia.

- Malawianie, tak jak chcieliśmy, pomyśleli, że imperatorowa uciekła z Rao. I dlatego posłali tysiące Radźputów, żeby dokładnie prze czesali cały kraj. Ale Rao był sam i zdołał wyprowadzić ich w pole. Wiedzieliśmy, że imperatorowa nie dałaby rady z nim uciec. Więc, jak zaplanowaliśmy, Rao pozostawił ją w pałacu, ukrytą w szafie, w pokojach gościnnych. Kiedy przyjechaliśmy, dwa dni później, ukryliśmy księżniczkę pomiędzy konkubinami księcia Eona.

Popatrzył na Kungasa. Kuszański dowódca wytrzymał jego spojrzenie, nie zmieniając wyrazu twarzy.

- Kungas nic o tym nie wiedział, nie więcej, niż każdy z was. To prawda, w dzień, kiedy opuszczaliśmy Gwalior i wyruszaliśmy do Ranapur, wydaje mi się, że rozpoznał księżniczkę, kiedy szła z kobietami do palankinu księcia Eona. Nie jestem pewien, jednak nie zamieniliśmy na ten temat ani słowa w tamtej chwili. Podobnie jak do tej pory Kungas nigdy nie powiedział do mnie ani słowa o księżniczce. Ale wierzę, że ją rozpoznał. I, dla siebie tylko znanych powodów, zachował tę wiedzę dla siebie.

Kudźulo popatrzył na swojego dowódcę.

- Czy to prawda? – zapytał poważnie. Kungas kiwnął głową.
- Tak. Jest dokładnie tak, jak mówi Rzymianin. Nie wiedziałem nic o ich planie. Ale rozpoznałem Szakuntalę. Tego dnia, kiedy opuszczaliśmy Gwalior i ruszyliśmy do Ranapur. Dokładnie tak, jak on mówi.
- Dlaczego zachowałeś to dla siebie? – zapytał Kudźulo.
- Nie możesz mnie o to pytać – odparł Kungas. Jego głos, o ile to możliwe, był twardszy nawet niż jego twarz. – Możesz kwestionować to, co zrobiłem, Kudźulo, ale nie możesz domagać się wyjaśnień. Nie możesz wymagać, abym odsłonił przed tobą swoją duszę.

Kudźulo skurczył się lekko w sobie. Wszyscy Kuszenie jakby nagle znaleli.

Kungas zbył pytanie krótkim ruchem ręki.

- Poza tym, to pytanie jest głupie. Twoja dzisiejsza decyzja mogła by być inna, Kudźulo. Ale nie udawaj, że nie rozumiesz, dlaczego ja tak postąpiłem. Jeżeli naprawdę musisz zadać to pytanie, najwyraźniej nie jesteś ze mną spokrewniony. – Jego zimne jak stal oczy omiotły spojrzeniem pozostałych Kuszanów. – Żaden z was nie jest ze mną spokrewniony.

W pawilonie rozległo się ciche westchnienie. Nagle jeden z żołnierzy, siedzący z tyłu, wybuchnął krótkim, szczekliwym śmiechem.

- Zresztą dlaczego nie? – zapytał. – Mam już dosyć Malawian. Mam dosyć ich arogancji i wrzasków tych psów, Ye-tai, i narzekań Radźputów.

Kolejny Kuszanin wymruczał słowa aprobaty.

- I tak naszym przeznaczeniem jest śmierć – powiedział miękko trzeci. – Lepiej umrzeć jako strażnik królewskiej osoby, pełen honoru, niż jako najpodlejszy z malawiańskich sług.

- Nie zniosę więcej tego głupiego gadania – warknął Kungas. – Nie ma żadnego przeznaczenia. Jest tylko ostrze dobrego miecza z umiejętnością człowieka, który nim włada.

W tej właśnie chwili Ousanas wszedł do pawilonu. Zdołał usłyszeć jeszcze odpowiedź Kudżulo.

- I mózg człowieka, który dowodzi żołnierzami!

Kuszanie zaśmiali się, najwyraźniej odzyskując dobry humor. Kudżulo, patrząc na imperatorową, skinął głową w kierunku generała.

Ten człowiek, jak rozumiem, jest jednym z naszych sprzymierzeńców. – Kudżulo przerwał na chwilę, zaczerpnął tchu i podjął decyzję.

- Teraz jest jednym z naszych sprzymierzeńców. – Szybkie, kolektywne kiwnięcia głowami wskazywały, że kuszańscy żołnierze zaakceptowali jego słowa.
- On jest wielkim strategiem i intrygantem – kontynuował Kudżulo. – Tak jest z pewnością. Ale spryt nie zawiedzie nas zbyt daleko. Czy on potrafi się także posługiwać innymi metodami?

Szakuntala podniosła się wyniośle. Kątem oka Belizariusz zobaczył, że jego katafrakci sztywnieją ze złości. Chciał coś powiedzieć, ale, widząc, że Ousanas przesuwa się na środek pawilonu, odprężył się.

- Kuszański żołnierz to naprawdę wielki głupiec – zauważył wesoło dawazz. – Prawdopodobnie chodzi pytać gołębie, jak smakuje mięso, a od krokodyli uczy się latać.

Afrykański myśliwy stanął mocno przed Kudżulo i popatrzył z góry na kuszańskiego żołnierza. Kudżulo odchylił do tyłu głowę, żeby spojrzeć na Ousanasa. Na jego twarzy malował się gniew, wywołany szyderstwem Afrykańczyka.

- Dlaczego zadajesz to pytanie imperatorowej Andhry? – zapytał Ousanas. – Co ona wie o takich sprawach? Lepiej zapytaj Persów, którzy przeżyli bitwę pod Mindous.

Złość znikła, zastąpiona przez zainteresowanie. Kudżulo zerknął na Belizariusza.

- On pokonał Medów? – Podobnie jak wszyscy wojownicy z centralnej Azji, którzy walczyli z Persją od wielu stuleci, Kudżulo czuł respekt dla medejskiej ciężkozbrojnej kawalerii.
- Wyrznął całą armię tych bękartów! – sarknął Walentynian, stojący w kącie pawilonu. – Zeszłego roku!
- Jeżeli już o tym rozmawiamy, mógłbyś także zapytać o zdanie Gotów – wymamrotał Anastazjusz. – Już tak wiele razy złoł im tyłki, że w końcu poprosili go, żeby został ich królem. Nie mieli pomysłu, jak inaczej go unieszkodliwić. – Wielki Trak ziewnął. – Odmówił. Po wiedział, że dla niego to żadne wyzwanie.

Kudżulo przyjrzał się generałowi z wielkim zainteresowaniem. Nigdy nie słyszał o Gotach, ale zetknął się już w bitwie z wieloma barbarzyńcami.

- Więc – powiedział ze zdumieniem – jesteśmy teraz oficjalną strażą przyboczną w służbie dynastii Satavahana. I w dodatku wodzem naszej nieistniejącej armii jest Raghunath Rao, a ten

tam Belizariusz sprzymierzył się z nami.

Kudźulo wyszczerzył zęby. W tym wilczym uśmiechu zagubiły się całe stulecia cywilizowanego życia jego przodków. Pokazał się dziki wojownik ze stepów.

- Żal mi tych biednych Malawian! – zawołał jeden z kuszańskich żołnierzy.

Kudźulo uśmiechnął się jeszcze szerzej.

- Wcale nie – zaprzeczył. – Wcale nie czuję dla nich litości.

## **Rozdział 11**

Dokładnie dwa tygodnie po przybyciu do stolicy Malawy, Kausambi, Belizariusz wreszcie usłyszał ofertę imperatora. Biorąc wszystko pod uwagę, generał był z siebie zadowolony. W miarę rozwoju zdrady, uważał, że wywalczył sobie naprawdę niezłą łapówkę. A już szczególnie jak na nowicjusza.

Nanda Lal też tak myślał.

- Jesteś równie uparty i niegodziwy, jak handlarz końmi – zachichotał malawiański dostojnik. Jego greka była doskonała. Tylko śladowy akcent i ekstremalna dbałość o poprawność gramatyczną wskazywała, że nie jest to jego rodzimy język. Zachichotał ponownie. – Czy jesteś pewien, że naprawdę jesteś generałem?

Belizariusz pokiwał głową.

- Byłem żołnierzem przez całe moje dorosłe życie. Ale wychowy wałem się na wsi, wiesz. Wieśniacy to urodzeni negocjatorzy.

Nanda Lal zaśmiał się. Ten śmiech był bardzo szczery, otwarty i prosto z serca. Belizariusz był pod wrażeniem. Pomyślał, że w całym swoim życiu nie poznał doskonalszego kłamcy niż Nanda Lal. Ani człowieka, którego dusza pozostawała w takiej sprzeczności z zachowaniem na pokaz.

Oficjalnie Nanda Lal posiadał wiele tytułów.

Po pierwsze był *anvaya-prapta sachivya*. Określenie to w przybliżeniu tłumaczyło się jako „posiadający rangę ministra na skutek praw dziedziczenia”. To oznaczało w praktyce, że Nanda Lal należał do najwyższych malawiańskich elit, do grupy tych, którzy byli spokrewnieni z imperatorem i przez to mogli nazywać siebie częścią malawiańskiej dynastii. Żaden człowiek w Imperium Malawy, który nie był *anvaya-prapta sachivya*, nie mógł liczyć na awans na jakąkolwiek liczącą się, wysoką pozycję w armii, czy w administracji.

Po drugie, Nanda Lal był *mantrin*, czyli wysokim doradcą i zasiadał w ciele doradczym, wspomagającym imperatora Skandaguptę, nazywanym *Mantri-parishad*. To prawda, że Nanda Lal był jednym z młodszych członków tego gremium, których Malawianie nazywali *kumaramatya*, ale cieszył się wielkim poważaniem w całych Indiach.

Po trzecie, Nanda Lal zajmował specyficzną posadę, nazywaną przez Malawian *akshapatal-adhikrita*. Tytuł ten oznaczał z grubsza „pana, w którego pieczy spoczywają dokumenty państwowe”, pozycję sprawiającą nieszkodliwe wrażenie.

Jednakże tak naprawdę Nanda Lal był szpiegiem. A raczej, lepiej to ująwszy, tym właśnie szpiegiem. A jeszcze dosadniej, mistrzem i zwierzchnikiem wszystkich szpiegów.

Śmiech Nandy Lala ucichł. Po raz ostatni ze smutkiem potrząsnął głową.

- Więc, generale, powiedz mi – odezwał się. – Co sobie wtedy myślałeś? Ja jestem bardzo ciekaw. Wiesz, że tylko żartowałem.. o tym handlarzu koni. – Zachichotał od serca po raz kolejny. – Tylko generał mógłby zażądać generalnej inspekcji naszego militarnego zaplecza, zanim zdecydował się stanąć po naszej stronie. Oczywiście, poza żądaniem bajecznej fortuny. – Zaśmiał się. – Można nawet powiedzieć, kolejnej fortuny. – I znów śmiech. – Swoją drogą, bardzo ładnie to rozegrałeś, jeżeli pozwolisz mi tak to ująć. – Teraz śmiał się już otwarcie. – I ten twój niedbały gest. I słowa „och, może coś prostego. Może jak ta skrzynka, którą mi już daliście”.

Belizariusz wzruszył ramionami.

- Wydawało mi się, że najlepiej powiedzieć wszystko wprost. I chciałem wiedzieć... cóż, powiedzmy po prostu, że mam już dosyć tych niewychowanych, twardogłowych imperatorów, którzy oczekują cudów za garść miedziaków. A co do twojego pytania, co sobie myślałem?

Zanim odpowiedział, Belizariusz dokładnie rozejrzał się po pokoju. Nie starał się odkryć, czy nikt ich nie podsłuchuje. Nie miał najmniejszych wątpliwości, że tak jest. Po prostu był ciekaw.

Oficjalne kwatery Nandy Lala były, jak na malawiańskie standardy, bardzo skromne. A wcześniej, jak zauważył Belizariusz, kiedy pili herbatę, Nanda Lal zaparzył ją i nalewał własnymi rękoma. Do swojego sanktuarium nie wpuszczał żadnych służących.

Co za sprawne ręce, pomyślał Belizariusz, patrząc na nie. Podobnie jak większość członków dynastycznego klanu, Nanda Lal był ciężkiej budowy. Ale przysadzista sylwetka szpiega nie miała nic z gąbczasto miękkich kształtów pozostałych *anvaya-prapta sachivya*. Belizariusz podejrzewał, że pod szatami dostojnika kryje się całkiem sporo mięśni. I nie miał wątpliwości, że ręce Nandy Lala są tak samo sprawne przy innych zajęciach, jak przy parzeniu herbaty. Mimo całej swej wypielęgnowanej perfekcji, były dłońmi dusiciela, a nie skryby.

- Byłem pod wrażeniem – odpowiedział. – Szczególnie pod wrażeniem skali, na jaką produkujecie działa i amunicję. Gromadzicie... my gromadzimy ogromną ilość broni palnej, którą można wykorzystać w bitwie.

Umilkł, w zamyśleniu drapiąc się po podbródku.

- Ale...? – naciskał Nanda Lal.
- Nie poświęćcie dostatecznej uwagi sprawom zaopatrzenia – powiedział Belizariusz przekonującym tonem. – Jest takie stare, żołnierskie powiedzenie, Nando Lalo. Brzmi ono: amatorzy studiują taktykę, profesjonalści koncentrują się na logistyce. Te wedyjskie bronie, skądkolwiek by nie pochodziły, podkreślam, że nie pytam cię o ich pochodzenie, nie są wcale magiczne. Nawet z ich użyciem, zdobycie Ranapur zajęło wam dwa lata. Powinniście dokonać tego znacznie wcześniej.

Nanda Lal wyglądał teraz na żywo zainteresowanego rozmową.

- Naprawdę? Pozwól, że cię zapytam, generale. Jak długo zajęłoby tobie zdobycie Ranapur?
- Osiem miesięcy – padła natychmiastowa odpowiedź. – Bez dział. Z działami... cztery.

Malawiański dostojnik otworzył ze zdumienia oczy.

- Tak szybko? Więc co my zrobiliśmy źle?
- Dwie rzeczy. Po pierwsze, jak już mówiłem, wasza logistyka po zostawia wiele do życzenia. Bardziej cenicie pracę niewykwalifikowanych, ale dużych ilości niewolników od umiejętności i jakości. Musicie opracować wyspecjalizowane oddziały kwatermistrzowskie, zamiast... – Udało mu się nie sarknąć. – Zamiast ustawiać dziesiątki tysięcy ludzi jednych nad drugimi. Gdybyś przestudiował dokładnie historię oblężenia Ranapur, jestem pewien, że odkryłbyś jedną ciekawą rzecz. Większość tej absurdalnej ilości zapasów i jedzenia po prostu została pochłonięta przez tych, którzy je dostarczali.

Belizariusz pochylił się do przodu na krześle.

- A to prowadzi do mojego drugiego zastrzeżenia. Wasze armie są zbyt wolne. Nie mówię, że to ze strachu. Wasi żołnierze wyglądają na wystarczająco odważnych, a szczególnie Ye-tai i Radżpuci. Ale używacie ich w asekurancki sposób.

W oczach Nandy Lala tliło się zainteresowanie, ale też podejrzliwość.

- A ty potrafiłbyś wykorzystać ich lepiej? – zapytał. – Gdybyśmy uczynili cię



głównowodzącym?

Belizariusz nie przegapił zawołanej wrogości. Podejrzliwość przychodziła Nandzie Lalowi tak łatwo, jak pływanie rybom.

Rzymski generał zbył uwagę dostojnika krótkim machnięciem ręki.

- Po co o to pytasz, Nando Lalo? Przecież już postanowiliśmy, że najlepiej się wam przysłużę, wracając do Rzymu. Wykorzystam ambicje Justyniana i zachęcę go do podbicia zachodnich wybrzeży Morza Śródziemnego, tak, żeby jego armie utknęły tam na lata. To oczyści wam drogę i będziecie mogli bez przeszkód najeżdżać Persję.
- A po Persji?

Belizariusz wzruszył ramionami.

- To jest problem przyszłości. Kiedy już dojdzie do wojny pomiędzy Rzymem a Malawą, będę musiał otwarcie zmienić sojusznika. Kiedy ten czas nadejdzie, zdecydujecie jaką pozycję mam zająć w waszej armii. Teraz nie mam zamiaru zajmować się tą sprawą. W końcu to nie jest kwestia kilku najbliższych lat.

Podejrzliwość znikła z oczu Nandy Lala. Nagle malawiański urzędnik wstał z miejsca.

- Rozważę dokładnie to, na co mi zwróciłeś uwagę, generale. Ale w tej chwili myślę, że powinniśmy skończyć naszą rozmowę.

Belizariusz także wstał, rozprostowując kości.

- Nie wydaje mi się, żebyśmy skończyli na dzisiaj – powiedział ze smutnym uśmiechem. – Nie ma takiej możliwości?

Nanda Lal potrząsnął ze smutkiem głową.

- Obawiam się, że nie. Ciągłe jest wczesne popołudnie, generale. Zostało jeszcze przynajmniej czterech dostojników, którzy pragną się z tobą spotkać. A potem, wieczorem, musimy udać się na ważne spotkanie towarzyskie.

Belizariusz podniósł brew. Nanda Lal wzruszył ramionami – gest ten wyrażał rezygnację, zmęczenie i starannie ukrywaną irytację. Towarzyszący temu uśmiech miał charakter grymasu, jaki łączy towarzyszy w nieszczęściu.

- Czcigodna Pani Holi. Może o niej słyszałeś?

Belizariusz potrząsnął głową.

- Ach! Cóż, ona jest ulubioną ciotką imperatora. To kobieta budząca prawdziwą grozę, mimo zaawansowanego wieku. Już od wielu dni domaga się spotkania z tobą. Wygląda na to, że jest zafascynowana opowieściami o tajemniczym generale z obcego kraju.

Nanda Lal chwycił Belizariusza za łokieć i zaczął prowadzić go w kierunku wyjścia. Jego uśmiech stał się szerszy.

- Myślę, że jej zainteresowanie bierze się z opisów twojej osoby. Ona ciągle uwielbia towarzystwo młodych, przystojnych mężczyzn.

Czując, jak Belizariusz lekko sztywnieje, Nanda Lal wybuchnął śmiechem.

- Nie bój się, generale! Ta kobieta ma prawie siedemdziesiątkę na karku. I właściwie jest bardzo ascetyczna. Zapewniam cię, że chce tylko popatrzeć.

Nanda Lal otworzył drzwi. Własnymi rękoma, jak zwykle. Do tych pokoi nie wpuszczano żadnych służ. Wyszedł za Belizariuszem na korytarz, który rozpościerał się za drzwiami.

Kiedy już zamknął drzwi, jedyne drzwi w pałacu, jak zauważył Belizariusz, które miały zamek, Nanda Lal poprowadził go na dół do wielkiego holu.

- W każdym razie ona nęka imperatora już od wielu dni. I w końcu jej uległ. Więc, tego ranka, tuż przed twoim przybyciem, kazał mi zabrać cię do Czcigodnej Pani Holi wieczorem, jak już skończysz wszystkie spotkania.

Belizariusz westchnął. Nanda Lal skrzywił się.

- Rozumiem cię, generale. Ale, proszę, nie trać humoru. Nie będziemy tam długo siedzieć, zapewniam cię. Kilka minut, żeby złożyć wyrazy uszanowania. Towarzyska pogawędka, nic więcej.

Belizariusz z rezygnacją skrzyżował ramiona.

- Jak sobie życzysz, Nando Lalu. Czy spotkam się z nią w pałacu? Nanda Lal po raz kolejny ze smutkiem potrząsnął głową.
- Niestety, obawiam się, że nie. Nie lubi tego miejsca. Twierdzi, że jest tam za głośno i zbyt duży tłok. Mieszka sobie na barce, zakotwiczonej na rzece.

Zachichotał serdecznie.

- To wcale nie jest takie złe! Kiedy już zobaczysz barkę Czcigodnej Pani Holi, nie będziesz chciał stamtąd wychodzić. Naprawdę jest bajeczna. Najbardziej luksusowa i wyszukana barka w historii świata!
- Nie mogę się doczekać – wymamrotał Belizariusz pod nosem. Właśnie wychodzili przez główne wyjście Wielkiego Pałacu. Generał zatrzymał Nandę Lala, kładąc mu rękę na ramieniu. – Daj mi jedną chwileczkę. Zawiadomię moich katafraktów o zmianie planów. Nie ma sensu, żeby stali w gorącym słońcu przez resztę dnia.

Nanda Lal kiwnął przyzwalająco głową. Belizariusz wypadł przez pałacowe drzwi na zewnętrzny dziedziniec. Jak zwykle, trzech katafraktów czekał na niego tuż przy wyjściu z pałacu. Ich konie, podobnie jak wierzchowiec Belizariusza, były uwiązane gdzieś w pobliżu.

Od pierwszego dnia, kiedy przybyli do Kausambi i generał zaczął prowadzić negocjacje z

*Mantri-parishad*, Belizariusz rozkazał swoim katafraktom pozostać na zewnątrz pałacu. Gdyby ich ze sobą zabierał do środka, kiedy tylko pojawiał się w pałacu, mogłoby to zostać odebrane jako pewna nieufność, nieodpowiednia dla człowieka, radośnie planującego zdradę. A, poza tym, katafrakci rzucaliby cię na jego negocjacje. Wielu z *anvaya-prapta sachivya*, zamieszkujących pałac, było obecnych w namiocie imperatora tamtego dnia, kiedy Belizariusz zarządził egzekucję rebeliantów z Ranapur. A ci, których tam nie było, słyszeli tę historię wielokrotnie. Oczywiście, obserwacja wysokich dostojników, kulących się w obecności Walentyniana, mogła być całkiem interesująca. Interesująca, ale bardziej szkodliwa, niż przynosząca korzyści.

Belizariusz szybko streścił im plan działania na wieczór i kazał swoim katafraktom wracać do kwater. Walentynian próbował oponować, ale dosyć niemrawo. Raczej dla formalności niż z rzeczywistych pobudek. W końcu mieli ochraniać Belizariusza. Ale Belizariusz nalegał, a jego ludzie byli raczej zadowoleni, że mogą wdrapać się na koński grzbiet i powrócić do komfortowych i zacienionych pokoi.

\* \* \*

- To już wszystko, Wasza Wysokość – powiedział Dadadzi Holkar. Zawiązał mocno tasiemkę worka i umieścił go w małej, wykładanej jedwabiem przegródce w skrzynce. Potem zamknął wieko i wstał. Przez chwilę z zadowoleniem przyglądał się swojemu dziełu, a potem obrzucił spojrzeniem resztę pokoju.

Kiedy przybyli do Kausambi, Rzymianie i Etiopczycy zostali zakwaterowani w rezydencji leżącej w dzielnicy miasta przeznaczonej dla szlachty. Dzielnica ta biegła wzdłuż południowego brzegu Jamuny, trochę na zachód od miejsca, gdzie rzeka wpadała do potężnego Gangesu. Wielki Pałac imperatora leżał we wschodniej części dystryktu, natomiast rezydencja obcych na zachodnim jego krańcu. Całkiem niedaleko znajdowało się kotwiczowisko luksusowych barek, na których Malawianie spędzali najgorętsze miesiące lata. Na wodach Jamuny, na których unosiły się barki, panował wtedy przyjemny chłód.

Na południu dystryktu królewskiego, zajmując obszar w kształcie rogala, znajdowało się centrum malawiańskiej potęgi, czyli fabryki prochu, dział i amunicji. Zapachy, nadlatujące znad tych zabudowań, często były nieprzyjemne, ale malawiańskie elity znosiły je ze względu na poczucie bezpieczeństwa. Wedyjskie bronie były przecież podstawą ich potęgi i woleli trzymać je pod ręką.

Dworek, w którym zostali zakwaterowani cudzoziemcy, należał do jednego z niezliczonych kuzynów Skandagupty, nieobecnego z powodu obowiązków, jakie pełnił obecnie w Biharze. Budowla przypominała mały pałac. Było w niej tak dużo pokoi, że nawet kuszańska eskorta została zakwaterowana pod dachem, nie tylko sami zagraniczni wysłannicy. I, co najważniejsze, wreszcie Eon i Szakuntala mogli spędzić kilka nocy oddzielnie.

A przynajmniej Szakuntala spędzała noc samotnie w swoim łóżku. Dadadzi popatrzył na Tarabai, siedzącą na poduszce w kącie ogromnej sypialni Szakuntali. Z ledwością powstrzymał uśmiech. Marathanka nie odstępowała Eona nawet na krok, odkąd przybyli do Kausambi. Dzisiaj dopiero był pierwszy dzień, kiedy podjęła znów swoje obowiązki damy dworu.

O ile to, czym byli zajęci cały dzień, można nazwać typowymi obowiązkami damy dworu. Holkar raczej w to wątpił. Bardzo rzadko, może nawet nigdy królewska dama dworu nie spędziła całego dnia, pomagając swojej imperatorowej liczyć pieniądze.

Oczy Holkara ponownie spoczęły na skrzynce, której wieko właśnie zamknął. Ta skrzynia była jedną z wielu, jakie poustawiano w całym pokoju Szakuntali. Tamte skrzynki były znacznie mniejsze

niż ta, stojąca na środku pomieszczenia. Ta skrzynia, wielka skrzynia, pokryta pięknymi płaskorzeźbami i ozdobiona złotem i rubinami – kolorami malawiańskiej dynastii, była teraz zupełnie pusta.

Szakuntala potrząsała głową. Wyglądała na zupełnie oszołomioną. Kiedy się odezwała, w jej głosie słychać było respekt.

- Nie mogę w to uwierzyć – wyszeptała. – W tej skrzyni było tak dużo, jak...jak...

Dadadzi uśmiechnął się.

- Roczne dochody księcia. Bogatego księcia. – Skryba potarł szczękę. – Ciągle jednak to nie jest dużo jak na wydatki wojenne dla imperium.

Szakuntala ciągle potrząsała głową.

- Jak ja kiedykolwiek spłacę mój dług zaciągnięty u Belizariusza? – zastanawiała się.

Dadadzi uśmiechnął się szerzej.

- Nie obawiaj się, wasza wysokość. Generał nie oczekuje od ciebie spłaty długu w złocie, a tylko w ciosach, jakie wymierzysz w Imperium Malawy. Ciosach, które to bogactwo pozwoli zadać. Jak on to ujął? Imperatorowa bez pieniędzy to polityczna i militarna kaleka. A kaleki sprzymierzeniec nie przysłuży się zbytnio Rzymowi.

Szakuntala odeszła od skrzyni, potrząsając głową. Potem wzięła głęboki oddech i usiadła wyprostowana na poduszce.

- Oczywiście ma rację. Ale jak wielu ludzi, których znasz, dałoby taką fortunę obcemu? I to nie tylko tę ostatnią łapówkę od Malawian.
- Jak wielu ludzi? – zapytał Holkar. – Bardzo niewielu, wasza wysokość. Bardzo, bardzo niewielu. – Niewolnik zaśmiał się głośno. – I znam tylko jednego, który zrobiłby to z taką uciechą!

Szakuntala także uśmiechnęła się szeroko, przypominając sobie radosne słowa Belizariusza poprzedniego wieczora, kiedy wręczył jej skrzynię, którą właśnie dostał od Nanda Lali i połowę zawartości drugiej skrzyni, którą otrzymał od Skandagupty w Ranapurze.

Rzymski generał powiedział wtedy, że myśli o tym darze jako o poetyckiej sprawiedliwości. Uśmiechnął się jak zwykle krzywo i dodał, że malawiańska łapówka powinna sfinansować powstanie w Andhrze.

Szakuntala, Marathanki i Dadadzi Holkar spędzili cały dzień, dzieląc monety i kamienie na mniejsze paczuszki, które mogły być wygodniej transportowane. Większa część skarbu wylądowała w małych skrzynkach. Ale część przełożono do sakiewek, które Szakuntala rozdała wszystkim członkom swojej świty.

Marathanki, biedne z pochodzenia, były zaskoczone i ogłuszone jej postępkami. Każda z nich nosiła teraz przy sobie więcej pieniędzy, niż cała ich rodzina była w stanie łączyć przez pokolenia ciężkiej pracy. Holkar zerknął szybko na cztery młode kobiety, siedzące w rogu. Pozbierały się już z

pierwszego szoku, pomyślał. Ale jeżeli tliła się w nich chociaż iskra niepewności i wahania, teraz, pod wpływem daru Szakuntali, znikły wszystkie ich wątpliwości. Zaufanie ich imperatorowej sprawiło, że zupełnie się jej poświęciły.

Kiedy wzrok, Holgara spoczął na twarzy Szakuntali, niewolnik natychmiast odczytał pytanie z wyrazu jej twarzy.

- Nie ma takiej potrzeby, wasza wysokość – powiedział, potrząsając głową. – Ja ciągle jestem niewolnikiem Belizariusza, nawet jeżeli ty jesteś moim władcą. Jeżeli on zechce dać mi pieniądze, zrobi to. Nie mogę ich wziąć od kogoś innego. A poza tym – pokazał kpiąco na swoją przepaskę biodrową – gdzie miałbym je schować?

Szakuntala chciała mu właśnie odpowiedzieć, kiedy przerwało jej pukanie do drzwi.

Tarabai otworzyła. Do pokoju wszedł Walentynian w towarzystwie Eona. Podeszli do Szakuntali.

- Możemy dzisiaj wcześniej zasiać do kolacji – powiedział Eon. Księżę pokazał na Walentyniana. – Katafrakci właśnie wrócili z pałacu. Belizariusz zwolnił ich już na resztę dnia. Wydaje się, że on dziś wróci raczej późno. Musi uczestniczyć w jakimś spotkaniu towarzyskim, czy coś w tym rodzaju.

Katafrakt jęknął.

- Ci malawiańscy rojaliści są nawet gorsi od greckiej szlachty, kiedy dochodzi do uroczystości. Wystarczająco złe jest to, że musi tracić cały dzień na próżne gadki z jakimś trzeciorzędnym biurokratą w pałacu. A teraz nalegają, żeby się spotkał z jakąś starą babą.

Szakuntala zmarszczyła brwi.

- Starą babą? W pałacu?

Walentynian potrząsnął przecząco głową.

- Nie, gorzej. Będą go ciągnąć na jakąś barkę na rzece, żeby się spotkał z jedną z podstarzałych krewnych imperatora. Jakaś cioteczna babcia, tak mi się wydaj e.

Szakuntala zeszywniała.

- Jak ona się nazywa? – wysyczała.

Walentynian spojrzał na nią, zaskoczony jej postawą i tonem głosu.

- Nazywa się Czcigodna Pani Holi. A co?

Szakuntala skoczyła na równe nogi.

- To wiedźma! Czarownica!

Walentynian i Eon gapili się na nią z otwartymi ustami. Szakuntala gniewnie zatupała nogami.

- To prawda, głupcy!

Dziewczyna opanowała się z wielkim trudem. Wiedziała, że ma do czynienia z mężczyznami, którzy nie zareagują, gdy będzie histeryzować.

- Uwierz mi, Walentynianie. Eonie. – Jej głos był spokojny, ale śmiertelnie poważny. – Mój ojciec mówił mi o niej kilka razy. Jego szpiegzy nie dowiedzieli się o niej zbyt wielu rzeczy. Niebezpiecznie było zbyt blisko do niej podchodzić, ale zebrali wystarczająco dużo informacji, żeby się przekonać, że kobieta cieszy się wielkim szacunkiem pośród Malawian. Niech was nie zwiedzie jej wiek. Ona jest wiedźmą.

Walentynian pierwszy otrząsnął się z szoku.

- Zawołam pozostałych – powiedział, odwracając się w kierunku drzwi.

Wrócił w przeciągu minuty, prowadząc ze sobą członków rzymskiego i aksumickiego poselstwa. Przyproceedził także Kungasa.

Eon przejął dowodzenie.

- Mamy tutaj nieprzewidzianą sytuację, której musimy się przyjrzeć.

Księżę krótko zapoznał zebranych z wydarzeniami. Potem zwrócił się do Kungasa.

- Przyproceedź Kaniszkę. I Kudżulo, i pozostałych dwóch dowódców pododdziałów.

Kungas zniknął. Eon machnął ręką w stronę pozostałych.

- Chodźcie bliżej i usiądźcie. Wszyscy.

Zanim wszyscy znaleźli sobie miejsce – a większość musiała usiąść na podłodze – wrócił Kungas ze swoimi dowódcami. Pięciu Kusza-nów weszło do pokoju, ale nie usiadło.

Eon zaczął natychmiast.

- Wszyscy już słyszeliście... – Zawahał się, rzucając spojrzenie na Kungasa.
- Powiedziałem im – zaburczał kuszański dowódca.
- Wszyscy już słyszeliście, jaka jest sytuacja – kontynuował Eon. – Może to fałszywy alarm. Ale mamy wystarczająco wiele podstaw, żeby sądzić inaczej. – Zacerpnął powietrza. – Jak wiecie, mieliśmy na dzieję na ciche opuszczenie Indii. Jak pokój owa misja dyplomatyczna, właśnie udająca się do domu. Ale Belizariusz zawsze nas ostrze gał, że coś może pójść nie tak. Dlatego właśnie nalegał, abyśmy kupili te konie, i słonie.

Znów wziął oddech. Głęboki oddech.

- Cóż, może właśnie nadszedł ten czas. Musimy założyć, że tak jest.

Rozejrzył się po pokoju. Twarze zebranych były ponure, ale nie wystraszone. Może z wyjątkiem Menandra. Twarz młodego katafrakta zbieiała ze strachu. Nie ze strachu o siebie, ale z lęku o

generała.

- Czy masz jakiś plan? – zapytał Anastazjusz. Eon wzruszył ramionami.
- Belizariusz omówił ze mną kilka możliwości. Sam z resztą je słyszałeś. Ale żadna z nich nie ma tutaj zastosowania, gdyż Belizariusz może nie być w stanie do nas dołączyć. Więc będziemy musieli improwizować.

Popatrzył na Szakuntalę.

- Pierwsza rzecz to zadbanie, żeby ona wydostała się stąd w jednym kawałku. Kungas, ty i twoi ludzie będziecie eskortować imperatorową i jej służki.

Kuszanie kiwnęli głowami.

Eon rozejrzał się wokoło, przyglądając się skrzynkom ze skarbami.

- Dobrze. Jesteście już gotowi.
- Będą musieli zabrać także Kuszanki – wtrącił się Anastazjusz. – Jeżeli generał wpadnie w pułapkę, będziemy musieli jakoś pomóc mu się wymknąć. Nie damy rady z dziewczętami na karku.
- To żaden problem – oznajmił Kungas. – Możemy je ukryć jako obozowe ciury. Nikt nie uzna tego za dziwne.

Eon przytaknął kiwnięciem głowy.

- Dobrze. Reszta, z wyjątkiem Dadadzi, będzie przynęta. Dadadzi, ty musisz iść z księżniczką.

Eon gestem zatrzymał protesty Holkara.

- W ogóle nie myślisz, człowieku! Zapomnij o swoich zobowiązaniach względem Belizariusza i pamiętaj, że obiecałeś służyć jego celom. Podstęp to jedyny sposób, żeby wyprowadzić stąd Szakuntalę. Młoda szlachcianka nigdy nie podróżuje po Indiach samotnie. Ktoś musi udawać jej męża. To nie może być żaden z nas. Tylko Walentynian jest odrobinę podobny do Hindusa, ale jego akcent jest okropny. Tylko ty jeden się nadajesz.

Holkar otworzył usta, a potem zamknął je z trzaskiem. Potem, niechętnie, kiwnął głową. Wydawało się, że nawet odzyskał dobry humor.

- Jeżeli pozwolisz, wasza wysokość.

Szakuntala skinęła wyniośle głową, ale na jej ustach czaił się uśmiech.

- Będę potrzebował jakiś ubrań – wymamrotał Holkar. – Przepaska biodrowa nie wystarczy. – Zachichotał. – Jak to dobrze, że Belizariusz kazał mi kupić te ubrania! Czy on jest jakimś jasnowidzem, czy co?

Walentynian potrząsnął głową.

- Nie. Ale lubi mieć plan na każdą ewentualność. Przewidzi wszystkie możliwości.
- Cóż za mechanistyczny nonsens – powiedział radośnie Ousanas. – Prawda leży zupełnie gdzie indziej. Przecież Belizariusz to czarnoksiężnik. Na szczęście jest po naszej stronie.

Walentynian zignorował zaczepkę.

- Coś jeszcze? – zapytał.
- Tak – odparł Kungas. – Będziecie potrzebowali przewodnika. – Pokazał na Kudzulo. — Kudzulo dobrze się orientuje w Dekanie i mówi płynnie w marami. Podobnie jak trzech, czy czterech innych ludzi z mojego oddziału. Weź ich ze sobą. Tak czy siak, przyda ci się kilku wojowników. Będziecie musieli wyrąbywać sobie drogę przez Indie.

Kudzulo wyszczerzył zęby. Eon zmarszczył brwi.

- Nie możemy pozwolić, żeby jakikolwiek ślad wskazywał na udział Kuszanów w całej intrydze – zaprotestował. – To może narazić imperatorową.

Kungas ruchem dłoni zbył protest księcia.

- Mogą się przebrać za Ye-tai. Kudzulo świetnie sobie z tym radzi.

W tej samej chwili Kudzulo zgarbił się, wypuścił lekko dolną szczękę i opuścił ramiona. W jego oczach pojawił się nieobecny wyraz i zaczął wydawać ciche zwierzęce dźwięki. W pokoju zabrzmiał śmiech.

Nie było czasu na wahanie. Eon skinął głową na zgodę.

- Dobrze – powiedział. – No, to mamy z głowy. Zabie...
- Nie.

Królewski głos zmroził wszystkich w pokoju. Eon zaczął gromić Szakuntalę wzrokiem.

- Przecież już...
- Nie.
- Ale Wasza Wysokość – spróbował Walentynian. – Nasze plany...
- Nie – przerwała mu i zanim ktokolwiek inny zdążył coś powiedzieć, mówiła dalej. – Nie myślcie jasno. Żaden z was.

– Ale generał... – powiedział Eon.

– A już szczególnie nie myślcie jak generał.

- Oczywiście, że o nim myślimy – zaprzeczył gorąco Walentynian. – Ale nie ma nic... – katafrakt nagle przerwał. Dotarli do niego prawdziwe słowa Szakuntali.

Jej czarne, przeszywające oczy spoczęły na nim i przyszpiliły do podłogi.

- Tak – powiedziała. – Nie myślcie jak Belizariusz. Gdyby on zetknął się z nagłą zmianą sytuacji, zmieniłby też plan. Dodałby nowy element.



- Jaki element? – zapytał Eon. Szakuntala uśmiechnęła się szeroko.
- Potrzebujemy jeszcze jednej dywersji. Wielkiej! Czegoś, co będzie sygnałem dla nas wszystkich, że ucieczka się rozpoczęła, i pamiętajcie, że musimy się rozdzielić. Dywersji tak wspaniałej, która ukryje nie tylko naszą ucieczkę, ale ją umożliwi, a ponadto pomoże umknąć Belizariuszowi.
- Zgadzam się! – oznajmił Menander. – Cokolwiek by to było – dodał ze wzruszeniem ramion.

Szakuntala wyjawiała im swój plan. Kiedy skończyła, w pokoju wybuchły protesty, wykrzykiwane przez wszystkich z wyjątkiem Menandra.

- Ja się zgadzam – powtarzał młodzieniec uparcie raz za razem.
- Głupia dziewczyna oszalała – mamrotał Ousanas. – Powtórzę to jeszcze raz: królewskie dzieci są głupie z natury.

Szakuntala ucięła wszelkie protesty jednym krótkim zdaniem.

- Rozkazuję wam. – Ciągłe protesty.
- Rozkazuję wam. – Niezadowolone krzyki.
- Rozkazuję wam.

Przy wyjściu Kaniszka pozwolił sobie na kilka gorzkich słów do swojego dowódcy.

- Jak niby mamy być królewskimi strażnikami, kiedy sama cholerna imperatorowa...

Kungas spojrział na niego. Jak zwykle na jego twarzy nie malowało się żadne uczucie. Ale w jego słowach można się było doszukać śladu humoru.

- Zawsze możesz stąd odejść i wrócić na służbę do Venandakatry. On nigdy nie podejmuje osobistego ryzyka.

Kaniszka zamknął usta.

\* \* \*

Kiedy on i Nanda Lal wyszli z pałacu tego wieczoru, Belizariusz odkrył, że czeka na nich lektyka, którą przysłano z barki Czcigodnej Pani Holi. Palankin był ozdobiony czerwonymi i złotymi barwami dynastii. Już same te ozdoby gwarantowały szybki i niezakłócony przejazd przez miasto, bez względu na to, gdzie by go zaniecono. Ale nie były one potrzebne. Czterdziestu konnych Ye-tai, jadących przed palankinem, radośnie stratowałyby każdego, kto nie dość szybko uskoczyłby z drogi. A sama lektyka, dźwigana przez nie mniej niż dwunastu niewolników, wyglądała na tyle solidnie, że mogłaby przetrwać zderzenie ze słońcem.

- Ale orszak – wymamrotał. – Czy ona naprawdę się upiera przy takiej ilości strażników? Nanda Lal pokiwał głową.
- Jeżeli o to chodzi, czcigodna pani obawia się bardzo jakichkolwiek uzbrojonych obcych, kręcących się w pobliżu jej barki. Utrzymuje na wet swój własny oddział. Nie ufa królewskiej straży przybocznej. – Szpieg pokazał na ubranych w czerwono-złote stroje Ye-tai. – Tylko czterech mężczyzn z całego oddziału zostanie z nami, kiedy przybędziemy na miejsce.

Podróż do barki była raczej krótka. Port, w którym najbogatsi malawiańscy szlachcice trzymali swoje statki, leżał niecały kilometr od pałacu. Kiedy wysiadali z palankinu, Belizariusz złapał się na tym, że wybałusza oczy na barkę Czcigodnej Pani Holi.

Tak jak mówił Nanda Lal, statek był naprawdę wspaniały. Podstawowy kształt i rozmiar nie różnił się wcale od typowych luksusowych barek, posiadanych przez malawiańską szlachtę. Łódź miała długość około trzydziestu metrów i szerokość dziesięciu, okrągły kształt i płaskie dno. Dziwne wydało się Rzymianinowi to, że barka miała jakby dwie rufy, wyglądające jakby dwa statki połączyły się ze sobą. Na końcu każdej rufy przytwierdzono figurę w kształcie ogromnej zwierzęcej głowy. Na łodzi pani Holi przedstawiono lwy.

Barka była przepięknie wykończona. Wszędzie zastosowano kolory dynastii, czerwony i złoty. Wielkie lwie głowy pokryto płatkami złota. Dulki także wyłożono złoceniami. Krawędzie relingu wyłożono rubinami, osadzonymi w drogocennym kruszcu. I tak dalej, i tak dalej. Zdziwiające, że łódź nie zatonała, przytłoczona taką masą ozdób.

Belizariusz przeszedł za Nandą Lałem po trapie, łączącym barkę z nabrzeżem. Trap przechodził płynnie w przykrytą tkaniną ścieżkę, otaczającą główne kabiny. Kiedy już byli na pokładzie, Nanda Lal wszedł do środka przez drzwi, umiejscowione dokładnie naprzeciwko trapu. Chwilę później, Belizariusz znalazł siew wyłożonym pluszem wewnątrz barki.

Do jego mózgu wdarła się myśl Doradcy, niczym huk błyskawicy.

**Niebezpieczeństwo.**

Belizariusz prawie się potknął.

*Dlaczego?*

**Ogniwo tu jest. Czuję go.**

Fasety zadrżały ze strachu. Ale generał tylko się uśmiechnął.

*W końcu. Mój główny przeciwnik.*

## **Rozdział 12**

Stojący w zaułku alei Kungas nagłoco machnął ręką. Kuszańscy żołnierze, skradający się za nim, natychmiast się zatrzymali. Kungas podkraść się do rogu i ostrożnie wyjrzał na główną ulicę.

Nie obawiał się, że zostanie zauważony. W nocy ulice Kausambi oświetlano lampami, ale Malawianie ustawiali je dosyć rzadko. Mimo ogromnego bogactwa dynastii, skarbiec miał dno, a wielkie potrzeby przemysłu zbrojeniowego wpływały na znaczne zubożenie kraju. Elity nie obawiały się potykania w ciemnościach. Malawiańscy szlachcice wszędzie podróżowali w lektykach, niesionych przez niewolników. A jeżeli jakiś niewolnik się potknął i naraził swego pana na dyskomfort, cóż to miało za znaczenie. Na miejsce wbitych na pal, szlachcic kupował nowych niewolników. W odróżnieniu od ulicznych latarni, niewolnicy byli tani.

Kungas odwrócił się, zadowolony. Kuszenie podeszli do niego i zebrali się wokół, żeby móc słyszeć jego szept.

- Dwoje drzwi. Główne wejście, prawie naprzeciwko wylotu uliczki jest strzeżone przez trzech Mahwedów. Piętnaście metrów dalej są drugie drzwi. Dwóch Ye-tai.
- To na pewno stróżówka – wyszeptał jeden z Kuszanów. – A w środku cały oddział Ye-tai.

Kungas kiwnął głową.

- Przeprowadź imperatorową.

Inny żołnierz popędził alejką z powrotem. Chwilę później wrócił z Szakuntalą, za którą podążała grupka Marathanek.

Obserwując ich przybycie, Kungas z trudem powstrzymywał uśmiech, a nie było to łatwe. Niektórym z jego żołnierzy to się nie udało. Dwaj otwarcie szczerzyli zęby. Na szczęście, mieli chociaż odrobinę zdrowego rozsądku i odwrócili głowy.

Nigdy w całej historii Indii, pomyślał Kungas, żadna imperatorową nie wyglądała w ten sposób. Z księżniczki znikły wszystkie ozdoby, znamionujące królewską władzę, tak jakby ich nigdy nie było. Szakuntala i jej dworki były ubrane w tradycyjne suknie prostytutek z północnych Indii. Ich sari nie należały do niezwykłych, ale jasnopomarańczowe szarfy, zawiązane na ich nadgarstkach, nigdy nie były częścią stroju kobiet o właściwej reputacji. I, podczas gdy porządne biedne kobiety chodziły boso, prostytutki zakładały te wielkie, jaskrawe bransolety na kostki u nóg.

Szarfy i bransolety dostarczyła Aszilibai. Okazało się, że Marathanka miała je ukryte w swoim bagażu. Miała nadzieję, że już nigdy nie będzie musiała ich używać, ale kto wie, co niesie ze sobą przyszłość? Ona i pozostałe kobiety pokazały Szakuntali, jak się nosi te ozdoby.

Kungas szybko naszkicował imperatorowej plan sytuacyjny. Szakuntala zgodziła się kiwnięciem głowy.

- Więc czekamy na sygnał. O ile nadejdzie. Rozejrzała się dookoła, marszcząc brwi.
- Ale co zrobimy, jak ktoś nas spostrzeże? Możemy tutaj tkwić przez dłuższy czas. Ciągłe nie jesteśmy pewni, czy ta ucieczka rzeczywiście będzie konieczna.

Kungas uśmiechnął się. Bardzo lekko.

- To żaden problem, Wasza Wysokość. W ciemnościach będzie to wyglądało, jakby oddziałek żołnierzy zabawiał się w zaułku. Nikt nawet sobie nie pomyśli, żeby się zainteresować, nawet Ye-tai. Żołnierze mogą się zdenerwować, kiedy ktoś przeszkadza im w igraszkach z damami.

Szakuntala skrzywiła się.

- Zaczyna mnie męczyć to przebranie – wymamrotała. Ale po prawdzie w jej uwadze nie było złości. Patrząc na nią, Kungas pomyślał, że imperatorowa prawie ma nadzieję na realizację planu ucieczki. Miała w sobie dużo energii, jak wyścigowy koń, i desperacka ucieczka przyniosłaby jej ulgę po niekończących się tygodniach beczynności.

Odwróciła się, żeby częściowo mieć na oku skrzyżowanie z aleją. Jednakże głównym powodem odwrócenia twarzy była mina Kungasa – nawet on nie mógł się powstrzymać od szerokiego uśmiechu.

Bycie strażnikiem tej imperatorowej, pomyślał, może być całkiem interesujące. To jakby ochraniać monsun.

\* \* \*

W innej alejce, niecały kilometr na pomocny zachód, Ousanas także z trudem powstrzymywał uśmiech. Ye-tai, pilnujący Czcigodnej Pani Holi, jak zwykle nie przykładali się zbytnio do swoich obowiązków.

Wszyscy czterej byli zajęci hazardową grą, rzucając kościane kwadraciki po wyłożonym drewnem nabrzeżu. Same kości nie czyniły zbyt wiele hałasu, poza cichym klekotem, ale pochrząkiwania i syki Ye-tai były słyszalne z kilkunastu metrów.

Ousanas przyjrzał się barce. Przy wejściu na trap, prowadzący na barcę, stało na straży dwóch Malawian. Strażnicy ci, w odróżnieniu od Ye-tai na nabrzeżu, byli ubrani w lekkie zbroje i uzbrojeni tylko w krótkie miecze. Ale granaty, zawieszane u ich pasków wskazywały na ich przynależność do kasty kszatryjasów.

Kszatryjasi stali przewieszeni przez reling barki, patrząc potępiająco na Ye-tai. Ousanas stłumił śmiech. Podobnie jak wszyscy, którzy trzymają dzikie zwierzęta jako domowe maskotki, Malawianie często złościli się na Ye-tai. Ale, mimo wyraźnej nieprzyjemności, jaką sprawiało im zachowanie Ye-tai, kszatryjasi nie próbowali zabronić im gry w kości. Podobnie jak człowiek, który nie zabiera swojej oswojonej hienie kości do obgryzania.

Ousanas schował się głębiej w zaułku, wchodząc w cień panujący pod nisko zwieszającymi się gałęziami drzewa. Nie obawiał się, że zostanie zauważony. Malawiańska dynastia nie zadawała sobie trudu, żeby oczyścić ulice z zarastających je żywopłotów. Szkoda im było pieniędzy. Zresztą po co mieliby to robić? Przecież nie podróżowali tymi ulicami pieszo.

Podniósł jeden z oszczepów, ważąc go w dłoni. Przyniósł ze sobą dwie sztuki tej broni, obok swojej wielkiej włóczni. Wszystkie trzy ostrza zostały poczernione sadzą.

Znowu Ousanas podniósł oszczep. Tak, odległość była odpowiednia. Gdyby okazało się to konieczne, użyłby oszczepów, żeby zabić tych dwóch Malawian na barce. A włócznię oszczędzał dla Ye-tai.

Nawet nie pomyślał o dwóch granatach, które dostał od Menandra. Dla Ousanasa przedmioty te służyły tylko po to, żeby dać sygnał. Użycie ich było jednoznaczne z zachowaniem koniecznego dystansu, a on nie mógł sobie odmówić bezpośredniego potraktowania Ye-tai.

Gdzie indziej, półtora kilometra na południe, Menander żałował, że oddał ukradzione granaty. Kiedy patrzył na setki malawiańskich szeregowców, kręcących się wokół ognisk, gdzie przygotowywali sobie wieczorny posiłek, młody katafrakt pomyślał sobie, że kilka dobrze rzuconych granatów uczyniłoby cuda.

Ale nie narzekał. Granaty były jedynymi przedmiotami w ich posiadaniu, za pomocą których można było przekazać sygnał, jeśli okazałoby się to konieczne. Sam Menander wpadł na ten pomysł. I, poza tym, młody katafrakt nie miał ochoty na wysłuchiwanie kolejnego wykładu Walentyniana na temat zalet gołej stali.

Menander obrócił głowę i spojrzał w lewo. Walentynian kulił się za pniem drzewa nie dalej niż metr od niego. Weteran napotkał jego spojrzenie, ale się nie odezwał. Menander popatrzył na prawo. Nie mógł dojrzeć Anastazjusza, ale wiedział, że katafrakt tam jest, ukryty zaledwie kilka kroków dalej w linii drzew, które otaczały obóz Malawian. Ezanai Wahsi czaili się gdzieś zanim, jeszcze dalej. Książę Eon powinien być w ich pobliżu.

Garmat także krył się pośród drzew, ale znajdował się znacznie dalej z tyłu. Mimo jego protestów, starszy mężczyzna został przydzielony do pilnowania koni – on i Kadfizes, kuszański żołnierz, który miał być ich przewodnikiem, jeżeli będą musieli uciekać. W końcu ktoś musiał to robić. Koni było dwadzieścia, a każdy z nich miał gwałtowny temperament i napięte nerwy. Garmat był najlepszym jeźdźcem pośród nich i znał się na koniach, jak podkreślał Ezana, więc zadanie pilnowania wierzchowców powinno w naturalny sposób przypaść jemu. Oczywiście nikt nawet nie wspominał o wieku doradcy, ale płonące spojrzenie Garmata wskazywało, że on zdaje sobie sprawę, o czyni wszyscy myślą naprawdę.

Menander nawet nie próbował znaleźć Kudzulo i trzech innych Kuszanów, którzy z nim byli. Do tej pory z pewnością wyszukali już sobie kryjówkę pośród drzew. Ale oni mieli się schować w zaroślach po drugiej stronie obozowiska wroga.

Menander ponuro przyglądał się malawiańskim żołnierzom, stłoczonym wokół ognisk. Z grubsza obliczył, że jest ich osiem setek. Co prawda, osiem setek kiepskich żołnierzy, ale ciągle pozostawali ich wrogami i ciągle było ich osiem setek.

Matko Boska. Mam nadzieję, że to nie będzie trudniejsze od manewrów. Najwyżej bezsenna noc, spędzona w lesie. Fałszywy alarm. A jutro Belizariusz wróci. Bez problemu. Wszyscy będą się głośno śmiać z tej paniki i zszarpanych nerwów. A niebawem opuścimy Indie z łatwością i w komfortowych warunkach. Wrócimy do Rzymu bez rozlewu krwi.

Walentynian, obserwując twarz Menandra w chwiejnym świetle obozowych ognisk, dostrzegł grę uczuć na obliczu młodego katafrakta. Doświadczony żołnierz uśmiechnął się szeroko.

Witaj w klubie, chłopcze. Poznasz teraz pierwsze prawo weteranów. Pieprzyć ekscytujące przygody.

\* \* \*

Ponad kilometr na wschód, ku wielkiej uldze piętnastoosobowej grupki Kuszanów, Dadadzi Holkar w końcu oznajmił, że jest zadowolony z palankinu.

- Najwyższa pora – powiedział zrzędliwie Kaniszka.

Holkar zmierzył go spojrzeniem. Spojrzeniem, które odniosło pożądany skutek. Tak mógłby patrzeć malawiański szlachcic, na którego zresztą Holkar wyglądał w swoim nowym stroju. Stanowił esencję arystokraty. Nie *anvaya-prapta sachivya*, z pewnością nie – żaden z członków tej ekskluzywnej dynastycznej kasty nie doglądałby osobiście kulbaczenia słoni. Ale w Imperium Malawy roiło się od pomniejszych szlachetków, a już szczególnie w Kausambi. Miasto stołeczne aż pękało od urzędników, arystokratów, biurokratów i kupców wszelkiego rodzaju i proveniencji.

Holkar odwrócił się i podszedł do właściciela stajni. Człowiek, obrzucony władcym spojrzeniem, pochylił się cały w unizonej pozie. Jego trzech synowie, stojący tuż za nim, powtórzyli gest ojca.

Patrząc, jak się kłaniają, Holkar poczuł niesamowitą ulgę. Obawiał się, że będzie musiał ich zabić. A gdyby został zmuszony do wydania Kuszanom rozkazu zabicia właściciela stajni, nie miałby wyboru i musiałby także zlikwidować pozostałych członków rodziny. Żonę, córkę, dwie synowe i trzech służących.

Gdyby było to konieczne, Holkar zrobiłby to. Ale ten uczynek zabiłby jego duszę. Właściciel stajni nie był ich wrogiem. Po prostu był człowiekiem, utrzymującym swoją rodzinę z pieniędzy, zarobionych na opiece nad końmi i słoniami tych, którzy byli bogatsi od niego.

Ale na szczęście nie było takiej potrzeby. Najwyraźniej przebranie działało doskonale. Co prawda, dziwne było to, że tak bogaty szlachcic wyjeżdża w nocy, a nie w pełnym świetle dnia. Ale Holkar w satysfakcjonujący sposób wyjaśnił przyczynę. Złe wieści. Ojciec jego żony leżał na łożu śmierci.

- Głupia kobieta – zrzędził. – Nalega, żebyśmy wyruszyli natychmiast, w samym środku nocy!  
A potem sama przygotowuje się do pod róży godzinami!

Właściciel stajni poczuł się przez chwilę solidarny ze szlachcicem.

- A co możesz zrobić, panie? Kobiety są niemożliwe!

Holkar natychmiast spiorunował mężczyznę wzrokiem. Ale, odczytawszy prawidłowo zamiary

właściciela, rozluźnił się. Już wystarczająco nastraszył tego człowieka i odrobina serdeczności tylko pomogłaby mu zachować pozory szlachcica.

- Jestem bardzo z ciebie zadowolony, właścicielu stajni – oznajmił pompatycznie. – Dbałeś dobrze o słońce, a palankiny twojej konstrukcji w pełni mnie zadowolają.

Właściciel stajni skłonił się i wylewnie podziękował, ale Holkar z zainteresowaniem zauważył, że oczy tego człowieka ani na chwilę nie opuszczają ręki Holkara. A kiedy właściciel zobaczył, że ta ręka zanurza się w wielkiej sakiewce, wiszącej u pasa Holkara, jego oczy zabłysły jasnym blaskiem.

- Tak jak obiecałem, za dobrą pracę dostaniesz nagrodę.

Holkar, obserwując twarz mężczyzny, kiedy położył na wyciągniętej dłoni właściciela małą kupkę monet, upewnił się, że ten dobrze odczytał ów nieoczekiwany dodatek do zapłaty. Ale żeby nie mieć żadnych wątpliwości, Holkar postanowił trochę zmięknąć.

- Tak, jestem bardzo zadowolony. Czy mogę mieć jeszcze jedną prośbę? Moja żona się spóźnia, więc czy mógłbyś dać coś do jedzenia moim ludziom? Po mojej ostatniej wizycie wspominałem im, jak doskonałą kucharką jest twoja żona.

Znow zanurzył rękę w sakiewce.

- Oczywiście ci zapłacę.

W przeciągu kilku sekund, całe gospodarstwo domowe właściciela zawrzało pracą.

Obserwując, jak doskonale wszystko toczy się według planu, skryba Dadadzi Holkar uśmiechnął się. Wojownicy, jak wiedział, często pesymistycznie podchodzili do zaplanowanych wydarzeń. Coś zawsze mogło pójść nie tak. Holkar nie narzekał na te czarne myśli. On sam, w młodości, też był żołnierzem. Ale już dawno temu doszedł do wniosku, że wojownicy to po prostu straszne ponuraki.

Jeden żołnierz, w tym właśnie momencie, wcale nie był ponury.

Przyjechał do Indii z wielu powodów i z zamiarem zrealizowania kilku celów. Większość z nich udało mu się już osiągnąć. Wykorzystał tę podróż, żeby zawiązać przymierze z Etiopczykami. Uwolnił imperatorową Andhry, a tym samym dał początek nowemu przymierzemu z nią i Raghunath Rao. Nawet, ku swemu wielkiemu zadowoleniu, wykorzystał malawiańskie łapówki do sfinansowania powstania Dekanu. Udało mu się dowiedzieć wielu rzeczy na temat palnej broni Malawian. Wiedza ta, w połączeniu z pomocą Doradcy, w przyszłości pozwoli na stworzenie nowej rzymskiej armii, która pokona machinę wojenną Malawy.

Jednakże Belizariusz przybył do Indii głównie po to, żeby poznać swojego przeciwnika. Był generałem i uważał, że jedynie dobry wywiad pozwala odnieść sukces w tym zawodzie. Na tym polu także wiele się dowiedział. Widział armię Malawian w akcji, podobnie jak ich kuszańskich i radżpuckich sprzymierzeńców oraz Ye-tai. Mógł przyjrzeć się z bliska zasadom funkcjonowania malawiańskiego społeczeństwa. Udało mu się nawet, do pewnego stopnia, poznać samego imperatora i jego głównych wojskowych i cywilnych doradców.

Ale nie udało mu się dotąd spotkać jego prawdziwego wroga. Ogniwa. Tej istoty, stworzenia, przedmiotu, który w jakiś sposób leżał u podstaw nowo narodzonego zła, wiszącego niczym miecz nad głowami Rzymian i, jak mu powiedziano, całej ludzkości. Ogniwo.

Nie był jeszcze do końca pewny. Ale, idąc za Nandą Lalem przez pluszowe wnętrza barki, pomyślał, że jest już blisko rozwiązania ostatniego zadania.

A przynajmniej Doradca tak myślał.

**Tak. Ogniu jest tutaj. Jestem tego pewien.**

Belizariusz przypomniał sobie kilka wiadomości, jakie Doradca podał mu kiedyś na temat tych dziwnych maszyn, nazywanych komputerami. Były to ogromne rzeczy, niektóre zajmowały szeregi stalowych szaf. Inne znów nie były większe od małej skrzynki. Zrobione z metalu i szkła, świeciły jakby magicznie.

**Nie takie. Nowi bogowie posunęli cybernetykę daleko poza te prymitywne urządzenia.**

Słowo cybernetyka nic nie znaczyło dla Belizariusza. Inne, które padły w ślad za nim, także. Nanotechnologia. Mikrominiaturyzacja. Cybernetyczne organizmy.

Zbliżali się do końca długiego korytarza, który biegł wzdłuż jednej z burt łodzi. Przed sobą Belizariusz zobaczył, jak Nanda Lal przekracza wysoki próg i wchodzi do pomieszczenia, które okazało się dużym salonem.

- Już prawie doszliśmy – powiedział w myślach do Doradcy.

Wyczuł podniecenie w ruchu płaszczyzn. Doradca szorstko udzielał mu kolejnych informacji.

**Ogniu będzie cyborgiem. Cybernetycznym organizmem. Będzie wyglądał jak człowiek, ale nim nie będzie. W jego oczach nie zobaczysz duszy.**

Płaszczyzny zadygotały w zimnym tańcu. Uczucie krystalicznej istoty było bliskie strachowi.

**Jeżeli będę obecny w twoim umyśle, on mnie dostrzeże. W chaosie pawilonu, kiedy rozkazałem ci spojrzeć w oczy imperatora, byłem pewien, że jakoś się ukryję. Tutaj nie dam rady. Fasety się ukryją, ale Doradca nie będzie w stanie.**

Belizariusz znalazł się u progu salonu. Zatrzymał się, jakby oceniając wysokość progu i długość kroku, jaki należało wykonać, aby przekroczyć tę małą barierę.

*Więc zniknij. Aż będziesz się mógł bezpiecznie ukazać. Ty jesteś naszą największą nadzieją. Musimy ukryć cię przed naszym wrogiem. Nie może się o tobie dowiedzieć.*

**Jeżeli Doradca zniknie, płaszczyzny nie będą w stanie ci pomóc. Ta chwila jest dla ciebie bardzo niebezpieczna.**

Belizariusz przeszedł przez próg.

*Nazywam się Belizariusz. Jestem twoim generałem. Rób, jak ci rozkazałem.*

Nawet jeżeli w głosie Doradcy tliła się choć iskra niepewności, żaden człowiek nie mógłby jej odkryć.

**Jak rozkażesz, Wielki.**

\* \* \*

Salon, do którego wszedł Belizariusz, był na swój sposób równie bajkowy, jak pawilon imperatora Skandagupy, który wzniesiono z jego rozkazu na polu bitwy. Tak niewyobrażalny przepych na pokładzie barki graniczył ze śmiesznością.

Pokój był duży, szczególnie wedle standardów łodzi, ale nie można o nim powiedzieć ogromny. Miał może dziesięć metrów szerokości. Belizariusz szybko porównał szerokość barki z wielkością salonu i zdał sobie sprawę, że jego ściany były w rzeczywistości burtami. Deski kadłuba od wewnątrz przykryto prawie całkowicie, od podłogi do sufitu, przepięknymi jedwabnymi gobelinami. Większość przedstawiała sceny, które najwyraźniej pochodziły z mitologii. Bazując na niezliczonych opowieściach, które usłyszał od Dadadzi Holkara, generał domyślił się, że jeden z gobelinów

przedstawia Ardżunę, jadącego ramię w ramię z Kriszną podczas bitwy pod Kurukszetą. Nie był tego pewny, ale nie zamierzał tracić czasu na dokładną analizę gobelinów.

Był znacznie bardziej zainteresowany fragmentami ścian, których nie przykrywały barwne materie. Salon miał niewiele więcej ponad dziesięć metrów długości. W trzech miejscach na długości ściany, w odległości mniej więcej trzech metrów od siebie, znajdowały się bambusowe stelaże z rozpiętymi na nich jedwabnymi muślinami. Jedwab był ufarbowany na malawiańskie kolory, złoto i czerwień, ale nie ozdobiono go w żaden inny sposób. Belizariusz nie mógł zobaczyć przez te jedwabne zasłony, ale z ich lekkiego drżenia domyślił się, że zasłaniają okna, przepuszczając do salonu odpowiednią ilość powietrza.

Po krótkiej chwili przypatrywania się oknom, Belizariusz popatrzył przed siebie. Przed nim, w drugim końcu salonu na podwyższeniu siedziały dwie kobiety. Podest wystawał może na trzydzieści centymetrów ponad gęsto pokrytą dywanami podłogę. Kobiety siedziały na krzesłach, których raczej nie można było nazwać tronami. Niebyły wystarczająco duże. Ale, gdy zapomnieć o wielkości, stanowiły meble, które każdy imperator z radością nazwałby swoimi. Krzesła były bowiem zrobione z przepięknie rzeźbionej kości słoniowej i przykryto je minimalną niezbędną ilością poduszek. Ani złoto, ani klejnoty ich nie ozdabiały. Takie prostackie ozdoby tylko by przyćmiły ich piękno i zasłoniły precudne rzeźby, które pokrywały każdy centymetr kwadratowy ich powierzchni.

Obie kobiety były ubrane w bogate sari i miały twarze zakryte welonami. Z daleka Belizariusz nie był w stanie dostrzec żadnych szczegółów, ale sądząc po delikatnych różnicach w ich postawach, generał pomyślał, że kobieta, siedząca po prawej stronie, jest znacznie starsza od drugiej.

Dokładnie przed podium, klęczało w szeregu sześciu mężczyzn. Belizariusz podejrzewał, że są eunuchami, sądząc po zwyczajach, obowiązujących wśród wysoko urodzonych Malawianek. Mężczyźni byli ubrani w workowate spodnie, ciasno zawiązane w kostkach. Mieli bose stopy i klatki piersiowe.

Belizariusz nigdy jeszcze nie widział mężczyzn, należących do takiej rasy. Z pewnością byli synami orientu, ale nie przypominali żadnych Azjatów, znanych generałowi. Mieli lekko żółtawą skórę, zupełnie niepodobną do ciemnej karnacji Hindusów. Podczas gdy Belizariusz często widział taki odcień skóry u stepowych nomadów – Ye-tai i szczególnie Kuszanów – ci mężczyźni nie mieli wąskich twarzy i ostrych rysów, charakterystycznych dla ludzi ze stepów. Podobnie jak Kusza-nie, ale nie Ye-tai, których często nazywano Białymi Hunami, mężczyźni mieli lekko opadające powieki. Jednak ich wydatne łuki brwiowe były znacznie bardziej zaznaczone. W ich rysach generał widział miękkość i ani śladu stepowej twardości, a ich twarze były tak okrągłe, jak księżyc w pełni.

Jednakże najbardziej uderzający w wyglądzie był ich wzrost. Wszyscy byli ogromni. Belizariusz ocenił ich wzrost na bliski dwóm metrom, a nawet więcej, a żaden z nich nie ważył mniej niż sto pięćdziesiąt kilogramów. Ale faktem jest, że byli grubasami. Brzuchy wszystkich sześciu mężczyzn wprost wylewały się z ich szarawarów. Generał zauważył także, jak potężne były ich ramiona i wielgachne, silne łapy. Pod warstwą tłuszczu kryły się mięśnie, grube i kręte jak węże boa.

Oczywiście Belizariusz nie przegapił też wielkich, nagich tulwarów[9], które spoczywały na kolanach każdego mężczyzny. Te tulwary były największymi mieczami, jakie Belizariusz widział w całym swoim życiu. Tylko ci giganci byli w stanie zrobić z nich użytek.

Nanda Lal, stojący kilka metrów przed nim, skłonił się głęboko przed kobietami. Potem odwrócił się do Belizariusza i skrzywił się przepaszająco.

- Obawiam się, że musimy cię przeszukać na obecność broni, generale – wyszeptał. – Czcigodna Pani Holi jest bardzo wyczulona w kwestii swego osobistego bezpieczeństwa.



Belizariusz zesztyniał. Żądanie Nandy Lala było ekstremalnym pogwałceniem zasad dobrego wychowania. Szpieg doskonale wiedział, że Belizariusz nie miał żadnej broni – od wielu dni poruszał się bez niej. Nie nosił broni w obecności przedstawicieli malawiańskiej dynastii. Zostawił miecz w swojej rezydencji tego ranka, podobnie jak to czynił każdego dnia, wybierając się do Wielkiego Pałacu. Gest ten przychodził mu w sposób całkiem naturalny. Jego własny imperator, Justynian, dostałby apopleksji, gdyby ktokolwiek poza jego osobistą strażą nosił broń w obecności władcy.

Ale generał nie zamierzał się spierać. Jeżeli, jak podejrzewał Doradca, na barce znajdowało się Ogniwo, paranoja Malawian była w pełni uzasadniona.

- Oczywiście – powiedział. Rozłożył ramiona, pozwalając Nandzie Lalowi się przeszukać. Potem, słysząc za sobą dyskretne kasznięcie, odwrócił się.

Za nim stało czterech mężczyzn. Belizariusz nie słyszał, kiedy podeszli. Mimo grubego dywanu na podłodze, był pod wrażeniem. Szybko zmierzył ich wzrokiem. Mężczyźni z pewnością należeli do tego samego plemienia, co wielcy eunuchowie, ale, w odróżnieniu od nich, mieli przeciętny wzrost. I żaden z nich nie miał przy sobie ogromnego tulwara. Nie nosili żadnej broni, poza, jak zauważył Belizariusz, nożem zawieszonym u pasa.

Ich wzrost jednak nie zwiódł generała. Belizariusz pomyślał, że są prawdopodobnie dwa razy tak niebezpieczni, jak wielcy eunuchowie. I był pewien, sądząc po cichości, z jaką się poruszali i ich wyprostowanych sylwetkach, że wszyscy czterej są doświadczonymi zabójcami.

Ciągle z wyciągniętymi dłońmi, pozwolił się przeszukać jednemu z tych mężczyzn. Zabójca przeszukał go szybko i sprawnie. Kiedy skończył, odstał kilka kroków do tyłu i powiedział kilka słów w języku, którego Belizariusz nie znał.

Nanda Lal zmarszczył brwi.

- Mówi, że masz przy sobie mały nóż. W tej sakiewce przy pasku. Zaskoczony, Belizariusz popatrzył na sakiewkę, która stanowiła przedmiot sporu. Wyciągnął rękę, żeby po nią sięgnąć i zamarł, wyczuwając, jak otaczający go czterej zabójcy sztywnieją. Belizariusz obrócił głowę do Nandy Lala.
- Nawet o tym nie pomyślałem, Nando Lalu. To nie jest broń. To po prostu mały nożyk, którego używam do ostrzenia piór. Wyobrażam sobie – dodał z ironicznym uśmiechem – że mógłbym tym zabić kurczaka w desperackiej walce. – Wzruszył ramionami. – Ale oczywiście możecie wziąć tę rzecz, jeżeli przyprawia was o ból głowy.

Nanda Lal patrzył się na niego przez chwilę, potem nie odrywając wzroku od generała, zadał zabójcom pytanie w ich języku.

Mężczyzna odpowiedział mu kilkoma zdaniami. Nanda Lal się uśmiechnął.

- Nieważne, generale. Szef ochrony Czcigodnej Pani Holi potwierdził twój opis tego niebezpiecznego przedmiotu.

Teraz uosobienie kordialności, Nanda Lal, wziął Belizariusza pod ramię i zaczął go prowadzić w kierunku kobiet, siedzących w odległym końcu salonu. Nanda Lal zbliżył usta do ucha generała.

- Strażnik powiedział mi, że kurczak by wygrał – wyszeptał.

Belizariusz uśmiechnął się krzywo.

- Nie docenia mnie. Ale jestem zupełnie pewny, że nosiłbym blizny po tej walce aż po grób.

Trzy metry przed linią klęczących eunuchów Nanda Lal zatrzymał się, dając Belizariuszowi znak, żeby zrobił to samo. Dostojnik pokłonił się głęboko, co Belizariusz natychmiast po nim powtórzył, ale nie ukląkł. W małych drzwiach w rogu pokoju, za siedzącymi kobietami, pojawiło się dwóch służących. Słudzy nieśli poduszki, które ułożyli na podłodze tuż przed stojącymi Belizariuszem i Nandą Lałem, po czym odsunęli się. Jednakże nie wyszli, tylko stanęli tuż za gośćmi. Belizariusz, kiedy już usadowił się na poduszce, szybko, ale dokładnie zmierzył każdego wzrokiem.

Służący, tak mi się wydaje. Nic więcej.

Kobięcy głos przyciągnął jego uwagę. Ton głosu wskazywał na młodą osobę, i, tak jak się spodziewał, nadszedł od kobiety, siedzącej po lewej.

- Jesteśmy bardzo zadowolone, że wreszcie możemy cię spotkać, generale Belizariuszu. Tak wiele o tobie słyszałyśmy.

Belizariusz nie mógł zobaczyć twarzy rozmówczyni, gdyż była ona skryta za welonem. Ale nie umknęła mu błyskotliwa inteligencja, przebijająca z tego głosu, czająca się pod frazesami. Ani fakt, że kobieta przemawiała najpłynniejszą greką. Bez śladu akcentu.

Skłonił głowę w odpowiedzi, ale się nie odzywał.

Młoda kobieta mówiła dalej.

- Ja nazywam się Sati. Mam zaszczyt być jedną z córek imperatora Skandagupty. To jest – wskazała gestem kobietę, siedzącą obok niej – Czcigodna Pani Holi. Ciotka imperatora, jak zapewne już ci powiedziano.

Czcigodna Pani Holi skinęła głową bardzo szybkim gestem. Poza tym jej sylwetka ciągle przypominała posąg. Także jej twarz całkowicie skrywał welon.

Belizariusz znów skinął głową.

- Moja ciotka chciała cię poznać, gdyż słyszała, że zamierzasz związać swój los z przeznaczeniem Malawy. Słyszała także, że wymyśliłeś genialny plan, który przysłuży się naszej wielkiej sprawie.

Belizariusz zdecydował, że ta uwaga wymaga odpowiedzi.

- Dziękuję tobie i jej za miłe słowa. Nie posuwałbym się tak daleko, nazywając mój skromny plan genialnym. Myślę, że jest on raczej sprytny. Rzymski imperator Justynian już od dawna planuje odzyskać ziemie na zachodnich wybrzeżach Morza Śródziemnego. Po prostu będę go do tego zachęcał. A tym samym nie ściągnę na siebie żadnych podejrzeń i będę w stanie odciągnąć całą rzymską armię od Persji, żebyście mogli bez przeszkód podbić ten kraj.

Przerwał, mając nadzieję, że to wystarczy. Ale pani Sali naciskała go dalej.

- A czy nie uważasz, że zjednoczenie Imperium Rzymskiego może być w przyszłości

zagrożeniem dla Malawy?

Belizariusz z mocą potrząsnął przecząco głową.

- Nie, pani Sati. Projekt Justyniana jest z gruntu głupi.
- Chcesz powiedzieć, że wschodnie Imperium Rzymskie nie ma szansy na podbicie zachodu?

Belizariusz wyczuł, że w tym pytaniu czai się niebezpieczeństwo, chociaż nie potrafił powiedzieć, dlaczego i gdzie. Po chwili wahania zdecydował, że prawdziwa odpowiedź jest najlepszym wyjściem.

- Tego nie powiedziałem. Moim zdaniem, taki podbój mógłby być możliwy. W rzeczywistości... – zrobił kolejną przerwę, ale ta była za mierzona – jeżeli pozwolisz mi na pewną nieskromność, jestem przekonany, że to da się zrobić. O ile Justynian powierzy mi dowództwo nad tym przedsięwzięciem. Ale zwycięstwo i tak byłoby bezowocne.
- Dlaczego?

Wzruszył ramionami.

- Możemy podbić zachód z powrotem, ale nie będzie to łatwe. I w końcu Justynian zapanuje nad zniszczonym wojną zachodnim imperium, którym będzie zarządzał ze zrujnowanego wschodu. Rzym stanie się znacznie większy... i dużo słabszy.
- Ach – powiedziała pani Sati i to była jej cała odpowiedź, chociaż Belizariusz natychmiast się zorientował, że przeszedł jakiegoś rodzaju test.

Ta wiedza przyniosła mu odrobinę odprężenia i rozluźnił mocno napięte mięśnie karku. Ale, chwilę później, napięcie powróciło ze zdwojoną siłą.

Po raz pierwszy przemówiła pani Holi.

- Podejdź bliżej, młody człowieku. Moje oczy są stare i słabe. Chciałabym dokładniej zobaczyć twoją twarz.

Jej greka także była doskonała i bez obcego akcentu. Belizariusz nie wahał się, a przynajmniej nie dłużej, niżby wymagała uprzejmość, wedle której powinien zachować odpowiedni dystans od królewskiej osoby. Powstał z poduszki, na której siedział ze skrzyżowanymi nogami, i postąpił dwa kroki naprzód. Tuż przed linią eunuchów, ukląkł na jedno kolano, zniżając wzrok do poziomu starej kobiety, siedzącej nie więcej niż półtora metra przed nim.

Czcigodna Pani Holi pochyliła się do przodu. Ręka, żyłasta ze starości, uniosła lekko welon. Czarne oczy patrzyły prosto w brązowe oczy Belizariusza.

Puste oczy. Ciemne, nie z powodu koloru, ale dlatego, że za nimi nie było nic.

- Czy to prawda, że planujesz zdradzić Rzym?

W tych słowach było coś dziwnego. Wyczuwał to słabo. Ten dziwny penetrujący ton. Czuł, jak słowa pędzą w dół, przez ścieżki jego ciała, wzdłuż nerwów, arterii, żył, mięśni, ścięgien.

- Czy planujesz zdradzić Rzym?

Generał zdał sobie sprawę, że za bardzo się odkrywa. Czuł się oddalony, zamroczony. Inteligencja, kryjąca się za tymi oczyma nie była ludzka. Czytała jego nagłe, bezwolne reakcje w sposób, w jaki żaden człowiek by tego nie potrafił. Żaden żyjący na świecie człowiek nie byłby w stanie oszukać tej rzeczy.

Ale to oczy, nie głos, sprawiały, że nie mógł się poruszyć. Nie ze strachu, ale ze wstrętu i grozy. Poznał w tym momencie naturę piekła. Piekło to nie ogień i wieczne potępienie. Piekło to po prostu...

Pustka. Nicość.

Jak to miało miejsce wielokrotnie w jego życiu, to Walentynian go ocalił. Walentynian i Anastazjusz, i Maurycy, i cała reszta podobnych im weteranów. To byli prości, nawet prymitywni ludzie, niegrzeczni i czasem lubieżni. W niektórych sytuacjach nawet okrutni.

Ale oni byli zawsze ludźmi. Nigdy nie czaiła się w nich pustka, ani nicość.

Generał Belizariusz uśmiechnął się krzywo.

- Pieprzyć Malawian – powiedział całkiem uprzejmie.

A potem, ciągle klęcząc, wpakował prawy obcas prosto w twarz Nandy Lala. Generał był silnym mężczyzną, a jego solidne obuwie wytrzymało już wiele bitewnych pól. Spłaszczyło więc doszczętnie twarz szpiega i zgruchotało mu nos.

### **Rozdział 13**

Belizariusz wykorzystał impet uderzenia i poderwał się na nogi. Przed nim sześciu eunuchów także budziło się do życia. Stękając z wysiłku, napinali swoje wielkie pośladki i zaczęli wstawać. Ich tulwary już wyciągały się ku niemu, gotowe zadać śmiertelny cios.

Belizariusz zignorował ich. Eunuchowie tworzyli barierę nie do przebycia – grubo ponad tona cielska, uzbrojonego w miecze, stała pomiędzy nim a szansą zabicia Ogniwa. Ale byli zbyt wolni, żeby stanowić jakiegokolwiek zagrożenie dla natychmiastowej ucieczki.

Generał nie słyszał zabójców, ale wiedział, że nadchodzą. Belizariusz skoczył dwa kroki na lewo. Sługa, który tam stał, był sparaliżowany ze strachu. Generał złapał mężczyznę za gardło i w pasie, poderwał go brutalnie do góry i rzucił w kierunku nadbiegających strażników.

Służący z wrzaskiem wpadł na trzech zabójców, biegnących w kierunku Belizariusza. Krzyk sługi nagle zamilkł – czwarty zabójca poradził sobie z niespodziewaną przeszkodą po prostu podrzynając mu gardło. Belizariusz, biegnąc do najbliższego okna, kątem oka zauważył, że umierające ciało sługi ciągle więzi trzech strażników. Nóż, który zakończył jego życie, chociaż nie miał siły miecza, zdołał prawie do połowy zagłębić się w gardle ofiary. Krawędź tego noża było tak ostra, jak człowiek, który się nim posłużył.

Belizariusz dotarł do okna. Nie miał czasu na nic więcej, jak tylko na ślepy skok. Rzucił się prosto na jedwabną zasłonę z rękoma wyciągniętymi przed siebie. Jedwab przerwał się pod naporem jego ciała. Belizariusz łagodnym łukiem wypadł przez okno. Nagle poszybował w czystym powietrzu wieczoru ku spokojnej toni Jamuny. Nóż, rzucony przez zabójcę, minął go zaledwie o włos. Belizariusz patrzył, jak nóż wpada do wody. Mniej niż sekundę później generał podążył za nim.

Ousanas podniósł się z krzaków w zaułku, zrobił dwa szybkie kroki i wyciągnął się. Szybko rzucił oszczepem, przełożył sobie drugie drzewce do prawej ręki i rzucił ponownie.

Odgłosy, dochodzące z barki nie były głośne, ale nie dało się ich pomylić z niczym innym. A przynajmniej człowiek taki, jak Ousanas z niczym innym by ich nie pomylił, podobnie jak czterej Ye-

tai, grający na nabrzeżu. Ye-tai właśnie skoczyli na nogi, sięgając po miecze.

Jednakże dwaj Malawianie, stojący na straży tuż przy trapie, byli znacznie lepiej wychowani. Oni także usłyszeli hałasy. Ale ich jedyną odpowiedzią było zmarszczenie brwi i podejście bliżej do kabiny barki. Stali bez ruchu, patrząc na drzwi, prowadzące do wnętrza.

Oszczepy Ousanasa trafiły ich dokładnie między łopatki. Obaj mężczyźni zginęli na miejscu ze zgruchotanymi kręgosłupami. Impet ciosu rzucił jednego z kszatryjasów przez drzwi do wnętrza barki. Drugi Malawianin uderzył we framugę. I tam pozostał. Oszczep przeszedł na wylot przez jego ciało i przyszpilił go do drewna niczym motyla.

Ye-tai, chociaż znacznie bardziej zaalarmowani niż kszatryjasi, nie byli wystarczająco przygotowani. Jak zwykle polegali na swojej barbarzyńskiej arogancji. Ze spuszczonej głowami, stękając z wysiłku, ścigali się, kto pierwszy wpadnie na barkę. Ye-tai nawet nie zauważyli dwóch oszczepów, płynących nad ich głowami. Nie docierało do nich, że nie mają monopolu na mordowanie. A przynajmniej do czasu, aż pierwszy barbarzyńca natknął się na martwego kszatryjasa, przybitego do framugi.

Ostrożność przyszła zbyt późno. Prowadzący Ye-tai zatrzymał się gwałtownie. Jego trzech kompanów, niestety, nie zdołało wyhamować. Przez chwilę czterech wrzeszczących barbarzyńców tworzyło na środku pokładu malowniczą grupę splątanych rąk i nóg.

Ousanas także potrzebował tylko chwili. Dobiegał właśnie do schodków trapu. Cztery skoki i potworna włócznia zaczęła swoją pracę.

Trzech Ye-tai upadło na bok, staczając się z trapu na nabrzeże. Dwaj byli martwi, zanim dotknęli drewnianych bali. Trzeci umarł chwilę później, z powodu wielkiej rany, jaka nagle pojawiła się w jego plecach.

Czwarty Ye-tai miał czas, żeby się odwrócić. A nawet zdołał zadać pełen wściekłości cios mieczem.

Wielkie ostrze włóczni w kształcie liścia odepchnęło ten cios na bok. Potem, odwróconym drzewcem o końcu okutym żelazem, Ousanas zgruchotał kolano przeciwnika. Znow obrót i świszcząc, ostrze włóczni zgasiło wrzask bólu, jaki wydobywał się z gardła Ye-tai, przecinając mu tchawicę z taką łatwością, z jaką przecinało przed chwilą powietrze.

Ousanas przeskoczył ponad osuwającym się ciałem. Teraz był już na barce, stojąc tuż przy zejściu z trapu. Przez chwilę myśliwy stał bez ruchu.

Słuchał.

Myślał.

Usłyszał głucho pluśnięcie ciała, wpadającego do wody. Wpadło po przeciwnej stronie barki, tam gdzie były już tylko szerokie wody Jamuny i jej drugi brzeg, oddalony o jakieś dwieście metrów. Ousanas słuchał uważnie głosów dochodzących z barki – okrzyków wściekłości i bólu, wykrzykiwanych komend. Afrykańczyk uśmiechnął się szeroko.

Przez chwilę, bardzo krótką chwilę pomyślał, że poczeka na powrót Belizariusza. Ale prawie natychmiast z tego zrezygnował. Znał dobrze generała. Opłynięcie barki lub zanurkowanie pod nią i wyjście na pobliskie nabrzeże były scenariuszem typowym dla człowieka ściganego. Więc, oczywiście, Belizariusz z pewnością postąpi inaczej.

Ousanas nie mógł więc pomóc generałowi bezpośrednio w ucieczce. Pozostała mu tylko dywersja.

Ousanas wyjął granat. Przez chwilę, krótką chwilę, rozważał, czy by go nie wrzucić do kabiny na barce.

Nie. Zamieszanie byłoby wspaniałe, ale wybuch w pomieszczeniu mógłby przytłumić hałas

eksplozji.

Trzymaj się planu, powiedział sobie. Granaty miały służyć jako narzędzia do przekazania sygnału dla jego towarzyszy.

Ousanas odwrócił się i przebiegł po trapie. Chwilę później, stojąc już na brzegu, odłożył włącznik. Z małej sakiewki przy pasku wyjął urządzenie zapalające.

Poświęcił nawet chwilę, bardzo krótką, na podziwianie zmyślnego malawiańskiego urządzenia, zanim uderzył w krzemień i zapalił lont pierwszego granatu.

Lont był krótki. Wrzucił granat na pokład barki. Wyjął drugi. Zapalił lont. Ten lont był nawet krótszy od poprzedniego.

Pierwszy z malawiańskich zabójców pojawił się w drzwiach kabiny. Zobaczył Ousanasa i zawył z wściekłości. Ousanas rzucił drugi granat.

Tym razem nie wysokim łukiem. Ousanas, mistrz rzucania oszczepem, ćwiczył się w tej sztuce już od dziecka, polując kamieniami na drobną zwierzynę. Mocno rzucony granat uderzył zabójcę prosto w czoło. Sekundę później czoło znikło, wraz z głową i górną połową ciała mężczyzny. Eksplozja rozerwała drzwi na strzępy.

Drugi granat wybuchł na pokładzie. Nie wywołał wielkich zniszczeń. Prawie cała siła wybuchu poszła do góry, wrywając jedynie małą dziurę w deskach pokładu, jako pamiątkę po swojej furii.

Oczywiście oprócz zniszczeń granat spowodował, że nad całym miastem Kausambi przetoczył się grom wybuchu.

Ousanas podniósł włącznik i pobiegł z powrotem. Kiedy wpadał do zaułka, pędząc niczym wiatr, usłyszał za sobą nowe wrzaski wściekłości. Pozostali Malawianie wybiegli na pokład i dostrzegli jego uciekającą sylwetkę.

Wiedział, że nie dostrzegą zbyt wielu szczegółów. Wysoka postać, biegnąca ulicą. Tak wysoka, jak rzymski generał. Prawda, kolor postaci wydawał się czarny. Ale to bez znaczenia. W tej ciemnej alei każdy człowiek wydaje się czarny. Dynastia Malawy nie widziała powodu, dla jakiego miałyby marnować pieniądze, żeby oświetlać ulice stolicy. Nie podróżowali przecież tymi ulicami.

Ale dzisiejszej nocy to się zmieni, pomyślał Ousanas z uciechą. O tak, dzisiaj poznają wiele zaułków swojego miasta. Zabiorę ich na wycieczkę.

Potem powiedział sobie jeszcze w myślach: powodzenia, Belizariuszu.

Niebawem wszystkie jego myśli znikły, zastąpione jedynie instynktem łowcy. Teraz myśliwy stawał się zwierzyną. Ale Ousanas był wielkim myśliwym, który od lat studiował zachowania zwierzyny.

\* \* \*

Odpywając od barki, Belizariusz usłyszał za sobą odgłosy walki. Nie odwrócił głowy. Gest ten mógłby zaburzyć rytm potężnych wyrzutów ramion, które po cichu oddalały go od łodzi i wynosiły na środek Jamuny. Ale słuchał ich uważnie, doświadczoneym uchem.

Wrzask w agonii, szybko ucięty. Uderzenie noża. Krzyki Malawian, pełne wściekłości. Stłumiona eksplozja. Druga, głośniejsza jak grom. Znowu wściekłe krzyki Malawian. Wrzaski, oznaczające, że kogoś zobaczyli. Odgłosy wściekłego pościgu.

Belizariusz nie był oczywiście do końca pewien, ale wydawało mu się, że zna tego człowieka, który spowodował zamieszanie na barce. Nie był pewien. Ale pomyślał, że pewne oznaki są jednoznaczne. Niektórzy ludzie, jak na przykład Walentynian, są łatwi do rozpoznania po swoim ekonomicznym stylu walki. Podczas gdy inni woleli się popisać.

Generał zaczął się uśmiechać, aż niewielka rzeczna fala wypełniła jego usta wodą. Nie mógł sobie pozwolić na kasznięcie, nie teraz, więc zamknął usta i płynął miarowo naprzód przez ciemne

wody.

Mimo siły, jaka drzemała w członkach Belizariusza, generał poruszał się wolno. Krępowało go ubranie i buty, ciężkie i nasiąknięte wodą. Ale nie zatrzymał się, żeby je zrzucić. Jeszcze nie. Najpierw musi dotrzeć do środka rzeki i znaleźć się poza zasięgiem latarni, oświetlających nabrzeże. Więc po prostu płynął naprzód, powoli, cicho i miarowo, z cierpliwością znamionującą weterana wielu kampanii.

- Tak – myślał sobie – zna tego człowieka. Nigdy, w żadnym z jego planów, nie miał on interweniować w taki właśnie sposób, w jaki to zrobił. Ale też w żadnym ze swoich planów Belizariusz nie przewidział, że wpadnie w pułapkę. A jednak tak się stało, a ten człowiek usiłował mu pomóc.

Znowu powstrzymał się od szczyrzenia zębów, przypominając sobie słowa, jakie usłyszał kiedyś od tego człowieka. W ciemnej kabinie statku, kiedy wspólnie wymyślali sposób oszukania wroga, który był właścicielem tej wielkiej galery.

- Dobre plany są jak dobre mięso. Najlepiej przygotowywać je na świeżo. Teraz możemy wreszcie skierować naszą rozmowę na naprawdę ważne tematy. Filozofia!

Człowiek z obcego kraju. Dziwny mężczyzna.

Ale nigdy pusty. Jest w nim coś poza nicością.

Odgłos wybuchającego granatu był cichy. Nie z powodu odległości, ale zagłuszył go hałas, rosnący w obozowisku, gdzie malawiańscy żołnierze gawędzili nad wieczornym posiłkiem. Ale mężczyźni, którzy czekali na ten znak, usłyszeli go doskonale.

- A więc stało się – usłyszał Menander słowa Walentyniana. Katafrakt mówił cicho, spokojnie i prawie łagodnie. Jednak następne jego słowa pozbawione były tego spokoju.
- Pieprzyć ekscytujące przygody – wysyczał.

Ale Menander pomyślał, że ten syk był spowodowany raczej wysiłkiem, a nie odbiciem prawdziwej złości – Walentynian naciągał właśnie mocny łuk. Strzała, wypuszczona z tak śmiertcionośnej broni, wpadła do obozowiska Malawian, lecąc płaskim lobem. Trzydzieści metrów dalej, żołnierz krzątający się wokół menażki z jedzeniem, upadł nagle, jakby nadepnął go szalejący słoń.

Pierwsza strzała Menandra uderzyła w kolejnego żołnierza, kłębiącego się w masie oddziału. On także zginął na miejscu, chociaż nie z tak dramatycznym efektem. Druga strzała Walentyniana nadleciała sekundę później. Trzeci Malawianin upadł na ziemię.

Oddział, jedzący kolację w pobliżu, także odniósł pierwsze straty. Rana co prawda nie była śmiertelna, ale bardzo poważna. A właściwie potworna. Okrutny grot strzały Anastazjusza zgruchotał lewe ramię żołnierza. Anastazjusz nie był zbyt celnym łucznikiem, ale jego łuk miał naciąg mocniejszy nawet od łuku Walentyniana.

Trzydzieści metrów od pierwszego oddziału zabrzmiały krzyki Malawian. Trzech żołnierzy zginęło tam od oszczepów, które wyleciały z zarośli. Kolejna fala oszczepów i zginęło kolejnych dwóch Malawian, a j eden został ciężko ranny.

Walentynian zabił już pięciu. Menander jednego, a ciężko ranił trzech. Anastazjusz zabił dwóch.

- Wystarczy! – zawołał Walentynian. Katafrakt odwrócił się i zniknął w ciemnościach między drzewami. Menander i Anastazjusz po bieglu za nim. Z lewej strony Menander słyszał uciekających przez zarośla księcia Eona i jego dwóch sarwenów.

W przeciągu minuty katafrakci dotarli do małej polanki, gdzie Gar-mat i Kadfizes pilnowali koni. Sekundę później z krzaków wybiegli Eon i sarweni.

Garmat i Kadfizes, słysząc ich nadejście, szybko wskoczyli na konie. Pozostali także wdrapali się na siodła.

Walentynian skierował konia ku małej dróżce, prowadzącej przez lasy na południowy zachód. Z powrotem do obozu Malawian. Nawet zza drzew słyszeli hałas, robiony przez zdenerwowanych malawiańskich żołnierzy.

Anastazjusz i Menander ruszyli za nim. Podobnie zrobił Eon.

- Przestań się wygłupiać, Eonie! – sarknął Ezana. On i Wahsi, podążając za Garmatem i Kadfizesem, prowadzili swoje i pozostałe wierzchowce bez jeźdźców ku innej ścieżce, prowadzącej na południowy wschód. Droga ta oddalała się od obozowiska Malawian.

Eon skrzywił się, ale zatrzymał konia. Przez chwilę księżę i Walentynian patrzyli na siebie. Wściekłość na twarzy katafrakta powoli zamieniła się w uśmiech. Jednakże w tym uśmiechu nie było ani odrobiny ironii. Po prostu uśmiechał się jak przyjaciel.

- Dziękuję ci, Eonie – powiedział Walentynian, prawie łagodnie. – Ale jesteś tak upartą i głupią istotą. Etiopczycy to żołnierze piechoty, a nie kawaleria. To zadanie dla katafraktów.

Po tych słowach zniknął w mroku. Chwilę później Anastazjusz i Menander także wjechali między drzewa.

Eon westchnął, zawrócił konia i zmusił go do kłusa, doganiając pozostałych Aksumitów. Po chwili młody księżę wzruszył muskularnymi ramionami, zrzucając z barków brzemię trosk. Podjechał koniem do wierzchowca Ezany.

Sarwen spojrzał na niego, nachmurzony. Jednakże ten wyraz twarzy szybko zniknął. W jego miejsce chwilę potem pojawił się lekki uśmiech. Surowy uśmiech.

Młodzi księżęta, przypomniawszy sobie Ezana, muszą być odważni i zuchwali. A nawet porywcy. Lepiej tak, niż odwrotnie. Ostrożność i spryt, strategia i taktyka-tego można się nauczyć.

Uśmiech stał się szerszy, chociaż nie znikła z niego surowość.

*Jeżeli kiedykolwiek zostanie negusa nagast, może nie będzie mądrym władcą. A przynajmniej nie na tyle mądrym, żeby przetrwać w świecie Malawy. Ale nigdy nie zabraknie mu odwagi. Nie mojemu księciu.*

\* \* \*

W zaułku, gdzie ukryła się imperatorowa i jej eskorta, wybuch granatu słychać było doskonale. Oczywiście grzmot, z powodu dystansu, został nieco stłumiony. Ale nie zagłuszony zupełnie. Kausambi było wielkim miastem, tętniącym życiem. Ale, podobnie jak we wszystkich miastach o tej porze, na długo przed wynalezieniem elektryczności, większość jego mieszkańców wstawiała i kładła się spać ze słońcem. Mimo jego wielkości, miasto w nocy było zupełnie wyludnione i ciche, który to fakt z pewnością zaskoczyłby mieszkańców miast przyszłości.

Mahwedzi i Ye-tai, stojący na straży przed zbrojownią, także usłyszeli huk eksplozji. Dwaj Ye-tai przerwali na chwilę swoją wesołą pogawędkę, odwracając głowy w kierunku wybuchu. Ale poza



tym nie zrobili żadnego ruchu.

Jeden z Mahwedów, marszcząc brwi, wyszedł spod małego daszka, wiszącego nad ciężkimi podwójnymi drzwiami, wiodącymi do zbrojowni, gdzie stał na straży wraz ze swoimi dwoma towarzyszami. Kapłan zrobił kilka kroków po ulicy, zatrzymał się i nasłuchiwał w kierunku, skąd doszedł go hałas. Jego palce nerwowo zacisnęły się na rękojeści miecza, który miał przy pasie.

Nasłuchiwał.

Nic.

Cisza.

Oczywiście wydarzenia, jakie działy się obecnie na nabrzeżu, niewiele miały wspólnego z ciszą. Do tej pory malawiańscy kszatryjasi i Ye-tai biegali jak szaleni po całej barce, miotali się po nabrzeżu, pędzili alejkami, wywrzaskując rozkazy, wołając do siebie i wyjąc z wściekłości. Ale te dźwięki były pochodzenia ludzkiego i, mimo ich opętańczej siły, nie miały mocy, żeby dotrzeć aż do odległej zbrojowni.

- Teraz – wysyczała Szakuntala.

Kungas, obserwując Malawian, wykonał dłonią mały, nie znoszący sprzeciwu gest.

- Jeszcze nie – wyszeptał w odpowiedzi. Imperatorowa zeszywniała. W jej sercu natychmiast wezbrał królewski gniew i prawie warknęła rozkaz. Ale jej zdrowy rozsądek ją uratował – zdrowy rozsądek i lata ciężkiego treningu z Raghunath Rao. Zagryzła wargi, zmuszając się do milczenia. W swoim umyśle usłyszała głos Rao.

*Więc jak, głupia dziewczyno. Jesteś geniuszem, tak? Znasz się na taktyce lepiej niż człowiek, który pokonał wroga na setkach bitewnych pól? Człowiek, który jest tak dobry, że nawet ja nie zdołałem go pokonać?*

Szorstki głos. Drwiący głos. Ukochany głos.

Kapłan Mahwedy, stojący na środku ulicy, wzruszył ramionami i ruszył z powrotem na swój posterunek. Kawalek dalej dwóch Ye-tai znów zagłębiło się w konwersacji. Grzmot wybuchu z pewnością był zaskakujący i niespodziewany. Ale dochodził z daleka. Z bardzo daleka. A poza tym nic się nie stało, hałas umilkł. Może to wypadek. Nie ich zmartwienie.

- Teraz – wyszeptał Kungas. Szakuntala wyrzuciła ze swego umysłu wszelkie myśli o Raghunath Rao. Podniosła się i zaczęła iść w kie runku ulicy. Za nią podążały cztery Marathanki.

Tarabai podeszła do Szakuntali.

- Idź za mną, wasza wysokość – wyszeptała. – Rób to, co ja najlepiej jak potrafisz.

Znowu, natychmiast, w Szakuntali zawrzała królewska arogancja. Ale tym razem księżniczka z łatwością i szybko zwalczyła w sobie narastające uczucie. Nie musiała wzywać Rao na pomoc. Sam zdrowy rozsądek wystarczył.

*Mogę założyć na siebie te ubrania. Ale tak naprawdę nie mam pojęcia, jak je noszą prostytutki.*

Obserwowała, jak Tarabai porusza się rozkołysanym krokiem, i starała się jak najlepiej ją naśladować. Za sobą usłyszała głos Aszilibai, wznoszący się ponad mamrotanie ponurych

kuszańskich żołnierzy.

Głos był przenikliwy i drwiący.

- Jeżeli chcecie dobroczynności, załatwcie sobie zebraczą miskę! Szakuntala i Tarabai dotarły już do połowy uliczki. Imperatorowa zobaczyła, jak kapłani Mahweddy sztywnieją. Najpierw z zaskoczenia. Potem, z moralistycznej wściekłości.

Znowu za sobą usłyszała kobiece głosy, przesycone złością. Towarzyszyły im słowa, niewyraźne i wypowiedane przez pijanych żołnierzy. Szakuntala rozpoznała pośród nich głos Kungasa, ale nie rozumiała słów. Skoncentrowała się na kapłanach, stojących przed nią.

Znowu usłyszała Tarabai.

- Pieprzeni włóczędzy! Uwiedźcie sobie jakąś głupią dziewczę, je żeli nie macie pieniędzy! Nie płączcie mi się pod nogami!

Kapłani byli teraz zaledwie pięć metrów przed nimi. Szakuntala prawie się zaśmiała. Mahwedzi, z twarzami zniekształconymi gniewem, praktycznie kulili się pod nawisem, kryjącym drzwi do zbrojowni. Wyciągnęli miecze i machali nimi groźnie. Ale ta groźba była fałszywa i pusta. Strach przed zbrukaniem zupełnie ich sparaliżował.

- Wynoście się! – wrzasnął j eden.
- Brudne kobiety! Nieczyste! – zawołał drugi. Tarabai zatoczyła się do przodu.
- Och, dajcie spokój, nie bądźcie tacy! – powiedziała przymilnie. – Przecież wyglądacie na zdrowych mężczyzn. My nie jesteśmy bardzo drogie.

Trzeci Mahweda zawołał Ye-tai. Od drugich drzwi dwóch barbarzyńców podeszło trochę bliżej, żeby popatrzeć na przedstawienie. Ye-tai uśmiechali się od ucha do ucha. Nawet widok zataczającej się bandy kuszańskich żołnierzy, ciągnących się za dziwkami, nie zepsuł im humoru.

Kapłan znowu zawołał, machając mieczem w geście gniewnego przywołania. Ciągłe z uśmiechem na ustach, Ye-tai podbiegli do niego.

Szakuntala zrobiła krok naprzód, żeby zastąpić im drogę. Tarabai ciągle napierała na kapłanów, wciskając ich coraz głębiej do przedsionka, osłoniętego przez wystający daszek. Cofali się przed nią pod naciskiem jej ciała, ale ze strachu, że zbruka ich swoim dotykiem.

Szakuntala usłyszała za sobą wrzask wściekłości.

- Odczepcie się, mówię wam! – krzyknęła Aszilibai. – Wynocha! Beznadziejne łazęgi! Poproszę Ye-tai, żeby was pogonili! – dodała gniewnie. – Ye-tai to tacy mili chłopcy – powiedziała przymilnie.

Dwaj Ye-tai podeszli do imperatorowej. Żaden z nich nawet nie pomyślał o tym, żeby wyjąć miecz. Ciągłe wesoło szczerząc zęby, barbarzyńca po jej lewej stronie położył rękę na ramieniu imperatorowej.

- Chodź, słodka dziewczynko – powiedział, ciężko akcentując hindi. – Zostaw tych biednych kapłanów. I tak są do niczego. Chodź z nami do strażnicy i weź ze sobą swoje siostrzyczki. Jest tam dziesięciu silnych Ye-tai. Są znudzeni do szpiku kości i mają sporo pieniędzy do wydania.

Uśmiechając się szeroko, Szakuntala odwróciła głowę.

- Zapomnij o tych głupkowatych kapłanach! – zawołała do Tarabai. – Chodźmy...

Zawirowała i wbiła prawą pięść prosto w splot słoneczny Ye-tai. Barbarzyńca stęknął i zwinął się w pół. Jego głowa, skłaniając się ku ziemi, napotkała ramię Szakuntali, właśnie podjeżdżające do góry. Uderzenie było doskonałe. Prawa pięść, podparta lewą dłonią stworzyła solidną masę kości, uderzającą z siłą całego ciała, uzyskaną przez obrót bioder i torsu. Niestety, piastka imperatorowej nie była duża, więc nie udało jej się zgruchotać szczęki Ye-tai. Upadł na kolana, tylko lekko zamroczony. A potem jego szczęka zadrżała, wraz z połową zębów. Dokonało tego kolano Szakuntali. Barbarzyńca osunął się na ziemię.

Imperatorowa była już w trakcie obrotu, zanim Ye-tai dotknął gruntu. Zaczęła wyprowadzać cios przeciwko drugiemu Ye-tai. Obracając całe ciało, wysunęła do tyłu nogę, przygotowując się do kopnięcia z boku. Po cichu przeklinała swoje przebranie. Sari krępowowało dokładne i gładkie ruchy jej nóg.

Ten Ye-tai, skrzecząc, sięgnął po miecz.

Zanim zdołał dotknąć rękojeści, nie żył.

Szakuntala postawiła uniesioną stopę na ziemi. Patrzyła przed siebie szeroko otwartymi oczami. Prawie otworzyła usta.

Widziała Kungasa w walce tylko jeden raz w całym swoim życiu. Było to w Amawarati, kiedy Andhra w końcu została zdobyta, a hordy Malawian plądrowały pałac. Ale, nawet wtedy, tak naprawdę nie widziała nic. Ye-tai, górujący nad nią, zrywający z niej ubranie, rozkładający jej nogi, próbując ją zgwałcić, zasłonił jej widok. Zobaczyła nie więcej, jak tylko odciętą pięść barbarzyńcy, zanim oślepiła ją krew, płynąca z przeciętej szyi jej dręczyciela.

Kungas zrobił, co trzeba, wtedy, podobnie jak zrobił to teraz. W mniej niż trzy sekundy kuszański dowódca poćwiartował Ye-tai w dosłownym znaczeniu tego słowa.

Szakuntala otrząsnęła się z wrażenia i obróciła wokół własnej osi. Kuszańscy żołnierze, wcale już nie wyglądający na pijanych, przemknęli obok Tarabai i wykończyli kapłanów. Zanim Szakuntala zdążyła się odwrócić, oni już dokończyli swe krwawe dzieło. Kapłani nie mieli nawet czasu, żeby wydać z siebie więcej niż jeden, czy dwa piski. Szakuntala nie była pewna. Piski ucięto bardzo szybko. Ale pomyślała jednak, że mimo ogromu rzezi, jaka się tutaj odbyła, hałas nie był duży. Była pewna, że nie zaalarmuje on strażników, siedzących w pomieszczeniu kilkanaście metrów stąd.

Kuszanie byli szybcy. Jeden z żołnierzy już zaczął badać masywne drzwi, prowadzące do zbrojowni. Jego kolano spoczywało na klatce piersiowej martwego kapłana.

- Zbyt długo – oznajmił szorstko. – Co najmniej dwie minuty, żeby się przebić przez tę wielką, brzydką rzecz.

Kungas kiwnął głową i odwrócił się. Tego się właśnie spodziewał.

- Musimy więc wejść przez strażnicę – stwierdził.

Kungas zaczął biec uliczką w kierunku bocznego wejścia, gdzie wcześniej stali dwaj Ye-tai. Jego ludzie podążyli za nim tak samo wielkimi susami. Szybko, szybko. Szakuntala z zaskoczeniem stwierdziła, że prawie nie słyszc ich kroków. Częściowo wynikało to z tego, że Kuszanie nosili miękkie buty, zamiast ciężkich sandałów. Ale w większości, pomyślała, ich zachowanie było

produktem wrodzonych zdolności i długiego treningu.

Szakuntala i Marathanki poszły za nimi. Jednakże dużo wolniej. Dużo, dużo wolniej. Sari pięknie podkreślało kobiece kształty, ale znacznie ograniczało swobodę ruchu, szczególnie przy szybkim kroku. Sfrustrowana Szakuntala złożyła w duchu przysięgę. W dniach, które nadejdą, wśród wielu spraw, jakimi się zajmie, znajdzie się także miejsce na wprowadzenie nowego stylu w damskiej modzie.

Miała czas, żeby o tym pomyśleć, idąc powoli ulicą. Zdecydowała się na pantalone, podobne do noszonych przez cholańskich tancerzy. Oczywiście będą bardziej wyrafinowane, i pięknie barwione, żeby zaspokoić poczucie przyzwoitości i tradycjonalizm. Ale muszą to być pan-talony, które nie będą pętały kobiecych nóg.

Przed sobą zobaczyła, jak Kuszanie wpadają do strażnicy. Natychmiast w środku wybuchły odgłosy gwałtownej walki. Słyszała, jak z chrzęstem krzyżują się miecze, pękają kości i skóra, wrzeszczą ranni i przerażeni Ye-tai. Cicha uliczka została zalana hałasem.

Przeklinając gwałtownie, Szakuntala przyspieszyła kroku. Odgłosy walki sięgnęły zenitu.

Krok, przekleństwo. Krok, przekleństwo. Krok, przekleństwo.

Strażnica ciągle znajdowała się w odległości dziesięciu metrów. Hałasy, dochodzące przez otwarte drzwi, nagle straciły na sile.

W końcu dotarła do drzwi i weszła, szurając, do pomieszczenia dla strażników.

Nagle gwałtownie stanęła. Idące za nią Marathanki nie zdążyły się zatrzymać i wpadły na nią. Tarabai i Aszilibai ciekawie zerkały ponad ramionami niższej od nich imperatorowej. Wstrzymały oddech. Zachłysnęły się.

Szakuntala nie straciła oddechu, ani się nie zachłysnęła. Nie wydała z siebie żadnego dźwięku.

Księżniczka miała odważne i niezłomne serce. W dziesięcioleciach, które miały nadejść, ta niezłomność zostanie częścią spadku, jaki pozostawi po sobie. Spadku tak potężnego, że historycy przyszłości z jednomyślnością, rzadką bardzo dla swego gatunku, obwołają ją Szakuntala Wielką. Ale w tej chwili zadrżało nawet jej serce.

Kuszanie rozprawili się z Ye-tai, tak jak stado wilków morduje bezbronne owce. Jak stado rozszalałych wilków.

Podłoga praktycznie spływała krwią. W zasięgu jej wzroku nie było ani jednego Ye-tai, który nie odniósłby obrażeń. Barbarzyńcy nie byli po prostu martwi. Ich ciała rozpruto, pozbawiono członków, pocięto na plasterki, rozerwano, rozdeptano i zmiądzono. Pokój wyglądał, jak rzeźnia. Rzeźnia, będąca własnością najbardziej niechlujnego, ciągle się spieszącego i maniakałnego rzeźnika na świecie.

Poprzez pokój spojrzała w oczy Kungasa. Dowódca jej straży przybocznej miał kilka plam krwi na swojej lekkiej zbroi i tunice, ale było ich niewiele. Klęczał na jednym kolanie, wycierając miecz o ubranie martwego Ye-tai. Jego twarz, jak zwykle, nie wyrażała niczego. Ani przerażenia, ani gniewu, ani nawet satysfakcji z dobrze wykonanej roboty. Przypominała maskę z żelaza, zawieszoną na ścianie i patrzącą na potępionych i piekielny ogień.

Dziwne, ale w tym momencie przez duszę Szakuntali przemknęło uczucie miłości. Miłości i przebaczenia.

Nie dla Kungasa, ale dla Rao. Nigdy, w głębi swego serca, tam, gdzie do tej pory przetrwało coś z dziecka, Szakuntala nie wybaczyła Rao. Nie wybaczyła mu tych miesięcy, jakie spędziła w niewoli, zanim ją w końcu uratował. Tygodnie spędzone w pałacu Venandakaty w Gwaliorze, podczas których przemierzyła po wielokroć umocnienia, pilnowana przez Kungasa i jego Kuszanów, wiedząc... czując, że Rao kryje się w lesie poza nimi. Kryje się, ale po nianie przychodzi. Patrzy, ale

nie atakuje.

Wtedy przeklinała go, w głębi serca, gdzie mieszkało dziecko, za jego tchórzostwo. Przeklinała go za to, że boi się Kungasa.

Teraz, w końcu, odrzuciła tę klątwę. Teraz wreszcie rozumiała.

Zrozumienie sprawiło, że imperatorowa powróciła. Dziecko znikło, razem ze swoim drżącym sercem.

- Doskonale – powiedziała. – Bardzo dobrze.

Kungas kiwnął głową. Jego ludzie uśmiechnęli się. Żaden z nich, co zauważyła z ulgą, nie odniósł poważniejszych ran. Tylko dwóch opatrywało skaleczenia, które na pierwszy rzut oka wydawały się niegroźne.

Kungas skinął głową w kierunku drzwi, znajdujących się w odległym końcu pomieszczenia.

- Prowadzą prosto do zbrojowni. Nie są zamknięte.
- Musimy się pospieszyć – powiedziała Szakuntala. Popatrzyła na podłogę, próbując znaleźć ścieżkę, żeby nie poplamić sobie butów krwią.

Dwóch Kuzanów, uśmiechając się szeroko, rozwiązało ten problem w najprostszy sposób. Złapali ciała Ye-tai i rzucili je na podłogę, tworząc ścieżkę z martwego mięsa.

Szakuntala, nie wahając się ani przez moment, przeszła po tej makabrycznej drodze. Kobiety podążyły za nią z lekkim ociąganiem.

Kiedy przechodziła przez drzwi, kuszańscy żołnierze zdążyli już rozbiec się po zbrojowni, przeszukując pomieszczenie. Wiedzieli, z wcześniejszego pospiesznego zwiadu, że po drugiej stronie wielkiego ceglanego budynku jest druga strażnica. Szukali teraz prowadzących do niej drzwi – chcieli sprawdzić, czy nie kręcą się tam Ye-tai i Mahwedzi, którzy mogliby wejść do zbrojowni.

W zbrojowni nie było nikogo. Szybko znaleźli drzwi. Za nimi Kuzanie słyszeli rozmowy Ye-tai. Dźwięki nie wskazywały na zaniepokojenie. Najwyraźniej barbarzyńcy nie usłyszeli odgłosów krwawej potyczki.

Kuzanie lekko się odprężyli. Postawili przy drzwiach wartę, wybierając czterech spośród siebie, a pozostali rozbiegli się, żeby wykonać zadanie, z którym tu przybyli.

Szakuntala i jej dworki zaczęły otwierać kosze z prochem, używając noży, które jeszcze niedawno należały do strażników Ye-tai. Idący za nimi Kuzanie podnieśli kosze i rozsypali czarne granulki po całej zbrojowni. Bardzo szybko każdy z koszy został opleciony siecią ścieżek, usypanych z prochu na podłodze. Kiedy już to zrobili, Kuzanie zdjęli ze ścian pęki porozwieszanych tam rakiet i poustawiali je wokół koszy z prochem.

- Wystarczy – rozkazał Kungas. Jego głos, chociaż cichy, dotarł do wszystkich. Natychmiast jego ludzie porzucili pracę i popędzili z powrotem do strażnicy. W pewnej chwili zauważyli, że wolno idące kobiety zostają z tyłu. Na rozkaz Szakuntali, wydany zirytowanym głosem, Kuzanie złapali kobiety, włączając ją, na ręce i wynieśli je na ulicę. Potem, zgodnie z rozkazem Szakuntali, ponieśli je dalej do bocznej alejki. Dopiero tam, na jej prośbę, postawili je.

Szakuntala obejrzała się za siebie. Kungas był już w połowie ulicy – szedł tyłem, sypiąc za sobą proch z kosza, trzymanego na ramieniu. Kiedy dotarł do zaułka, wysypał z koszyka resztki czarnego proszku.

- Teraz – rozkazała mu Szakuntala. Kungas wyjął z fałd tuniki mechanizm zapalający i skrzesał iskry. Proch zajął się natychmiast i, wściekle sycząc, mały płomyczek popędził w kierunku zbrojowni.
- Szybciej – warknął. Nie czekał na rozkaz Szakuntali. Po prostu złapał ją w pasie, przerzucił sobie przez ramię i zaczął pomykać w dół uliczki. Jego ludzie poszli w jego ślady i nieśli pozostałe Marathanki, sadząc wielkie susy.

Szakuntala, objając się na ramieniu Kungasa, czuła zadowolenie z udanej eskapady. Ale nie całkowicie. W jej sercu ciągle tliła się iskra niezadowolenia. '

Kiedy dwie minuty później zbrojownia wybuchła z wielkim hukiem, imperatorowa bardzo się zdziwiła. Jej sfrustrowany umysł był bowiem gdzie indziej. Myślała o pantalonach.

## **Rozdział 14**

Belizariusz był już pięćdziesiąt metrów od barki, prawie na środku szerokiego nurtu Jamuny. Zatrzymał się, młóćąc rękami wodę, żeby zorientować się w sytuacji. Powoli krążył w wodzie, przyglądając się z uwagą brzegom, ze szczególnym uwzględnieniem bliższego.

Do miejsca, gdzie się znajdował, nie docierał już blask latarni ani pochodni, palących się na nabrzeżu, przy którym cumowała barka Czcigodnej Pani Holi. Na wodzie lekko odbijał się blask księżyca, ale nie dawał wiele światła, bowiem ziemski satelita wyglądał tej nocy jak cienki rogalik. A sądząc po wyglądzie chmur, które właśnie zaczęły skrywać niebo, niebawem miał spaść ulewny deszcz, jedna z tych ulew, częstych w sezonie monsunowym. Wtedy widoczność spadnie prawie do zera.

Belizariusz obawiał się jedynie, że zauważy go ktoś z jednej ze smukłych wiosłowych galer, które regularnie patrolowały rzekę. Mógł widzieć kilka tych statków, pędzących w kierunku nabrzeża. Dowodzący nimi oficerowie najwyraźniej usłyszeli zamieszanie na pokładzie barki pani Holi i chcieli się zorientować, o co chodzi.

Nagle z barki wystrzelono raketę. Belizariusz zdał sobie sprawę, że to sygnał, patrząc, jak pocisk unosi się na niewielką wysokość i wybucha na zielono. Następnie w powietrze poleciało jeszcze kilka rakiet.

Galery natychmiast zwiększyły tempo wiosłowania. Oficerowie na ich pokładach wyrzaskiwali rozkazy. Belizariusz nie rozpoznawał słów, ale ich znaczenia nie mógł nie odgadnąć. Galery błyskawicznie zebrały się przy nabrzeżu, Belizariusz widział, jak nadpływają następne. W przeciągu kilku sekund w polu widzenia znajdowało się już czternaście łodzi.

Generał w końcu zdecydował, że nadszedł czas na zrzucenie ubrania. I tak musiał czekać, żeby się zorientować, jaki wzór poszukiwań przyjmą galery.

Pozbył się zbędnego balastu w przeciągu minuty. Po kolejnej minucie udało mu się zdjąć buty bez tracenia ich na zawsze w odmętach.

Kolejna chwila i upewnił się, że jego mała sakiewka z bardzo cenną zawartością monet i kamieni jest pewnie przytwierdzona do pasa. Potem sprawdził, czy woreczek z klejnotem tkwi bezpiecznie zawieszony na szyi. W końcu zawiązał całe ubranie w zgrabny węzełek, którego rdzeń stanowiły buty. Zanim to zrobił, wyjął z sakiewki mały nóż i przytrzymał go zębami. Możliwe, że będzie go potrzebował. Nóż mu się nie przyda, jeżeli zostanie uwięziony w zawiniątku.

Zakończył manewry w wodzie, zawiązując sobie rękawy tuniki wokół szyi. Teraz mógł transportować węzełek z ubraniami i butami, nie krepując sobie ruchów ramion. Niestety nóż w zębach będzie mu trochę przeszkadzał w oddychaniu, ale nie miał lepszego miejsca, gdzie mógłby go umieścić.

Podczas rozbierania nie spuszczał czujnego wzroku z galer. Kiedy skończył, mała flota wojennych okręciaków właśnie odbijała od nabrzeża. Słyszał wykrzykiwane rozkazy, i znowu nie był w stanie zrozumieć słów.

Ale teraz nie było takiej potrzeby. Wzór poszukiwań, jaki przyjęli Malawianie, był widoczny na pierwszy rzut oka. Większość galer zaczęła płynąć miarowo wzdłuż bliższego brzegu, w dół i w górę nurtu, wokół barki Czcigodnej Pani Holi. Żołnierze zwieszali się z burt głowami w dół i latarniami oświetlali powierzchnię wody. Podobna linia zapalonych latarni przesuwawała się po południowym brzegu Jamuny, przeszukując wybrzeże.

Jednakże sześć galer zaczęło wiosłować na środek rzeki. Belizariusz zainteresował się właśnie tymi jednostkami. Po minucie obserwacji, zrozumiał sens ich poczynań. Dwa statki miały pozostać na środku rzeki, patrolując go w obu kierunkach. Pozostałe cztery kierowały się ku przeciwległemu wybrzeżu, także zapalając latarnie. Najwyraźniej Malawianie myśleli, że Belizariusz pozostał na południowym brzegu, albo już wyszedł na ląd. Ale zamierzali także patrolować całą rzekę, żeby nie dać mu żadnej szansy.

Zdecydował się na galerę, płynącą daleko po jego prawej stronie. Ta jednostka kierowała się właśnie ku przeciwległemu brzegowi dużo dalej w górę rzeki niż pozostałe.

Zaczął płynąć w jej kierunku. Utrzymywał stałe, miarowe ruchy ramion. Poruszał się raczej wolno. Belizariusz był doskonałym pływakiem i potrafił poruszać się w wodzie znacznie szybciej, ale takie tempo mu wystarczało. A miarowe, potężne wyrzuty ramion miały jeszcze jedną zaletę. Nie robiły wiele hałasu, gdyż pozwalały na utrzymanie rąk i nóg tuż pod powierzchnią wody, a nóż w zębach nie przeszkadzał mu tak bardzo w oddychaniu.

Na szczęście wymierzył dobrze i zdołał się ustawić w dogodnej pozycji już na pół minuty przed tym, jak galera przepłynęła w miejscu, gdzie się unosił w wodzie. Delikatnie poruszając rękoma, czekał dokładnie na drodze galery. Tak jak miał nadzieję, malawiańscy żołnierze na pokładzie statku nie trzymali latarni przed dziobem. Marynarze ze światłem skupiali się na burtach bardziej z tyłu, przy rufie. Ci żołnierze, podobnie jak inni Malawianie, nie wierzyli, że Belizariusz uciekł właśnie w tę stronę i uważali, że z pewnością jest już na południowym brzegu. Tam właśnie skupiały się główne siły Malawian, i tam patrzyli żołnierze z galery, mimo że zmierzali ku przeciwległemu brzegowi.

Galera już prawie do niego dopłynęła. Belizariusz wziął głęboki oddech i zanurkował pod powierzchnię wody. Przez chwilę obawiał się, że węzełek z ubrań zamieni się w boję i wypchnie go z powrotem na powierzchnię. Ale do tej pory materiał zdążył już zupełnie nasiąknąć wodą i podzielał raczej jak kotwica.

Teraz, płynąc pod barką wzdłuż sterburty, Belizariusz odkrył pierwszy słaby punkt swojego naprędce przygotowanego planu.

Był ślepy jak kret. Nic nie widział.

Liczył się z tym, że widoczność pod wodą nie będzie najlepsza. To oczywiste, była noc. Ale myślał, że wystarczy mu światła, żeby jakoś się przemieszczać. Na nieszczęście nie przewidział jednego – natury rzeki Jamuny.

Jamuna nie była górskim strumieniem, z czystą i rwącą wodą. Była wielką, nizinną rzeką, płynącą powoli. Ociężała od mułu i niesionego błota. Belizariusz miał wrażenie, jakby poruszał się w płynnym kamiennym węglu.

Kierował się dźwiękiem i dotykiem. Z lewej strony miał wiosła, uderzające o powierzchnię. Z prawej, wyciągając palce, chwycił się nierówności kadłuba.

Źle wymierzył. Prawdopodobnie ogłupił go pierwotny strach przed nagłą ślepotą i popłynął zbyt płytko. I niestety to jego głowa, a nie palce zetknęły się z kadłubem.

Siła uderzenia prawie go ogłuszyła. Przez chwilę rzucał się bezładnie, zanim udało mu się odzyskać kontrolę nad ciałem. Szybko odnalazł kadłub, tym razem palcami.

Deski poszycia przelatowały szybko obok niego. Słyszał, że głucho uderzenia wiosła pozostają jakby za nim.

Teraz.

Wyjął nóż spomiędzy zębów i pchnął nim przed siebie, modląc się, żeby małe ostrze nie pękło od uderzenia. Koniec noża wbił się w drewno. Niezbyt głęboko, zaledwie na centymetr, ale to wystarczyło.

Używając noża, żeby nie odpaść od kadłuba, Belizariusz desperacko parł ku powierzchni. Brakowało mu powietrza.

I znowu się pomylił. Ciągłe był zbyt daleko od rufy. Twarzą przyciskał się do burty statku. Czuł, jak powietrze muska mu włosy, ale nie mógł się wynurzyć, żeby zaczerpnąć powietrza.

Wyszarpnął nóż i pozwolił, żeby prąd zniósł go trochę dalej. Znowu się zahaczył. Tym razem pchnięcie było nawet słabsze.

Ale wystarczyło, chociaż ledwo, ledwo. Ostrze wytrzymało. Pozwolił, żeby prąd uniósł go ku powierzchni. Jego głowa wystrzeliła nad powierzchnię wody.

Czuł, że jego płuca płoną, ale zanim się wynurzył, żeby odetchnąć, zerknął szybko w górę na burty statku.

Wreszcie coś poszło tak, jak sobie zaplanował. Tak jak miał nadzieję, wystająca rufa kryła go przed spojrzem marynarzy. Otworzył usta i wziął głęboki, powolny oddech, starając się nie robić żadnego hałasu.

Przez minutę po prostu tam wisiał, oddychając i odpoczywając. A potem zaczął rozważać swoje położenie.

Jego położenie nie było najlepsze. Nóż z ledwością utrzymywał go przy kadłubie. Mógł się wysunąć spomiędzy desek w każdej chwili. Gdyby do tego doszło, galera uciekłaby mu do przodu, zostawiając go w kilwaterze. Nie bał się, że ktoś go dojrzy w spienionej wodzie, ale nie mógł sobie pozwolić na utratę schronienia, jakie dawała mu burta galery. Schronienia... i chwili odpoczynku. Nie miał ochoty płynąć samodzielnie do odległego brzegu. Oczywiście, dałby radę, ale ten wysiłek całkowicie by go wyczerpał. A przecież miał przed sobą jeszcze wiele godzin, zanim uda mu się znaleźć bezpieczne schronienie. Potrzebuje co najmniej dnia, dopiero później odpocznie.

Obejrzał dokładnie deski kadłuba, szukając miejsca, gdzie lepiej mógłby wbić nóż. Nie obawiał się, że zahaczy o ster. Galera nie posiadała takowego urządzenia. W tamtych czasach bardzo niewiele statków posługiwało się sterem, a te pochodziły głównie z mórz północy i były budowane przez barbarzyńców. Galerą sterowano za pomocą wiosła. Wiosło umieszczono po drugiej stronie sterówki, a nie po tej, gdzie krył się Belizariusz. Podobnie jak Rzymianie, Malawianie także spuszczały wiosło do sterowania od strony bakburty. Dlatego właśnie generał wybrał sterburtę na swoje schronienie.

Nagle dotarł do niego dźwięk odległego wybuchu. A potem następny.

Następny i następny.

Teraz nad rzeką rozbrzmiała prawdziwa kanonada. Dźwięki eksplozji miały dziwny, stłumiony ton.

Ostrożnie obrócił głowę i lekko uniósł się do góry. Teraz mógł zobaczyć, co dzieje się na nabrzeżu, które pozostawił za sobą. Malawianie wrzucali do rzeki granaty. Patrzył, jak podwodne eksplozje wyrzucają do góry gejzery wody.

Pomyślał, że te granaty byłyby dla niego bardzo niebezpieczne.



Usłyszał nagle myśl Doradcy. Fasety powróciły do jego umysłu.

**Bomby głębinowe. Bardzo niebezpieczne. Woda przenosi wstrząs dużo lepiej niż powietrze.**

Ujrzał szybki, ale bardzo malowniczy obraz swojego ciała, niemalże rozerwanego na strzępy i krwawiącego z licznych ran.

Strząsnął z siebie tę wizję. Miał co innego do roboty. W jego obecnej sytuacji, hałas czyniony przez granaty, był mu bardzo na rękę. Wyszarpnął nóż spomiędzy desek kadłuba i zamarł na chwilę, obserwując uważnie przesuwany się kadłub statku, po czym mocno wbił ostrze. Nóż zagłębił się solidnie w grube deski. Wreszcie był mocno zakotwiczony, a generał wraz z nim.

Ten silny cios nożem nie należał do najcichszych. Ale jego odgłos utonął kompletnie w kakofonii wybuchów, tym bardziej, że hałas zbliżał się coraz bardziej do galery Belizariusza. Żołnierze na galerach, pływających środkiem rzeki, także zaczęli wrzucać do wody granaty.

Belizariusz pomyślał, że to graniczące z głupotą marnotrawstwo. Nie znał się zbyt dobrze na skutkach podwodnych eksplozji. Ale, jaka by nie była ich efektywność, Malawianie z pewnością nie mieli aż tak dużo granatów, żeby zbombardować całe rozległe koryto Jamuny.

Wiedział, że prawdziwy problem dopiero jest przed nim. Nie mógł zbyt długo ukrywać się pod galerą. Kiedy wzejdzie słońce, z pewnością ktoś go zauważy. Poza tym musiał się wydostać na brzeg na długo przed tym, aż rozjaśni się ciemności nocy. Będzie potrzebował kilku godzin mroku, żeby bezpiecznie wydostać się z miasta.

Dlatego też fakt, że granaty, rzucając do wody, nie stanowiły dla niego bezpośredniego zagrożenia, nie przyniósł mu ulgi. Jeżeli dalej będą je rzucać w takiej ilości, na pewno zagrożą mu w momencie, kiedy puści galerę i zacznie płynąć w kierunku odległego brzegu. Chyba, że galera przybije do nabrzeża, w co raczej wątpił. Żadna z galer po drugiej stronie tak nie zrobiła, więc z pewnością będzie miał do przepłynięcia co najmniej trzydzieści metrów. Do tego czasu Malawianie na pewno zaczną już przeszukiwać wybrzeże. I nawet, jeżeli go nie zauważą, mogą go zabić przypadkowo rzuconym granatem, których tak ochoczo się pozbywali.

Popatrzył do góry na niebo. Ławica chmur zbliżała się bardzo szybko. Modlił się o ulewny deszcz.

Galera nie zwalniała, szybko przecinając wody Jamuny. Dotarła właśnie na środek rzeki.

Belizariusz modlił się o ulewę.

Galera zaczęła skręcać w górę rzeki, na północny zachód. Była teraz w odległości stu metrów od brzegu i więcej niż dwieście metrów na zachód od barki Czcigodnej Pani Holi na przeciwległym brzegu.

Belizariusz błagał o deszcz.

Kiedy galera podpłynęła do brzegu na pięćdziesiąt metrów, oficer na pokładzie zaczął wykrzykiwać nowe rozkazy. Galera zaczęła płynąć prawie równoległe do brzegu, kierując się na zachód. Oficer ustawił statek trzydzieści metrów od brzegu i nie zamierzał podpłynąć bliżej.

Niebawem znaleźli się trzysta metrów w górę rzeki od barki Czcigodnej Pani Holi. Potem czterysta metrów.

Ale galera nie zbliżała się do brzegu. Zawsze trzymała się trzydzieści metrów od niego.

Belizariusz przeklinał pod nosem. Będzie musiał płynąć. Tuż pod okiem bystrych żołnierzy z granatami w dłoniach.

Zerknął do góry, po raz ostatni. Chmury zasnuły już prawie całe niebo. Ponownie pomodlił się o deszcz.

Jego modlitwy zostały wysłuchane.

Nie przez deszcz, ale przez ogień. Wielka, jasna, niemalże wulkaniczna erupcja zburzyła niebo na

południowym wschodzie. Grzmot wybuchu przetoczył się po wodach Jamuny, tłumiąc zupełnie hałas, czyniony przez granaty, tak jak wielka fala przyboju wchłania krople wody.

Przez chwilę było cicho. Potem, z tej samej dzielnicy na południowym wschodzie, pierwszy głośny wybuch dał początek całej kanonadzie. Jedna eksplozja następowała po drugiej. Żadna nie była tak silna, jak pierwsza, ale, w swej zwielokrotnionej furii, sprawiały nawet groźniejsze wrażenie. Teraz zobaczył także, jak w powietrze unoszą się rakiety; pędziły w wielu kierunkach, jakby wystrzelono je przypadkowo i bez celowania. Jakby dłoń giganta po prostu wyrzuciła je do góry.

Oficer, dowodzący galera, zaczął wydawać nowe rozkazy. Galera schowała wiosła, zawracając gwałtownie w kierunku południowego brzegu. Zawracała w kierunku południowo-wschodnim, do nabrzeża, gdzie barka Czcigodnej Pani Holi chwiała się od podmuchów eksplozji.

Belizariusz nie mógł dokładnie rozpoznać słów oficera, gdyż jego głos, podobnie jak wszystkie inne dźwięki, utonął w ciągłym hałasie dalekich eksplozji. Ale generał wiedział, co się stało. Przeszukiwanie północnego brzegu z góry uznano za daremne. ^ teraz, po uzyskaniu tak dramatycznego dowodu, że cudzoziemski generał uciekł na południe, zupełnie porzucono poszukiwania na północy.

Belizariusz wyszarpnął nóż spomiędzy desek kadłuba, odepchnął się mocno i zanurkował. Kiedy minutę później wynurzył głowę, rufa szybko oddalającej się galery ledwo majaczyła w ciemnościach.

Po niedługiej chwili Belizariusz wyszedł na brzeg i w pośpiechu ukrył się pod nisko zwieszonymi konarami nabrzeżnych drzew. Tam rozwinął swój tobołek, wyjął ubrania i wylał wodę z butów. Potem szybko się ubrał.

Kiedy tylko wyszedł spod osłony drzew, rozpadał się ulewny deszcz. W przeciągu kilku sekund jego ubranie nasiąkło deszczówką, tak jak wcześniej zmoczyła je rzeczna woda.

Jednakże uciekający generał nie był tym zmartwiony. Wręcz przeciwnie. Uśmiechał się tak szeroko jak Ousanas.

Mimo swej reputacji doskonałego stratega, błyskotliwego taktyka i mistrza podchodów, Belizariusz zawsze sobie powtarzał, że wojna nigdy nie chadza starannymi i przewidywalnymi ścieżkami. Duszą tej bestii jest chaos i zamieszanie. I żeby zwyciężyć, trzeba wykorzystać ten chaos, zamiast się go bać.

Chaos był najlepszym przyjacielem generała, zamieszanie jego ulubionym kompanem.

Odwrócił głowę, z zachwytem patrząc na chaos, szalejący na południowym wschodzie. Z miłością podniósł oczy do góry, podziwiając szalejące niebo.

Do jego umysłu wdarło się pytanie Doradcy.

**I ty się nie boisz? Teraz przecież zostaliśmy sami.**

Belizariusz odpowiedział klejnotowi obrazem.

*On sam i klejnot. Mkną przez zawirowania chaosu. Łapią podmuchy wiatru i szybują wysoko, unikając upadku. A przeciw nim bijące szaleńczo skrzydła i ogłupiałe wściekłe gdakanie – to nadchodzi bestia, zwana Malawą.*

*Wygląda trochę jak gigantyczny kurczak.*

\* \* \*

W tej samej chwili w innym miejscu Walentynian przeklinał chaos i zamieszanie.

Zbrojownia wybuchła właśnie w momencie, kiedy katafrakci zaczęli swoją kawaleryjską szarżę na obozowisko Malawian.

Rezultatem była najbardziej absurdalna sytuacja, jakiej kiedykolwiek Walentynian doświadczył w całym swoim życiu.

On i Anastazjusz perfekcyjnie zgrali w czasie szarżę i ucieczkę pozostałych. Czekali wiele minut,

po tym, jak ostrzelali obóz z łuku, zanim zaczęli atakować. Dali sporo czasu Etiopczykom, żeby ci zdołali odsądzić się od obozowiska spory kawałek. Aksumici potrzebowali tej czasowej przewagi. Umieć jeździć konno, z pewnością, ale z wyjątkiem Garmata, żaden z nich nie posiadał tak doskonałych umiejętności w tym zakresie, jak katafrakci. Dali czas Malawianom, żeby towarzysze zabitych żołnierzy zdążyli wzniecić alarm. Dalsze minuty minęły, zanim niekompetentni dowódcy tych niekompetentnych oddziałów zebrali się do kupy i zaczęli wydawać sprzeczne rozkazy. Minuty, aż chaos zamienił się w zmieszanie. Minuty, żeby Kudżulo ze swoimi żołnierzami, wszyscy przebrani za Ye-tai, przemknęli przez obóz, wykrzykując wieści o ucieczce zdradzieckiego cudzoziemskiego generała Belizariusza.

W końcu nadszedł odpowiedni czas. Do tej pory, jak zakładał Walentynian, Kudżulo i inni Kuszanie, objeżdżający obóz z drugiej strony, dotarli już do oficerów, komenderujących malawiańskimi oddziałami. Tam, łamanym hindi, gęsto przetykanym przekleństwami Ye-tai, Kuszanie mieli wydać oficerom rozkaz rozpoczęcia ataku na południe, gdzie miał się kryć cudzoziemski generał.

Żeby dać dowód ich słowom, na południowy kraniec obozu mieli napaść katafrakci. Potrzebowali tylko dobrego momentu, żeby uderzyć z zaskoczenia.

Walentynian wydał rozkaz. On i jego dwaj towarzysze wypadli spod osłony drzew. Ich konie pędziły w kierunku obozu Malawian, odległego o około sześćdziesiąt metrów. Napięli łuki, wystrzelili pierwsze strzały...

Północne niebo zamieniło się nagle w słup ognia. Zabrzmiało ogłuszający grzmot.

Wszyscy Malawianie, jak jeden mąż odwrócili się w tamtym kierunku i z otwartymi ustami wpatrywali się w niesamowite widowisko. Nawet nie zauważyli pierwszych trzech poszkodowanych, którzy osunęli się na ziemię w tłumie. Trzech żołnierzy zostało zabitych przez strzały, które utkwily im w plecach.

Nie zauważyli także kolejnych trzech trupów. I następnych trzech. I następnych także.

Do czasu, kiedy Walentynian i jego towarzysze dotarli do niskiej, żalösnej palisady, a raczej niskiego ogrodzenia, które otaczało obóz, katafrakci zdążyli zabić już ośmiu malawiańskich żołnierzy i poważnie ranić taką samą liczbę.

I, mimo swojej skuteczności, równie dobrze mogliby być chłopcami, rzucającymi kamieniami w krowy. Wszyscy malawiańscy żołnierze wpatrywali się w jeden punkt, wytrzeszczając oczy na północne niebo, zupełnie nieświadomi rzezi, jaka odbywała się za ich plecami.

Na północy ciągle grzmiały wybuchy. Rakiety pędziły po niebie we wszystkich kierunkach, z sykiem krążąc w poszukiwaniu jakiegoś celu.

Przekleństwa Walentyniana, chociaż głośnie, zupełnie nikły w ogłuszającym hałasie.

Katafraktom pomogło przypadkowe zdarzenie. Jedna z rakiet, wystrzelona z płonącej zbrojowni, nadleciała prosto na malawiański obóz wojskowy. Kłębiący się żołnierze śledzili jej lot. Wznosiła się coraz wyżej i wyżej. I ciągle leciała dokładnie w ich kierunku.

Naprawdę rakietka nie przedstawiała dla nich wielkiego zagrożenia. Ale w jej niesamowitym locie było coś przerażającego. Ta rakietka, inaczej niż jej przypadkowi towarzysze, wydawała się celowo nadlatywać nad obóz, jakby chciała w niego uderzyć. Jej trajektoria była tak prosta i równa, jak lot strzały.

Gromada żołnierzy zaczęła się cofać. A potem, prawie jak jeden mąż, Malawianie odwrócili się i zaczęli uciekać na południe. Byle dalej od nadlatującej rakietki.

W końcu Malawianie zauważyli katafraktów. W końcu, potykając się o rozrzucone ciała, dostrzegli śmierć swoich towarzyszy.

- Najwyższa pora, wy głupie gnojki! – zawołał Walentynian. Na ciągnął łuk i zabił Malawianina, nadbiegającego w pierwszej linii. A potem następnego. I następnego. Anastazjusz i Menander dotrzymywali mu kroku.

Walentynian zobaczył, jak na czoło fali żołnierzy wysuwa się barbarzyńca Ye-tai. Właśnie miał go zabić, ale zmienił cel i posłał strzałę w pobliskiego żołnierza.

- To Rzymianie! – usłyszał wrzask Ye-tai w łamanym, szorstkim hindi. – To sam Belizariusz! Za nimi! Łapcie ich!

Ye-tai przeskoczył przez palisadę, machając mieczem rozkazującym gestem.

- Za nimi! – wrzasnął. Walentynian zobaczył trzech innych Ye-tai, przeciskających się przez tłum Malawian. Bili oni płazem ociągających się szeregowych żołnierzy piechoty i wywrzaskiwali tę samą komendę.
- Za nimi! Za nimi!

Walentynian obrócił konia i zmusił go do galopu. Anastazjusz i Menander popędzili za nim. Sekundy później, z wielkim wrzaskiem, cała armia Malawian puściła się w pogoń.

Uciekając, katafrakt wysłał za siebie telepatyczny przekaz.

*Kudżulo, jesteś odważnym człowiekiem. Ty szalony skurczybyku! Mogłem przecież cię zabić.*

\* \* \*

Kudżulo w rzeczy samej był odważny. Ale nie szalony. Kiedy tylko dostrzegł, że szarzy Malawian już i tak nie da się zatrzymać, zaczął wycofywać się w rozszalałego tłumu. Jego trzech towarzysze podążyli za nim. Minutę później, kiedy mijali mały wąwóz, Kudżulo zanurkował w jego bezpieczną ciemność.

Pod gałęziami drzew było ciemno jak w otchłani. Kudżulo musiał wyszeptać kilka słów zachęty, żeby inni Kuszenie wjechali tam za nim.

- I co teraz? – zapytali go.

Kudżulo wzruszył ramionami.

- Teraz? Teraz sami musimy jakoś uciec.
- Ten cały nasz plan jest zbyt zawiły —jęknął jeden z Kuszanów.

Kudżulo uśmiechnął się. On także uważał, że ich plan jest nieco niedopieczony i zbyt zawiły. Ale już wcześniej poczynił pewne ustalenia z Ousanasem.

- Pieprzyć plan – powiedział radośnie. – Ja liczę na łowcę. Chodźmy – dodał.

Minutę później czterech Kuszanów wyłoniło się po drugiej stronie wąwozu i ruszyło na zachód. Biegli długimi, płaskimi skokami, miarowym tempem, które byli w stanie utrzymywać godzinami.

Będą musieli je wytrzymać. Mieli zaplanowane spotkanie. Polowali na łowcę.

\* \* \*

Szlachetna pani wpadła do stajni przez zachodnią bramę, już od progu wołając ze złością.

- Miasto zupełnie oszalało! Zaatakowali nas mordercy!

Zaskoczeni, jej mąż i właściciel stajni odwrócili się od północnej bramy, przez którą oglądali wybuchy. Eksplozje już zamierały. Padający deszcz, bardziej niż cokolwiek innego, ugasił płonące ruiny. Ale ciągle można było zobaczyć przypadkowe rakiety, wybuchające na wieczornym niebie.

Żona szlachcica podbiegła kilka kroków. Jej gniew przebijał z każdego ruchu. Właściciel stajni dziękował bogom, że nie może zobaczyć jej twarzy, zasłoniętej welonem.

Właściciel, chociaż zaskoczony jej nagłym przybyciem, ciągle miał na tyle sprawny umysł, żeby zauważyć dwie rzeczy.

Mężczyzna zauważył sylwetkę kobiety, widoczną doskonale pod przemoczonym, opinającym ciało sari. Należała do bardzo młodej dziewczyny.

Właściciel, należący do kasty nisko urodzonych, zobaczył także, że na tunikach groźnie wyglądających żołnierzy z jej eskorty widnieją ślady krwi.

Człowiek zniknął, zanurzony w realnym świecie swojej kasty. Podobnie jak wszyscy pokorni mieszkańcy Indii, z wyłączeniem Maharasztry i Radżputany, ostatnią rzeczą, jaką chciałby widzieć w swoim domu był oddział ciężkozbrojnych, morderczo wyglądających żołnierzy. Już i tak był nieszczęśliwy, kiedy szlachcic przyprowadził do jego stajni piętnastu wojowników. A teraz ma tu dziesięciu więcej, a w dodatku na ich ubraniach i broni widnieją jeszcze świeże ślady mordy.

Właściciel stajni zaczął się wycofywać. Z drugiej strony, jego żona po cichu, ale dość gwałtownie zapędziła innych członków rodziny do skromnego domku, przylegającego do stajni.

Szlachcic powstrzymał go ruchem dłoni.

- Nie obawiaj się, dobry człowieku – wymamrotał. – To jest moja osobista ochrona. Są zdyscyplinowani.

Postąpił krok naprzód, żeby powitać swoją żonę. Kobieta ciągle nie mogła opanować złości.

- Uspokój się, kobieto! – rozkazał jej. – Czy jesteś ranna? Żona natychmiast umilkła. Właściciel stajni był pod wrażeniem.

Poczuł nawet zazdrość. On sam nie cieszył się takim posłuchem u swojej małżonki.

Żona potrząsnęła głową, welon zatańczył wokół jej twarzy. Wydawała się nadąsana.

Szlachcic zwrócił się do człowieka, który najwyraźniej był dowódcą jego ochrony.

- Co się stało?

Żołnierz wzruszył ramionami.

- Nie wiem. Byliśmy w połowie drogi, kiedy – machnął rękawem kierunku pomocnym – coś wybuchło. To było jak wulkan. Chwilę później napadła nas wielka banda rzezimieszków. – Ponownie wzruszył ramionami. Ten gest wystarczył za wyjaśnienie następujących po tym wydarzeń.

Właściciel stajni nagle skreślił się nagłym, szalonym paroksyzmem. Próbował powstrzymać śmiech. Starał się jak mógł. Nie potrafił sobie wyobrazić, co skłoniłoby bandę rzezimieszków, żeby zaatakować oddział tak doskonałych żołnierzy. Musieliby być szaleńcami.

Ale... ten świat przecież był szalony. Nie po raz pierwszy właściciel żałował, że zdecydował się kiedyś na opuszczenie swojej rodzinnej wioski w Bengalu. Żałował krótko. Fakt, jego wioska była normalna, ale także bardzo biedna. Tutaj, w Kausambi, dobrze sobie radził, chociaż nienawidził tego miasta.

Kiedy szlachcic wypytywał dalej swoich żołnierzy, martwiąc się o to, czy oni i jego Żona nie odnieśli ran, właściciel stajni miał czas, żeby dokładnie się przyjrzeć ochronie bogacza.

Wiedział na pierwszy rzut oka, że pochodzą z plemienia jakichś barbarzyńców. Wyraźnie się różnili od Malawian. Ich twarze przypominały nieco kupców z Chin i krainy Champa, których widział kilkakrotnie za swojej młodości w wielkim porcie Bengalu, Tamralipti. Podobnie jak tamci mieli płaskie twarze i opadające lekko kąciaki oczu. I lekko żółtawą skórę. Nawet warkoczyk, w który splatali swoje włosy, ukryte pod hełmami, przypominał mu tamtych ludzi. Niektórzy Chińczycy czesali się w ten sposób. Ale żaden z chińskich, ani champskich kupców nie miał takiego wilczego wyrazu twarzy.

Właściciel stajni zupełnie nie był w stanie umieścić ich na mapie znanych sobie narodów. Może byli Ye-tai, chociaż wydawali się bardziej cywilizowani; mimo oczywistej dzikości, różnili się znacznie od żołnierzy Ye-tai, których widywał, chodzących z dumnie podniesioną głową, na ulicach Kausambi.

Ale nie był pewien. Jako Bengalczyk nie miał wielu okazji widywania barbarzyńców z północnych stepów. Kiedy przybył do Kausambi jako imigrant, spotykał ich dosyć często. Ale, jak każdy człowiek przy zdrowych zmysłach, właściciel jak ognia unikał tych spotkań.

Szlachcic podszedł do niego.

- Będziemy już jechać, nadzorco. Jeszcze raz ci dziękuję. Bardzo dobrze opiekowałeś się moimi zwierzętami.

Właściciel stajni pozwolił sobie na harde pytanie.

- Mam nadzieję, panie, że twoja żona nie ucierpiała na ulicy? Szlachcic uśmiechnął się.
- O tak. Tylko się przestraszyła. Nie wiem, co ci bandyci sobie myśleli. – Machnął ręką w kierunku żołnierzy, którzy teraz byli zajęci, pomagając żonie i jej damom wsiąść, do palankinów. Gest mówił sam za siebie.

Właściciel stajni potrząsnął głową.

- Bandyci są z natury szaleńcami.

Szlachcic przytaknął i zaczął przygotowywać się do odjazdu. Nagle wrócił, powodowany najwyraźniej jakąś nagłą myślą.

- Nie mam pojęcia, cóż za szaleństwo dzieje się dzisiaj w Kausambi, nadzorco. Ale, czym by nie było, lepiej zamknij swoje stajnie na kilka dni.

Mężczyzna uśmiechnął się szeroko.

- To samo wpadło mi do głowy, moźny panie. Malawianie... – ugryzł się w język. Szlachcic, chociaż sam nie był Malawianinem, najwyraźniej należał do wysokiej kasty. – Żołnierze w

mieście na pewno wymkną się spod kontroli. – Wzruszył ramionami. Był to gest pełen goryczy.  
– Ale... mam rodzinę na utrzymaniu.

W tym momencie na twarzy szlachcica pojawił się bardzo dziwny wyraz. Właścicielowi wydawał się bardzo smutny. Chociaż nie potrafił powiedzieć, dlaczego.

- Wiem coś o tym, chłopie – wymamrotał szlachcic pod nosem. Podeszedł bliżej i ponownie sięgnął do swojej sakiewki. Właściciel stajni z otwartymi ustami wpatrywał się w kopczyk monet, usypany na jego dłoni.

Następne słowa szlachcic wypowiedział bardzo miękko.

- Tak jak powiedziałem, nie otwieraj stajni. Przez kilka dni. To po winno pokryć twoje straty.

Po tych słowach odwrócił się. Właściciel stajni patrzył, jak zmierza w kierunku palankinu, kiedy nagle uderzyła go pewna myśl.

- Szlachetny panie!

Szlachcic zatrzymał się. Właściciel stajni przemówił do tyłu jego głowy.

- Jeżeli wybaczysz mi moją zuchwałość, możny panie, radziłbym ci opuścić miasto przez Bramę Lwa. To może trochę nie po drodze, ale... żołnierze tam są trochę... zrelaksowani, jeżeli można tak powiedzieć. Zresztą nie należą do bogaczy, panie: Pochodzą z Bengalu. Kiedy tylko opuszczam miasto, zawsze używam tamtej bramy. Nie ma tam żadnych problemów.

Szlachcic kiwnął głową.

- Dziękuję ci, nadzorco. Wydaje mi się, że skorzystam z twojej rady. Minutę później szlachcic i jego żona znikli wraz ze swoją ochroną.

Właściciel pomyślał, że tworzą całkiem mały orszak. Szlachcic jechał sam w palankinie, na pierwszym słońiu, co miało podkreślać jego status. Jego żona podążała za nim w drugim, w towarzystwie jednej ze swoich służek. Trzy inne dziewczęta jechały w ostatnim palankinie. Przed nimi maszerował oddziałek żołnierzy, prowadzony przez dowódcę. Reszta eskorty podążała z tyłu. Właściciel był pod wrażeniem dyscypliny i porządku, w jakim szli żołnierze, zupełnie ignorując deszcz. Szli lekkim marszem, prawie bez wysiłku. Pomyślał, że mogą tak iść godzinami.

Odwrócił się od bramy i w pośpiechu zaczął zakładać ciężkie sztaby.

Pomyślał z zazdrością, że z takimi wierzchowcami nie muszą się o nic martwić. Najpiękniejsze małe słońiatka, jakie widział w swoim życiu.

W połowie długości stajni jego żona wypadła z drzwi, prowadzących do dobudowanego domu. Podbiegła do niego.

- Czy już poszli? – zapytała z obawą. – Dlaczego zamknąłeś bramę – zapytała zdumiona, widząc, że zakłada sztaby. – Klienci pomyślą, że mamy zamknięte.
- Bo mamy zamknięte, żono. I będziemy mieć zamknięte, aż to szaleństwo – pokazał ręką na północ – w końcu się uspokoi i w mieście znów będzie bezpiecznie. – Skrzywił się drwiąco. –

A przynajmniej tak bezpiecznie jak zawsze dla biednych ludzi.

Jego żona zaczęła protestować, ale właściciel stajni uciszył ją, pokazując trzymane w dłoni monety.

- Ten szlachcic był bardzo hojny. Dał nam więcej, niż potrzebujemy. Jego żona nie kłóciła się już więcej. Sama poczuła ulgę na wieść, że mogą jakoś odciąć się od tego szaleństwa.
- Gdyby ktokolwiek w przyszłości pytał o tamtego szlachcica, nic nie mów – powiedział właściciel do swojej żony, później tej nocy, kiedy kładli się spać.

Jego żona popatrzyła na niego zdumiona.

- Dlaczego?

Właściciel spojrział na nią z wściekłością.

- Po prostu rób, jak ci powiedziałem! Chociaż raz, kobieto, posłuchaj swojego męża!

Jego żona ze złością wruszyła pulchnymi ramionami, ale kiwnęła głową, że się zgadza. Zresztą wcale nie dlatego, że była posłuszna, ale raczej ze względów praktycznych. Biedni ludzie są znani z tego, że często muszą rozmawiać z władzami. Biedne kobiety prawie nigdy.

Znacznie później tej nocy właściciel stajni, który nie mógł zasnąć, wstał z łóżka. Podszedł cicho do małego okna i rozchylił okiennice. Tylko odrobinę – w prostej ramie nie było szyby, która zatrzymałaby na zewnątrz złą pogodę.

Przez jakiś czas stał przy oknie, patrząc na wschód. Nic nie mógł zobaczyć poza ciemnościami nocy i strużkami deszczu.

Kiedy wrócił do łóżka, sen zmorzył go prawie natychmiast. Zasnął szybko i z łatwością. Mocne postanowienia często wywierają podobny efekt.

## **Rozdział 15**

Po godzinie Belizariusz wreszcie znalazł to, czego szukał.

Przez tę godzinę bardzo się irytował. Z jednej strony napotkał mnóstwo samotnych żołnierzy. Ale wszyscy należeli do szeregowych oddziałów malawiańskich, unikających wykonywania obowiązków poprzez chowanie się w alejkach i zaułkach miasta. Żaden z tych żołnierzy nie był na tyle duży, żeby Belizariusz mógł wbić się w jego mundur. Zresztą, jeżeli już o to chodzi, nie sądził, by ktokolwiek mógł go pomylić z Hindusem z równiny Gangesu.

Musiał znaleźć Ye-tai. Na zachodzie Ye-tai często nazywano Białymi Hunami. Właściwie słowo „biały” mogło być nieco mylące. Ye-tai nie byli „biali” w takim sensie, jak Goci czy Frankowie. Cera Ye-tai nie różniła się zbyt od cery innych azjatyckich nomadów. Ale ich rysy twarzy były bliższe zachodnim ludom, niż nawet rysy Hunów, czy, jeżeli już o tym mowa, Kuszanów. A Belizariusz miał dość ciemną cerę, jak na Traka, prawie tak ciemną, jak mieszkańcy Armenii, więc pomyślał, że może ująć w tłumie jako Ye-tai. Szczególnie, że płynnie władał ich językiem.

Ye-tai, którego szukał, także powinien być duży. Ale generał był zupełnie pewny, że znajdzie żołnierza podobnej wielkości.

Znalazł mnóstwo Ye-tai. Dużych Ye-tai także. Ale Ye-tai zawsze przemieszczali się w oddziałach i zazwyczaj były bardziej czujni i zorganizowani niż gromady malawiańskich żołnierzy.

Na szczęście dla niego, aktywność Ye-tai była raczej zwrócona do wewnątrz, a nie na zewnątrz.



Polowali na zwykłych żołnierzy, kryjących się w zaułkach, i wypędzali ich na ulice. Przeszukiwanie miasta było bowiem poniżej godności barbarzyńców. To psia robota, dla zwykłych oddziałów. Oni mieli tylko pogonić te psy.

Najpierw, kiedy obserwował wielką poszukiwawczą operację, która właśnie zaczynała obejmować całe miasto, Belizariusz obawiał się, że zostanie pojmany, zanim zdoła opuścić Kausambi. Ale, niebawem, jego strach się rozwiął. Po pół godziny, spędzonej na ostrożnym poruszaniu się na wschód poprzez kręte alejki miasta, generał doszedł do wniosku, że sytuacja jest prawie komiczna.

Wybuch zbójnicy poderwał na nogi wszystkich żołnierzy w stolicy Malawy, należących do różnych oddziałów i narodowości. A że w Kausambi stacjonowało ich bardzo wielu, niebawem na ulicach miasta pojawiła się ich cała masa. Ale ci żołnierze byli dezorientowani i w większości pozbawieni dowództwa. I to nie z braku dowódców, ale dlatego, że oficerowie nie mieli bladego pojęcia, co mają robić. Ale nie chcieli wyglądać na takich, co nic nie robią, a już szczególnie nie pod okiem Ye-tai, więc wydawali swoim żołnierzom bezsensowne rozkazy. Niebawem oddziały atakujące i kontratakujące niewidzialnego wroga tak się przemieszały, że utracono nawet pozory jakiegokolwiek zdyscyplinowanej formacji.

Patrząc na to, co się dzieje, Belizariusz zdał sobie sprawę, że jest świadkiem jednej z militarnych słabości Imperium Malawy. Malawa, z powodu swojej politycznej i socjalnej struktury, nie posiadała praktycznie żadnych wyspecjalizowanych oddziałów szybkiego reagowania. Malawiańscy kszatrijasi, którzy mieli monopol na używanie broni palnej, funkcjonowali bardziej jako uprzywilejowane oddziały artyleryjskie, a nie elitarni żołnierze. Ye-tai, mimo całej swojej sprawności militarnej, także nie tworzyli elitarnych jednostek. W malawiańskiej armii stanowili wyspecjalizowane jednostki bezpieczeństwa, nadzorujące działania zwykłych żołnierzy, ale nie stali na jej czele. A Radżpuci, czy Kuszanie, którzy świetnie się nadawali na elitarne oddziały malawiańskiej armii, nie cieszyli się zaufaniem władzy.

W rezultacie Malawa nie miała oddziałów, które sprawnością i funkcją przypominałyby chociażby przyboczną jednostkę trackich żołnierzy Belizariusza. A w przypadku polowania na zagranicznego zbiega na ulicach wielkiego miasta, takiego jak Kausambi, a w dodatku w nocy i ulewnym deszczu, mały sprawny oddział doświadczonych żołnierzy sprawiłby się daleko lepiej niż hordy szeregowych żołnierzy, które Malawianie posłali do tej akcji.

Więc, z relatywnie małymi trudnościami, Belizariusz w przeciągu pierwszej godziny zdołał dotrzeć na peryferie miasta. Podczas ucieczki trzykrotnie natknął się na oddziały Malawian. Za każdym razem radził sobie z zagrożeniem, po prostu wyrzaskując do nich komendy w ich własnym języku, nakazując im przeszukać następną alejkę.

Malawiańscy żołnierze, słysząc autorytatywne słowa, wykrzykiwane przez autorytatywną osobę, nawet nie pomyśleli, żeby sprawdzić, czy ma on prawo do wydawania takich rozkazów. Prawda, nie rozpoznawali jego munduru. Ale, w ciemnościach i ulewnym deszczu, i tak z trudem widzieli cokolwiek. Tej nocy każdy żołnierz na ulicach Kausambi przypominał bardziej na wpół utopionego szczura niż człowieka. A poza tym, Imperium Malawiańskie składało się z dziesiątków narodów i nacji. Żołnierze nie mieli wątpliwości, że człowiek wydający im rozkazy jest oficerem. Jego hindi był płynny, w rzeczywistości lepszy nawet niż ten, którym posługiwali się żołnierze z oddziału, a tylko oficer mógłby się zachowywać w tak arogancki i nie znoszący sprzeciwu sposób. Malawiańskie oddziały dawno już przemocą zmuszono do posłuchu, więc zastosowali się do rozkazu Belizariusza niczym doskonale wyćwiczone zupaki.

W końcu generał znalazł odpowiedniego Ye-tai. Chowając się w jakimś żywopłocie niedaleko

wylotu uliczki, Belizariusz obserwował oddział Ye-tai, pędzący przed sobą gromadę żołnierzy w kierunku jednej z większych ulic, która wyznaczała granice przedmieść Kausambi. Kiedy mijali zaułek, jeden z barbarzyńców odłączył się od towarzyszy i wszedł w boczną uliczkę. Belizariusz wcisnął się głębiej w cień i czekał, obserwując mężczyznę, aż nadejdzie odpowiedni moment. Ye-tai był duży, a przynajmniej wystarczająco duży, a co najlepsze, najwyraźniej miał zamiar dać Belizariuszowi dobrą okazję. Ye-tai wszedł cztery metry w głąb zaułka, odwrócił się twarzą do jednej z murowanych chałup, które tworzyły jego ściany i zaczął zdejmować spodnie.

Ta operacja zajęła mu trochę czasu, gdyż Ye-tai musiał rozluźnić nieco paski zbroi. Belizariusz czekał, aż barbarzyńca zacznie w końcu sikać. Potem wyskoczył z żywopłotu i pchnął Ye-tai prosto na ceglany mur zaułka. Ye-tai, ogłuszony, odbił się od ściany. Belizariusz wbił pięść w nerkę barbarzyńcy, raz, dwa, trzy razy. Ye-tai z jękiem osunął się na kolana. Belizariusz wyciągnął jego nóż, odciął pasek, przytrzymujący jego hełm i odrzucił go na bok. Potem, odrzucając nóż, złapał Ye-tai za włosy i uderzył jego czaszką o mur, raz, dwa, trzy razy.

Szybko wyrzwał z alejki. Belizariusz w duszy dziękował za panujące ciemności i ulewny monsunowy deszcz. Koledzy Ye-tai nic nie zauważyli, ani nie usłyszeli. Po tym, jak włożył nóż z powrotem do pochwy i założył hełm na własną głowę, Belizariusz zarzucił sobie nieprzytomnego barbarzyńcę na ramię i odbiegł szybko w głąb zaułka.

Trzydzieści metrów dalej, dobrze poza zasięgiem wzroku, położył mężczyznę na ziemi i zaczął zdejmować z niego ubranie. W przeciągu pięciu minut barbarzyńca był nagi jak w dzień swoich narodzin, a Belizariusz nabrał perfekcyjnego wyglądu Ye-tai.

Ale teraz Belizariusz się zawahał, nie mogąc się zdecydować.

Nie zastanawiał się nad tym, czy powinien zabić Ye-tai. To nie stanowiło dla niego żadnej rozterki. Kiedy tylko zdjął z niego ubranie i nie musiał się już martwić potencjalnymi śladami krwi, Belizariusz wyjął nóż. Wbił wąskie, ostre narzędzie prosto w podstawę czaszki barbarzyńcy i z chirurgiczną precyzją przeciął jego rdzeń kręgowy.

Nie wiedział po prostu, co ma zrobić z ciałem. Generał odciągnął je na bok uliczki i spróbował ukryć martwego barbarzyńcę pod krzakami. Nie był zadowolony z tego rozwiązania, gdyż ciało zostanie z pewnością dostrzeżone, kiedy tylko zacznie świtać, ale...

Zatrzymał się, przyglądając się ścianie z gliniastych cegieł. Nagle zdał sobie sprawę, że murek nie był budynkiem. Po prostu otaczał jeden z wielu małych, przydomowych ogródków, gdzie mieszkańcy Kausambi hodowali warzywa, którymi z niewielkim powodzeniem uzupełniali kiepskie posiłki.

Rozejrzał się dookoła, omiatając wzrokiem otoczenie. Znajdował się w jednej z wielu dzielnic, w których mieszkali najbiedniejsi.

Natychmiast się zdecydował. Uniósł ciało nad głowę i przerzucił je przez mur. Sekundę później usłyszał głucho łupnięcie – martwy barbarzyńca wylądował w ogródku. Za ciałem rzucił także swój rzymski uniform. Potem, kierując się ku większej arterii, zaczął po prostu iść aroganckim krokiem właściwym dla Ye-tai.

Podjął spore ryzyko, ale uznał, że i tak ma spore szanse. Był pewien, że mieszkańcy tego małego, biednego domku, a raczej chałupy, usłyszeli zamieszanie w uliczce. Kiedy znajdzie się u wylotu większej ulicy, oni prawdopodobnie będą już w ogrodzie, badając makabryczny, i raczej niepożądany prezent, jaki im sprawił.

I co wtedy zrobią? Zaalarmują władze?

Prawdopodobnie. Mieszkańcy bogatej dzielnicy z pewnością by tak zrobili.

Ale tutaj, w tej okolicy, raczej nie. Biedni ludzie w większości krajów, a już na pewno w

Imperium Malawy, wiedzieli bardzo dobrze, że władze są szybkie w podejmowaniu nieodwołalnych decyzji, jeżeli chodzi o niepożądane problemy.

*Znaleźliście martwego mężczyznę w ogródku na tyłach? Dlaczego go zabiliście, śmierdzące świnie? Okradliście go, nieprawdaż? Zaprzeczacie? Ha! Wydobędziemy z was prawdę siłą.*

Nie, Belizariusz pomyślał, że o wschodzie słońca Ye-tai zniknie, razem z rzymskim uniformem. Mundur, pocięty na kawałki, może się przydać w biednym gospodarstwie domowym na wiele sposobów. A ciało? Nawóz do ogródka.

Belizariusz pomyślał o nieznanej rodzinie, życząc jej dobrych plonów, i poszedł dalej swoją drogą.

\* \* \*

Trzech katafraktów cwałowało drogą, prowadzącą na południe od Kausambi. Walentynian prowadził, za nim jechał Anastazjusz, a na końcu Menander.

Młody katafrakt był przerażony, jak jeszcze nigdy w życiu.

- Zwolnij Walentynianie! Niech cię... zwolnij!

Krzyki nie miały sensu. Szum deszczu wtłaczał jego okrzyki w błoto.

Przynajmniej błoto uchroni nas przed skręceniem karku, kiedy już pospadamy z koni, pomyślał Menander kwaśno.

Walentynian narzucił mordercze tempo. Poganiał konia do najszybszego galopu, pędząc po nieznanej drodze, w nieprzeniknionych ciemnościach, a w dodatku w ulewnym deszczu, który padał tak mocno, że z trudem można było utrzymać otwarte powieki przez czas dłuższy niż kilka sekund.

A w dodatku jechali bez strzemion.

Jednak, w jakiś sposób, przeżyli tę jazdę. I nie wypadli 2 siodła, a konie nie poślizgnęły się w błocie.

Minęli posterunek przy bramie, prawie go nie zauważając. Kiedy zdołali zatrzymać tonie i nieco je uspokoić, pojawili się Etiopczycy.

- Czy wy jesteście szaleni? – zapytał Garmat głośno. Walentynian wzruszył ramionami.
- Mieliśmy mało czasu. – Kiwnął głową w kierunku strażnicy. – Zajęliście się nimi?
- Bądź poważny – warknął Wahsi. – Przecież jesteśmy tutaj już od pół godziny.

Eon, Ezana i Kadfizes podprowadzili zapasowe konie.

- Lepiej zamieńmy wierzchowce – powiedział Anastazjusz. – Te strasznie zgoniliśmy.
- Mnie też zgoniliście – zrzędliwie wyjęczał Menander. – Walentynian, ty jesteś pieprzonym szaleńcem.

Uśmiech weterana był wąski i ostry, jak u łasicy.

- Ale jakoś ci się udało, nieprawdaż? Przecież jesteśmy katafrakta – mi, chłopcze. Kawalerzystami.
- My nie jesteśmy kawalerzystami – zaznaczył Wahsi bardzo stanowczo, kiedy katafrakci przesiadali się na świeże konie. – Więc pozwól nam utrzymywać racjonalne tempo.
- To nie ma znaczenia – wtrąci! Kadfizes. – Kilometr stąd wjedzie my do lasu. Będziemy musieli prowadzić konie w niektórych miejscach, bo to mała ścieżka. O ile można to nazwać ścieżką.
- Mam nadzieję, że wiesz, dokąd nas prowadzisz – powiedział Walentynian.

Uśmiech Kuszana w każdym calu przypominał łasiczy grymas Walentyniana.

- Nie uczę was, jak jeździć konno. Wy nie mówcie mi, jak się szuka ścieżek.

Kuszanie spisał się tak dobrze, jak zapewniał. Pięć minut później, oddziałek złożony z ośmiu mężczyzn i dwudziestu koni zjechał ze szlaku i zanurzył się w lesie. Menander od razu odetchnął z ulgą. Tak jak mówił Kadfizes, tą ścieżką nie można było poruszać się szybciej niż ostrożnym stępem.

Jechali powoli. Zanim zjechali ze szlaku, Menander myślał sobie, że jest ciemno. Teraz, pod drzewami, nie widział zupełnie nic. Grube, zwisające gałęzie, w połączeniu z zaciągniętym, nocnym niebem, zmieniły las w liściastą imitację kopalni węgla kamiennego. I to bez latarni.

Menander nie obawiał się, że spadnie z konia. Poruszali się z szybkością zmęczonej staruszki. Po jakimś czasie przekonał się, że nie grozi mu także potknięcie wierzchowca, ścieżka, chociaż wąska, pozbawiona była wszelkiego rodzaju przeszkód.

Menander bał się tylko jednego – że się zgubią. A w dodatku poruszali się tak wolno, że ścigający ich Malawianie bez trudu ich dogonią, nawet mimo przewagi czasowej, jaką zdobyli nad nimi tą wariacką jazdą, będącą pomysłem Walentyniana.

Ale kiedy zdradził swoje obawy szerokim plecem Anastazjusza, jadącego przed nim, weteran pocieszył go.

- Po pierwsze, nie martwię się, że się zgubimy. Wygląda na to, że Kuszanie dobrze zna drogę. Nie pytaj mnie, jak ją znajduje. Ja nic nie widzę, ale on tak. A jeżeli chodzi o to drugie... Bądź poważny. Kiedy Malawianie dotrą do posterunku i znajdą martwych strażników, dojdą do wniosku, że uciekamy południowym traktem. Nigdy nie znajdą tej bocznej ścieżki. Przelecą obok i nawet się nie zatrzymają.
- Nie zacieramy śladów za sobą. Anastazjusz zaśmiał się pogardliwie.
- Jakich śladów? – zapytał. – Ta ulewa, ten cholerny potop, zmyje wszelkie ślady w przeciągu minuty.

Menander ciągle nie był przekonany, ale nic nie mówił. A potem, pół godziny później, kiedy

wynurzyli się wreszcie z lasu, katafrakt przyznał, że jego obawy były nieuzasadnione.

A przynajmniej przyznał to w duchu. Nic nie powiedział Anastazjuszowi i zignorował ledwie widoczny uśmiech satysfakcji na twarzy weterana.

Kiedy wyjechali z lasu, znaleźli się na innej zakurzonej drodze. A raczej na błotnistej drodze. Zmienił kierunek jazdy, zawracając konie na północ. Po przejechaniu połowy kilometra, a może mniej, droga skręcała i biegła na zachód. Strach Menandra powrócił w nowej postaci. Wydawało się, że ma całą puszkę Pandory różnych lęków.

- Czy Kadfizes wie, gdzie do diabła jedziemy?

Ulewa straciła znacząco na intensywności. Na tyle, że słowa Menandra dotarły do czoła oddziału. Odpowiedź Kadfizesa nadeszła natychmiast. Prolog wypowiedzi składał się z kilku krótkich, szorstkich i obscenicznych wyrazów. Potem, odprężywszy się, Kuzanin przeszedł do wyjaśnień.

- Ta droga nie łączy się z żadną inną. Rozstaje się dopiero w małej wiosce, trzydzieści mil na południe stąd. Trakt ten nie prowadzi również do Kausambi. Obiega z dwóch stron bagno, które obecnie mamy po lewej, a potem biegnie na zachód około dziesięciu kilometrów. Do tego jednak czasu my musimy skręcić na południe, na inną drogę. Już teraz Malawianie nie mają pojęcia, gdzie jesteśmy. A, co najlepsze, na tej drodze nie ma posterunków strażniczych. To trakt dla wieśniaków, a nie dla kupców.
- Gdzie spotkamy Ousanasa i innych Kuzanów? – zapytał Eon. Kadfizes wzruszył ramionami, co ledwo było widać w ciemnościach.
- To zależy od nich, książę. Kudzulo wie, którędy będziemy jechać. Jeżeli uda mu się odnaleźć waszego łowcę, albo wasz łowca znajdzie jego, spotkają się z nami na trakcie. O ile wasz łowca jest tak dobry, jak twierdzicie.

Odpowiedzią Eona było zadowolone mruknięcie.

- Tak się złożyło, że Ousanas wcale nie musiał ich szukać. Wkrótce po wschodzie słońca, jadąc nową drogą na południe, sami go znaleźli. Łowca, wraz z Kudzulo i trzema Kuzanami czekał na nich na poboczu drogi. Spali twardo, i w dodatku na suchym gruncie, schronieni pod na wpół zawaloną chatą, z wyjątkiem jednego Kuzanina, który stał na warcie.

Walentynian był niezmiernie rozczarowany. Szczególnie po tym, jak zauważył prawie już pusty koszyk z jedzeniem.

- Mieliście nawet czas, żeby coś zjeść? – zapytał podejrzliwie, zsuwając się z siodła.

Ousanas usiadł, przeciągnął się i wyszczerzył zęby.

- Wielcy kawalerzyści strasznie się wloką – oznajmił. – Ja zaszokowany. Zdumiony. Złudzenia przysły.

Kudzulo uśmiechnął się.

- Powinieneś się przejechać z tym tutaj. Naprawdę powinieneś. Już na nas czekał, kiedy w końcu uciekliśmy z tego obozu Malawian. Nie mam pojęcia, w jaki sposób tak szybko się tam znalazł. I w dodatku miał ze sobą dwa koszyki z jedzeniem.
- Dwa koszyki? – jęknął Walentynian.
- Jeden zachowaliśmy dla was – powiedział inny Kuzanin, chichocząc. – Ousanas nalegał. Powiedział, że jeżeli tego nie zrobimy, Anastazjusz już nigdy nie porozmawia z nim o filozofii.
- Z pewnością bym z nim nie porozmawiał – zgodził się olbrzym. – Zacytowałbym tylko mały ustęp z Demokryta. Cała materia może zostać zredukowana do atomów. Włączając w to Ousanasa.

Katafrakci i Etiopczycy rzucili się najedzenie. Kiedy już zaspokoili pierwszy głód, młody Menander nie wytrzymał.

- Co to za jedzenie? – zapytał ciekawie.
- Część z tego to suszona ryba – odparł Kudżulo. – A reszta to coś innego.

Menander, przemyślawszy sprawę, zdecydował, że nie będzie dalej drążył tematu. W końcu jedzenie nie smakowało źle, nawet jeżeli podejrzewał, że ta „reszta” miała kiedyś zbyt dużo nóg, żeby pasować zwykłemu Trakowi.

Kiedy już jedzenie znikło, deszcz przestał w końcu padać. Kudżulo i inny Kuzanin poszli do lasu i przyprowadzili ukryte tam konie.

- Skąd wzięliście konie? – zapytał Walentynian. Kudżulo pokazał na Ousanasa.
- On je miał. Nie pytaj mnie, skąd je wzięł, bo nie mam pojęcia. Bałem się zapytać.

Walentynian się nie bał.

- Skąd wzięłeś konie? – zapytał Ousanasa. – Myślałem, że nie lubisz koni – dodał z jękiem, widząc jak lekko Ousanas wskakuje na siodło.
- Nienawidzę, tych kreatur – odparł Ousanas radośnie. – Ale konie, z drugiej strony, bardzo lubią mnie.

Łowca ruszył naprzód, na południe.

- Czy nie uważasz – krzyknął przez ramię – że to dowodzi doskonałej znajomości charakterów po obu stronach?

Kiedy oddział żołnierzy kłusował w kierunku odległego Dekami, Menander w ciągu pierwszych kilku godzin bez zdziwienia zauważył, że Ousanas jest najlepszym jeźdźcem, jakiego w życiu widział.

\* \* \*

O świcie tego samego dnia kapitan bengalskiego oddziału, który stał na straży, a raczej powinno się powiedzieć „kręcił się wokół” Bramy Lwa, jednego z wejść do Kausambi, pomachał grzecznie w kierunku odjeżdżającego szlachcica i jego ochrony. Kiedy już ostatni żołnierz arystokraty i kobiety, należące do eskorty, znikły na drodze, prowadzącej na wschód do Pataliputry, dowódca kazał zamknąć bramę.

- Wspaniały człowiek – powiedział z podziwem. – Chciałbym, żeby wszystkie te malawiańskie dupki były takie, jak on.
- Ile ci dał? – zapytał jego porucznik.

Dowódca nie starał się zachować pozorów. Jego porucznik był także jego młodszym bratem. W rzeczywistości oddział składał się w większości z krewnych i kuzynów. Wyciągnął rękę z otwartą dłonią.

Jego brat szeroko otworzył oczy.

- Poślij po nasze żony – rozkazał kapitan. – Dzisiaj będziemy mieć święto.

\* \* \*

W tej samej chwili Belizariusz wymaszerował z Kausambi przez Bramę Pantery, jedną z bram na zachodnim krańcu miasta. Co prawda, nazwa bramy nie pasowała zbytnio do jej wyglądu. Zapytała i mała, powinna się raczej nazywać „Bramą Kota Z Zaułka”.

Ale, oczywiście, to właśnie ze względu na jej mizериę Belizariusz ją wybrał.

Kiedy przez nią przechodził, sterroryzował kolejnego malawiańskiego żołnierza. Mężczyzna z przerażeniem uciekł szybko przed grożącą mu pięścią barbarzyńcy. Nie miał zamiaru skończyć jak jego sierżant, leżący teraz bez przytomności na ziemi.

Kiedy już wyszedł przez bramę, Belizariusz odwrócił się i oparł ręce na biodrach.

- Następnym razem, wy psy – zawołał głośno – kiedy Ye-tai mówi wam, żebyście otworzyli bramę, lepiej zróbcie to bez dyskusji! – Wy ciągnął miecz. – Albo następnym razem użyję tego!

Wepchnął miecz z powrotem do pochwy, obrócił się i odmaszerował. Za sobą usłyszał, jak z głośnym piskiem zamykają się wrota bramy. Zawiasy nie były odpowiednio nasmarowane, a oddział Malawian bardzo się spieszył, żeby je zamknąć. Strasznie się spieszył.

Droga, którą wybrał Belizariusz, była jednym z traktów, świeżo odnowionych przez inżynierów Malawian. Nie przypominała ani trochę błotnistej ścieżki dla wieśniaków. Miała co najmniej pięć metrów szerokości, wyniesiono ją lekko ponad poziom gruntu, wyrównano dokładnie i wyłożono kamieniem. To była droga, którą nawet Rzymianie z dumą nazwaliby swoją.

Trakt biegł przez kilka kilometrów na południe, równoległe do północnego brzegu Jamuny. Potem skręcał na północny zachód, aż docierał do miasta Mathura, które było odległe od Kausambi o jakieś sto pięćdziesiąt kilometrów. Belizariusz jednak nie miał zamiaru podróżować aż tak daleko. Na północ od Gwalioru do rzeki Jamuny wpadała rzeka Czambal, płynąca z południowego wschodu. A około pięćdziesiąt kilometrów w górę Czambal, do rzeki wpadał kolejny dopływ, rzeka Banas, płynąca z zachodu. Wzdłuż tych rzek także biegły drogi, które zaprowadzą generała do starożytnego miasta Ajmer, leżącego na północnym krańcu gór Arawali.

- Ajmer – zastanawiał się. – Stamtąd mogę pójść na południe, albo na zachód. Ale... zastanawiam się...

Znowu przywołał Doradcę na pomoc. Doradca udzielał mu wszelkich informacji na temat geografii, których potrzebował. A teraz...

*Powiedz mi o królewskich kurierach.*

Deszcz przestał w końcu padać. Idąc drogą, otwarcie i środkiem, zupełnie się nie kryjąc, generał

prowadził ożywioną dyskusję z Doradcą, aż w końcu znaleźli rozwiązanie. Kiedy już ustalili, co robić dalej, Belizariusz po prostu podziwiał świt.

Może nawet będzie tęcza, powiedział sobie radośnie w duchu.

DARAS

*Lato, 530 r. n.e.*

## **Rozdział 16**

Teodora przybyła do posiadłości pod koniec lata. Jej pojawienie się było dla wszystkich niespodzianką... a raczej nie jej pojawienie się w ogóle, ale sposób, w jaki przybyła.

- Jest zaniepokojona – wymamrotała Antonina do Maurycego, patrząc jak imperatorowa wjeżdża na dziedziniec. – Bardzo zaniepokojona. Nie potrafię wymyślić innego powodu, dla którego podróżowałyby w ten sposób.

Maurycy kiwnął głową.

- Myślę, że masz rację. Nawet nie wiedziałem, że ona potrafi jeździć konno.

Antonina zacisnęła usta.

Ty nazywasz to jazdą konną?

Nie bądź złośliwa, kobieto – wyszeptał Maurycy. – Wcale nie wyglądałaś lepiej, kiedy po raz pierwszy znalazłaś się w siodle. Przy najmniej nie wygląda na to, żeby Teodora miała spaść z konia z powodu gigantycznego kaca. Nie trzyma się lęku, tak jak ty wtedy.

Antonina ocaliła resztki godności, ignorując ostatnie słowa Maurycego. Wyciągając ramiona serdecznym gestem, podeszła kilka kroków naprzód, żeby powitać imperatorowa.

Teodorze udało się jakoś zatrzymać konia, jeżeli można tak nazwać ten manewr. Dwudziestu katafraktów, stanowiących jej eskortę, trzymało się w znacznej odległości za nią. Częściowo z respektu przed królewską władzą. W większości ze strachu przed znarowionym koniem, tracącym cierpliwość.

- Jak się schodzi z tej paskudnej bestii? – wysyczała imperatorowa.
- Wasza Wysokość, jeżeli pozwolisz-powiedział Maurycy. Setnik podszedł do konia ze stołeczkiem w rękę. Uspokoił zdenerwowane zwierzę kilkoma łagodnymi słowami i stanowczą ręką. Potem, ustawiając stółek, pomógł imperatorowej zejść bezpiecznie na ziemię.

Kiedy już stanęła na mocnym gruncie, Teodora gniewnie przeciągnęła dłońmi po ubraniu.

- Bogowie... co za smród! Nie ty, to nie do ciebie, Maurycy. To ten brudny koń. – Imperatorowa płonącym wzrokiem zmierzyła biedne zwierzę. – Słyszałam, że podczas oblężeń to jedzą.

Maurycy skinął potakująco głową.

- Cóż, to dopiero coś. Już sienie mogę doczekać – wymamrotała. Antonina wzięła ją pod ramię i zaczęła prowadzić imperatorowa w kierunku willi.
- Nie żeby nadchodząca wojna obfitowała w jakiegokolwiek oblężenia – warknęła imperatorowa, powłócząc nogami. – Nie, jeżeli wszystko będzie się tak dalej toczyć.



Antonina zawahała się.

- Jest aż tak źle? – zapytała.
- Gorzej – warknęła imperatorowa. —Mówię ci, Antonino, czasami tracę wiarę w to, że człowiek został stworzony na podobieństwo Boga. Czy jest możliwe, że Wszechmogący to kretyn? Postępki dzieła jego rąk wyraźnie na to wskazują.

Antonina westchnęła.

- Zakładam, że Justynian nie zechciał posłuchać twoich ostrzeżeń?
- Justynian wyraźnie na to wskazuje – zawarczała. – Wielki Justynian na niebie – sarknęła. – Pomyśl, taki wielki gaworzący idiota – jęknęła, – I ślini się, jak mówi – warknęła.

\* \* \*

Później, po zjedzeniu dość wyszukanego posiłku, humor Teodory wyraźnie się poprawił. Podniosła czarę z winem w geście pozdrowienia.

- Gratuluję ci, Maurycy – powiedziała. – Udało ci się przywieść poborcę podatkowego z tej prowincji na skraj śmierci. Śmierci z powodu apopleksji.
- Ciągłe jest wkurzony z powodu tych podatków? – zapytał zrzędliwie Maurycy.
- Skarżył mi się godzinami, a zaczął już w momencie, kiedy zsiadłam ze statku. Wiesz, że ta całkiem spora posiadłość kosztuje go wielką dziurę w jego własnym budżecie. To go najwięcej wkurza, chociaż myślę, że inni poborcy podatkowi także go naciskają.
- Wasza Wysokość – odparł tylko Maurycy, nie wdając się w dyskusję.

Imperatorowa z uśmiechem potrząsnęła głową.

- Naprawdę nie powinieneś ich bić aż tak mocno. Przecież oni tylko wykonywali swoją pracę.
- Wcale nie! – wcięła się Antonina. – Ta posiadłość jest legalnie wyłączona spod generalnych zarządzeń i oni doskonale o tym wiedzieli!
- Tak jest – zgodził się Kasjan. – Technicznie wchodzi tutaj w grę *res privata*. To część...

Teodora uciszyła go mchem ręki.

- Proszę, biskupie! Od kiedy to poborcy podatkowi w prowincjach przejmują się jakimiś tam drobnymi niuansami w legalnym statusie podatkowym rezydencji. Myślą tylko o wyciskaniu. Wyciskaniu. Niech tam sobie ślą skargi do Konstantynopola. Do czasu, aż biurokraci zajmą się tą sprawą, i tak wszyscy umrzemy ze starości.

Maurycy przytaknął ze zrozumieniem.

- Doskonale powiedziane, Wasza Wysokość. Taka jest zazwyczaj tak tyka tych poborców podatkowych. – Upił łyk wina.—I to jest doskonała taktyka. Tylko trzeba się upewnić, że wybrałeś odpowiednią, gąbkę.

Teodora potrząsnęła głową.

- Co, oczywiście, jak zakładam, nie dotyczy posiadłości, zamieszkanych przez kilka setek trackich katafraktów.

Maurycy odchrząknął.

- Właściwie, Wasza Wysokość... nie. Ja bym tego nie zalecał. Szczególnie wtedy, kiedy katafrakci mają jakiś sekret do ukrycia przed wścibskimi oczami poborców podatkowych.

Teodora uśmiechnęła się szeroko do biskupa. Znowu podniosła kielich pozdrawiającym gestem.

- Toast należy się także tobie, Antoniuszu Kasjanie! Nie sądzę, żeby jakikolwiek inny biskup<sup>1</sup> w historii Kościoła sprawił, że patriarcha, mówiąc o nim, pieni się ze złości.

Kasjan uśmiechnął się świętoszkowato.

- Jestem pewien, że przesadzasz, Wasza Wysokość. Patriarcha Efra – im to z pewnością człowiek o ogromnej godności osobistej. Naprawdę się zapienił? – dodał półgębkiem, jakby po kryjomu.

Teodora pokiwała głową. Kasjan wyglądał na bardzo zadowolonego z siebie.

- Cóż, to z pewnością stawia mnie w dostojnym gronie. To nie do końca prawda, wiecie. To, że jestem pierwszy. Wielki Jan Chryzostom sprawił, że bardzo wielu patriarchów dostawało piany na ustach.

Antonina uśmiechnęła się, słysząc tę deklarację. Aż przypomniała sobie, co spotkało Jana Chryzostoma. Inni, siedzący wokół stołu, także sobie przypomnieli i ich uśmiechy znikły jak płomyki świec, gaszonych po skończonej kolacji.

- Tak – powiedziała imperatorowa Rzymu. – Pograżamy się w ciemnościach nocy. Może przeżyjemy, żeby ujrzeć świt.

Teodora odstawiła kielich, ciągle w połowie pełny.

- Ja już mam dosyć – powiedziała. – Sugeruję, żebyście także trochę przyhamowali z winem. Przed nami długa noc.

Mimo swej uprzejmości, sugestia zabrzmiała niczym królewski rozkaz. Wszystkie czarki z winem zadzwoniły o blat stołu, prawie jednocześnie. Prawie... Sitas trochę się spóźnił, w pośpiechu opróżniając kielich, zanim go odstawił.

- Justynian mnie nie posłucha – zaczęła imperatorowa. – Mogła bym równie dobrze walić głową w mur. — Jęknęła. — Wolałabym już walić głową w mur. Przynajmniej ściana z cegieł nie poklepie mnie po głowie i nie powie, że bierze moje słowa pod uwagę.

Westchnęła.

- On teraz słucha tylko Jana z Kapadocji i Narsesa. Obaj zresztą, nie muszą chyba mówić, zachęcają go do coraz gorszych głupot. I zapewniają, że jego żona niepotrzebnie się przejmuje.

Przez chwilę imperatorowa patrzyła w bok. Jej twarz przypominała maskę – tak bardzo się starała, aby nie popłynęły łzy.

- Słowa Narsesa robią najwięcej szkody – wyszeptała. – Justynian nigdy nie miał zbyt wielu złudzeń na temat Kapadocjana. Toleruje Jana, bo ten człowiek jest bardzo skuteczny jako poborca podatkowy, ale mu nie ufa. Nigdy mu nie ufał.
- On jest zbyt skuteczny – zrzędlawie wtrącił się Sitas. – Jego podatkowa polityka doprowadzi do ruiny wszystkie majątki w Imperium Rzymskim, z wyjątkiem królewskiego skarbcza.
- Nie mogę się z tobą nie zgodzić, Sitasie – westchnęła imperatorowa. – Właściwie Justynian także nie. To jedna z wielu sprzeczności u tego człowieka. Rzym nigdy nie miał imperatora, który poświęcałby tak wiele czasu i energii, żeby dopilnować równości podatkowej wobec wszystkich mieszkańców. A potem zniszczył to wszystko, nakładając na lud tak duży ciężar, że nikt nie jest w stanie tego zapłacić i nieważne, czy sprawiedliwie nim obciążono, czy nie.

Teodora machnęła ręką.

- Ale nie zagłębiajmy się w ten temat. Nie ma sensu. Polityka podatkowa mojego męża bierze się z tego' samego źródła, co polityka wyznaniowa. Obie sanie najlepsze... i on o tym wie, ale obie są wymagane w jego dziele ponownego przyłączenia barbarzyńskiego zachodu do Rzymskiego Imperium. On nie myśli o niczym innym. Nawet Persja ledwo go interesuje. A Malawy zupełnie nie dostrzega.
- A więc nie ma nadziei – odezwał się biskup Kasjan – że Justynian zaprzestanie prześladowań monofizytów?

Teodora potrząsnęła głową.

- Żadnej. Pamiętaj jednak, że on do tego nie zachęca. Ale beztrąsko patrzy w inną stronę i nie odpowiada na skargi, wysyłane przez poszkodowanych. Jedno, co ma dla niego jakiegokolwiek znaczenie, to aprobatą dla ortodoksów. Liczy na ich błogosławieństwo, kiedy wyruszy na podbój zachodnich wybrzeży Morza Śródziemnego.
- Zakładam, że jeżeli słucha Jana i Narsesa – powiedziała szorstko Antonina – a już szczególnie Kapadocjana, to oznacza, że Belizariusz ciągle nie cieszy się zaufaniem władcy.

Teodora uśmiechnęła się lodowato.

- Och nie, wcale nie, Antonino. Wręcz przeciwnie. Jan i Narses nie przestają wznosić pęanów na cześć twojego męża. Aż braknie im tchu. Jest prawie tak, jakby się. domyślali...

Przerwała, rzucając twarde spojrzenie na Antoninę. Sitas wystraszył wszystkich, mocno uderzając swoją mięsistą dłonią w blat stołu.

- Ha! Tak! – zawołał. – Oszukał tych bękartów! – Złapał swój kie lich i nalał sobie do pełna. – To aż się prosi o toast!

- O czym ty bredzisz, Sitasie? – zapytała imperatorowa. Generał uśmiechnął się do niej ponad brzegiem pucharu. Jego twarz

na chwilę znikła, kiedy przechylił czarką i jednym łykiem prawie do połowy ją opróżnił. Potem otarł usta z zadowoleniem.

- Jeżeli tak odważnie reklamowali Belizariusza na dworze, Wasza Wysokość, a wiesz, jak bardzo Jan z Kapadocji go nie lubi, to może oznaczać tylko jedno. Mają o nim jakieś informacje, których my nie posiadamy. A to...

Reszta wina znikła w jego przepastnym gardle.

- ...może być tylko raport z Indii mówiący, że Belizariusz planuje zdradą Rzymu. – Z szerokim uśmiechem rozejrzał się po pokoju. Ponownie sięgnął po butlę z winem. – To wymaga...
- Sitas! – wybuchła imperatorowa. Generał wyglądał na urażonego.
- Tylko odrobinę wina, Wasza Wysokość. Cóż jest złego w...

Powiedz mi, jaki masz powód do świętowania?

- Ach, to. – Sitas radośnie podjął nalewanie wina. – To oczywiste, Wasza Wysokość. Jeżeli dostali jakieś wieści z Indii, a nie widzę innej przyczyny takiego zachowania, to mówi nam dwie rzeczy. Po pierwsze, Belizariusz żyje. Po drugie, robi to, co zaplanował, czyli swoim zwyczajem omamia wroga.

Zasalutował ponownie pełnym kielichem.

- Dlaczego jesteś taki pewny, że postęпки Belizariusza są tylko ma mieniem wroga? – ostudziła go imperatorowa.

Kiedy tylko Sitas postawił swój kielich na stole, jego radość została zastąpiona przez spokój.

- Martw się lepiej o coś innego, Wasza Wysokość – powiedział. – Martw się, że słońce zacznie wschodzić na zachodzie. Martw się, że ryby zaczną śpiewać, a ptaki pokryją się łuską. – Prychnął szyderczo. – Jeżeli naprawdę nalegasz, żeby martwić się jakimiś urojenia mi, zamartwiaj się lepiej obawą, że zacznę pić wodę i uprawiać gimnastykę o wczesnym poranku. Ale nie obawiaj się tego, że Belizariusz cię zdradzi.

Nagle do rozmowy wtrąciła się Antonina. Jej głos był zimny, bardzo zimny.

- Jeżeli naprawdę tak myślisz, Teodoro, z nami koniec. Wszyscy zamarli. Mimo serdeczności i poufałości, jaką Teodora okazywała zebrany w pokoju, niebezpiecznie było straszyć imperatorowa. A już na pewno tę imperatorowa.

Ale to Teodora, nie Antonina, przerwała pierwsza wymianę wściekłych spojrzeń.

Imperatorowa wzięła głęboki oddech.

~ Ja... bardzo... – zamilkła.

Antonina potrząsnęła głową.

- Nieważne, Teodoro. Nie spodziewałam się przeprosin. – Spojrzała na Sitasą. – A przynajmniej nie bardziej, niż spodziewałabym się, że on zacznie uprawiać gimnastykę o poranku.
- Uchowaj Boże. – Generał wzdrygnął się i sięgnął po czarkę z winem. – Na samą myśl o tym wpadam w alkoholizm.

Teodora, patrząc jak Sitas osusza swój kielich, uśmiechnęła się nagle. Podniosła swoją czarkę i wyciągnęła w jego kierunku.

- Nalej mi też, Sitasie. Myślę, że do ciebie dołączę. Kiedy już jej czarka była pełna, podniosła naczynie do góry.
- Za Belizariusza – powiedziała. – I za was wszystkich, którym ufam.

Dwie godziny później, kiedy Teodora wreszcie skończyła przekazywać swojej małej zaufanej gromadce wszystkie najnowsze wieści ze stolicy, jakie zdobyła dla niej Irena przez ostatnie miesiące, imperatorowa oznajmiła, że idzie spać.

- Jutro rano muszę być w najlepszej formie – wyjaśniła. – Chcę zobaczyć ten wasz nowy regiment wieśniaków... jak go nazywacie?
- Grenadierzy – podpowiedział Hermogenes.
- Tak, grenadierzy – ładnie brzmi! Nie chcę, żeby się rozczarowali, widząc swoją imperatorową. A z pewnością tak by było, gdyby zrobiło mi się nagle niedobrze.

Wszyscy wstali razem z imperatorową. Kiedy wyszła, odprowadzana do swojej sypialni przez Antoninę, większość pozostałych także udała się na spoczynek. Niebawem tylko Sitas i Antoniusz Kasjan pozostali w pokoju.

- Czy ty nie wybierasz się także do łóżka? – zapytał generał, nalewając sobie kolejną porcję wina.

Biskup uśmiechnął się anielsko.

- Pomyślałem sobie, że jeszcze trochę zostanę. W końcu taka okazja zdarza się tylko raz w życiu. Mam na myśli ciebie, uprawiającego gimnastykę.

Sitas zakrztusił się, rozlewając wino.

- Och, tak – wymamrota! Kasjan. – To tylko kwestia czasu, jestem o tym przekonany. To cud, oczywiście. Ale tego wieczora cuda zdarzają się często. Czyja nie widziałem właśnie, jak imperatorową Teodora spełnia toast zaufania?

Sitas zbombardował go wzrokiem i nalał sobie kolejny kielich. Biskup zmierzył wzrokiem butlę z winem.

- Na twoim miejscu bym uważał, Sitasie. Prawdopodobnie zmieni się w wodę.

Imperatorową nie rozczarowała swojego nowego regimentu podczas inspekcji następnego ranka.

Wcale ich nie rozczarowała.

Pojawiła się przed nimi ubrana we wszystkie oznaki władzy. Obok jej tronu kroczyła Antonina, Sitas, Hermogenes i biskup Kasjan.

Grenadierzy z wioski, patrząc na nią, byli pod wrażeniem. Podobnie jak ich żony, stojące obok nich w mundurach pomocników.

Oczywiście spore wrażenie zrobiły na nich regalia. Także dostojna powaga jej eskorty. Ale najbardziej podobał im się tron.

Ubrania, kiedy dobrze się nad tym zastanowić, są tylko ubraniami. Prawda, imperatorową nosiła na sobie najczystszy jedwab. Grenadierzy ubrani byli w samodział. Ale należeli do ludzi bardzo praktycznych. Ubrania miały dla nich wartość użytkową, nieważne jak i z czego były uszyte.

Tiara była dla nich oczywiście czymś nowym. Nie mieli jakiegoś prostego wieśniaczego ekwiwalentu tego splendoru. Ale każdy z nich wiedział, że imperatorowe noszą tiary. Bardzo to imponujące, ale oczekiwane.

Nawet jej eskorta nie zrobiła na nich oszałamiającego wrażenia. Młodzi Syryjczycy poznali już tych ludzi przez ostatnie kilka miesięcy. Wraz ze znajomością, którą starsi uważali za zbyt spoufalanie się, szedł respekt. A w przypadku Antoniny i Kasjana, nawet adoracja. Jednakże ci ludzie nie byli niczym nowym.

Ale ten tron!

Przez cały czas, kiedy czekali, aż imperatorową pojawi się wśród nich, zastanawiali się, co to za dziwna rzecz. Między ludźmi krążyły różnorakie pogłoski. Piechurzy, należący do regularnych oddziałów Hermogenesa, którzy służyli jako szkoleniowcy i tymczasowi oficerowie oddziału grenadierów, usiłowali spojrzeniem uciszyć rozmawiających, ale bezskutecznie. Grenadierzy i ich żony mieli swoje własne zdanie na temat dyscypliny wojskowej. Stanie w szeregu, w dobrze zorganizowanej jednostce, wydawało się tym wieśniakom sensowne. A nawet bardzo rzymskie, bardzo żołnierskie. Więc ich szeregi i pododdziały nigdy nie traciły równości i precyzji. Ale utrzymywanie martwej ciszy to zupełny nonsens, więc grenadierzy nie wahali się i na głos wyrażali swoje przypuszczenia.

W którymś momencie pole obiegła plotka, że imperatorową będzie walczyć z pogaństwem. Niektórzy z grenadierów byli już na krawędzi buntu, gdyż tron wydawał im się ołtarzem, na którym biskup będzie karał pogan.

Ale pojawienie się biskupa rozwiało te obawy. Kolejna plotka, walcząca o miano prawdy, powróciła na usta wszystkich. Ta rzecz miała być nagrodą w żołnierskich zmaganiach. Zostanie przez nią wyłoniony oddany i lojalny oddział, który stanie się kolektywnym Herkulesem, zdolnym do uniesienia tego ciężaru. A może nawet uda im się przesunąć tę rzecz o kilkadziesiąt centymetrów.

Więc, kiedy Teodora w końcu posadziła swój imperialny zadek na tronie, z wielką radością ujrzała wyrazy respektu, malujące się na twarzach młodych ludzi.

- Mówiłam wam, że warto to ze sobą ciągnąć – wymamrotała triumfalnie do Antoniny.

Chociaż na jej twarzy próżno by szukać potwierdzenia, Teodora była pod wrażeniem następnych dwóch godzin.

W pewnym stopniu imponowały jej same granaty. Słyszała o broni palnej, wynalezionej przez Malawian. I w zasadzie wierzyła w te opowieści, ale była sceptyczna z natury. Potem, nawet wtedy, kiedy jej podejrzliwość została rozwiana przez demonstrację broni, wcale nie wpadła w nadmierny zachwyty. Zupełnie inaczej niż większość ludzi w tamtych czasach, Teodora była obeznana z

mechanizmami i sprytnymi urządzeniami. Wielki Pałac w Konstantynopolu aż kipiał od tego rodzaju zabawek.

Faktycznie, granaty były potężne. Teodora z łatwością mogła sobie wyobrazić ich militarne zastosowania, chociaż sama nie była żołnierzem.

Teodora była władczynią. I podobnie jak inni tego rodzaju ludzie, warci tej nazwy, zdawała sobie sprawę, że to nie broń może wynieść kogoś na tron. Czynią to ludzie, którzy tą bronią władają.

Więc imperatorowa była pod wielkim wrażeniem grenadierów.

- Jak ci się to udało? – wyszeptała, nachylając się do ucha Antoniny. Antonina skromnie wzruszyła ramionami.
- W zasadzie w każdym sporze z żołnierzami brałam stronę, wieśniaków. A przynajmniej wtedy, kiedy chodziło o ich codzienne sprawy. Nie interweniowałam w przypadku sporów na tle militarnym. Zresztą tych ostatnich nie było wiele. Ci syryjscy chłopcy z zachwytem uczą się wojennego rzemiosła i we wszystkim zgadzają się z Maurycym. Po prostu nie chcą przestrzegać niektórych głupich zasad.

Teodora obserwowała oddział grenadierów, demonstrujących kolejny manewr. Sześciu mężczyzn pobiegło naprzód, za nimi podążało także sześć kobiet pomocników. Grenadierzy szybko schowali się za barykadą i zaczęli wyrzucać granaty w kierunku odległej szopy, która służyła im za cel.

Niebawem z szopy zostały tylko drzazgi. Ale Teodora nie zwracała zbytnej uwagi na jej destrukcję. Bardziej była zainteresowana samymi grenadierami, a szczególnie bardzo sprawnymi żonami, czyli pomocnikami, którzy zawsze ucinali i zapalali lonty.

Patrząc na kierunek jej spojrzenia, Antonina zachichotała.

- To był mój pomysł – mruknęła. – Generałowie oczywiście się nie zgadzali. Ale ich osadziłam. – Sarknęła. – Głupi mężczyźni. Nie mogli zrozumieć, że taki wieśniak może powierzyć swoje życie tylko jednej osobie, swojej żonie. Nikt inny nie mógłby tak krótko przyciąć lontu, a ona już zadba, żeby nie wysadzić w powietrze swojego męża.

Nowa salwa granatów poszybowała w kierunku szopy, z której wiele już nie zostało, rozsiewając iskry z płonących lontów.

- Patrz – powiedziała Antonina. – Patrz, jak one dokładnie przycinają lonty. Granat wybucha w odpowiedniej chwili.

Wybuch nastąpił prawie jednocześnie z uderzeniem granatów w szopę. Ostatnie, stojące jeszcze deski, zamieniły się w kupę drzazg.

- To sztuka – powiedziała. – Jeżeli lont jest zbyt krótki, granat wybuchnie podczas lotu w powietrzu. Gdy jest jeszcze krótszy, wybuchnie zanim grenadier zdąży rzucić granat. Ale jeżeli lont przytnie się zbyt długo, wróg będzie miał czas, żeby odrzucić granat.

Antonina z satysfakcją wypuściła powietrze.

- Kobiety grenadierów są mistrzyniami tej sztuki. – Zachichotała. – Nawet Sitas w końcu przestał narzekać i sam to przyznał, po tym jak sam spróbował.

- I co się stało?

Antonina uśmiechnęła się.

- Na początku każdy granat, jaki rzucił, był odrzucany z powrotem na jego głowę. Na szczęście używał granatów do ćwiczeń, które robią tylko głośne bum, kiedy wybuchają. Ale i tak wyglądał jak żaba, próbująca robić uniki. W końcu się wkurzył i przyciął lont zbyt krótko. – Wyszczrzyła zęby. – Sporo za krótko.
- Czy bardzo ucierpiał?

Antonina uśmiechnęła się jeszcze szerzej.

- Nie bardzo. Ale przez parę dni musiał podnosić kielich z winem lewą ręką. Nie mógł go utrzymać w prawej, bo za grubo była owinięta bandażami.

Ćwiczenia zakończono wielkim manewrem, symulującym bitwę w pełnej skali. Cały regiment syryjskich wieśniaków i ich żon ustawił się w środku, w dość ciasnej formacji. Oddziały piechoty Hermogenesa otoczyły grenadierów, służąc jako ich ochrona w przypadku bezpośredniego starcia. Maurycy i jego katafrakci, w pełnych zbrojach, siedząc na bojowych koniach, pilnowali flanki przed atakiem kawalerii wroga.

Sitas wydał rozkaz. Grenadierzy rzucili granaty. Wybuchy rozorały pusty grunt w odległości stu pięćdziesięciu metrów. Piechota podeszła do przodu dziesięć metrów z mieczami i tarczami wyciągniętymi przed siebie. Oddział grenadierów wyrównał do piechoty, żony podały im granaty i wtedy znów rzucili. Po raz kolejny ziemia wyskoczyła do góry w chaosie kurzu i trawy. Znowu piechota podeszła do przodu. A za nią grenadierzy.

Na bokach katafrakci rozprzestrzeniaли się niczym szczęki rekina.

Sitas obrócił się w siodle, uśmiechając się szeroko do imperatorowej.

- Wygląda wspaniale – wymamrotała Teodora do Antoniny. – A jak myślisz, jak to będzie w prawdziwej bitwie?

Antonina wzruszyła ramionami.

- Wyobrażam sobie, że to będzie jatka. Nic w rodzaju tej uporządkowanej operacji. Ale nie martwię się tym, Teodoro. Wróg wcale nie będzie w lepszym stanie.

Teodora zmierzyła ją niedowierzająco wzrokiem.

- Odpręż się, imperatorowo. Mój mąż jest generałem, przypomnij sobie. Wiem wszystko o pierwszym prawie bitwy. I o jego następstwach.

Teodora kiwnęła głową.

- To dobrze. – Uśmiechnęła się zimno. – Szczególnie, że jesteś nowym dowódcą tego regimentu. A tak przy okazji, jak zamierzasz ich nazwać?

Antonina patrzyła na nią z otwartymi ustami.



- Szybciej, zdecyduj się, kobieto. To elitarny oddział. Musi mieć jakąś nazwę.

Antonina zatchnęła się, niczym ryba wyjęta z wody.

- Co masz na myśli... dowódca? Ja przecież nie jestem żołnierzem! Ja jestem... – Jęknęła. – Jestem kobietą, na litość boską.. Czy ktokolwiek słyszał, żeby kobieta...

Imperatorowa pokazała palcem w kierunku grenadierów niczym berłem.

- Oni słyszeli – powiedziała. Teodora z satysfakcją oparła się wygodnie na tronie. – Poza tym, Antonino, nie ufam nikomu na tyle, żeby dać mu ten regiment. Ta nowa broń jest zbyt potężna. Ty będziesz moją ostatnią nadzieją, moją tajną bronią, kiedy upadnie już wszystko inne. Nie oddam mojego życia w ręce mężczyźni. Już nigdy więcej.

Imperatorowa wstała.

- Poinformuję Sitasą. Oczywiście będzie jęczał i beczał, jak strzyżona owca. Ale niech wyje – dodała ponuro i zimno. – Ogołę go do gołej skóry.

\* \* \*

Dziwne, ale Sitas wcale nie jęczał. Ani trochę.

- Tak myślałem, że ona to zrobi – wyznał Antoninie. Stał obok niej, patrząc jak zareaguje tłum na wieść o nowym dowódcy, którą właśnie przekazała im Teodora. – Sprytna kobieta – powiedział z po dziwem.

Antonina zerknęła na niego podejrzliwie.

- To zupełnie do ciebie niepodobne – mruknęła. – Przecież jesteś najbardziej porywczym...
- Nonsens! – odparł radośnie. – Wcale nie jestem porywczy. Po prostu jestem leniwy. Nienawidzę nowych pomysłów, ponieważ za zwyczaj wymagają one ode mnie jakiegoś działania. Podczas gdy to...

Uśmiechnął się szeroko do grenadierów, którzy kiedyś byli wieśniakami. Niektórzy z nich niepewnie oddali uśmiech. Jednakże większość patrzyła na swojego nowego dowódcę. Na te niecałe metr sześćdziesiąt kobiecości. Mężczyźni nie wierzyli własnym oczom. Ich żony wybałuszały oczy.

- Baw się dobrze, dziewczyno – wymamrotał generał. – Na szczęście ja mogę wrócić do moich zwyczajnych obowiązków. Poprowadziłbym szarżę katafraktów nawet z zamkniętymi oczyma.

Odwrócił się i pochylił w kierunku Teodory.

- Myślę, że powinniśmy ich nazwać Kohorta Teodoryjska – oznajmił.
- Doskonały pomysł – zgodziła się imperatorowa. – Świetny.

\* \* \*

Tej nocy, nieludzko ściśnięci w głównym holu willi, starsi mieszkańcy wioski dali jasno do zrozumienia, że dla nich rzeczywistość nie wydaje się taka świetna.

Ani trochę. Zupełnie.

Nie mieli pretensji co do nazwy oddziału. Nazwa, jeżeli chodziło o nich, była bez znaczenia.

Mieli obiekcje co do całej reszty.

- Kto będzie uprawiał ziemię, kiedy oni odjadą? – jęczał jeden ze starszyny. – Wioska umrze z głodu.
- Wcale nie – oznajmiła Teodora. Imperatorowa pochylała się nad małym tłumkiem starszyny. Tron, na którym siedziała, z wielkim wysiłkiem został wniesiony do willi.
- Nikt nie będzie cierpiał głodu. Wręcz przeciwnie. Każdy z grenadierów w Kohorcie Teodoryjskiej będzie dostawał roczny żołd w wysokości dwudziestu numizmatów. Zapewnię im także dodatkowe dziesięć numizmatów rocznie na wyposażenie i mundury. Ich żony, pomocnicy, dostaną połowę tego.

Stojący za starszyna przedstawiciele grenadierów i ich żon zamruczeli podekscytowani. Roczny dochód w wysokości dwudziestu numizmatów, greckich odpowiedników solida, był dwukrotnie wyższy niż zarobki przeciętnego syryjskiego gospodarstwa. Dobrze prosperującego gospodarstwa. Dodatkowe dziesięć numizmatów wystarczało z nawiązką na oporządzenie żołnierza. A wraz z żołdem żon każda z rodzin mająca kogoś w szeregach Kohorty potrajała swoje średnie roczne dochody.

Starsi szarpali się za brody, przeliczając w myślach.

- A co z dziećmi? – zapytał jeden z nich.
- Dzieci będą towarzyszyć rodzicom w Kohorcie – przemówiła Antonina. – Imperatorowa zgodziła się także na wynagrodzenia dla sług, którzy mogą być potrzebni.

Po tym oświadczeniu z gardeł grenadierów po raz kolejny wydobył się pomruk zadowolenia. A szczególnie z gardeł ich żon.

- Oczywiście, podczas bitwy dzieci pozostaną w taborach, w bezpiecznym miejscu.
- Obóz nie będzie bezpieczny, jeżeli poniosą klęskę – zauważył jeden ze starszych.

Jeden z grenadierów, stojących z tyłu w końcu stracił cierpliwość.

- Wioski także nie będą bezpieczne, jeżeli nas pokonają! – sarknął. Jego towarzysze wymruczeli słowa potwierdzenia, ich żony także.

Starsi znów zaczęli mierzwić swoje brody. Liczyli. Spróbowali z innej strony.

- To niesłychane, żeby dowódcą była kobieta. – Starszy, który wy powiedział te słowa, spiorunował wzrokiem żony grenadierów.
- Dziewczętom przewróci się w głowach – przewidywał inny.

Jakby potwierdzając jego słowa, kilka żon wykrzywiło się do niego. Ku jego jeszcze większemu zmieszaniu, grenadierzy zaśmiali się głośno.

- Widzisz? – powiedział zrzędliwie. – Już zachowują się... Imperatorowa zamierzała go właśnie uciszyć, ale jej głos został za głuszony przez jakiś inny.
- Niech was, wy głupcy!

Cały tłum zamarł i ucichł nagle, zaskoczony tym głosem.

- Całkiem niezłe wejście, nie sądzisz?—mruknął Kasjan. Głos wpadał do pokoju przez boczne drzwi.

Starsi skurczyli się w sobie. Młodzi grenadierzy i ich żony pochyłili głowy. Nawet Teodora, siedząca na wysokim tronie, z trudem powstrzymała się przed skłonieniem głowy w obecności wchodzącej postaci.

Tego jastrzębia. Tego pustynnego drapieżnego ptaka.

Michał z Macedonii wbił swój dziób prosto w twarz starszego, który ośmielił się narzekać.

- Więc jesteś mądrzejszy niż sam Chrystus? – zapytał z mocą. – Wiesz lepiej, jakie są boskie przykazania, niż jego syn?

Starzec drżał ze strachu. I miał powody. Na równinach monofizycznej Syrii, władza ortodoksyjnych kapłanów nic nie znaczyła. Nawet słowa i narzędzia inkwizytorów nie budziły lęku. Ale nikt nie odważyłby się przeciwstawić świętemu mężowi. Ascetyczni mnisi, mieszkający na pustyni, w oczach prostego ludu byli prawdziwymi świętymi, zesłanymi przez Boga. Wierzyli, że przemawiają oni jego głosem.

Wystarczyło, żeby Michał z Macedonii powiedział tylko jedno słowo, a mieszkańcy wioski ukamienowaliby biednego starca bez wahania.

Kiedy Michał w końcu przeniósł spojrzenie swoich bezlitosnych oczu na kogoś innego, starszy prawie zemdlął z ulgi.

Teraz jego towarzysze drżeli ze strachu pod palącym spojrzeniem drapieżnych oczu.

- Stoicie na krawędzi otchłani – powiedział Michał łagodnie, ale jego słowa dotarły w najdalsze kąty pomieszczenia. – Bądźcie cicho.

Odwrócił się i stanął twarzą do grenadierów i ich żon.

- Daję tym młodym ludziom moje błogosławieństwo – oznajmił. – I tak samo daję je ich żonom. Szczególnie ich żonom, gdyż one właśnie okazały się najwierniejszymi z kobiet.

Spojrzał znów na starszyznę,

- Tak powiecie ludziom w wiosce – powiedział twardo. – We wszystkich wioskach. Publicznie.

Głowy starszych poruszyły się, skacząc w górę i w dół niczym korki w wannie pełnej wody.

- Poinformujecie wszystkich o jeszcze jednej rzeczy – rozkazał. Mnich stał teraz twarzą do imperatorowej i Antoniny, przycupniętej u jej boku.

Mnich klęknął na jedno kolano. Stojący za nim wieśniacy westchnęli.

- Boże w niebiosach – wyszeptał Kasjan do ucha Antoniny. – On nigdy nie zrobił czegoś podobnego w całym swoim życiu. – Biskup sam prawie się zachłysnął. – To dlatego nigdy nie chciał pojechać do Konstantynopola, chociaż go zapraszali. Musiałby klęknąć przed imperatorem, albo wypowiedzieć mu wojnę.

Michał wstał. Pomruki wśród wieśniaków umilkły.

- Miałem wizję – oznajmił. Zapadła martwa cisza.

Mnich pokazał na imperatorową. A potem na Antoninę.

- Bóg je nam zesłał, tak jak posłał Marię Magdalenę.

Odwrócił się i poszedł w kierunku wyjścia. W połowie drogi do drzwi zatrzymał się i rzucił ostatnie spojrzenie na starszyznę. Wyglądał jak jastrząb, który składa obietnicę zającom. *Uważajcie, Faryzeusze. Wyszedł.*

Sitas wydał policzki.

- No, to było coś – ogłosił. – Zaadresowane, zapieczętowane, dostarczone.

Pochylił się w kierunku Teodory.

- A teraz, Wasza Wysokość, za pozwoleniem. – Teodora kiwnęła głową.

Sitas wystąpił naprzód, twarzą do grenadierów, rozłożył swoje wielkie ramiona i rozjaśnił się niczym wieprz^ który trafił do nieba.

- To aż prosi się o kielich wina! – ryknął. – Na zewnątrz czeka na nas mały poczęstunek! Wasi przyjaciele z wioski już zaczęli ucztować! Podczas gdy my, biedne duszyczki—czerwonooki odyniec spiorunował wzrokiem starszyznę, unosząc z wściekłości kły – musimy tutaj tkwić o suchym pysku!

Znowu odezwał się starszy z wioski. Zawsze mówili tylko starcy.

- Ale wydatki – zrzędził jeden.
- Będziemy zrujnowani – jęczał drugi. Sitas zamknął im usta.
- Nie macie się czego obawiać, głupcy! Ja jestem bogatym człowiekiem. Za wszystko zapłacę!
- Nie jestem pewna, jak długo to jeszcze zniosę – mruknęła Teodora, patrząc na wieśniaków, pospiesznie opuszczających pomieszczenie. – Jeszcze jeden cud i umrę. Jestem pewna.

Potrząsnęła głową.

- Talizman od Boga. Wysłannicy przyszłości. Magiczna broń. Nowe armie. Kobiety dowódcy. Wszędzie kręcą się święci.

Jęknęła.

- A teraz... Sitas, który sypie pieniędzmi ze swojej sakiewki. Co będzie dalej? – zapytała głośno. – Co dalej? Mówiące konie? Gwiazdy spadające z nieba?

Wstała.

- Chodź – rozkazała. – Musimy dołączyć do naszej nowej armii podczas toastu za ich przyszłe sukcesy. Szybko, zanim wino zamieni się w wodę.

\* \* \*

Trzy dni później, wczesnym rankiem, imperatorową wyjechała z posiadłości. Kobieta nie była szczęśliwa.

- Czy jesteś pewien, że to najspokojniejszy koń, jakim dysponujesz? – zapytała z mocą.

Maurycy powstrzymał uśmiech.

- Tak, Wasza Wysokość. – Poklepał starą klacz po szyi. Potem po mógł Teodorze usiąść w siodle. Nie było to łatwe, gdyż musiał jakoś dać sobie radę z niezręcznością imperatorowej, unikając jednocześnie sytuacji, w której położyłby chociaż niechcący dłoń na jej królewskim tyłku.

Siedząc wreszcie w siodle, Teodora spojrzała w dół na Antoninę.

- Więc pamiętaj. Kiedy tylko przyślę posłańca, zabieraj swoją kohortę do Konstantynopola. I nie zapomnij...
- Jedź już, Teodoro – przerwała jej z uśmiechem Antonina. – Nie zapomnę żadnej z twoich instrukcji. Hermogenes już wybrał oddziały. Sitas robi to samo. Biskup po kryjomu usiłuje wynająć statki. A wczoraj dziesięciu katafraktów ruszyło do Egiptu.
- Dowodzi nimi Aszot – dodał Maurycy. – Jeden z moich najlepszych dziesiętników. Kiedy Belizariusz w końcu wróci, zabierze go tutaj, albo do stolicy, gdziekolwiek będzie potrzebny, tak szybko, jak tylko się da.

Teodora usiadła wygodniej w siodle i kiwnęła głową. Potem spojrzała w dół na swojego konia. Może w końcu będą jakieś oblężenia – wymamrotała ponuro. Niezręcznie popędziła konia do kłusa.

Miej to na uwadze, koniu – usłyszeli jej ostatnie słowa.

\* \* \*

Następnego dnia Maurycy stał uśmiechy z twarzy grenadierów.

- Powiedzmy sobie jasno, chłopcy. Antonina jest waszym dowódcą – powiedział, przechadzając się wzdłuż szeregów. – Ale dowódcy z reguły trzymają się z daleka, wiecie. Z bardzo daleka. Nie mają nic do codziennego treningu i ćwiczeń. – Zatrzymał się i oparł ręce na biodrach. – Nie, nie. To zbyt trywialne sprawy. Zawsze pozostawiają te rzeczy w rękach zaufanych setników. To właśnie ja – dodał ponuro.

Grenadierzy przyjrżeli mu się z rezerwą. Popatrzyli na wyszczerzonych katafraktów, stojących w pobliżu. Właśnie im oznajmiono, że to będą ich nowi trenerzy.

Maurycy pokazał w ich kierunku.

- To oni będą tymi, których zazwyczaj nazywa się kadrą. Katafrakci uśmiechali się bardzo paskudnie.
- O tak — wymamrotał Maurycy. – Teraz wasz trening zacznie się na poważnie. Zapomnijcie te wszystkie głupoty, których nauczyliście się dla imperatorowej.

Podjął przerwany marsz.

- Zaczę od zaznajomienia was z pierwszym prawem bitwy. To prawo jest bardzo proste. Każdy bitewny plan okazuje się do dupy, kiedy pojawia się wróg. Dlatego właśnie nazywają go wrogiem.

Zatrzymał się, obrócił twarz i uśmiechnął się radośnie.

- Wasze plany już okazały się do dupy. – Wyszczrzył zęby od ucha do ucha. – Ja się pojawiłem.

Tak, uśmiechy poznikały z ich twarzy. Ale uśmiechy w sercach tych młodych wieśniaków pozostały. I były tam, podczas tygodni, które nadeszły, mimo wielu przekleństw, jakie padły z ich ust pod adresem Maurycyego. Nie potrzeba chyba dodawać, że za jego plecami.

Młodzi Syryjczycy nie byli głupcami. Zarówno mężczyźni, a już z pewnością nie ich żony. Nieuczni i niepiśmienni, tak. Ale nie głupi. Mimo całego zadowolenia, jakie czerpali z nowego zajęcia, nigdy nie myśleli, że to będzie zabawa.

Ludzie z Syrii byli praktyczni. Rozumieli poważne zadania. A poza tym mieli własną wieśniaczą miarę, którą przykładali do poważnych ludzi.

Antonina była ich radością, wizyta imperatorowej sprawiła im przyjemność. Sitas pełnił rolę bogatego dobroczyńcy, Kasjan w ich oczach uchodził za archetyp biskupa.

A Michał, oczywiście, był prorokiem na ziemi.

Ale teraz nadszedł czas na poważne zadania. To tak jak praca wieśniaka. Więc, chociaż nigdy sienie uśmiechali, syryjscy wieśniacy nie czuli się urażeni, ani tym bardziej obrażeni maltretowaniem ze strony Traków.

Przecież ci Trakowie też kiedyś byli chłopcami ze wsi, i w głębi serca takimi pozostali. Wieśniacy, nic więcej.

I tak lato zmieniło się w jesień, a jesień przeszła w zimę...

...generał i jego towarzysze uciekali ze szponów Imperium Malawy.

...imperatorowa obserwowała intrygi w Konstantynopolu.

...konspiratorzy konspirowali gdzie się da...

A pięć setek wieśniaków i ich żon pociało się pod syryjskim słońcem. Robili to, co wieśniacy potrafią najlepiej, ćwicząc przez całe milenia.

Twardnieli.

PÓŁNOCNE INDIE

Lato, 530 r. n.e.

**Rozdział 17**

Kiedy natknęli się na trzeci oddział zmasakrowanych żołnierzy, Rana Sanga poczuł, że ma już dosyć.

- To jakieś szaleństwo – warknął. – Rzymianin znowu nam to zrobił.

Jego główny porucznik, Dżajmal, oderwał wzrok od zakrwawionych ciał, rozwłóczonych po obu stronach drogi. Leżało tam siedmiu żołnierzy, a w budynku straży znaleźli jeszcze trzy trupy. Wszyscy byli szeregowcami i dali się zarznąć jak owce idące na rzeź. Sądząc po zupełnym braku śladów krwi na rozrzuconej wszędzie broni, Dżajmal podejrzewał, że napastnicy nie odnieśli żadnych obrażeń. Większość żołnierzy, pomyślał, nawet nie próbowała wyciągnąć broni. Przynajmniej połowa zginęła podczas próby ucieczki.

- O czym ty mówisz?—zapytał.
- O tym... idiotyzmie – odparł wściekle Sanga. – Nie, cofam swoje słowa. To nie idiotyzm. Ani trochę. To czyste oszustwo.

Jego porucznik zmarszczył brwi.

- Nie rozumiem..
- To oczywiście, Dżajmalu! Ta masakra, podobnie jak dwie inne, wcześniejsze, mają na celu jedną rzecz. Rzymianin chce, żebyśmy zaczęli go ścigać.

Widząc brak zrozumienia na twarzy Dżajmala, Sanga z trudem powstrzymał złość. Nie udało mu się jednak zatrzymać rozdrażnionego westchnienia.

- Dżajmal, zadaj sobie jedno proste pytanie. Dlaczego Rzymianie zabijają tych ludzi? Dlaczego zbaczają z drogi i wybierają inną, na której rozmieszczono posterunki? Dlaczego, kiedy już zboczyli, marnują czas na atakowanie strażników, zamiast się po prostu obok nich przemknąć? Wiesz to równie dobrze jak ja. Te – wycelował palec w kierunku trupów – nędzne sukinsyny nawet by się nie ruszyły ze strażnicy, dopóki coś naprawdę by ich nie zmusiło. I w końcu, po co zaatakowali obóz armii w Kausambi tej nocy, której uciekli?

Cisza. Porucznik w zamyśleniu marszczył brwi. W końcu Sanga eksplodował.

- Ty idioto! Rzymianie robią, co tylko mogą, żeby poprowadzić nas właśnie w tym kierunku. I jak myślisz, durniu, dlaczego? Dlaczego?

Widok Dżajmala, gapiącego się z otwartymi ustami, mógłby być dość śmieszny, gdyby Sanga był w odpowiednim nastroju.

- Nie... ma... z... nimi... Belizariusza – wyjąkał porucznik. – Ucieka w inną stronę.
- Gratulacje – ryknął Sanga. Szarpnął konia za wodze i zawrócił. – Zbierz ludzi. Wracamy.

Dżajmal zmarszczył brwi.

- Ale do Kausambi jest co najmniej trzy dni drogi. I dostaliśmy rozkazy...
- Chrzanić rozkazy! Dam sobie radę z Tatagatą. A poza tym, co z te go, że to trzydniowa jazda.

I tak już straciliśmy cztery dni na bezsensowne poszukiwania. Do czasu, kiedy wrócimy, a zakładam, że uda mi się przekonać Malawian, Belizariusz i tak będzie miał nad nami tygodniową przewagę. Czy wolałbyś raczej powiększać ją jeszcze bardziej?

Wycelował ze złością palec na południe.

- Ile jeszcze dni zamierzasz zmarnować, uganiając się za podkomendnymi generała? Zresztą i tak wątpię, czy uda się nam ich złapać. Patan mówi, że są dzień przed nami. Przebywają taki sam odcinek w trzy dni, co my w cztery. I nawet wystarcza im czasu na to – ponownie pokazał ze złością na ciała – tak po drodze.

Dżajmal kiwnął głową. Spory oddział radżpuckiej kawalerii, taki jak ich, zawsze miał pod ręką paru Patanów. Barbarzyńcy byli przez większość czasu niezdyscyplinowanym utrapieniem, ale ich umiejętnościom tropicielskim dorównywał mało kto.

- Jak to się dzieje, że podróżują tak szybko – zastanawiał się Dżajmal.

Sanga wzruszył ramionami.

- Po pierwsze z pewnością mają konie na zmianę, a my nie. A po za tym muszą mieć najlepsze wierzchowce na świecie. Prawdopodobnie nigdy się nie dowiemy, ale mogę postawić swoje roczne zarobki, że Belizariusz zdołał w jakiś sposób kupić najlepsze zwierzęta, jakie tylko mógł znaleźć przez te ostatnie miesiące, od kiedy jest w Indiach. I gdzieś je ukryć.

Nagle jego ton stwardniał jak stal.

- A teraz, Dżajmal, rób, co rozkazałem. Zbierz ludzi. Wracamy.

Była taka granica, poza którą żaden z podwładnych Rana Sangi nie odważyłby się z nim dyskutować. Została ona właśnie teraz osiągnięta, Dżajmal zdawał sobie z tego sprawę, więc natychmiast usłuchał rozkazów swojego dowódcy.

Jego dwaj podwładni, Udai i Pratap, na stronie dali upust swoim zastrzeżeniom. W większości koncentrowały się one wokół strachu przed reakcją Malawian, kiedy już wrócą do Kausambi. Ale teraz, kiedy już obrali nowy kurs, Dżajmal nie zamierzał tolerować żadnych uwag od podwładnych, podobnie jak Sanga nie tolerował jego zastrzeżeń.

- A poza tym – warknął – nikt tutaj nie będzie za nami tęsknił. Te równiny przetrząsa jakieś cztery tysiące żołnierzy. Jedną trzecią stanowi radżpucka kawaleria, a podobną ilość reprezentują konni Ye-tai. Nasz pięćsetosobowy oddział nie zrobi tutaj żadnej różnicy.
- Prawda – zrędliwie powiedział Udai. – Konie Rzymian są może najlepsze, ale nawet z luzakami, nie są w stanie prześcignąć królewskich kurierów.
- Wysłano ich, nieprawdaż? – zapytał Pratap. Dżajmal z irytacją wzruszył ramionami.
- A skąd mam wiedzieć? Od kiedy imperator Skandagupta pyta się mnie o zdanie? Ale sądzę, że tak. Do tej pory, jak mniemam, wysłano już kurierów do wszystkich portów nad brzegami Oceanu Indyjskiego, alarmując garnizony.



Jego głos był teraz idealną kopią tonu Sangi.

- A teraz wystarczy. Róbcie, jak wam kazano.

\* \* \*

Kurierzy rzeczywiście zostali wysłani. Tak jak się spodziewał Dżajmai, popędzili do wszystkich portów na wybrzeżu Oceanu Indyjskiego. Kurierzy byli bardzo doświadczonymi jeźdźcami i dosiadali najlepszych wierzchowców. Jednakże nie mieli ze sobą luzaków na zmianę. Zamiast tego wymieniali konie na stacjach, które Malawianie utrzymywali wzdłuż głównych traktów imperium w regularnych odstępach. Te stacje były po prostu małymi farmami, na równinie Gangesu składały się ze stodoły i zagrody, przylegającej do małej chałupy, gdzie stacjonował oddział żołnierzy.

Kurier do Barbarikum był jednym z trzech, wysłanych drogą do Mathury. Jednakże Mathura nie była docelowym miastem dla żadnego z nich. Wszyscy trzej, na długo przed tym miastem, mieli skręcić w trzy różne odgałęziające się drogi, które prowadziły do Barbarikum, małych portów na półwyspie Kathiawar i na północny kraniec zatoki Khambat.

Kurier do zatoki Khambat wyruszył pierwszy, następnego dnia po ucieczce Belizariusza. Malawianie byli pewni, że generał i jego towarzysze uciekają z powrotem do Barakuchy. Dlatego też największą wagę przykładali do kurierów, wysyłanych w rejon całej zatoki. Kurierzy do Kathiawaru i Barbarikum wyruszyli w kilka godzin po pierwszym, prawie jednocześnie.

Na początku dwóch mężczyzn podróżowało razem. Ale, po jakimś czasie, kurier jadący do Kathiawaru wyrwał do przodu. Był nowy w kurierskiej służbie królewskiej i miał poczucie ważności swojego zadania. Jego towarzysz był zadowolony z jego odjazdu, zadowoleniem doświadczonego weterana, który z ulgą pozbywa się irytującego adepta. Weteran nie widział powodu, żeby, jak nowicjusz, tak bardzo się spieszyć. Po co się przejmować? Wszyscy przecież wiedzą, że Rzymianie uciekają na południe, a nie na zachód.

Kiedy dotarł do stacji zamiany koni pod koniec pierwszego dnia, kurier był w strasznie złym humorze. Zdegustowany i pełen litości dla siebie samego. Barbarikum, port jego przeznaczenia, był najbardziej wysuniętym na zachód miastem, które miało jeszcze jakiekolwiek znaczenie dla Malawian. Leżało nawet za rzeką Indus, prawie tysiąc kilometrów od Kausambi w linii prostej.

Kurier, oczywiście, nie poruszał się w linii prostej. Będzie musiał przebyć dystans prawie o połowę dłuższy, zanim dotrze do Barbarikum. I to kiepskimi drogami przez większość trasy. I w gorącym słońcu Radżputany. Będzie nawet musiał przebrnąć przez kawałek Tharu, najgorszej pustyni w Indiach. Długa, ciężka i gorąca podróż... i w dodatku u jej kresu nie mógł liczyć na nic więcej, jak tylko na najgorszy w Indiach port. Kurier nienawidził Barbarikum. To było miasto psów, połowę jego populacji stanowili zagraniczni barbarzyńcy. A Hindusi, którzy tam mieszkali, wcale nie byli lepsi, bo, żyjąc w Barbarikum, przejęli większość złych nawyków od barbarzyńskich heretyków.

Więc, kiedy zsiadał z konia przed stacją, kurier czuł dla siebie wielką litość. Jego zmartwienie zmieniło się w gniew, kiedy z baraków nie wyszedł nawet jeden żołnierz, żeby pomóc mu rozsiodłać konia.

Kurier podszedł do drzwi baraku i wpadł do środka, nie siląc się nawet na zapukanie.

- Co do licha sobie niby...

Ostrze miecza wbiło się w jego pierś na głębokość kilku centymetrów. Rana nie była śmiertelna, chociaż bolesna; nawet mocno nie krwawiła. Ale kurier poczuł, jak ostra stal oparła się na jego

żebrach. A ręka, trzymająca miecz, była pewna jak głaz.

Oczy kuriera spoczęły na tej ręce, po czym powędrowały w dół, wzdłuż ostrza miecza, które zagłębiało się w jego piersi. Wszystko inne ginęło w ciemnościach.

Patrząc nieruchomym spojrzeniem, kurier usłyszał głos. Nie rozpoznawał słów. Koniec miecza ponownie dźgnął go w mostek, popychając go na framugę drzwi. Patrzył ciągle na ostrze, nie mogąc oderwać wzroku.

Słowa powtórzono. Tym razem w hindi. W końcu pojął ich znaczenie.

- Czy za tobą jadą jeszcze jacyś kurierzy?

Zrozumiał, ale nie mógł odpowiedzieć. Poczł kolejne pchnięcie.

- Co? – wykrztusił. Znów poczuł ból.
- Nie... n... nie – zająknął się.

Miecz przeszedł prosto na wylot przez jego klatkę piersiową, jakby wbity młotem. Kurier osunął się na kolana. W tych kilku ostatnich sekundach jego życia, oczy mężczyzny w końcu omiotły spojrzeniem cały barak.

Jego pierwszą reakcją było zaskoczenie. Dlaczego jego dwaj towarzysze, kurierzy, także tutaj leżeli? I dlaczego leżeli na kupie ciał żołnierzy?

Obraz zaczął się zamazywać.

Zdał sobie sprawę, że wszyscy są martwi.

Ostatnim wysiłkiem woli zobaczył twarz tego młodego kuriera, który towarzyszył mu na początku podróży. Ten widok trochę go zaniepokoił. Młody napuszony smark wyglądał jak żaba, leżąc tak z otwartymi ustami i oczami wyłazającymi na wierzch.

Nie widział już nic. Umierając pomyślał ze zdziwieniem, że tak naprawdę nawet nie zobaczył twarzy tego, który go zabił. Tylko jego dłoń. Wielką, mocną i łukowatą dłoń.

\* \* \*

Sto kilometrów na wschód od Kausambi, niedaleko miasta Sarnath, właściciel zajazdu prawie wychodził z siebie z radości. Bez litości krzyczał na swoją żonę, dzieci i służbę.

- Najlepsze jedzenie! – wykrzyknął znów, popędzając swoją żonę. – Najlepsze z najlepszych! Ostrzegam was... jeżeli szlachcic będzie narzekał, zbiję was strasznie. Są bardzo bogaci i na pewno będą hojni, jeżeli im się spodoba.

Żona karczmarza popędziła ze spuszczoną głową zrobić, co jej kazał. Dzieci i służący zrobili to samo. Wszyscy bali się właściciela zajazdu. Kiedy czasy były złe, a zazwyczaj takie były, karczmarz zachowywał się jak ponury, zły i brutalny tyran. A kiedy czasy były dobre, właściciel zachowywał się nawet gorzej. Wtedy do jego okrucieństwa dołączało jeszcze skapstwo.

Więc, dla wszystkich mieszkańców zajazdu, z wyjątkiem samego karczmarza, następne dwadzieścia cztery godziny były jak niekończący się koszmar.

Najpierw bali się, że szlachcic i jego żona nie będą zadowoleni zjedzenia. Ale ich obawy nie potwierdziły się. Szlachcianka nie odezwała się nawet słowem, co było raczej odpowiednie dla żony szlachcica, w dodatku tak dużo młodszej od męża, ale bogacz nie ustawał w głośnych pochwałach kuchni.

Na nieszczęście szlachcic dał właścicielowi napiwek za smaczny posiłek. Chciwość karczmarza

podskoczyła o oczko wyżej. W kuchni zrugął rodzinę i służbę, wrzeszcząc, że nie pracują dość szybko. Szlachcic i jego żona poszli spać, wraz z dwórkami szlachcianki, ale ich spora eskorta także musiała zostać nakarmiona. Oczywiście nie mieli dostać najlepszego jedzenia, ale też nie mogło być tak złe, żeby narzekali na nie przed swoim panem. A poza tym musiało go być dużo!

Przerażenie domowników jeszcze wzrosło. Żołnierze wyglądali na złych i okrutnych. Należeli do jakiegoś plemienia barbarzyńców. Było ich bardzo dużo, a towarzyszyły im tylko trzy kobiety. Najstarsza córka karczmarza i dwie młodsze służące drętwiały z przerażenia, kiedy musiały wejść do wspólnej sali, gdzie żołnierze mieli spędzić noc. Matka i starsza służąca, którą zabiedzony wygląd chronił przed zakusami żołnierzy, próbowały same nosić jedzenie do wspólnej sali. Ale właściciel zajazdu uderzył żonę i rozkazał młodszym kobietom podawać do stołów. Chciał za wszelką cenę zadowolić żołnierzy, żeby nie narzekali na brak gościnności z jego strony.

Ten strach także okazał się niepotrzebny. Mimo swojego przerażającego wyglądu, żołnierze zachowywali się poprawnie. W zasadzie byli całkiem grzeczni.

Więc, kiedy żołnierze skończyli jeść i ułożyli się na swoich matach, właściciel zajazdu pobił swoją córkę i dwie młodsze służące. Najwyraźniej musiały być niegrzeczne dla żołnierzy, w przeciwnym bowiem razie tamci skorzystaliby z ich wdzięków.

W końcu przed mieszkańcami obejścia pozostał już tylko jeden, finalny strach. Bali się następnego ranka. Kiedy szlachcic i jego świta będzie odjeżdżał, może nie dać właścicielowi napiwku, którego ten się spodziewał. Strach narastał z godziny na godzinę. Rosły także oczekiwania gospodarza, który nie spał całą noc, obmyślając co zrobi z nieoczekiwaną fortuną. O wschodzie słońca karczmarz przekonał sam siebie, że prawie na pewno dostanie od szlachcica gigantyczny napiwek. Gdyby pieniądze, które dostanie, nie spełniły jego absurdalnych oczekiwań, jego rodzina i służby wiedzieli, co się stanie. Zamieni się we wściekłą bestię.

Jednak ten strach także zniknął. Napiwek, który otrzymał gospodarz, ku zdumieniu wszystkich, a nawet jego samego, był jak na ich standardy ogromny.

I tak, w końcu, pobyt nieznanego szlachcica okazał się dla wszystkich błogosławieństwem. Oczywiście chciwość gospodarza i tak wkrótce odbije się na zdrowiu rodziny. Ani żona, ani dzieci, ani służby w to nie wątpili. Właściciel zajazdu od tej pory będzie się spodziewał takich samych napiwków od wszystkich szlachetnych gości. A kiedy nie dostanie takich pieniędzy, odreaguje rozczarowanie na swoich współmieszkańcach.

Ale to był problem przyszłości. Ani jego żona, ani dzieci, ani służby nie zwykli martwić się o przyszłość. Teraźniejszość była wystarczająco smutna. A teraz, dzięki Bogu, odrobinę odpoczną od wiecznie obecnego w ich życiu strachu. Właściciel karczmy, skąpany w nieoczekiwanym bogactwie, upił się do nieprzytomności i pozostał w tym stanie przez trzy następne dni.

Każdego wieczora, patrząc jak leży nieprzytomny, żona zastanawiała się, czy powinna go otruć. To była jej jedyna rozrywka w życiu. Przez całe lata wyodrębniła osiemnaście toksyn, które nadawałyby się do otrucia. A co najmniej pięć z nich nie pozostawiało po sobie śladu.

Ale, jak zwykle, jej zainteresowanie zbladło. Otrucie męża nie miało sensu. Wedle prawa żona musiała spłonąć wraz z mężem na jego pogrzebowym stosie. Jej dzieci i służby wcale nie mieliby lepiej. Właściciel zajazdu już dawno temu popadł w beznadziejne długi u miejscowych bogaczy. Po jego śmierci ten dług zostanie spłacony w całości i natychmiast. Wedle obecnego prawa wszyscy domownicy niższych kast byli odpowiedzialni za długi głowy rodziny po jego śmierci. Oczywiście nie będą w stanie ich spłacić. Karczma zostanie zajęta za długi. Służby sprzedani w niewolę. Dzieci, będące „podwójnie urodzonymi”[10], w przeciwieństwie do pariasów[11] nie mogą stać się niewolnikami. Po prostu umrą z głodu albo będą musiały się podjąć hańbiącej pracy.

Pod koniec alkoholowego ciągu gospodarza, trzy dni później, jego żona ledwo pamiętała szlachcica, który dał im krótkie wytchnienie od strachu. Jej umysł zawędrował daleko w przeszłość, aż do dni jej młodości. Pamiętała, że to były lepsze dni, a przynajmniej tak jej się wydawało. Chociaż nie tak dobre jak czasy jej marki i babki, sądząc po ich opowieściach. W tamtych dniach sati[12] oczekiwano tylko po bogatych wdowach, szlachciankach, które w ten sposób udowadniały swoją wierność i nie musiały się martwić utrzymaniem swoich dzieci po śmierci.

Stare czasy, czasy Guptów. Czasy, w których zwyczaje, okrutne zwyczaje, były tylko zwyczajami. W tamtych czasach nawet najgorsze ze zwyczajów w rzeczywistości łagodzone, a nawet znoszone. A ekstremalnie okrutne zwyczaje doczekiwały się nawet słów potępienia z ust buddyjskich mnichów, albo sadhu[13].

Dni, zanim nastąpiło Imperium Malawy. Wraz z malawiańskim prawem i malawiańskim rygorem. I kapłanami Mahwedy, którzy rozstrzygali, co jest czystością, a oprawcy mahamimamsy karali nieczystych.

\* \* \*

Czternastu królewskich kurierów pędziło na południe przez północne Indie. W odróżnieniu od kurierów wysłanych na zachód, ci mieli prawdziwe poczucie misji. Kurierzy, wykonujący obowiązki służbowe, należeli do najbardziej rozpieszczanej elity w Imperium Malawy. Wszyscy z urodzenia byli kszatryjasami. I choć należeli do niskiej kasty, byli to jednak kszatryjasi. I podczas gdy ich ranga w oficjalnej arystokratycznej skali, nie była wysoka, mieli oni dostęp do wielu wysoko postawionych ludzi i cieszyli się ich zaufaniem. Niektórzy z kurierów więcej niż jeden raz odbierali wiadomości z rąk samego Boga Na Ziemi.

Dlatego też nie było bardziej aroganckich mężczyzn, a przynajmniej na swój własny sposób. Królewscy kurierzy Malawy uważali siebie za najszybszych na świecie. Kiedy mknęli drogą na południe, każdy z tych czternastu mężczyzn był przekonany, że wielkie hordy malawiańskich żołnierzy nigdy nie złapią cudzoziemskich diabłów. Tylko kurierzy stali pomiędzy złymi do szpiku kości zbiegami i ich drogą ucieczki.

Rzymianie i Etiopczycy byli szybcy na swoich doskonałych koniach, które mogli często zmieniać, ale kurierzy byli szybsi. Konie, na których jechali, były nawet lepsze, a kurierzy mieli nad zbiegami jeszcze jedną, wielką przewagę. Nie musieli się starać, żeby zachować swoje konie przy życiu. W stacjach na trasie czekało na nich mnóstwo wierzchowców na zmianę. Więc wszyscy, więcej niż raz, zajeżdżali swoje konie na śmierć, pędząc od jednej stacji do drugiej.

W kurierach tkwiło przekonanie, że są w stanie dotrzeć do portów przed uciekającym wrogiem i zaalarmują garnizony. Armia Malawy może się pętać, a Radżpuci i Ye-tai zderzać w bezsensownym pościgu, ale kurierzy uratują imperium.

Więc tak właśnie myśleli, i nie mylili się bardzo w swojej arogancji. Ale kurierzy, podobnie jak wielu innych ludzi w Indiach podczas tamtych gorączkowych tygodni, byli zbyt pewni siebie. Zbyt pewni siebie i zbyt nieostrożni. Nic docierało do nich, że na tym zepsutym świecie wszystko może pójść na opak.

Nieostrożność jednego z kurierów przejawiała się najbardziej oczywisty sposób. Pędząc wzdłuż krętej drogi, gdzie widoczność zasłaniały gęste krzaki po obu stronach, kurier nagle się zorientował, że naprawdę jest szybszy od uciekinierów. Właśnie ich dogonił.

Kurier niespodziewanie wpadł pomiędzy jadących wrogich cudzoziemców, ale był wystarczająco bystry, by nie zrobić tego błędu, jakim byłoby zawracanie i ucieczka. Zamiast tego zrobił użytek ze swojej szybkości i po prostu przemknął przez oddziałek, prowadząc swojego konia pewną i doświadczoną ręką.

Udało mu się. W rzeczy samej kurierzy byli jednymi z najlepszych jeźdźców na świecie.

Ale żaden jeździec nie jest na tyle dobry, żeby wyprzedzić strzał wypuszczoną przez katafrakta. A przynajmniej nie przez katafrak o imieniu Walentynian.

Cudzoziemcy zaciągnęli jego ciało do lasu i schowali pod warstwy ściółki. Wspaniałego wierzchowca, pozbawionego pana, dodali do swojego stada.

Drugi kurier, a potem trzeci i czwarty także doświadczyli kaprysów losu.

Dramatycznie skończyła się misja drugiego kuriera. Deszcze monsunowe rozmyły całe odcinki wielu dróg w Indiach. Kurier wybrał jeden z mniejszych traktów, który jako rzadziej uczęszczany, był w dość kiepskim stanie. Jednak kurier nie zraził się przeszkodami. Był przecież doskonałym jeźdźcą i doświadczonym posłańcem. Przeskakiwał ponad wieloma wyrwami i dziurami w drogach w całej swojej karierze, więc czemu ma nie postąpić podobnie i tym razem. I następnym razem także, z wielką pewnością siebie i umiejętnościami, nabytymi podczas poprzednich zadań. Zapomniał jednak o jednym. Na nieszczęście jego koń nie posiadał podobnych umiejętności i doświadczeni; a przynajmniej nie był w stanie zrobić z nich użytku, gdyż był ledwie żywy ze zmęczenia. Więc, przeskakując przez kolejny strumień, koń potknął się i zrzucił jeźdźcę.

Dobrze wyszkolony koń czekał, aż jego pan wdrapie się na siodle Wierzchowiec był naprawdę najwyższej klasy. Nie ruszył się z miejsca przez dwie godziny, aż w końcu jego koński mózdzek pojął, iż jeździec jest zdeterminowany i będzie tak dalej leżał w strumieniu. A co dziwniejsze twarzą w dół, pół metra pod powierzchnią wody.

Pomyłka trzeciego kuriera była mniej dramatyczna. On także, popędzając wyczerpanego konia przez zniszczony odcinek drogi, spadł z siodła, gdyż wierzchowiec się potknął. Ale w odróżnieniu od tamtego kuriera, ten miał więcej szczęścia i nie uderzył głową w rzeczny gład. Wylądował w krzakach i tylko złamał nogę. Proste złamanie, nic strasznego. Ale znaleziono go dopiero po dwóch dniach i kiedy mała grupka drwali zaniósła go na najbliższy posterunek malawiańskiej armii, było już za późno.

Czwarty kurier miał zwyczajnie pecha – spotkał swoje przeznaczenie w sposób całkowicie naturalny. Po prostu zachorował. Czuł się kiepsko, zanim jeszcze opuścił Kausambi, a po tygodniu nieprzerwanej podróży zaczął majaczyć. Człowiek jest w stanie zajeździć konia

na śmierć, ale wymaga to sporego wysiłku także ze strony jeźdźcy. Ten kurier był upartym człowiekiem, a do tego odważnym, i z determinacją usiłował wypełnić swoje obowiązki. Ale siła woli nie zawsze wystarczy. Wieczorem siódmego dnia, kiedy dotarł do stacji zmieniania koni, osunął się na ziemię nieprzytomny. Żołnierze, pilnujący stacji, zanieśli go do baraków i zrobili, co mogli, z pomocą lokalnego zielarza, żeby pomóc mu wyzdrowieć.

Ich szczerze chęci, w połączeniu z wiedzą medyczną tamtych czasów, nie wystarczyły. Kurier był odważnym i upartym człowiekiem, więc żył jeszcze przez cztery dni. Ale nie odzyskał już przytomności przed śmiercią, a żołnierze nie śmieli nawet dotknąć sakwy z wiadomością, a co dopiero złamać królewską pieczęć i otworzyć list. Zresztą i tak nie miałyoby to sensu, gdyż żaden z żołnierzy nie potrafił czytać.

Dopiero dwa dni później, kiedy do stacji przybył pierwszy oddział regularnych wojsk, ścigających uciekinierów, jeden z oficerów przeczytał wiadomość. Był to malawiański wysoko urodzony oficer, na tyle arogancki, że nie bał się złamać królewskiej pieczęci. Natychmiast, kiedy tylko przeczytał wiadomość, oficer wydał dwa rozkazy. Pierwszym z nich wysłał swojego najlepszego jeźdźcę do Barakuchy z nieaktualną już teraz wiadomością. Drugi rozkaz dotyczył żołnierzy ze stacji wymiany koni. Każdy miał dostać pięćdziesiąt batów bambusowym prętem za zaniedbanie obowiązków służbowych.

Ciągle jednak pozostało jeszcze dziesięciu kurierów. Pod koniec drugiego tygodnia ucieczki Rzymian i Etiopczyków, wszyscy kurierzy wyprzedzili ich i teraz pędzili przed nimi ku wybrzeżu. Jednak dystans pomiędzy nimi zwiększał się powoli. Cudzoziemcy naprawdę poruszali się bardzo szybko i ciągle sporo wyprzedzali całą masę swoich prześladowców. Nawet kurierzy byli w stanie nadrabiać każdego dnia po kilka zaledwie kilometrów. Średnio kilka kilometrów. Wszyscy kurierzy poruszali się różnymi drogami i żadna z nich nie była tą samą, którą obrali cudzoziemcy.

Kilka kilometrów dziennie to nie jest dużo, ale wystarczy. Kurierzy przybędą do zatoki Khambat na długo przed uciekinierami i zdążą zaalarmować żołnierzy. Do samej Barakuchy jechało ich aż czterech. Kiedy cudzoziemcy dotrą na wybrzeże, Barakucha i mniejsze porty będą już zamknięte. I uciekinierzy z zagranicy zostaną uwięzieni w Indiach, i wtedy cała wielka potęga malawiańskiej armii spadnie na nich niczym jastrząb.

Taki był plan Malawian na początku pościgu. Imperator i wysocy doradcy mieli oczywiście nadzieję, że armia dopadnie zbiegów, zanim dotrą do wybrzeża. Ale wiedzieli, że raczej nie ma na to szansy, dlatego też natychmiast wysłali kurierów.

Plan był w rzeczy samej doskonały, biorąc pod uwagę doskonałe wyszkolenie malawiańskich kurierów. Ludzie, którzy mieli wykonać ten plan, byli równie inteligentni, jak arogancy. I właśnie przez tę arogancję plan legł w gruzach, jak wiele innych jemu podobnych.

Dumni mężczyźni, zaślepieni pewnością siebie, mają tendencję do zapominania o swoim wrogu.

A w tym przypadku o wrogach. Człowiek, którego ścigali, generał Belizariusz, był dla nich całkiem nowym wyzwaniem. On także, podobnie jak oni, miał plan. On także, podobnie jak oni, trzymał się tego planu. Ale, zupełnie inaczej niż oni, wiedział, że plany to chwiejne istoty. I dlatego, mając to na uwadze, opłaca się robić plany w planach i uważnie obserwować sytuację, żeby nie przegapić nieoczekiwanej okazji. Trzeba rozglądać się na wszystkie strony.

Miesiące wcześniej, Belizariusz dojrzał taką okazję. I złapał ją obiema rękami. Imperatorowa Szakuntala została uwolniona z Gwalioru, a dokonał tego największy wojownik Maharasztry.

Raghunath Rao był wolny od miesięcy. I miał czas, żeby podburzyć cały Niezmierzony Kraj.

Oczywiście miesiące nie wystarczą, żeby wywołać wielką rebelię. Na pewno nie, szczególnie w niedawno podbitym kraju, którego mieszkańcy ciągle jeszcze liżą niezagojone rany. Ale miesiące w zupełności wystarczą takiemu człowiekowi jak Rao, żeby stworzyć chociaż zaczątki armii. Żeby zgromadzić buntowniczych młodych ludzi – teraz miał ich już około tysiąca – w izolowanych górskich fortach, które wzniesiono na szczytach w niebezpiecznych rejonach kraju.

Rao był nie tylko doświadczonym dowódcą, miał także naturę partyzanta. Wiec, prawie od pierwszego dnia pobytu w Maharastrze, zwoływał pod swój sztandar młodych ludzi, dając im najprostsze, ale i najważniejsze zadanie w nadchodzącej rebelii.

Wywiad.

*Patrz. Pilnuj. Nic się nie przemknie na południe od Vindhya bez naszej wiedzy.*

Najszybszy z malawiańskich kurierów przemierzył wreszcie równinę Gangesu i wjechał w góry Vindhya, które były naturalną granicą pomiędzy północnymi Indiami i wyżyną Dekami. Do Barakuchy miał już całkiem blisko.

Nie ujechał jeszcze piętnastu kilometrów, kiedy wpadł w zasadzkę. Z siodła zdjęło go pięć strzał.

Rao, tak się akurat złożyło, obozował niedaleko, w forcie odległym o niecałe dziesięć kilometrów od miejsca zasadzki. W przeciągu kilku godzin młodzi marathańscy partyzanci przywieźli mu sakwę kuriera. Rao nie obawiał się królewskiej pieczęci i potrafił całkiem nieźle czytać. W rzeczy samej szło mu bardzo dobrze.

Jak tylko skończył czytać wiadomość, wydał kilka naglących rozkazów. W przeciągu kilku minut

fort opustoszał. Pozostał w nim tylko Rao i jego dwóch zastępców. Wszyscy inni, około trzy setki, rozbiegli się po okolicy, przekazując wieści.

*Nadchodzą malawiańscy kurierzy. Wszyscy muszą być zatrzymani. Zabić ich. Zabrać im wiadomości. To bezpośredni rozkaz Rao.*

Kiedy młodzi powstańcy wyruszyli, Rao i jego zastępcy zjedli prosty posiłek. Podczas jedzenia rozmawiali o znaczeniu właśnie przeczytanej wiadomości.

- Czy możemy w jakiś sposób pomóc Rzymianom? – zapytał Madzoli.

Rao wzruszył ramionami.

- Może. Zobaczmy, kiedy się tu zjawią. Nie znam ich planów, chociaż podejrzewam, że Malawianie mają rację: Rzymianie i Afrykańczycy będą chcieli zaokrętować się na statek w Barakusze. Jeżeli tak jest w rzeczywistości, wystarczy, że zatrzymamy kurierów. – Uśmiechnął się ponuro. – Ci ludzie są bardzo sprytni. Dadzą sobie radę, jeżeli kurierzy nie zaalarmują garnizonów.
- A co, jeżeli imperatorowa jest z nimi? – zapytał drugi z poruczników, Ramahandra.

Rao potrząsnął przecząco głową.

- Nie, na pewno nie jest.
- Skąd możesz wiedzieć?

Uśmiech Rao teraz wcale nie był ponury. Raczej bardzo wesoły.

- Znam umysł Belizariusza, Ramahandro. Ten człowiek nigdy nie postępuje w oczywisty sposób. Przypomnij sobie, jak uratował Szakuntalę! Raczej... – Rao spojrział w dół na zwój z wiadomością, który ciągle trzymał w dłoni. – Zastanawiam się... – powiedział.

Zrolował zwój i włożył go z powrotem do sakwy. Ruch ten oznaczał zakończenie rozmowy.

- Niebawem się dowiemy. – Teraz uśmiechał się naprawdę szeroko. – Ale ostrzegam was, przyjaciele, nie zdziwcie się. Kiedy macie do czynienia z Belizariuszem, to jedyna rzecz, której możecie być pewni. Jedyna rzecz.

Jednym płynnym ruchem Rao poderwał się na nogi. Podeszedł do najbliższego umocnienia i przez chwilę wpatrywał się w rozciągający się przed nim krajobraz Niezmierzonego Kraju. Kamienna ściana wyrastała bezpośrednio ze stromego zbocza, opadającego sto metrów w dół. Widok stąd był wspaniały.

Dwaj przyjaciele Rao dołączyli do niego. Obaj byli zaskoczeni, widząc łagodność na twarzy Pantery.

- Niebawem ujrzemy imperatorową – powiedział cicho. – Przybędzie do nas, przyjaciele. Z najbardziej nieoczekiwanego kierunku, w najbardziej nieoczekiwanej postaci.

\* \* \*

Tego samego dnia, o tej samej porze, młody oficer, dowodzący posterunkiem na południe od

Pataliputry, znalazł się w rozterce.

Z jednej strony gromadka, chcąc przejść przez posterunek, nie miała odpowiednich dokumentów. Brak ten kładł się na sercu oficera tym większym cieniem, że należał on do kasty braminów i miał wielkie poszanowanie dla słowa pisanego, co wynikało z kapłańsko-naukowych uwarunkowań jego przodków. Pochodzenie bramińskie było dosyć nietypowe dla wojskowego. Oficerami zazwyczaj zostawali kszatryjasi. Ale on wybrał taką karierę kierując się ambicjami. Nie był Malawianinem, ale pochodził z Biharu. Jako członek podległej nacji, nie mógł się spodziewać, że zajdzie wyżej w hierarchii cywilnej, więc z premedytacją wybrał wojsko, gdzie te szanse były większe.

Ciągle jednak pozostał w nim instynkt drobiazgowego biurokraty i przemawiał do niego prosty fakt, że ci ludzie nie mieli dokumentów.

Z drugiej jednak strony...

Szlachcic najwyraźniej pochodził z bardzo wysokiej kasty. Nie był Malawianinem, nie...jakaś zachodnia nacja. Ale niskiego stopnia oficer z niechęcią obraża dygnitarza imperium, wysokiego stopnia i urodzenia, nieważne czy jest on Malawianinem, czy nie.

Oficer słyszał, jak z tyłu narzekają jego ludzie. Widzieli wielkość łapówki, zaoferowanej przez szlachcica i wrzeli gniewem na myśl o idiotycznym zachowaniu swojego dowódcy, przykładającego wagę do małych i głupich praw.

Oficer wahał się, łamał, rozbierał problem na części pierwsze w swoim wąskim i ograniczonym umyśle.

Ten taniec niepewności zakończyła żona szlachcica.

Oficer usłyszał, jak ostrym tonem wydaje jakiś rozkaz. Patrzył, jak wysiada z palankinu w asyście swoich okrutnie wyglądających żołnierzy. Obserwował, jak zbliża się ku niemu.

Była niskiego wzrostu i najwyraźniej bardzo młoda. Także piękna, sądząc po małych fragmentach jej twarzy, jakie zdołał zobaczyć. Miała śliczne czarne oczy.

Jakkolwiek obserwacja sprawiła oficerowi przyjemność, uczucie to całkowicie znikło, kiedy usłyszał jej pierwsze słowa.

Mówiła poprawnym hindi, ale z silnym południowym akcentem. Wydawało mu się, że to akcent kerelański.

*Kiedy poinformuję imperatora Kerali o twojej nieudolności, twoje dni na tym świecie będą policzone. On jest moim ojcem i zażąda od Malawian twojej śmierci. Zostaniesz...*

Jej mąż próbował ją uspokoić.

*...wbity na pal. Zażądam krótkiego pala. Mój ojciec, imperator, pozwoli...*

Jej mąż próbował ją uspokoić.

*...na długim pal w interesie dobrych stosunków dyplomatycznych, ale on nie...*

Jej mąż próbował ją uspokoić.

*...zadowolili się niczym innym, jak tylko twoją śmiercią przez tortury. Zażądam, żeby twoimi zwłokami nakarmiono psy. Małe psy, które rozerwą cię na strzępy, a nie pożrą w całości. Mój ojciec, imperator, nie...*

Jej mąż próbował ją uspokoić.

*...będzie nalegał na psy, żeby nie zaostrzać stosunków dyplomatycznych, ale on zażąda...*

W końcu szlachcic zdołał jakoś uciszyć swoją żonę. Zawłókł ją do palankinu, a ona jeszcze krzyczała przez ramię.

*...twoje śmierdzące ciało nie otrzyma ostatniego namaszczenia. Spędzisz pięć żywotów jako robak, a kolejnych pięć jako pajak Będziesz...*



Kiedy orszak przeszedł przez posterunek, godność oficera została częściowo odbudowana przez ogromny bakszysz, który dostał od szlachcica. Ale tylko częściowo. Młody oficer nie mógł nie zauważyć uśmiezków, jakie wymieniali pomiędzy sobą jego żołnierze i ci z eskorty szlachcica. Uśmiezki takie zawsze pojawiają się na twarzach szeregowców, kiedy są świadkami upokorzenia wysoko postawionych młodocianych dupków.

\* \* \*

W ciągu następnego tygodnia dziewięciu malawiańskich kurierów zaginęło w Maharastrze. Poruszali się oczywiście szybciej niż marathańscy partyzanci, ale musieli się trzymać dróg i tak naprawdę nie mieli pojęcia o geografii terenu. A młodzi podkomendni Rao znali każdy skrót w tych wulkanicznych wzgórzach. I każde miejsce, które nadawało się na zasadzkę.

Z czternastu kurierów, którzy wyruszyli na południe z Kausambi tygodnie temu, tylko jeden przeżył podróż. Wybrał szlak położony najbardziej na północ od wszystkich innych dróg kurierów i zaledwie odrobinę zanurzył się w góry Niezmierzonego Kraju. Więc w końcu przybył do portu swego przeznaczenia. Było to małe miasteczko na północnym skraju Zatoki.

W końcu wszystko poszło zgodnie z planem. Dowódca małego garnizonu natychmiast zmobilizował oddziały i rozpoczął dokładne patrolowanie portu i okolic. Wszystkie statki, wszystkie trzy statki, zostały uwięzione w porcie.

Dowódca był agresywnym i wymagającym oficerem. Mały port zamknięto bardzo szczelnie. I tak, zgodnie z planem, ani jeden z wrogich cudzoziemców nie uciekł przez ten port.

Czego, jak się okazało, żaden z nich nie miał nawet zamiaru próbować.

## **Rozdział 18**

Gdyby Nanda Lal nie zainterweniował, mogłoby dojść do wymiany ciosów. Rana Sanga z pewnością zostałaby po tym nabity na pał, ale miałaby przynajmniej satysfakcję, że zarznął pana Tatagatę jak świniaka, którym ten ostatni z pewnością był.

- Cisza! – zawołał główny szpieg, kiedy tylko wpadł do pokoju. – Uspokójcie się obaj.

Nanda Lal miał donośny głos. Niestety, trochę zmienił się jego dźwięk z powodu złamanego nosa, ale ciągle brzmiał głośno i stanowczo. A ponadto głos szpiega aż kipiał od wściekłej furii i był tak paskudny, że uciszyłby każdego.

W taki nastrój wpadł Nanda Lal, kiedy tylko odzyskał przytomność na podłodze barki czcigodnej pani Holi. Na dywanie przesiąkniętym krwią, która wypłynęła z jego nosa, gdzie posłał go cios ciężkiego buciora tego cudzoziemskiego demona.

Minął już tydzień od tamtego wieczoru, a złość wcale nie traciła na sile. Wściekłość była typowa dla szpiega, zimna, nie gorąca, ale śmiertelnie bezlitosna.

Sanga zacisnął usta. Gapił się na Nandę Lala, nie z niegrzecznej ciekawości, ale dlatego, że miał już dosyć głupkowatej, tłustej, świńskiej twarzy pana Tatagaty. Potem, zdawszy sobie sprawę, że powód jego spojrzenia może być odczytany dwuznacznie, Sanga odwrócił wzrok.

Rzeczywiście, królewski szef siatki szpiegowskiej Imperium Ma-lawy przedstawiał sobą widok godny zapamiętania. U prawie każdego innego człowieka wielki bandaż, zawiązany wokół twarzy, wyglądałby komicznie. Nanda Lal wyglądał jak ogr.

Tatagata, otrząsnąwszy się z pierwszego szoku, przeniósł swoją wściekłość na Nandę Lala.

- Co to ma niby znaczyć? – zawołał jeden z najwyższych dowódców malawiańskiej armii. – To niedopuszczalne! Nie masz żadnego prawa wydawać mi rozkazów! Nie tutaj! To sprawa

ściśle wojskowa, Nando Lala... wolałbym, żebyś nie wściubiał nosa w nie swój...

Następne słowa Nandy Lala zabrzmiały niczym syk węża.

- Jeżeli aż tak bardzo zależy ci na dokończeniu tego zdania, Tatagato, przekonasz się, jakie mam prawa, a jakich nie posiadam. Zapewniam cię, że to odkrycie będzie dla ciebie szokiem. Ale tylko na chwilę. Będziesz martwy w przeciągu godziny.

Pan Tatagata zakrztusił się i połknął resztę słów. Opadła mu szczeka. Jego oczy, płaskie jak u ryby, bezradnie wodziły po pokoju, jakby przeszukując splendor swoich apartamentów w poszukiwaniu jakiegoś szczegółu, który zaprzeczyłby słowom Nandy Lala.

Najwyraźniej nic nie znalazły. Tak przynajmniej pomyślał Rana Sanga, widząc, że Tatagata nie kontynuuje swojej przemowy.

Nanda Lal wszedł do pokoju. Nie zadał sobie nawet trudu, żeby zamknąć drzwi. Poza nimi Sanga widział drugi pokój. Zdał sobie sprawę, że jest to jedna z prywatnych kwater imperatora. Sam Sanga nigdy nie był w tym pomieszczeniu. Radźpuci spotykali się ze Skandaguptą tylko w salach przeznaczonych na publiczne audiencje. Był teraz w tej części Wielkiego Pałacu, której ani trochę nie znał. W samym rdzeniu tej potężnej budowli, w towarzystwie mocy, która tutaj spoczywała.

- Skąd się tutaj wzięłeś, Rana Sanga? – zapytał szpieg. Jego głos był teraz niski i bardzo spokojny.

Sanga zaczął wyjaśniać swoją teorię na temat ucieczki Belizariusza, ale Nanda Lal przerwał mu prawie natychmiast.

- Nie o to pytam, Sanga. To już słyszałem. – Szpieg zaczął krzywić się złośliwie, ale ból pokaleczonej twarzy natychmiast uciął ten grymas. Zamachał w kierunku otwartych drzwi.
- Wszyscy już to słyszeliśmy. Sam imperator wysłał mnie tutaj, żebym cię uciszył. – Rzucił twarde spojrzenie na Tatagatę, który ciągle wyglądał jak najeżka. – I jego też. Nie mogliśmy usłyszeć własnych myśli, tak wrzeszczeliście. – Z jego głosu zniknął wszelki ślad zdziwienia. – Pytam cię po raz kolejny. Po co tutaj jesteś?

Sanga zrozumiał.

- Chcę, żeby zarządzono poszukiwania Belizariusza na zachodzie. To tam on uciekł. Jestem tego pewien.

Gniew pana Tatagaty w końcu przebrał miarę i dostojnik nie zdołał się opanować. Ale, tym razem ostrożnie, najpierw się upewnił, że jego złość jest skierowana przeciwko Radźputowi.

- To jakieś niedorzeczne bzdury, Nando Lala – zgrzytnął. – Ten śmierdzący Radźputa po prostu miał już dosyć...

Tym razem został uciszony przez głos samego imperatora.

- Wprowadź ich obu tutaj – nadeszła komenda imperatora z drugiego pokoju.

Tatagata zacisnął zęby. Ale nic nie powiedział, chociaż jego twarz płonęła z gniewu.

Następne słowa, dochodzące z pokoju obok sprawiły, że jego twarz powlokła się bladością. Słowa te wypowiedziane zostały przez starą kobietę.

- Tak, Nando Lalu, przyprowadź ich tutaj. Natychmiast.

Rana Sanga był zaskoczony widokiem pokoju imperatora. Był znacznie mniejszy, niż się spodziewał, i prawie... cóż, określenie użytkowy niezbyt dobrze opisywało pomieszczenie, przystrojone takimi gobelinami i meblami. Ale, porównując je do jakichkolwiek innych pomieszczeń, w których Radżputa widywał swego suwerena, to było prawie surowe i nagie.

W pokoju siedziały trzy osoby, imperator Skandagupta, jego córka Sati i jego ciotka, czcigodna pani Holi. Sanga widział już te kobiety wcześniej, przy kilku oficjalnych okazjach, ale tylko z większej odległości. Nigdy nie zamienił z żadną z nich ani słowa.

Uderzył go ich wygląd. Żadna z kobiet nie nosiła welonu. Księżniczka Sati była piękną młodą kobietą, ale wydawała się tak nieruchoma i odległa, jak sam horyzont. Czcigodna pani Holi także sprawiała wrażenie głęboko pogrążonej w myślach – Sanga tak sobie pomyślał, napotykać jej oczy. Te oczy były puste i ciemne. Oczy bez duszy.

Ale jednakże bardziej niż ich wygląd, zaskoczył Sangę fakt, że kobiety siedziały na krzesłach. Siedziska te nie były specjalnie okazałe, przynajmniej jak na imperialne standardy, Ale w każdym calu przypominały krzesła zajmowane przez imperatora. Przez cały czas pełnienia obowiązków, Sanga ani razu nie widział, żeby ktokolwiek siedział na takim samym krześle, jak imperator. A przynajmniej nie w tym samym pokoju.

Sanga nie miał jednak czasu, żeby zastanawiać się nad tym dziwactwem, bowiem pan Tatagata znowu dał się ponieść emocjom

- Wasza Wysokość... czcigodna pani Holi... Nalegam, żeby ten Radżputa został ukarany. Z całą surowością. Tutaj wchodzi w grę tylko najsurowsza wojskowa dyscyplina. Ten... ten... ten pies nie posłuchał mojego roz...

Głos czcigodnej pani Holi był tak samo pusty, jak jej oczy. Ale słowa cięły jak nóż. Były zimne, cienkie i ostre.

- Tutaj, Tatagato, w grę wchodzi niekompetencja wojskowego rozkazu. Każde słowo, padające z twoich ust, jeszcze to podkreśla.

Tatagata zakrztusił się. Sanga, patrząc na niego, zdał sobie sprawę, że widzi człowieka śmiertelnie przerażonego. Radżpucki książę przeniósł spojrzenie na czcigodną panią Holi. Na jego twarzy nie malowało się żadne uczucie, ale w głębi serca marszczył brwi. Nie widział w tej starej kobiecie nic, co mogłoby wzbudzić aż taki strach. Może z wyjątkiem tych oczu.

*Czy to ona jest siłą stojącą za tronem? Słyszałem opowieści o... magicznych sztukach, czarach, ale nigdy nie brałem ich na poważnie.*

Teraz do Tatagaty przemówił imperator. Jego głos przypominał kobrę, mówiącą do swojej ofiary. Krótka, pulchna i nieciekawa kobra. Ale w końcu kobra.

- Odkryliśmy właśnie, dzisiaj rano, że Rana Sanga już kiedyś nas ostrzegł przed kręctwami i oszustwami tego Belizariusza. Ale wtedy go uciszylesz, tak jak próbujesz to zrobić teraz.

- To kłamstwo! – zawołał Tatagata.
- To nie jest kłamstwo – powiedział ktoś za plecami Radźputy. Sanga odwrócił się. W dalekim kącie pokoju siedział pan Damodara. Radźputa był tak rozkojarzony, kiedy wchodził do królewskiej sali, że nawet go nie zauważył.

Damodara wstał i wyszedł na środek pokoju.

- To nie jest kłamstwo – powtórzył. – Podczas narady królewskiej w Ranapur, kiedy Rana Sanga wyraził swoją opinię na temat poczynań Belizariusza, miał zamiar dodać coś jeszcze. Chciał nas ostrzec, że Rzymianin planuje nas zdradzić. I ty go uciszyłeś.
- Tak było – warknął imperator. – Pamiętam to doskonale. Czy w związku z tym nazwiesz mnie kłamcą?

Tatagata gwałtownie potrząsnął głową.

- Oczywiście, że nie, Wasza Wysokość! Oczywiście, że nie! Ale nie wiedziałem, co on zamierza powiedzieć... a to była rada Malawian... on jest Radźputa... i... – Prawie zawył. – Skąd ktokolwiek miał wiedzieć, co on zamierza powiedzieć?
- Boja go potem zapytałem – odparł Damodara. – I powiedział mi. Dlatego, kiedy wznowiono obrady, zażądałem, żeby... – Nagle przerwał. – Dlatego zażądałem tego, czego zażądałem.

Damodara pokazał na Rana Sangę ruchem głowy.

- Wtedy nic nie powiedziałem o tym, czego dowiedziałem się od Rana Sangi. Inaczej zostałby ukarany przez takich, jak ty – dodał z goryczą. – Ale w końcu udało mi się przekonać imperatora i Nandę Lala... i czcigodną panią Holi... właśnie dziś rano. Zresztą to właśnie ty nie pozwalałeś mi się z nimi spotkać – dodał pogardliwie.
- Nic o tym nie wiedziałem – bronił się Tatagata.
- Dlatego właśnie jesteś winien raczej niekompetencji niż zdrady – przemówiła czcigodna pani Holi. Jej głos, chociaż szorstki, w odczuciu Rana Sangi nie zawierał w sobie ani odrobiny emocji. Równie dobrze mogłaby mówić o pogodzie. o pogodzie w kraju, odległym o tysiące kilometrów, gdzie nigdy nie była i nie będzie.
- Zostaw nas, panie Tatagato – rozkazał imperator. Skandagupta wyprostował się na krześle. Był człowiekiem bardzo niskim i pulchnym, ale dla Rana Sangi wyglądał jak kobra, rozpościerająca kaptur.
- Zostajesz zwolniony z obowiązków. Wracaj do swojej posiadłości i tam już zostań.
- Ale... Wasza Wysokość...
- Zostajesz pozbawiony połowy majątku. Bogatszej połowy. Nie próbuj nic ukryć. Królewscy rewidenci wszystko dokładnie sprawdzą.

Tatagata patrzył z wybałuszonymi oczyma, sparaliżowany.

- Jeżeli za minutę nie opuścisz tego pokoju – przemówił imperator – zostaniesz pozbawiony całego majątku. A za dwie minuty rozkażę cię zabić.

Tatagata wypadł przez drzwi w przeciągu czterech sekund. Imperator popatrzył na pana

Damodarę.

- Poinformuj pana Dziwitę, że jest nowym głównodowodzącym armii. Zobaczę się z nim za godzinę.

Pan Damodara uklonił się i odwrócił w kierunku wyjścia. Czcigodna pani Holi zatrzymała go.

- Powiedz mu, że imperator spotka się z nim w swojej zachodniej sali panie Damodaro,

Ponownie Rana Sangę uderzył zimny, wręcz lodowaty ton jej głosu.

Nie, nie można powiedzieć, że ton jest zimny. Zimno znamionuje jakąś temperaturę. Lód jest zimny. Ten głos nie miał temperatury. Był pusty, pozbawiony czegokolwiek.

Ale najbardziej zaskoczył Sangę wyraz twarzy imperatora. Władca był zdumiony.

*Ona przecież właśnie rozkazała imperatorowi wynieść się z tego pokoju.*

A potem zobaczył, jak imperator wzrusza ramionami.

*I on zamierza jej usłuchać, bez słowa protestu! Co daje tej starej kobiecie aż taką władzę?*

- Co dokładnie proponujesz zrobić, Rana Sango? – zapytał Nanda Lal.

Radźputa potrząsnął głową, żeby pozbyć się mentalnego szoku, spowodowanego przez słowa czcigodnej pani Holi. Prawie z ulgą spojrział na szefa wywiadu.

- Po pierwsze. Będę potrzebował pomocy twoich szpiegów i informacji, które zebrali. Belizariusz... nawet sam Belizariusz, nie byłby w stanie opuścić Kausambi bez śladu. Jeżeli poszukamy, prędzej czy później natkniemy się na niego. A wtedy, jeżeli mam rację, okaże się, że on ucieka na zachód, a nie na południe. Pojadę za nim wraz ze swoją kawalerią.
- Twoim oddziałem? To tylko pięć setek żołnierzy.

Sanga powstrzymał zirytowane prychnięcie.

- To znacznie więcej, niż potrzeba. To tylko człowiek, Nando Lalu, nie demon asura. Problem leży w jego odnalezieniu, a nie pojmaniu, kiedy już na niego trafimy. A do tego pięć setek kawalerzystów wy starczy w zupełności.

Zdecydował się na odrobinę ryzyka.

- Ci żołnierze to nie są zwykli szeregowcy... do tej roboty nadają się najlepiej. Ta wielka masa żołnierzy, pętająca się na południu – nie próbował nawet ukryć drwiny, czającej się w tych słowach – tylko wchodzi sobie nawzajem w drogę. Jeżeli Belizariusz może zostać schwytany... jeżeli, Nando Lalu, nie mogę ci tego obiecać, gdyż ma nad nami przewagę. Jeżeli jest to możliwe, mogą tego dokonać tylko moi Radźpuci i patańscy tropiciele.
- A jeżeli ci się nie uda? – zapytał imperator.

Sanga popatrzył na Skandaguptę, zawahał się, a potem zupełnie zrezygnował z ostrożności.

- Jeżeli mi się nie uda, Wasza Wysokość, to mi się nie uda. Na wojnie czasem się przegrywa. I to nie dlatego, że jest się niekompetentnym oficerem, ale po prostu dlatego, że wróg jest

lepszego.

- A więc niby ten... ten plugawy Rzymianin jest od ciebie lepszy? Chrzanić ostrożność.
- To nie jest głupi kmiotek, Wasza Wysokość. To właśnie błąd, który popełniamy od początku. To lojalny Rzymianin i to właśnie, do spółki z jego fantastycznymi umiejętnościami sprawia, że jest tak niebezpieczny.

Na korpulentnej twarzy imperatora malował się gniew, podobnie jak wcześniej na obliczu pana Tatagaty. Ale ten gniew został szybko ostudzony przez czcigodną panią Holi.

- Przestań Skandagupto – rozkazała. – Ogniu nie ma już czasu na malawiańską próżność.

Sanga był zaszokowany, widząc, jak twarz imperatora powleka się bladością. W głosie czcigodnej pani Holi było coś dziwnego. Jakoś się zmienił. Transmutował. Już przedtem nie było w nim emocji, ale teraz brzmiał zupełnie nieludzko.

Kto to jest Ogniu, zastanawiał się. – Czuł się coraz bardziej zdezorientowany.

- NANDO LALU, RÓB, JAK POWIEDZIAŁ RANA SANGA – przemówiła czcigodna pani Holi. – PRZEPYTAJ SWOICH SZPIE GÓW SPRAWDŹ RAPORTY.

W tym głosie nie było już nic ludzkiego. Brzmiał jak...

Rana Sanga zamarł. Słyszał różne opowieści, tu i tam, ale nie zwracał na nie uwagi. Lata temu, składając się ku zespołowej decyzji radżpuckich książąt, Rana Sanga także złożył przysięgę imperatorowi Malawy. Wtedy, tak samo, jak teraz, z godnością radżpuckiego Hindusa, ignorował szeptane plotki o nowych bogach Malawian.

...jak głos bogini. Zimny, ale nie tak jak lód, tylko jak sama nieskończoność.

Na wpół ogłuszony słuchał dalej.

- ZOSTAW NAS, SKANDAGUPTO. OGNIWO CHCE POROZ MAWIĄĆ Z RANA SANGĄ.

Radżputa usłyszał, jak imperator protestuje, ale nie rozumiał słów. Słyszał tylko czcigodną panią Holi.

- WYJDŹ, MALAWIANINIE. JESTEŚ TYLKO NASZYM NARZĘDZIEM, NICZYM WIĘCEJ. JEŻELI NAS NIE ZADOWOLISZ, ZNAJDZIEMY SOBIE KOGOŚ INNEGO. A TERAZ WYJDŹ.

Imperator wyszedł, a raczej wyleciał z pokoju, z godnością niewiele większą od tej, jaka pozostała Tatagacie, kiedy także jak niepyszny wymykał się z pomieszczenia. Teraz Sanga został sam z dwoma kobietami.

Na początku spodziewał się, że młoda księżniczka także wyjdzie. Zamiast tego to właśnie ona przemówiła.

- Zdaję sobie sprawę, że to musi być dla ciebie szok, Rana Sango – powiedziała bardzo grzecznie. Sanga z ulgą usłyszał, że jej głos ciągle należał do młodej kobiety. Prawda, był zimny, odległy i nieprzystępny. Ale z pewnością należał do człowieka.

Radżputa zerknął na czcigodną panią Holi. Stara kobieta, co zauważył z jeszcze większą ulgą, zapadła w jakiś rodzaj transu. Prawie jakby jej tu nie było. Pozostał tylko nieruchomy posąg kobiety. Sati podążyła za jego spojrzeniem i uśmiechnęła się lekko.

- To nie jest czcigodna pani Holi. Nie tak naprawdę. Czcigodna pani Holi to po prostu naczynie. Mieszka w niej boska istota o imieniu Ogniw.
- Czy to bogini? A może bóg? – zapytał Sanga. Był dumny z tego, że jego głos nie zadrżał, ani się nie zająknął.
- Żadne z powyższych – odparła Sati. – Ogniw nie ma płci, Rana Sango. To czysta istota, byt, duch dewa[14] wysłany przez bogów. Przez nowych bogów. – Młoda księżniczka wyprostowała się na krześle. – Kiedy czcigodna pani Holi umrze, ja ją zastąpię jako naczynie dla Ogniw. Przez całe życie byłam przygotowywana do tej misji. Od wczesnego dzieciństwa.

Wyczuwając dumę, wyzierającą z każdego słowa kobiety, Rana Sanga poczuł nagłe ukłucie. Nie uważał Sati za atrakcyjną w taki sposób, jak mężczyzna postrzega kobietę. Mimo niewątpliwego uroku młodej księżniczki, miała ona urodę dość powściągliwą, co nie przemawiało ani trochę do uczuć Radżputy. Jego żona była raczej okrągłą kobietką, z płaską twarzą i wczesnie posiwiałymi włosami. Ale jej natura należała do ciepłych, jak bogata ziemia, i zawsze miała wesoły nastrój, niczym młode kocię.

Ciągle jednak czuł żądło. Nie potrafił sobie wyobrazić tej księżniczki łaskoczącej męża w łóżku bez litości, jak to miała w zwyczaju jego żona. Ale nie mógł się pozbyć bólu w sercu, kiedy widział w myślach tę dziewczynę, zamienioną w coś, czym była pani Holi. W coś nieludzkiego.

W tej właśnie chwili dowiedział się, że to coś nieludzkiego, co siedzi z nim razem w pokoju, potrafi znacznie lepiej czytać myśli niż śmiertelnicy.

- NIE LITUJ SIĘ NAD LOSEM SATI, RANA SANGO. TWOJA LITOŚĆ JEST NIE NA MIEJSCU. WYRASTA TYLKO I WYŁĄCZ NIE Z NIEWIEDZY.

Patrzył na czci godną pa... na Ogniw.

- DOCEŃ TO, RANA SANGO. JESTEŚ PIERWSZYM CZŁOWIEKIEM, DO KTÓREGO PRZEMAWIAM, ODKĄD PRZYBYŁAM NA ZIEMIĘ, KTÓRY NIE JEST MALAWTANINEM.
- Dlaczego? – zdołał zapytać.
- TO JEST NIEZBĘDNE. NIE SPODZIEWAŁAM SIĘ, ŻE BELIZAPJUSZ JEST TAKI SPRYTNY. DANE HISTORYCZNE MNIE ZWIODŁY.

Sanga zmarszczył brwi. Ciekawość zwyciężyła strach.

- Wiedzieliście o nim?
- OCZYWIŚCIE. W ŚWIECIE, KTÓRY BYŁ, BELIZARIUSZ PODBIŁ DLA JUSTYNIANA CAŁE IMPERIUM RZYMSKIE. BIORĄC POD UWAGĘ WARUNKI, W JAKICH MUSIAŁ PRACOWAĆ, MOŻNA GO OBWOŁAĆ NAJLEPSZYM GENERAŁEM, JAKIEGO LUDZKOŚĆ WYDAŁA NA ŚWIAT. Z PEWNOŚCIĄ BYŁ JEDNYM Z NAJLEPSZYCH. STOPIEŃ, NA TYM POZIOMIE ISTOTNOŚCI, MOŻNA STATYSTYCZNIE ZANIEDBAĆ.

Sanga nie rozumiał słowa „statystycznie”, ale pojął sedno jej... Ogniwa wypowiedzi.

- Jeżeli wiedzieliście to wszystko, dlaczego...
- NIE JESTEM BOGIEM. SAMI BOGOWIE, NOWI BOGOWIE... KTÓRZY NAPRAWDĘ NIE SĄ BOGAMI. NIE W TAKI SPOSÓB, W JAKI ROZUMIESZ TO POJĘCIE. NIC WE WSZECHŚWIECIE NIE MOŻE ZOSTAĆ BOGIEM. W TAKI SPOSÓB, W JAKI ROZUMIESZ TO POJĘCIE. TO JEST WYKLUCZONE PRZEZ TEORIĘ CHAOSU I ZASADĘ NIEOZNACZONOŚCI.

Ostatnie zdanie brzmiało jak czysty bełkot. Ale znów Rana Sanga pojął sens całej wypowiedzi. Przez chwile jego hinduska natura próbowała się buntować, ale Sanga natychmiast stłumił tę rebelię. Ta chwila była zbyt poważna, żeby wdawać się w religijne spory.

- Wyjaśnij mi dokładniej, proszę.
- ZANIM PRZYBYŁAM, WIEDZIAŁAM O BELIZARIUSZU TYLKO TO, CO JEST ZAPISANE W HISTORII. WIEDZIAŁAM, ŻE JEST DOSKONAŁYM RZYMSKIM GENERAŁEM, TAKBYŁO NAPISANE. NATOMIAST FAKTU, ŻE JEST TAKŻE KIMŚ WIĘCEJ, NIE BYŁO W DANYCH. NIE ROZUMIEM TYCH JEGO NIEOCZEKIWANYCH ZDOLNOŚCI. ŻADEN GENERAL NIE BYŁBY W STANIE DOKONAĆ TEGO, CO ON. ŻADEN GENERAL NIE POTRAFIŁBY TAK DOSKONAŁE MANIPULOWAĆ MALAWIANAMI. IZ PEWNOŚCIĄ ŻADEN GENERAL NIE ZAREAGOWAŁBY TAK SZYBKO, KIEDY ODKRYŁAM JEGO DWULICOWOŚĆ.

Ogniwo przerwało na chwilę, jakby się nad czymś zastanawiało.

Rana Sanga zadał sobie w myślach pytanie, czy taka istota rzeczywiście potrafi się zastanawiać.

- ALBO MOJE DANE SĄ NIEKOMPLETNE, ALBO W GRĘ WCHODZĄ INNE CZYNNIKI. MUSZĘ ODKRYĆ, JAKIE. KONIECZNIE MUSISZ GO ZŁAPAĆ. DLA TEJ WŁAŚNIE PRZYCZYNY, A NIE ŻADNEJ INNEJ.

Sanga był pod wrażeniem. Można nawet powiedzieć, że ogarnął go strach. Ale ciągle był Radżputą. Radżpuckim królem, przypominał sobie w myślach.

- Nie mogę ci tego obiecać – powiedział szorstko. – I nie zamierzam składać przysięgi, której może nie będę w stanie dotrzymać.

W ciszy, która nastąpiła później, Rana Sanga miał czas, żeby się zastanowić, jak zostanie ukarany. Czy ta... boska istota zadowolili się pozbawieniem go majątności? A może zażąda jego życia?

Odpowiedź, kiedy w końcu nadeszła, bardzo go zaskoczyła. Ze strony boskiej istoty, która w sekrecie rządziła Malawą, spodziewał się malawiańskiej reakcji.

- DOSKONAŁE. JESTEŚ SKARBEM, RANA SANGÓ. MOŻE LIWE, ŻE SIĘ POMYLILIŚMY, WYBIERAJĄC MALAWIAN, ZAMIAST RADŻPUTÓW. W KOŃCU LOJALNOŚĆ WYDAŁA NAM SIĘ WAŻNIEJSZA OD ZDOLNOŚCI. Z PERSPEKTYWY CZASU.



Ostatnie zdanie było jak zimny prysznic. Sanga nagle dostrzegł, nawet jeżeli tylko przelotnie, ogrom stwierdzenia „z perspektywy czasu”. Tak jak widzą to bogowie.

- A TERAZ MUSIMY JAKOŚ TO POŁĄCZYĆ. DO NOWEGO ŚWIATA, KTÓRY TWORZYMY, MUSIMY WPROWADZIĆ WIĘCEJ ESENCJI RADŻPUTANY. WIĘCEJ WASZYCH ZDOLNOŚCI.

Sanga nie był do końca pewny, czy te słowa przynoszą mu ulgę. Dla niego esencją Radżputany nie były umiejętności i zdolności Radżputów. Była nią dusza Radżputy. Honor Radżputy.

Znowu wyglądało na to, że istota zwana Ogniwem doskonale radzi sobie z czytaniem jego myśli.

- NIE ZROZUMIAŁEŚ, RANA SANGO. MALAWIANIE I RADŻPUCITRWAJĄ TYLKO CHWILĘ. JAK STADIA PROCESU, NIC WIĘCEJ. TOBIE WYDAJĄ SIĘ STAŁYMI I OGROMNYMI POPULACJAMI. DLA NOWYCH BOGÓW SĄ TAK PRZEJŚCIOWI, JAK JĘTKI. LICZĄ SIĘ TYLKO JAKO STADIA PROCESU.
- Jakiego... procesu? – wychrypiał Rana Sanga.
- WYBAWIENIA LUDZKOŚCI OD TEGO, CZYM SIĘ STANIE. OD HORRORU, JAKI SAMA SOBIE ZGOTUJE W PRZYSZŁOŚCI. ZOSTAŁAM WYSLANA W CZASIE, ŻEBY ZMIENIĆ TĘ PRZYSZŁOŚĆ. ŻEBY ZMIENIĆ HISTORIĘ. POKAŻĘ CI TEN HORROR. POPROWADZĘ CIĘ PRZEZ PRZYSZŁOŚĆ. PRZEZ ZAGŁADĘ LUDZKOŚCI. PRZEZ KOŃCOWE ZBRUKANTE.

Sanga zdążył tylko podnieść rękę obronnym gestem. Jego dłoń opadła w dół.

Wizje ścisnęły jego umysł, niczym zwoje węża dusiciela.

## **Rozdział 19**

*Oślepiający błysk. Słońce wschodzi ponad słońcem. Miasto poniżej znikło. Jego mieszkańcy zostali spaleni, zanim zdążyli poczuć ból.*

*Miejskie przedmieścia nie miały tyle szczęścia. Ucierpiały także, ale nie wyparowały. Ludzie krzyczą, biegają obdarci ze skóry w jednym momencie. Sekundę później domy i wrzeszczący ludzie znikają, zmieceni potężną falą wichru.*

**FALA UDERZENIOWA. WZROST CIŚNIENIA.**

Sanga nie rozumiał żadnego z tych terminów. Ani tekstu, który nastąpił po nich.

**GŁOWICA SIEDEMNAŚCIE MEGATON. ZBYT DUŻA. PRYMITYWNA. DRUGA STRONA ODPOWIEDZIAŁA GŁOWICAMI TYPU MIRV. CHOCIAŻ PRAWDOPODOBIENSTWO BŁĘDU BYŁO DUŻE, NIE ROBIŁO TO ŻADNEJ RÓŻNICY.**

*Inne miasto. Oświetlone kilkoma małymi słońcami, zamiast jednym dużym. W rezultacie nie ma żadnej różnicy.*

**WYMIANA TRWAŁA OSIEM DNI. W PRZECIĄGU MIESIĄCA ZNIKNEŁA POŁOWA ŚWIATA. W PRZECIĄGU ROKU – CAŁY. ZGINEŁY WSZYSTKIE ORGANIZMY WIĘKSZE OD BAKTERII. TO WTEDY PO RAZ PIERWSZY LUDZKOŚĆ ZNISZCZYŁA SWÓJ ŚWIAT. ALE NIE PO RAZ OSTATNI.**

*Świat. Jałowa pustka. Jedna wielka pustynia, tak pusta, że przy niej nawet pustynia Thar wygląda jak oaza. Morza, szare i puste. Niebo czarne, nakryte najgrubszą warstwą chmur, jaką Sanga widział w całym swoim życiu, w najgorszej porze monsunu.*

**LUDZKOŚĆ CZTEROKROTNIE ZNISZCZYŁA ZIEMIĘ. DWA RAZY NUKLEARNYM**

OGNIEM, RAZ KINETYCZNYMI POCISKAMI I RAZ ZARAŻĄ.

Jedynym zrozumiałym dla niego terminem była „zaraza”.

ZARAŻA BYŁA NAJGORSZA.

KRYSTALICZNY PSEUDOWIRUS, KTÓRY ATAKOWAŁ KWAS DEZOKSYRYBONUKLEINOWY. DNA JEST PODSTAWĄ KAŻDEGO ŻYCIA. BEZ NIEGO NIE MA ŻYCIA. PRAWDZIWE ŻYCIE JEST NIEMOŻLIWE. ZIEMIA, ZNISZCZONA OGNIEM, MOŻE BYĆ PONOWNIE ZAMIESZKANA. NAWET RADIOAKTYWNY OPAD KIEDYŚ SIĘ NEUTRALIZUJE, TRZEBA POCZekaĆ. TAZARAŻA... NIGDY. NAWET BAKTERIE ZGINĘŁY. ZIEMIA BĘDZIE JAŁOWA NA ZAWSZE. BĘDZIE DOMEM DLA ODRAŻAJĄCYCH ISTOT.

*Znowu ziemia. Znowu jałowa. Ale teraz, wszędzie na ziemi można dostrzec lśniąca sieć błyszczących punktów. Jak sieć pająka, albo zbrukane ciała ofiar zarazy.*

ZASTANAWIASZ SIĘ, JAK TO MOŻLIWE, ŻE LUDZIE ZNÓW MOGĄ MIESZKAĆ NA ZIEMI PO TYM, JAK CAŁE ŻYCIE ULEGŁO ZNISZCZENIU. POKAŻĘ CI.

*Wielka wirująca spirala. Zrobiona z milionów świetlistych punktów. Obserwator zbliża się do obiektu. Każde z tych światel jest słońcem. Większość słońc otaczają planety. Biliony światów. Każdy jest inny.*

*Jeszcze bliżej.*

*Przez niesamowicie czarną pustkę poruszają się małe obiekty. Powoli, powoli, bardzo powoli. Sanga poznaje, że to maszyny. Jakiegoś rodzaju pojazdy.*

STATKI KOSMICZNE. ICH PRĘDKOŚĆ JEST OGRANICZANA PRĘDKOŚCIĄ ŚWIATŁA.

Sanga zrozumiał tylko słowa prędkość i światło. Ale w połączeniu nie miały sensu. Przecież światło było. Jak więc mogłoby mieć prędkość?

MA 300.000 KILOMETRÓW NA SEKUNDĘ. NIC WE WSZECHŚWIECIE NIE POTRAFI PORUSZAĆ SIĘ SZYBCIEJ. TE STATKI KOSMICZNE LECIAŁY CAŁE STULECIA, ŻEBY DOTRZEĆ DO NAJBLIŻSZEJ GWIAZDY. ALE DO NIEJ DOTARŁY. A POTEM, STULECIA PÓŹNIEJ, DOLECIAŁY DO INNYCH GWIAZD POZA NIĄ. A POTEM, MILENIA PÓŹNIEJ, DO JESZCZE INNYCH GWIAZD. I INNYCH. I INNYCH. I INNYCH POZA NIMI.

MILIONY MILIONÓW LAT.

*Sanga poczuł, jak zaczyna rozumieć czas. Widział, jak statki kosmiczne rozprzestrzeniają się po całym niebie. Zobaczył ogromne kawały czasu kompresujące się w chwilę. Zobaczył, jak ziarna z jęgo świata padają na planety wielkiej wirującej spirali.*

GALAKTYKA. TO GALAKTYKA. MLECZNA DROGA, TAK JĄ NAZWIECIE. LUDZIE DOTRĄ TAKŻE DO ANDROMEDY I MGLAWICY MAGELLANA. WRAZ Z DROGĄ MLECZNĄ TWORZĄ ONE TRZY GALAKTYKI W LOKALNEJ GRUPIE. NIE ZNAJDĄ ŻADNEJ MYŚLĄCEJ FORMY ŻYCIA. TERAZ LUDZIE... PRAWDZIWI LUDZIE ROZPROSZYLI SIĘ PO CAŁEJ GALAKTYCE I SĄSIADUJĄCYCH UKŁADACH. WYPEŁNILI TĘ NISZĘ EKOLOGICZNĄ, KTÓRĄ WY NAZYWACIE „INTELIGENCJĄ” NIKT IM TEGO MIEJSCA WE WSZECHŚWIECIE NIE ODBIERZE.

A LUDZKOŚĆ ZNISZCZYŁA SIEBIE SAMĄ. STAŁA SIĘ NICZYM WIĘCEJ, JAK TYLKO POTWOREM. ZARAŻA– PLUGASTWEM WSZECHŚWIATA.

*Świat gigantycznych drzew. Wielkie istoty przypominające małpy, bujają się na gałęziach. Jednakże nie są owłosione i noszą ubrania. Paski materiału ściśle przylegają do ciała, pozwalając jednocześnie na swobodne ruchy. Istoty mają długie palce u rąk, tak samo groteskowo wyglądają ich palce u stóp. Ich ruchy wskazują na to, że są czworonożni. Jeden z nich pojawił się w polu widzenia.*

*Ma ludzką twarz. Kiedyś był człowiekiem.*

*Świat pokryty wodą, nie ma tu kontynentów, a tylko pływające zielone wyspy. W tym wszechogarniającym oceanie pływają istoty podobne do ryb. Jedna z nich nagle zostaje złapana przez inny kształt, który wyskoczył spod zielonych pędów. Bardzo dziwny kształt. Niewiarygodny. Jego członki poruszają się w górę i w dół niczym u delfina, a ciało przypomina opływową torpedę. Ale zachowało krótkie, nabite ramiona... bardziej same ręce, wyciągające się do przodu ze skróconych ramion. Dłonie łapią rybę i wkładają do szerokiej paszczy z ostrymi jak igły zębami. Potem zęby starannie oddzielają rybę ości, a ręce wkładają je do małej sakwy, zawiązanej wokół szyi.*

*Zbliżenie. Ta twarz także... ta szerokooka, wielousta, zębata, prawie beznosa twarz także kiedyś była ludzka.*

*Ciężki świat, przytłoczony grubą warstwą atmosfery. Kształty podobne do krabów krzątają się po słabo ukształtowanej powierzchni, pracowicie budując jakiegoś rodzaju gmach. Ich dłonie i ramiona, mimo niezręczności, ciągle przypominają ludzkie ręce. Ale istoty poruszają się na sześciu nogach. Ostatnie odnóża wskazują słabo, że kiedyś kraby były dwunożne. Ale środkowa para jest prawdziwym koszmarem. Modyfikacje żeber i klatki piersiowej.*

*Kiedyś byli ludźmi.*

*Potworność szła za potwornością. Niektóre istoty były tak dziwaczne, że Sanga nie widział w nich najmniejszego śladu ludzkich pozostałości.*

*Ziemia nie była jedyną planetą, na której zniszczono życie. Sanga zobaczył tysiące takich światów, zniszczonych i splugawionych „ nuklearnym ogniem ” i „kinetycznymi pociskami”. „Zarazą DNA ” wykorzystano osiem razy. Trzy planety, dryfujące razem w pustej przestrzeni poza czasem, zostały „wyrzucone ze swojej orbity”. Wiele z nich nie było już nawet planetami. Po prostu szczątki dryfujące w kosmosie. „Bardzo duże kinetyczne pociski”.*

*Sanga nie rozumiał żadnego z tych terminów, ale pojął ogólny przekaz. Był żołnierzem. Horror nie stanowił dla niego nowego zjawiska. Chociaż nigdy, nawet w najstraszniejszych koszmarach, nie wyobrażał sobie zniszczeń na taką skalę.*

**ZASTANAWIASZ SIĘ, CZY CIĘ NIE OSZUKUJĘ?**

*Nie, nie zastanawiał się. Teraz był w środku świadomości Ogniwia i pojął jego naturę. Ogniwio było „ boską istotą ”, tak... Sanga wyczuwał w nim kształt nowych bogów, którzy go stworzyli. Widział ich piękne, doskonale twarze. Co dziwne, to piękno go nie poruszyło. Było jak uroda Sati, powiększone tysiąc razy. Ale nie miał wątpliwości, że byli piękni. I doskonali. J boscy.*

*Tak jak nie miał wątpliwości, że Ogniwio pokazywało mu prawdę. W naturze istoty, nazywanej Ogniwem, nie leżało kłamstwo. Jego umysł podążał ścieżką, na którą go pchnięto, jak koło wodne porusza się zgodnie z nurtem rzeki. Nie może kłamać, tak jak koło młyńskie nie może toczyć się pod prąd.*

**A TERAZ POJAWIŁY SIĘ NAJBARDZIEJ ODRAŻAJĄCE ISTOTY..**

*Świecący kształt płynął w przestrzeni. Najpierw Sanga pomyślał, że to musi być jakiś rodzaj eterycznej émy, do czasu, kiedy pojął wreszcie ogrom tej istoty. Była wielkości wieloryba. Nawet większa. Nie mógł dokładnie zidentyfikować jej kształtu. Wyczuwał, że nie jest w pełni materialna. Większość tego kształtu składała się z... magii?*

**POŁA SIŁOWE. MATRYCA ENERGII.**

*Słowa bez znaczenia.*

**TO TEŻ KIEDYŚ BYŁO CZŁOWIEKIEM. ALE NIE POZOSTAŁO W TYM ANI ŚLADU LUDZKIEGO PRZODKA. LUDZKIEJ CZYSTOŚCI. TO NAWETNIE JEST ŻYWE.**

*Jak?*

STWORZYLI TO BIOLOGOWIE, BADAJĄC ZARAŻĘ DNA. SZUKAJĄC LEKARSTWA ALBO SZCZEPIONKI. NIE WYNALEŻLI LEKARSTWA ANI SZCZEPIONKI. ZARAŻA DNA, Z RACJI SWOJEJ NATURY, NIE MOŻE BYĆ ZWALCZONA. KAŻDE LEKARSTWO CZY SUROWICA MUSI SIĘ OPIERAĆ NA DNA. PO PROSTU JESZCZE WIĘCEJ POŻYWKI DLA WIRUSA.

*„Biologowie”, „szczepionka”, „surowica” – Sanga nie rozumiał żadnego z tych słów. Ale rozumiał sens, kryjący się za nimi.*

ZAMIAST TEGO ZNALEŻLI INNE ROZWIĄZANIE. OBLASKAWILI PLUGASTWO. WEPCHNĘLI SWOJE WŁASNE DZIECI W WIECZNE POTĘPIENIE. PORZUCILI ŻYCIE. ODRZUCILI DNA I STALI SIĘ BEZDUSZNYM SUBSTYTUTEM SWOJEJ WŁASNEJ KREACJI.

*I znowu Sanga zobaczył błyszczącą sieć kryształów. Jak sieci pająka –jednocześnie odpychające i piękne. Ale ta sieć nie pokrywała planety. Ta krystaliczna sieć biegła przez każdą strukturą błyszczącej gigantycznej ćmy...a może wieloryba... poruszającego się po niebie.*

ZNALEŻLI NIEOŻYWIONY SUBSTYTUT DNA. DLA SAMEGO ŻYCIA. POCHODNĄTYCH SAMYCH KRYSZTAŁÓW, KTÓRE NISZCZYŁY DNA. NAWET UDAŁO IM SIĘ W TE OKRUCHY TCHNAĆ PARODIĘ INTELIGENCJI. SAMODZIELNĄ CHAOTYCZNĄ INTELIGENCJĘ, ANIE POSŁUSZNĄ CZYSTOŚĆ KOMPUTERA. ODRAŻAJĄCY PROCES DOBIEGŁ KOŃCA. ZOSTAŁO TYLKO PLUGASTWO.

*Sanga nie rozumiał terminu „ komputer ”, chociaż wyczuł, że Ogniwo jest do takiej istoty podobne. A reszta... do głowy wpadło mu pytanie.*

*Jak się nazywają?*

NIE MAMY DLA NICH INNEJNAZWY POZA POTWORAMI. TE ICH KRYSZTAŁY, KTÓRE ZOSTAŁY STWORZONE PRZEZ POTWORNOSĆ, NAZYWAJĄ ICH „WIELKIMI”.

*A jak ci... „ Wielcy” nazywają siebie samych?*

*Po raz pierwszy Sanga wyczuł wahanie. Zastanawiał się, czy przyczyną jest niechęć.*

NAZYWAJĄ SIEBIE LUDŹMI.

*A jak nazywają te krystaliczne twory?*

*Tym razem wahanie było bardzo widoczne. Sanga pojął, że spowodowała go niechęć. Raczej niesmak.*

NAZYWAJĄ ICH LUDŹMI.

Kiedy Rana Sanga odzyskał zmysły, zdał sobie sprawą, że minęło niewiele czasu. Czcigodna pani Holi i Sati ciągle siedziały przed nim. Milczały, a ręce splotły na podółkach.

- Teraz wszystko rozumiesz, Rana Sango – powiedziała Sati miękko. – A przynajmniej wystarczająco dużo.

Sanga otworzył usta, po czym je zamknął. Miał właśnie powiedzieć, że zrozumiał bardzo niewiele. A z pewnością nie wystarczająco dużo. Ale wyczuł, że taki protest nie ma sensu. Poza tym, złożył przysięgę.

To, przynajmniej, rozumiał.

I znowu czcigodna pani Holi jakby czytała w jego myślach. Ale, ku wielkiej uldze Sangi, w jej głosie, kiedy przemówiła, czaiła się choć odrobina człowieka.

- Nie musisz rozumieć więcej, Rana Sango – powiedziało naczynie Ogniwa. – A przynajmniej

nie teraz.

Uparta дума wezbrała w Radżpucie.

- Po co tutaj przybyliście? Do tego... naszego czasu.
- Analiza wykazała, że jest to najlepsze miejsce i czas, żeby zmienić historię. To zadanie jest bardzo trudne, Rana Sango. Historia jest jak wielka rzeka. Nie można zawrócić jej biegu. Woda po prostu przeleje się przez tamy. Ale można wykopać nowy kanał. Szeroki, głęboki i wielki kanał. To nie jest łatwe. Nowi bogowie są przekonani, że ten okres jest najlepszym do dokonania ostrego zwrotu w dziejach ludzkości. Możliwe, że to jedyny moment, kiedy to się da zrobić.
- Ale dlaczego? – zapytał znów, uparcie. ~ Bo w tej erze historii dwie prawdopodobne przyszłości ludzkie istnieją równolegle. To jedyny czas, kiedy można na nie jeszcze wpłynąć. Ziarno destrukcji ludzkości tkwi w tej ohydzie, zwanej Rzymem. A ziarno potencjalnej chwały w malawiańskich Indiach.
- Ale dlaczego? – powróciło uparte pytanie.
- Prawdziwa przyszłość znajduje się tutaj, gdyż właśnie w antycznych Indiach ludzkość zaczęła sięgać po prawdę. Mówię o tym, co nazywacie *warną* i systemem kastowym. Wasze koncepcje są zagłuszone przez podejrzliwość i ignorancję, ale prymitywne pojmowanie dostarcza bazy, która może być podstawą do rozpoczęcia eugenicznego programu, zmieniającego w efekcie oblicze rasy ludzkiej. To właśnie dlatego, mimo ich ograniczeń, zachowaliśmy nietknięte rodowody Malawian, a przekształcamy wszystko wokół tego rdzenia. W dzisiejszych Malawianach, jak widzisz, spoczywa prymitywny zarodek przyszłości. Ale w końcu, po mileniach delikatnych zabiegów genetycznych, powstaną nowi bogowie. Nie ci z teraźniejszości, nie z tej zanieczyszczonej przyszłości, ale z prawdziwej przyszłości, którą stworzymy.
- To właśnie dlatego – przerwała Sati zimno – mimo zdolności i przydatności Radżputów, trzymamy ich pod rządami Malawian. Ze wszystkich ludzkich przywar, żadna nie jest tak zdradziecka i destrukcyjna, jak ślepa pochwała umiejętności. To właśnie w niej leży zepsucie.
- To właśnie z Rzymu bierze się zanieczyszczenie – podsumowała czcigodna pani Holi. – A przynajmniej tam zapuściło najgłębsze korzenie w antycznym świecie. Prawdą jest, że istnieją także inne niebezpieczne czasy i miejsca, nawet w starożytności. Nimi także niebawem się zajmiemy. Okiełznamy Chiny, z pewnością, zanim choroba dynastii Sung i mandarynów zdąży się rozprzestrzenić.
- Ale Rzym... Rzym jest największym wrogiem. To właśnie stamtąd pierwsza oznaka zepsucia splugawiła całą planetę. I rozprzestrzeniła się stamtąd, jak choroba, przez następne stulecia. Najczęściej była to choroba ukryta, i raczej endemiczna, a nie o charakterze epidemii. Ale zawsze czaiła się za plecami, zawsze jak dziedziczne obciążenie, gotowa, żeby podnieść głowę.
- Rzym. To monstrualne królestwo mieszańców. To absurdalne, tak zwane imperium, gdzie każdy człowiek mógł nazwać siebie Rzymianinem i domagać się ochrony od rzymskiego prawa, jakby naprawdę był łacińskiego pochodzenia. Gdzie nawet imperator nie jest w stanie prześledzić swojego rodowodu dalej niż dwa pokolenia wstecz. Gdzie dowolny barbarzyńca może zapragnąć imperatorskiego tronu. Jak ten prymitywny wieśniak, który teraz ubiera się w purpurę. Gdzie każda brudna dziwka może zasiąść na tronie obok niego i odbierać honory jako królowa najczystszej krwi. W Rzymie liczą się tylko zdolności. To właśnie ta pochwała

umiejętności ponad czystością zniszczy w przyszłości ludzkość. Ten nieokiełznany, niezdyscyplinowany genetyczny chaos splugawi tę planetę i tysiące innych. I w końcu pozostawi po sobie tylko nieludzkie potwory, które zanieczyszczą wszechświat.

Sati wtrąciła się ponownie.

- Wystarczy, Rana Sango. Już i tak dostąpiłeś zaszczytu większego niż większość Malawian. Nie pytaj nas o nic więcej. W końcu ty masz tylko wykonywać nasze polecenia.

Sanga wstał, pokłonił się i opuścił pokój.

\* \* \*

Nanda Lal czekał na niego w komnacie pana Tatagaty... w byłej komnacie pana Tatagaty. Pan Dziwita i pan Damodara także tam byli.

- Miałeś rację, Rana Sango – zaczął Nanda Lal natychmiast. – To stało się oczywiste, jak tylko powiązałem fakty, które znamy.

Teraz twarz szefa wywiadu wyglądała naprawdę jak oblicze ogra.

- Kilku z moich podwładnych zostanie surowo ukaranych za to, że taili przede mną te wiadomości przez tak długi czas.

To oznaczało wyrwanie języka, może nawet oślepienie. Sanga nie mógł znaleźć w swoim sercu ani odrobiny litości dla tych nieznanymi podkomendnych. Nie kochał malawiańskich szpiegów, nawet jeżeli byli kompetentni.

- A jakie są te zatajone fakty? – zapytał.
- Tej nocy, kiedy uciekł Belizariusz, w Kausambi zaginął żołnierz Ye-tai, który był członkiem straży przybocznej imperatora. Nigdy nie powrócił do swojego oddziału.
- Ciągłe nie rozumiem – zmarszczył się pan Dziwita – dlaczego przykładasz do tego faktu tak wielką wagę, Nando Lala. Ci Ye-tai to barbarzyńcy. Ich dyscyplina...
- Jest także barbarzyńska – wpadł mu w słowo Sanga. – Zgadza się z Nandą Lalem. Mów co tylko chcesz o Ye-tai i ich barbarzyństwie, panie Dziwita. Ale chyba nie sądzisz, że Ye-tai, a już szczególnie członek straży przybocznej, odważyłby się zbiec z posterunku. Ye-tai, który spóźniony z meldunkiem o zaledwie jeden dzień, zostaje ukarany batożeniem, co może się dla niego okazać tragiczne w skutkach. Jeżeli spóźni się dwa dni, biją go do nieprzytomności. Po trzech dniach pozbawiają głowy. A po czterech wbijają na pal. A po pięciu i dłużej, wybierają krótki pal.

Nanda Lal przytaknął.

- I to ma sens. Ye-tai bardziej przypominają ludzi z zachodu niż jakiegokolwiek inne nasze plemiona. Belizariusz z łatwością mógłby ujść za jednego z nich.
- Nie mówi ich językiem – zaprotestował Dziwita.
- Nie byłbym tego taki pewny – odparł Sanga. – On jest doskonałym lingwistą – dodał z niejakim poczuciem winy. – Sam zauważyłem, jak szybko zaczął mówić płynnie w hindi, i to bez śladu akcentu. Nigdy nie słyszałem, jak mówi. ..

Przerwał, łapiąc gwałtownie oddech.

- Jestem idiotą! Czy przesłuchałeś tych żołnierzy? – gwałtownie zapytał Nandę Lala. – Tych Ye-tai, których Belizariusz zebrał do kupy i poprowadził jako kontruderzenie w Ranapurze?

Nanda Lal potrząsnął głową. Przez chwilę wyglądał na zagubionego, aż wreszcie zrozumiał.

- Oczywiście! Jak inaczej mógłby dowodzić Ye-tai, jeżeli... \
- Jakoś by mu się udało – stwierdził Sanga. – Używając tylko hindi, a do tego szorstkich słów, mógłby ich popędzić. Ale kiedy przesłuchasz tych żołnierzy, myślę, że okaże się, że używał właśnie ich języka.

Radżputa zaczął chodzić w tę i z powrotem po pokoju.

- Co jeszcze?
- Oddział żołnierzy złożył raport o samotnym Ye-tai, który opuścił Kausambi przez Bramę Pantery następnego ranka.
- I pozwolili mu przejść? – zapytał głośno Dziwita. Nanda Lal wzruszył ramionami.
- Był bardzo gwałtowny i brutalny, jak na ich gust. Zaatakował nawet ich sierżanta, kiedy ten zapytał o dokumenty. Nie możesz oczekiwać po zwykłych żołnierzach...

- Oćwiczyć te psy! – zawył Dżiwita. – Wybatożyć ich!

Sanga i Damodara wymienili spojrzenia.

- Zajmę się tą sprawą, panie Dżiwita – powiedział Rana Sanga. – Za godzinę będę wyjeżdżał przez Bramę Pantery. Sam ukażę tych ludzi. Masz moje słowo.
- Doskonale! – wykrzyknął Dżiwita.
- Więc jadę. – Sanga zaczął się odwracać. Nanda Lal przywołał go z powrotem.
- Jeszcze chwilę, Rana Sango. Chcę cię o coś spytać.
- Tak?

Pokiereszowana twarz szpiega była brzydka z powodu malujących się na niej frustracji i gniewu.

- Ciągle czegoś tu brakuje. Czuję to w kościach – warknął. – To jasne, że Rzymianie i Etiopczycy, uciekający na południe, po tym jak pozabijali strażników na barce i wysadzili zbrojownię, byli tylko grupą dywersyjną. Sam Belizariusz uciekł na zachód. Ale... jest jeszcze coś. Czuję to. Więcej niejasności.

Sanga zatrzymał się, zamyślony.

- Nie mam teraz zbyt wiele czasu, Nando Lalo – powiedział. – Ale do głowy przychodzi mi kilka pytań. Sugeruję, żebyś się nad nimi za stanowił.
- Tak?
- Po pierwsze. Co się stało ze skarbem? Belizariusz miał dwie wielkie skrzynie, pełne złota i kamieni. To nie są przedmioty, które człowiek z lekkim sercem zostawia za sobą. Ale z drugiej strony, jak on je zabrał? On sam... pojedynczy Ye-tai, poruszający się na własnych nogach, może mieć ze sobą tylko parę groszy. Także jego podwładni nie mogli zabrać z sobą dużo więcej. Inaczej nie byłiby w stanie utrzymać takiego tempa, obciążeni takimi skarbami.

Nanda Lal szarpnął za bandaż.

- Co jeszcze?
- Tamtej nocy po mieście pętało się zbyt wielu Ye-tai. Żołnierze w obozowisku twierdzili, że widzieli samego Belizariusza. Ale kiedy przesłuchałem kilku z nich, powiedzieli mi, że Ye-tai kazali im atakować. Jacy Ye-tai?
- Dowiem się. Co jeszcze?
- Zbyt wielu Ye-tai... i za mało Kuszanów. Co się stało z kuszańską eskortą Belizariusza? Nie słyszałem o nich ani słowa od tamtej nocy. Co się z nimi stało? Czy Rzymianie i Etiopczycy zabili ich wszystkich? Wątpię... nie tych Kuszanów. Znam ich dowódcę. Niezbyt dobrze, ale wystarczająco dobrze. Nazywa się Kungas i raczej nie dałby się wziąć z zaskoczenia. ^ Co się stało z nim i jego ludźmi?

Nanda Lal patrzył teraz przed siebie i wściekle szarpał bandaże.

- I co jeszcze?



Sanga wzruszył ramionami.

- Kto wie, jeżeli chodzi o Belizariusza. Prześlę wszystko od samego początku, od dnia, kiedy przybył do Indii, Nie widzę żadnego związku z tamtymi wydarzeniami, ale... zawsze się zastanawiałem, Nando Lalo. Jak właściwie Szakuntala uciekła z pałacu Venandakaty?
- Do czego zmierzasz, Rana Sango? – przerwał mu Dżiwita, poirytowanym głosem. – Wszyscy wiedzą, jak uciekła. Ten drań Rao zabił jej strażników i ją zabrał.

Rana Sanga popatrzył na niego. Udało mu się nie okazać ani śladu pogardy na twarzy.

- Więc? Czy rozmawiałeś kiedyś osobiście z patańskimi tropicielami, którzy byli z Radżputami, próbującymi złapać Rao i księżniczkę?

Dżiwita obruszył się wyniośle.

- To raczej nie leży w...
- Nie, nie rozmawiał – przerwał Nanda Lal. – Ja też nie. A powinienem?

Sanga wzruszył ramionami.

- Każdy z patańskich tropicieli upierał się, że na szlaku była tylko jedna para odcisków stóp, a nie dwie. To były ślady mężczyzny. Nie było nawet śladu kobiety. – Sanga szarpnął się za brodę. – A to nie jest jedyna dziwna rzecz, która dotyczy tej ucieczki. Nie znam żadnych szczegółów, ale... znów, zastanawiam się. Jak to się stało, że jeden człowiek zabił tych wszystkich strażników? Doskonałych strażników, jak mniemam?

Dostrzegł w oczach Nandy Lala dziwny błysk.

- Powiedz mi – rozkazał.
- Strzegli jej tylko kapłani i mahamimamsa – mruknął Nanda Lal.
- Co? – wybuchnął Rana Sanga. – Kto przy zdrowych zmysłach postawiłby na straży zamiast doskonałych żołnierzy tych... kapłanów, wiedząc, że w pobliżu kręci się Rao? – Po raz drugi tego dnia Rana Sangę poniosły nerwy. – Czy wy wszyscy Malawianie jesteście szaleńcami? – zawył. – Walczyłem z Raghunath Rao w pojedynku! On jest najlepszym i najstraszniejszym wojownikiem, jakiego dane mi było spotkać!

Malawianie, zebrani w pokoju, mimo wysokiej rangi, skulili się w sobie. Zнали tę historię. Całe Indie znały tę historię.

- Przed Raghunath Rao? Wy... wy... imbecyle... myśleliście, że ustrzeżecie Szakuntalę przed Rao za pomocą... kapłanów? Śmierdzących oprawców?

Dżiwita spróbował wywołać w sobie malawiański gniew, ale próba zawiodła pod wściekłym spojrzeniem Radżputy. Pan Damodara kaszlnął przeprasząco.

- Proszę, Rana Sango! To była decyzja pana Venandakaty, nie nasza. Wydaje mi się, że miał na uwadze czystość dziewczyny. Więc postanowił oddać ją w ręce ludzi, którzy przysięgali

czystość, za miast...

To było prawie komiczne, jak prawie jednocześnie szczęki Damodary i Nandy Lala opadły w dół.

- ...zamiast w ręce elitarnego oddziału Kuszanów – dokończył Nanda Lal zachrypniętym głosem;
- O ile sobie przypominam, dowodzonym przez człowieka o imieniu Kungas – wykrakał Damodara. – Nie jestem pewny.

Sanga prychnął.

- Możesz być tego pewny teraz, panie Damodara. Popytaj! Dowiesz się, jak sędzę, że ci Kuszenie zostali zastąpieni kapłanami tuż przed ucieczką Szakuntali. I tuż przed tym, jak Belizariusz przybył do pałacu, o ile pamięć dobrze mi służy.
- Służy – wysyczał Nanda Lal. Szpieg prawie się trząsał.
- Bogowie w niebiosach – wyszeptał. – Czy to możliwe? Jak... nie było związku, jestem tego pewien. Ale... ten zbieg okoliczności. – Popatrzył na Radżputę błagającym wzrokiem. – Jak człowiek może być tak sprytny, żeby tego wszystkiego dokonać? – zapytał.

Sanga krótko machnął dłonią.

- Jeżeli ktokolwiek to potrafi, to właśnie Belizariusz. Wyślij szpiegów, Nando Lalu. Po raz pierwszy nie zakładaj niczego. Szukaj skarbu i tajemniczego Ye-tai, i Kuszanów, którzy pojawiają się i znikają. A najmocniej szukaj księżniczki Szakuntali. – Odwrócił się. – Ale to twoja robota, nie moja – warknął. – Ja muszę złapać tego Rzymianina.
- To demon! – zawołał Nanda Lal.
- Nie – wymamrotał Sanga, wychodząc z pokoju. – Ma demoniczny umysł, to prawda. Ale nie jest demonem. Na pewno nie.

\* \* \*

Nanda Lal dokładnie i uważnie wszystko badał. Był wyjątkowo zdolnym człowiekiem, mimo całej swojej malawiańskiej arogancji. A jego naturalną nieustępliwość podsycala jeszcze płonąca nienawiść do wszystkich rzeczy związanych z Belizariuszem. Kiedy Nanda Lal wyznaczył sobie zadanie, a w dodatku po raz pierwszy bez pierwotnych beztróskich założeń, rozwiązał zagadkę w przeciągu dwóch dni. A przynajmniej większą jej część. Uważał jednak, że zna już całość.

Kilka tygodni później pewien zajazd, położony na brzegu Gangesu, został pobłogosławiony ponad miarę. To było biedne miejsce, będące własnością biednych Bengalczyków. Właściciel mawiał, że jego jedynym bogactwem jest widok na sam wielki Ganges, toczący swe wody na południe do zatoki Bengalskiej.

Nazywał rzekę świętym Gangesem, kiedy w towarzystwie całej rodziny odprawiali sekretne modły. On i jego rodzina ciągle trzymali się starej wiary i Mahwedzie składali tylko publicznie hołdy.

Tej nocy biedna rodzina została bogatą, przynajmniej według standardów Bengalczyków, mieszkających na północy. Szlachcic był bardzo hojny, a jego żona jeszcze bardziej.

Nie odzywała się wiele, co było właściwe dla szlachcianki, a w dodatku tak wiele młodszej od

męża, ale jej słowa były miłe i łagodne. Właściciel zajazdu i jego rodzina byli nią urzeczeni. Szlachcic, mimo swej kordialności i doskonałych manier, trochę ich przerażał. Miał bladą twarz i wyglądał trochę jak człowiek z zachodu. Wyglądał jak Malawianin. Nie uważali, że on jest naprawdę Malawianinem, ale na pewno zajmował pośród nich wysoką pozycję. I z pewnością pochodził z zachodnich Indii. Z tego okrutnego, bezlitosnego zachodu.

Ale jego żona... nie, nie była Malawianką. Ani nie pochodziła z zachodu. Była drobna jak Bengalka, i miała nawet ciemniejszą jeszcze cerę. Była Kerelanką, albo należała do ludu Cholan. Którakolwiek. Jedna z nich, w pewnym sensie. Bengalczyki, oczywiście, nie byli Drawidianami, jak ona. W ich żyłach płynęło więcej antycznej wedyjskiej krwi, niż we krwi ludzi z północnego Dekanu. Ale w końcu nie tak dużo więcej, a oni także czuli się czystszy.

Następnego ranka, kiedy bogaty szlachcic i jego ochrona odjechali, właściciel zajazdu powiedział swojej rodzinie, że zamyka interes na parę dni. Nie mogli sobie pozwolić na odpoczynek od wielu lat. Teraz więc odpoczną ale najpierw wykąpią się w świętej rzece Ganges.

Właściciel i jego żona zapamiętali kilka następnych dni, które nastąpiły potem, jako czas rzadkiego i błogosławionego odpoczynku od ciężkiej pracy. Ich dzieci zapamiętały te dni jako najszcześniejszy okres ich dzieciństwa.

Po powrocie do zajazdu, właściciel i jego żona, także byli szczęśliwi. Szczególnie kiedy ich sąsiedzi powiedzieli im, wystraszeni i wyciszeni, o żołnierzach, którzy sterroryzowali wioskę poprzedniego dnia. Krzyczeli na ludzi, nawet ich bili, próbując się dowiedzieć, czy ktokolwiek widział młodą, ciemnoskórą kobietę w towarzystwie kuszańskiej eskorty.

Coś zawirowało, nieznacznie, w umyśle właściciela. Ale rezolutnie odepchnął to na bok.

To nie jego sprawa. Nie było go tutaj i nie odpowiedział na żadne pytania, prawda? A już na pewno nie miał zamiaru lecieć z tym do władz.

Tak więc, w końcu, Nanda Lal znowu poniósł klęskę.

Częściowo dlatego, że robił pewne założenia, nawet wtedy, kiedy myślał, że ich nie robi. Zakładał, nie myśląc nawet o tym, że uciekający żołnierze i księżniczka będą się starali opuścić Imperium Malawy jak najkrótszą drogą. Więc posłał oddział żołnierzy na poszukiwania do północnych Indii i kazał im szukać oddziału Kuszanów i młodej kobiety, uciekających konno.

Ani biedny właściciel zajazdu na wakacjach, ani młody oficer, skrywający urazę, ani ktokolwiek inny, kto mógłby naprowadzić Malawian na ślad Szakuntali, nie widział związku pomiędzy uciekinierami a szlachcicem.

A jedyny człowiek, który ten związek dostrzegł, siedział cicho.

Kiedy malawiańscy żołnierze w Kausambi odnaleźli właściciela stajni i przepytali go, ten nic nie powiedział. Żołnierze nie pytali go długo. Znudzeni i nieuważni, odwiedzili już tego dnia pięć stajni w tym wielkim mieście, a przed nimi było ich jeszcze sporo. Więc właściciel szybko ich zadowolili swoimi odpowiedziami.

Nie, nie widział nigdy żadnej młodej szlachcianki... ani żołnierzy, którzy wyjeżdżałyby konno.

Zresztą i tak nie widział różnicy pomiędzy Kuszanami a jakimikolwiek innymi barbarzyńcami ze stepów. Te dzikusy wyglądały dla niego jednakowo.

Żołnierze, wieśniacy z niziny Gangesu, uśmiechnęli się pod nosami. Pokiwali głowami.

Nic nie widział. Nic nie słyszał. Nic nie wiedział.

Żołnierze, usatysfakcjonowani, poszli swoją drogą.

Plany i zamiary tyranów mogą zostać pokrzyżowane przez wiele rzeczy. Mogą się roztrzaskać o skały heroicznego zmagania. Mogą osiąść na mieliźnie otwartego oporu. I mogą powoli ulegać rozkładowi, kawałek po kawałku, jak przybrzeżne skały, drażnione przez niezliczone ziarna piasku.

Przez upartych, nie znaczących, małych ludzi.

## Rozdział 20

Przejeżdżając przez Bramę Pantery, Rana Sanga ukarał stacjonujących tam żołnierzy, którzy pozwolili Belizariuszowi uciec z miasta, tak jak obiecał panu Dziwicie. Dziwita rozkazał ich wybatożyć, ale nie sprecyzował, po ile batów mają dostać, zaznaczając tylko liczbę mnogą.

Sanga, jak zwykle, zinterpretował jego wypowiedź w najłagodniejszy możliwy sposób.

Każdemu żołnierzowi wymierzył po dwa baty. I to najmocniejszą dłonią Radżputany. Trudno sobie wyobrazić, żeby te ciosy trzcinki zabiły chociaż muchę. Naprawdę trudno.

Kiedy już Sanga i jego oddział opuścili miasto, Radżputa naradził się ze swoimi porucznikami i głównym patańskim tropicielem. Kierowali się na zachód. Narada nie trwała długo, gdyż podstawowy problem, z którym będą się borykać podczas pościgu<sup>^</sup> był doskonale widoczny przy pierwszym spojrzeniu na krajobraz.

Równina Gangesu po tygodniu silnych opadów deszczu przypominała morze błota. Wszystkie ślady, nawet pochodzące z poprzedniego dnia, a co dopiero sprzed tygodnia, zatarły się zupełnie. Jedyłą stosunkowo suchą powierzchnią na równinie była sama droga. Trakt prowadził do Mathury i był zadbane, ale fakt ten nie pomagał wcale Radżputom. Powiedziano już wiele dobrych słów o drogach wyłożonych kamieniem, ale żadne z nich nie padło z ust patańskiego tropiciela.

- Żaden koń nie pozostawia śladów na tych cholernych idiotycznych kamieniach – gderał Patan. – Pieszcy także nie.

Sanga skinął głową.

- Wiem. Nie zdołamy trafić na jego ślad, dopóki nie dotrzemy do Radżputany. A przynajmniej nie o tej porze roku.

Radżputa podejrzliwie popatrzył na niebo. Nie było na nim ani jednej chmurki i Sanga miał nadzieję, że *khariif*, indyjska pora deszczowa, już się kończy. *Khariif* zaczynał się w maju wraz z nadejściem monsunów i trwał do sierpnia. Po nim miał nastąpić zimny i suchy okres, nazywany w Indiach *rabi*. W lutym zaczynała się upalna i sucha pora *garam* i panoszyła się w Indiach aż do nadejścia monsunów. Dżajmal jakby usłyszał myśli dowódcy.

- Mamy już prawie *rabi*. Dzięki bogu.

Sanga mruknął coś z zadowoleniem. Podobnie jak wszyscy Hindusi, najbardziej ze wszystkich pór roku lubił właśnie *rabi*.

- Nie ma żadnego sensu szukać śladów – oznajmił. – Ale mamy nad uciekinierem jedną przewagę, tutaj na równinie, na drodze jest wielu podróżnych. Prawdopodobnie zauważą samotnego Ye-tai. Ci, których Belizariusz napotkał na początku swojej ucieczki, już dawno zeszli z traktu, ale mam nadzieję, że za dwa, trzy dni napotkamy chociaż kilku ludzi, którzy go widzieli.
- Może żołnierze na stacji wymiany koni kurierskich go widzieli – wtrącił Udai. – Oni nie mają nic innego do roboty, jak tylko siedzieć i obserwować drogę..
- Prawda – zgodził się Sanga.– Do pierwszej stacji jesteśmy w stanie dojechać około południa. Udai może mieć rację. Może żołnierze go zauważyli. Ruszajmy!

- Czy jesteś pewny, że to oni? – zapytał pochylony młody wojownik, wyglądający ostrożnie z kryjówki na zboczu wąwozu.
- O tak – odparł Rao. – Zupełnie pewny. Spotkałem tylko jednego z nich, ale on nie należy do ludzi, których łatwo się zapomina.

Wódz Marathów wstał ze swojej kryjówki za głazem. Ubrany w zbroję jeździec, prowadzący oddział po szlaku, przebiegającym poniżej, natchmiast zatrzymał konia. Rao był pod wrażeniem szybkości, z jaką mężczyzna przygotował łuk do strzału.

*Prawdopodobnie także potrafi z tego strzelać. Lepiej się nie przekonujmy.*

- Hej... Ousanasie! – zawołał. – Czy ciągle podtrzymujesz swoje zdanie, że wszystko, co widzimy jest tylko manifestacją wiecznych i niezmiennych form?
- Oczywiście! – nadeszła natchmiastowa odpowiedź. – Ty jesteś żywym dowodem tej tezy, Raghunath Rao, nawet tam gdzie stoisz. Forma żywcem wyjęta z Platona przed zmęczonymi oczyma.

Młodzi partyzanci, którzy ukrywali się w wąwozie, gdzie Rao zastawił swój ą pułapkę, patrzyli z otwartymi ustami – pułapka była na przyjaciół, co prawda, ale Rao nigdy nie tracił okazji, żeby trenować swoich żołnierzy.

W większości pochodzili z prowincji. Byli biednymi wieśniakami, nie znającymi innego świata, poza wzgórzami i dolinami Niezmierzonego Kraju. Rzymianie stanowili dla nich dziwaczny widok, ze swoimi brzydkimi, kościstymi twarzami i bladą cerą, jakby znamionującą chorobę. Etiopczycy i Ruszanie byli jeszcze bardziej cudzoziemscy. Ale ten człowiek! Wysoki, niemal goły, czarny jak piwnica w nocy, a w dodatku spiera się z Rao na tematy filozoficzne!

To wariat. Najpewniej.

- O Chryste – mruknął Walentynian, odkładając łuk. – Kolejny filozof. Wszyscy oni to wariaci.

Tak naprawdę, sam Walentynian z trudem się powstrzymywał, żeby nie wytrzeszczać oczu. Wreszcie, po wielu miesiącach, spotkał legendarnego Raghunath Rao. I ...

Mężczyzna wyglądał na najzwyczajniejszego człowieka pod słońcem! Walentynian spodziewał się indyjskiej wersji Achillesa. Przyjrzał się uważnie Rao, stojącemu na szczycie głazu, jakieś dziesięć metrów od niego i trzy metry w górę zbocza.

*Niski, jak na standardy rzymskie. Średniego wzrostu jak na Marathę. Ma trochę za duże zęby. Dobija chyba czterdziestki. Dobrze zbudowany, to prawda... na mięśniach ani grama tłuszczu, ale to nie Herkules jak Eon. Zastanawiam się...*

Rao zeskoczył z głazu i wylądował lekko na dnie wąwozu trzy metry poniżej. Zrobił jeszcze dwa szybkie, sprężyste kroki i stanął tuż przed koniem Walentyniana, uśmiechając się i wyciągając rękę gestem powitania.

*Matko Boska.*

Walentynian słyszał, że Rao nazywają Panterą z Maharasztry. Zlekceważył to określenie w taki sposób, w jaki weterani odrzucają romantyczne bajeczki.

- Bądź grzeczny, Walentynianie – usłyszał szept Anastazjusza. – Proszę. Bądź dla tego człowieka grzeczny.

\* \* \*

Ciała gniły już od wielu dni, a do pomieszczenia nie wpadało zbyt wiele powietrza przez dwa małe okienka w grubych ceglanych ścianach. Smród był nie do wytrzymania.

- To demon – warknął Udai. – Tylko bezduszny asura byłby zdolny do...
- Do czego, Udai? – zapytał Sanga.

Radżpucki książę pokazał ręką na stos gnijących ciał.

- Do zabijania wrogów? Przecież sam wielokrotnie to robiłeś.

Udai patrzył wściekłym wzrokiem.

- Ale nie tak. Nie...
- Nie co? Nie z zaskoczenia? Pamiętam co najmniej pięć zasadzek, które zastawiłeś, nie mniej okrutnych niż ta.

Udai zamknął usta. Ale ciągle patrzył z wściekłością.

Sanga powstrzymał gniew.

- Posłuchaj mnie, Udai – zgrzytnął. Potem jego twarde oczy omiotły zebranych w pomieszczeniu Radżputów.
- Wszyscy mnie posłuchajcie. Czas, żebyście wyrzucili z siebie te... malawiańskie podejrzania. Nigdy nie pojmiecie natury swojego przeciwnika.

Przerwał. Kiedy był pewny, że ma ich niepodzielną uwagę, co nie było łatwe, nie w tej trupiarni, zaczął mówić dalej. Jego głos był niski i zimny.

- Niektórzy z was byli w pawilonie imperatora, kiedy Belizariusz rozkazał swojemu katafraktowi zabić więźniów. Pamiętacie to?

Dżajmal i Pratap przytaknęli. Pozostali czterej Radżpuci po chwili także pokiwali głowami. Sami nie byli świadkami tego wydarzenia, ale słyszeli o nim.

Sanga kiwnął rękaw kierunku ciał, zrzuconych na stos w kącie pomieszczenia stacji zamiany koni.

- To zrobił ten sam człowiek. Malawianie myślą, a przynajmniej tak kiedyś myśleli, że on jest słaby. Pełen głupich, miękkich odruchów. A nie okrutny, jak oni. Nie taki twardy.

Lekki chichot doleciał do nich od strony patańskiego tropiciela, klęczącego przy ciałach.

- Naprawdę? – zapytał. Potem wstał, najwyraźniej skończywszy oględziny.
- I co? – zapytał Sanga.
- Żołnierze zabici jeden czas. – Tropiciel pokazał na prymitywny stół, który, zwalony, leżał pod jedną z ceglanych ścian baraku. Jedna ze stołowych nóg została gładko przecięta, drugą

strzaskano. Wokoło, po podłodze z ubitego błota, walało się kilka stołków.

- Przeszedł przez drzwi. Myślę w nocy. Szybko, szybko, szybko. Żołnierze jedzą. Niespodzianka, kiedy siedzieli.

Pokazał na ściemniałe, wyschłe ślady krwi na podłodze, ścianach, stole, stołkach. Rozrzucone resztki jedzenia, teraz już zepsute.

- To była bitwa. – Wzruszył ramionami. – Nieduża. Myślę, dwóch żołnierzy wyciąga broń, zanim umarli. Może trzy. Nic z tego. Owce. Zabici.

Podreptał z powrotem do góry ciał.

- Czekali na kuriera. Jedzą jedzenie żołnierzy i czekają. Zabierają resztę. Zwierzęta w zagrodzie. Szykują się.

Patan pochylił się i złapał za jedno z ciał. Swobodnym ruchem wyszarpnął gnijący horror na środek pomieszczenia. Pociągnięcie, chociaż niezbyt mocne, rozerwało brzuch trupa. Na wpół płynne jelita wylały się na podłogę – pokrywały je larwy much. Patan odsunął się krok do tyłu i była to jego jedyna reakcja.

- Pierwszy kurier. Tortury.

Nachylił się nad zgniłą górą mięsa, złapał trupa za nadgarstek i zamachał ręką. Kciuk oderwał się od dłoni. Wskazującego i środkowego palca brakowało.

- Odcięte dwa palce. Chcieli informacji. Ilu kurierów? Upuścił dłoń i wyprostował się.
- Dobra metoda. Odcinasz jeden. Mówisz: powiedz albo odetnę drugi. Odcinasz drugi. Mówisz: powiedz albo utnę trzeci. To wystarczy. Dobra metoda. Bardzo dobra. Szybko, szybko. Sam jej używam.

Patan odwrócił się. Ci, którzy go nie znali, byli zbulwersowani jego bezdusnością. Ci, którzy go znali, byli przerażeni.

- Czekają. Następny kurier. – Pokazał na inne ciało w mundurze królewskich kurierów.
- Nie ma tortur. Nie potrzeba. On mówi, umiera. – Pokazał ha trzeciego kuriera.
- Ostami. Nie ma tortur. Nie potrzeba. On mówi, umiera.

Patan spojrział na drzwi w odległym końcu pomieszczenia, prowadzące do zagrody, gdzie trzyma się zapasowe konie. Gdzie trzymano zapasowe konie.

- Wpuścili konie kurierów do zagrody. Zmęczone konie. Niedobre. Zabrali inne. Nakarmione. Wypoczęte. Pięć koni. Doskonałych koni. Odjechali.

Skończywszy raport, tropiciel oparł ręce na biodrach i rozejrzał się po pomieszczeniu.

- Bardzo doskonały człowiek! – burknął tropiciel. – Szybki. Szybki. Bez głupot. Zaadoptowałbym go do swojego klanu.

Sanga pozwolił swoim podkomendnym przetrwać usłyszane przed chwilą informacje i po chwili zaczął mówić.

- Nigdy więcej nie róbcie tego błędu – warknął. – Tego malawiańskiego błędu. Belizariusz nie jest okrutnym człowiekiem. Tego jestem najzupełniej pewien. Ale nawet mahamimamsa nie może się z nim równać pod względem bezwzględności, jeżeli zmuszają go do niej okoliczności. Ten człowiek jest szybki i sprytny jak mangusta. I tak samo śmiertelnie niebezpieczny. Czy mangusta okazuje litość kobraze?

Dżajmal chrząknął pod nosem.

- Teraz kolejna lekcja – mówił dalej Sanga. – On nie jest diabłem, ale myśli jak diabeł. Pomyślcie, jak zuchwałe i sprytne są jego poczynania. Po tym, jak jego ludzie wywiedli nas na manowce, Belizariusz wymaszerował z Kausambi otwarcie, jako Ye-tai. – Rzucił zimne spojrzenie w bok. – Udai, może spróbujesz nam wyjaśnić, skąd wziął uniform Ye-tai?

Jego porucznik zamrugnął oczami i uciekł spojrzeniem w bok.

- Potem dotarł, najszybciej jak potrafił, do stacji zamiany koni – kontynuował Sanga. – Na każdym kroku przewidywał nasze działania. Miał dwa problemy. Po pierwsze, nie posiadał konia. Po drugie, wiedział, że imperator wyśle kurierów, żeby zaalarmować garnizony na wybrzeżu. Rozwiązał oba te problemy za jednym zamachem.
- Zabił żołnierzy, zastawił pułapkę na kurierów i ukradł ich konie – wymamrotał Dżajmal. – Najlepsze konie w Indiach.
- Pięć najlepszych koni – dodał Pratap. – Ma tyle luzaków, ile tylko zapragnie. Może jechać tak długo, ile sam zdoła utrzymać się w siodle. Może zmieniać konie, kiedy tylko jego wierzchowiec się zmęczy.
- Skąd mógł być pewny, że ciała nie zostaną od razu znalezione? – powiedział narzekającym tonem Udai. – Wtedy z pewnością zaczęto by go ścigać.

Sanga zmarszczył brwi.

- Nie wiem. Inteligencja tego człowieka jest wprost niesamowita. Wydaje się, że on wszystko o nas wie. Ale poza równiną Gangesu, ta jego sztuczka by się nie udała. Z powodu bandytów, wszystkie stacje zamiany koni w zachodnich prowincjach są strzeżone przez pełne plutony i sprawdzane przez patrole. Ale tutaj...
- Ci strażnicy nawet nie są regularnymi żołnierzami – sarknął Pratap. – To prowincjonalni żołnierze. Nie mają żon. Stacjonują na tych posterunkach po dwa lata. Nawet hodują sobie warzywa.

Radżputa popatrzył w dół na odrażający stos.

- Biedne skurczybyki – kontynuował Pratap łagodnie. – Raz zatrzymałem się w jednej z takich stacji. Żołnierze... właściwie chłopcy byli tak zachwyceni widokiem nowej twarzy, że przez całą noc nie dali mi zmrużyć oka. – Spojrzał na Patana. – Tak jak on powiedział, poszli jak owce na rzeź. Rzymski oprawca – wysyczał wściekle.



Sanga nie odpowiedział. Sam czuł w sobie podobny gniew. Ale, inaczej niż Pratap, nie pozwalał, aby wściekłość zaćmiła mu umysł. Wielokrotnie widział ciała ułożone w podobne stosy. Ludzi, takich jak ci chłopcy – młodych, samotnych, nieuważnych. Żołnierzy tylko z nazwy. Oni także byli jak owce w rękach rzeźnika.

W rękach rzeźnika o imieniu Rana Sanga. Przeciwno któremu, władającemu doskonale wszelkim orężem, nie mieli najmniejszej szansy.

- Teraz nigdy go nie złapiemy – jęknął Udai.
- Spróbujemy – postanowił Sanga. Jego głos był niczym stal. – To nie jest niemożliwe, przyjaciele – dodał nieco łagodniej. – Przecież on jest tylko jeden, a ma przed sobą ponad półtora tysiąca kilometrów do przebycia. Będzie musiał odpoczywać, jeść... szukać jedzenia.
- Jeden człowiek, sam – dodał Dżajmal. – Ubrany jak Ye-tai, prawdopodobnie. Prowadzący kilka koni. Ludzie na pewno go zauważą.
- Tak. Będzie w stanie podróżować szybciej niż my, przynajmniej na początku. Poza tym sporo nas wyprzedza. Ale, dzień po dniu, nie utrzyma takiego tempa, jakie jest w stanie utrzymać oddział kawalerii. Możemy rekwirować po drodze jedzenie i żądać schronienia. On nie. Musi sam jakoś je zdobywać. To zajmuje czas. A przed nim jeszcze wiele dni. Wiele dni, zanim dotrze do wybrzeża. Może zostać zraniony, albo zachorować. A jest sam, nikt o niego nie zadba. Nawet jeżeli nic mu się nie stanie, wkrótce padnie z wyczerpania.
- Jak myślisz, dokąd się kieruje? – zapytał Pratap.

Sanga wzruszył ramionami.

- Za wcześnie jeszcze, żeby zgadywać. Prawdopodobnie jedzie do Ajmeru. A jeżeli nie, podzielimy się na mniejsze oddziały i poszuka my go w innych miasteczkach. Ale uważam, że on ucieka do Ajmeru. Musi się szybko wydostać z równiny Gangesu, gdzie szuka go mnóstwo ludzi. W Radżputanie zaludnienie jest sporo mniejsze.
- Ajmer – powiedział zamyślony Dżajmal, gładząc się po brodzie. – Ajmer. Stamtąd może jechać na południe, albo na zachód. Na południe wzdłuż podnóży gór Arawalis, ku zatoce Khambat. Może nawet do Barakuchy, gdzie ma nadzieję dołączyć do swoich przyjaciół.
- Albo na zachód – dodał Udai. – Do Barbarikum.
- Niebawem się przekonamy – stwierdził Sanga. Zaczął iść w kierunku drzwi. – Kiedy wyjedzie z niziny, zacznie zostawiać ślady. Odkryjemy je na długo przed Ajmerem.

Mniej niż minutę później pięć setek Radżputów dosiadło koni i popędziło naprzód. Nie wpadli w szalony galop, tylko jechali pewnym klusem doświadczonych jeźdźców, przed którymi było jeszcze półtora tysiąca kilometrów.

\* \* \*

Nigdy nie był przystojnym człowiekiem, to prawda. Ale teraz, po raz pierwszy w życiu, stał się obiektem drwin.

Żartowały z niego dzieci. Dzieci pałacowe.

Nazywali go „płaska twarz”, oczywiście za jego plecami. A przynajmniej tak im się wydawało, bo nie zdawali sobie sprawy, że mówienie za jego plecami jest niemożliwe. Szeptali do siebie „Żaba”, albo „Ryba”, a najczęściej wołali za nim „Nos”. Zawsze, oczywiście, były to zaledwie sekretne szeptki. Nie był wyrozumiały, ani trochę. Notował dzieci, zapisywał ich imiona. Pewnego

dnia ich potężni ojcowie zapłacą za to głową.

Myśląc o tych odległych dniach, mężczyzna się uśmiechał. Potem, widząc przed oczyma duszy dzień, który zbliżał się wielkimi krokami, uśmiechał się jeszcze szerzej.

Dla tego człowieka podobny uśmiech był nowością. W dniach, które minęły, potrafił uśmiechać się serdecznie, szeroko i wesoło, a przynajmniej na to wyglądało. Tygodnie bolesnej rekonwalescencji zabiły ten uśmiech, tak samo jak doszczętnie zniszczyły jego twarz.

Teraz uśmiech był zimny i okrutny. Przypominał wyszczerzone zęby.

Szczerze mówiąc, nowy uśmiech pasował mężczyźnie znacznie lepiej, niż kiedykolwiek mógłby mu pasować stary. Teraz rzeczywiście wyglądał na to, czym był. Na uśmiech szpiega, który upewnił się, że zemsta leży w jego zasięgu.

Ponownie wysłano kurierów. Nie królewskich posłańców, korzystających z królewskich dróg. Nie, ci kurierzy byli innego rodzaju.

Prawie tak dobrze jeździli konno, jak posłańcy imperatora, ale byli znacznie bardziej niebezpieczni.

Byli najlepszymi agentami w doskonałej siatce szpiegowskiej Malawian. Wysłano trzech, a wszyscy doskonale znali drogę do Rzymu. Tę północną, lądową, a nie powolną morską, która prowadziła naokoło, na południe przez Ocean Indyjski i wybierała ją większość podróżnych. Ci ludzie jechali konno, wraz z zapasowymi wierzchowcami, przez hinduski Kush. Przez centralną Azję. Przez Persję, wykorzystując malawiańskich szpiegów, którzy tam wykonywali swoje obowiązki. Potem przez Anatolie, także z pomocą szpiegów, których tam było znacznie mniej. I w końcu mieli dotrzeć do Konstantynopola.

W Konstantynopolu mieli przekazać swoją wiadomość agentowi Malawy, który był szefem misji w Imperium Rzymskim. Balban nie będzie rad z tej wiadomości. W rezultacie będzie musiał zapomnieć o wynikach ciężkiej pracy.

Ale usłucha. Prawdopodobnie będzie się zastanawiał, czy rozkaz wynika ze złośliwości czy rzeczywistej konieczności. Ale Balban usłucha rozkazu.

W rzeczywistości, zarówno złośliwość, jak i konieczność miały w tym swój udział. Mimo swego gniewu, szpieg ciągle myślał racjonalnie. Był profesjonalistą w swoim fachu.

Wiedział, nawet jeżeli Balban ciągle go oszukiwał, że rzymski generał musiał mieć jakiegoś pomocnika w swojej dwulicowości. Zdawał sobie sprawę, nawet jeżeli oni nie, że agenci Malawy w Konstantynopolu zostali tak samo oszukani, jak on sam w Indiach.

Ale nie da się oszukiwać dłużej. Okoliczności i tak wymagały takiego rozkazu. A fakt, że ten rozkaz będzie jednocześnie pełnił funkcję zemsty, był prawie przypadkowy.

Prawie, ale nie do końca.

Szpieg uśmiechnął się ponownie. Był realistą. Wiedział, że Belizariusz może dać radę uciec z Indii. Ale szpieg z wielką satysfakcją obrabuje go z radości, że mu się udało.

Jeżeli Belizariusz dotrze do domu, zastanie to miejsce puste. Rozkazy dotrą do Konstantynopola na długo przed nim.

*Ona was zwodzi, tak jak on oszukał nas.*

*Zabijcie tę dziwką.*

## **Rozdział 21**

Sto pięćdziesiąt mil na wschód od Ajmeru, kiedy tylko dotarli na suchy w miarę teren, Patan w końcu znalazł ślady Belizariusza.

Kiedy dotarli do miasta, tropiciel całkowicie pozbył się wszelkich złudzeń.

- Nigdy nie adoptować go do klanu – zrzedził. – Bardzo głupia istota. Nic nie widzi.

Tropiciel pochylił się w siodle, przyjrzał się drodze, parsknął i głośno splunął.

- Prawdopodobnie pieprzy kozy. Myśli, to żona. – Znowu splunął.
- Nic nie widzi. Nie zwraca uwagi. – Plunął głośno.
- Idiota. Ślepy człowiek.

Jadący za nim Sanga uśmiechnął się drwiąco. Podobnie jak wszyscy inni ludzie o wąskich horyzontach, Patan oceniał ludzi na podstawie bardzo wąskich kryteriów.

Co prawda, Belizariusz w końcu zrobił błąd. Ale błąd nie był duży, biorąc pod uwagę okoliczności. W rzeczywistości tak mały, że tylko bardzo doświadczony tropiciel by go zauważył.

Gdzieś po drodze, co nie było zaskakujące po długich tygodniach ucieczki, jeden z koni rzymskiego generała uszkodził sobie kopyto. Uszkodzenie nie było poważne. Niewiele więcej niż tylko lekka rysa, spowodowana najprawdopodobniej ostrym kamieniem. Sam koń nawet tego nie poczuł, kiedy stąpnął na ostrą krawędź, a „rana” w żaden sposób nie przeszkadzała mu w chodzeniu.

Ale nacięcie wystarczyło w zupełności, żeby zostawiać wyróżniający się ślad. Nikt inny by tego nie zauważył, ale Patan natychmiast wychwycił go spośród innych. Kilkunastu Radzputów, kiedy tropiciel pokazał im ślad, wykrzyknęło z zadowolenia.

Teraz Belizariusz już im nie umknie!

Patan wyszydził ich entuzjazm. Taki dobry i szybki mężczyzna wkrótce sam spostrzeże ślad, zapewnił ich. A kiedy się zorientuje, zetnie kopyto i całkowicie usunie rysę, a wtedy ślady jego konia nie będą się różnić od innych. A jeżeli stanie się najgorsze, i rysy nie da się usunąć z kopyta, Rzymianin po prostu zostawi tego wierzchowca. Przecież miał jeszcze cztery inne.

Ale czas mijał, a ślad nadal był. Dzień po dniu tropiciel podążał śladem generała z łatwością człowieka, który idzie za światłem latarni w ciemną noc. Dzień po dniu jego zdanie o Belizariuszu stawało się coraz gorsze.

Teraz, jeżeli zapytać Patana o zdanie, Belizariusz plasował się bardzo nisko w naturalnym porządku świata. Może był niewiele ponad owcami. Ale z pewnością poniżej poziomu żaby rogatej.

Napad na kupca po prostu upewnił tropiciela w jego racjach. Ugruntował jego opinię, jak kawałek laku pieczętuje na zawsze list.

Trzy dni przed Ajmerem, Radzputci dogonili kupca, wlokącego się poboczem drogi. Wraz z nim szło dwóch służących, a każdy uginał się pod ciężarem byle jak pozwijanych towarów.

Wszyscy trzej mężczyźni byli nadzy.

Kiedy Radzputci przemykali obok, kupiec natychmiast zaczął gniewną litanię krzywd, jakie go spotkały, denuncjując, oskarżając i żądając zadośćuczynienia jednocześnie.

*To skandal, że dzieją się takie rzeczy!*

*Gdzie są władze i wojsko?*

*Okradzony na królewskiej drodze! A w dodatku przez Ye-tai w barwach straży przybocznej imperatora!*

*O tak! Nie ma mowy o pomyłce! Kupiec jest człowiekiem bywałym w świecie! Wykształconym! Był nawet kiedyś w Kausambi! Wiele razy!*

*Królewski strażnik!*

*Hańba! Wstyd!*

*Gdzie są władze i wojsko?*

*Domagamy się sprawiedliwości! Zadośćuczynienia!*

*A najwięcej ze wszystkiego — zwrotu zagrabionego mienia!*

*Okradzeni przez królewskiego strażnika!*

*Domagamy się od władz zadośćuczynienia!*

W końcu, kiedy kupiec już się uspokoił i był w stanie opowiedzieć, co go spotkało, rekompensata okazała się rzeczą bardzo prostą. Wyglądało bowiem na to, że bandyta Ye-tai ukradł tylko ubrania, które mieli na sobie kupiec i jego dwaj słudzy.

Co dziwne, nie zginęło nic więcej. Ani pieniądze kupca, ani dobra, które miał na sprzedaż, a byty tam także przyprawy. Byty to rzeczy bardzo cenne, nie wspominając już o złotym łańcuchu, zwieszającym się z szyi kupca, czy pierścieniach na jego palcach.

Patan był wściekły.

- Co za karli umysł, ten bandyta? – zapytał ze złością. – Kretyn idiota!

Tropiciel spiorunował kupca spojrzeniem.

- Ja cię okradam, grubasie, szczęście, że masz skórę. Złoty łańcuch, odcięta głowa. Pierścienie, odcięte palce. Szybko, szybko.

Patan pochylił się nad końską szyją, patrząc gniewnie zmrużonymi oczyma na służących. Dwaj mężczyźni cofnęli się, drżąc ze strachu.

- Starego zabijam. Drugiego zabieram. Sprzedaję do Uighurs. – Wyprostował się. Odchylił do tyłu. Splunął głośno. – Rzymianin najgłupsza istota na ziemi – zdecydował i od tamtego wydarzenia nie zmienił już o generale zdania,

Sanga, z drugiej strony, myślał, że rabunek był bardzo sprytnym posunięciem. Zastanawiał się, jak Belizariusz zamierza przebyć Radżputanę, a już szczególnie miasto takie jak Ajmer, przebrany za Yeti. Na równinie Gangesu pojedynczy Ye-tai, prowadzący małe stadko koni, przeniknąłby praktycznie nie zauważony.

Jednakże w Radżputanie było zupełnie inaczej. Radżpuci nie kochali Ye-tai, delikatnie mówiąc. Pojedynczy Ye-tai w kraju Radżputów doświadczyłby niebawem bardzo wielu nieprzyjemności, szczególnie w tak ludnym mieście jak Ajmer. Utrudnienia i nieprzyjemności wahały się od wyzwick ulicznych wyrostków aż do nieprzychylnego oka władz, które w najmniejszym stopniu nie dawały się zastraszyć przez czerwono-złoty uniform Ye-tai. Nie w Radżputanie, gdzie władza Malawian nie była najsilniejsza.

Kradnąc ubrania kupca i jego dwóch służących, Belizariusz dostarczył sobie doskonałego przebrania. Miejscowi kupcy, handlarze i druciarze, podróżujący samotnie, albo w małych grupach, stanowili zwyczajny widok na suchych pustkowiach zachodnich Indii. Sanga podejrzewał, że Belizariusz stworzy sobie relatywnie bogaty strój kupca, dodając do bogatego ubioru okradzionego, gorsze sztuki odzieży jego sług. W rezultacie będzie wyglądał na ciężko pracującego handlarza, jednakże wyżej postawionego niż zwykły przekupień.

Rzymianin także postąpił bardzo sprytnie, nie zabierając kupcowi pieniędzy, towarów, ani biżuterii. Bandyci i złoczyńcy byli tak samo powszechni, jak handlarze w tej części Indii, i każdy starał się ich wystrzeżać. Gdyby Belizariusz spróbował sprzedać klejnoty kupca i jego towary, zaryzykowałby ściągnięciem na siebie podejrzeń.

Sanga zauważył, podczas długich tygodni pościgu, że Belizariusz zazwyczaj szukał jedzenia, zamiast je kupować. Kupowanie pożywienia z pewnością zajęłoby mu mniej czasu. Głównym powodem tego, że Radżpuci zdołali tak bardzo zbliżyć się do uciekiniera, było właśnie opóźnienie, spowodowane przez codzienne poszukiwania żywności. Patański tropiciel uważał, że Belizariusz wyprzedza ich zaledwie o pięć dni. Rzymianin głównie polował na zwierzynę za pomocą łuku i strzał, które zabrał ze stacji zamiany koni. Czasami kradł z miejscowych ogrodów i sadów. Ale nigdy, a przynajmniej Radżpuci, ani ich patańscy tropiciele tego nie wykryli, nie kupił jedzenia.

Sanga był pewien, że to nie konieczność go do tego zmusiła, ale że generał robił to z premedytacją. Belizariusz, oczywiście, nie był w stanie wieść ze sobą całego skarbu, jaki dostał od Malawian. Ale Radżputa był najzupełniej pewien, że generał miał przy sobie chociaż niewielką część pieniędzy. Na wszelki wypadek. Ten rodzaj elementarnej ostrożności musiał być drugą naturą tego człowieka.

Jednakże ani razu ich nie użył. Częściowo, myślał sobie Sanga, Belizariusz z pewnością obawiał się, że płacąc imperialnymi monetami i klejnotami, może ściągnąć na siebie podejrzania. Ale podejrzewał, że głównym powodem tej wstrzeźliwości są względy oszczędności, Belizariusz trzymał pieniądze, żeby na wybrzeżu zapłacić za statek. Wynająć go albo nawet kupić, jeżeli o to chodzi, co byłby w stanie zrobić, gdyby miał ze sobą chociaż jeden z tych klejnotów, jakie ofiarował mu imperator.

Więc Sanga czuł, że Patan nie do końca ma rację. Ale nie starał się go przekonywać. To byłoby jak kłótnia z kamieniem.

Główny tropiciel radżpuckiego księcia służył mu już od wielu lat, od czasu, kiedy Sanga pojmał go, po gwałtownym pojedynku, podczas jednej z wielu karnych wypraw przeciwko górskim barbarzyńcom. Patan był pod głębokim wrażeniem odwagi i umiejętności bojowych swego pogromcy. W rzeczywistości ten podziw był tak głęboki, że Patan błagał Sangę, aby ten uczynił go swoim niewolnikiem, a nie sprzedawał go jakiemuś bezwartościowemu głupcowi.

Sanga zgodził się i nigdy nie żałował, że to zrobił. Patan służył mu wiernie od wielu lat, nawet po tym, jak Sanga go uwolnił, i służył mu bardzo dobrze. Ale Sanga wiedział, jak bardzo ten człowiek jest ograniczony, więc już dawno dał sobie spokój z oświecaniem go.

Dwa dni później, kiedy na horyzoncie pokazały się mury Ajmeru, Patan ciągle narzekał.

- Pieprzony idiota. Głupiec – słyszał Sanga jego mamrotanie. – Rabuję kupca, załatwiam kupca. On nie narzekać. On nie ma język.

Oczywiście w Ajmerze zgubili trop. Nawet odcisk kopyta z rysą bardziej widoczną niż niewielki odprysk, zupełnie by się zagubił na ulicach miasta, zdeptany setkami innych kopyt i stóp. Ale Sanga się nie przejmował.

Wysłał połowę swoich ludzi i patańskich tropicieli, żeby okrążyli miasto. Mieli się trzymać na tyle daleko od Ajmeru, żeby unikać najbardziej uczęszczanych obszarów. W końcu z pewnością natknęliby się na ślad Belizariusza. Charakterystyczny ślad kopyta był teraz równie nie do pomylenia dla Radżputów, jak i dla tropicieli. W międzyczasie, Sanga i pozostali żołnierze zaczęli systematycznie przeszukiwać miasto.

Szukali koni. A dokładniej, wspomnienia po koniach.

Radżputana była krajem jeźdźców. Obdarty handlarz – w pojedynkę – mógłby przejść przez Ajmer nie zauważony. Ale Sanga wiedział, tak dobrze, jak dobrze znał swoje imię, że jego rodacy z pewnością zauważyli konie. Te wspaniałe, cudowne, królewskie rumaki.

I, w rzeczy samej, wysledzenie koni było tak łatwe, jak tropienie charakterystycznego kopyta z rysą. Ślad miał tylko pięć dni i prowadził prosto do południowej bramy miasta. W południe tego samego dnia, którego przybyli do miasta, Sanga już przesłuchiwał strażników.

- O tak! – zawołał jeden z nich. – Tak doskonałych koni nie widziałem nigdy w życiu! Były tak wspaniałe, jak wierzchowce królewskich kurierów!

Inny strażnik pokazał na drogę, wiodącą na południe.

- Pojechały w tamtą stronę. Pięć dni temu.
- A mężczyzna? – zapytał Sanga. – Jak wyglądał? Strażnicy popatrzyli po sobie, zaskoczeni.
- Nie pamiętam – odparł jeden z nich. – Może jakiś kupiec, albo handlarz.
- Wydaje mi się, że był wysoki – powiedział drugi, z namysłem gładząc się po brodzie. – Tak myślę. Nie jestem pewny. Patrzyłem na konie.

Cztery kilometry na południe od Ajmeru Sanga spotkał się z resztą swojego oddziału i tropicielami. Jechali właśnie do miasta z informacjami.

Znaleźli ślady. Dziesięć kilometrów od miasta, na drodze do zatoki Khambat.

- Prawdopodobnie Barakucha – stwierdził Dżajmal, kiedy kłusowali na południe. Porucznik Sanga patrzył przed siebie i na prawo. Słońce zachodziło właśnie za szczytami gór Arawalis.
- Ale może nie – zastanawiał się. – Kiedy dotrze na południowe stoki Arawalis, może skręcić na zachód przez pustynię Rann Of Kutch i jechać wzdłuż wybrzeża z powrotem do Barbarikum. To trochę na oko, ale...
- Ale nie jest łatwo przeprowadzić konie przez tamten rejon – za– przeczył Pratap. – Po co miałby się tak męczyć?

Kłótnia trwała do czasu, aż rozbili obozowisko na noc. Sanga nie brał w niej udziału. Próba odgadnięcia zamiarów Belizariusza, kiedy nie dysponowało się żadnymi informacjami, pozbawiona była sensu, przynajmniej w jego opinii. Niebawem i tak się dowiedzą. Ślady wskażą im drogę.

Ostatnia myśl Radżputy tej nocy, zanim zapadł w sen, była przepełniona ironią. To takie dziwne... i smutne, że tak wielki człowiek w końcu zostanie schwytyany z powodu tak błahego, jak kamień na drodze.

Dwa dni później Patan nie posiadał się ze złości. Jeżeli do tej pory zachował jakiegokolwiek strzępki respektu dla Belizariusza, teraz znikły one zupełnie.

Pochylił się w siodle. Splunął głośno.

- Wielki idiota! Głupi jak owca, znam go. Teraz leniwy jak owca także!

Wycelował oskarżycielsko palec w tropy na drodze.

- Patrz tempo jego konia. Moja babcia szybsza. A utyka. Już dawno martwa.

Znowu splunął.

Najwyraźniej zadowolony z tego, że zmylił pościg, Rzymianin zwalniał znacząco od czasu, kiedy opuścił Ajmer. Sanga znów pomyślał, że Patan nie rozumuje rozsądnie. Faktycznie, Belizariusz

stawał się nieostrożny. Ale, jednocześnie, mógł sobie teraz na to pozwolić. Belizariusz był tylko człowiekiem. Rzymianin narzucił sobie ogromne tempo i utrzymywał je przez tygodnie. Nie było zaskakujące, że w końcu pozwolił sobie na chwilę odpoczynku.

Nie, nie było to zaskakujące i trudno go za to potępiać. Ale ciągle był to błąd i, w tych okolicznościach, mógł mieć fatalne następstwa.

Za mniej niż dwa dni dogonią generała.

Następnego dnia późnym popołudniem główny tropiciel spostrzegł Belizariusza. Rzymianin był nie więcej niż dziesięć kilometrów przed nimi i najwyraźniej przygotowywał się do nocnego spoczynku.

Radżpucy oficerowie zebrali się naprędce i rozważyli możliwości. Porucznicy Sangi upierali się, żeby otoczyć obóz Rzymianina i zaatakować go tej samej nocy.

Sanga się nie zgadzał.

- Nie jego – sprzeciwił się z mocą. – Nie, tego człowieka nie da się złapać nocą. Po pierwsze może nam umknąć w ciemnościach.

Podniósł rękę, powstrzymując protesty Udaia.

- Przyznaję, to mało prawdopodobne. Bardziej się obawiam, że będziemy zmuszeni go zabić. Chcę go złapać żywego. To może się nie udać, ale mamy chociaż niewielką szansę, jeżeli spróbujemy w dzień. Podczas nocnego ataku, podczas zamieszania, takiej szansy nie będziemy mieć wcale.

Popatrzył w górę na niebo. Zachodni horyzont robił się już purpurowy.

- A poza tym nie ma potrzeby atakować w nocy. Rozkłada obóz, więc nigdzie sienie wybiera. Wykorzystamy nocne ciemności, żeby go po cichu otoczyć. .

Spojrzał ciężko na swoich poruczników.

- Po cichu. Skinęli głowami.

Sanga popatrzył na południe.

- Złapiemy go o świcie.

\* \* \*

Sam Patan schwytał w końcu Belizariusza. Tropiciel nawet nie zadał sobie trudu, żeby go ogłuszyć. Po prostu skoczył na generała, który ciągle spał zawinięty w koc – „pół godziny po wschodzie słońca, leniwa owca!” – obok resztek wczorajszego ogniska – „pali ognisko podczas ucieczki, idiota!” – i złapał go za włosy. Potem zranił nożem policzek mężczyzny. Była to niewielka ranka, zaledwie rysa po to, żeby zaznaczyć, że to on go złapał.

Szybko, szybko, i Patan odstąpił na bok.

Rzymski generał chwiejnie podniósł się na nogi, skrzecząc. Trzymał się obiema rękami za policzek. Krew z rany przeciekała mu między palcami. Postąpił dwa kroki naprzód, potknął się i upadł na brzuch na ciągle żarzące się ognisko. Potem odtoczył się gwałtownie na bok, wrzeszcząc

jeszcze głośniej. Poderwał się na nogi i zaczął gasić iskry na brzuchu zakrwawionymi dłońmi.

Patan miał już dosyć.

Podszedł do mężczyzny i posłał go z powrotem na ziemię jednym, złośliwym kopniakiem. Potem skoczył mu na plecy, poderwał jego głowę za włosy i prawie podniósł go na kolana.

- Masz twój wielki generał, Rana Sanga – powiedział z pogardą. Walnął Rzymianina, uciszając jego jęki.

Rana Sanga popatrzył na Belizariusza. Podniósł wzrok na Patana, trzymającego go za włosy. Tropiciel uśmiechał się okrutnie.

Popatrzył na Belizariusza. Wielki generał łapał powietrze jak ryba wyjęta z wody i miał łzy w oczach.

Popatrzył znowu na Patana. Potem na Belizariusza.

- Któż to jest u diabła? – warknął Dżajmal. Popatrzył na jeńca. Popatrzył na Patana.
- Nigdy w życiu nie widziałem tego mężczyzny – powiedział cicho do tropiciela.

Potem Rana Sanga pomyślał, że widok, jakiego się doczekał, wart był ucieczki generała. Po tych wszystkich latach, wreszcie zobaczył, jak Patanowi opada szczeka. Wyglądał jak idiota.

\* \* \*

- Jestem tylko biednym handlarzem – jęknął mężczyzna po raz setny. Zawodził, przyciskając bandaż do zranionego policzka.
- Nazywam się... – wyjęczał.
- Zaniknij się! – warknął Udaï. – Znamy twoje imię! Chcemy się tylko dowiedzieć, skąd masz te konie?

Handlarz popatrzył na Radżputę. W końcu coś poza obezwładniającym strachem i bełkotliwą litością dla samego siebie, dotarło do jego umysłu.

Było to skąpstwo.

- To są moje konie! – zakwiczał, – Nie możecie...
- Zamknij się! – wrzasnął Udaï. – Po prostu się zamknij!

Rana Sanga położył uspokajająco dłoń na ramieniu Udaia. Furia porucznika doprowadzała handlarza niemalże do utraty zmysłów.

Radżpucki książę kucnął, zniżając oczy do poziomu mężczyzny, który z zakrwawioną twarzą kulił się na zakurzonej ziemi.

- Posłuchaj mnie, handlarzu – powiedział cicho. Cicho, ale bardzo stanowczo. Handlarz nagle zamilkł.
- Nazywani się Rana Sanga,

Oczy handlarza otworzyły się szerzej. Nie był Radżputą, ale prowadził interesy w Radżputanie. Znał to imię. Znał je bardzo dobrze.



- Zabierzemy twoje konie – zabrzmiały ciche, twarde słowa. Handlarz otworzył usta i zaczął skomleć.
- Te konie skradziono imperialnym kurierom. Posiadanie ich jest karane śmiercią. Przez wbicie na pal.

Usta handlarza zamknęły się z trzaskiem. Oczy wyszły mu na wierzch.  
Sanga podniósł uspokajająco rękę,

- Nie obawiaj się. Nie mamy żadnego powodu, żeby cię zabijać. Jeżeli nam się przydasz, może nawet zapłacimy ci za utratę wierzchowców.

A przynajmniej częściowo, pomyślał, widząc, jak skąpstwo znowu błyszczy w oczach kupca.  
*Ciekawe, ile za nie zapłaciłeś. Jestem pewien, że cena była sporo poniżej rzeczywistej wartości tych zwierząt. Myślę, że zacznam rozumieć, co ten... ten... diabeł...*

Wziął głęboki oddech.

*Nie. Co ten diabelski umysł sobie tutaj zaplanował.*

Obejrzał się za siebie. Dziesięć metrów dalej jego patański tropiciel trzymał w górze jedną z nóg, stojących tam koni, przyglądając się kopytu. Bardzo dokładnie.

Sanga odwrócił się z powrotem do handlarza.

- Ale teraz, człowieku, musisz mi powiedzieć, bardzo szybko, bardzo dokładnie, skąd wzięłeś te konie.
- To był Ye-tai – wysapał handlarz. A potem zaczął mówić bardzo szybko. – Dezerter ze straży przybocznej imperatora, tak mi się wyda je. Nie jestem pewny... nie pytałem!... nie Ye4ai, ale... Tak mi się wy dawało. Widziałem kawałek uniformu. Czerwony i złoty. Ucieka, tak pomyślałem. Nie miał nic, tylko te przepiękne konie i wydawał się zdesperowany. Chciał jak najszybciej opuścić Ajmer. Więc on... on...

Nagle, ku zdumieniu obecnych, handlarz wybuchnął śmiechem.

- Idiota ten Ye-tai! Głupi barbarzyńca! Nie miał pojęcia, ile te ko nie są naprawdę warte... żadnego, mówię wam! W końcu... targowaliśmy się tylko dwie godziny... sprzedał mi te konie za trzy wielbłądy, parę kocy i namiot. I jedzenie. Kilka bukłaków z wodą. Dwie spore wazy z oliwą. Pięć butelek wina. Taniego wina. – Zachichotał. Zanosił się ze śmiechu. – Pieprzony idiota! Chrzaniony barbarzyńca!

Sanga uderzył mężczyznę w ucho.

- Cisza!

Histeryczny śmiech handlarza urwał się prawie natychmiast. Jego twarz mocno pobladła.

- I co jeszcze? – zapytał Sanga. – Musiało być coś jeszcze.

Na twarzy handlarza malowała się mieszanka trzech uczuć, zaskoczenia, strachu i chciwości.  
Zwyciężył strach.

- Skąd wiedziałeś? – wyszeptał.
- Znam tego... Ye-tai – odparł Sanga cicho. – On nie wysłałby cię tak po prostu swoją drogą. Z pewnością najpierw by się upewnił, że ty rzeczywiście tą drogą podążysz. Jak?

Strach. Chciwość. Znowu strach,

- Pokaż mi.

To był jeden ze szmaragdów imperatora.

Mały szmaragd, bardzo mały, wedle królewskich standardów. Prawdopodobnie najmniejszy z kamieni, jakie miał przy sobie Belizariusz. Ale dla handlarza przedstawiał wielką fortunę. Wystarczająco dużą, żeby wysłać go do Barakuchy, z obietnicą, że po dotarciu na miejsce dostanie taki drugi do pary, jeżeli dostarczy wiadomość odpowiedniemu człowiekowi.

*Komu?*

Greckiemu kupcowi.

*Jego imię? Nazwa statku.*

Jazon. Argo.

*Pokaż mi wiadomość.*

Rana Sanga potrafił czytać po grecku, chociaż dosyć słabo. Ale to nie miało znaczenia. Większość wiadomości składała się z matematycznych wzorów, a te rozumiał całkiem nieźle. Indie były kolebką matematyki. Stulecia później, Europejczycy porzucą rzymskie liczby na rzecz nowej, lepszej arytmetyki. Nazwą ją „liczbami arabskimi”, ponieważ nauczą się ich od Arabów. Ale zapis ten wynaleziono w Indiach.

Więc Rana Sanga był w stanie zrozumieć wiadomość, a przynajmniej wystarczająco dobrze.

W końcu książę z Radżputany stracił panowanie nad sobą. Zaczął się śmiać niczym szaleniec.

- Co tam jest? – zapytał Dżajmal, kiedy Rana Sanga przestał wreszcie wyć ze śmiechu.
- To równanie – powiedział słabym głosem. – Ułożył je jakiś grek o imieniu Pitagoras. Wyjaśnia, jak trzeba obliczać kąty.

Patan podniósł się, obejrzawszy już wszystkie kopyta i podszedł do nich.

- Nie kamień z drogi zrobił to nacięcie. Nóż. Specjalnie skaleczone. Sanga już jakiś czas temu się tego domyślił.
- Dokładnie – uśmiechnął się, szarpiąc brodę. – Wiedział, że zauważymy ślad. A to, po wielu tygodniach pościgu, sprawi, że będzie myśleli tylko o tropach. Więc pozbył się koni w Ajmerze, wysłał nas na południe, podczas gdy sam pomknął prosto przez Thar na grzbiecie wielbłąda.

Popatrzył na handlarza, ciągle bladego jak prześcieradło.

- Trzy wielbłądy – zamyślił się. – Wystarczy, żeby zanieść go... i jedzenie i wodę, przez pustynię bez potrzeby zatrzymywania.

Zerwał się na nogi. Musiał podjąć jakąś decyzję.

- Nigdy go teraz nie dogonimy. Kiedy wrócimy do Ajmeru i ruszy my w pogoń, będzie miał co najmniej osiem dni przewagi. Z trzema wielbładami i taką ilością zapasów, będzie poruszał się szybciej niż my na równinie bogatej w wodę.

Jego porucznicy patrzyli płonącym wzrokiem, ale nie sprzeczekali się. Wiedzieli, że ma rację. Pięć setek doświadczonych kawalerzystów może dogonić pojedynczego jeźdźca, nawet z końmi na zamianę. Ale nie na pustyni Thar. To był kraj wielbładów. Prawdopodobnie w Ajmerze nie było pięciu setek dostępnych od zaraz wielbładów, jeżeli już o tym mowa. A nawet, gdyby były...

Radźpuci nie byli doświadczonymi jeźdźcami wielbładów.

- Śmierdzące wielbłady-zrzędził Udai.
- Nie znoszę tych cholernych bestii – zgodził się Pratap.
- Dobre mięso – stwierdził Patan. Radźpuci spiorunowali go wzrokiem. Tropicieł nawet tego nie zauważył. Błądził myślami gdzie indziej.
- Więc, dajemy za wygraną? – zapytał Dżajmal.

Sanga potrząsnął przecząco głową.

- Nie, nie dajemy. Ale nie będziemy go gonić, nie przez pustynię. Zamiast tego...

Podniósł do góry wiadomość.

- Usłuchamy jego rady. Kąty. Może... może dogonimy go, przemierzając dwa boki trójkąta, podczas gdy on ucieka wzdłuż trzeciego. Pojedziemy do Barakuchy, tak szybko, jak tylko się da. W Barakusze zarekwirujemy statek... kilka statków, i pożeglujemy na północ do Barbarikum. To tam on się udaje, jestem pewny.

Podszedł do konia.

- Może uda nam się go dogonić. Chodźmy!

\* \* \*

Tej nocy, przy ognisku, Patan w końcu się odezwał, a milczał już od kilku godzin.

- Adoptujemy go. Zrobimy wodzem klanu. Nie. Zrobimy królem. Pierwszy król Patan. – Wyszczrzył się do Radźputów ponad migoczącymi płomieniami. – Potem Patan podbić świat. Cały. Dużo. – Skinął grzecznie Sandze. – Ty być dobry pan. Kiedy mój niewolnik, ja dobry pan też.

Trzy dni później, kiedy szczyty Arawalis przesuwwały się po ich prawej stronie, Dżajmal odwrócił się w siodle do Sangi.

- Jeżeli ten Patan dalej będzie powtarzał ten sam dowcip przysięgam, że go zabiję.
- Dżajmal – odparł zimno radźpucki książę – to nie jest dowcip.

## Rozdział 22

Rao był zdziwiony, z jaką niechęcią jego młodzi podkomendni słuchają jego rozkazów. Jego

porucznik Malodzi nie.

- Zbyt im pobłażasz, Rao – narzekał. Mówił z łatwością, mimo że wraz z Rao pędzili co sił w nogach wzdłuż stromej ściany urwiska, mającego na tle nieba. Po drugiej stronie pagórka ciągle toczyła się bitwa. Słyszeli zanikające z wolna uderzenia metalu o metal. Wściekłe wrzaski malawiańskich oficerów, niestety, nie stawały się cichsze.
- Tutaj – powiedział Rao. Wdrapał się na zbocze, rzucając się na ziemię tuż przed dotarciem na szczyt. Malodzi pobiegł za nim. Dwaj mężczyźni podczołgali się na brzuchach do grani i zerknęli ostrożnie do wąwozu, rozpościerającego się poniżej.
- Widzisz? – wysyczał Malodzi oskarży cielsko. Machnął ze złością brodą w kierunku wąwozu. – Niektórzy z tych nieposłusznych psów nawet jeszcze używają broni.
- Tylko dwóch – wymamrotał Rao. Patrzył, jak dwaj młodzi Marathowie kończą siekać dwóch malawiańskich żołnierzy i zaczynają wspinać się na zbocze po przeciwnej stronie. Na szczycie tamtego pagórka umieszczono linią łuczników, którzy wciąż strzelali w kierunku wycofujących się oddziałów Malawian.
- To są bracia, rozumiesz. Prawdopodobnie jeden z nich wplątał się w potyczkę, a drugi przybył mu na ratunek.
- Ciągle...
- Nie wściekaj się, Malodzi. Niedługo nauczą się dyscypliny. Po tym jak już dostaną mocno w kość, wykazując nadmierny entuzjazm – dodał ponuro.

Przerwał i zaczął przyglądać się Malawianom. Oficerowie wreszcie przywrócili porządek w swojej małej armii. Na ich rozkaz szeregi żołnierzy zaczęły wdrapywać się na wzgórze. Cierpieli dotkliwe straty od strzał, sypiących się na nich niczym deszcz, ale było ich tak wielu, że prędzej czy później dotrą na górę. Malawianie próbowali wepchnąć zbyt wielu żołnierzy do tej małej doliny, którą raczej powinno się nazwać wąwozem. Ich ściśnięte szeregi stanowiły doskonały cel, a miejsce nadawało się idealnie na zasadzkę, ale kiedy Malawianie zorientowali się w sytuacji i zaczęli przeciwnatarcie, partyzanci nie mieli szans.

- Powinni już uciekać, psy! – sarknął Malodzi. – Rozkazy były zupełnie jasne!

Rao nie miał zamiaru wdawać się w spory. Rzeczywiście rozkazał swoim ludziom wystrzelić co najwyżej dwie serie strzał, kiedy Malawianie zaczną wreszcie atakować. Partyzanci powinni już dawno uciekać. Zamiast tego, młodzi Marathowie czekali, aż Malawianie podejść do połowy wysokości stoku, i dopiero wtedy uciekli.

Rao odwrócił się i zaczął szukać dogodnej drogi w dół zbocza. Malodzi poszedł za nim, ciągle zrzedząc pod nosem.

- Nie powinienes dawać im koni. To dlatego tak zhardzieli. Beznadziejne młode szczeniaki. Wydaje im się, że te konie dadzą radę uciec przed wszystkim, co się rusza.

Teraz, kilka metrów od szczytu stoku, Rao podniósł się na nogi. Uśmiechnął się szeroko do swojego porucznika.

- Te konie rzeczywiście potrafią przegonić wszystko, co się rusza. A przynajmniej wszystko, co mają te malawiańskie dupki. To najlepsze konie, jakie można kupić za cudzoziemskie

pieniądze!

Malodzi wstał i otrzepał ubranie.

- Doskonałe wierzchowce, przyznaję – zgodził się niechętnie. – To bardzo piękny podarek.
- Myślę, że to raczej wymiana – osadził go Rao. Popatrzył na za chód. Nie mógł widzieć Barakuchy, oczywiście. Do wielkiego portu było stąd wiele kilometrów, a widok zasłaniały dodatkowo góry Satpura. – Dali nam konie, a my dajemy im szansę.
- Czy myślisz, że zdołają uciec?

Rao wzruszył ramionami.

- Tak mi się wydaje: Zatrzymaliśmy kurierów i od jakiegoś czasu – machnął rękaw kierunku wąwozu za górką, uśmiechając się szeroko – rozpraszamy uwagę Malawian.

Odwrócił się i zaczął iść w kierunku zagłębienia, gdzie wcześniej ukryli konie.

- Mówiłem ci to już wcześniej, Malodzi – powiedział z łatwością, mimo szaleńczego tempa, jakie narzucił sobie i porucznikowi. – Ci ludzie są zdolni do wszystkiego.

\* \* \*

Zdolności nie były im specjalnie potrzebne. Ucieczka, w końcowej fazie, okazała się dziecinnie prosta.

Garmat po prostu przemaszerował po rampie, łączącej aksumicki statek z nabrzeżem i przedstawił się kapitanowi. Zanim jeszcze dotarł do mężczyzny, kapitan wybałuszył oczy.

- Przestań, Endubis. Wyglądasz jak żaba – warknął. Kapitanowi opadła szczęka.
- I zamknij usta, głupcze. Szpiedzy mogą cię zobaczyć.

Endubis zamknął z kłapnięciem usta. Kapitan popatrzył szybko na brzeg, doświadczonym wzrokiem przeszukując go w poszukiwaniu kłopotów.

Jak wszyscy etiopsy kapitanowie statków kupieckich, Endubis był obznajomiony z walką. Tacy kupcy służyli zazwyczaj jako rezerwa aksumickiej marynarki wojennej. Żaden marynarz nie mógł zostać kapitanem, nawet we flocie handlowej, bez akceptacji *negusa nagast*. Mimo łagodnych zwyczajów i zasad w innych dziedzinach życia, Aksumici nigdy nie podchodzili lekkomyślnie do spraw marynarki wojennej.

- Kłopoty? – zapytał Endubis. Garmat uśmiechnął się lekko.
- Można tak powiedzieć. Całe Imperium Malawiańskie siedzi nam na karku.

Endubis zamrugał oczami.

- Książę?
- Jest cały. – Garmat lekko skinął głową w kierunku przystani. – Ukrył się w tamtym magazynie. Z dawazzem i sarwenami. I innymi.

Doradca szybko przyjrzał się statkowi. – Trzynastu ludzi. Będzie trochę tłoczno, ale...

- Damy radę – wymamrotał Endubis. Kapitan odwrócił się i zaczął wywrzaskiwać rozkazy. Jego marynarze natychmiast rozbiegli się po statku, przygotowując się do wypłynięcia.
- Wolałbym, żebyście dotarli tutaj jutro – zrzędliwie powiedział Endubis. – Wtedy miałbym jakiś ładunek. Nienawidzę pływać z pustą ładownią. To najszybsza droga do ubóstwa.

Garmat uśmiechnął się szeroko.

- Wcale nie, Endubisie. Pusty statek może płynąć szybciej, a poza tym nie będzie nam tak ciasno. A jeżeli chodzi o ubóstwo... – jego ręka zanurzyła się w sakiewce i wyłoniła się za chwilę, podsuwając się pod nos Aksumity.

Kapitan znowu zaczął wybałuszać oczy niczym żaba.

- Zakładam, że przyjmujesz wynagrodzenie w malawiańskich monetach? – wymamrotał Garmat. – Och, i zobacz! Wydaje mi się, że zaplątał się tu nawet jakiś rubin. Nie... są aż trzy.

Kiedy wypływali z portu Barakucha, zatrzymał ich malawiański statek i chciał przybić do ich burty.

- Zignoruj ich – rozkazał książę Eon. – Płyn dalej. Kapitan zerknął na niego kątem oka.
- To nie przysłuży się innym aksumickim kupcom – zaznaczył. Eon wzruszył ramionami.
- Nie będzie żadnych innych aksumickich kupców. Jesteśmy teraz w stanie wojny z Malawą.

Kapitan westchnął.

- Ach. To źle. Interesy szły tutaj całkiem nieźle.

Oficer na dziobie malawiańskiego statku ponownie zawołał, że mają się zatrzymać. Sądząc po głosie, zaczynał być zły.

- Czy możesz im uciec? – zapytał stanowczo Eon. Endubis sarknęła.
- Tej malawiańskiej balii? – Nie powiedział już nic więcej na temat malawiańskiej floty, tylko zaczął wydawać rozkazy marynarzom.

Godzinę później oficer, dowodzący malawiańską jednostką, zrezygnował z pościgu. Krztusił się ze złości.

Po części jego gniew wynikał z faktu, że etiopski statek jest lepszy niż jego jednostka. Ale najbardziej rozzłościł go widok nagiego czarnego tyłka, który zwieszał się z rufy aksumickiego żaglowca, najwyraźniej defekując. A na twarzy ponad nim świecił szeroki uśmiech.

\* \* \*

Tydzień później, w porcie Tamralipti na przeciwległym wybrzeżu Indii, malawiański oficer marynarki uśmiechał się z wielką radością. Miał zresztą powód. Zarobił tego dnia więcej pieniędzy niż przez ostatnie trzy miesiące.

Jego porucznik także się śmiał. Część łapówki szlachcica, która przypadła mu w udziale, wystarczała aż nadto na wyszukane rozrywki, jakich zażyć można było w portowej dzielnicy miasta, cieszącego się złą sławą na wybrzeżu zatoki Bengalskiej.

Porucznik kiwnął głową w kierunku kupieckiego statku, który właśnie opływał portowy falochron.

- Może powinniśmy powiedzieć Murszidowi i jego ludziom? W skrzyni tego szlachcica kryje się fortuna. A jego żona jest młoda. I ładna, prawdopodobnie. Ona i inne kobiety mogłyby uzyskać niezłą cenę.

Dowodzący oficer szarpnął się za brodę, rozważając możliwości. On i jego podkomendni mieli całkiem niezły dochód na boku, sprzedając lokalnym piratom informacje o bogatych potencjalnych ofiarach.

Nie zastanawiał się długo nad tym problemem.

- Nie – powiedział stanowczo. – Nie z tą eskortą.
- Nie było ich więcej niż trzydziestu – upierał się porucznik. – Murszid może zebrać trzy statki, z ponad setką...

Dowódca spiorunował go wzrokiem.

- Z ponad setką czego? – sarknął. – Przewaga trzy do jednego, w najlepszym razie cztery do jednego. Oprychy Murszida przeciwko... tamtym?

Porucznik skrzywił się.

- Cóż...

Dowódca opędził się od tego pomysłu, jak człowiek, który opędza się od uprzykrzonej muchy.

- Zapomnij o tym. Murszid by nam potem nie dziękował, uwierz mi. A nasza dola? Jak myślisz, dostalibyśmy jedną baryłkę flaków, czy dwie? Może nawet dwie?

\* \* \*

Patrząc z rufy na tamtych żołnierzy, kapitan kupieckiego statku upewnił się, że prawidłowo odczytał postawę malawiańskich oficerów. Odległość była spora, ale on miał dobre oczy. I sporo doświadczenia.

Zadowolony, odwrócił się.

- Możemy się odprężyć – powiedział do swojego pierwszego oficera. – Nie będzie problemów.

Jego podkomendny wydał westchnienie ulgi. Myślał sobie, że jego kapitan jest szalony, biorąc na pokład taki ładunek, i to na tych wodach. Normalnie transportowali spore ilości towarów, na obszarze całej zatoki Bengalskiej, mocno zaludnionej przez wszelkiej maści piratów. Były to dobra tego rodzaju, które nie są atrakcyjne dla złodziei.

Ale teraz jego kapitan postanowił zaryzykować. Szlachcic zaoferował mu taką cenę, że nie mógł się jej oprzeć. Była to mała fortuna, którą miał otrzymać za przewiezienie jego, jego żony i ich orszaku do Muziris, głównego portu w południowo-indyjskim królestwie Kerali.

A poza tym...

Pierwszy oficer zerknął na najbliższej siedzącego żołnierza z ochrony szlachcica. Nie był pewien, ale pomyślał, że to dowódca eskorty.

Oficer opierał się o reling i patrzył na uciekający port, beztrosko ostrząc miecz małą osełką. Zadanie na pozór wydawało się bezsensowne. Ostrze już i tak było jak brzytwa.

Jego wzrok napotkał oczy oficera.

- Kłopoty? – Osełka ani na chwilę nie traciła miarowości ruchów. Pierwszy oficer potrząsnął głową.
- Wydaje nam się, że nie.

Na twarzy żołnierza nie było żadnego wyrazu. W swym zastygłym bezruchu, przypominała maskę z żelaza.

- Szkoda – wymamrotał. Popatrzył na ostrze pod słońce, badając jego krawędź. – Moi ludzie trochę zardzewieli. Przydałby im się trening.

\* \* \*

Miesiąc później Rana Sanga powrócił do swojego domu niedaleko Jaipuru. Przez cały rok nie widział swojej rodziny i postanowił ich odwiedzić, zanim wróci do Kausambi. Może już nigdy nie będzie miał takiej szansy. Kiedy złoży raport o sukcesie Belizariusza i swojej porażce, prawdopodobnie zostanie ukarany. Może nawet stracony.

Ku zdumieniu Sangi, w rezydencji radżpuckiego księcia czekał pan Damodara. Przybył tutaj dwa tygodnie temu, będąc pewnym, że Sanga najpierw pojedzie do domu, niezależnie od tego, czy wieści są dobre, czy złe.

Ponieważ Sanga był bardzo stęskniony za rodziną, pan Damodara grzecznie zaoferował mu, że poczeka, aż się z nimi zobaczy, ale Radżputa nalegał na natychmiastowe wysłuchanie raportu. On i Damodara spotkali się w małym pokoju, przylegającym do wielkiego holu, który służył Sandze jako osobista sala audiencyjna. Usiedli na poduszkach wokół niskiego stolika. Kiedy służy, którzy przynieśli herbatę i ciasto, wyszli, pan Damodara i Sanga zostali sami.

Raport Sangi był dokładny, wyczerpujący i bogaty w szczegóły. Ale kiedy doszedł do końcowych wydarzeń ich pościgu za Belizariuszem, Damodara przerwał mu.

- Daj sobie spokój z resztą, Sanga. Zakładam, że chcesz mi powiedzieć, że nie znalazłeś ani śladu Belizariusza w Barbarikum, ani w żadnym innym z małych portów.

Sanga potrząsnął głową.

- Żadnego, panie Damodaro. Jestem przekonany, że musiał wsiąść tam na jakiś statek, ale doskonale zatarł za sobą ślady. Jeżeli szpiedzy Nandy Lala trochę tam powęszą, z pewnością ten ślad odnajdą. Ale...
- Po co? – dokończy! Damodara. Pomachał lekceważąco swoją pulchną ręką. – Jeżeli nawet coś odkryją, i tak już będzie za późno.

Wypił trochę herbaty. Włożył do ust kawałek ciasta.

- Takie śledztwo nie dałoby nic pozytywnego, tylko narobiłoby szkody – stwierdził. – W



rzeczy samej, wielką szkodę.

Sanga siedział sztywno w milczeniu. Damodara przez chwilę mierzył go wzrokiem. Potem, ku zaskoczeniu Sangi, uśmiechnął się.

- Naprawdę jesteś prawdziwym Radźputą. Honor ponad wszystkim.

Sanga, o ile to było możliwe, zeszywniał jeszcze bardziej.

- Ja nie jestem Radźputą – wychrypiał Damodara. – Respektuję twój pogląd na życie, Rana Sango, wydaje mi się\_ nawet, że go rozumiem, ale go nie podzielam. Jestem Malawianinem – dodał szorstko. – I, w związku z tym, podchodzę do życia z praktycznej strony. Zostałem tutaj wysłany, żeby cię spotkać i dowiedzieć się, jaki jest rezultat pościgu. Teraz już wiem.

Upił kolejny łyk herbaty.

- Oto, czego się dowiedziałem. Rana Sanga, kierując się przeczuciem, mówiącym mu, że Belizariusz może uciekać na zachód, poprowadził długi, sprawny i najbardziej kompetentny pościg za obcym generałem aż do samego Barbarikum.

Siorbnął herbaty.

- Nie znaleźli ani śladu Belizariusza. Przez pewien czas wydawało się, że Radźpuci są na jego tropie. Ale, w końcu, ślad okazał się, fałszywy. Dogonili tylko obdartego handlarza i wpadli na krwawy ślad Ye-tai, dezertera z królewskiej straży przybocznej, który zbiegł z Imperium po tym, jak okrutnie zamordował kilku żołnierzy i imperialnych kurierów, oraz obrabował kupca.

Sanga zaczął protestować. Damodara szybko go uciszył.

- Na to wskazują fakty, Rana Sango. Twoje podejrzenia po prostu były bezpodstawne. To wszystko. – Znowu machnął ręką. Kiedy już powstrzymał sprzeciw Sangi, sięgnął po placek.
- Nie ma żadnych dowodów – zakonkludował Damodara. – Nic, czego nie można obalić. Nic konkretnego.

Zadowolony, a raczej zadowolony z siebie, Damodara wepchnął kawał placka do ust.

- Ależ jest jeden – zgrzytnął Sanga. Sięgnął pod tunikę i wyjął małą sakiewkę, otworzył ją i wysypał zawartość na stół pomiędzy nimi.

Szmaragd. Mały, ale piękny.

Damodara zadławił się ciastem. Kaszląc, wyciągnął dłoń po herbatę i gwałtownie popił, żeby oczyścić gardło.

- Radźpuci – mruknął, stawiając na stole filiżankę. Patrzył wściekle na szmaragd.

Jednak to nie trwało długo. Kiedy Damodara podniósł wzrok, znowu się uśmiechał.

- To, jak miemam, jest szmaragd, który Belizariusz dał tamtemu handlarzowi? Jeden ze szmaragdów, które generał dostał w podarunku od imperatora?

Sanga przytaknął sztywno. Damodara roześmiał się.

- Cóż za nonsens! – potrząsnął głową. – Każdy Radżputą na świecie na pierwszy rzut oka i bezbłędnie rozpozna konia i miecz, ale po każ mu klejnot...

Mimo swej pulchności, dłoń Damodary poruszyła się jak jaszczurka na kamieniu, kiedy łapie owady. Szmaragd nagle zniknął w fałdach tuniki dostojnika.

- Ci fałszerze! – powiedział surowo. – Bezwstydni kryminaliści! Złożę raport na temat ich haniebnych wyczynów w odpowiednim biurze w Kausambi, kiedy tylko wrócę. – Znowu pomachał ręką. – Którekolwiek się tym zajmuje. Wydaje mi się, że biuro Ranabhandagaradhikara z królewskiego skarbcza właśnie ściga fałszerzy. A może policja Bhukti[15]. Jeden z tych małych departamentów, zagrzebanych gdzieś głęboko w Wielkim Pałacu, gdzie pracują te wszystkie tępaki.

Protest radżpuckiego księcia został zduszony w zarodku.

- Już po wszystkim, Rana Sanga! Koniec. Po wszystkim.

Wstał. Rana Sanga podniósł się także. Niski malawiański dostojnik popatrzył do góry na Radżputę. Nic sobie nie robił z gniewu wielkiego mężczyzny.

- Nazywam się pan Damodara – powiedział łagodnie – i wyciągnąłem już wnioski z twego raportu.

Ciągle nie odrywając oczu od Rana Sangi, Damodara pochylił się i wziął kolejny kawałek ciasta. Wepchnął je do ust.

- Naprawdę placek jest doskonały – powiedział niewyraźnie. – Proszę przekazać moje gratulacje piekarzowi.

Sanga ciągle wpatrywał się w gościa płonącym wzrokiem. Damodara westchnął.

- Rana Sanga, jeżeli w grę wchodzi dobro Malawy, prawda jest tylko jedna. Belizariusz uciekał, wraz ze swoimi ludźmi, na południe. Królewscy kurierzy, którzy wyruszyli do portowych garnizonów wpadli po drodze w zasadzkę marathańskich bandytów. Więc kłamliwy cudzoziemski generał i jego podkomendni dali radę uciec na aksumickim statku, który czekał na nich w porcie. Prawdopodobnie w tym właśnie celu. Mamy dokładny opis jednego z tych podkomendnych od oficera marynarki, który próbował zatrzymać statek. Dokładny opis. Oficer, za swoje niepowodzenie – dodał zimno – został stracony. Wraz z dowódcą garnizonu w Barakusze.

Sanga sarknął. Na twarzy Damodary nie było żadnego wyrazu.

- Obu wbito na pal. Na rozkaz pana Venandaktry, jak tylko *goptri* przybył do Barakuchy.

Damodara miał twarz jak z lodu.

- Kiedy powrócę, na moje żądanie oficer dowodzący oddziałem, z którego uciekł dezertter Yetai, także zostanie stracony. Za zaniechanie obowiązków służbowych.

Odwrócił wzrok.

- Nie będę się domagał wbicia na pal. Wystarczy ucięcie głowy.

Twarz Sangi ściągnęła się.

- To już zostało zrobione i będzie zrobione – wymamrotał Damodara. – Nie rób takich cierpienniczych min, Rana Sango. Proszę. Pozwól, żeby tak było.

Położył rękę na ramieniu Sangi.

- Teraz, mam dla ciebie wiadomości. Zostałem mianowany głównodowodzącym armii pomocy na czas nadchodzącej kampanii perskiej. Oczywiście pan Dziwita będzie miał dowództwo nad całą armią.

Radżputa popatrzył na niego twardo. Odwrócił wzrok.

- Poprosiłem i moja prośba została spełniona, żeby większość Radżputów przydzielić do mojej armii. A szczególnie prosiłem o ciebie i twoją kawalerię.

Teraz Sanga popatrzył znowu na dostojnika. Z uwagą. Damodara złożył usta w ciup.

- Moje oficjalne uzasadnienie było takie, że armia będzie przez większość czasu operować w rozległym kraju. Dlatego też upierałem się, że potrzebuję sporo najlepszych oddziałów kawalerii, jakimi dysponujemy. – Wzruszył ramionami. – Oczywiście argument jest w pełni usprawiedliwiony. A poza tym oszczędził mi tłumaczenia panu Dziwicie, że nie pokładam aż takiej ufności w broni palnej Jak on. Osobiście wolę dobrą radżpucką stal, która będzie broniła moich flank, na doskonałych radżpuckich koniach.

Sanga prawie się uśmiechnął. Ale nie do końca.

Dłoń Damodary potrząsnęła lekko ramieniem Radżputy.

- Potrzebuję cię, Rana Sango. Żywego, w pełnym zdrowiu, na czele twoich oddziałów. – Zdjął rękę i odwrócił się w kierunku drzwi. – Teraz już pójdę. I tak zabrałem ci wiele czasu, a wiem, że tęsknisz za rodziną.

Rana Sanga towarzyszył Damodarze w drodze na dziedziniec. Kiedy czekali, aż przyprowadzą właściwego konia, dostojnik zwrócił się znów do Sangi.

- Nie przejmuj się ucieczką Belizariusza, Rana Sango – wymamrotał cicho. – Pogódź się z

tym. Niech tak będzie. I tak niebawem znów się z nim spotkamy. Niedługo... nawet zbyt wcześnie jak na mój gust. Tego jestem tak samo pewny, jak wschodów słońca.

- Ja także – mruknął Sanga, kiedy Damodara już odjechał. – Tak pewny, jak wschodów słońca. – Na jego twarzy pojawił się smutny uśmiech. – Ale, niestety, on jest trudniejszy do przewidzenia.

Odwrócił się w kierunku domu. Jego żona i dzieci właśnie wybiegały z drzwi z otwartymi ramionami. Poza miłością i serdecznością, wszystkie inne uczucia znikły z serca Rana Sangi.

\* \* \*

Tydzień później, w drodze powrotnej do Kausambi, pan Damodara i jego eskorta dotarli do brzegów Jamuny.

Pan Damodara rozkazał się zatrzymać i zsiadł z konia.

- Muszę się wysikać – oznajmił swoim żołnierzom. – Czekaście tutaj – rozkazał, machając lekceważąco ręką. – Poradzę sobie doskonale sam z tym trudnym zadaniem.

Kiedy dotarł do rzeki, przeszedł kilka metrów wzdłuż brzegu, szukając odpowiedniego miejsca. Kiedy je znalazł, zajął się tym, po co tu przyszedł.

Damodara był praktycznym człowiekiem. Malawianinem. Nie widział powodu, dlaczego nie miał załatwić dwóch rzeczy przy jednej okazji.

W końcu, musiał się wysikać. A podczas sikania rzucił w głębinę rzeki mały, przepiękny szmaragd.

\* \* \*

W tej samej chwili, kiedy szmaragd zagłębił się w gęsty muł w łożysku rzeczonym, do nabrzeża po przeciwnej stronie oceanu przybijał statek. Marynarze zaczęli rzucać cumy.

- Tam jest twój ojciec – oznajmił Garmat. Doradca pokazał na zbocze, które osłaniało z jednej strony port w Adulis. Na szczycie kamiennych schodów, prowadzących do portu, stała królewska postać.

Aksumici nie dzielili z innymi rodami królewskimi zamiłowania do wyraźnych oznak władzy. *Negusa nagast* był ubrany w prostą lnianą spódniczkę, lamowaną złotem. Na jego masywnej klatce piersiowej krzyżowały się dwa skórzane pasy, naszywane perłami. Jego potężną szyję otaczał gruby złoty łańcuch, a na ramionach miał po pięć bransolet. Głowę opasywała mu prosta srebrna obręcz, wysadzana kameliami, które były symbolem jego władzy jako króla królów. Tiara mocowała w odpowiednim miejscu tradycyjne nakrycie głowy, tak zwany *phakhiolin*, także znamionujący jego wysoką pozycję, jako króla Aksumitów. W prawej ręce Kaleb trzymał wielką włócznię, na której ostrzu wyryto chrześcijański krzyż, a w lewej trzcinkę do odganiania much. Włócznia symbolizowała jego męstwo i siłę, a trzcinka oddanie sprawom narodu.

Nie miał nic więcej poza, oczywiście, dostojeństwem swojej postaci o szerokich barkach, mocnych nogach i majestatycznym korpusie, oraz wyrazem twarzy. Nad mocnym nosem łączyły się gęste brwi, usta miał ściągnięte, a szczęki mocno zaciśnięte.

- Wydaje mi się, że jest nie w humorze – powiedział niepewnie Menander.
- Wygląda na kompletnie wkurwionego – zaopiniował Anastazjusz. – Tak jakby już usłyszał najnowsze wieści. Jego niecałkiem zdrowy na umyśle najmłodszy syn wplątał go właśnie w

wojnę z najpotężniejszym imperium na ziemi.

- Oczywiście, że już słyszał! – zawołał wesoło Ousanas. – Popatrz na jego towarzysza. To najszybszy dostarczyciel złych wieści na świecie. Sam skrzywiony Merkury!

Belizariusz. Stał teraz tuż obok króla. I uśmiechał się swoim krzywym uśmiechem.

- Cholera – mruknął Walentynian. – Wolałbym już znieść wściekłe spojrzenie króla, niż oglądać ten krzywy uśmiezek. – Westchnął. – Zawsze oznacza początek ekscytujących przygód.

## KONSTANTYNOPOL

*Zima, 530 r. n.e.*

### **Rozdział 23**

Pięć minut po rozpoczęciu rozmowy z Balbanem, Antonina wyczuła, że coś jest nie w porządku. Malawiański szpieg nie słuchał jej dość uważnie.

Prawda, udawał, że słucha. Dla każdego, lub prawie każdego, z wyjątkiem Antoniny, Balban wyglądałby jak idealny model uważającego rozmówcy. Siedział na samym brzegu krzesła, a w zasadzie prawie z niego spadał, pochylając się uwagę do przodu, z dłońmi zaciśniętymi między kolanami. Jego oczy spoczywały na kobiecie, siedzącej po drugiej stronie małego stolika. Siedział zupełnie cicho, jakby chciał w pełni chłonąć informacje, których udzielała mu Antonina.

Same informacje powinny już sprawić, żeby się zainteresował, nawet jeżeli był trochę rozkojarzony pięknem kobiety. Malawiański szpieg uczył się na pamięć każdego szczegółu o aktualnym położeniu każdego z oddziałów rzymskich, które prowadziły działania w Syrii, Lewancie i Egipcie. Dla człowieka, który znajdował się w samym centrum intrygi, zmierzającej do obalenia rzymskiego imperatora, która zresztą właśnie miała wydać owoce, takie informacje były dosłownie bezcenne.

Wspaniałe informacje, w każdym calu. I nie tylko wspaniałe, dlatego że je posiadał, ale także ich wymowa była doskonale odpowiadającą planom Malawy. Z raportu Antoniny wynikało, że żaden z oddziałów rzymskich, stacjonujących w wielkich wschodnich i południowych prowincjach, nie będzie w stanie przybyć na czas do Konstantynopola, żeby zapobiec planowanemu zamachowi stanu.

Ale Balban nie zwracał na Antoninę żadnej uwagi. A przynajmniej nie zwracał uwagi na to, o czym mówiła.

Przez chwilę Antonina zastanawiała się, czy obojętność Balbana wynika z faktu, że w jakiś sposób dowiedział się o nieprawdziwości tych wszystkich informacji. W rzeczywistości Teodora już kilka tygodni temu wysłała do Daras posłańca z wiadomością, że intryga Malawian zbliża się do celu. Grenadierzy Antoniny już od dziesięciu dni przebywali w Konstantynopolu, przebrani za rodziny pielgrzymów. Razem z trackimi katafraktami zostali przetransportowani na pokładzie flotyli małych, szybkich stateczków. Mundury oddziałów Sitasa i Heraiogenesisa dotarły do Konstantynopola zaledwie wczoraj na dużych i powolnych statkach z ziarnem. Ubiorcy ciągle tkwiły w ładowniach tych jednostek, zakotwiczonych w Porcie Cezarejskim.

Ale Antonina prawie natychmiast odrzuciła tę możliwość. Nie wyczuła ze strony Balbana ani śladu wrogości, którą szpieg z pewnością by okazał, gdyby dowiedział się o jej podwójnej grze.

Nie, po prostu Balban nie był zainteresowany jej rewelacjami w żaden widoczny sposób. Nie to, że jej nie wierzył, ale też nie wyglądało na to, że wierzył. Po prostu miał to gdzieś.

Był za to zainteresowany jej osobą, w taki sam sposób jak wszyscy inni mężczyźni, którzy znaleźli się w jej towarzystwie. Zaledwie kilku mężczyzn było w sianie ignorować piękno Antoniny,

Tak już po prostu było.

Ale, poza tym zainteresowaniem, nic.

Antonina poczuła mróz w kościach. Zdała sobie natychmiast sprawę, co się dzieje. I co zostało zaplanowane.

*Mają zamiar mnie zabić.*

Gdyby Balban wiedział, jak precyzyjnie Antonina odgadła jego plany z samego zachowania, byłby zszokowany, Malawianin był doskonałym szpiegiem i przysięgłby, że nikt nie byłby w stanie wyczuć ani śladu morderczych zamiarów z jego doskonale zaplanowanej i utrzymanej postawy.

I faktycznie niewielu ludzi ha świecie zdołałoby cokolwiek odgadnąć. Z wyjątkiem tej kobiety, która w minionych latach była jedną z najbardziej ekskluzywnych i poszukiwanych kurtyzan w całym Imperium Rzymskim.

Antonina, w odróżnieniu od Balbana, nie była ekspertem w sprawach szpiegowania i mordowania z zasadki. Ale znała się doskonale, będąc w rzeczywistości jednym z największych ekspertów na świecie, na mężczyznach i ich nastrojach. Oczywiście, to jej niezwykle piękno przyczyniło się do uzyskania takiego rozgłosu jako kurtyzana. Choć wiele kobiet było równie pięknych, to tylko Antonina posiadała ten wrodzony dar i potrafiła ich zainteresować. Nie poszukiwali jej dla cielesnego piękna, ale dla przyjemności, jaką dawało im przebywanie z nią.

Przez lata pracy nauczyła się poznawać niebezpieczne nastroje. Prędzej czy później, do czasu, kiedy spotkała Belizariusza, mężczyźni powinni tracić zainteresowanie jej osobą. Ale teraz tak nie było. Mogli tylko pożądać jej ciała, ale z pewnością straciliby zainteresowanie jej towarzystwem.

Zawsze była w stanie powiedzieć, kiedy nadchodził moment utraty zainteresowania. I zawsze, w takich przypadkach, natychmiast zrywała znajomość. A przynajmniej wtedy, kiedy była to w stanie zrobić w łagodny i wdzięczny sposób.

Jej związek z Balbanem nigdy nie miał charakteru seksualnej zależności. Ale także w tym związku doszła do momentu, kiedy partner stracił zainteresowanie.

Kiedy szybko kończyła swój raport, zastanawiała się gorączkowo nad możliwościami, jakie jej pozostały.

Nie zabiją jej w willi Balbana. Tego była pewna. Malawianie zawsze zadawali sobie wiele trudu, żeby nie rzucić się w Konstantynopolu za bardzo w oczy. Nawet Irena, mimo swoich umiejętności i dostępnych źródeł, które Teodora dała jej do dyspozycji, dopiero kilka dni temu odkryła, gdzie znajduje się militarna baza Malawian. Balban zdołał przesznułować do stolicy Rzymu kilka setek elitarnych indyjskich oddziałów i trzymał je tam w ukryciu przez kilka tygodni bez wiedzy oficjalnych władz Konstantynopola. Taki człowiek nie będzie ryzykował, żeby ściągnąć na siebie podejrzenia na kilka dni przed planowaną akcją.

Nie, powiedziała sobie, raczej nie wykorzysta do tego Adzasutry, ani innego malawiańskiego agenta. Zawsze istniało ryzyko, że w przypadku nieudanego zamachu, jej zeznania doprowadzą do pojmania zabójcy, a z kolei na podstawie jego słów mogą dotrzeć do samego Balbana. Najprawdopodobniej napadną na nią rzymskie opryszki, wynajęte na tę okazję przez nieznanego pośrednika.

Ulice Konstantynopola przez ostatnie kilka lat stały się bardzo niebezpieczne. Frakcje z Hipodromu, zasilane pieniędzmi Malawian, robiły się coraz bardziej zuchwałe z godziny na godzinę. Gangi Niebieskich i Zielonych pętały się swobodnie po całym mieście, terroryzując bezkarnie jego mieszkańców. Oddziały wojska, stacjonujące w Konstantynopolu, chroniły się w swoich barakach, jak to przewidziała Irena miesiące temu. Oficerowie, dowodzący tymi żołnierzami, jakby wyczuwali nadchodzący przewrót i postanowili siedzieć cicho na stronie, aż cokolwiek się wyklaruje.

Antonina była pewna planu Malawian.

Było już późne popołudnie. Kiedy wyjdzie z willi Balbana, zapadnie zmrok. Tak jak ją poinstruowano, przychodziła na te spotkania sama, za każdym razem tą samą drogą. Kiedy będzie wracać, napadnie na nią banda rzezimieszków. Nie bliżej niż trzy kwartały stąd, ale nie dalej niż sześć. Atak prawdopodobnie nastąpi w pobliżu opuszczonych budynków, albo w jakiejś innej odosobnionej okolicy. Porwą ją z ulicy i wciągną do budynku. Potem prawdopodobnie ją obrabują, zgwałcą i zabiją. Kiedy odkryją jej ciało, a może się to stać nawet po kilku dniach, jej przypadek zostanie zakwalifikowany jako morderstwo na tle rabunkowym, częste w niespokojnych czasach.

Antonina z trudem powstrzymała westchnienie ulgi.

Z profesjonalnym zabójcą, jak Adzasutra, prawdopodobnie nie dałaby sobie rady. Ale uliczne oprychy, to zupełnie inna sprawa.

Teraz, kiedy spadł jej kamień z serca, Antonina zdołała bez trudu przebrnąć przez kilka ostatnich minut spotkania z Balbanem. Z trudem ukrywała niecierpliwość podczas wymiany końcowych uprzejmości, gdyż Malawianin był bardzo przywiązany do konwenansów. Następną godziną kryła dla niej wiele niebezpieczeństw, ale Antonina należała do osób, które chciały mieć najgorsze jak najszybciej za sobą.

Tak szybko, jak tylko wypadało, Antonina wstała i skierowała się do wyjścia. Balban odprowadził ją do drzwi. Kiedy szli, minęli się w korytarzu z Adzasutra. Antonina uśmiechnęła się do niego miło i przeszła obok bez mrugnięcia okiem. Nie było to łatwe, gdyż, mimo wszystko, mogła się przecież mylić co do ich planów.

Ale Adzasutra nie zrobił nic poza miłym skinięciem głowy i grzecznym uśmiechem.

Balban otworzył drzwi, mamrocząc pod nosem jakieś pożegnalne grzeczności. Antonina wyszła na dziedziniec i poszła w kierunku otwartej bramy, która prowadziła na ulicę. Zanim przeszła przez bramę, usłyszała za sobą trzask zamykanych drzwi.

\* \* \*

Balban, potrząsając głową, odwrócił się od drzwi. Ku jego zdumieniu, Adzasutra ciągle stał w korytarzu.

- Szkoa – wymamrotał Balban. – Taka piękna...
- Ona wie – wysyczał Adzasutra.

Balban zamrugał oczyma.

- Co?
- Ona wie – powtórzył zabójca.

Balban zmarszczył brwi.

- A skąd ten wniosek? Nie zauważyłem najmniejszego śladu w jej zachowaniu, który mógłby o tym świadczyć.

Machnął rękaw stronę Adzasutry.

- A zaledwie chwilą temu minęła ciebie z kamienną twarzą.
- Właśnie o to chodzi – odparł zabójca. – Ta kobieta nie jest głupia, Balbanie. Doskonale wie, kim jestem. Czym się zajmuję. Za każdym razem, kiedy z nią przebywałem, nie spuszczała

ze mnie oka. Rzeczywiście, patrzyła bardzo ostrożnie, ale... – Zdenerwowany, szukał odpowiednich słów. — Mówią ci, ona wie.

Balban zawahał się. Odwrócił głowę, patrząc na drzwi. Przez chwilę wyglądało na to, że ma zamiar je z powrotem otworzyć. Ale chwila minęła. Potem, widząc, że Adzasutra podchodzi do drzwi, powstrzymał go, kładąc mu rękę na ramieniu.

Szpieg potrząsnął głową.

- Wydaje mi się., Adzasutro, że zbyt wiele sobie wyobrazasz. Ale, nawet jeżeli masz rację, nic już nie możemy z tym zrobić.

Balban nachmurzył się.

- Myślę, że rozkazy Nandy Lala były i tak nieco zbyt gwałtowne i podyktowane emocjami. Narażenie naszej misji na odsłonięcie prawdziwych zamiarów jest ostatnią rzeczą, do której zamierzam dopuścić, cokolwiek by się nie działo.

Zaczął iść korytarzem w głąb willi. Trzymając ciągle rękę na ramieniu zabójcy, popychał go przed sobą.

- Poza tym – dodał – co to za różnica, czy ona wie? To tylko kobieta, Adzasutro, drobna kobieta, nieprawdaż? Owieczka często wie, że zagraża jej niebezpieczeństwo – powiedział radośnie – kiedy wokół krąży stado wilków. Ale jakie to ma znaczenie dla owcy?

Adzasutra strząsnął dłoń szpiega z ramienia. Zatrzymał się nagle, zmuszając Balbana, żeby na niego spojrział.

- Ona nie jest owcą, Balbanie – powiedział stanowczo zabójca. – Dorastała na ulicach Aleksandrii. To najniebezpieczniejszy rejon Imperium Rzymskiego. Jej ojciec był woźnicą, jednym z najtwardszych ludzi, jakich spotkałem w życiu. A jej mąż jest nie tylko wielkim generałem, ale też doświadczonym szermierzem. A te zabijaki, których wy nająłeś, nie są w żadnym razie wilkami. To po prostu banda wyliniałych ulicznych oprychów.
- Wystarczy! – Przerwał mu ostro Balban. – Podjąłem już decyzję.

Odszedł. Adzasutra został sam, stojąc na korytarzu, i patrzył na drzwi. Stał tam w milczeniu, nie ruszając się przez pełną minutę. Potem lekko się uśmiechnął.

- Powodzenia, wilki – wyszeptał cicho. – Będzie wam potrzebne.

\* \* \*

Antonina szła ulicą w kierunku, w którym zwykle chadzała, aż była tak daleko od willi Balbana, że nie można było zobaczyć jej z okna. Przeszła już dwa kwartały i wiedziała, że zasadzkę zastawiono gdzieś niedaleko.

Na następnym rogu skręciła nagle w prawo i zaczęła szybko iść w dół wąskiej, bocznej uliczki. Za sobą słyszała ciche kroki stóp. Kilku mężczyzn, po dźwiękach sadząc, kilka domów za nią, nagle zaczęło biec.



Ona także ruszyła szybciej.

Uliczka była niewiele szersza od zaułka. Nie знаła tej okolicy. Ale zauważyła tę alejkę kilka tygodni temu, kiedy tędy przechodziła, i wiedziała, że stoi tam kilka małych piekarni i ciastkarni, które codziennie zaopatrywały Konstantynopol w świeże pieczywo i pasztety w cieście.

Przebiegła obok trzech takich sklepów. Były zbyt małe. Potrzebowała dużego, z dobrze zaopatrzoną kuchnią.

Przy czwartym sklepie zatrzymała się gwałtownie. Zawahała się. Czowała ciężki, bogaty aromat mięsnego bulionu.

*Może?*

Usłyszała kroki tych, którzy właśnie dotarli do ujścia alejki.

*Musi wystarczyć.*

Wbiegła do sklepu. Pomieszczenie było małe, miało niewiele więcej niż trzy metry kwadratowe, i było prawie zupełnie puste. W kącie stał mały stolik, pełniący funkcję lamy, na której leżało kilka próbek sklepowych wyrobów. Kiedy zobaczyła, że są to różne rodzaje mięsnych pasztetów, Antonina odetchnęła z ulgą.

Podeszła do niej starsza kobieta, najwyraźniej żona właściciela sklepu, i zaczęła oferować swoje wyroby. Antonina nawet nie rozumiała słów.

- Czy gotujesz rosół na mięsie? – zapytała stanowczo. – Do mięsnych zapiekaneł?

Kobieta, zmarszczywszy ze zdumieniem brwi, pokiwała głową. Antonina złapała ją za nadgarstek i pociągnęła w kierunku drzwi po przeciwnej stronie pomieszczenia. Kobieta była mocno zbudowana i wyższa od Antoniny—zaczęła krzyczeć i wyrwać się gwałtownie. Ale zupełnie bezskutecznie. Antonina była bardzo silna, jak na swój wzrost, a poza tym wypełniała ją szalona determinacja.

Otworzyła barkiem drzwi i przepchnęła przez nie kobietę, a potem sama przez nie przeszła. Zanim je zamknęła, zerknęła na wejście do sklepu. Zewnętrzne drzwi ciągle były zamknięte. Pomyślała, że jej prześladowcy nie zauważyli, jak wchodziła do sklepu.

*Dobrze. Będę mieć więcej czasu.*

Odwróciła się i popatrzyła na kobietę, która teraz parskała z wściekłości. Jej mąż stał obok, patrząc ze złością, trzymając w dłoni metalową chochlę, na wpół grożącym gestem.

- Zamknijcie się! – wrzasnęła Antonina. – Na zewnątrz są ludzie, którzy chcą mnie zabić! I was też zabiją.

Usta kobiety zamknęły się z trzaskiem. Sekundę później znowu się otworzyły. Teraz już wrzeszczała.

- Wynocha! Wynocha!

Jej mąż postąpił z wahaniem krok do przodu, podnosząc chochlę.

Obok drzwi pod ścianą kuchni stał duży stół. Antonina rzuciła na niego swoją sakiewkę i wysypała zawartość. Na stole pojawił się stosik złotych monet. Oraz nieduży sztylet.

Właściciel sklepu i jego żona zamarli, jakby zahipnotyzowani blaskiem złota. Potem, widząc sztylet w rękach Antoniny, zeszywnieli.

- Macie bardzo prosty wybór — wysyczała Antonina. – Możecie zabrać pieniądze, nazwijcie

to opłatą za wynajęcie kuchni, albo możecie wybrać ostrze. Prosto w waszych cholernych flakach.

Właściciel piekarni i jego żona wpatrywali się w nią pożądliwie.

Antonina ścisnęła sztylet. Twarz kobiety, kiedy patrzyła na cienki stalowy przedmiot, lekko pobladła.

Twarz właściciela zbladła jeszcze bardziej.

Mężczyzna był gruby i w średnim wieku, ale w latach młodości, musiał widocznie wieść raczej burzliwy żywot – niezbyt się przestraszył ostrego, ale małego nożyka Antoniny. Był profesjonalnym kucharzem. Miał sporo noży, które były równie ostre, ale znacznie większe.

Ale rozpoznał ten chwyt. Ten lekki, łatwy chwyt, jakim Antonina trzymała broń.

- Zamknij się, kobieto! – warknął do swojej żony. – Bierz pieniądze i idź na górę.

Jego żona zmarszczyła brwi. Właściciel sklepu postraszył ją chochlą. Antonina odsunęła się od stołu, żeby kobieta mogła podejść. Żona właściciela przemknęła obok, patrząc na nią ze strachem. Potem, złapawszy monety, praktycznie wypadła przez małe drzwi, umieszczone w odległym kącie kuchni. Chwilę później, Antonina usłyszała jej kroki na schodach, prowadzących do mieszkalnych pokoi piętro wyżej. Jej mąż zaczął wycofywać się w kierunku tych samych drzwi.

- Nie możesz wejść na górę – wymamrotał. – Nie mam zamiaru się w to mieszać. Wszystko teraz stoi na głowie.

Antonina potrząsnęła głową.

- Po prostu zamknij drzwi i zostańcie na górze. Ale, zanim pójdziesz, powiedz mi, gdzie trzymasz mąkę? I noże?

Właściciel pokazał chochlą na kredens.

- Mąka jest tam. Noże też.
- Dobrze. Zostaw mi też chochlę.

Zmarszczył brwi, popatrzył na chochlę i wzruszył ramionami.

- Gdzie mam ją położyć?

Antonina pokazała na wielki kocioł, stojący na piecu. Właściciel szybko wrzucił chochlę do wrzącego bulionu, po czym wybiegł z kuchni.

Antonina podeszła do drzwi, które prowadziły do pomieszczenia przeznaczonego dla klientów, i przycisnęła do nich ucho.

*Nie, Jeszcze nie znaleźli sklepu.*

Podbiegła do kredensu i otworzyła gwałtownie drzwiczki. Wahala się tylko przez moment, wybierając pomiędzy baryłką mąki a kompletem noży, wiszących na tylnej ścianie.

*Najpierw noże.*

Złapała cztery noże, po dwa każdą dłonią, i zaniósła je na stół kuchenny obok pieca. Szybko

zważyła je w rękę. Jeden z nich będzie odpowiedni, zdecydowała. Nóż, wraz z jej własnym sztyletem, położyła na skraju blatu, ostrzami do siebie. Trzy inne noże, znacznie większe, jeden był praktycznie tasakiem, położyła obok, rękojeściami do siebie.

Pobiegła z powrotem do kredensu i chwyciła małą patelnię, leżącą na półce. Podniosła pokrywę baryłki i zanurzyła patelnię w mące. Chwilę później, zostawiając za sobą biały ślad, wsypała mąkę do kotła. Szybko, używając chochli, zmieszała mąkę z płynem.

Aż tańczyła z niecierpliwością, ale nie odważyła się dodać więcej mąki zbyt szybko. Musiała dać rosółowi czas, żeby dobrze się nagrzał.

Kiedy płyn zaczął wrzeć, popędziła z powrotem do kredensu. Więcej mąki. Do kotła. Zamieszać. Czekać. Czekać.

Znów.

Wystarczy, zdecydowała. Rosół był teraz gęstą, mazistą substancją, a w przeciągu minuty znów zaczęło się gotować.

Rozejrzała się wokoło. Na wieszaku nieopodal zobaczyła wiszące grube i mokre szmaty, przez które właściciel sklepu dotykał gorących kotłów i fonii. Zawinia sobie ręce w ten materiał i podniosła gar. Stęknęła z wysiłku – kocioł był bardzo duży, a w dodatku pełny w trzech czwartych.

*Tak. Ledwo, ledwo, ale dam radę.*

Odstawiła kocioł na piec, kładąc obok szmaty. Potem podbiegła do drzwi i zamknęła sztabę. Przez chwilę zastanawiała się, czy nie zabarykadować wejścia, ale zdecydowała, że tego nie zrobi.

*Tak jest lepiej. Nie chcę, żeby się zbytnio przepracowali, wyważając drzwi. Wystarczy taka przeszkoda. Zasuwa w zupełności wystarczy.*

Stół, na który wcześniej wsypała monety, wywlokła na środek pomieszczenia, potem kucnęła i wepchnęła ramię pod blat. Przewróciła stół na bok – był to duży i ciężki drewniany mebel, który upadając narobił sporo hałasu.

Usłyszała z góry krzyk żony właściciela.

- Niech cię!

Dobiegł do niej także, niezbyt wyraźnie, głos dochodzący z ulicy. – Tutaj!

Usłyszała huk, z jakim zostały otwarte zewnętrzne drzwi. Potem kroki wielu mężczyzn zadudniły w pomieszczeniu.

- Tutaj! – usłyszała wyraźniej.

Zobaczyła, że popychane z drugiej strony kuchenne drzwi już się ruszają. Ktoś próbował je otworzyć. Zasuwa zagrzechotała.

- Ona jest tutaj! – ktoś wrzasnął głośno.

Antonina podeszła do paleniska. Owinęła sobie szmaty wokół dłoni i złapała kocioł. Stała nieruchomo, patrząc ponad ramieniem. Obserwowała drzwi.

Głośne uderzenie. Drzwi wyrzuciły się. Zasuwa lekko się wygięła, ale wytrzymała.

- Z drogi! – usłyszała głośny krzyk. Zadudniły kroki.

Bach!

Zasuwa pękła. Otwarte gwałtownie drzwi walnęły o ścianę, Potężny mężczyzna wpadł do środka, za nim wbiegł drugi. Potem do kuchni weszło jeszcze trzech opryszków. Wszyscy ubrani byli jak uliczne złodziejaski i wszyscy mieli w rękach pałki.

Pierwszy mężczyzna, który przed chwilą pełnił funkcję tarana, próbował odzyskać równowagę. Wpadł na postawiony pionowo stół, stojący na środku kuchni i odbił się od niego, upadając na podłogę. Opryszek, biegnący tuż za nim, potknął się o leżącego kolegę i upadł na kolana, przewieszając się przez blat leżącego stołu.

Trzej biegnący za nim utworzyli na podłodze malowniczą kompozycję.

Na podłodze leżało pięciu mężczyzn, zupełnie unieruchomionych.

Antonina podniosła kocioł, odwróciła się i wylała jego zawartość na kłębiących się oprychów.

Kilka litrów wrzącego bulionu, zagęszczonego mąką, dokładnie oblało niedoszłych morderców.

Wrzaski agonii wypełniły pokój. Pięciu mężczyzn, na wpół oszalałych z powodu bólu i strachu, zaczęło gwałtownie drzeć na sobie ubranie i trzeć skórę, żeby zdjąć z siebie parzącą substancję.

Ale nie byli w stanie. Mąka sprawiła, że gorący bulion przywarł mocno do skóry.

Antonina zignorowała ich – w pokoju od frontu zebrało się już więcej napastników. Dwóch mężczyzn stało w drzwiach do kuchni, gapiąc się na swoich towarzyszy.

Antonina wykonała lekki obrót, chwytając swój sztylet za ostrze. Ten, jak wiedziała, był doskonale wyważony.

*Ojcze, potrzebują cię teraz!*

Jej ojciec, woźnica, nie był wiele wart, ale nauczył swoją córkę, jak się rzuca nożem.

Nauczył ją bardzo dobrze.

Mały sztylet przeleciał przez kuchnię i aż po rękojeść zagłębił się w gardle mężczyzny, stojącego po prawej stronie drzwi.

Oczy wyszły mu na wierzch. Zadławił się krwią. Złapał za rękojeść. Próbował wyjąć ostrze, ale nie mógł. Upadł na kolana już martwy.

Kiedy mężczyzna stojący obok niego zauważył, co się dzieje, było już za późno. Kolejny nóż leciał przez pokój.

Jednakże nie leciał w kierunku jego gardła. Ten nóż, nie tak delikatny jak jej własny sztylet, Antonina posłała w kierunku pewniejszego celu. Ciężki rzeźnicki nóż wbił się na dziesięć centymetrów w klatkę piersiową opryszka, prosto w jego serce.

Antonina wzięła do ręki tasak. Dwa ciała w drzwiach zatrzymają kolejnych prześladowców przez co najmniej kilka sekund Wystarczy jej czasu.

Skoczyła naprzód, do krawędzi przewróconego stołu, i zaczęła zabijać rzezimieszków, stłoczonych na podłodze.

Dosłownie. Uderzała nożem, krótkimi, mocnymi ciosami doświadczonego rzeźnika, który dzieli mięso. W jej ruchach nie było ani odrobiny gwałtowności, żadnych szerokich gestów; ani dramatycznych pociągnięć.

Tylko proste, mocne uderzenia. Ciężkim, ostrym jak brzytwa ostrzeni tasaka.

Cięła szybko i sprawnie.

Odpadł nos. Odrąbane palce od dłoni, zakrywającej twarz. Kolejny nos i większość górnej wargi. Ucho i połowa policzka.

Uderzała w przód i w tył. Ciach. Więcej palców, i kciuk, upadły na podłogę. Ucięta w nadgarstku ręka. Pokryta krwią twarz zasłania się kością.

Szybkie uderzenia. Mężczyźni, stłoczeni za stołem, tworzyli bezbronny kłęb wrzeszczących ciał. A nawet nie to. Byli jak stado owiec, na wpół sparaliżowanych przez oparzenia trzeciego stopnia i

okaleczenia.

Ciach. Ciach. Ciach.

Teraz uderzenia stały się bardziej zabójcze. Ręce z odciętymi dłońmi i amputowane palce nie mogły już dłużej chronić gardeł. Antonina celowała w arterie szyjne i zabiła dwóch z trzech oprychów. Trzeci także niebawem miał umrzeć, trochę wolniej, gdyż udało jej się przeciąć tylko mniejsze naczynia.

Prawie natychmiast jej ubranie przesiąkło krwią. Zanurzyła się w bijące strumienie posoki, jak dziecko, które kąpie się w fontannie, i uderzyła dwóch pozostałych mężczyzn, kryjących się za stołem. Obaj, ogłupiali ze strachu i bólu, próbowali odczołgać się na bok i ujsć przed koszmarem.

Jeden z nich umknął praktycznie nietknięty, zraniony tylko w ramię. Drugi zemdlał i umarł. Antonina cięła go prosto w podstawę czaszki, przecinając rdzeń kręgowy.

Jedyny żywy opryszek, krzycząc ze strachu i z bólu, czołgał się na kolanach i rękach w kierunku drzwi. A raczej na jednej ręce. Lewa pozbawiona była palców. Zgranie czasowe, z punktu widzenia Antoniny, było doskonałe. Pozostali zabójcy we frontowym pokoju, wreszcie zdołali odciągnąć na bok ciała, zagradzające im drogę. Dwóch wepchnęło się do kuchni, tylko po to, żeby potknąć się o kompana, czołgającego się w ich kierunku.

Jeden z mężczyzn utrzymał równowagę, przytrzymując się framugi. Drugi potknął się i rozciągnął się na kupie ciał, spoczywających na środku kuchni. Wyciągnął ręce naprzód, żeby się czegoś złapać, i udało mu się chwycić kant stołu.

Przez krótką chwilę oprych gapił się na Antoninę.

Jej twarz była ostatnim obrazem, który widział w swoim życiu. Innym niż wielkie ostrze, które uderzyło w jego twarz i pozbawiło ją skóry. Tasak wbił się w jego czoło i zagłębiał się coraz bardziej, popychany przez wściekłość Antoniny. Ostrze odcięło brwi, rozwalilo oczy, pozbawiło go nosa, obu warg, policzka i kości policzkowej.

Potem Antonina zrobiła swój pierwszy błąd. W tym momencie, trzydzieści sekund po rozpoczęciu bitwy, była prawie zaślepiona przez wściekłość. Kopnęła nogą, odpychając na bok pokiereszowaną głowę, wyszarpnęła tasak i uderzyła ponownie, niemalże rozcinając oprycha na pół. Uderzenie było tak silne, że ostrze zaklinowało się w kościach czaszki.

Szarpnęła wściekle za rękojeść tasaka, a potem jeszcze kilka razy.

Nic z tego. Zaklinował się.

Spojrzała do góry. Oprych, opierający się o drzwi, napotkał jej spojrzenie. Na chwilę oczy mężczyzny rozszerzyły się ze zdumienia i zaskoczenia. Szczeka opadła mu na pierś.

Potem, widząc kłopotliwe położenie, w jakim się znalazła, wrzasnął zwycięsko i skoczył ku Antoninie. Okrążył górę ciał i leżący stół, biegnąc na tył pomieszczenia kuchennego.

- Chodźcie, chłopaki! – zawołał. – Złapałem tę sukę! ~ Zamachał z triumfem pałką.

Antonina oparła się plecami o piec i chwyciła dwa pozostałe noże. Jeden ujęła za końcówkę ostrza i machnęła ręką, jakby chciała rzucić. Mężczyzna, trzymający pałkę, cofnął się przestraszony, wzdrygając się.

Antonina tylko udawała. Odwróciła się lekko i rzuciła nożem w następnego mężczyznę, który właśnie wchodził do kuchni.

Ten nóż miał jednakże zbyt ciężkie ostrze na dobry rzut. Oprych zawył z bólu, kiedy rękojeść noża uderzyła go mocno w pierś, i zniknął z widoku. Ale Antonina wiedziała, że nie pozbyła się go na dobre.

W desperacji zwróciła się przeciwko swemu najbliższemu prześladowcy.

*Nie myślałam, że będzie ich tak wielu.*

Odepchnęła od siebie rozpacz. Nie miała nadziei, że przeżyje, ale nie zamierzała tanio sprzedawać swojego życia.

Z frontowego pokoju dobiegł do uszu Antoniny nagły wrzask i hałas. Okrzyki triumfu, tak jej się wydawało, ale je zignorowała. Jej uwaga była skoncentrowana na zabójcy w kuchni.

Oprych tańczył przed nią na palcach, warcząc i wymachując pałką. Antonina, obserwując tę brawurę na pokaz, zdała sobie sprawę, że rzezimieszek w rzeczywistości się boi. W końcu zarżnęła całkiem sporo jego kompanów. I, podobnie jak właściciel sklepu, uliczny opryszek rozpoznał doświadczony chwyt, jakim trzymała swój nóż.

Przechylił głowę, nie odrywając od niej wzroku.

- No chodźcie! – zawołał. – Niech was... Złapałem ją!

Antonina postąpiła krok naprzód. Jej nóż chwiał się, krążył, kołysał. Mężczyzna wycofał się pod ścianę, wściekle wymachując pałką. Antonina nie podchodziła bliżej, szukając dziur w jego zasłonie.

- Na co do diabła czekacie, wy wolowe dupy? – zawołał znowu oprych.

Od drzwi odpowiedział mu chłodny głos.

- Czekają na spotkanie z szatanem.

Antonina zatchnęła się. Jej spojrzenie popędziło do drzwi. Cofnęła się szybko pod przeciwległą ścianę, prawie mdlejąc z ulgi.

Spojrzenie zabójcy podążyło za jej wzrokiem. Sekundę później jego twarz powlekła się śmiertelną bladością.

Maurycy wmaszerował do kuchni. Jego hełm pokrywała krew. Kawałek mózgu ześlizgnął się po jego pancerzu. Ze spathy, którą trzymał w prawej ręce, kapłała krew. Na twarzy miał smugi krwi. Z jego szarej brody spływały strumyczki krwi.

Wygląda! raczej jak maszyna do zabijania, niż jak zwykły człowiek. Jak istota zrobiona ze stali, a nie z ciała. Jego oczy także były stalowo-szare – na pokrytej krwią twarzy wyglądały jak dwa nity.

Maurycy okrążył górę ciał i przewrócony stół. Szedł powoli, prawie swobodnie, jakby był na spacerze w ogrodzie.

Sycząc z przerażenia, zbier wycofał się w daleki narożnik kuchni i oparł się o drzwi, które prowadziły do pomieszczeń na górze. Szarpnął za klamkę i przekonał się, że są zamknięte. Zaczął szarpać je z furją.

Nic to nie dało. Właściciel sklepu zabarykadował drzwi od wewnątrz.

Mężczyzna krzyknął ze strachu i gniewu. Maurycy zupełnie to zignorował. Szedł w jego kierunku, aż znalazł się na wyciągnięcie miecza od opryszka. Mężczyzna wściekle wymachiwał pałką. Uderzenia były krótkie. Maurycy nawet nie zadał sobie trudu, żeby przykucnąć.

Setnik lekko odwrócił głowę. Tylko tyle, żeby zapytać Antoninę.

- Czy jest coś, czego chciałabyś się dowiedzieć od tej kupy gówna?

Antonina potrząsnęła głową. Potem zdała sobie sprawę, że Maurycy nie może tego zobaczyć.

- Nie – powiedziała. – On i tak nic nie wie.
- Tak myślałem – mruknął Maurycy.

Opryszek znów machnął pałką, Tym razem Maurycy odbił cios szybkim ruchem swojej spathy. Pałka rozpadła się na dwie części. Siła uderzenia wytrąciła kikut z ręki mężczyzny.

Zachłysnął się. Znowu westchnął, patrząc na swą rękę, odciętą następnym uderzeniem spathy. Maurycy wymierzył kolejny cios w skroń zabójcy. W ostatnim, desperackim akcie, mężczyzna wyrzucił do góry lewe ramię, próbując zablokować cios.

Spatha ucięła jego ramię, zanim zdołał zasłonić głowę. Opryszek upadł na kolana, niczym podcięte siekierą drzewo.

Maurycy sapnął, obrócił ostrze ruchem potężnego nadgarstka i pchnął. Ciało mężczyzny osunęło się na podłogę.

- Czy to był już ostatni? – wyszeptała Antonina. Chichot katafrakta był zupełnie pozbawiony humoru.
- Bądź poważna, dziewczyno.

Maurycy obrzucił kuchnię uważnym spojrzeniem. Na początku jego oczy patrzyły ponuro i zimno. Ale, kiedy spojrzał na Antoninę, w spojrzeniu jego szarych oczu tliła się iskierka humoru.

- Chciałbym kiedyś spotkać się z twoim tatuśkiem – powiedział. – Musiał być z niego niezły gość.

Antonina roześmiała się histerycznie.

- Był zupełnie pomyłony, Maurycy! Bezwartościowy włóczęga! A potem, wybuchając płaczem, osunęła się po ścianie, siadając z podwiniętymi nogami na zakrwawionej podłodze. Wciąż ściskając rękojeść noża, przycisnęła do ust wierzch dłoni, przez co na jej twarzy rozmazało się jeszcze więcej krwi. Płakała, głośno łapiąc powietrze.
- Dziękuję ci, ojcie – wyszeptała. – Och, dziękuję ci.

## Rozdział 24

- Przestań tak latać wokół mnie, Ireno! – warknęła Antonina. – Mówią ci przecież, że wszystko ze mną w porządku.

Kobieta-szpieg potrząsnęła głową. Twarz Ireny była blada i ściągnięta. Kobieta tkwiła w kwaterach Teodory całymi dniami, dlatego dowiedziała się o próbie zamachu dopiero następnego dnia rano. Natychmiast przybyła do willi Antoniny, usytuowanej na przedmieściach.

Antonina podeszła do szafy i zaczęła wyciągać świeże ubrania. Suknie, które miała na sobie, kiedy Maurycy odprowadził ją do willi zeszłego wieczora, zostały już zniszczone. Były bardzo drogie, ale po prostu nie dało się ich wyczyścić, tak bardzo poplamiały je krew.

- Załóż coś ciepłego – powiedziała Irena. – Na dworze jest zimno. Nie powinnam się nigdy na to zgodzić — dodała ponuro – żebyś szła tam sama.

Antonina wsparła ręce na biodrach i popatrzyła wściekle na przyjaciółkę.

- Przynajmniej ta decyzja nie należała do ciebie – wytknęła. – Ja tak postanowiłam. Zresztą zawsze chodziłam na te spotkania sama. Balban na to nalegał.

Irena potarła twarz trzęsącą się dłonią.

- Wiem. Ciągle jednak... Boże, prawie cię zamordowali. Antonina wzruszyła ramionami. Potem wciągnęła na siebie tunikę.
- Ale nie zamordowali – do Ireny dotarł jej stłumiony głos, wydobywający się z wnętrza prostej, codziennej sukni. – I nie chcę o tym więcej słyszeć. Więc przestań się miotać. Poza tym – jej twarz wyskoczyła nagle z wycięcia szyi, uśmiechając się szeroko – to najlepsze, o ile można tak powiedzieć, co mi się przydarzyło przez ostatnie kilka miesięcy. Czy zdajesz sobie sprawę, co oznacza ten nieudany zamach na moje życie?



Irena zmarszczyła brwi. Antonina zaśmiała się.

- Przecież jesteś szpiegiem, Ireno! Więc zacznij wreszcie szpiegować, zamiast miotać się wokół mnie jak kwoka, która martwi się o pisklęta.

Irena ciągle marszczyła brwi.

- Myśl, kobieto! Dlaczego Malawianie postanowili mnie zabić. Dla czego akurat teraz?

Irena otworzyła szerzej oczy. Przycisnęła dłoń do ust.

- Belizariusz!

Antonina wyszczerzyła zęby.

- Dokładnie. Balban musiał dostać z Indii nowe rozkazy. Co oznacza, że mój drogi mąż musiał zrobić coś, co strasznie wkurzyło Malawian. A ponadto, zamach oznacza, że Belizariusz musiał także im uciec.
- Oczywiście – wysyczała Irena.

Kobieta zaczęła powoli przechadzać się po pokoju.

- Gdyby położyli na nim łapy, mieliby nad tobą jeszcze większą kontrolę, niż im się wydawało do tej pory. Nie mieliby powodu, żeby cię zabijać. Wręcz przeciwnie.

Antonina skończyła się ubierać i właśnie kończyła sznurować buty. Kiwnęła głową.

- Właśnie tak. Co oznacza, że Belizariusz, prędzej czy później, przy będzie do Konstantynopola,
- Jak myślisz, kiedy? Antonina wzruszyła ramionami.
- Nie ma żadnego sposobu, żeby się dowiedzieć. Nie mam pojęcia, którą drogą będzie uciekał z Indii. Najprawdopodobniej popłynie statkiem do Aksum. Jeżeli tak robi, Aszot i jego ludzie będą tam na nie go czekać.

Podeszła do drzwi.

- Instrukcje dla Aszota były bardzo wyraźne – dodała. – Mają płynąć na pomoc wzdłuż wybrzeży Morza Czerwonego, potem przedostać się nad Nil i popłynąć statkiem do Aleksandrii. Tam będzie czekał na nich statek, który zabierze ich wprost do Konstantynopola.

Antonina wyszła na korytarz i popędziła do wyjścia z willi.

- Mogą tu być prawie w każdej chwili. Albo... dopiero za kilka ty godni.

Idąca za nią Irena skrzywiła się.

- Chciałabym, żebyśmy wiedzieli. To by znacznie...

Antonina gestem odepchnęła myśl na bok.

- Nawet o tym nie myśl, Ireno! Nie możemy robić żadnych planów, bazując na powrocie mojego męża. Musimy radzić sobie same. Jeżeli już o tym mowa... czy przywieziono już wszystkie granaty?

Dotarli do holu. Stał tam Maurycy, czekając aż będą gotowe. Podobnie jak Antonina, zmienił ubranie. Ale hełm i lekka zbroja były te same, jak poprzedniego wieczora. Po prostu umył. Tamta kuchnia nie była jego pierwszą rzeźnią. Nowe ślady zagubiły się pośród innych wyschniętych plam krwi.

Maurycy odpowiedział na jej pytanie.

- Tak. I przenieśliśmy już wszystkie granaty do monastynu.
- Więc chodźmy – powiedziała Antonina.

Maurycy otworzył przed kobietami drzwi. Antonina wyszła na dziedziniec, drżąc w chłodnym powietrzu grudniowego poranka. Zatrzymała się na widok siedzących na koniach katafraktów, czekających na dziedzińcu i ulicy. Szybko policzyła żołnierzy. Obróciła się wokół własnej osi.

- A gdzie są pozostali, Maurycy? – zapytała stanowczym głosem. – Tutaj widzę nie więcej niż stu.

Maurycy zacisnął szczęki.

- Reszta jest zajęta, w tej chwili. Ale niebawem do nas dołączą. Spotkamy się z nimi w monastyrze, kiedy już zrobią, co mają zrobić.

Antonina popatrzyła na niego podejrzliwie.

- Zajęci? Kiedy zrobią? Co zrobią?

Twarz setnika przypominała kamień.

- A co myślisz, że zrobią, dziewczyno?
- Och, nie – wyszeptała Antonina.
- Maurycy, nie możesz – wysyczała Irena. – To zaalarmuje Malawian! Dowiedzą się, że...
- Nic mnie nie obchodzi, czego się ci cholerni Malawianie dowiedzą – sarknął Maurycy. Spiorunował wzrokiem obie kobiety. – Ja nie jestem szpiegiem – zgrzytnął. – Ani intrygantem. Jestem dowódcą generalskiej ochrony osobistej, a ci tam – pokazał na siedzących na koniach Traków – są katafraktami mojego pana.

Podszedł do swojego wierzchowca i złapał go za wodze.

- Jeżeli jakaś śmierdząca świnia odważyła się pomyśleć chociaż o twoim zabójstwie, a nie przemyślała do końca konsekwencji swego czynu, to przykro mi. Smutna pomyłka.

Wskoczył na siodło i popatrzył w dół na Antoninę i Irenę. Wyglądał jak posąg. Nie do ruszenia.

Antonina wydeła wargi. Potem, wzdychając, podeszła do swojego konia.

Mniej niż minutę później kobiety wyjechały przez bramę willi. Kiedy były na ulicy, natychmiast otoczyła je setka katafraktów. Mała armia zaczęła poruszać się w kierunku środka miasta.

- No i dobrze – wymamrotała Irena po chwili. – Balban i tak pewnie już nie myśli, że ciągle dla niego pracujesz.

Antonina zachichotała.

- Czy myślisz<sup>^</sup> że zaczniesz coś podejrzewać? Kiedy dwie setki katafraktów podepczą mu ogródek?

\* \* \*

Balban nalał herbaty do filiżanki Narsesa. Eunuch natychmiast z zadowoleniem pociągnął duży łyk.

- Dziękuję ci – mruknął. – To najlepsza rzecz na zimne poranki.
- Czy pogoda jest ładna? – zapytał Balban. Narses kiwnął głową.
- O tak – uśmiechnął się wąskimi wargami. – Poza tym zimmem, dzień wspaniale nadaje się na powstanie. Na niebie nie ma nawet jednej chmurki.
- Dobrze – wymamrotał Balban. – Ostatnia rzecz, jakiej potrzebujemy, to brzydka pogoda. A jak wygląda sytuacja w Wielkim Pałacu?
- Wspaniale, powiedziałbym. Im bardziej Justynian czuje się zagrożony, tym bardziej Ignie do mnie i Jana z Kapadocji,

Narses odstawił filiżankę.

- Dlatego właśnie tutaj jestem. Justynian rozkazał mi opuścić Wielki Pałac i zebrać jeszcze więcej oddziałów. Więc, jako że miałem okazję, postanowiłem udać się do ciebie na małą konferencję w ostatniej chwili. – Zaśmiał się szorstko. – Oddziały. Justynian na dal nie zdaje sobie sprawy, że nie ma już żadnych oddziałów, z wyjątkiem straży pałacowej. Wszystkie inne formacje wojskowe pozamykały się w koszarach, przeczekując burzę. Nie będziemy nawet potrzebować Egidiusa i jego Armii Bitynii. Niebiescy i Zieloni po winni w zupełności wystarczyć.

Balban przytaknął.

- Więc nie bardzo mamy o czym konferować. Frakcje powinny zacząć zbierać się około południa. Moi kszatryjasi opanują Hipodrom za godzinę. My musimy tylko się tam pokazać i – jęknął – mam nadzieję przybędzie tam także Hypacjusz, żebyśmy mogli obwołać go nowym imperatorem.

Narses prychnął.

- Na pewno się pokaże. A jeżeli nie on, to Pompejusz. Oczywiście musimy ubrać imperatora w nowe gacie. Jestem pewien, że obaj siostrzeńcy zdążyli już nasrać w te, które mają na sobie.

Ale na pewno przyjdą. Ich ambicje są większe niż ich przerażenie.

Balban zachichotał.

- A co z Teodora? – zapytał nieco poważniej. Narses zamrugał powiekami.
- To nasz mały problem. Ona wie prawie o wszystkim, Balbanie... jestem najzupełniej pewny. Jej nowy szpieg... ta młoda kobieta, Irena Macrembolitissa, jest śmiertelnie niebezpieczna. Ale – wzruszył ramionami – Justynian już jej nie słucha. A teraz i tak jest już za późno.
- Ciągle jednak... – mruknął Balban. Zawahał się, a potem także wzruszył ramionami.
- Nie wątpię, że masz rację. Zresztą i tak to nie będzie mieć żadne go znaczenia, zanim zapadnie zmrok. Jej ciało dołączy do ciała Justyniana, stając się pokarmem dla ryb w Morzu Marmara.

Narses zacisnął usta, walcząc ze smutkiem. Gwałtownie starał się przypomnieć sobie swoje ambicje. Żeby ukryć miotające nim uczucia, pochylił się do przodu i złapał filiżankę, stojącą na stole. Jego dłoń zatrzymała się. Filiżanka zadrżała lekko. Do małego salonu wpadł Adzasutra.

- Wyjdźcie stąd! – wysyczał. – Natychmiast!

Zabójca podbiegł do drzwi po przeciwnej stronie pokoju. Otworzył je gwałtownie i zaczął odciągać na bok ciężką, masywną komodę, która stała na podłodze garderoby tuż za drzwiami.

Balban wstał, gniewnie marszcząc brwi.

- Co ty sobie u licha...

Adzasutra, ciągle zgięty nad ciężką komodą, odwrócił głowę. Jego oczy przypominały płonące węgle.

- Jeżeli masz zamiar żyć nieco dłużej niż dwie minuty, Balbanie, lepiej mi pomóż odsunąć tę przeklętą komodę znad zapadni.

Balban nie ruszył się z miejsca. Stał sztywno i marszczył brwi. Narses natychmiast wstał z krzesła i ruszył Adzasutrze na pomoc. Mimo zaawansowanego wieku i mikrego wzrostu, eunuch nie był słaby. Z jego pomocą, Adzasutra wysunął komodę z garderoby.

- Pod ścianę – warknął zabójca.

Chwilę później, komoda stanęła w odpowiednim miejscu. Adzasutra wskoczył szybko do garderoby i odsunął na bok kosztowny dywan. Potem, szarpiąc się przez chwilę z fragmentem posadzki, zupełnie nie różniącym się od reszty, podniósł klapę zapadni.

- Do środka – rozkazał Narsesowi.

Stary eunuch nie wahał się ani chwili. Zaczął schodzić po drabinie w głąb korytarza.

Kiedy był w połowie wysokości, drabina zaczęła dygotać. Narses zatrzymał się, do pasa schowany w zapadni, i popatrzył do góry na Balbana. Szpieg stał teraz w drzwiach do garderoby.

Ciągle marszczył brwi, ale teraz raczej ze zdumienia, nie ze złości. Balban spojrzął na swoje stopy.

- Dlaczego podłoga się trzęsie? – zapytał.

Narses zerknął szybko na Adzasutrę. Twarz zabójcy była sztywna od powstrzymanego gniewu,

- Matko Boska – mruknął Narses. – Coś ty zrobił, ty cholerny idioto? – wrzasnął do Balbana.

Balban popatrzył na niego wściekle.

- To nie twoja sprawa, Narsesie! – odszczeknął. – Dlaczego podłoga się trzęsie? – zapytał ponownie, marszcząc się do swoich stóp.

Narses prychnął.

- Zakładam, że nigdy nie byłeś świadkiem szarzy katafraktów w pełnych zbrojach? — zapytał stanowczo. – To właśnie czujesz, głupcze! Kilka setek ton nadciągającej śmierci i zniszczenia.

Balban wytrzeszczył oczy.

- O czym ty mówisz? Przecież jesteśmy w samym środku Konstantynopola!

Narses westchnął, popatrzył na Adzasutrę.

- On rozkazał zabić Antoninę – syknął zabójca przez zaciśnięte wargi,
- Przepięknie – mruknął Narses. – Wprost cudownie.

Eunuch zaczął znów schodzić w dół po drabinie. Bardzo szybko.

- Teraz, Balbanie, nie jesteś w Konstantynopolu – dobiegł ich głos z dołu. – Teraz jesteś w Tracji.

Z dziedzińca willi dobiegł ich głośny trzask. Po sekundzie Balban zdał sobie sprawę, że uderzono właśnie w główną bramę. Zatrzęsa się.

Rozpadła się na drobne kawałki.

Krzyk. Krótco ucięty. Kolejny. I kolejny. Jeszcze inny. Wszystkie wrzaski szybko milkły, ale Balban rozpoznawał głosy. To jego malawiańscy strażnicy. Właśnie ich zabijano.

Właśnie ich zabito.

Adzasutra skoczył do drzwi saloniku i wyjrzał na korytarz, prowadzący do głównego wejścia do willi. Chwilą później dobiegi do nich głośny trzask.

Zabójca wskoczył z powrotem do pokoju i z hukiem zatrzaskał drzwi.

- To – oznajmił – była kopia, wybijająca dziury w głównych drzwiach.

Balban nie wahał się już dłużej. Zszedł na dół po drabinie za Narsesem. Zanim jego głowa znalazła się tuż pod poziomem podłogi, usłyszał całą serię głośnych uderzeń. Drzwi i okna zamieniły

się w kupę gruzów. Kiedy dotarł do małego tunelu pięć metrów niżej, mógł usłyszeć wrzaski, rozbrzmiewające w całej willi. To właśnie reszta malawiańskich rezydentów w Konstantynopolu żegnała się z życiem.

Adzasutra, zanim wszedł na drabinę, zmarnował trochę czasu, zatraskując drzwi do garderoby. W ciemnościach postarał się, najlepiej jak mógł, położyć dywan z powrotem na zapadni, zanim ją za sobą zamknął.

Kiedy dotarł do tunelu, zobaczył, że dwaj mężczyźni na niego czekają. Balban zapalił małą oliwną lampkę, która stała w kącie.

- Nie znam drogi – wyszeptał szpieg. – Nigdy tutaj nie byłem.

Adzasutra wziął lampą z jego rąk.

- Chodźcie za mną – rozkazał. – I patrzcie pod nogi. Nie zawracaliśmy sobie głowy wyrównywaniem podłogi w tunelu. Nigdy tak na prawdę nie sądziłem, że będziemy go używać.
- Jak daleko jeszcze, Adzasutfo? – zapytał Narses, kiedy uszli już jakieś trzydzieści metrów wąskim tunelem. – Moje buty nie nadają się na tego typu wycieczki. I, niech to diabli, są z jedwabiu! Bardzo drogie.

Adzasutra zachichotał ponuro.

- Zapomnij o swoich butach, Narsesie. Mamy jeszcze co najmniej sześćdziesiąt metrów, zanim dojdziemy do kanału ściekowego.
- Wspaniale – mruknął Narses. – Wprost cudownie.
- Czy masz jeszcze jakieś wspaniałe pomysły na dzisiaj, Balbanie? – sarknął dwadzieścia metrów później. – Może wskoczysz do Bosforu, żeby się przekonać, czy jest mokry? A może połkniesz płonący węgiel, żeby sprawdzić, czy poparzy ci gardło. A może...?
- Zamknij się – warknął szpieg. – Dostałem rozkazy... od samego Nandy Lala.

Po takiej odpowiedzi Narses zamilkł i długo się nie odzywał. Po krótkim czasie dotarli do kanału i zaczęli brnąć przez cuchnącą ciecz przez co najmniej sześćdziesiąt metrów. Wtedy okazało się, że Narses coraz bardziej zostaje w tyle. W końcu Adzasutra dał latarnię Balbanowi i zawrócił, by pomóc staremu eunuchowi.

- Wszystko w porządku? – zapytał go.
- Myślę, że mógłbym oprzeć się na twoim ramieniu – warknął Narses. – Ten ściek jest za niski, żeby się wyprostować. Bola mnie plecy;

Adzasutra wsunął prawe ramię pod lewy bark Narsesa i pomógł mu iść. Eunuch odwrócił głowę i przysunął usta na kilka centymetrów do ucha Adzasutry.

- Zdajesz sobie sprawę – wyszeptał – co oznaczają te rozkazy od Nandy Lala, prawda?

Adzasutra niemalże niezauważalnie skinął głową.

- Tak – odparł, także szeptem.

Spojrzał przed siebie. Niewyraźna sylwetka Balbana majaczyła trzy metry przed nimi, oświetlona przez lampę, którą szpieg trzymał w dłoni.

- To znaczy, że nie myliłeś się co do Belizariusza – powiedział cicho zabójca. – Musiał uciec z Indii.

Posunęli się kolejne dwadzieścia metrów. Teraz ich ubrania nasiąknięte były prawie do połowy uda cuchnącą wodą. Narses znowu nachylił się do ucha Adzasutry.

- Będzie na ciebie czekać łódź. W porcie Neorion, w zatoce Złoty Róg. Czy wiesz, gdzie to jest?
- Tak – szepnął Adzasutra. – Ale dlaczego ja?
- Ty jesteś najlepszy z tej bandy niezdar. Jeśli się okaże, że muszę uciekać do Indii, będę potrzebował kogoś, kto za mnie poręczy.

Adzasutra uśmiechnął się lekko.

- Wydajesz się niezbyt pewny powodzenia naszych planów.

Narses prychnął.

- Nic na tym świecie nie jest pewne, Adzasutro. Z wyjątkiem jednego. Lepiej już wypuścić demony z otchłani niż dać umknąć Belizariuszowi. A już szczególnie po zamordowaniu jego żony.
- Przecież nie została zamordowana – wymamrotał Adzasutra.

Widząc zmarszczone brwi eunucha, zabójca zachichotał.

- Szedłem za nią. Oczywiście w pewnej odległości, I trzymałem się z daleka od tej jatki. Całkiem zresztą udanej, sądząc po odgłosach, jakie dobiegały ze sklepu, nawet przed przybyciem katafrakta, Czekałem, aż wyprowadził Antoninę na zewnątrz. Kobieta była cała pokryta krwią, ale ani kropla nie wypłynęła z niej samej.

Narses westchnął.

- Cóż, to już coś. Belizariusz będzie tylko sobą, czyli doskonale wykształconą i błyskotliwie inteligentną maszyną do zabijania. Zamiast uosobionej wściekłej zemsty.

Brnęli przez cuchnącą maź bez odpoczynku. W końcu zobaczyli, jak Balban wreszcie staje prosto. Dotarli do wyjścia z kanału.

- Chodźcie! – usłyszeli syczący głos szpiega. – Mamy mało czasu!

Zanim znaleźli się tak blisko Balbana, że ten mógłby ich usłyszeć, Adzasutra zwrócił się do Narsesa po raz ostatni.

- Jak wygląda ta łódź? – wyszeptał.

- Jakby chciała opuścić Konstantynopol w wielkim pośpiechu – nadeszła jedyna odpowiedź eunucha.

\* \* \*

Maurycy czekał, aż katafrakci okrążą monaster, i dopiero potem pozwolił Irenie i Antoninie zsiąść z koni. Tracący kawalerzyści byli w złych humorach. Mały tłumek ciekawskich gapiów, który zaczął się zbierać przed sąsiadującymi rezydencjami, szybko się odsunął pod ich ciężkimi spojrzeniami.

- Przepięknie – mruknęła Antonina. – Wprost doskonale.

Patrzyła wściekle na Maurycego. Setnik odpowiedział jej spokojnym spojrzeniem.

- To tyle, jeżeli chodzi o utrzymanie w tajemnicy Kohorty Teodoryjskiej – warknęła.

Maurycy wzruszył ramionami. Pokazał na południowy zachód.

- Popatrz tam. Czas sekretów już się skończył.

Antonina i Irena obróciły się w siodłach. Nie byli daleko od Kolumny Marcjana. Monaster, gdzie się znajdowali, oraz stojąca obok katedra, leżały wewnątrz starych murów stolicy, nazywanych Murami Konstantyna. Serce Konstantynopola, gdzie znajdował się Hipodrom i Wielki Pałac było od nich oddalone nie więcej niż trzy kilometry.

W pobliżu Hipodromu widać było smużki dymu, unoszące się nad ogniskami rozpalonymi dla dodania sobie odwagi przez Niebieskich i Zielonych. Nawet z tak dużej odległości słyszeli hałas, czyniony przez tłum.

- Jaka jest sytuacja w Wielkim Pałacu? – Antonina zapytała Irenę.
- Napięta. Bardzo napięta. Justynian wczoraj po południu zwołał posiedzenie wysokiej rady. Jednakże ciągle słucha Jana z Kapadocji, który zapewnia go, że większość oddziałów pozostaje lojalna w stosunku do tronu. Więc imperator żyje sobie jako nieświadomy głupek. Nie zdaje sobie sprawy, że jedyne siły militarne, jakie ma do dyspozycji, to jego pałacowa straż, a jest ich tylko pięć setek! I jeszcze wojsko, które my prowadzimy.

Irena odwróciła głowę, patrząc na południe.

- Sitas i Hermogenes powinni być na swoich pozycjach w Porcie Hormisdasa. Lepiej do nich dołączę i powiem im, gdzie ustawią się twoje oddziały.

Antonina kiwnęła głową. Maurycy rozkazał oddziałkowi katafraktów jechać jako eskorta szpiega. Jakieś zamieszanie przyciągnęło wzrok Antoniny.

Tłum grenadierów i ich żon wylewał się z drzwi monasteru, biegnąc ku niej. Wszyscy patrzyli na nią, a na twarzach malowało się zaniepokojenie.

- Powiedziałeś im – wytknęła oskarżycielsko Maurycemu.

Maurycy zachichotał.



- Powiedziałem im? Wysłałem dzisiaj rano katafraktów, żeby dokładnie ich tej opowieści nauczyli. Każdego makabrycznego, chwalebneho i ściskającego za serce momentu!

Antonina westchnęła ze złością. Maurycy podjechał do niej koniem. Pochylił się w jej kierunku, a z jego twarzy zniknął cały humor.

- Posłuchaj mnie, dziewczyno – wyszeptał szorstko. – Uważnie mnie posłuchaj. Teraz jest wojna, a ty tutaj dowodzisz. Jesteś pierwszym żeńskim dowódcą w całej rzymskiej historii, poza postaciami z legend. Potrzebujesz zaufania swoich żołnierzy. Pełnego zaufania. A oni potrzebują go, nawet więcej z twojej strony.

Antonina popatrzyła w jego szare oczy. Nigdy wcześniej nie zauważyła jak one potrafią być zimne.

- Czy myślisz, że zmarnowałam tak doskonałą okazję? – zapytał stanowczo. – Boże, teraz kiedy już po wszystkim, mam prawie ochotę podziękować Balbanowi. – Zaśmiał się szorstko. – Dał nam tak doskonały prezent!

Odchylił się w siodle do tyłu.

- Antonino, moi najtwardsi katafrakci są pełni podziwu. Może jeden na dziesięciu zdołałby wyjść cało z takiej zasadzki, bez zbroi, bez broni, tylko z małym sztyletem. Zresztą doskonale zdają sobie z tego sprawę. Myślisz, że co ci syryjscy wieśniacy czują? Teraz, kiedy myślą o swojej małej kobiecie dowódcy?

To, co czują wieśniacy, widać było na pierwszy rzut oka. Grenadierzy i ich żony otoczyli Antoninę, patrząc na nią w milczeniu. Z ich twarzy łatwo było odczytać ich myśli. Była to mieszanina ulgi na widok, że nic jej się nie stało, gniewnej satysfakcji, że tak świetnie sobie poradziła, i dumy ze swojego dowódcy, oraz dumy z siebie samych, że to właśnie ona wybrała sobie ich na swoich żołnierzy.

Na twarzy większości, co było dla Antoniny przerażające, malowało się coś w rodzaju religijnej adoracji. Ci prości Syryjczycy gapili się na nią tak, jak mogliby patrzeć na żywego świętego.

Była obdarzona łaską Pana.

Tak jak przepowiedział to prorok Michał.

Przez chwilę Antonina czuła, że trzęsie się ze strachu przed tak wielką odpowiedzialnością.

Potem, przywołując tę niezmierną wolę walki, która zawsze była jej częścią od czasów dzieciństwa na pełnych niebezpieczeństw ulicach Aleksandrii, Antonina odrzuciła wahania na bok.

- Czuję się dobrze – zapewniła głośno swoich grenadierów.

Zaczęła zsiadać z konia, ale natychmiast co najmniej tuzin rąk zaczął jej pomagać. Te same dłonie wzniosły ją w kierunku katedry. Pojawili się mnisi i księża, i szybko otworzyli wrota przybytku pańskiego. Pomiędzy nimi Antonina dostrzegła pulchną sylwetkę biskupa Kasjana.

Kiedy przenosili ją przez drzwi, jej wzrok napotkał oczy Antoniusza. Oddał jej uśmiech, ale jego spojrzenie było pełne niepokoju.

Zanieśli ją przed ołtarz i postawili na nogi. Odwracając się zobaczyła, że za nią do świątyni

wlewa się fala grenadierów i ich żon. W przeciągu dwóch minut wielka katedra była pełna. Wszyscy Syryjczycy weszli do środka i stali cicho, patrząc tylko na nią.

Wiele lat temu matka udzieliła Antoninie, wtedy młodej dziewczynie, kilku szybkich lekcji aktorstwa. W rezultacie Antonina nie podążyła jej drogą, ale zaczęła robić karierę w innym zawodzie, który był podobnie pozbawiony poważania, lecz daleko bardziej dochodowy. Ale ciągle pamiętała lekcje matki i to nie dość skąpy talent aktorski rodzicielki, ale jej umiejętności w operowaniu głosem.

Wszyscy grenadierzy, podobnie jak katafrakci, którzy do nich dołączyli, prawie podskoczyli ze zdumienia. Nie spodziewali się, że taka mała kobieta potrafi wydać z siebie taki potężny głos.

*Nie będę długo mówić, moi żołnierze. Moi przyjaciele.*

*Nie trzeba wiele mówić.*

*Nasi wrogowie się zbierają. Możecie zobaczyć ich ogniska. Możecie usłyszeć ich chrapliwe wrzaski triumfu.*

*Nie obawiajcie się.*

*Oni są niczym.*

*Niczym.*

*Zabójcy. Uliczne rzezimieszki. Mordercy. Gwałciciele. Złodzieje. Alfonsi. Hazardziści.*

*Nic.*

*Są niczym.*

Przerwała, czekając. Grenadierzy, najpierw jeden, a potem dwóch, podjęli okrzyk. Na początku krzyczeli cicho. Potem głośniej i głośniej.

- Oni są niczym! Oni są niczym!

*Rozbijemy ich z powrotem w nicość, z której się wykluli. Zapędzimy ich z powrotem do kanałów.*

- Oni są niczym! Oni są niczym!

*Będziemy ich ścigać do ich plugawych nor. Będziemy za nimi biec, aż osaczymy ich w szcurzych jamach. Będziemy ich zabijać, aż zaczną błagać o litość.*

Okrzyki zatrzęsły ścianami katedry. Gdy Antonina pokazała na katafraktów, na sali zrobiło się cicho. Grenadierzy słuchali jej słów z wytężoną uwagą.

*Nasz plan jest prosty. Zdrajcy gromadzą swoje siły na Hipodromie. Pójdziemy tam. Katafrakci będą przecierać nam drogę, ale to my będziemy ręką Boga.*

*To my strzaskamy nicość z powrotem w nicość.*

Ruszyła naprzód, idąc w kierunku przedsionka. Grenadierzy rozstępowali się przed nią i natychmiast zamykali przejście, kiedy ich mijała. Poruszała się przez to małe morze ludzi niczym okręt pod pełnymi żaglami.

Kiedy dotarła do drzwi, Antoniusz Kasjan wystąpił naprzód. Przez chwilę obejmowała starego przyjaciela.

- Niech Bóg będzie ze mną – wyszeptała.
- Och, wierzę, że jest z tobą – odparł biskup miękko. – Zaufaj mi, Antonino. Wiem, co mówię. – Uśmiechnął się drwiąco. – W końcu jestem szanowanym teologiem, przecież wiesz.

Uśmiechnęła się w odpowiedzi, pocałowała go w policzek i wyszła z katedry.

Do tej pory na ulicy zdążył zebrać się spory tłum gapiów. Nawet gniewne spojrzenia katafraktów nie zdołały zgasić ciekawości. Ale, słysząc odgłos zbliżających się wielu koni, a w dodatku ciężkozbrojnych koni, tłum cofnął się i przywarł do ścian domów i ogrodzeń, które wyznaczały ulicę.

U wylotu ulicy, wolno kłusując, ukazał się oddział dwustu katafraktów. Była to reszta trackiej ochrony, wracająca właśnie ze zwycięskiej misji.

Kiedy katafrakci dojechali do katedry, zatrzymali konie. Jeźdźcy na czele oddziału rzucili pod stopy Antoniny pozostałości po zemście.

Wciągając gwałtownie powietrze i sycząc, tłum gapiów niemalże wprasował się w ściany, pod którymi stał. Kilku, przewyciężając ciekawość, uciekło szybko do domów i ogrodzonych parków.

Dwadzieścia, czy coś koło tego, obciętych głów, toczących się po ulicy, potrafi zmrozić nawet najbardziej gorliwych obserwatorów.

Z drugiej strony grenadierzy, widząc te makabryczne trofea, wybuchli okrutną radością.

ONI SAMCZYM! ONI SĄ NICZYM! ONI SĄ NICZYM!

Antonina podeszła do swojego konia. Maurycy, wraz z dwoma katafraktami za sobą, zatrzymali ją w połowie drogi.

- Załóż to na siebie – rozkazał Maurycy, – Jest zrobione specjalnie dla ciebie.

Jeden z towarzyszących mu katafraktów wyciągnął rękę z pancerzem i hełmem.

- Z hełmem dał sobie radę łatwo – skomentował Maurycy. – Ale pancerz był całkiem sporym wyzwaniem dla płatnerza. Nie przywykł do dekoltów.

Antonina uśmiechnęła się. Z pomocą Maurycego jakoś sobie poradziła z nieznanym strojem. Kiedy zbroja została już założona, jej uśmiech zniknął.

- To jest strasznie ciężkie.
- Nie narzekaj, dziewczyno. Dziękuj Bogu, że to tylko półzbroja. I dziękuj podwójnie, że jesteśmy w Konstantynopolu w zimie, a nie w Syrii w pełni lata.

Antonina skrzywiła się na samą myśl o tym. Potem skrzywiła się przebiegle.

- A nie dostanę także miecza?

Maurycy potrząsnął głową.

- Mam coś lepszego.

Wyjął nóż, bardzo duży i dziwaczny, sądząc po kształcie pochwy, i podał go Antoninie.

Antonina wysunęła ostrze z pochwy. Widząc je, nie mogła powstrzymać cichego syknięcia.

- Rozpoznajesz je, jak widzę – powiedział Maurycy. Jego głos był pełen satysfakcji. – Właściciel sklepu wziął za to niezłą cenę, ale pomyślałem, że będzie ci pasować.

Antonina wodziła spojrzeniem od Maurycego do tasaka. Usta setnika skrzywiły się w ponurym uśmiechu.

- Zapytaj któregoś z weteranów, Antonino. Każdy ci powie, że nic nie jest tak ważne w bitwie, jak posiadanie zaufanego, wypróbowanego ostrza.

Nagle, trzymając w ręku to proste kuchenne narzędzie, Antonina poczuła nagły przypływ pewności siebie.

- Wierzę, że masz rację, Maurycy.

Wsluchując się w mamroczące wokół niej głosy, zorientowała się, że katafrakci przekazują informacje grenadierom, którzy stoją za nimi. Sekundę później, grenadierzy zaczęli krzyczeć na inną nutę.

POSIEKAMY ICH! POSIEKAMY ICH!

Z pomocą Maurycego, Antonina wdrapała się na siodło, powstrzymując się od głośnego pomstowania na ciężar zbroi i hełmu. Kiedy już siedziała pewnie, podniosła do góry rzeźnicki nóż i pomachała nim nad głową.

Grenadierzy zawyli. Katafrakci także dołączyli się do okrzyków.

ONI SĄ NICZYM! ONI SĄ NICZYM!

Antonina powstrzymała śmiech.

Była teraz jednym z wielu bohaterów, żywcem wyjętych z legend, i wymachiwała właśnie mieczem ogromnej sławy!

Kim zresztą, o czym nie mogła w tej chwili wiedzieć, miała się stać; a rzeźnicki tasak w rzeczy samej, ku jej wiecznemu zdumieniu, nabierze kiedyś rangi sławnego oręża.

## **Rozdział 25**

Kiedy Jan z Rodos zobaczył zbliżający się z południa dromon, zaczął kląć na czym świat stoi.

Niektóre z jego przekleństw były wymierzone w Irenę Macrembolitissę. Kobieta-szpieg nie ostrzegła go, że zdrajca, generał Egidius, zdobył galerę wojenną, żeby oczyścić drogę dla swoich statków transportowych. Jan mógł już zobaczyć pierwszy z nich, mający na pokładzie główne część Armii Bitynii. Kolejne cztery pękate żaglowce właśnie opuszczały port w Chalcedonie, kierując się przez cieśninę Bosfor ku Konstantynopolowi.

Ale większość przekleństw kierował pod adresem życia w ogólności. Tak naprawdę nie winił Ireny za to niedopatrzenie. Mimo znakomitych umiejętności, nie można było od niej wymagać, żeby wiedziała wszystko o posunięciach wroga.

- Tak to już jest – mruknął do siebie. – Wojna zawsze była zdradziecką suką,
- Słucham? – zapytał Euzebiusz, podnosząc wzrok znad swojej pracy. Twarz młodego asystenta wydawała się nieco zielona. Najwyraźniej czuł się źle z powodu kołysania galery. A już szczególnie dlatego, że stał na śródkręciu i zajęty był delikatnym zadaniem, czyli otwieraniem skrzyń z bombami. Platforma, na której stał, wznosiła się trzy metry nad głównym pokładem, co zwiększało jeszcze jej niestabilność.
- Pospiesz się Euzebiuszu – warknął Jan z Rodos. Oficer marynarki pokazał na sterburkę. – Musimy sobie jakoś poradzić z tym tam, zanim zajmiemy się czymkolwiek innym.

Euzebiusz wyprostował się i spojrzał oczami krótkowidza w kierunku zbliżającej się wojennej galery.

- O Chryste – mruknął. – Nie mogę tego dokładnie zobaczyć, ale... czy to jest to, o czym myślę?

Jan przytaknął ponuro.

- Tak, to dromon. Setka walczących i co najmniej stu pięćdziesięciu wiosłarzy, bardzo dobrych, sądząc po prędkości statku. I już zrefowali żagle.

Euzebiusz pobladł. Dromony były najszybszymi statkami w marynarce, a przynajmniej do czasu wyczerpania sił wiosłarzy. Poza tym miały doskonałą zdolność manewrowania. Były idealnymi statkami wojennymi.

Jan z Rodos zbiegł po drabinie na dół, na główny pokład i popędził na rufę, gdzie zaczął rozmawiać ze sternikiem, gwałtownie gestykułując. Euzebiusz, teraz już samotny, zaczął rozpakowywać kolejne pudło z bombami. Artylerzyści na platformie zaoferowali mu swoją pomoc, ale im podziękował. Prawdopodobnie był zbyt ostrożny – kiedy zacznie się bitwa, artylerzyści i tak będą musieli sami wyjmować pociski, ale Euzebiusz wiedział lepiej niż ktokolwiek inny, jak niebezpieczne mogą być te bomby, jeżeli nie obchodzić się z nimi należycie.

A poza tym praca pozwalała mu zapomnieć o innych zmartwieniach.

A było się o co martwić. Euzebiusz nie był człowiekiem morza, ale przez ostatnie kilka miesięcy nasłuchał się od Jana z Rodos wystarczająco, żeby rozumieć powagę sytuacji, w jakiej się znaleźli.

Pomocnik spojrział na dwa skorpiony ustawione na platformie bojowej statku, nazywanej drewnianym zamkiem. Potem, uważnie, przyjrzał się samemu statkowi.

Ogłędziny nie wypadły pomyślnie.

Dromon normalnej wielkości, taki jak ten, który się do nich zbliżał, powinien mieć na pokładzie załogę, liczącą od dwóch do trzech setek ludzi. Taka galera posiadała dwa rzędy po dwadzieścia pięć wiosła na każdej burcie, czyli w sumie sto wiosła. Pięćdziesięciu wiosłarzy, po jednym rzędzie na każdą burzę, na stałe zajmowało swoje miejsca przy wiosłach, po jednym marynarzu na wiosło. Reszta załogi, licząca co najwyżej sto pięćdziesiąt osób, mogła stawić czoła przeciwnikowi na pokładzie bojowym. Setka obsługiwała górny rząd wiosła, po dwóch mężczyzn do jednego wiosła, podczas gdy reszta pełniła funkcję łuczników i żołnierzy. W przypadku przeciągających się pościgów, czy potyczek, wiosłarze z górnych ławek zamieniali się z walczącymi, żeby utrzymać dobrą prędkość i nie zamęczać bardzo ludzi.

Technicznie, jak wiedział Euzebiusz, ich statek także zaliczano do kategorii dromonów, czyli wojennych galer wiosłowych. Ale ten typ dromonu był zaledwie średniej wielkości i nazywano go *pamfylos*. Mieli tylko osiemdziesiąt wiosła, po dwadzieścia w rzędzie. A w górnych ławkach miejsca wystarczało zaledwie na jednego wiosłarza.

Stu pięćdziesięciu wiosłarzy kontra osiemdziesięciu. Mimo większego tonażu zbliżającego się dromonu, ciągle będzie on szybszy niż ich własna galera. A i tak opóźniały ich dodatkowe modyfikacje, wprowadzone przez Jana.

Jan wiedział, że w nadchodzącej bitwie przyjdzie im zmierzyć się z przeważającymi siłami, prawdopodobnie wróg będzie miał przewagę dwudziestu, a nawet więcej statków do jednego. Więc zdecydował się użyć tylko jednego statku, ale za to zrobić z niego czysto artyleryjską broń i z dużej odległości rozprawić się za pomocą bomb z flotą przeciwnika. Dla tej właśnie przyczyny mieli tylko dwunastu walczących, gdyż tylko tylu potrzeba było do obsługi skorpionów. Jeżeli dojdzie do abordażu, przeciwnik zaleje ich swoimi żołnierzami.

Co prawda, na pokładzie mieli także podwójną załogę wiosłarzy. Gdyby plan bitewny Jana się powiódł, mieli wiosłować przez długi czas. Dlatego oficer marynarki obciążył statek dodatkową liczbą zapasowych wiosłarzy. To z pewnością da im przewagę nad zbliżającym się dromonem na długich dystansach, ale dodatkowi ludzie stanowili także dodatkowe obciążenie, a tym samym opóźnienie statku.

Nie wspominając o...

Euzebiusz przyjrzał się dokładnie platformie bojowej, na której stał. Drewniany zamek był większy i cięższy niż zazwyczaj na galerach tego typu i wielkości. Musiał taki być, żeby zmieściły się na nim dwa skorpiony, które Jan tam ustawił, i oczywiście amunicja do nich. Ale dodatkowa wielkość to także dodatkowy ciężar. Podobnie jak...

Euzebiusz popatrzył teraz na pokład statku. Normalnie bizantyjskie galery wojenne były zwane w tamtych czasach *aphract*, czyli nieuzbrojone. Nowoczesna taktyka wojen morskich preferowała abordaż w miejsce taranowania, żołnierze i wiosłarze na górnych ławkach nie byli chronieni niczym więcej, jak tylko lekką drewnianą ramą, na której wieszali swoje tarcze.

Ale Jan, który nie zamierzał nikogo abordażować, zmodyfikował statek wedle tradycyjnej mody. Do otworów strzelniczych przymocował solidne, drewniane osłony, które zwisały nisko, dodatkowo chroniąc wiosłarzy przed strzałami łuczników. Opancerzenie statku przypominało nieco osłony wiosłarzy na antycznych helleńskich galerach, chociaż wiosłarze umieszczeni zostali głęboko w środku kadłuba. Końcowym rezultatem było zamknięcie wiosłarzy w solidnym, chroniącym przed strzałami schronieniu. No, może nieco dusznym, mimo licznych otworów wentylacyjnych, ale dającym znacznie lepszą ochronę niż tarcze wiszące na lekkiej ramie.

I... także znacznie cięższym.

Ich statek był jednak ciągle znacznie szybszy niż baliowate, okrągłodenne żaglowce o staromodnym olinowaniu, których Armia Bitymi używała do transportu. Ale w porównaniu do zbliżającego się dromonu, statek Jana poruszał się jak żółw,

Jan nie spodziewał się, że będzie musiał stawić czoła prawdziwemu wojennemu statkowi.

- Pospiesz się! – warknął Rodyjczyk, wspinając się z powrotem na pokład bojowy. – Albo nie... nieważne. Będziemy musieli poradzić sobie z tymi bombami, które już rozpakowałeś.
- Ale jest ich tylko osiem – zaprotestował Euzebiusz.
- Więc będziemy musieli dobrze celować – warknął Jan. – Nie mamy czasu, Euzebiuszu! Ten cholerny dromon pędzi jak jakiś zwariowany morświn. Rusz się!

Kiedy Jan i Euzebiusz ładowali dwa skorpiony pierwszymi bombami, sternik zaczął wykrzykiwać rozkazy załodze. Chociaż marynarze mieli tak samo ponure miny, jak ich kapitan, zabrali się do dzieła bez wahania. Ci żeglarze także pochodzili z Rodos, Jan wybrał ich z szeregów rzymskiej marynarki wojennej, stacjonującej w Seleucji. Ich dowódcy nawet na to nie narzekali, a przynajmniej nie bardzo, kiedy zobaczyli list z poleceniem udzielenia pomocy Janowi z Rodos, podpisany ręką imperatorowej Teodory,

*Pamfylos* zaczął obracać się bokiem, stawiając czoła zagrożeniu, nadpływającemu z Morza Marmara.

Jan popatrzył z uwagą na nadciągający dromon.

*Boże, ci wiosłarze są doskonali!*

Kilku katafraktów stało na bojowej platformie na dziobie galery i wpatrywało się w niego. Ich twarze zakrywały hełmy, nasunięte na czoła.

Jan pomyślał ponuro, że hełmy są całkiem zużyte. *Podobnie jak ich cholerne zbroje. I, o cholera, trzymają miecze w ten niedbały, lekki sposób, znamionujący wieloletnią praktykę. Wspaniale. Po prostu, kurwa, wspaniale!*

Spojrzał na jednego z katafraktów – był to bardzo potężnie zbudowany mężczyzna.

*Boże, nie chcę nawet myśleć, co za tuk on potrafi naciągnąć. Prawdopodobnie nawet stukilowy.*

Zaczął się odwracać, kierując się ku jednemu ze skorpionów. Nagle śmieszna myśl wpadła mu do głowy. Obejrzał się przez ramię z powrotem na wielkiego katafrakta. Potem popatrzył na drugiego, który stał dokładnie na dziobie galery.

Katafrakt był wysoki.

Wysoki katafrakt zdjął hełm. Teraz jego twarz była doskonale widoczna.

Jan z Rodos miał doskonały wzrok.

Chwilę później, Euzebiusz i cała załoga *pamfylosa* porzuciła swoje zadania. Zamarli, patrząc z otwartymi ustami, na widok swojego dowódcy.

Jan z Rodos podskakiwał i miotał się na drewnianym zamku, wyjąc niczym upiór. Podbiegł do bakburty, wskoczył na otaczającą ją barierę i zaczął wykonywać obsceniczne gesty w kierunku floty transportowców z Armią Bitynii na pokładzie, płynącej przez Bosfor. Potem, najwyraźniej nie usatysfakcjonowany ręcznymi tylko znakami pogardy, Jan odpiął spodnie, wyciągnął na wierzch penisa i zamachał nim przed oczyma ciągle odległego wroga.

- On zupełnie oszalał! – wykrzyknął Euzebiusz. Asystent miotał się tam i z powrotem pomiędzy pitną potrzebą, naładowania skorpionów i jeszcze bardziej pilnym zadaniem, jakim było powstrzymanie Jana, zanim ten wariat wpadnie do morza. Bojowa platforma wystawała pół metra poza kadłub statku.

Na szczęście, nogi emerytowanego oficera marynarki były świetnie przystosowane do kołysania. Chwilę później, Jan zawiązał spodnie z powrotem i skoczył na dół na platformę bojową. Podbiegł do Euzebiusza, uśmiechając się od ucha do ucha.

Euzebiuszowi nagle przyszło do głowy, że może istnieje jakieś alternatywne wytłumaczenie obecnego stanu umysłowego Jana. Pomocnik odwrócił głowę i zerknął na dromon. Galera była teraz nie dalej niż pięćdziesiąt metrów od nich.

- Czy to...?
- Tak! – wrzasnął Jan. – Belizariusz! Cóż za wspaniałe wyczucie czasu!

Ciągle szczerząc zęby, oficer marynarki przyjrzał się wojennej galerze z innej perspektywy. Jego uśmiech stał się jeszcze większy. Oczy

Jana krążyły nieustannie pomiędzy galerą, jego własnym statkiem i flotą nieprzyjaciela.

Kiedy dromon wreszcie ustawił się wzdłuż ich burty, uśmiech Jana był niemalże oślepiający.

- Och, te biedne dupki mają przesrane – powiedział radośnie. – Przesrane.

Minutę później Jan i jego marynarze pomagali Belizariuszowi wejść na pokład *pamfylosa*.

Belizariusz w pośpiechu mocno uściskał Jana, po czym natychmiast wdrapał się na pokład bojowy statku. Szybko przyjrzał się bombom, spoczywającym w otwartych skrzyniach niedaleko od urządzeń miotających. Pociski dokładnie owinięto wełnianymi szmatkami i starannie poukładano.

- Bomby? – zapytał. – Czy tylko proch?

Generał kiwnął głową w stronę Aszota, który ciągle stał na dziobie dromonu.

- Aszot powiedział mi, że już odkryliście sekret prochu strzelniczego – powiedział z zadowoleniem.

Jan przytaknął.

- Tak... chociaż jestem pewien, że masz jakieś uwagi, które pozwolą nam ulepszyć jego jakość. Ale te nie zawierają prochu. Do bitwy morskiej, pomyślałem sobie, takie zapalające bomby będą najlepsze. Są mojego własnego pomysłu. Dodałem saletry do nafty. Są doskonałe! Świetne ! Ale musisz się z nimi bardzo delikatnie obchodzić.

Belizariusz zaczął teraz patrzeć bardzo podobnie jak Jan. Jego wzrok przenosił się szybko ze skorpiona na galerę, z galery na flotę nieprzyjaciela i z powrotem na skorpiona, galerę i wroga.

- Masz jakiś plan bitwy– stwierdził.
- Tak – upewnił go Jan. – Miałem nadzieję zniszczyć tak wiele jednostek, żeby dać Sitasowi i Hermogenesowi szansę w starciu z ty mi, którzy zdołają dotrzeć na brzeg. Ale teraz, z twój ą galerą, możemy zrobić coś więcej. Znacznie więcej.
- Wprowadź mnie w sytuację – rozkazał Belizariusz.

Jan wydał policzki.

- Sercem konspiracji zdrajców jest Hipodrom. Malawianie przekupili zarówno Niebieskich, jak i Zielonych... czy możesz sobie wyobrazić, ile to musiało ich kosztować? W każdym razie oczekują od frakcji Hipodromu, że te wykonają za nich brudną robotę. – Rzucił okiem na słońce, które właśnie wypłynęło ponad linią horyzontu, – Za trzy, albo cztery godziny, najpóźniej w południe, zbiorą się na Hipodromie. Dwadzieścia, może trzydzieści tysięcy ulicznych opryszków. Irena odkryła także, że udało im się przeszmyglować kilka setek malawiańskich żołnierzy. Z bronią palną. Wydaje nam się, że mają rakiety i granaty. Belizariusz kiwnął głową.
- Bardzo prawdopodobne, Z pewnością to kszatryjasi. Chociaż wątpię, czy udałoby im się przeszmyglować chociaż jedno ich działo.

Generał popatrzył na flotę nieprzyjaciela. Teraz już wszystkie jednostki opuściły port w Chalcedonie i głęboko wpłynęły w cieśninę.

- Więc tak – zastanowił się. – Użyją kszatryjasów jako trzonu swojej armii, a cała masa opryszków z ulicy zapewni im przewagę liczebną. I co jeszcze? Gdzie są oddziały wojskowe Konstantynopola?

Jan wzruszył ramionami.

- Wszystkie usunęły się na bok. Śmierdzące tchórze, chowają się w barakach,

Kiwnął głową w kierunku floty transportowców.



- To Armia Bitynii. Generał Egidius jest częścią spisku. Na tych statkach ma osiem tysięcy żołnierzy, wliczając tysiąc katafraktów i ich konie. Według informacji od Ireny, jego głównym zadaniem ma być neutralizacja jakichkolwiek oddziałów, które mogą przyjść imperatorowi na pomoc.

Jan popatrzył na zachód, przyglądając się linii brzegowej, na której wznosiły się domy Konstantynopola.

- Co odnosi się do Sitas i Hermogenesa, i tej malej armii, którą zdołali tutaj przemycić z Syrii. Mają pięć setek katafraktów i dwa tysiące piechoty. Ukryli żołnierzy na statkach w Porcie Cezarejskim, kiedy przybyli do stolicy. Ale powinni wymaszerować właśnie dzisiaj rano. Do tej pory, mam nadzieję, zajęli już pozycje w porcie Hormisdasa. To nabrzeże położone najbliżej Hipodromu i Wielkiego Pałacu. To właśnie tam Armia Bitynii ma wylądować, zakładając, że wieści od Ireny są prawdziwe.

Belizariusz kiwnął głową.

- Co oznacza, jak zakładam, że jedynymi siłami, które są zdolne natychmiast zatrzymać kszatryjasów i tłum opryszków z Hipodromu są moi katafrakci w sile trzech setek konnych i kohorta grenadierów Antoniny,
- Jest gorzej, Belizariuszu. Jan z Kapadocji zdołał zgromadzić około tysiąca żołnierzy jako swoją osobistą ochronę. Jestem pewny, że wykorzysta ich przeciwko pałacowym strażnikom, strzegącym Wielkiego Pałacu i Justyniana.
- Na miłość Boską! – zawył Belizariusz wściekle. – Dlaczego Justynian ich nie rozwiązał?

Jan zamrugał. Rozumiał gniew i zdumienie Belizariusza. Wedle prawa rzymskiego, prywatne armie były nielegalne, chyba, że posiadał je ktoś pełniący funkcję czynnego generała jak Belizariusz, albo Sitas. Prawo to zostało wprowadzone pięćdziesiąt lat temu przez imperatora Leona, żeby zapobiec zbyt dużej potęgze publicznych urzędników, dostojników i właścicieli ziemskich.

- Justynian zrobił wyjątek dla Jana z Kapadocji i – wyjaśnił. – A nawet więcej! – zaśmiał się gorzko. – Zrobił z Kapadocjana generała. Kilka miesięcy po tym, jak wyjechałeś do Indii.

Belizariusz z niesmakiem przewrócił oczyma.

- Ten śmierdzący dekownik nigdy w życiu nie brał udziału w bitwie – prychnął. Nagle prychnięcie zmieniło się w krzywy uśmiezek. – Co, jeżeli dobrze się zastanowić, nie jest wcale taką złą rzeczą.

Generał potarł policzek, przyglądając się statkom.

- Czy już ich policzyłeś? – zapytał Jana.

Oficer marynarki kiwnął głową.

- Flota Egidiusa liczy sobie trzydzieści jeden statków. Większość, te największe, to statki typu *corbita*.

Widząc na twarzy Belizariusza brak zrozumienia, Jan zaczął wyjaśniać.

- My żeglarze nazywamy je statkami koszami. *Corbita* to statki do przewozu towarów, generale. Są popychane siłą wiatru, nie ma na nich wioślarzy. Nawet w najlepszych warunkach są wolne, a tu tutaj, w Bosforze, dodatkowo przeszkadzają im północne wiatry. Ale... mają ogromną ładowność. Każdy z nich może zabrać na pokład czterystu ludzi, chociaż wątpię, czy te tam wiozą więcej niż trzystu na jednym. Muszą przecież także załadować na pokład uzbrojenie i wyposażenie.
- I konie katafraktów – dodał Belizariusz.
- To też. Ale jestem prawie pewien, że sami katafrakci są transportowani na mniejszych stateczkach. Egidius ma osiem kupieckich galer, nazywają je *akatoi*, w swojej flocie. To akurat wystarczy dla tysiąca katafraktów. Chociaż, co jest korzystne dla nas, te jednostki będą zmuszone do używania tylko żagli. Przy takim obciążeniu, jakim jest ponad setka katafraktów i koni, nie znajdzie się już miejsca dla wioślarzy.

Belizariusz patrzył na nadpływające okręty. Jan zamilkł, zdawszy sobie sprawę, że generał zastanawia się, jaką podjąć decyzję.

- Dobrze – mruknął Belizariusz. Rzucił okiem na Rodyjczyka. – Naszym pierwszym i nie cierpiącym zwłoki zadaniem jest zatrzymać nie Armii Bitymi, zanim dotrze do Konstantynopola. Ty jesteś oficerem marynarki, Janie. Jak byś tego dokonał... teraz, kiedy masz także moją galerę pod swoimi rozkazami?

Jan zmarszczył brwi.

- Macie dobrych wioślarzy. Ale czy nie są zmęczeni?

Belizariusz wzruszył ramionami.

- Są wystarczająco wypoczęci, tak mi się wydaje. Przebyliśmy większość trasy z Egiptu pod żaglami. Aszot kazał tej galerze czekać na nas w Abydos i większość Morza Marmara także przepłynęliśmy, popychani siłą wiatru. Wiosła wyciągnęliśmy zaledwie kilka minut temu.
- Dobrze. Z takim dromonem możemy wprowadzić nieco zamieszania wśród statków *corbita*. Prawdziwym kłopotem będą *akatoi*. Te kupieckie galery są szybkie. A na pokładzie mają pełno katafraktów. – Skrzywił się, – Nie chciałbym zmierzyć się z ich łucznikami, nawet na opancerzonej galerze. A przynajmniej nie wtedy, kiedy musisz podejść blisko, żeby ich staranować.
- Nie będziesz musiał – powiedział Belizariusz. – Ja się zajmę *akatoi*, korzystając z twojego statku i skorpionów. Ty weź dromon i zatop jak najwięcej *corbita*.

Widząc wahanie Jana, Belizariusz naciskał dalej.

- Nie ma innego sposobu, Janie. Ja nie jestem oficerem marynarki, ale ty tak. Nie mam pojęcia, co się robi z dromonem. Podczas gdy tutaj...

Machnął w kierunku skorpionów.

- Wiem, jak się używa artylerii. Wiem to całkiem dobrze.

Belizariusz prawie się roześmiał, widząc na twarzy Rodyjczyka wyraz zbliżony do cierpienia. Jan, jak wiedział, chciał w końcu wypróbować swoje cudowne, nowe artyleryjskie pociski. Jan wydał policzki.

- Masz rację, niech to.

Przyjrzał się Belizariuszowi z powątpiewaniem.

- Zakładam, że nie masz pojęcia, jak się pływa statkiem, prawda?

Belizariusz w odpowiedzi tylko się uśmiechnął.

Oficer marynarki sapnął z niezadowoleniem. Machnął rękaw kierunku jednego z marynarzy, stojącego na rufie. Mężczyzna szybko podbiegł do platformy i wdrapał się na górę.

- On się nazywa Honoriusz. Pozwól mu wydawać komendy marynarzom. Po prostu mów mu, co chcesz zrobić. Będiesz wtedy mógł się skoncentrować na skorpionach.

Odwrócił się do swojego asystenta.

- Euzebiuszu! Pokaż generałowi, jak się obchodzić z tymi bombami. Będzie dowodził ogniem artyleryjskim na tym statku. Ja przejmuję dromon.

Jan zmierzył wzrokiem katafraktów generała. Do tej pory wszyscy już zdołali przejść na pokład *pamfylos*.

Widząc zawiść w oczach Jana, Belizariusz zachichotał.

- Zostaw mi tylko Walentyniana – powiedział. – Chcę, żeby celo wał z drugiego skorpiona. Resztę możesz sobie zabrać.

Mniej niż minutę później dromon odbił od burty statku i skierował się ku flocie nieprzyjaciela. Jan stał na rufie i wydawał rozkazy sternikowi.

Belizariusz nie obserwował ich dłużej niż dziesięć sekund. Miał swoje własne sprawy.

*Jak najlepiej użyć tego małego stateczku z artylerii przeciwko ponad dwóm tuzinom statków wroga?*

Usłyszał głos Doradcy.

**Przeplń im przed nosem.**

Belizariusz nie zrozumiał.

*Do jego umysłu wdarły się obrazy. Sceny z bitwy morskiej, z udziałem statków strzelających do siebie ciężką artylerią. Każda ze stron usiłowała tak pokierować swoją flotą, żeby statki przecięły prostopadle linię nadpływających jednostek wroga. Ustawiając się burtą do przeciwnika mogły do niego mierzyć wszystkimi działami i razić tak wiele wrogich jednostek, jak to tylko było możliwe.*

Belizariusz, zastanawiając się, podrapał się po brodzie. Obrazy, które pokazywał mu Doradca,

były nie do końca adekwatne do jego sytuacji. Jego statek był uzbrojony tylko w dwa skorpiony, ulokowane na śródokręciu, a nie w linię dział wzdłuż całych burt statku. Ustawienie się burtą było więc nie do końca skuteczne.

Ciągle jednak...

Marynarz, który miał być substytutem Jana, stał teraz obok Belizariusza, czekając na rozkazy. Generał odwrócił się do Honoriusza i zaczął gestykulować, żeby nakreślić sytuację.

- Czy możesz tak podpłynąć, żeby pod odpowiednim kątem prze ciąć drogę, statkom nieprzyjaciela?

Honoriusz zerknął na jednostki wroga. Flota Egidiusa, odległa o około półtora kilometra, zapuściła się już sporo w głąb cieśniny.

- Z łatwością. Pozwolili statkom towarowym nadawać tempo, za miast *akatoi*. Te *corbita* są bardzo powolne. A jeżeli na ich pokładzie tłoczą się katafrakci, i całe ich uzbrojenie, będą jeszcze wolniejsze niż zazwyczaj.

Przechylił się przez barierę na platformie bojowej i zaczął wydawać rozkazy swoim marynarzom. Statek zaczął powoli zmieniać kierunek, ale Belizariusz nie marnował czasu na obserwację manewru. Skoncentrował się w pełni na skorpionach.

Z zadowoleniem zauważył, że Jan dobrze wybrał broń. Skorpiony należały do rodzaju broni miotającej kamienie, nazywanej *palintonos*. Nazwa ta pochodziła od kształtu ramion, które były lekko odgięte do tyłu na końcach, co pozwalało na wyrzucenie kamienia na sporo większą odległość niż w przypadku tradycyjnych skorpionów o prostych ramionach. Skorpiony umieszczono na takiej samej trójnogiej podstawie, jakiej rzymscy inżynierowie używali przy wysięgnikach i dźwigach. Broń nie była na stałe przytwierdzona do podstawy, ale łączyła się z nią poprzez obracającą się tarczę. W efekcie skorpiony mogły być opuszczane w górę i w dół, a także obracać się, zataczając pełne koło.

Rzymianie nie wytwarzali urządzeń artyleryjskich wedle tych samych standardów, jak to się stanie w przyszłości. Ale długoletnie doświadczenie pozwoliło Belizariuszowi ocenić, że oba skorpiony należały do lak zwanej klasy pięć-sześć kilo. Oznaczało to, że można było z nich wyrzucić kamień o takiej właśnie wadze. W przypadku strzału kamieniem o wadze w zakresie pięć-sześć kilo, skorpiony osiągały zasięg czterystu metrów.

- Jak ciężkie są twoje bomby? – zapytał Euzebiusza.
- Mają trochę ponad cztery kilo. Ale nie więcej niż pięć.

Belizariusz kiwnął głową.

- A więc będziemy mieć zasięg nawet do pięciuset metrów.

Znowu przyjrzał się dokładnie skorpionom. Urządzenia ustawiono po obu stronach drewnianego zamku, na tyle od siebie daleko, żeby można je było obracać bez ryzyka, że zaczepi się długimi na prawie dwa metry prowadnicami, po których wyrzucano pocisk. Niestety, nie było możliwości, żeby strzelać jednocześnie z dwóch skorpionów w tę samą stronę. Kiedy, zgodnie z zaleceniami Doradcy, ustawią się burtą do wroga, jeden skorpion będzie zupełnie bezużyteczny.

Przez chwilę Belizariusz rozważał inne sposoby rozmieszczenia artylerii na statku. Prawie natychmiast Doradca podsunął mu inny obraz.

*Stalowy statek, bardzo wąski, chociaż ogromny, mknie przez spienioną wodę. Działa, trzy obok siebie, umieszczono na dziwnego rodzaju otoczonej platformie obrotowej...*

### **Wieżyczka.**

*...dokładnie na śródkręciu. Dwie zabudowane platformy...*

### **Wieżyczki.**

*...umieszczono na dziobie, a jedną na rufie. Te działa można było wycelować w dowolnym kierunku. Wszystkie dziewięć mogły mierzyć w jedną stronę, mogły strzelać przez sterburtę albo bakburtę. Sześć mogło także strzelać przez dziób, a trzy przez rufę.*

- Och, no cóż – westchnął Belizariusz. – Musimy sobie radzić z tym, co mamy.

Flota nieprzyjaciela była już prawie w zasięgu katapult. Najbliższe statki znajdowały się w położeniu około trzydziestu stopni względem ich sterburty od dziobowej strony. Badając sytuację i próbując jak najdokładniej ocenić ich prędkość, Belizariusz doszedł do wniosku, że będą mogli używać obu skorpionów co najwyżej przez trzy minuty, a potem wyrzutnia na bakburcie przestanie być użyteczna.

- Ja biorę tego na sterburcie – oznajmił. – Walentynian, ty zajmiesz się drugim. Euzebiuszu, ty podawaj nam pociski.

Zaczął wydawać polecenia pozostałym dwunastu żołnierzom, stojącym na platformie, ale szybko się zorientował, że nie ma takiej potrzeby. Wszyscy byli doświadczonymi artylerzystami i już zajęli pozycje. Każdy skorpion miał sześćoosobową załogę, nie licząc celowniczego. Dwóch mężczyzn stało po obu stronach urządzenia. Byli oni gotowi po strzale złapać linki, ściągające ramiona skorpiona i naciągnąć ponownie urządzenie. Ta praca była bardzo wyczerpująca, szczególnie przy szalonej szybkości, wymaganej w bitwie, dlatego za każdym mężczyzną stał jego zmiennik. Dwaj mężczyźni wymieniali się co kilka strzałów. Kolejny, ładowacz, kładł bombę na prowadnicy, podczas gdy szósty zapinał klamrę, przytrzymującą cięciwę w odpowiedniej pozycji, zanim celowniczy zwolni spust. Ci dwaj ludzie pomagali także celowniczemu przesuwając ciężką prowadnicę podczas celowania i pilnowali, żeby rozporoka, która wyznaczała granicę naciągu, była ustawiona odpowiednio do pożądanego zasięgu.

Wszyscy pospieszyli do swoich zadań. W przeciągu minuty skorpiony były gotowe do strzału. Belizariusz oznajmił, że będzie strzelał pierwszy. Z pomocą swojej załogi ustawił ciężką prowadnicę, tak że skorpion celował w najbliższy statek wroga. Jak tylko zobaczył, że cel znalazł się pomiędzy dwoma patyczkami, które służyły za celownik, szarpnął za małą dźwignię, będącą mechanizmem spustowym.

Skorpion zadygotał, poruszony siłą odrzutu. Bomba wpadła do morza niecałe sześćdziesiąt metrów od nich, uderzając w wodę z wystarczającą siłą, żeby rozbić gliniany zbiorniczek. Na wodzie wykwitła nagle kula ognia.

- Jesteśmy na morzu – mruknął Belizariusz. – Zapomniałem – do dał jakby się usprawiedliwiać.

W bitwach na lądzie nie musiał się nigdy przejmować kołysaniem pokładu. Wystrzelił katapultę

akurat w momencie, kiedy statek nurkował w falę i dziób znacznie się obniżył.

Walentynian wystrzelił pięć sekund później. Katafrakt nie powtórzył błędu generała. Opóźnił nieco strzał, przyglądając się najpierw kołysaniu statku i wyczekał na moment, kiedy dziób wznosił się właśnie na grzbiecie fali.

Jego bomba majestatycznie poszybowała w niebo. Jakiś czas później, statecznie i powolnie, wpadła do morza. Tym razem nie było wybuchu. Widocznie pocisk zderzył się w powierzchnię wody pod takim kątem, że, nawet jeżeli stłukł się gliniany pojemnik, naftowo-saletrowa zawartość musiała natychmiast ulec zamoczeniu.

Innymi słowy, bomba nikomu nie wyrządziła krzywdy. Pocisk wylądował niestety w odległości nie mniejszej niż dwieście metrów od najbliższego statku wroga.

Flota nieprzyjaciela ciągle znajdowała się ponad czterysta metrów od nich. Byli tak blisko, że Belizariusz mógł usłyszeć wycie i szydercze okrzyki wrogich żołnierzy.

- Ładujcie – krzyknął Belizariusz.

Ładowacz szybko położył kolejną bombę na prowadnicy. Inni artylerzyści odciągnęli ramiona i założyli cięciwę. Belizariusz westchnął, postarał się wyczuć kołysanie, wychwycił moment wejścia na falę i pociągnął za spust.

Tym razem udało mu się uzyskać odpowiednią trajektorię pocisku. Bardzo odpowiednią. Nie za wysoko, nie za nisko.

I niestety, nie za daleko. Bomba nie spadła nawet w pobliżu wrogiego statku. Po prostu zanurkowała w fale jak jej poprzedniczki.

Wrzaski, miauczenie i szyderstwa wybuchły ze zdwojoną siłą.

Walentynian strzelił.

Tym razem także jemu się nie powiodło i poczuł się całkowicie upokorzony w oczach wroga – jego druga bomba spadła nawet dalej od statków nieprzyjaciela niż pierwsza.

Wrzaski i gwizdy były teraz tak głośne i nieprzerwane, że przypominały szum wodospadu.

Belizariusz spiorunował Honoriusza wzrokiem.

- Na miłość boską! Ten cholerny statek... – Ze złością zamachał rękami.
- Nurkuje, kołysze się, buja – dokończył Honoriusz. Marynarz wzruszył ramionami. – Nic na to nie poradzę, generale. Idąc tym kursem, który nakazałeś, łapiemy się na najgorszą kombinację fal i wiatru.

Belizariusz powstrzymał swoją wściekłość. Przeniósł spojrzenie na bardziej adekwatny cel, czyli na marynarzy wroga, którzy ciągle się z nich naśmiewali.

Pokazał ręką na zbliżającą się flotę.

- Czy jest jakiś sposób, żeby do nich podejść bez tego miotania się na falach jak wściekła pchła? – zapytał stanowczo.

Honoriusz zbadał wzrokiem morze i wiatr.

- Gdybyśmy szli na nich prosto dziobem – oznajmił. – Wtedy ustawieni byłibyśmy równolegle do fali, a nie jak do tej pory prostopadle. I wtedy nie będzie...
- Zrób tak... – rozkazał Belizariusz.

Honoriusz skoczył, żeby wydać rozkazy.

Doradca zaprotestował.

**Przeplynie przed nosem! Przeplynie im przed nosem!**

*Ucisz się! Jeżeli myślisz, że to jest łatwe... ty... ty przeklęty, mały tłusty diamencie!... wyczołgaj się ze swojej sakiewki i sarn strzelaj.*

Doradca nie odezwał się. Ale fasety wirowały, poruszane bardzo ludzkim uczuciem.

Klejnot nadał się i z pewnością wydałby wargi, gdyby je miał.

Potem Belizariusz usłyszał:

**Jeszcze tego pożałujesz.**

Do czasu, aż naładowali skorpiony, Honoriusz zdążył już zmienić kurs. Teraz płynęli prosto na statki wroga. I, tak jak to przewidział żeglarz, statek był stabilniejszy.

Znacznie stabilniejszy.

Belizariusz i Walentynian wystrzelili prawie równocześnie. Kilka sekund później szydercze wrzaski i wycia zostały nagle zastąpione przez okrzyki przerażenia i wołanie o pomoc.

Dwa najbliższe *akatoi* zalało morze płomieni. Okrążył dziób tego, w który uderzyła bomba wystrzelona przez Belizariusza, palił się bardzo gwałtownie. Strzał Walentyniana wprowadził nawet jeszcze większe zamieszanie na drugim statku, tym, który został trafiony ze skorpiona katafrakta. Jego bomba musiała się odbić od relingu na dziobie. Zamiast podpalić przód statku, nafta rozlała się po całym pokładzie niczym poziomy wodospad płomieni i zniszczenia.

Na pokładzie roilo się od ciężko uzbrojonych i opancerzonych katafraktów.

To, co się tam działo, przypominało najgorszy koszmar. Co najmniej tuzin katafraktów upiekło się żywcem w swoich żelaznych zbrojach. Kilkunastu innych, w akcie desperacji, wyskoczyło za burtę do morza. I tam utonęli, pociągnięci na dno przez ogromny ciężar ekwipunku.

Ale w każdym razie byli już martwi. Przynajmniej ich agonია już się skończyła. Ci, którzy pozostali na pokładzie, przypominali żywe pochodnie. Miotając się gwałtownie, rozprzestrzeniaли dalej ogień. Piekielna mieszanka Jana była niczym uryna samego szatana. Przywierała do wszystkiego, z czym się zetknęła, i paliła się, paliła, paliła bez końca. W przeciągu trzydziestu sekund wszyscy na pokładzie tego statku byli martwi.

A potem śmierć i zniszczenie rozprzestrzeniły się na inne statki. Sternik, widząc płonącą zagładę, zbliżającą się wielkimi krokami, sam skoczył do morza. On nie był obciążony zbroją, tak jak katafrakt, więc miał nadzieję, że uda mu się popłynąć.

Popłynąć dokąd? Prawdopodobnie do najbliższego statku. Na nieszczęście, opuszczając swoje stanowisko, pozostawił płonący statek na pastwę wiatru i fal. *Corbita*, która płynęła tuż za nim, nie zdołała uniknąć kolizji.

E teraz płomienie przeniosły się na drugi statek. Większość przebiegła po splątanych żaglach. Ale niektóre przeniesli płonący jak pochodnie ludzie, którzy w szaleństwie wdrapywali się na pokład drugiego statku.

Oba statki zupełnie nie nadawały się do dalszej walki.

Ani Belizariusz, ani Walentynian nie zwracali na nie uwagi. Byli zbyt zajęci, celując w następne ofiary.

Generał obrał sobie za cel statek, w który już raz trafił. Kiedy podeszli bliżej do statku z płonącym dziobem – teraz byli, w odległości mniejszej niż trzysta metrów – Belizariusz wycelował skorpiona w śródkręcie.

Próbował, skoncentrowany, powtórzyć sukces Walentyniana. Jego pierwszy strzał chybił. Pocisk poszedł zbyt nisko, rozsiewając płomienie po morskich falach pięćdziesiąt metrów przed celem. Ale,

po szybkim dopasowaniu kołka zasięgu, udało mu się trafić w przeciwnika. Jego bomba także odbiła się od relingu i, wyrzucając z siebie płomień, potoczyła się po pokładzie.

Ten statek także nie był zdolny do walki.

Czekając, aż jego artylerzyści załadują skorpiona, Belizariusz obserwował następny strzał Walentyniana. On także próbował powtórzyć swój pierwszy sukces.

Niestety źle wycelował i pocisk poleciał zbyt wysokim łukiem.

Nie miało to jednak znaczenia. On i Belizariusz nauczyli się kolejnej zasady, obowiązującej w nowym, wspaniałym świecie artylerii w bitwach morskich.

Żagle i olinowanie, uderzone przez bombę z góry, palą się jak nasączone oliwą szmaty. W przeciągu pięciu sekund, statek został zupełnie pozbawiony ożaglowania i kołysał się bezradnie na falach.

Jednakże...

Katafrakci stojący na pokładzie pod żaglami nie odnieśli, przynajmniej na razie, żadnych obrażeń.

Byli nietknięci i wściekli. Belizariusz ujrzał tuzin żołnierzy, którzy właśnie sposobili swoje potężne łuki. I to mniej niż trzysta metrów od nich, czyli w zasięgu rażenia. Za chwilę na statek generała poleci grad strzał. Wioślarze poniżej będą bezpieczni w swoich drewnianych schronieniach, ale wszyscy mężczyźni na drewnianym zamku mieli tylko niskie drewniane bariery, za którymi mogli się schować.

- Gotowe! – zawołał ładowacz.

Belizariusz całym ciężarem rzucił się na ciężką prowadnicę. Ładowacz i człowiek mocujący spust pomogli mu ustawić ciężką maszynę. Jak tylko najechał na cel, Belizariusz szarpnął za spust.

Katafrakci na wrogim statku właśnie zaczęli naciągać łuki. Niektórzy zdołali nawet wypuścić strzały, ale, wzdrygnąwszy się, chybili celu. Większość katafraktów, widząc nadlatującą w ich kierunku bombę, po prostu przykucnęło.

Jedna z burt ich statku zamieniła się w kulę ognia. Jednak katafraktów nie spotkała nagła destrukcja, której się spodziewali. Belizariusz trafił znacznie poniżej relingu i nafta nie rozlała się po pokładzie ognistą rzeką. Ale, niebawem, katafrakci i tak mieli umrzeć. I wiedzieli o tym.

Uwięzieni na statku, który spłonie aż do linii wody. Uwięzieni w ciężkiej zbroi. Uwięzieni na środku Bosforu.

Statek Belizariusza przemknął obok nich w odległości dwustu metrów. Mógł zobaczyć niektórych z wrogich katafraktów pośród czarnego, gęstego dymu. Nawet nie myśleli o użyciu łuków. Wszyscy, których widział, usiłowali gwałtownie pozbyć się zbroi,

Belizariusz zdał sobie sprawę, że w mniej niż dziesięć minut zniszczyli połowę sił katafraktów Armii Bitynii.

Ale nie miał czasu, żeby się z tego cieszyć. Zbyt późno zdał sobie sprawę, że przez swoją zuchwałą szarżę na statki nieprzyjaciela, mimo jej skuteczności, postawił siebie i swoich ludzi w śmiertelnie niebezpiecznym położeniu. Zamiast trzymać się na dystans i bombardować nieprzyjaciela z dużej odległości, generał właśnie wpadł w szeregi ich skupionych statków. Na tych jednostkach byli łucznicy, setki łuczników. Tysiące łuczników.

W przeciągu dwóch minut zostaną zasypani chmarami strzał.

Generał usłyszał obrażony głos.

**Mówilem, że tak będzie.**

Nadašana satysfakcja.



## Przepląć im przed nosem. Przepląć im przed nosem.

Walentynian także doszedł do podobnego wniosku.

- Teraz zaangażowaliśmy się w walkę nożem w ciemnym zaułku. Możemy zrobić tylko jedno.

Belizariusz przytaknął. Znał rozwiązanie ich dylematu.

Walentynian go tego nauczył lata temu.

*Zakłuj tego pozbawionego rozumu idiotę pierwszy.*

Odwrócił się do Honoriusza. Twarz marynarza była blada, on także zdał sobie sprawę z niebezpieczeństwa, ale zachował spokój i koncentrację.

- Prosto przed siebie – rozkazał. – Najszybciej, jak się da. Spróbujemy się przebić.

Kiedy wycelował swojego skorpiona w następny statek, kątem oka zobaczył, że Walentynian także ściska swój ą katapultę. Sekundę później skorpion katafrakta podskoczył. Kolejną sekundę później pokład najbliższej *corbita* zamienił się w małe piekło na ziemi, które zdążyło już pochłonąć dwa wylądowane katafraktami *akatoi*.

Walentynian wyszczerzył się jak łasica.

Widząc tę zwycięską minę, Belizariusz z trudem powstrzymał się od uśmiechu. Podczas wieloletnich treningów Walentynian dość często powtarzał Belizariuszowi, jaką głupotą jest walka na noże w bezpośrednim starciu.

Walentynian oczywiście się na tym znał. Tę głupotę popełnił nie raz w swoim życiu. I udało mu się przeżyć, ponieważ był najlepszym nożownikiem w walkach w bezpośrednim starciu, jakiego Belizariusz kiedykolwiek spotkał.

- Gotowe! – usłyszał swojego ładowacza.

Najbliższym statkiem wroga była *corbita*, ale Belizariusz wycelował poza nią, w następny płynący *akatoi*. Bał się katafraktów z łukami bardziej niż zwykłych żołnierzy, posługujących się tą samą bronią.

Wystrzelił. Chybił. Chociaż statek nie przechylał się już w przód i w tył, kołysał się niestety na boki i bomba wylądowała w odległości dwudziestu metrów od prawej burty statku.

Skorpion został załadowany ponownie i Belizariusz natychmiast wystrzelił. I znowu nie trafił, pocisk poszedł tym razem zbyt wysoko. Bomba przeleciała ponad masztem *akatoi*.

Korby kręciły się, mężczyźni ściągający ramiona stękali z wysiłku. Ładowacz szybko położył bombę, a drugi pomocnik zablokował cięciwę i sprawdził spust.

- Gotowe! – zawołał ładowacz. Belizariusz wycelował, tym razem bardzo dokładnie, i pociągnął za dźwignię spustową.

Przez chwilę myślał, że znów wycelował za wysoko, ale jego bomba trafiła w maszt w dwóch trzecich wysokości i *akatoi* natychmiast zalało morze płomieni.

Za sobą słyszał, jak Honoriusz wydaje rozkazy sternikowi. Belizariusz nie rozumiał specjalistycznych słów, wypowiedzianych w tym dziwacznym żargonie, zrozumiałym jedynie dla żeglarzy. Ale już za chwilę, widząc jak zmienia się kurs statku, domyślił się, co Honoriusz zamierza zrobić. Żeglarz także się uczył, dość szybko, niektórych nowych zasad morskich bitew.

*Ten akatoi nie nadaje się do dalszej walki, ale katafrakci ciągle mogą zrobić użytek z luków. Jakie jest rozwiązanie? To proste. Popłyn gdzieś indziej. Trzymaj się poza zasięgiem luków. Niech się spali. Niech się spali i trafi dopiekła.*

Zaczął mówić Walentynianowi, żeby ten najpierw strzelał do *akatoi* z katafraktami na pokładzie, ale zobaczył, że nie ma potrzeby. Walentynian już to robił. Jego następna bomba przeleciała obok *corbita* i poszybowała w kierunku następnego *akatoi*, odległego o prawie pięćset metrów. Walentynian równie dobrze radził sobie ze skorpionem, jak ze swoim łukiem. Celowo strzelił bardzo wysoko, jak zauważył Belizariusz, wiedząc, że strzał w ożaglowanie jest tak samo skuteczny, jak te okropne odbicia od relingu, które powodowały, że bomba toczyła się po pokładzie i zapalała wszystko, co napotkała na swojej drodze.

Kolejny *akatoi* zaczął się gwałtownie palić.

- Gotowe! – zawołał ładowacz

Belizariusz pospiesznie rozejrzał się po zatłoczonym statkami morzu, szukając jednego z dwóch pozostałych *akatoi*.

Nie zobaczył żadnego. Prawdopodobnie skryły się za ciasno płynącymi orbita. Oszalała szarża Belizariusza wprowadziła ich w sam środek floty nieprzyjaciela.

Nie było czasu do stracenia. Jeden ze statków typu *corbita* znajdował się w odległości dwustu metrów. Zwykli żołnierze także potrafili strzelać z łuku. Co prawda, nie tak dobrze, jak katafrakci, ale z małej odległości całkiem nieźle. Już i tak strzały, wystrzelone przez żołnierzy z najbliższego statku, wpadały do wody kilka metrów przed nimi.

Wycelował skorpiona. Chybił. Wystrzelił znowu. Przez przypadek, ponieważ celował w ożaglowanie, udało mu się trafić w reling i podpalić pokład.

Walentynian trafił w kolejny orbita. Potem zaklął. Pocisk poleciał zbyt nisko. Bomba eksplodowała prawie na linii wody. Kadłub wrogiego statku zaczął się palić, ale bardzo powoli.

W pośpiechu Walentynian wystrzelił ponownie. Tym razem zaklął dużo gorzej. Teraz chybił już zupełnie. Pocisk przeleciał kilka metrów ponad pokładem wrogiego okrętu.

W międzyczasie, Belizariusz podpalił ożaglowanie kolejnego orbita. Potem, po dwóch chybionych strzałach, trafił żagle następnego statku.

Teraz byli już zupełnie otoczeni przez wrogie jednostki – kilka z nich znajdowało się w zasięgu strzału z łuku. Posypał się na nich deszcz strzał. Osłony wioślarzy wyglądały niczym jeżozwierze. W swojej małej kabinie na rufie oficer dowodzący statkiem kulił się na podłodze. Cienkie ściany jego schronienia zostały przebite przez kilka grotów, ale nie przestał wydawać rozkazów – głośno i wyraźnie.

Strzały uderzały w bariery drewnianego zamku. Na szczęście, dzięki wysokości, na którą wyniesiono pokład bojowy, żołnierze na nim stojący byli bezpieczni przed płasko wystrzelonymi strzałami z orbita, których burty były niższe. Ale niektóre z tych strzał, wypuszczone przez lepszych, albo po prostu mających więcej szczęścia, leciały większym łukiem.

Jeden z żołnierzy naciągających skorpiona, nagle krzyknął. Nad barierą przeleciała strzała i wbiła się w jego ramię. Upadł, częściowo z bólu, częściowo dlatego, że chciał się schować za niską barierą. Jego zastępca natychmiast podszedł do maszyny i gwałtownie zaczął kręcić korbą.

Podczas wolnych kilku chwil, żeby się czymś zająć i oderwać myśli od nadlatujących pocisków, Belizariusz obserwował, jak Walentynian strzela po raz trzeci do tego samego, jeszcze nie trafionego orbita.

Belizariusz nigdy nie widział, żeby Walentynian w cokolwiek nie trafił trzy razy z rzędu. Teraz też tak się nie stało. Strzał był doskonały. Bomba trafiła w reling prawie na wysokości masztu, zalewając pokład strugą ognia i podpalając olinowanie.

- Gotowe! – zawołał ładowacz. Belizariusz odwrócił się, wycelował... Przebili się przez flotę nieprzyjaciela.

Kątem oka zobaczył ruch. Szybko obrócił skorpioną, wycelował...

W polu jego widzenia pojawił się dromon, pędzący w ich kierunku. Jan z Rodos, stojący na dziobie, wołał potężnym głosem doświadczonego oficera marynarki.

- Czy już zupełnie postradałeś swój pieprzony rozum?! Mogłeś rozwalić na strzępy mój statek!

\* \* \*

Minutę później, kiedy galera przybiła do burty statku, Rodyjczyk przeskoczył reling i przemaszerował przez pokład. Całą drogę, zanim jeszcze dotarł do Belizariusza, gestykułował gniewnie rękami. Wykonywał dziwne ruchy, jakby imitując ucinanie głowy i podrzwanie gardła.

- Co ty sobie myślałeś? – zawołał wściekle. – Co ty sobie myślałeś? – Jan zaczął nerwowo biegać w kółko.-Imbecyl! To jest pieprzony statek artyleryjski! – Jedną ręką zaczęła piłować drugą. – W imię Boga! Nawet jakiś cholerny generał powinien jakoś się tego domyślić! Nawet jakiś pieprzony szczer ładowy! Miałeś się trzymać z daleka od tych zasranych stateczków! Miałeś do nich strzelać, nie zbliżając się zanedo! Ty... ty...

Znowu zaczął przebierać łapskami, jakby kogoś dusił. Belizariusz uśmiechnął się krzywo;

- Miałem przepłynąć im przed nosem, to chciałeś powiedzieć?

Jan otworzył szeroko oczy. Jego dłonie zaprzestały duszenia. Gniew opadł, zastąpiony przez zainteresowanie.

- Hej. To całkiem niezły pomysł. Podoba mi się. Przepłynąć im przed nosem. Dobrze brzmi.

Usłyszał inny głos. Nadąsany. Ale zadowolony z siebie.

**Mówilem ci, żebyś tak zrobił.**

Belizariusz zachichotał.

- Podejrzewam, że moja taktyka wojskowa była nieco prymitywna – przyznał.

W jego umyśle pojawił się obraz.

*Człowiek. Zgarbiony, brudny, ubrany w ledwie wyprawione skóry zwierzęce. W dłoni zaciska toporek. Ostrze broni jest zrobione z rozłupanego kamienia, przymocowanego do trzonka za pomocą surowego rzemienia.*

*Stoi na kłodzie, toczącej się szaleńczo na wodach rwącej rzeki, Walczy wściekle z innym mężczyzną, prawie identycznie uzbrojonym i ubranym, stojącym na tej samej kłodzie.*

*Kamienny toporek przeciwko kamiennemu toporkowi.*

*A przed nimi jest wodospad.*

## **Rozdział 26**

Po tym jak Belizariusz i Walentynian wdrapali się na pokład dromonu, generał popatrzył do góry na Jana z Rodos, stojącego na drewnianym zamku *pamrylosa*.

- Czy jesteś pewien, Janie? – zapytał. Oficer marynarki stanowczo pokiwał głową.
- Płyńcie już, Belizariuszu! – Zawołał. – Powiem tylko tyle – dodał ze złośliwym uśmiechem – prawdopodobnie jesteś najbardziej szalonym kapitanem statku, który kiedykolwiek próbował popełnić samobójstwo, i z pewnością najbardziej zabójczym kapitanem.

Zamachał ręką, obejmując tym gestem prawie połowę Bosforu.

- Zniszczyłeś sześć z ośmiu *akatai* i dodatkowo pół tuzina *orbita*. A ja zatopiłem trzy *corbita* tą galerą. To znacznie więcej niż jedna trzecia armii Egidiusa i prawie trzy czwarte jego katafraktów. Popatrz na nich!

Belizariusz rozejrzał się po Bosforze. Nawet dla jego niedoświadczonego oka szczura lądowego było oczywiste, że nieprzyjacielska flota miota się bezradnie na falach, ogłupiona strachem i zamieszaniem.

Nagła myśl wpadła mu do głowy. Jednakże Jan wypowiedział ją, zanim generał zdążył otworzyć usta.

- Poza tym, myślę, że Egidius nie żyje. Prawdopodobnie był na pokładzie jednego z *akatoi*, co oznacza, że jego szansę przetrwania były jak jeden do trzech.

Belizariusz przytaknął.

- To co się tam dzieje, o ile potrafię dobrze rozumieć poruszenia statków, wskazuje na to, że mamy do czynienia z armią pozbawioną dowódcy.

Jan prychnął.

- Wyglądają jak małe kaczątka, pozbawione matki, miotające się ze strachu w kałuży wody. – Znowu zamachał ręką. – No już, płyn, Belizariuszu. Teraz jesteś potrzebny w Konstantynopolu, nie tutaj. Dromon zawiezie cię na wybrzeże szybciej, niż dotrze tam którykolwiek z tych statków. A ja, w międzyczasie – poklepał skorpiona, stojącego tuż obok niego, na jego usta powróci! zły uśmiech – będę kontynuował twoje dzieło i zaszczepię w ich sercach bojaźń bożą. Ale z większej odległości – dodał ze wściekłym spojrzeniem. – Jak każdy rozsądny dowódca.

Belizariusz uśmiechnął się i odwrócił. Potem, słysząc następne słowa Jana, uśmiechnął się szeroko.

- Przepłynąć komuś przed nosem. Podoba mi się!

Na znak generała, oficer dowodzący wiosłarzami, nazywani *keleustes*, co dosłownie znaczyło „wydający rozkazy”, zaczął nadawać tempo. Wiosła galery zanurzyły się w wodzie i dromon popłynął ku wybrzeżu.

Przez jakiś czas Belizariusz obserwował statki wroga, kołyszące się bezradnie na wodach cieśniny. Zauważył, że jednostki, które znajdowały się najbliżej statku artyleryjskiego Jana, próbowały uciec przed prześladowcą. Jeden z nieprzyjacielskich statków najwyraźniej miał już dosyć. *Corbita* zmierzał prosto do Chalcedonu, portu po azjatyckiej stronie cieśniny.

Niebawem pół tuzina *orbity* podążyło za pierwszym. Pośród pozostałych statków wroga ciągle panowało zamieszanie. Mała grupka jednostek, było ich co najwyżej siedem, prowadzona przez ocalałe *akatoi*, kierowała się ku Portowi Cezarejskiemu. Ktoś spośród ocalałych katafraktów Armii Bitynii, możliwe, że sam Egidius, ale bardziej prawdopodobnie jeden z jego dowódców, najwyraźniej zdecydował się na kontynuację zdradzieckiego planu. Ale, teraz już ostrożniejsi, postanowili wylądować w nieco odleglejszym porcie.

Nieartykułowany okrzyk triumfu, pochodzący z gardła Menandra, przyciągnął wzrok Belizariusza z powrotem do głównej floty. Zauważył, że jeden *corbita* w tym kłębiącym się tłumie statków, stanął w płomieniach. To Jan wystrzelił swój pierwszy pocisk.

Wreszcie zdradziecka flota podjęła jakąś decyzję-w przeciągu minuty większa część statków nieprzyjaciela zaczęła uciekać przez Bosfor w kierunku Chalcedonu. Tylko cztery jednostki, wraz z jedynym ocalałym *akatoi* z katafraktami, zdecydowały się płynąć do Portu Cezarejskiego.

Belizariusz zauważył zbliżającego się Aszota. Aszot był armeńskim katafraktem, który dowodził małym oddziałem, wysłanym przez Antoninę do Egiptu na spotkanie Belizariusza. Antonina i Maurycy wybrali go do tego zadania między innymi dlatego, że Aszot jako jeden z niewielu katafraktów generała miał niejaki doświadczenie w żeglowaniu.

- Co o tym sądzisz? – zapytał.

Aszot natychmiast zrozumiał wszystkie aspekty pytania. Armeńczyk pokazał na statek Jana.

- Gdybym był na miejscu Jana, popłynąłbym za statkami, uciekającymi do Chalcedonu. Ścigałbym je bez litości. Rozbiłbym je w drobny mak. A te, które płyną do Portu Cezarejskiego, zostawiłbym dla Sitasa i Hermogenesa. Nie powinni mieć z nimi żadnego kłopotu.

Przez chwilę Aszot mierzył wzrokiem jedenaście statków, zmierzających do najbardziej na zachód wysuniętego portu Konstantynopola na południowym brzegu.

- Dwa *akatoi* – mruknął. – I dziewięć *orbity*. Żeby nie przeszarżować, liczymy trzystu katafraktów i trzy tysiące piechoty. Przeciwno pięciuset katafraktom Sitasa i dwóm tysiącom piechoty Hermogenesa.

Aszot splunął do wody.

- Owieczki, idące ma rzeź – podsumował.

Belizariusz uśmiechnął się, widząc dziki wyraz twarzy Armeńczyka. Potem, ciekaw jego reakcji, wtrącił swoje trzy grosze.

- Ale piechoty jest więcej, będą mieć ciężką przeprawę.

Armeńczyk prychnął.

- Chyba żartujesz! Przeciwno piechocie Hermogenesa? – Katafrakt stanowczo potrząsnął głową. – Nie było cię ponad półtora roku, generale. Nie widziałeś, co Hermogenes zrobił ze swoimi oddziałami. A te, które zabrał ze sobą do Konstantynopola, są jego najlepszymi. Najlepsza rzymska piechota od czasów Pryncypatu. Przegryzą się w jeden moment przez te bityńskie śmieci.

Belizariusz kiwnął głową. Nie był zaskoczony. Ale nie ukrywał, że jest zadowolony.

- Ponadto wróg nie będzie miał serca do walki – dodał Aszot. – Zagubiony, prawdopodobnie bez dowódców... przerażone nic.

Ponownie splunął do morza.

- Owieczki, idące ma rzeź. Owieczki, idące ma rzeź.

Belizariusz zobaczył, że Jan najwyraźniej doszedł do tego samego wniosku, co Aszot. Statek artyleryjski właśnie zawrócił i ruszył w pościg za *orbita*, uciekającymi do Chalcedonu.

- Czy dogoni któregokolwiek z nich? – zapytał.
- Nie ma szans – odparł natychmiast Aszot. – Żeglują prawie z wiatrem. Teraz cięższe *corbita* z ich kwadratowymi żaglami mają prze wagę nad galerą Jana, szczególnie, że jego wioślarze są już zmęczeni. Ale kiedy dotrą do Chalcedonu, znajdą się w pułapce. Jan może się ustawić u wejścia do portu i bezkarnie ich bombardować. Zamieni całą tę ich flotę w kupę drzazg.

Kolejne splunięcie.

- Armia Bitynii już wypadła z gry, generale. Z wyjątkiem tych paru stateczków, uciekających na południowy brzeg Konstantynopola.

Przez chwilę Belizariusz przyglądał się stojącemu obok katafraktowi. Podążył za spojrzeniem Armeńczyka, który obserwował teraz statki wroga, płynące w kierunku Portu Cezarejskiego.

Belizariusz nagle podjął decyzję.

- Za kilka miesięcy, Aszocie, będę awansował kilku swoich żołnierzy na setników. Ty jesteś jednym z nich.

Armeńczyk szerzej otworzył oczy. Gapił się na generała.

- Ale przecież masz tylko jednego setnika i jest nim Maurycy. A ja nie... – Aszot zaczął szukać odpowiednich słów. Podobnie jak wszyscy katafrakti Belizariusza, darzył Maurycyego ogromnym szacunkiem.

Belizariusz uśmiechnął się.

- Och, Maurycy także będzie promowany. Zostanie chiliarchem. Aszot ciągle wytrzeszczał oczy, Belizariusz potrząsnął głową.
- Nadeszły nowe czasy, Aszocie. Zawsze myślałem, że parę setek katafraktów jako osobista ochrona w zupełności mi wystarczy. Ale wśród wielu nowych rzeczy, których się nauczyłem podczas podróży do Indii jest to, że Malawianie nie mają wyspecjalizowanych, elitarnych jednostek. A przynajmniej nie mają takich, na których mogą polegać. To rzymska przewaga nad nimi i zamierzam ją wykorzystać najlepiej jak się da.

Zamyślony, potarł podbródek.

- Pięć tysięcy katafraktów. Siedem, jeżeli to możliwe. Oczywiście nie od razu... chcę, żeby byli elitarnymi jednostkami, a nie ciepłymi kluchami. Ale taki jest mój cel. – Uśmiechnął się krzywo. – Prawdopodobnie niebawem sam wywindujesz się na chiliarchę. Będę potrzebował kilku do mojej nowej armii, a Maurycy będzie głównodowodzącym.

Aszot znowu szukał odpowiednich słów.

- Nie wydaje mi się... to bardzo wielu Traków, generale. Pięć tysięcy? Siedem tysięcy? – Zawahał się. – A ja jestem Armeńczykiem. Ja koś się dogaduję z Trakami, którzy już są w oddziale, to prawda. Ale oni znają mnie już dość długo. Ale nie jestem pewny, czy nowi traccy chłopcy będą zadowoleni, jeżeli jakiś Armeńczyk zacznie...
- Jeżeli nie będą w stanie tego strawić – przerwał mu szorstko Belizariusz – przybiję ich za uszy do deski. – Jego uśmiech powrócił. – Poza tym, kto powiedział, że oni wszyscy będą Trakami? – Zachichotał, widząc, jak Aszot marszczy brwi.
- Nie mam czasu ani cierpliwości, żeby zajmować się żołnierzami o delikatnych uczuciach. Chcę mieć pięć tysięcy katafraktów, najlepszych katafraktów na świecie, i to tak szybko, jak tylko się da. Spora część armii, prawdopodobnie większość, będzie Trakami. Ale pomiędzy nimi znajdzie się sporo Illyryjczyków i tak wielu Izauryjczyków, ilu tylko znajdziemy i ilu się zgodzi zostać katafraktami. Izauryjczycy są twardzi jak stal. Poza tym... – Wzruszył ramionami – Każdy kto dobrze walczy i chce zostać katafraktem, może się zaciągnąć. Grecy, Armeńcy, Egipcjanie, barbarzyńcy... nawet Żydzi. Mnie jest wszystko jedno.

Aszot przemógł już pierwsze zaskoczenie i teraz w zamyśleniu szarpał się za brodę.

- To będzie kosztowało, generale. Pięć tysięcy katafraktów... na wet jeżeli nie będziesz tak hojny, jak zwykle... to daje...

Przerwał, coś sobie przypomniawszy. Widział skarb Malawian, który Belizariusz przywiózł ze sobą z Indii. Co prawda, generał podarował trzy czwarte tej fortuny Szakuntali, Ale resztki i tak stanowiły królewski okup dla każdego, z wyjątkiem imperatora z pełnym skarbem.

Aszot kiwnął głową.

- Tak, stać cię na to. Nawet ze sporym żołdem i kupnem ekwipunku dla wszystkich, wystarczy, żeby stworzyć armię z pięciu tysięcy katafraktów i utrzymać ją przez co najmniej cztery lata. A potem...
- A potem – przerwał mu Belizariusz zimno – albo będziemy mieć całą furę łupów, albo

wszyscy będziemy martwi.

Aszot pokiwał głową.

- Nadeszły nowe czasy – mruknał.

Krzyk Anastazjusza przyciągnął ich uwagę.

- Tam jest Sitas! Widzę go!

Belizariusz i Aszot popatrzyli przed siebie. Dromon właśnie wypływał zza podwójnego falochronu przez przerwę, która wyznaczała wejście do małego Portu Hormisdasa, prywatnej przystani imperatora Rzymu. Za portem wznosiły się wzgórza Konstantynopola. Wielki Pałac, chociaż położony niedaleko, krył się za pobliskim pagórkiem. Ale mogli zobaczyć górne poziomy Hipodromu. I mogli usłyszeć pomruk tłumu, który się tam gromadził.

Belizariusz opuścił wzrok i spojrzał na wielką postać, stojącą na najbliższym pomoście.

Z pewnością był to Sitas. Obok niego stali Hermogenes i Irena. Kiedy podpłynęli bliżej, Sitas wrzasnął.

- Co ci tak długo zeszło? Czy nie wiesz, że my tu mamy wojnę? Wyglądał jak rozszoszczony odyniec.

\* \* \*

Tłum także był rozszoszczony. W ławkach na Hipodromie gęsto siedzieli uzbrojeni mężczyźni. Oczywiście Niebiescy po jednej stronie, a Zieloni po drugiej. Nawet podczas tak niecodziennego sojuszu, przywódcy frakcji byli na tyle mądrzy, żeby nie mieszać ze sobą swoich ludzi.

Balban, przyglądający się sytuacji, był zachwycony. Narses, który stał obok niego, wręcz przeciwnie.

- Prawie czterdzieści tysięcy ludzi! – wykrzyknął malawiański szpieg. – Miałem nadzieję na trzydzieści, w najlepszym razie.

Narses z trudem powstrzymał się od dodania: A ja *obawiałem się*, że będzie ich więcej niż dwadzieścia tysięcy. Ale na szczęście nie powiedział tego głośno. Kolejna bezsensowna kłótnia i tak nic tu nie pomoże.

Balban odszedł, żeby zażegnać jakąś małą awanturę pomiędzy członkami dwóch frakcji. Narses i Adzasutra pozostali, stojąc na ufortyfikowanej łoży na południowo-wschodnim krańcu Hipodromu, którą nazywano *kathisma*.

Narses obejrzał się przez ramię. W głębi łoży znajdowały się zamknięte drzwi. Te drzwi były jedynym wejściem do *kathisma*, nie licząc ściany, po której można było wdrapać się od frontu. Za drzwiami znajdował się kryty pasaż, który bezpośrednio łączył łożę imperatora z Wielkim Pałacem.

W tej chwili drzwi były zabarykadowane z obu stron. Po swojej stronie Narses zobaczył ośmiu kszatryjasów stojących na warcie. Po drugiej stronie, jak wiedział, znajdowało się znacznie więcej strażników imperatora, nerwowo zaciskających dłonie na rękojeści broni.

Przejście z Hipodromu do Wielkiego Pałacu stało się teraz granicą pomiędzy Justynianem a tymi, którzy pragnęli odsunąć go od władzy.



Narses odwrócił wzrok. Ta granica też upadnie, i to niebawem. Zburzy ją kolejna zdrada. Niski głos Adzasutry przerwał jego rozmyślania.

- Nie wydaje mi się, żebyś podzielał entuzjazm Balbana, jeżeli chodzi o ten wielki tłum.

Narses parsknął.

- Pozwól, że wyjaśnię ci naturę frakcji Hipodromu, Adzasutro. Za równo Zieloni, jak i Niebiescy posiadają w swoich szeregach po około pięć tysięcy opryszków, którzy rzeczywiście przedstawiają jakąś wartość jako uliczni zabijacy. To woźnice i ich pomocnicy. Hazardziści i wymuszacze. Ludzie tego rodzaju. Poważni przedsiębiorcy.

Machnął ręką, obejmując gestem całą wielką przestrzeń Hipodromu.

- To właśnie oni mają ze sobą prawdziwą broń, dobrze wykonane miecze i włócznie. Noszą także hełmy. Niektórzy mają nawet jakieś elementy zbroi.

Zacisnął usta.

- Następnie, każda z frakcji ma kolejne pięć tysięcy ludzi, co najwyżej, którzy jakoś sobie radzą w bójkach. W bójkach na poziomie przepychanki w karczmie, jeżeli już o to chodzi. Reszta...

Jego wyprostowany palec wykonał mały, kołyszący gest. Gest poniżający, pogardliwy i prawie obsceniczny.

- To zwykle szumowiny. Padlinożercy, przyciągnięci smrodem gnijącego mięsa.

Narses opuścił rękę. Jego prychnięcie zamieniło się w jęk.

- Pamiętam jedną rozmowę z Belizariuszem. Generał powiedział mi, że jedną z najgorszych pomyłek, jaką ludzie robią na polu walki, jest mylenie ilości z jakością. Wielka, niekompetentna armia, powiedział mi wtedy, szkodzi bardziej sobie samej niż wrogowi. A kiedy dojdzie do przegranej, panika tłumu udziela się także dobrym żołnierzom.

Narses westchnął.

- Więc miejmy nadzieję, że nie dojdzie do porażki. Nie ufałbym tej bandzie, kiedy poczuje szczypanie w pośladki, bardziej niż gromadzie szczurów.

Adzasutra wzruszył ramionami.

- Narsesie, nie zapominaj o jednym. Ciągłe mamy cztery setki kszatryjasów, którzy ostudzą trochę ten tłum, A do tego wedyjską broń. To zagrzeje opryszków do walki.
- Niebawem się dowiemy. – Narses znowu pokazał palcem. Tym razem gest ten miał na celu tylko zwrócenie uwagi towarzysza. – Patrz tam. Już skończyli ustawiać rakiety.

Adzasutra popatrzył w kierunku, wskazywanym przez palec. Na dalekim, północno-zachodnim krańcu Hipodromu, gdzie tor wyścigowy zakręcał, malawiańscy kszatryjasi wznieśli kilka wyrzutni rakiet na brudnym piasku areny. Wyrzutnie skierowane były w górę pod takim kątem, by pociski z nich wystrzelone przeleciały ponad całą długością Hipodromu.

Balban chciał scementować przymierze z frakcjami, demonstrując im siłę wedyjskiej broni. Szpieg był przekonany, że Rzymianie, widząc rakiety, poczują respekt zaprawiony strachem. Narses nie do końca się z nim zgadzał. Na swój własny prymitywny sposób większość zabijaków z Hipodromu była nieźle wykształcona. W końcu wszyscy mieszkali w Konstantynopolu.

Ale eunuch nie próbował powstrzymać Balbana. Nie sądził, by opryszki poczuły respekt przed nową bronią, ale na pewno będą pod wrażeniem siły i potęgi tych nowych dla nich urządzeń.

Patrząc, jak ostatni członkowie frakcji Zielonych i Niebieskich usuwają się z ławek, Narses uśmiechnął się. Balban zapewniał widzów, że rakietka przeleci ponad południowo-zachodnią ścianą Hipodromu i nikomu nie wyrządzi krzywdy, ale opryszki nie zamierały ryzykować. Cała południowo-zachodnią część Hipodromu nagle opustoszała.

U podstawy wyrzutni kszatryjasi zaczęli układać wiązki słoniowych skór, które moczyli wodą, nabraną z pobliskiej fontanny. Na Hipodromie znajdowało się mnóstwo takich fontann, zasilanych przez mały akwedukt. Ta sama woda została użyta do zamoczenia drewnianych palisad, które kszatryjasi wznieśli za wyrzutniami. Mimo zapewnień o bezpieczeństwie broni, kszatryjasi mieli zbyt wiele doświadczenia i nie zamierzali ryzykować życia, obsługując rakiety bez osłony. Podczas strzału większość malawiańskich żołnierzy chowało się za mokrymi drewnianymi palisadami.

- O, tam idzie Hypacjusz – oznajmił Adzasutra. – Z Pompejuszem.

Narses popatrzył na schodki, prowadzące z areny Hipodromu do imperialnej loży. Stopnie kończyły się sporą platformą tuż przed frontem *kathisma*. Ze względów bezpieczeństwa, z areny Hipodromu nie można było bezpośrednio wejść do loży, ale biorący udział w zawodach mogli salutować imperatorowi, stojąc właśnie na tej platformie, i odbierać gratulacje od dostojnej osoby, siedzącej na tronie ponad nimi, i odseparowanej od jakichkolwiek potencjalnych zabójców ścianą o prawie trzymetrowej wysokości.

Wspinając się po tych kamiennych stopniach w towarzystwie Balbana, zbliżało się dwóch siostrzeńców poprzedniego imperatora, Anastazjusza. Twarze Pompejusza i Hypacjusza były pobladłe ze strachu. Ich nogi potykały się o stopnie, usta drżały. Ale i tak przyszli. Chciwość i ambicja w końcu przemogły lęk.

- Wreszcie – zrzędliwie mruknął Narses.

Minutę później nowo przybyli zostali wciągnięci po ścianie do imperialnej loży. Królewscy siostrzeńcy ledwo zdołali się tam wdrapać, mimo pomocy kilku kszatryjasów. Balban, chociaż był dość gruby, dał sobie radę całkiem łatwo.

Widząc minę Narsesa, Balban uśmiechnął się radośnie.

- Jesteś strasznym pesymistą, mój przyjacielu. Cóż za ponury człowiek! Wszystko już jest gotowe. Frakcje się zebrały. Kszatryjasi są tutaj. Nowy imperator też już przybył. Armia Bitynii nadciąga, a Kapadocjan właśnie zamierza wślizgnąć się do Wielkiego Pałacu.

Nagle, spoza zabarykadowanych drzwi do pałacu, dobiegły ich głośne krzyki. To krzyczeli

zaniepokojeni strażnicy. A potem stal zaczęła uderzać o stal.

Balban z szerokim uśmiechem rozłożył ręce.

- Widzicie? Jan. właśnie spuścił ze smyczy swoich żołnierzy wewnątrz pałacu. Co mogłoby teraz pójść nie tak?

\* \* \*

Ostateczna zdrada Jana z Kapadocji, kiedy już ujrzała światło dzienne, okazała się brutalnie prosta.

Stał na podłodze małej audiencyjnej sali, gdzie Justynian zwołał radę nadzwyczajną, gwałtownie zaprzeczając oskarżeniom Teodory,

- To kłamstwa, wszystko kłamstwa, Wasza Wysokość... przysięgam, że mówię prawdę! Strażnicy w tym pomieszczeniu – machnął ręką w kierunku żołnierzy uzbrojonych we włócznie, którzy stali pod ścianami i za tronem – są najlepszymi z twojej osobistej straży.
- I ty zresztą ich wybrałeś – sarknęła Teodora.

Jan rozłożył ręce uspokajającym gestem.

- To przecież moja rola jako że jestem prefektem pretorów.

Justynian stanowczo kiwnął głową. Pięciu ministrów, zebranych w pomieszczeniu, powtórzyło ten gest, chociaż z większą subtelnością. Nie mieli zamiaru narażać się na gniew Teodory.

Imperatorowa zignorowała ich. Teodora podniosła się z tronu i wycelowała palec w kierunku Kapadocjana. Jej głos, mimo miotającej ją furii, był zimny i prawie spokojny.

- Jesteś zdrajcą, Janie z Kapadocji. Irena Macrembolitissa powie działa mi, że udało ci się przekupić dwunastu pałacowych strażników.

Nagle za zamkniętymi drzwiami sali narad rozległ się hałas, wskazujący jednoznacznie na toczącą się za nimi walkę. Jan z Kapadocji na chwilę odwrócił głowę. Kiedy znów popatrzył na imperatorową, uśmiechał się.

- Ona się myli, imperatorowo.

Kapadocjan wykonał szybki, przypominający cięcie, ruch dłonią.

Czterech strażników, stojących w tyle pomieszczenia, podskoczyło naprzód i złapało imperatora i imperatorową za ramiona, przyciskając ich do tronów. Dziesięciu innych, którzy stali pod ścianami, natychmiast złapało za włócznie i przebiło nimi pozostałych sześciu strażników. Ten atak był tak szybki i bezlitosny, że tylko jeden z imperialnych żołnierzy zdołał odtrącić pierwsze pchnięcie. Ale umarł chwilę później, kiedy ostrze włóczni za drugim razem wbiło się pod jego ramię.

- Myli się. Przekupiłem czternastu! – zarechotał Jan z Kapadocji.

Dziesięciu zradzieckich strażników natarło teraz na pięciu ministrów. Czterech, sparaliżowanych ze strachu i zaskoczenia, nawet nie zdołało się poruszyć. Umarli tam, gdzie stali, z otwartymi ustami i wytrzeszczonymi oczami.

- I, jak to się zdarza – chichotał prefekt pretorów – cała czternastka jest właśnie w tym pokoju.

Piąty minister, przewodniczący notariuszy, był sprytny. Mimo zaawansowanego wieku i wyglądu urzędnika, sprawnie uniknął uderzenia włócznią i skoczył do drzwi. Udało mu się położyć rękę na klamce, zanim rzucona włócznia uderzyła go w plecy. Chwilę później dwie kolejne wbiły się w osuwające się ciało.

Nawet wtedy minister próbował jeszcze drżącą dłonią otworzyć drzwi. Ale najbliższy ze zdradzieckich strażników podskoczył do niego i okrutnym uderzeniem miecza odrąbał mu głowę.

Jan patrzył, jak głowa ministra toczy się i zatrzymuje na nierówności podwiniętego dywanu.

- Oczywiście, zadbałem o to, żeby dzisiaj zebrali się tutaj wszyscy. To moja praca, wiecie. Jestem prefektem pretorów.

Uśmiechnął się do imperatora i imperatorowej. Justynian milczał, poblady ze zdumienia, bezwładny w rękach swoich strażników. Teodora także przestała walczyć z trzymającymi ją dłońmi, ale nie była ani blada, ani milcząca.

- Tylko czternastu zdrajców? – wysyczała wściekle. – To daje pięć setek lojalnych strażników pałacowych, którzy poderzną ci gardło!

Jan z Kapadocji roześmiał się wesoło. Z drwiącym ukłonem zamachał rękaw kierunku drzwi, prowadzących na korytarz. Mniej niż pięć sekund później drzwi otworzyły się z hukiem. Pokryci krwią żołnierze wpadli do sali audiencyjnej. Uśmiechali się szeroko i z triumfem potrząsali zakrwawionymi mieczami. Nosili na sobie mundury w barwach osobistej ochrony Jana z Kapadocji.

- Już wszyscy, Janie! – zawołał jeden z jego dowódców. – Przysięgam... wykończyliśmy wszystkich!
- Nie wszystkich – zaprzeczył jeden z jego towarzyszy. – Kilku strażników zabarykadowało się w mennicy. I cała ochrona Teodory jest w Gynaecium.
- Załatwcie ich – rozkazał prefekt pretorów.
- Jego żołnierze natychmiast wybiegli z pokoju.

Jan zwrócił się ponownie do pary królewskiej. Teodora splunęła na Kapadocjana. Jan wytarł ślinę, a potem popatrzył na imperatorową z radosnym uśmiechem, zanim przeniósł wzrok na Justyniana.

- Zróbcie to – rozkazał.

Dwóch strażników, trzymających Justyniana zwlokło imperatora z jego tronu i zrzuciło go z podium na pokrytą dywanem podłogę sali. Trzeci strażnik brutalnie kopnął Justyniana od tyłu w kolana i przewrócił go. Chwilę później imperator klęczał zgięty w pół. Złapali go za ramiona. Inny strażnik zrzucił mu tiarę z głowy, złapał Justyniana za włosy i odciągnął głowę imperatora do tyłu.

Oczy Justyniana napotkały wzrok kata, wchodzącego właśnie do pomieszczenia przez boczne drzwi. Mężczyzna trzymał w dłoniach żelazny pręt. Na rękach miał rękawice, a końcówka pręta

żarzyła się na czerwono.

Imperator wiedział, że to ostatnia rzecz, jaką będzie mu dane widzieć w życiu. Nie miał nawet czasu, żeby zacząć krzyżeć, zanim pręt zagłębił się w jego lewym oku. Chwilę później ten sam los spotkał prawe. Kat był szybki i znał dobrze swoje rzemiosło.

Wydawało się, że krzyk imperatora podczas kaźni porusza ściany małego pomieszczenia. Ale nie trwał długo. W przeciągu sekundy ogromny ból odebrał Justynianowi przytomność. Strażnik, trzymający jego głowę, zwolnił chwyt. Chwilę później puścili go pozostali mężczyźni – imperator upadł na podłogę.

Nie było krwi. Rozpalony do czerwoności pręt wypalił okropne rany i zamknął naczynia tak szybko, jak je otworzył.

Co Jan z Kapadocji natychmiast podkreślił.

- Widzisz, jaki jestem miłosierny, Teodora? – zapytał stanowczo. Znów uklonił się szyderczo. – Inny człowiek, na przykład tak okrutny i nikczemny, jak ja w twoim mniemaniu, zabiłby twojego męża. Aleja usatysfakcjonowałem się samym oślepieniem. I to jak zgrabnym, zauważ! – dodał radośnie. – To naprawdę wielka sztuka, wiesz – powiedział z beztróskim znanstwem konesera. – Większość ludzi tego nie docenia. Bardzo trudno jest oślepić człowieka, nie powodując przy tym jego śmierci. Przeciętny kat zabija dziewięciu na dziesięciu. – Pokazał na mężczyznę w rękawicach, który oślepił imperatora. – Ale ja używam tylko najlepszych! Najlepszych z najlepszych! Oceniam, że – przerwał, przyglądając się z wystudiowaną uwagą ciału Justyniana, rozciągniętemu na podłodze – twój mąż ma szansę jak... jeden do trzech!

Teodora nie odezwała się ani słowem. Nie patrzyła na Justyniana. Po prostu nie odrywała wzroku od Jana z Kapadocji. Jej oczy były czarne jak wrota piekieł.

.Nawet Jan, w godzinie triumfu, nie mógł patrzeć bez mrugnięcia w te oczy.

- Możesz sobie teraz schować swoje wyniosłe miny do kieszeni, ty suko – warknął. Pokazał na Justyniana.
- Szansa jak jeden do trzech, jak powiedziałem. Chyba, że natychmiast zajmie się nim lekarz. Potrzebuje najlepszej opieki medycznej.

Prychnął.

- Którą, oczywiście, mogę mu zapewnić. Cóż za zbieg okoliczności. Ale nie za darmo.

Teodora nie odezwała się. Jej piekielne spojrzenie ani na moment nie zelżało.

Jan odwrócił wzrok. Jego oczy spoczęły na Justynianie. Kapadocjan wydawał się czerpać siłę z tego żalostnego widoku. Chociaż jego oczy omijały Teodorę, jego głos był zimny i pełen zdecydowania.

- Teraz, kiedy jest ślepy, Justynian nie może być imperatorem. Znasz prawo rzymskie, Teodoro. Żaden okaleczony człowiek nigdy nie może nosić purpury. Ani senat, ani lud, ani armia go nie zaakceptują. Jako imperator jest skończony.

Szyderstwo powróciło pełną mocą. Ale Jan dalej unikał wzroku Teodory.

- Ty, tylko ty możesz ocalić mu życie. Takie, jakie mu pozostało. Jeżeli nie będziesz sprawiać kłopotów. Jeżeli publicznie obwołasz Hypacjusza nowym imperatorem.

Kiedy Teodora wreszcie przemówiła, jej głos pasował doskonale do jej spojrzenia. Głos rodem z piekła.

- Nie zrobię żadnej z tych rzeczy. Jeżeli przyprowadzisz do mnie tego robaka Hypacjusza, napluję na niego. Jeżeli zawleczesz mnie do Hipodromu, przeklnę go w obliczu tłumów.

Wyrwała prawe ramię z uścisku strażników, którzy ją trzymali. Pokazała na Justyniana.

- Wszystko, czego dokonałeś, to oślepienie człowieka, który i tak pewnego dnia zostałby oślepiony przez samą śmierć. Straszysz, że go zabijesz, chociaż nikt nie może żyć wiecznie. Więc go zabij. Zabij mnie wraz z nim. Ja jestem imperatorową. Prędeż umrę, niż wydam z siebie chociaż jęk.

Szarpnęła się na tronie.

- Jest antyczne powiedzenie, które ma w sobie wiele prawdy. Brzmi ono: królewskie pochodzenie jest bardzo ładnym całunem.

Spojrzała na niego piekielnym wzrokiem.

- Więc zabij mnie i jego, ty zdrajco – zasyczała wściekle. – Zabij nas, ty tchórze.

Jan zacisnął pięści, otworzył usta. Ale zanim powiedział choć słowo, jeden z jego żołnierzy wpadł do pokoju. Zatrzymał się, tracąc równowagę na skotłowanym dywanie i prawie upadł. Z jego czoła lał się pot. Łapał z trudem powietrze.

- Armia Bitynii została napadnięta na morzu! – połowicznie wyszeptał, połowicznie wyskrzecztał. – Połowa statków spłonęła! Większość tych, którzy przeżyli, uciekła z powrotem do Chalcedonu.

Zakrztusił się.

- Mówią, że w kierunku Hipodromu podąża jakaś armia. Katafrakci. Mówią... – zawahał się – że ta dziwka Antonina ich prowadzi. I mówią... – wychrypiał – że Belizariusz jest w Konstantynopolu.

Głośny śmiech Teodory miał w sobie tyle samo radości, co rechot szatana.

Śmiech rodem z piekła.

- Wszyscy już jesteście martwi. Zabijcie nas, zdrajcy! Zróbcie to, tchórze! Zanim zajdzie słońce, spotkamy się w piekle. To równie pewne, jak to, że słońce wschodzi na wschodzie.

Każdy ze zdrajców w pomieszczeniu gapił się na imperatorową.

Jan z Kapadocji był sławny z powodu swoich szyderstw. Ale drwiny Teodory, w porównaniu z

jego własnymi, były jak kły tygrysa w porównaniu do ząbków gryzonia.

- Zróbcie to, tchórze. Pochwalcie się Belizariuszowi, że zabiliście jego imperatora i imperatorową. Zróbcie to! Opowiedzcie lojalnemu człowiekowi o waszej zdradzie. Zróbcie to! Powiedzcie człowiekowi honoru, że jesteście mordercami. Nie wahajcie się!

Po tym, jak nabije wasze głowy na włócznie. Po tym, jak wasze mózgi zgniją w waszych czaszkach. Zetrze wasze kości na proch. Nakarmi nimi trackie kundle. Wymaże wasze groby psim gównem.

Zapadła cisza.

- Zróbcie to, tchórze. Zabijcie nas, zdrajcy.

Jan prychnął w bezsilnej złości.

- Trzymajcie ich tutaj! – rozkazał strażnikom. – Dopóki nie wrócę!

Wypadł z pomieszczenia, a za nim podążył jego żołnierz. Kiedy dotarł do drzwi, prawie biegł. Kiedy już był na korytarzu, zaczął pędzić. Ale głos Teodory był szybszy.

- Będę na ciebie czekać w otchłani potępionych, Janie z Kapadocji! Zanim szatan się tobą zajmie, wypalę ci oczy moją uryną!

Kiedy Kapadocjan wyszedł, Teodora spojrzała wreszcie na leżącego Justyniana.

- Puśćcie mnie – rozkazała.

Z wahaniem, ale prawie natychmiast, jakby ustępując przed siłami natury, strażnicy rozluźnili chwyt. Teraz byli zdrajcami, ale zbyt długo pełnili funkcję imperialnych strażników, żeby zlekceważyć ten głos.

Imperatorowa wstała i zeszła z podium na podłogę. Uklękła obok Justyniana. Imperator ciągle nie odzyskał przytomności. Pewnie, ale delikatnie, Teodora wzięła go w ramiona. Odsunęła jego włosy z okaleczonej twarzy i popatrzyła na wielkie, puste jamy, które kiedyś były oczami jej męża.

Kiedy przemówiła, jej głos był pozbawiony wszelkich emocji. Był po prostu zimny, bardzo zimny.

- W sąsiednim pokoju jest wino. Przynieście je, zdrajcy. Muszę prze myć jego rany.

Natychmiast, coś w rodzaju humoru pojawiło się w tonie jej głosu. Był to zimny humor.

- Przyszłam tutaj z ulic Aleksandrii, Czy myślicie, że nigdy wcześniej nie. widziałam oślepiętego człowieka? Czy myślicie, że boję się śmierci i bólu?

Humor zniknął. Lód pozostał.

- Przynieście mi wino. Natychmiast, wy tchórze.

Dwóch strażników popędziło wykonać jej rozkazy. Przez chwilę przepychali się w drzwiach, aż w końcu ustalili, który ma iść przodem.

Minutę, później, jeden ze strażników wrócił z dwoma butelkami. Drugi się nie pojawił.

Teodora zmoczyła rąbek swoich królewskich szat w winie. Delikatnie zaczęła przemywać rany Justyniana.

Człowiek, który przyniósł wino, wymknął się przez drzwi. Mniej niż minutę później zniknął następny. Potem jeszcze jeden. Potem dwóch.

Teodora nawet nie podniosła wzroku. Znowu ubyło jednego. I kolejnego. Kolejnych dwóch.

Kiedy w pomieszczeniu zostało tylko czterech strażników, imperatorowa, ciągle nie podnosząc głowy, wymamrotała jakby do siebie.

- Wszyscy jesteście martwi.

Głos jak z piekła.

Wszyscy czterej wypadli w pomieszczenia. Ich kroki w korytarzu odbiły się echem w pustej sali. Najpierw tylko bardzo szybko szli. Niebawem zaczęli biec.

Teodora podniosła głowę. Patrzyła na drzwi, przez które wybiegli zdrajcy.

Patrzyła piekielnym wzrokiem.

- Wszyscy jesteście martwi – wysyczała. – Gdziekolwiek pójdziecie, wytropię was. Gdziekolwiek się ukryjecie, znajdę was. I każę wy kłuć wam oczy. I zatrudnię do tej roboty najbardziej niezdarne kato na świecie.

Spuściła głowę i popatrzyła czarnymi oczami na twarz swojego męża.

Powoli, bardzo powoli, piekielne spojrzenie znikło. Po jakimś czasie pierwsza łza spadła na twarz Justyniana.

Łez nie było wiele. W zasadzie całkiem mało. Zmieszały się z winem, którym Teodora przemywała rany swojego męża, jakby one same także posiadały twardą naturę wina. Mała, stale płynąca strużka łez, płynąca z najmniejszego i najtwardszego, i najbardziej stałego serca na świecie.

## **Rozdział 27**

Pierwsza rakietą zachwyciła tłum na Hipodromie. Szczęśliwie, pocisk poleciał prawie prosto i eksplodował w najwyższym punkcie lotu, dobrze widziany przez cały Hum. Wielka kula ognia pokazała się na niebie tuż ponad opustoszałymi południowo-zachodnimi rzędami Hipodromu.

Członkowie frakcji ryknęli z aprobatą. Widu z nich wstało z miejsc i zaczęło triumfalnie potrząsać bronią.

W imperialnej łoży Hypacjusz i Pompejusz także wyglądali na takich, którym imponuje broń Malawian, a przynajmniej tak można by sądzić po ich otwartych ze zdumienia ustach, Narses, patrząc na nich z boku, zauważył pomiędzy nimi subtelne różnice.

Hypacjusz, oprócz opuszczonej szczęki, miał zmarszczone brwi. Nowo koronowany imperator – tiara chwiała się na czubku jego głowy – nie był zadowolony. Wrzask tłumy, kiedy wystrzelono raketę, był znacznie bardziej entuzjastyczny niż podczas jego koronacji, która odbyła się nie więcej, jak pięć minut temu.

Jego brat Pompejusz także marszczył czoło. Ale, w jego przypadku, oznaczało to tylko zamyślenie. Pompejusz zaczął właśnie snuć plany, jak zrzucić z tronu swojego brata.

W tyle *kathisma* Narses uśmiechnął się szyderczo. To, jak wiedział, także było częścią planu



Malawian. Hindusi chcieli obalić Justyniana, żeby wtrącić cały kraj w niekończącą się wojnę domową, w której jeden z pretendentów do tronu obalałby drugiego. Czekająby ich lata wojny domowej – podobne do tych fatalnych dni trzysta lat temu, po obaleniu Antoniusza – które tak osłabiłyby kraj, że Malawa bez przeszkód zagarnęłaby Persję i wyciągnęłaby łapy po sam Rzym.

Po raz kolejny Narses pomyślał, że Malawianie są zbyt sprytni, żeby to miało im wyjść na dobre. Lepiej by zrobili, trzymając się poprzedniego planu, czyli zachęcania Justyniana, żeby podbił barbarzyński zachód. To lepiej by się przysłużyło ich celom, a dodatkowo nie ponieśliby żadnego ryzyka zbrojnego powstania.

Ale Narses, powoli i ostrożnie, przekonał ich, żeby zrobili inaczej. Eunuch miał swoje własne ambicje, które wymagały usunięcia Justyniana. Ryzykował powodzeniem przyszłych planów Malawian, dla natychmiastowego dostępu do władzy. Nie będzie żadnej wojny domowej. Narses się z tym rozprawi, szybko i bezlitośnie.

Eunuch obserwował, jak następna rakietka leci w niebo. Trajektoria tego pocisku była znacznie bardziej chaotyczna niż poprzedniego. Kiedy rakietka w końcu wybuchła, stało się to poza zasięgiem wzroku tłumu, za północno-zachodnią ścianą Hipodromu.

Narses westchnął z niecierpliwością. On też był zbyt sprytny. Ale... miał już swoje lata. I nie miał innego wyboru. Narses nie mógł czekać latami, podczas gdy Justynian coraz bardziej osłabiałby Imperium Rzymskie swoimi wielce ambitnymi próbami odtworzenia chwalebnej przeszłości.

Kolejna rakietka. Ta leciała całkiem dobrze. Ale czwarta, po obiecującym starcie, nagle skręciła w dół i wybuchła na arenie Hipodromu. Na szczęście miejsce, gdzie wylądowała, było puste.

Narses znowu westchnął.

Zbyt sprytny.

Zdziwiła go kolejna eksplozja. Fragment trybun, niedaleko których usadowili się Niebiescy, zamienił się w piekło ognia i dymu. Jednakże nikt nie ucierpiał.

Narses zmarszczył brwi. Nie widział żadnej rakietki.

Kolejna eksplozja. Tym razem pocisk trafił w sam środek tłumu Niebieskich, zabijając kilku opryszków i rozrzucając ich zmasakrowane ciała dokoła, na pobliskich kamratów.

Balban, siedzący obok imperatora Hypacjusza, skoczył na równe nogi. Odwrócił się i spiorunował Adzasutrę wzrokiem.

- Dałeś granaty frakcjom, ty głupcze? – zapytał głośno.

Adzasutra zaczął odpierać oskarżenie, ale nagle zamilkł. Nie musiał już nic mówić.

Dla wszystkich nagle stało się jasne, co się dzieje.

Seria eksplozji zgruchotała całą sekcję ławek, zabijając Zielonych i Niebieskich, nie oszczędzając żadnej z frakcji. Wielki tłum poderwał się na nogi, krzycząc i podnosząc w górę broń.

Podnosząc w górę, ale nie gestem triumfu, tylko mierząc we wroga, który właśnie wmaszerował do Hipodromu przez szerokie wejście w południowo-zachodniej, opustoszałej części.

Katafrakci, do tego pieszo i bez koni, osłaniali małą armię mężczyzn i, co dziwniejsze, kobiet. Ci ostatni rzucali granaty w tłum zebrany na Hipodromie. Rzucali je za pomocą proc!

Wszyscy siedzący w *kathisma* poderwali się na równe nogi i podbiegli do kamiennej bariery, przez którą można było obserwować arenę Hipodromu.

Wszyscy, z wyjątkiem Narsesa, który po prostu pozostał na swoim miejscu, wzdychając cicho. Eunuch słyszał stłumione bitewne zawołania nowo przybyłej armii.

- Oni są niczym! Oni są niczym!

Zdecydowanie za sprytny.

\* \* \*

Belizariusz, stojąc na nabrzeżu, usłyszał te same eksplozje.

- To Antonina! – zawołała Irena. – Bitwa na Hipodromie już się zaczęła!

Sitas i Hermogenes popatrzyli na Belizariusza.

- Hipodrom może poczekać – oznajmił generał. – Antonina poradzi sobie z łatwością z tym tłumem, a przynajmniej wytrzyma jakiś czas. Musimy się upewnić, że imperator i imperatorowa są bezpieczni, zanim zrobimy cokolwiek innego.

Sitas pokazał na morze.

- Ciągłe pętają się tam niedobitki floty Egidiusa. Niebawem wylądują w Porcie Cezarejskim.

Belizariusz wzruszył ramionami.

- Niech sobie lądują. I tak większość tej armii została rozbita. Prawdopodobnie Egidius nie żyje. A nawet jeżeli tak nie jest, zebranie wojsk do kupy i wymarsz do miasta zajmie mu trochę czasu. Zajmiemy się nimi później.

Pokazał ręką na wzgórze.

- Musimy zabezpieczyć Wielki Pałac. Natychmiast.

Bez słowa zaczął biec po pomoście. Irena i jego traccy katafrakci podążyli za nim. Sitas i Hermogenes zebrali oddziały i bardzo szybko zaczęli maszerować w kierunku pałacu.

Wielki Pałac był niecałe pół kilometra od portu. Z Belizariuszem na czele, mała armia, złożona z pięciu setek katafraktów i dwóch tysięcy piechoty, w przeciągu kilku minut dotarła do murów, otaczających Wielki Pałac.

Wielki Pałac w Konstantynopolu był w rzeczywistości całym kompleksem zabudowań, a nie jedną budowlą. Stanowił małe prawie samodzielne miasto, skryte w większym mieście. Wiele budowli pałacu łączyło się ze sobą za pomocą otwartych, łukowato sklepionych krużganków; przedzielały je małe i większe ogrody. Portyki i kolumny ozdobione były pięknymi mozaikami, a w ogrodach i na dziedzińcach stały rzeźby i fontanny.

Jednym słowem teren pałacu był doskonałym miejscem do obrony i Belizariusz zdawał sobie sprawę, że musi pokonać wroga, zanim ten zdoła taką obronę zorganizować. Więc, co nie zdarzało mu się często, zdecydował się rozkazać bezpośredni, natychmiastowy i frontalny atak.

Popatrzył na Hermogena.

- Czy masz ze sobą ekwipunek do wspinaczki?

Hermogenes nie odpowiedział, tylko pokazał ręką za siebie. Belizariusz zobaczył, że małe oddziały piechoty już biegły w kierunku muru, przygotowując liny i haki.

Bardzo go to zadowoliło. Dokładniej przyjrzał się ścianie. Miała co najwyżej trzy metry wysokości.

- Tak naprawdę potrzebujemy też drabin – mruknął – żeby prze rzucić na drugą stronę wystarczającą ilość żołnierzy do...

Przerwał, widząc na twarzy Hermogenesa wyraz powstrzymanej złości.

- Trenowaliśmy na taką okazję – warknął Hermogenes. – Nie chciałem ciągnąć ze sobą dużej ilości nieporęcznych drabin, więc zamiast tego... – Wziął głęboki oddech. – Tylko patrz, generale. I odpręż się.

Belizariusz uśmiechnął się. Uśmiechnął się bardzo szeroko.

Żołnierze piechoty podzielili się na oddziały po dziesięciu ludzi i w dziesięciometrowych odstępach zaczęli mocować haki na przestrzeni dwustu metrów muru. Natychmiast po zaczepieniu po dwóch ludzi z każdego oddziału wdrapało się na mur i przeskoczyło do ogrodu po drugiej stronie. Inni podzielili się na dwuosobowe grupki. Każda z grup zaczęła przetrzucać żołnierzy na drugą stronę muru za pomocą tarcz, położonych na płask i pełniących funkcję stopni. Kiedy pierwsza grupa znalazła się w ogrodzie, zmęczeni żołnierze, trzymający tarcze, zostali zastąpieni przez nowych. Potem oni także zostali przetrzuceni za mur.

Z pałacowych ogrodów dobiegły do Belizariusza okrzyki zaskoczonych obrońców i uderzenia stali o stal. Ale krzyków nie było dużo, a hałas, czyniony przez miecze i tarcze, także szybko ucichł.

Belizariusz był pod wrażeniem. W mniej niż minutę pięć setek żołnierzy piechoty znalazło się na terenie pałacu i, sądząc po dobiegających stamtąd dźwiękach, natychmiast pokonali zdradzieckie oddziały po drugiej stronie.

- Taką niską ścianę, Irena zmierzyła ją dla mnie wcześniej, łatwiej i szybciej jest pokonać w ten sposób, a nie za pomocą drabin – skomentował zadowolony z siebie Hermogenes. – Jeżeli zajdzie taka konieczność, jestem w stanie przetrzucić na drugą stronę całe dwa tysiące żołnierzy w mniej niż cztery minuty. Ale chyba nie będzie takiej potrzeby, bo...

Belizariusz usłyszał wrzask triumfu. Odwrócił głowę i zobaczył, że jedna z bram, wiodących do pałacu właśnie się otwiera. Sekundę później żołnierze piechoty, którzy popychali od środka ciężkie skrzydła, otworzyli wejście na oścież. W następnej chwili generał zobaczył, że otwierają się kolejne bramy.

Sitas i jego dwudziestu katafraktów już wpadali do środka przez pierwszą bramę. Inni katafrakci ustawili się przed bramami obok. Jak tylko droga była wolna, jeźdźcy także zaczęli wlewać się na teren pałacu.

Kiedy cała ciężkozbrojna kawaleria weszła do pałacu, reszta piechoty podążyła za nią. Belizariusz i Hermogenes kłusowali na końcu, a kilka kroków za nimi jechała Irena. Walentynian i Anastazjusz ustawili się na czele małej grupki, a Menander, Aszot i reszta Traków osłaniali oddziały z boków i od tyłu.

Jak tylko wjechali na teren pałacu, Belizariusz szybko rozejrzał się po okolicy. Oddziały Hermogenesa zdążyły już ustawić się w doskonale zorganizowane półkole, w obrębie którego Sitas i jego ludzie także dzielili się na oddziały. Wśród katafraktów panował jednakże niewielki bałagan. Ustawienie siewprawkidłowych formacjach na pałacowych gruntach, gdzie małe ogródki łączyły się z

dziełkami, zagraconymi rzeźbami i fontannami, było praktycznie niemożliwe dla ciężkozbrojnych jeźdźców.

Belizariusz nie martwił się tym. Katafrakci wroga także będą mieli podobne problemy i szczerze wątpił, czy ich umiejętności, jako jednostek, będą jakkolwiek ochroną w starciu z elitarnymi jednostkami Sitas. Jeżeli byłoby to konieczne, zamierzał użyć swoich katafraktów i konnicy Sitas jako żelaznej pięści, która przebiję się przez oddziały wroga. Ale tak naprawdę w największym stopniu polegał na piechocie.

Ta piechota, doskonała piechota, już dała mu przewagę nad wrogiem. Tak szybko dostali się do pałacu przez mur, że najwyraźniej zaskoczyli wszystkich zdrajców. Obok bramy Belizariusz zobaczył około trzydziestu ciał, ułożonych w stos. Większość z nich, sądząc po uniformach, należała do prywatnej armii Jana z Kapadocji. Inni żołnierze wroga, ci którzy znaleźli się w zasięgu jego wzroku, uciekali chyłkiem.

Doskonale. Ale...

Tu i tam, pośród ciał ochrony Kapadocjana i kilku żołnierzy piechoty Hermogenesa, widział także kilka trupów odzianych w barwy imperialnej straży przybocznej. I słyszał w oddali odgłosy walki, dochodzące z kierunku Gynaecium.

Odwrócił się do Ireny.

- Gdzie jest Justynian? I Teodora?

Pokazała na północny wschód, na jeden z odległej szych budynków.

- Mieli właśnie zwołać radę nadzwyczajną ministrów w sali audiencyjnej w Pałacu Leona,
- Wiem, który to jest – powiedział Belizariusz. Zaczął kłusować w tamtym kierunku.
- Hermogenesie! – zawołał. Generał piechoty, stojący kilka metrów od niego, podniósł wzrok. Belizariusz, ciągle w ruchu, pokazał na daleki budynek. – Daj mi połowę swoich ludzi! A sam weź resztę i zabezpiecz Gynaecium!

Sitas przygalopował do generała, a za nim pędził oddział jego katafraktów. Belizariusz, ciągle kłusując, zatoczył ręką krąg.

- Sitasie! Oczyszczyć pałacowe ogrody i dziedzińce!

Sitas wyszczerzył zęby. Niedzwiedziowaty generał szarpnął konia za wodze i zawrócił.

- Słyszeliście, co powiedział! – zawołał. Przeskoczył przez niskie ogrodzenie i zaczął galopować w kierunku centrum kompleksu. Jego kawalerzyści podążyli za nim, dudniąc na odsłoniętych kruzgankach, kamiennych dziedzińcach i ogrodach. Zieleń ginęła pod kopytami koni; podobnie rzeźby, które spadały z postumentów i rozbijały się na drobne kawałki. Jedyne fontanny przetrwały, mniej lub bardziej uszkodzone. I oczywiście figury, podtrzymujące portyki i kolumnady, chociaż wiele pięknych podłogowych mozaik zostało startych na pył przez ciężkie kopyta. Także ścienne płytki ucierpiały nieco, drapnięte tu i ówdzie opancerzonym ramieniem katafrakta, czy ostrym końcem lancy.

W samym centrum pałacowego kompleksu, Sitas wpadł na dwie setki prywatnych żołnierzy Jana z Kapadocji. Większość z nich siedziała w siodłach. Ci, którzy byli jeszcze na ziemi, właśnie

wdrapywali się na końskie grzbiety, co nie było łatwe dla ciężko opancerzonych katafraktów. Wszyscy wyglądali na zagubionych i zdezorganizowanych.

Sitas nie dał im żadnej szansy. Nawet nie wysiłił się na tyle, żeby wydać jakiegokolwiek rozkazy. Po prostu opuścił lancę i wpadł w sam środek nieprzyjacielskiego wojska. Pięć setek jego katafraktów było tuż za nim, naśladując swego dowódcę.

W rezultacie doszło do zwykłej masakry. Żołnierze Kapadocjana byli zaskoczeni atakiem, a w dodatku Sitas miał nad nimi przewagę liczebną. Kiedy w końcu zdali sobie sprawę z niebezpieczeństwa, generał i jego ludzie już siedzieli im na karku. W bezpośrednim starciu nie mogli użyć łuków. Większość z żołnierzy Jana miała czas na podniesienie kopii do góry, ale...

Nie mieli strzemion. Sitas i jego katafrakci przeszli przez nich jak siekiera przez miękkie drewno. Połowa jezdnych Kapadocjana nie przeżyła tej pierwszej szarży, albo odniosła tak ciężkie rany, że i tak nie była zdolna do dalszej walki. Po tym ataku, pozostali przy życiu nie byli żadnym przeciwnikiem w walce na maczugi, czy miecze z katafraktami Sitasa, którzy podczas walki mogli opierać się na strzemionach. Bitwa skończyła się w przeciągu minuty. Pod koniec mniej niż dwudziestu katafraktów wroga było w stanie się poddać. Reszta była martwa, ciężko ranna, albo pozbawiona przytomności.

W międzyczasie Hermogenes poprowadził tysiąc swoich żołnierzy piechoty do Gynaecium. Kiedy już byli w labiryncie kobiecych kwater, generał kierował się odgłosami toczącej się gdzieś w głębi walki. Dwie minuty po wejściu do środka kompleksu, on i jego ludzie spadli na plecy żołnierzy Jana, którzy walczyli z osobistą strażą Teodory.

Bitwa w Gynaecium nie była tak krwawa, jak masakra katafraktów na dziedzińcu z tej prostej przyczyny, że wojsko Jana poddało się prawie natychmiast – zostali schwytani pomiędzy dwa oddziały wroga. A poza tym, w głębi serca, byli niczym więcej, jak tylko najemnikami. Pomijając jego inne talenty, Jan z Kapadocji nie potrafił w najmniejszym stopniu scementować swoich katafraktów, jeżeli chodziło o lojalność względem dowódcy.

Z kolei Belizariusz praktycznie nie spotkał się z żadnym oporem. Natknął się jedynie na małą grupkę katafraktów, których zaskoczył przy wejściu do Pałacu Leona – oni właśnie wychodzili, a on zamierzał wejść. Katafrakci właśnie dosiadali koni.

Nie doszło do walki. Katafrakci zobaczyli zbliżającą się do nich piechotę w sile tysiąca mężczyzn i po prostu natychmiast uciekli. Ci,

którzy nie zdążyli wdrapać się na siodła w odpowiednim czasie, próbowali uciekać pieszo, kołysząc się niewprawnie krokiem kawalerzystów w ciężkiej zbroi, zmuszonych do poruszania się bez konia na własnych nogach.

Belizariusz pozwolił im uciec. Miał coś ważniejszego do zrobienia. Wpadł do budynku. Z biegnącą za nim piechotą, pędził przez na wpół zapomniane korytarze, szukając małej salki audiencyjnej.

Wierząc wbrew nadziei, ale obawiając się najgorszego.

\* \* \*

- Kto to jest? – zaskowyczał imperator Hypacjusz, przechylając się przez ścianę, która oddzielała *kathisma* od areny Hipodromu. Gapił się na małą armię, wlewającą się na arenę przez południowo-zachodnią bramę. Potem wybałuszył oczy, widząc jak żołnierze wroga za pomocą proc rzucają granaty w opryszków obu frakcji, zgromadzonych po drugiej stronie Hipodromu.
- Skąd mają granaty? – zaskrzeczał. Usłyszeli nowy okrzyk bitewny nowo przybyłych.

- Antonina! Antonina!

Adzasutra przechylił się przez barierę i przyjrzał dokładnie napastnikom. Jego oczy natychmiast wychwyciły drobną figurkę, jadącą w tyle armii. Ubrana była w hełm i lekką zbroję, ale bez wątpienia pancierz okrywał kobiece kształty.

Uśmiechnął się gorzko, odwracając wzrok. Popatrzył drwiąco na Balbana i machnął za siebie ręką.

- I ty nazwałeś to owcą idącą na rzeź.

Hypacjusz trząsł się teraz z nieopanowanego strachu. Pompejusz także stał na drżących nogach. Ktoś zaczął się dobijać do zabarykadowanych drzwi w tyle *kathisma*, które prowadziły do Wielkiego Pałacu. Narses rozpoznał głos Jana z Kapadocji.

- Otwierać! Otwierać!

Na rozkaz Balbana, kszatryjasi pilnujący drzwi, zdjęli sztaby i odsunęli na bok ciężkie skrzydło. Do *kathisma* wpadł Jan z Kapadocji, a za nim biegło trzech jego prywatnych żołnierzy.

- Belizariusz jest w pałacu! – zawołał. – Ta jego dziwka Antonina przywlokła ze sobą coś na kształt małej armii... – Nagle zamilkł, widząc, co się dzieje na Hipodromie.
- Ona już tu jest! – prychnął Balban, pokazując ponad barierą łoży. – I ma granaty!

Narses westchnął.

*Byłem o połowę za sprytny.*

Eunuch wstał. Podszedł do rozmawiających. Przejął dowodzenie.

- Czy oślepiłeś Justyniana? – zapytał stanowczo. Jan z Kapadocji przytaknął ruchem głowy.
- A Teodora?
- Jest uwięziona w pałacu.

Narses wziął Balbana pod ramię i pokazał ręką ponad barierą, oddzielającą łożę imperatora od areny Hipodromu. Wskazywał na setki kszatryjasów, którzy obsługiwali rakiety. Cztery setki doświadczonych żołnierzy, w odróżnieniu od oszalałego ze strachu tłumu rzezimieszków z frakcji Hipodromu, już formowały bitewne szeregi. Większość z nich otwierała kosze z granatami. Kszatryjasi, odpowiedzialni za rakiety, w pośpiechu ładowali i ustawiali wyrzutnie.

- Ciągłe masz swoich żołnierzy i, jeżeli dasz im kogoś, kto będzie nimi dowodził, możesz pchnąć do walki ten zdezorganizowany tłum. Złaż tam na dół! Szybko!

Balban nie kłócił się, ani nie protestował, natychmiast zaczął złazić po stromiźnie ściany.

Narses złapał Hypacjusza i pchnął go w kierunku barierki.

- Idź z nim! – rozkazał. – Jesteś przecież nowym imperatorem! Musisz poprowadzić tłum z Hipodromu!

Hypacjusz wybąkał kilka słów protestu. Narses po prostu przerzucił nowego imperatora przez

kamienną barierkę. Mimo przerażenia, Hypacjusz nie był żadnym przeciwnikiem dla starego, ale silnego eunucha. Wisząc na ścianie, po jej złej stronie, przynajmniej z jego punktu widzenia, Hypacjusz popatrzył do góry na Narsesa.

- Zrób to! – rozkazał mu eunuch. Jego wzrok sparaliżował młodzieńca, jak wzrok węża paraliżuje małą mysz. Sekundą później, Narses oderwał zaciśnięte palce Hypacjusza od kamiennej balustrady. Imperator spadł na kamienną platformę po drugiej stronie w postaci załamanej, nędznej kupki łachmanów.

Hypacjusz natychmiast poderwał się na nogi i skoczył na ścianą.

Bezskutecznie. Ta ściana została tak zaprojektowana, żeby trzymać potencjalnych zabójców z dala od imperatora. Silny i sprawny fizycznie mężczyzna mógłby skoczyć na tyle wysoko, żeby złapać się dłońmi za wierzchołek muru. Ale Hypacjusz nie był ani silny, ani sprawny fizycznie.

Nowy imperator skręcał się z przerażenia.

- No dalej! – rozkazał mu Narses.

Hypacjusz łapał powietrze jak ryba wyrzucona na brzeg. Odwrócił głowę i dostrzegł Balbana. Szpieg biegł szybko wzdłuż górnego rzędu ławek Hipodromu, kierując się ku kszatryjasom i ich raketom. Oddalił się już od łoży o jakieś czterdzieści metrów.

Trzęsąc się ze strachu, Hypacjusz pobiegł za nim.

W łoży imperatora, Narses odwrócił się od balustrady i stanął twarzą w twarz z Janem z Kapadocji.

- Gdzie jest reszta twoich żołnierzy? – zapytał głośno. Kapadocjan spiorunował go wzrokiem.
- To nie jest...
- Ty idioto! – przerwał mu eunuch. – Chciałeś zatrzymać ich w pałacu, prawda? Żeby nic im się nie stało, prawda? Chciałeś, żeby nadawali się do użycia w innych, późniejszych sprawach!

Jan ciągle patrzył na niego z wściekłością, ale nie zaprzeczał oskarżeniom.

Narses pokazał palcem na chaos, który właśnie zapanował na Hipodromie.

- Te późniejsze sprawy są właśnie teraz, Kapadocjanie! Przyrowadź ich! Z tysiącem twoich katafraktów, dodanych do tej mieszanki tam na dole, może jeszcze uda nam się wygrać.

Jan zaczął protestować. Eunuch natychmiast go uciszył.

- Zrób to!

Jan nie klócił się już więcej. Kapadocjan popędził korytarzem, prowadzącym do Wielkiego Pałacu. Narses poszedł za nim, ciągnąc za ramię Pompejusza. Zanim opuścił łożę, Adzasutra rozkazał pozostałym kszatryjasom, którzy ciągle stali przy drzwiach, żeby dołączyli do Balbana. Kiedy wychodził z *kathisma*, teraz zupełnie opustoszałej, kszatryjasi właśnie przelazili przez barierę i skakali na arenę Hipodromu.

W korytarzu, Adzasutra szybko dogonił Narsesa i Pompejusza.

- Lata wojny domowej, tak mówiłeś – wyszeptał zabójca do ucha Narsesa, idącego obok.

Narses spojrzął na niego, ale się nie odezwał. Eunuch koncentrował swoją uwagę na zmuszaniu trzęsącego się Pompejusza do ruchu naprzód. Brat nowego imperatora był praktycznie sparaliżowany ze strachu.

- Jeżeli nie zaczniesz przebierać nogami – powiedział w końcu zirytowany Narses – po prostu cię tutaj zostawię.

Pompejusz nagle zaczął biec korytarzem. Narses go puścił.

- Przynajmniej biegnie w dobrym kierunku – zrzędlawie mruknął eunuch. – Później go złapiemy. Na pewno gdzieś tam z przodu się potknie i zemdleje.

Eunuch przyspieszył nieco. Adzasutra z łatwością dotrzymywał mu kroku.

Zabójca znowu nachylił mu się do ucha i wyszeptał kilka słów. Ciągłe się uśmiechał.

- W Imperium Rzymskim na całe stulecia zapanuje chaos, tak mówiłeś.

Narses znowu go zignorował.

- To da znacznie lepsze efekty, niż po prostu podjudzanie Justyniana do tej głupiej wojny, tak mówiłeś.

Narses nie odezwał się.

Dotarli do końca korytarza. Znaleźli się teraz w jednym z wielu budynków, składających się na Wielki Pałac. Mogli słyszeć dalekie odgłosy walki, dochodzące z jakiegoś miejsca na zewnątrz wielkiego kompleksu.

Tak jak przewidział Narses, Pompejusz czekał na nich. A przynajmniej w pewnym sensie – arystokrata leżał rozciągnięty na podłodze i chlpał, opierając głowę o ścianę.

Narses pochylił się i złapał Pompejusza za włosy. Ciągnąc go niemiłosiernie do góry, postawił brata imperatora na nogi.

- Teraz jesteś bezpieczny tylko w moim towarzystwie – wyszczał eunuch. – Jeżeli znowu się przewrócisz, jeżeli nie będziesz mnie słuchał, cokolwiek ci każe zrobić, zostawię cię samego. – Narses rozluźnił uścisk i pomaszerował w kierunku innego korytarza, prowadzące go do innego budynku Wielkiego Pałacu. Adzasutra szedł obok niego. Pompejusz włókł się za nimi.

Odgłosy walki stawały się coraz głośniejsze. Pośród hałasów, Narses rozpoznał ciężkie dudnienie koni, obciążonych ciężkobrajnymi jeźdźcami. Podobnie jak Adzasutra. Obaj mężczyźni jeszcze przyspieszyli kroku.

- Dokąd idziemy? – wyszeptał zabójca. – I dlaczego – pokazał kciukiem za siebie – tak ci zależy, żeby wlec za sobą tę nędzną kreaturę?
- Będę go potrzebował – warknął Narses.

Dotarli do końca korytarza. Znaleźli się w kolejnym rozległym pomieszczeniu, w jeszcze innym



budynku. Narses przecisnął się przez drzwi, widniejące w ścianie po lewej.

Znowu znaleźli się w korytarzu, tym razem krótkim. Znowu doszli do pokoju, w kolejnej budowlu. Znowu Narses poprowadził ich przez jeszcze inne drzwi. Znowu, następny korytarz.

Adzasutra, chociaż posiadał teoretyczną wiedzę na temat rozkładu budynków w Wielkim Pałacu, teraz zupełnie się pogubił.

- Dokąd idziemy? – powtórzył.
- Muszę coś jeszcze załatwić – wymamrotał Narses.

Eunuch zaczął biec krótkimi kroczkami. Korytarz nagle zakręcił. Kiedy znalazł się za rogiem, Adzasutra zobaczył, że korytarz kończy się masywnymi, podwójnymi drzwiami. Jedno skrzydło było otwarte na oścież. Zza niego Adzasutra słyszał kilka głosów.

Kiedy dotarli na odległość trzech metrów od na wpół otwartych drzwi, Adzasutra rozpoznał jeden z głosów, dobiegających z wnętrza.

Był to głos Jana z Kapadocji.

- Ten bastard – wysyczał Narses. – Wiedziałem, że najpierw popędzi tutaj.

Eunuch odwrócił głowę. Jego gadzie oczy spoczęły na Adzasutrze.

- Zdecyduj się – rozkazał.

Adzasutra wahał się tylko przez moment.

- Ty jesteś najlepszy z tej bandy idiotów – powiedział z uśmiechem. Narses kiwnął głową. Pokazał na Pompejusza, który właśnie ich doganiał na miękkich nogach.
- Dopilnuj, żeby nic mu się nie stało – wymamrotał eunuch. – I zajmij się katafraktami.

Narses odwrócił się i wśliznął się do środka, przez otwarte drzwi. Adzasutra wszedł za nim, wlokąc Pompejusza za ramię.

W środku zobaczyli dramatyczną scenę.

Teodora klęczała na kolanach, trzymając w objęciach Justyniana. Imperator, chociaż ciągle nieprzytomny, zaczynał lekko pojękiwać.

Jan z Kapadocji pochylał się nad nią z mieczem w dłoni. Jego trzech żołnierze stali kilka kroków dalej, pomiędzy Narsesem a Janem. Słyszając wejście eunucha, strażnicy odwrócili się gwałtownie w kierunku drzwi i podnieśli broń. Potem, rozpoznawszy go, opuścili miecze i odsunęli się na bok. Narses prześliznął się obok nich i ruszył w kierunku Jana i imperatorowej.

Adzasutra puścił ramię Pompejusza i podszedł chyłkiem do strażników, stając blisko nich.

Kapadocjan mierzył imperatorową wściekłym spojrzeniem. Zaczął właśnie coś wywarkiwać.

Twarz Teodory przypominała maskę.

- Zamilcz, ty zdrajco. Zabij nas wreszcie, tchórze.

Jan podniósł miecz.

- Przestań, ty idioto! – wysyczał Narses niczym wąż. – Przecież będziemy jej potrzebować.

Żywej!

Jan, zdumiony, odwrócił się od imperatorowej. Lekko opuścił miecz.

- Po co? – zapytał głośno. – Przecież i tak mieliśmy ją zabić, kiedy już obwoła jednego z braci nowym imperatorem. Ją i Justyniana. Te raz nie ma już powodu, żeby się powstrzymywać. – Skrzywił się z niechęcią. – I co ty tutaj robisz?

Narses postąpił krok naprzód.

- Na Boga, ty chyba masz umysł żaby, Kapadocjanie.

Podszedł jeszcze bliżej.

- Pomyśl, Janie, Pomyśl przez chwilę.

Bliżej, bliżej. Eunuch pokazał na imperatorową. Jan odwrócił głowę, podążając za wskazującym kobietę palcem.

Narses uderzył.

Adzasutra, obserwujący zajście, był pod wrażeniem. Siary eunuch był szybki niczym zmija. Mały nóż pojawił się jakby znikąd, na chwilę przed tym, jak zatonął w klatce piersiowej Jana, Jan krzyknął, zachwiał się i upuścił miecz. Rękojeść noża ciągle tkwiła w ciele.

Narses odsunął się do tyłu.

Żołnierze Jana zawyli i podnieśli miecze. Rzucili się w kierunku eunucha.

Zrobili tylko jeden krok. Nie więcej.

Adzasutra zabił trzech żołnierzy w trzy sekundy. Trzy szybkie ruchy sztyletem i w karkach strażników pojawiły się trzy krwawe rany. Każdy cios, potężny i szybki, trafił dokładnie pomiędzy szpary zbroi, przecinając rdzeń kręgowy. Ofiary Adzasutry umarły, zanim zdołały się zorientować, co się dzieje. Strażnicy po prostu osunęli się na podłogę.

Jan z Kapadocji także leżał już na podłodze. Ale tliło się w nim jeszcze życie. Prefekt pretorów wił się w agonii ze ściśniętą z bólu twarzą. Najwyraźniej próbował krzyczeć, ale z jego sztywniejącego gardła nie wydobywał się żaden dźwięk.

- To całkiem paskudna trucizna – zauważył radośnie Narses. – Zupełnie paraliżuje, i okropnie boli. I się na to umiera. Po jakimś czasie.

Adzasutra szybko oczyścił sztylet, ale nie włożył go z powrotem do ukrytej pochwy.

- Wytłumacz się – rozkazał.

Narses zaczął się krzywić. Ale potem, widząc wyraz twarzy zabójcy, przemyślał sprawę jeszcze raz,

- Czy ciągle masz jeszcze jakieś złudzenia, Adzasutro? – zapytał stanowczo. Eunuch pokazał na najbliższą ścianę. Przez mur, chociaż był gruby, dobiegały odgłosy walki. Eksplozje granatów, krzyki, szczęk broni.
- To już koniec – oznajmił. – Przegraliśmy,

Adzasutra zmarszczył brwi. Bez udziału świadomości, zabójca ważył w ręku swój sztylet. Narses miał świadomość tego ruchu.

- Pomyśl, Adzasutro – przemówił szybko. – Skąd Antonina ma te granaty? Przecież nam ich nie ukradła. Zrobiła je. To oznacza, że planowała to natarcie od miesiący. To znaczy, że wszystkie doniesienia tego durnia Prokopiusza, które składał na ręce tego idioty Balbana, nie są warte nawet funta kłaków. Ten plotkujący idiota! Antonina nie zabawiała się w willi w coraz to wymyślniejszym towarzystwie, tylko trenowała nową armię i zaopatrywała swoich żołnierzy w granaty.

Adzasutra zmarszczył się jeszcze bardziej.

- Ale przecież ona nie wiedziała, jak zrobić...

Przerwał. Piekielny śmiech Teodory przerwał mu w pół słowa. Zabójca, widząc na jej twarzy wyraz triumfu, nagle zorientował się, że Narses ma rację.

Opuścił sztylet. Opuścił go, ale nie schował broni do pochwy.

- Ciągle mamy jakieś szansę – powiedział. – Z tego, co widziałem, nie ma wielu żołnierzy. Balban ciągle dowodzi jeszcze oddziałem kszatryjasów, i jest jeszcze tłum.

Narses potrząsnął głową.

- Nie ma najmniejszej szansy, Adzasutro. Nie ma. Belizariusz jest tutaj.

Eunuch znów potrząsnął głową. Gest miał w sobie ponurą finalność.

- Nie ma szans – powtórzył. – Belizariusz jest tutaj. Już zdążył zetrzeć na proch Armię Bitynii. Nawet jeżeli Balban zdoła pokonać Antoninę na Hipodromie, ciągle będzie musiał zmierzyć się jeszcze z jej mężem. A czym dysponuje? Kilkoma setkami kszatryjasów? Oprychami ulicznymi?

Narses pokazał pogardliwie na ciała Jana i jego strażników.

- Czy może myślisz, że te sprzedajne psy są w stanie pokonać Belizariusza i jego katafraktów?

Adzasutra popatrzył na trupy. Jednakże nie zajęło mu to zbyt dużo czasu. Odgłosy walk ciągle przybierały na sile. Wsunął sztylet do pochwy.

- Masz rację. I co teraz zrobimy?

Narses wzruszył ramionami.

- Uciekniemy. Ty, ja i Pompejusz. Będziemy go potrzebować, żeby ugłaskać twoich panów. Przynajmniej będziemy mogli im powiedzieć, że uratowaliśmy prawowitego dziedzica tronu z chaosu i zniszczenia. Malawianie będą mogli go używać jako marionetki.

Zabójca zamrugał oczami.

- Nanda Lal strasznie się wścieknie.
- I co z tego? – zapytał Narses. – Przecież to nie ty byłeś szefem misji, tylko Balban. Przecież go ostrzegałeś, że Antonina wodzi nas za nos. Przysięgnę, że tak było. Ale Balban nie chciał ciebie słuchać.

Adzasutra zerknął na Pompejusza. Arystokrata opierał się o ścianę. Jego twarz była blada, a oczy błędziły gdzieś daleko. Wydawał się zupełnie obojętny na wszystko, co działo się w pomieszczeniu i najwyraźniej potrafił się skoncentrować tylko na swoim przerażeniu.

Oczy zabójcy spoczęły teraz na imperatorowej. Teodora niemalże paliła go swoim spojrzeniem. Czarne, ciemne oczy. Oczy, które potrafią tylko nienawidzić.

- A ona? – zapytał.

Twarz eunucha przybrała gładzi wyraz. Przez chwilę, Adzasutra chciał ponownie wyciągnąć swój sztylet. Ale, zamiast tego, wymamrotał parę słów.

- Któż pomyślałby kiedykolwiek, że Narses jest zdolny do spełnienia czynu miłosierdzia i łaski?

Uśmiechając się, zabójca podszedł do Pompejusza, złapał szlachcica za ramię i zaczął go wlec w kierunku drzwi. Tam zatrzymał się, czekając na Narsesa.

Eunuch i imperatorowa patrzyli się na siebie. W spojrzeniu eunucha był smutek i żal. Tymczasem w oczach Teodory...

- Nigdy ci nie wybaczę. Jesteś już martwym człowiekiem.

Narses kiwnął głową.

- Wiem. – Na j ego twarzy pojawił się smutny uśmiech. – Ale ciągle jeszcze mogę wygrać. A zresztą i tak jestem już stary. Nawet, jeżeli przegram, i tak umrę, zanim mnie dopadniesz i zabijesz.

Uśmiech zniknął. Smutek pozostał.

Eunuch odwrócił się i zaczął iść w kierunku drzwi. Głos Teodory sprawił, że się zatrzymał,

- Dlaczego, Narsesie?

Po raz pierwszy w j ej głosie obok nienawiści pojawiło się cierpienie. Narses, nie odwracając się, po prostu wzruszył ramionami.

- Ambicja – powiedział.
- Nie. Nie tamto. Dlaczego teraz tak postąpiłeś?

Narses odwrócił głowę. Jego oczy napotkały spojrzenie Teodory. Dostrzegł w nich ślady łez. Ale tylko ślady.

Narses z trudem powstrzymywał swój e własne łzy.

- Nie było takiej potrzeby. I...

Nie potrafił stawić czoła jej cierpieniu. Odwrócił wzrok.

- Nigdy nie przestałem cię kochać, dziecko – dodał szorstko. – Nie przestałem cię kochać, chociaż planowałem twoją śmierć.

Cierpienie znikło z głosu i oczu Teodory. Pozostał tylko piekielny ton.

- Więc powinienes mnie zabić, ty zdrajco. Będziesz tego żałował, ty tchórze.

Narses potrząsnął głową.

- Nie, Teodoro. Nie będę. Nigdy.

Chwilę później wyszedł. Teodora popatrzyła w dół na swojego męża. Justynian jęczał coraz głośniejsz. Niebawem odzyska przytomność i zacznie krzyczeć z bólu.

Imperatorowa podniosła jego głowę ze swoich kolan i położyła ją delikatnie na podłodze, okrytej dywanem.

Musiała najpierw coś zrobić.

Czołgając się na rękach i kolanach, Teodora podeszła do ciała najbliższego z zabitych strażników. Wyjęła sztylet z pochwy, wiszącej u pasa trupa.

Potem, ciągle na kolanach, zaczęła zbliżać się do Jana z Kapadocji.

Imperatorowa nie czołgała się dlatego, że nie była w stanie iść normalnie, albo z powodu ran czy uszkodzeń. Nie była też w szoku.

Nie. Czołgała się, bo chciała, żeby Jan z Kapadocji widział dobrze, jak się zbliża.

I widział. A potem, mimo paraliżu i bólu agonii, spróbował krzyknąć.

Ale nie mógł. Nie potrafił wydać z siebie nawet cichego jęku. Nie mógł poruszyć nawet najmniejszym mięśniem. Mógł tylko patrzeć.

Teodora czołgała się ku niemu ze sztyletem w dłoni. Jej spojrzenie ani na sekundę nie oderwało się od oczu prefekta pretorów.

Chciała tych oczu.

Patrzyła na niego piekielnym wzrokiem. Czołgała się jak istota z otchłani.

I to był ostami widok, jaki Jan z Kapadocji miał zabrać ze sobą do grobu. I Jan z Kapadocji doskonale o tym wiedział.

\* \* \*

Trzy minuty później do pokoju wpadł Belizariusz. Za nim pędzili jego katafrakci i Irena.

Wszyscy zatrzymali się w miejscu, sparaliżowani.

Irena przykryła usta dłonią, żeby nie wydać jęku. Menander zbladł. Anastazjusz zacisnął szczęki. Walentynian wyszczerzył zęby w wilczym uśmiechu.

Belizariusz tylko się przyglądał. Ale on też, przez chwilę, został unieruchomiony przez rozpościerającą się przed jego oczyma scenę.

Sparaliżowany, ale nie widokiem ciał, leżących tu i ówdzie w sali. Nie widokiem Justyniana, jęczącego i oślepionego. Nawet nie widokiem prefekta pretorów, wyprężonego, z ustami otwartymi

w niemym wrzasku, miotającego się na podłodze w zeszywniałej agonii.

Nie, sparaliżował go widok imperatorowej. Pochylona nad umierającym zdrajcą, z zakrwawionym nożem w dłoni, drugą ręką przytrzymywała swe królewskie szaty i... oddawała mocz na puste oczodoły, gdzie kiedyś były oczy Jana z Kapadocji,

## **Rozdział 28**

Rakieta pomknęła z hukiem w niebo i rozerwała się wysoko ponad murami Hipodromu. Eksplozji towarzyszył grzmiący wrzask, wydobywający się z gardeł wielotysięcznego tłumu.

- *Nika! Nika!*
- To znaczy zwycięstwo, nieprawdaż? – wysyczała Antonina. Po chyliła się w siodle w stronę Maurycego. – Powiedz mi, co mam robić – wyszeptała.

Maurycy uśmiechnął się.

- Przecież wiesz, co masz robić. – Pokazał ręką przed siebie. Dotarli do Hipodromu od południowo-zachodniej strony. Przed nimi, jakieś pięćdziesiąt metrów dalej, zaczynały się szerokie, niskie schody, które łagodnie przechodziły w wejście na arenę. Wejście do Hipodromu było szerokie na trzydzieści metrów i podtrzymywało je kilka kolumn.
- Kiedy już tam wejdziemy, to będzie jak walka na noże w kuchni. Nie starczy miejsca na jakiegokolwiek manewry. Możesz tylko zabić, albo zginąć.

Antonina skrzywiła się. Wejście, do którego się zbliżali, nazywane było Bramą Śmierci.

- Jakie to odpowiednie – mruknęła.

Obok niej Maurycy sarknął pogardliwie.

- Czy możesz w to uwierzyć? – zapytał, nie oczekując odpowiedzi, – Nawet nie wystawili straży. Nie ma nawet jednej czujki.

Byli teraz dwadzieścia metrów od miejsca, gdzie zaczynały się schody. Antonina zatrzymała konia i zaczęła zsiadać.

- Nie będzie tam miejsca dla koni – powiedziała. Maurycy kiwnął głową i rozkazał katafraktom zejść z siodeł. Żołnierze trochę narzekali, ale usłuchali rozkazu bez wahania. Wprost nienawidzili walki pieszo, ale w końcu byli weteranami. Bardzo dobrze zdawali sobie sprawę, że użycie kawalerii w bitwie na arenie Hipodromu jest zupełnie pozbawione sensu.

Antonina wzięła do ręki swój tasak i uniosła go ponad głowę.

- Oni są niczym! Oni są niczym! –zawołała i zaczęła powoli wchodzić po wielkich schodach.

Jej cała armia podążyła za nią. Ale zanim zdołała dojść do połowy schodów, Maurycy złapał ją za rękę.

- Ty trzymaj sicz tyłu.

Antonina usłuchała go. Żołnierze jej armii przechodzili obok niej. Kiedy przeszli już wszyscy, ona i Maurycy podążyli za nimi.

Jeszcze nie wszyscy zdążyli przejść przez Bramę Śmierci, a już niektórzy z grenadierów zaczęli miotać granaty w stronę wroga. Antonina mogła usłyszeć huk eksplozji, podobnie jak zawołania bitewne swoich własnych żołnierzy.

- ONI SĄ NICZYM! ONI SĄ NICZYM!

Ona i Maurycy weszli na teren Hipodromu. Stanęli na rozległej, płaskiej platformie. Pod nimi opadały w dół aż do areny i toru wyścigowego wielkie kamienne kondygnacje, które służyły jako kombinacja jednocześnie ławek i schodów dla publiczności.

Trzy setki katafraktów rozbiegły się po ławkach – żołnierze ustawili się okrężnie wokół areny, zajmując dziesięć najniższych rzędów. Wszyscy wyciągnęli swoje łuki. Na środku, tuż pod areną, grenadierzy i ich żony utworzyli swoją własną, zwartą formację. Niektórzy miotali pociski, jednakże większość ciągle zajęta była rozstawianiem i otwieraniem koszy z granatami.

Antonina popatrzyła na siły wroga, zebrane po przeciwnej stronie Hipodromu. Zerknąwszy na nie okiem, zignorowała wielki tłum opryszków i rzezimieszków z frakcji Hipodromu. Jej uwagę przyciągnęły drewniane zasłony, ustawione w miejscu, gdzie tor wyścigowy łagodnie zakręcał. Mogła zobaczyć kszatryjasów, kręcących się wokół dziwacznych drewnianych tub. Nie wiedziała, do czego służą te dziwne przedmioty, ale bez trudu rozpoznała, jakie jest zastosowanie walców, które kszatryjasi wpychali do drewnianych rur.

- Rakiety – mruknęła. Odwróciła się do Maurycyego, który stał obok niej. – Powiedz żołnierzom, żeby się bardziej rozproszyli. Nie chcę, żeby te rakiety trafiały w skoncentrowany cel.

Maurycy zamrugął.

- To sprawi, że obrona przeciwko zmasowanemu atakowi tłumy będzie trudniejsza.

Antonina potrząsnęła głową.

- Jeżeli te czterdzieści tysięcy oprychów zaatakuje nas w jednej chwili, i tak nas pokonają, niezależnie jaką formację będziemy tworzyć. Ale ja znam ten tłum, Maurycy. Dorastałam z nimi. Czterdzieści tysięcy zabijaków z Hipodromu może z łatwością pokonać tysiąc żołnierzy, ale nie bez poważnych strat z ich strony. A już szczególnie w pierwszych szeregach.

Pokazała w kierunku tłumy.

- Zapewniam cię, że oni zdają sobie z tego sprawę tak samo dobrze, jak my. I każdy pojedynczy osobnik z tego tłumy, właśnie w tym momencie, składa samemu sobie cichą przysięgę. – Zaśmiała się szorstko. – „Zwycięstwo” to tylko ich oficjalne zawołanie bitewne. Prawdziwe zawołanie, to prywatne, ciche i w głębi serca, brzmi: „Ty pierwszy! Każdy, tylko nie ja!”

Maurycy zachichotał. A potem kiwnął głową.

- Wierzę, że masz rację. – Chwilę później setnik zaczął wydawać rozkazy. Katafrakci natychmiast zaczęli się rozpraszać. W przeciągu minuty utworzyli półkole, które zasięgiem obejmowało prawie cały, południowo-zachodni narożnik Hipodromu. Grenadierzy także się rozproszyli, żeby wypełnić cały chroniony przez katafraktów obszar. Niebawem żołnierze Antoniny podzielili się na mniejsze oddziały, zamiast tworzyć gęsto upakowaną formację.

Zrobili to w ostatniej chwili, bowiem Malawianie wystrzelili właśnie pierwszą salwę rakiet. Jeden z pocisków zanurkował w piaszczystą arenę, wznosząc chmurę pyłu. Inny wyleciał zupełnie poza obręb Hipodromu. Ale następny uderzył w pobliskie ławy.

Mimo wielkiego i imponującego huku eksplozji, na ciężkich kamiennych rzędach pojawiły się tylko lekkie zadrapania, a ponieważ wokoło było sporo wolnego miejsca, gdzie można było się odsunąć, grenadierzy praktycznie prawie nie ucierpieli, poza lekkimi obrażeniami, zadanymi przez latające odłamki kamieni. Rany nie były poważne.

Grenadierzy zawyli z wściekłości. Po raz pierwszy od wejścia na teren Hipodromu, żołnierze Antoniny wyrzucili pełną salwę granatów.

Pocisków były setki. Leciały, sycząc zapalonymi lontami, ponad areną Hipodromu. Salwa nie była skoncentrowana na jakimś jednym, określonym celu. Każdy z grenadierów po prostu zdecydował uderzyć we wroga. Jakiegokolwiek wroga.

Granaty upadły pośród wielkiego tłumu obu frakcji. Zaledwie kilka wylądowało w pobliżu drewnianych osłon, za którymi kryli się kszatryjasi. Malawiańscy żołnierze, obeznani z działaniem granatów, ukryli się znacznie wcześniej, zanim nadleciały pociski. Zaledwie kilku z nich odniosło lekkie rany.

Ale tłum...

Człowiek z przyszłości, obserwując salwę granatów, określiłby ją jako uderzenie gigantycznej dubeltówki, nabitej śrutem.

I to dubeltówki-obrzyma, w dodatku z małego dystansu.

- Pięknie! – zawołał Maurycy, podnosząc triumfalnie zaciśniętą pięść. Pod nim katafrakci i grenadierzy także zawyli z radości.
- Zupełnie do niczego – skrzywiła się Antonina. – Strasznie niechlujnie.

Krzywiąc się ponuro, mała kobietka wystąpiła naprzód i zaczęła wydawać rozkazy swoim grenadierom. Jej czysty, donośny sopran, wyćwiczony przez matkę aktorkę, przebijał się z łatwością przez hałas i wrzaski, unoszące się nad Hipodromem.

Grenadierzy, teraz przywróceniu do porządku, zaczęli wykonywać jej polecenia. Ich salwy stały się bardziej skoncentrowane i skierowane na jeden cel.

Antonina kazała wystrzelić pierwszą salwę w kierunku kszatryjasów. Wszystkie wyrzutnie rakiet zostały zniszczone, albo uszkodzone tak, że nie nadawały się do użytku. Znowu, większość malawiańskich żołnierzy nie ucierpiała od wybuchów, gdyż zdążyli schronić się za drewnianymi osłonami. Palisady były bardzo solidnie wykonane – zrobiono je z ciężkich kłoców drewna, połączonych bolcami. Granaty nie były w stanie ich zniszczyć, rysowały tylko drewno.

Ale Antonina nie przejmowała się tym. Po prostu chciała zastraszyć Malawian, wyeliminować ich z walki. Była przekonana, że da sobie radę z kilkoma setkami kszatryjasów. Jej grenadierzy, posługujący się procami, z łatwością mogli rzucać granaty dalej niż malawiańscy żołnierze. A rakiety i wyrzutnie były zbyt delikatne i nieporęczne w tego typu walce, więc nie stanowiły wielkiego



zagrożenia.

Najbardziej obawiała się, mimo pewności siebie, jaką okazała w rozmowie z Maurycym, że wielki tłum frakcji Hipodromu zaleje ją i jej żołnierzy. Na Hipodromie było czterdzieści tysięcy opryszków przeciwko mniej niż tysiącowi grenadierów i katafraktów. A grenadierzy nie dadzą sobie rady z walce wręcz z tak wielką liczbą napastników.

Więc, podczas gdy Malawianie wykaszliwali pył z płuc, czołgając się ze złością po ziemi, Antonina zaczęła zasypywać dum salwami granatów.

Ciach. Ciach. Ciach.

Następne trzy salwy wylądowały na samym skraju tłumu, poczynając od północnych, aż do południowych ławek. Kiedy opadł kurz i przestały latać w powietrzu kawałki ciał, setki opryszków leżało rozciągniętych na kamiennych stopniach. Martwych, umierających, rannych i ogłuszonych.

Tłum, wrzeszcząc ze strachu, zaczął się cofać. Jeszcze więcej ludzi zginęło, zdeptanych na śmierć.

Na północnych ławach Hipodromu siedziała najbliższa żołnierzom Antoniny gromada rzezimieszków. Kobieta właśnie tam posłała dwie następne salwy. Upakowana ściśle masa ludzka zadrżała i rozpadła się na kawałki. Ci, którzy przetrwali, zbili się w jeszcze ciaśniejszą gromadę, odpychając swoich towarzyszy do tyłu. Do tyłu, w kierunku odległego wyjścia. Całe tuziny umierały pod nogami swoich kamratów.

Kszatryjasi znowu zaczęli kręcić się po arenie. Malawiańscy żołnierze ustawiali z powrotem dwie wyrzutnie rakiet, które nie ucierpiały od granatów, a tylko się przewróciły. Reszta rzucała granaty w armię Antoniny. Ale bez proc pociski upadały na środku areny Hipodromu, nie czyniąc nikomu szkody.

Ciągle jednak...

*Niech się czołgają po ziemi.*

Antonina posłała kolejną salwę w kierunku kszatryjasów. Malawiańscy żołnierze, znowu, nie odnieśli poważnych strat. Ale, tak jak poprzednio, zostali zmuszeni do ucieczki za drewniane zasłony i przez jakiś czas nie brali udziału w bitwie.

Antonina wróciła do tłumu.

Ciach. Ciach. Ciach.

Maurycy, stojący pół metra za Antoniną, uśmiechnął się ponuro. Nic nie powiedział. Nie było takiej potrzeby.

To było jak walka na noże w kuchni.

\* \* \*

Pierwsi uciekinierzy, którzy jakoś wydostali się z Hipodromu, zdołali skryć się w zaułkach miasta. Zbiegło około dwóch tysięcy opryszków, a co najmniej setka zginęła pod nogami swoich towarzyszy podczas szaleńczej przepychania w północno-wschodnich bramach.

Reszta nadziała się na Belizariusza.

Belizariusz, który maszerował ze swoją armią w kierunku Hipodromu, zobaczył jak Zieloni i Niebiescy wylewają się przez bramy, rozkazał więc połowie swoich piechurów uformować szeregi po każdej stronie wejścia.

- Niech ci wpadną w ręce, Hermogenesie – rozkazał. – Zabij tak wielu, jak tylko zdołasz... ale nie pozwól, żeby złamali ci linię.
- Ale większość ucieknie w ten sposób – zaprotestował Hermogenes. – Powinniśmy zamknąć ich w środku. I zabić wszystkich tych śmierdzących zdrajców.

Belizariusz potrząsnął głową.

- Nie potrzebujemy tutaj krwawej łaźni. Musimy tylko wystraszyć obie frakcje na następnych dwadzieścia lat.

Odwrócił się do Ireny, która jechała tuż obok niego. Kobieta-szpieg chciała zostać z Teodora, ale Belizariusz nalegał, żeby towarzyszyła mu do Hipodromu. Teodora była teraz bezpieczna. Ona i Justynian zostali przeniesieni do Gynaecium, gdzie pilnował ich oddział ocalałych strażników imperatorowej, pięć setek żołnierzy piechoty i większość katafraktów Sitasu. W tej chwili Irena nie mogła nic zrobić dla Teodory, podczas gdy Belizariuszowi potrzebna była jej wiedza.

- Czy możesz zidentyfikować przywódców frakcji? – zapytał.

Irena kiwnęła głową.

Belizariusz zagwizdał, żeby przywołać do siebie Sitasu. Generał przyklusował do nich, wraz z setką katafraktów, którzy mu towarzyszyli.

Belizariusz pokazał na żołnierzy piechoty, stojących naprzeciwko bramy po obu jej stronach. Żołnierze zabijali każdego członka frakcji, który wpadł na ich linie. Opryszki, które zdołały pozostać poza zasięgiem miecza piechurów, nie obawiały się z ich strony zagrożenia. Ale, odsuwając się jak najdalej od uzbrojonych żołnierzy, ściskali się i tłoczyli jeszcze bardziej, zamieniając tłum w ciasno upakowaną mieszaninę kłębiących się ciał. W przeciągu kilku sekund, tuziny rzezimieszków były stratowane na śmierć.

- Sitasie, przepuszczaj tych, którzy wymkną się piechocie. Wyłap tylko przywódców frakcji. Chcę, żeby byli martwi, albo pozbawieni wolności. Irena ci ich pokaże.

Sitas zaczął protestować. Podobnie jak Hermogenesa, wypełniał go gniew i chciał masakry całego tego tłumu zdrajców.

- Zrób, jak ci rozkazałem! – zawołał Belizariusz.

Wytrzymał piorunujące spojrzenie Sitasu i odpowiedział mu tym samym.

- Nie bądź głupcem, Sitasie! – Pokazał na południowy zachód. – Antonina ma mniej niż tysiąc ludzi. Większość z nich to grenadierzy, którzy na nic się zdadzą w walce bezpośredniej. Jeżeli ten wielki tłum ich zaatakuje, nic z nich nie zostanie.

Sitas ciągle patrzył wściekle. Belizariusz prychnął.

- Myśl, Sitasie. Jeżeli zagroźmy temu tłumowi drogę z tej strony, frakcje nie będą miały innego wyjścia, jak tylko rzucić się do bram na południowym wschodzie Hipodromu. Więc niech lepiej już wyjdą tędy. Hetmogenes i jego ludzie nieźle ich przy tym po haratają, a ty uważaj i złap ich przywódców. To w zupełności wy starczy.
- On ma rację, Sitasie – syknęła Irena.

Sitas wydał policzki.

- Wiem – powiedział zrędliwie. – Ja po prostu... pieprzem zdrajcy, tak czy siak.

Ale zawrócił konia i nie kłócił się już dłużej. W przeciągu minuty katafrakci utworzyli linie sto pięćdziesiąt metrów za piechotą. Do tej pory pięć setek piechoty Hermogenesa zdążyło się już ustawić po obu stronach bramy w zorganizowanych liniach, po połowie po każdej stronie – stali w trzech rzędach, odległych od siebie o trzy metry każdy. Kiedy frakcje rzezimieszków wyleją się z Hipodromu, będą musieli biec wzdłuż szeregów piechoty przez prawie sto metrów. Potem wpadną na ciężkozbrojnych, siedzących na koniach katafraktów, niczym potok, który rozbija się o głaz. Opryszki, które przeżyją bieg pomiędzy szeregami żołnierzy, będą w stanie uciec przez pięćdziesięciometrową przerwę, rozpościerającą się po obu stronach pomiędzy piechotą a katafraktami Sitasas. Ale zanim się to im uda, wystawią się na bystre spojrzenie oczu Ireny... i łuki katafraktów.

U satysfakcjonowany, Belizariusz odwrócił się. Z pewnością niektórzy przywódcy frakcji uciekną. Ale niewielu.

Popędził konia do kłusa i skierował się na południowy zachód, jadąc w cieniu zwalistych murów Hipodromu. Walentynian, Anastazjusz i Menander jechali obok niego. Za nimi podążały pozostałości tysiąca piechoty z armii Hermogenesa.

Belizariusz obejrzał się za siebie – zobaczył, że piechota formuje prawidłową kolumnę, w każdej chwili gotowa rozciągnąć się w linie, jak tylko otrzyma rozkaz.

Generał pomyślał, że Aszot miał rację. To najlepsza rzymska piechota od czasów Pryncypatu. Przyspieszył kroku.

*Dziękuję ci, Hermogenesie. Prawdopodobnie ocaliłeś życie mojej żonie.*

\* \* \*

- Zapomnijcie o raketach! – zawołał Balban. Gromadka kszatryjasów, którzy próbowali wystrzelić raketę z drewnianych osłon, natychmiast porzuciła swoje zajęcie.

Balban zwrócił się ponownie do swoich trzech poruczników. Czterech malawiańskich oficerów, wraz z sześcioma głównymi przywódcami frakcji Zielonych i Niebieskich, stało stłoczonych w rogu, utworzonym przez ciężkie, drewniane osłony. Schronienie, zrobione z trzech takich osłon, pozbawione było praktycznie tlenu. W małej przestrzeni, nie większej niż piętnaście metrów kwadratowych, tłoczyła się setka kszatryjasów i prawdopodobnie tuzin pomniejszych przywódców frakcji. Pozostali kszatryjasi, ci którzy przeżyli, a było ich nieco więcej niż trzystu, kulili się tak blisko osłon, jak to tylko było możliwe. Na szczęście dla nich, ci przekłeci rzymscy grenadierzy, ciągle koncentrowali ogień na tłumie.

Balban popatrzył do góry na rzędy ławek Hipodromu. Ławy były wypełnione ludźmi – tysiące mężczyzn, uzbrojonych mężczyzn, którzy kłębili się wszędzie bez ładu i składu. Co najmniej połowa, jak stwierdził pobieżnie, próbowała po prostu uciec z Hipodromu przez północno-wschodnie bramy. Wielu już i tak porzuciło broń.

- Nie wygramy z nimi pojedynku artyleryjskiego – oznajmił Balban. – Naszą jedyną szansą jest szarża przez Hipodrom i pokonanie ich w bezpośrednim starciu. Mamy przewagę liczebną.

Wszyscy trzej oficerowie kszatryjasów natychmiast pokiwali głowami.

- Większość sił Rzymian to grenadierzy – powiedział jeden z nich. – Stracimy przy tym wielu ludzi, ale kiedy znajdziemy się w zasięgu broni białej, po prostu ich zmasakrujemy.

- Ale niektórzy z nich to katafrakci! – zaprotestował jeden z przywódców Niebieskich.
- Kilka setek... najwyżej – uciszył go Balban. Malawianin pokazał wyprostowanym palcem na tłum, kłębiący się w rzędach ponad nimi. – Ciągłe macie tam co najmniej dziesięć tysięcy ludzi! – wrzasnął. – Czy zamierzacie jakoś to wykorzystać, czy raczej pójdziecie na rzeź jak niewinne owieczki?
- On ma rację – powiedział inny przywódca Niebieskich, Dwóch czy trzech Zielonych pokiwało głowami, zgadzając się z nim. Gorące z wściekłości oczy Balbana przesunęły się po innych przywódcach frakcji. Po chwili oni także zaznaczyli, że się zgadzają z tym, co zostało powiedziane.
- No to dobrze. Na mój rozkaz, wyjdziemy stąd i zbierzemy tak dużo ludzi, jak tylko się da. Potem... to proste. Zaatakujemy tych na południowym zachodzie. Będziemy nacierać najszybciej, jak się da.

Popatrzył na kszatryjasów.

- Dopilnujcie, żeby jak najwięcej granatów trafiło w ręce tłumu. Kiedy podejdziemy wystarczająco blisko, możemy zacząć rzucać naszymi pociskami.

Jeden z przywódców frakcji pokazał na jakąś postać, skuloną w kacie.

- A co z imperatorem? To by bardzo pomogło, gdyby sam poprowadził natarcie. To podbuduję morale.

Balban nawet się nie trudził spoglądaniem na Hypacjusza.

- Jeżeli twoi ludzie potrzebują podbudowania morale – warknął – to powiedz im, że albo zwyciężą, albo czeka ich śmierć. To powinno im wystarczyć.

Podniósł głowę i zawołał coś do swoich kszatryjasów. Wyjaśnienie planu nie zajęło mu więcej niż dwadzieścia sekund. Był wystarczająco prosty.

- *Nika!* – zawołał jeden z przywódców frakcji. Przepchnął się ze schronienia na arenę i wskoczył na najniższy rząd ławek widowni Hipodromu.

Zamachał mieczem i zaczął wrzeszczeć do tłumu ponad nim.

- *Nika! Nika!*

Inni przywódcy frakcji dołączyli do niego. Oni także zaczęli krzyczeć i pokazywać mieczami na południowy zachód.

Balban i jego kszatryjasi wylali się ze schronienia, utworzonego z drewnianych zasłon. Szybko uformowali linię w poprzek pylistej areny Hipodromu. Na rozkaz Balbana zaczęli maszerować naprzód.

Maszerowali wolno. Każda najmniejsza komórka w ciele Balbana, i w ciałach kszatryjasów także, wołała o pośpiech. Ale Balban wiedział, że ruszenie tłumu zajmie przywódcom frakcji trochę czasu. Sami Malawianie nie zdołaliby pokonać Rzymian, ustawionych po drugiej stronie Hipodromu.

Potrzebowali tych paru tysięcy opryszków.

Więc kszatryjasi maszerowali wolno. I zaczęli umierać, kiedy salwy granatów raz po raz rozrywały ich szeregi. Ale byli żołnierzami i utrzymywali formację.

Z tłumu zgromadzonego na widowniach na arenę zaczęty wyskakiwać tuziny ludzi. Potem setki. Potem tysiące.

Wszyscy byli tylko opryszkami. Ale nie każdy opryszek jest tchórzem pod każdym względem. I nie wszyscy są głupcami. Kiedy mogli wybrać pomiędzy bitwą a horrorem gniotącego i depreczającego oszalałego tłumu, który już i tak zdeptał na śmierć setki ich towarzyszy, wielu z nich zdecydowało się walczyć.

Do czasu, kiedy Balban i jego kszatryjasi osiągnęli połowę areny, dołączyło do nich prawie sześć tysięcy członków obu frakcji.

Teraz Balban dał rozkaz do ataku.

\* \* \*

- Przesuń ich do tyłu, Antonino – powiedział Maurycy.

Antonina, z pobladłą twarzą, spojrzała na niego.

- Ale masz tylko trzy setki katafraktów – zaprotestowała.
- Zabierz grenadierów do tyłu – powtórzył. – Nie mają ciężkich zbroi na sobie i nie potrafią walczyć wręcz.

Setnik pokazał na wielki tłum, maszerujący wprost na nich.

- Niech no tylko trafią, na moich katafraktów – warknął. – A ty za bierz grenadierów i niech dalej rzucają granaty, tam z tyłu. Postaram się wytrzymać jak najdłużej.

Maurycy pomaszerował naprzód, wywrzaskując komendy. Głos Antoniny zabrzmiał wraz z jego rykiem. Grenadierzy i ich żony zaczęli wdrapywać się z powrotem w górę rzędów widowni. Traccy katafrakci przesunęli się z boków i uformowali solidną linię przed grenadierami. Żołnierze nie czekali na rozkaz Sitasa, sami zaczęli strzelać z łuków.

- Celujcie w Malawian! – krzyknął do nich Maurycy.

Wróg zaczął nacierać. W jego szarzy nie było jednak ani trochę dyscypliny. Atakujący nie utworzyli żadnej formacji. Po prostu sześć tysięcy ludzi biegło w kierunku trzech setek.

Do czasu, aż bezładny tłum zdrajców dotarł do najniższych ławek widowni na południowo-zachodnim krańcu Hipodromu, co najmniej tysiąc ludzi zostało zabitych, albo ciężko rannych od granatów i strzał. Szczególnie kszatryjasi ponieśli ogromne straty, włączając Balbana, który właśnie wykrwawiał się na śmierć na piasku areny. Strzała katafrakta utkwiała głęboko w jego gardle i przecięła naczynia krwionośne.

Ale zdrajcy wyczuli, że przewaga jest po ich stronie. Ich własne granaty zaczęły wzbudzać zamieszanie w szeregach wroga. I byli już zbyt blisko, żeby mogły im zagrażać te potworne tuki katafraktów. Co prawda, ciężkozbrojni Tracy wznosili się ponad nimi niczym żelazne posągi, straszne i pełne gniewu. Ale... w końcu było ich niewielu.

Tłum wdarł się na widownię,

- *Nika! Nika!*

Katafrakci podnieśli miecze i pałki. Już niedługo. Pierwsza linia napastników była od nich oddalona o niecałe dwadzieścia metrów.

Było ich tysiące.

Dziesięć metrów.

Nagle linia opryszków rozpadła się. Niby cięte na kawałki mięso. Zatrzymały ją tysiące *plumbata*. Obciążone ołowiem rzutki przeleciały ponad głowami katafraktów i uderzyły w szarżujący tłum niczym młot. Cała pierwsza linia załamała się i cofnęła, ściskając niemiłosiernie podążających z tyłu opryszków.

Katafrakci patrzyli z otwartymi ustami. Opuścili miecze. Odwrócili głowy.

Za nimi, maszerując w dół rzędów widowni w doskonale zorganizowanej kolumnie, nadchodził tysiącosobowy oddział rzymskiej piechoty. Ponad tymi żołnierzami, na najwyższym rzędzie ławek Hipodromu, stał ich dowódca – obok dowódcy Kohorty Teodoryjskiej.

Katafraktom nie wydawało się wcale dziwne, że obaj generałowie gwałtownie się całują, podczas gdy wokół nich toczy się krwawa bitwa. W tej chwili sienie dziwili. Oczywiście później epizod ten obrośnie legendą i stanie się podstawą wielu rubasznych żartów i wierszyków.

Ale w tej chwili sienie dziwili. Ani trochę.

Katafrakci nie czekali, aż dotrze do nich oddział piechoty. Jak jeden mąż, trzy setki ciężkozbrojnych Traków po prostu skoczyło naprzód, wrzeszcząc bojowe zawołanie.

- Oni są niczym! Oni są niczym! – krzyczeli niektórzy.
- Belizariusz! Belizariusz! – wrzeszczała większość.
- Och, wy żalosne dupki, macie przejebane! – dodał jeden z entuzjastów,

\* \* \*

Godzinę później, po tym, jak wdrapali się wreszcie po stosach trupów, zalegających w północno-wschodnich bramach, Sitas i Hermcgenes szli przez arenę Hipodromu.

Szli powoli. Częściowo dlatego, że musieli lawirować pomiędzy niezliczonymi trupami, jakimi usłany był piaszczysty owal. Częściowo dlatego, że Sitas zamarudził nieco przy ciele Balbana. Zatrzymał się na chwilę i uciął głowę zdrajcy. I częściowo dlatego, że znaleźli Hypacjusza, kryjącego się za osłonami malawiańskiej artylerii, i wlekli go za sobą.

Belizariusz i Antonina siedzieli na najniższym rzędzie ławek na południowo-zachodnim krańcu Hipodromu, gdzie tor wyścigowy łagodnie zakręcał. Walentynian stał metr za nimi. Antonina ciągle nosiła swój napierśnik, ale zdjęła hełm. Jej głowa spoczywała na ramieniu męża.

Sitas rzucił im pod nogi głowę Balbana.

- Możesz dodać to do swojej kolekcji – powiedział, okrutnie szczerząc zęby.

Antonina otworzyła oczy i popatrzyła na trofeum. Na jej twarz wypłynął wyraz lekkiego niesmaku. Potem znów zamknęła oczy i westchnęła z zadowoleniem.

- Ilu? – zapytał Belizariusz.
- Stu dwudziestu ośmiu – odparł Sitas. – Irena mówi, że dostaliśmy większość z nich. A poza tym...

Machnął potężnym ramieniem, krzywiąc się z niesmakiem. W odróżnieniu od grymasu Antoniny, ten nie był lekki.

- Tam jest istna rzeźnia. A szczególnie pod ziemią, w boksach dla koni.

Hermogenes potrząsnął głową. Jego twarz przypominała popiół.

- Oni tysiącami próbowali uciekać przez stajnie.

Belizariusz zamrugał oczami. Ze stajni można było wyjść tylko przez małe drzwiczki, szerokie tylko na tyle, żeby zdołał się przez nie przecisnąć wyścigowy rydwan.

- Większość nie żyje – mruknął Hermogenes – Zaduszeni, podeptani i zmiżdżeni. Chryste, wyciąganie ciał zajmie wiele dni. A ci na samym dnie przypominają już tylko pastę mięsną.

Hermogenes sięgnął do tyłu po skamlącego Hypacjusza i rzucił go pod nogi Belizariusza. Imperator upadł na ziemię jak szmaciana lalka. Bił od niego silny smród uryny i kału.

- Teodora będzie zadowolona, jak go zobaczy – sarknął Sitas.

Antonina niespodziewanie otworzyła oczy.

- Nie – wyszeptła. – Ona i tak stoi już przed wrotami piekieł.

Zwróciła na swojego męża błagające spojrzenie. Belizariusz ścisnął ją za ramię. Kiwnął głową.

- Miejcie litość – wyskrzecztał Hypacjusz. – Błagam was... miejcie litość.
- Będziemy – powiedział Belizariusz. Odwrócił głowę do tyłu. – Walentynianie.

## **Epilog**

### *Imperatorowa i jej dusza*

Wielka sala tronowa wydawała się Belizariuszowi jeszcze bardziej podobna do ogromnej jaskini, gdyż w środku było zaledwie parę osób. Ale Teodora nalegała, żeby się z nim spotkać właśnie tam, a on nie protestował. Jeżeli imperatorowa czerpała siłę i poczucie bezpieczeństwa właśnie z tej wielkiej komnaty, siedząc na ogromnym tronie, Belizariusz był z tego zadowolony.

Teraz to ona była kluczem do przyszłości.

Belizariusz szybkim krokiem przemierzył komnatę. Kiedy znalazł się kilka metrów od tronu, pokłonił się głęboko. Potem, podniósłszy głowę, zaczął mówić. Ale Teodora uciszyła go.

- Jedną chwilę, Belizariuszu. – Imperatorowa zwróciła się ku grupce strażników, stojących wokół tronu kilka metrów od niej,
- Rozkażcie służącym przynieść krzesło – powiedziała.

Kiedy strażnicy pospieszyli wykonać jej rozkaz, Teodora uśmiechnęła się z lekką drwiną do generała, stojącego przed nią.

- Wiem, że to skandaliczne. Ale mamy wiele rzeczy do omówienia i zajmie to sporo czasu, a

chcę się cieszyć twoją pełną uwagą, a nie tylko formalnym respektem.

Belizariusz w głębi serca odetchnął z ulgą. Nie dlatego, że roztaczała się przed nim perspektywa spędzenia popołudnia na siedząco w wygodnym krześle, bo był przyzwyczajony do stania na baczność, ale dlatego, że pierwszy raz od wielu dni wyczuł w głosie imperatorowej coś, co nie było gniewem, nienawiścią i żądzą zemsty.

### *Miasto i terror*

Przez osiem dni, od czasu stłumienia powstania, dusza Teodory zamieszkiwała w innym królestwie. Tak jak to trafnie powiedziała Antonina, imperatorowa stała przed wrotami piekieł.

Większość tego czasu, oczywiście, Teodora spędziła ze swoim mężem. Patrząc na ręce lekarzom, którzy opatrywali jego rany... i często odpychając ich na bok, żeby samej doglądać Justyniana.

Ale nie spędzała przy tym całych dni. Wcale nie.

Spędzała całe godziny z Ireną, przesłuchując wraz z nią jej *agentes in rebus*, czyli inspektorów terenowych, którzy służyli koronie jako tajna policja. Razem rozsyłały całe oddziały tych mężczyzn do wszystkich zakątków imperium. Agenci, którzy mieli za zadanie spenetrować stolicę już składali im raporty ze swoich misji. Rezultaty ich dochodzeń wystawiono na widok publiczny, na murach Hipodromu. Tuż obok nabitych na włócznie głów malawiańskich kszatryjasów, a były ich setki, wśród których głowa Balbana zajmowała honorowe miejsce; obok przywódców frakcji, Hypacjusza, Jana z Kapadocji i jego żołnierzy, którzy nie zdołali uciec z miasta. Teraz obok poprzednich tkwiły głowy trzech tuzinów dostojników kościelnych, z Gliceriuszem z Chalcedonu i Jerzym Barsymesem włącznie, oraz głowy oficerów Armii Bitynii, których złapano, dziewiętnastu szlachciców, wliczając sześciu wysoko postawionych członków senatu, dwudziestu ośmiu urzędników i funkcjonariuszy i głowa kata, który oślepił Justyniana.

Głowa kata była zatknięta na włócznie pod niewielkim, identyfikującym go afiszem. Jego twarz była bowiem nie do rozpoznania. Teodora spędziła wiele godzin, nadzorując jego męki, aż w końcu odsunęła na bok swoich oprawców i sama dokończyła robotę.

Na Hipodromie zawisłoby jeszcze więcej głów, gdyby nie interwencja Belizariusza i Antoniny.

Wiele więcej.

Teodora zażądała głów każdego z oficerów, powyżej rangi trybuna, każdego z oddziałów, stacjonujących w tamtych dniach w Konstantynopolu, które nie pomogły w stłumieniu powstania. To żądanie, jednakże, nie mogło być spełnione przez jej tajną policję. Mimo że oficerowie byli przerażeni i zapędzeni w kozi róg, ciągle mieli pod swoimi rozkazami tysiące żołnierzy. Co prawda, wojsko nie miało wysokiego morale, a dowódcy nie cieszyli się powodzeniem wśród żołnierzy, ale na stanowczy rozkaz z pewnością daliby opór agentom imperatorowej.

Więc Teodora rozkazała Belizariuszowi zająć się wojskowymi zdrajcami. Ale on odmówił.

Odmówił stanowczo. Powiedział jej, że taka masakra jest niepotrzebna. Ci ludzie nie są winni zdrady, a tylko zaniedbania obowiązków. Ale bardziej obawiał się, co też wyjaśnił imperatorowej, spokojnie i zimno, że taka masowa egzekucja całego korpusu oficerskiego w Konstantynopolu może niebezpiecznie podminować całą armię,

A on potrzebował tej armii. Rzym potrzebował tej armii. Pierwsza bitwa z Imperium Malawy już się odbyła i Rzymianie ją wygrali. Ale nadejdzie jeszcze wiele takich bitew.

W końcu Teodora ustąpiła. Była wystarczająco usatysfakcjonowana, a raczej można powiedzieć, że się pogodziła z rezygnacją tych oficerów. Belizariusz wraz z Sitasem i Hermogenesem pracowali w pocie czoła trzy dni, żeby wymusić na Teodorze tę decyzję.

Żaden z oficerów nie miał nic przeciwko temu, z wyjątkiem Gontarisa, dowódcy Armii



Rodopskiej. Był to potomek jednej z bardziej nobliwych rodzin i najwyraźniej uważał, że tak arystokratyczne i czyste pochodzenie wyklucza jego osobę spod tak bezceremonialnego i nieokrzesanego traktowania.

Belizariusz, który nie chciał podsycać jeszcze bardziej odwiecznego konfliktu pomiędzy szlachtą a trackimi chłopami, pozwolił Sitasowi uporać się z tym problemem.

Rozwiązanie greckiego arystokraty było proste i szybkie. Sitas ogłuszył Gontarisa uderzeniem swojej wielkiej, okrytej dodatkowo rękawicą pięści, wywłócił go z koszar na pole treningowe Armii Rodopskiej i pozbawił go głowy na oczach wszystkich, zebranych tamże oddziałów. Kolejna głowa dołączyła do ciągle rosnącej kolekcji na murach Hipodromu.

Natychmiast po tym wydarzeniu, Sitas i jego katafrakci popędzili do willi Gontarisa na przedmieściach Konstantynopola. Po wyrzuceniu mieszkańców, Sitas zajął wszystkie cenne ruchomości, jakie tam się znajdowały, a potem spalił cały dom aż do fundamentów. Skonfiskowana fortuna trafiła do królewskiego skarbcza.

Kufry w królewskim skarbcu zaczęły się przepęlniać. Teodora kazała zabić tylko dziewiętnastu szlachciców. Ale skonfiskowała majątki, należące do każdej arystokratycznej rodziny, która miała chociażby najłżejsze powiązania ze spiskiem. Po prawdzie, konfiskaty ograniczały się tylko do majątku zdrazieckich rodzin, który znajdował się w Konstantynopolu. Ich prowincjonalne posiadłości, gdzie większość z nich się schroniła po stłumieniu powstania, pozostały nietknięte. Ale, ponieważ większość arystokratów przebywała stale w stolicy, tutaj mieli największe majątki.

Takie samo traktowanie spotkało urzędników, funkcjonariuszy, biurokratów i dostojników kościelnych.

Żaden z nich nie protestował. A przynajmniej nie publicznie. Byli zadowoleni, że ich głowy nie zawisły na murach Hipodromu.

### *Ludzie i ich radość*

Wielka populacja samego Konstantynopola pozostała nietknięta.

W rzeczywistości, w miarę upływu czasu, ludzie powychodzili ze swoich kryjówek i z radością zaczęli kibicować nagonce na wysoko postawionych zdrajców. Można było zobaczyć całe gromady obywateli, podziwiających nowe dekoracje na murach Hipodromu. Głowy katafraktów, podobnie jak czerepy malawiańskich kszatryjasów nic dla nich nie znaczyły. Ale wysocy dostojnicy, szlachcice, kapłani – to było coś zupełnie innego. Przez całe lata, a nawet przez dekady i stulecia, co zapisało się w pamięci ich przodków, ci biedni zwykli ludzie dość często doznawali wielu szykan i poniżeń od bogaczy.

Oczywiście głowa Jana z Kapadocji była największą atrakcją. Bardzo często nazywano go najbardziej zniechęconym człowiekiem w całym Imperium Rzymskim. W przeszłości zaledwie kilku zaprzeczało rym pogłoskom. Teraz wszyscy jak jeden mąż zaczęli tak uważać.

Ale lud spędził także wiele czasu, podziwiając głowy przywódców frakcji z Hipodromu. Po raz pierwszy w ich życiu, zwykły człowiek Konstantynopola mógł iść przez ulice miasta, nie obawiając się podstępnej napaści ze strony frakcyjnych opryszków. Przywódcy tych rzezimieszków, z wyjątkiem niewielu, którzy umknęli bystrym oczom Ireny, tkwili obecnie zatknięci wysoko na murze Hipodromu. Ale w przeciągu kilku dni, ci, którzy zdołali umknąć z rzezi, także pojawili się na murach, a dołączyło do nich jeszcze dwustu sześćdziesięciu trzech innych odważnych z obu frakcji. Ci ludzie mogli umknąć oczom Ireny oraz uwadze jej agentów. Ale nie zdołali się skryć przed ludem Konstantynopola, który wywłócił ich z kryjówek i zaciągnął przed oblicze piechoty Hermogenesa. Albo, co zdarzało się nawet częściej, rozprawiał się z nimi na miejscu i zanosił ich głowy na Hipodrom.

Lepiej prosperujący mieszkańcy Konstantynopola, a było ich całkiem sporo w tym tętniącym życiem mieście, nie cieszyli się tak bardzo, jak ich biedniejsi sąsiedzi. Oczywiście kupcy, sklepikarze, rzemieślnicy i artyści nie byli zupełnie odporni na tę radość. Oni także ucierpieli mocno na skutek poczynań bogatych i możnych tego miasta. Ale, jak to zwykle bywa w przypadku tych, którzy mają cokolwiek do stracenia, bali się, że fala konfiskat obejmie także ich i zmieni się we wszechogarniający terror.

Możliwe, że ich lęki były nieco przesadzone, ale w żadnym razie nie bezpodstawne. Przy wielu okazjach, ludzie Hermogenesa powstrzymywali tłum przed biciem, czy nawet mordowaniem człowieka i całej jego rodziny, którego jedyną zbrodnią był brak popularności. Dwa razy zamieszanie było tak duże i bestialskie, że wymagało interwencji katafraktów Sitasa i Belizariusza.

Gniew Teodory wstrząsał całym miastem. I prawie rozbił je na części.

To właśnie Antonina, bardziej niż ktokolwiek inny, trzymała miasto w jednym kawałku. Częściowo spędzając całe godziny z Teodora i powstrzymując ją ze wszystkich sił przed nierozważnymi, dyktowanymi ślepą furją, postępami. Ale tak naprawdę Antonina trzymała miasto w ryzach po prostu przez nie maszerując.

Godzina za godziną, dzień po dniu, Antonina maszerowała przez Konstantynopol na czele swojej małej armii grenadierów, ich żon i ich dzieci.

Właściwie „maszerowała” nie było odpowiednim słowem. Można raczej powiedzieć, że ona i jej Kohorta Teodoryjska paradowali przez miasto. Wesoło, z uśmiechem.. i triumfalnie. Ale jej żołnierze nie cieszyli się na ponuro, w sposób tak charakterystyczny dla regularnego wojska i katafraktów. Oni radowali się jak prości wieśniacy z Syrii, którzy byli tak samo zachwyceni miastem, jak mieszkańcy Konstantynopola byli zachwyceni nimi.

Kto mógł się obawiać takiego wojska? Wojska, które szło na wojnę wraz z rodzinami? Po pierwszym dniu, nikt. Drugiego dnia, parady Antoniny stały się tak samo popularne jak przerażające trofea na Hipodromie. A trzeciego dnia, przebiły popularnością nawet Hipodrom.

Były znacznie bardziej popularne.

Częściowo dlatego, że okolice Hipodromu stały się zupełnie nieprzystępne z powodu wielkiego smrodu. Całe oddziały niewolników zajmowały się usuwaniem trupów i zakopywaniem ich w zbiorowych mogiłach. Ale ciał były tysiące i wiele z nich, jak to określił Hermogenes, zostało sprasowane na mięsną papkę i rozmazane po kamiennych ścianach i podłogach Hipodromu. Na szczęście była zima, ale nawet przy niskiej temperaturze ciała gniły szybciej, niż je wydobywano.

Inną przyczyną był fakt, że radosna chęć zemsty tłumu nieco już opadła. Do ich umysłów wdzierały się teraz inne myśli, a szczególnie do umysłów ludzi, którzy wieczorem zasiadali w swoich małych domkach i cieszyli się towarzystwem rodziny. Zastrzeżenia, wątpliwości, wahanie pojawiały się w głowach ojców, martwiących się przyszłością dzieci, i matek, lękających się o córki i synów.

Śmierć aroganckich panów była czymś, z czego należało się cieszyć, ale, w głębi duszy, żaden ze zwyczajnych obywateli Konstantynopola nie sadił, że ze śmierci można się w ogóle cieszyć. Znali dobrze tę istotę i wiedzieli, że niczego dobrego się po niej spodziewać nie można.

Nie, lepiej już pójść i popatrzeć na paradę Antoniny. Tam nie było niczego, co mogłoby przstraszyć dziecko. Nic, co mogłoby zmartwić matkę, albo przywołać zmarszczki na czoło ojca. Tam był tylko... Triumf ze zwycięstwa zwyczajnych ludzi. Radość, jaką można było czerpać z beztroskich i lekkich rozmów z tymi prostymi grenadierami-i ich żonami. I ich dziećmi, które starszym wydawały się doroślejsze i poważniejsze od nicponi i rozrabiaków, kręcących się nieustannie po ulicach Konstantynopola. Ale przecież ci chłopcy i dziewczęta byli dziećmi

grenadierów, co dawało im wyższą i godną pożądaną pozycję.

Ale najbardziej przyciągało ich do tych parad poczucie bezpieczeństwa. Bezpieczeństwa w jej towarzystwie.

Jej – najbliższej przyjaciółki imperatorowej. Która, co szybko rozeszło się po mieście, powstrzymuje najokrutniejsze i najbardziej pochopne postęпки szalonej imperatorowej.

Jej – która zabierała bogatym ich majątki, zbite na ludzkiej krzywdzie. Jej – która była kiedyś jedną z nich.

Jej – która była żoną Belizariusza. Największego generała Imperium Rzymskiego w tych niepewnych czasach, I najrozsądniejszego głosu Imperium Rzymskiego w tych czasach szaleństwa.

Belizariusz już wcześniej stał się dla tych ludzi legendą. Teraz jego sława jeszcze urosła. I rosła coraz bardziej. Oczywiście była to jego legenda. Ale wraz z nią, przeplatając się i wynikając jedna z drugiej, powstawała legenda Antoniny.

Często nazywano ją „tą dziwką”, szczególnie w wyższych kręgach rzymskiej arystokracji.

Oczywiście ludność Konstantynopola dawno temu usłyszała już to określenie. Zastanawiali się, czy to prawda. Ale teraz, kiedy już wiedzieli, zupełnie odrzucili tę wiedzę.

Nazywali ją, „jego żoną”, a jeszcze częściej, „jego wielką żoną”. Jej legenda rozpoczynała się słowami, wypowiedzianymi przez świętego człowieka, na pustyni w dalekiej Syrii. Grenadierzy przekazali te słowa ludziom w Konstantynopolu. Legenda, która urosła tutaj w mieście, wzbogaciła się o wydarzenia w kuchni. To grenadierzy i katafrakci rozpowiadali tę historię.

Niebawem sklep z ciastami mięsnymi zyskał wielką popularność. Jego właściciel bardzo się wzbogacił, gdyż interes szedł doskonale, i mógł przejść wcześniej na zasłużoną emeryturę. Ale, kiedy już się postarzał, ten skąpiec narzekał niemalże codziennie, że został okropnie oszukany przy sprzedaży tasaka.

Legenda rosła i rozprzestrzeniała się. Po pięciu dniach od stłumienia powstania, do Konstantynopola przybył Michał z Macedonii. Natychmiast zadomowił się na Forum Konstantyna i zaczął nauczać. Jego kazania w mgnieniu oka stały się najpopularniejszymi wydarzeniami w mieście. Całe tłumy wypełniały forum i tłoczyły się nawet w alei Mesę.

Michał mówił o wielu rzeczach.

Niektóre z jego słów sprawiały, że dostojnicy kościelni z Konstantynopola zaciskali zęby w bezsilnej złości. Ale odważyli się zaciskać je tylko w samotności i nigdy nawet nie pomyśleli o zwołaniu rady. Byli zbyt przerażeni i nie odważyli się wyjść ze swoich kryjówek.

Ale Michał w swoich kazaniach raczej nikogo nie ganił ani nie skazywał na wieczne potępienie. Raczej modlił się i nawoływał do czynienia dobra.

Legenda Antoniny objęła teraz całe miasto. Podobnie jak legenda Belizariusza. I tak samo jak, na swój własny sposób, legenda Teodory.

Pod koniec tygodnia, znakomita większość zwyczajnych mieszkańców Konstantynopola odważyła się wyciągnąć proste wnioski.

Cała nadzieja spoczywa w rękach Belizariusza i jego żony. Prosimy cię więc, panie w niebiosach, pomóż im w przywracaniu imperatorowej zdrowego rozsądku.

Wielkie miasto wstrzymało oddech.

*Imperatorowa i jej lzy*

Imperatorowa i jej generał patrzyli na siebie w milczeniu, aż słudzy przynieśli krzesło i odeszli.

- Usiądź, generale – rozkazała. – Jesteśmy w ciężkiej sytuacji. Justynian został oślepiiony, więc nie może zasiadać na tronie i...

- Nie jesteśmy w ciężkiej sytuacji, Wasza Wysokość – przerwał Belizariusz z naciskiem. – Po prostu marny problem do rozwiązania.

Teodora popatrzyła na niego uważnie. Najpierw z niedowierzaniem i podejrzliwie. Potem ze wzrastającą nadzieją.

- Złożyłem przysięgę – powiedział Belizariusz.

Nagle do oczu imperatorowej napłynęły łzy.

Nie spadło ich wiele. W rzeczywistości zaledwie kilka. Ale dla Belizariusza było ich wystarczająco dużo.

Patrzył, jak jego imperatorowa odwraca się wreszcie od piekła i jego bramy zamykają się za jej plecami. I, po raz pierwszy od wielu dni, Belizariusz odetchnął głęboko.

- Mamy problem do rozwiązania – powtórzył łagodnie. – Nic ponad to. A ty jesteś dobra w rozwiązywaniu problemów, imperatorowo.

Teodora uśmiechnęła się blado.

- Tak, jestem. Podobnie jak ty, Belizariuszu.

Generał uśmiechnął się, jak to on, krzywym uśmiechem.

- To prawda. Teraz, kiedy już o tym wspomniałaś.

Uśmiech Teodory stał się szerszy,

- Strasznie mi szkoda tych biednych Malawian – mruknęła.
- Lepiej nie czujmy do nich ani odrobiny litości – odparował Belizariusz.

### *Człowiek i jego cel*

W kabinie statku, inna imperatorowa spierała się ze swoim niewolnikiem.

- Jutro będziemy w Muziris. Musisz się zdecydować. Potrzebuję cię, Dadadzi. Znacznie bardziej niż on.
- To może być prawda, Wasza Wysokość. – Niewolnik wzruszył ramionami. – Ale fakt jest faktem. To on jest moim legalnym panem.

Szakuntala uderzyła kantem dłoni o dłoń.

- To malawiańskie prawo. Przecież kupił cię w Barakusze. Holkar znów wzruszył ramionami.
- I co z tego? Umowa kupna obowiązuje na całym świecie. A już z pewnością w Imperium Rzymskim. Malawiańskie Indie, o ile mi wiadomo, nie zostały do tej pory obwołane krajem, funkcjonującym poza prawem.

Imperatorowa popatrzyła na niego wściekle. Niewolnik podniósł rękę, chcąc ją jakoś ułagodzić.

- Wcale się nie spieram o prawne niuanse, Wasza Wysokość. Prawda jest taka, że nawet jeżeli Malawa zostanie obwołana krajem funkcjonującym poza prawem – zachichotał – a szczerze mówiąc nie wiem, kto mógłby być tak potężny, żeby to zrobić, ciągle będę się czuł zobowiązany względem tego człowieka.

Wziął głęboki oddech.

- Zawdzięczam życie generałowi, imperatorowo. Kiedy mnie znał, byłem martwym człowiekiem. Ciągłe poruszającym się na własnych nogach, nawet mówiącym i słuchającym, ale jednak martwym mimo tego wszystkiego. On z powrotem tchnął życie w moją duszę. Dał mi cel.

Szakuntala wreszcie spostrzegła swoją szansę.

- Jaki cel? – zapytała stanowczo. – Zniszczenie Malawy, nieprawdaż?

Dadadzi odchylił się do tyłu. On i imperatorowa siedzieli naprzeciwko siebie w odległości około metra, każde na swojej poduszce i każde w pozycji lotosu. Zmierzył ją podejrzliwym wzrokiem.

- Tak. To też. Ale jest jeszcze inny.

Szakuntala pokiwała energicznie głową, naciskając dalej.

- Przecież będziesz lepiej służył temu celowi jako mój królewski doradca niż jako jego niewolnik – stwierdziła. – Znacznie lepiej.

Holkar szarpnął się za brodę. Ten gest świadczył o tym, że niewolnik jest w rozterce.

Jako niewolnik został zmuszony do zgolenia swojej budzącej respekt brody. Ten zarost, i idący za nim respekt dla mężczyzny w średnim wieku, został przywrócony na prośbę Belizariusza. Był jakby symbolem tego wszystkiego, co Holkar zawdzięczał generałowi.

Jednakże, tym samym broda ta była oznaką jego godności i dostojności. Teraz urosła gęsta, przetykały ją siwe włosy mądrości i doświadczenia. Prawda, głupotą byłoby zgolenie tej brody i zmarnowanie jej na życie niewolnika. Niewolnika, który zdaniem Szakuntali, nie był już potrzebny prawowitemu właścicielowi.

Dalej szarpał brodę.

- Skąd wiesz, że przydam ci się jako doradca? – zapytał niewolnik stanowczo.

Szakuntala poczuła, jak napięcie odpływa z mięśni jej ramion. Na szczęście udało jej się sprowadzić dyskusję z abstrakcyjnych wyżyn rozmowy o honorze na znajome poletko konkretnych ustaleń, więc czuła, że zwycięstwo jest po jej stronie.

- Jesteś tak sprytny, jak nikt, kogo spotkałam do tej pory – stwierdziła pewnym głosem. – Zobacz, jak sobie poradziłeś z naszą ucieczką, i ze wszystkimi przygotowaniami, które ją poprzedzały. Belizariusz zawsze na tobie polegał w tych sprawach. Zaufał ci całkowicie, a przecież on sam jest wprost niesamowicie sprytny, chociaż w inny sposób, niż ludzie, z którymi miałam do czynienia. Potrzebuję kogoś, komu będę mogła zaufać. Na kim będę mogła polegać. Nawet w momentach desperacji.

Znów szarpnął brodę.

- To, czego potrzebujesz, dziewczyno, to prestiż i autorytet. Imperialny doradca powinien być wysoko urodzony, powinien być braminem. Ja jestem vaisja. W dodatku vaisja niskiej kasty. – Uśmiechnął się. – A w dodatku Marathą. W większości innych krajów moją kastę zaliczono by do sudrów, najniżej z podwójnie urodzonych,
- I co z tego? – zapytała. – Przecież jesteś tak wykształcony i piśmienny, jak bramin. A nawet wiesz więcej niż niektórzy z nich! Wiesz, że to prawda.

Holkar rozłożył ręce.

- A co to ma za znaczenie? Władcy i dygnitarze innych państw po czują się urażeni, jeżeli twój doradca nie będzie tak czystego pochodzenia, jak oni. Będą się musieli ze mną spotykać, przy różnych oficjalnych i intymnych okazjach. Będą się czuli zbrukani w kontaktach ze mną.

Imperatorowa prawie prychnęła.

- Więc nich idą do diabła! Jeżeli chcą przymierza ze mną, będą musieli zaakceptować mnie i wszystkich moich poddanych!

Holkar zaśmiał się szczekliwie.

- Ty porywcza dziewczyno! Czy już naprawdę straciłaś rozum, w tak młodym wieku? Przecież nie będą szukali z tobą żadnego przymierza, imperatorowo. Przecież to nie oni są pozbawionymi tronu uciekinierami, ściganymi jak dzikie zwierzęta. To ty będziesz pukać do ich drzwi z żebraczą miską w dłoniach.
- Nie będę – odparła z wielkim dostojeństwem, jakie w tych warunkach zupełnie jej nie przystawało. Przecież w końcu była pozbawionym tronu wygnańcem.
- Będiesz.
- Nie będę.

Dadadzi popatrzył wściekle.

- Widzisz? Już odrzucasz moje rady! – Potrząsnął palcem. – Musisz się nauczyć kiełzać swój temperament, imperatorowo! Będziesz musiała mieć do czynienia z potencjalnymi aliantami i będziesz musiała zachowywać się skromnie i z pokorą. Ja nie wierzę w magiczne sztuczki!

Spiorunował ją wzrokiem.

- I jeszcze jedna rzecz...

Szakuntala spędziła następną godzinę w nietypowym dla siebie milczeniu, kiwając tylko głową i słuchając uważnie i cierpliwie swojego nowego doradcy. To nie było trudne. W rzeczywistości jego porady były doskonałe. I nie musiała nawet powstrzymywać swego nadmiernego temperamentu. Nawet gdyby jej doradca gadał zupełnie idiotyzmy, i tak by go grzecznie słuchała.

W końcu miała swojego doradcę. Chociaż jeszcze się nim nie nazywał.

Pod koniec tej godziny, Dadadzi Holkar przerwał wreszcie potok słów. I to z wielkim zdziwieniem.

- Jesteś naprawdę zdradziecką dziewczyną – powiedział zrzędliwie. Potem zachichotał. – Bardzo dobrze sobie radzisz! – Popatrzył na nią z dumą, potrząsając głową ze zdumienia.
- Bardzo dobrze, imperatorowo – powiedział. – Niech będzie tak: wyślę do Belizariusza list z twoją prośbą. Jeżeli się zgodzi, będę twoim doradcą tak długo, jak zechcesz.

Szakuntala pokiwała głową.

- Zgodzi się – powiedziała z pełnym przekonaniem. – Jeżeli nie z innego powodu, to pokieruje się racją stanu. Ale z pewnością będzie chciał wiedzieć, czego ty chcesz? Co mu powiesz?

Holkar popatrzył na nią.

- Powiem mu, że bycie twoim doradcą jest też moim życzeniem. – Potem, ciągle siedząc, uklonił się głęboko. – Jesteś moim suwerenem, imperatorowo. I to takim suwerenem, któremu każdy człowiek, wart swego imienia, służyłby z radością.

Kiedy podniósł głowę, jego twarz była spokojna. Następne słowa Szakuntali zniszczyły ten spokój.

- A jaki jest twój drugi cel? – zapytała.

Holkar zmarszczył brwi.

- Powiedziałaś wcześniej, że zniszczenie Malawian to jeden z twoich celów. Jeden z dwóch twoich celów. Powiedz, jaki jest ten drugi.

Twarz Holkara zeszywniała.  
Ale Szakuntala była bezlitosna.

- Powiedz mi.

Odwrócił wzrok.

- Przecież wiesz, jaki jest mój drugi cel – wyszeptał.

To była prawda. Szakuntala wiedziała. Ale chciała go zmusić, żeby głośno wypowiedział te słowa i stawiał im czoła. W przeciwnym bowiem razie w najbliższych latach myśl o tym zniszczyłaby jego duszę. Młodość także ma swoją, nieco zuchwałą, mądrość.

- Powiedz to.

Łzy zaczęły spływać po jego twarzy.

- Powiedz.

W końcu, kiedy wypowiedział te słowa, niewolnik zupełnie zniknął. Nie roztopił się w nowej postaci królewskiego doradcy, ale zamienił się w to, czym był zawsze. W człowieka, w Dadadzi Holkara.

W cichej, łagodnej chwili, która nastąpiła po jego wyznaniu, kiedy nisko urodzony Maratha żałośnie chlipał i chlipał, jego okryta siwizną głowa spoczywała w drobnych ramionach potomka najczystszej i najbardziej starożytnej linii królów Indii. W końcu dusza Dadadzi Holkara wyleczyła się w zupełności, dzięki kuracji, którą rozpoczął cudzoziemski generał.

Pomoże swemu suwerenowi podźwignąć z upadku zniewolony kraj.

A potem, pewnego dnia, odnajdzie swoją rodzinę, rozproszoną po całych Indiach.

### *Rodzina i jej postanowienia*

Jak na ironię, Dadadzi Holkar znalazł już swoją rodzinę, chociaż o tym nie wiedział. A nawet, bez udziału świadomości, pomógł im w ich kłopotach.

Stojąc obok właściciela stajni w Kausambi, patrząc, jak rakiety rozrywają się na nocnym niebie, znajdował się nie więcej niż pół kilometra od swojej żony. Ona także, wraz z innymi niewolnicami z kuchni, patrzyła na te same rakiety z tylnego dziedzińca we dworze swego pana.

Patrzyła, dopóki główny kucharz, pieniąc się ze złości, nie zapędził wszystkich z powrotem do ich zadań.

Ale kobieta zabrała się za swoje obowiązki z lżejszym niż dotychczas sercem. Nie miała pojęcia, co oznacza ta katastrofa. Ale, cokolwiek się wydarzyło, z pewnością nie przysłużyło się Malawianom. Ta myśl dodawała jej sił przez drugie godziny tamtej nocy. I grzała jej serce przez wiele dni, które nastąpiły potem.

Jego syn nawet go widział. W Biharze, unosząc na chwilę głowę znad rozgrzanej ziemi, młodzieniec odpoczywał przez chwilę po znoonej pracy. Patrzył bezmyślnie na karawanę szlachcica, powoli przesuwaną się pobliską drogą. Nie widział dokładnie samego szlachcica, który jechał wygodnie w palankinie na drugim słoniu. Z tej odległości i tak nie rozpoznałby twarzy. Ale nie miał żadnego kłopotu z rozpoznaniem tego człowieka. Kolejny malawiański pan, tratujący co mu wpadnie pod stopy.

Gniewne krzyki nadzorczy zapędziły go z powrotem do pracy. Ten krzyk w połączeniu w widokiem aroganckiego pana, zaczęły palić mu duszę. Przez miesiące i lata ciężkiej pracy, ciało chłopca zmęśniało i stało się twarde, żeby mógł przetrwać. Ale czasami się bał, że jest za słaby. Teraz, czując w sobie ogień, wiedział, że się myli.

Pochylając się, przeklął tego nieznanego Malawianina i w głębi duszy złożył uroczystą przysięgę. Kimkolwiek był ten śmierdzący panek, syn Dadadzi Holkara będzie żył dłużej niż on.

Holkar nie zbliżył się aż tak bardzo do swoich córek. Tak jak zaplanowali, on i Szakuntala skręcili w boczną drogę, zanim dotarli do Pataliputry. Nie mieli zamiaru ryzykować spotkania ze szlachtą w tak wielkim mieście, gdzie ktoś mógłby rozpoznać księżniczkę, więc ominęli je.

Jednakże zbliżyli się do murów na około dwadzieścia pięć kilometrów od południowej strony. Tylko dwadzieścia pięć kilometrów od burdelu niewolników, gdzie służyły jego dwie córki.

W pewien sposób Dadadzi nawet ich dotknął, i to dotknięcie było błogosławieństwem.

Żołnierze, którzy stali na warcie na posterunku, gdzie Szakuntala tak źle potraktowała ich dowódcę, później wyciągnęli korzyści z upokorzenia swego oficera. Łapówka była bardzo duża, a ich dowódca strasznym słabeuszem. Należał do rodzaju aroganckich, ale tchórzliwych dupków i jego żołnierze wyciągnęli z niego znacznie więcej, niż się należało zwykłemu wojakom. Z tak dużą ilością pieniędzy wybrali się na przyjemną wizytę do pobliskiego burdelu usytuowanego na południowym krańcu miasta. Mieli przecież trochę forsy do przepuszczenia.



I rzeczywiście wydali wszystkie pieniądze. Złota moneta z rak Dadadzi Holkara przewędrowała poprzez dłonie żołnierzy do sakiewki sutenera jego córek. Dziewczęta cieszyły się powodzeniem wśród żołnierzy, więc ci płacili im hojnie.

Nie można powiedzieć, że żołnierze cieszyli się popularnością wśród dziewcząt. Żaden z ich klientów nie cieszył się ich sympatią. Ale tak naprawdę córki Holkara poczuły ulgę, kiedy okazało się, że spędzą całe dwa dni tylko w towarzystwie żołnierzy. Mężczyźni postępowali z nimi łagodnie i, jako że byli młodzi i nie potrzebowali wielu podniet, nie wymagali od dziewcząt różnych dziwacznych usług, tak ulubionych przez niektórych podstarzałych kupców z miasta.

Kiedy żołnierze już sobie poszli, sutener poinformował dziewczęta, że postanowił odrzucić wszelkie oferty ich kupna przez inne burdele. Córki Holkara знаły te propozycje i bardzo się ich obawiały, gdyż wiedziały, że rezultatem kupna będzie ich rozdzielenie.

Ale sutenerzy zdecydowali się je zatrzymać. Miały powodzenie wśród żołnierzy. A to pewny interes.

Właściciel burdelu dał im nawet jedną z monet. Powiedział, że to nagroda za dobrą pracę.

Ta moneta, podczas wielu dni i nocy, które nastąpiły później, była sekretnym skarbem córek Holkara. Nigdy jej nie wydały. Czasami, późną nocą, kiedy leżały na wspólnym sienniku, dziewczyny wyjmowały złoty krążek z kryjówki i podziwiałały go, trzymając monetę w dłoniach.

To była ich szczęśliwa moneta, tak zdecydowały. Tak długo, jak będzie w ich posiadaniu, nic ich nie rozłączy. Rodzina Dadadzi Holkara jakoś przetrwa.

### *Imperatorowa i jej decyzja*

Kiedy patrzyła, jak łyzy Dadadzi Holkara moczą jej królewską skórę, imperatorowa Szakuntala podjęła swoją własną decyzję. I powtórzyła w myślach swoją przysięgę.

Nigdy, w swoim krótkim życiu, nie poświęcała wiele czasu na myśli o czystości i zbrukaniu. Oburzała się na system kastowy, nie do końca go rozumiejąc, gdyż ograniczał ją na wiele sposobów. Nawet go nienawidziła, na wpół świadomie, za to, że postawił niewidzialną, ale nie do przebycia barierę pomiędzy nią a skarbem, którego pożądała najbardziej na świecie. Ale nigdy wcześniej tak naprawdę się nad rym systemem nie zastanawiała. Po prostu istniał. Jak coś najnormalniejszego pod słońcem, jak trzy sezony indyjskiego roku.

Ale teraz zaczęła o nim myśleć. Jej myśli, inaczej niż serce, były bardzo niepewne i niejasne. Była bardzo młoda. W czasach, które minęły, Rao próbował przekazać jej chociaż niektóre aspekty filozofii i wiary. Ale jako młoda dziewczyna nie odnosiła się do tych lekcji z entuzjazmem. Jego miękkie słowa nie spotkały się z takim zainteresowaniem, jakim darzyła inne zajęcia, wymagające większego wysiłku fizycznego i koncentracji.

Ale teraz zaczęła myśleć. I uczyć się.

Do tej pory sporo już się nauczyła. Obserwując cudzoziemskiego generała, widziała, jak dawno zapomniane lekcje Rao wracają do życia. Twarda pięść i mocna stal były jak śnieg u stóp góry. A ta góra nazywała się umysłem, który właśnie ten śnieg tworzył, a potem sprawiał, że zestalona woda znów wracała do płynnej postaci, kiedy tylko umysł tego zapragnął. Tylko dusza się liczy, w końcowym rozrachunku. To ona wznosi się nad stworzeniem niczym najwyższe szczyty Himalajów.

Podjęła decyzję. Kiedy odbuduje Imperium Andhry, zbierze wokół tronu wszystko to, co powstało z ludzkiej mądrości i nauki. Nie tylko odbuduje buddyjskie świątynie i klasztory. Nie tylko zbierze z powrotem filozofów, i sadhów, i mnichów. Każe im pracować, bez litości, napuszczając jednego na drugiego. Zderzając jedną ideę z drugą niczym wielkie cymbały, aż w końcu wyłoni się z tego zgiełku prawda.

To działanie, oczywiście, najpierw wymagało załatwienia jednej sprawy. I tak, patrząc jak jej

czystości zagrażają łyzi nisko urodzonego człowieka, spoczywającego w jej ramionach, i czerpiąc siłę z tego zbezczeszczenia, Szakuntala jeszcze raz powtórzyła w myślach swoją przysięgę.

*Sprawię, że Malawianie zawyją z wściekłości.*

*Imperium i jego jęk*

Malawa wyła z wściekłości. Jednakże tylko w komnatach, należących do imperatora. I tylko z gniewu i złości. Jęk strachu dopiero miał się wydobyć z piersi Malawian.

Gniew skierowano do środka, na samych Malawian. Kariera pana Venandakatry i jego życie zawisło na włosku.

- Zawsze ci powtarzałem, że to głupiec – pieklił się Nanda Lal. – Przyznaję, jest dość sprytny. Ale inteligencja człowieka jest warta tyle, co żabi skrzek, jeżeli nie potrafi on powstrzymać swej chciwości, próżności i pożądania.
- Nie możesz go dłużej osłaniać, Skandagupto – odezwała się Sati. – Zbyt długo go oszczędzałeś. On, nie umniejszając jego zasług, jest odpowiedzialny za ucieczkę Belizariusza. Za Szakuntalę także. Każ go przyprowadzić. Ukaż go srodze.

Jednakże to Ogniwo uratowało Venandakatre przed utratą czci. A może nawet przed czymś gorszym.

NIE. UMYKA WAM CAŁOŚĆ NASZEGO PLANU. VENANDAKATRA ZOSTAŁ MIANOWANY GOPTRIM DEKANU. JEŻELI POZBAWICIE GO TEJ GODNOŚCI, MARATHOWIE PODNIOŚĄ GŁOWY. SZAKUNTALA JEST WAŻNA, ALE NIE TAK WAŻNA, JAK JEJ PODDANI. JEŻELI ZŁAMIECIE JEJ LUD, JĄ TAKŻE ZŁAMIECIE.

Malawianie skłonili się swemu prawdziwemu władcy.

ZŁAMCIE MAHARASZTRĘ. ZASTRASZCIE TE MARATHAŃSKJE KUNDLE, ŻEBY ICH BĘKARTY PRZEZ STULECIA SZEPTAŁY PO KĄTACH O WIELKIM STRACHU. ZNISZCZCIE TEN ZBRUKANYLUD.

A DO TEGO CELU VENANDAKATRA NADAJE SIĘ WPROST DOSKONALE.

*Mąż i jego myśli*

Cały ostatni dzień tuż przed wyjazdem na spotkanie z panem Damodarą i jego armią, Rana Sanga spędził ze swoją żoną. Późno w nocy, zmęczony miłością, gładził delikatnie włosy swojej żony.

- O czym teraz myślisz? – zapytała z uśmiechem. – Tak nagle stałeś się taki poważny.
- To trudno wyjaśnić – burknął.

Jego Żona podskoczyła na łóżku, aż zsunęły się z niej prześcieradła, okrywające jej pulchną figurę.

- Gadaj – rozkazała, poruszając groźnie palcami. – Gadaj, albo będę cię łaskotać!

Sanga roześmiał się.

- Nie, tylko nie to! Proszę! Wolę już stawić czoła samemu Belizariuszowi i całej jego armii.

Zainteresowanie jego żony nagle znikło.

- To właśnie o tym teraz myślałeś, prawda? Znowu o nim?

Jej twarz zeszytywniała. Kampania w Persji właśnie miała się zacząć. Wiedziała, że Sanga niebawem będzie musiał się zmierzyć z tym strasznym Rzymianinem na polu bitwy. A ten obcy generał był jednym z niewielu ludzi, których jej mąż szanował jako wojowników. A nawet, pomyślała, lekko się obawiał.

Sanga potrząsnął głową.

- Właściwie to nie. A przynajmniej nie bezpośrednio.

Wyciągnął rękę i delikatnie pogładził ją po policzku. Jej twarz była płaska, raczej nieładna. I bardzo okrągła, jak całe jej ciało.

\* \* \*

Nie poślubił jej dla piękna i urody. Nawet nie widział jej twarzy, zanim nie podniosła welonu w komnacie sypialnej, dokąd się udali po zawarciu małżeństwa. Ich ślub, zgodnie z tradycją radżpuckiej arystokracji, był podyktowany racją stanu. Podyktowany sztywnymi wymogami zachowania dynastii, klasy i kasty. Żeniąc się ze sobą mieli utrzymać prawdziwą linię radżpuckich książąt, uchronić jej czystość przed zbrukaniem.

Nie odezwał się nawet słowem, tamtej nocy, kiedy po raz pierwszy zobaczył twarz swojej żony, a potem jej ciało. Nawet gestem nie wyraził swego rozczarowania. Wiele lat później, kobieta powiedziała mu, że tamtej nocy bardzo się bała. Bała się tego, co powie i jak zareaguje, widząc, że jest taka nieładna. Ale on był dla niej miły, nawet dobry i nie zapominał o swoich obowiązkach. A pod koniec tej nocy, z zaskoczeniem odkrył, że potrafi z tego okrągłego i chętnego ciała czerpać wiele przyjemności. Podniecały go szybkie i sprawne paluszki; pokochał radość i ciepło, kryjące się pod zawstydzeniem w jej brązowych oczach. A rano zobaczył na uśmiechającej, okrągłej twarzy radość i szczęście. Radość, którą wywołał raczej swoją dobrocią niż męskością.

Wtedy młody, przepełniony dumą radżpucki książę, już sławny ze swojej waleczności i umiejętności walki, zrobił nieoczekiwane odkrycie. Można także czerpać dumę z dobroci. I poczuł głęboką radość, widząc tamtego ranka zadowolenie na twarzy swojej śpiącej żony. Chociaż była to płaska i nieładna twarz. A może właśnie dlatego mu się spodobała.

Lata później zdarzył się taki dzień, że spotkał swoją żonę w kuchni. Często tam przebywała. Mimo wielu jej kucharzy i służących, jego żona lubiła przygotowywać posiłki sama. Słyszając, jak się zbliża, rozpoznając jego kroki, odwróciła się od stołu, na którym siekała cebulę. Odwróciła się, uśmiechnęła, potem głośno zaśmiała, ocierając łzy, płynące jej z oczu, i odsuwając włosy, teraz już zupełnie siwe, bez śladu niegdyś czarnej. Ciągle z nożem w ręku, śmiała się ze swojego niedorzecznego wyglądu. Śmiała się ustami, śmiała się oczyma.

Tylko dwa razy w życiu największy z radżpuckich książąt stanął w miejscu, zupełnie ogłuszony. Dosłownie zwalony z nóg przez nagłe zaskoczenie.

Raz zdarzyło mu się to na słynnym polu bitwy, gdzie Raghunath Rao rozłupał na dwoje jego hełm potwornym uderzeniem miecza.

Drugi raz opadł bez sił na ławę w swojej własnej kuchni, kiedy zdał sobie sprawę, że bardzo kocha swoją żonę.

- Ty jesteś moim życiem – wyszeptał.
- Tak – odparła ona. I dała mu świeżą, słodką cebulę, jakby to było ich kolejne dziecko.

\* \* \*

- Myślałem o twojej twarzy – powiedział. – I o innej. O twarzy młodej kobiety. Była bardzo piękna.

Jego żona zacisnęła usta, lekko, ale ani na chwilę nie odwróciła wzroku,

- Zawsze ci powtarzałam, mężu, że nie mam nic przeciwko konkubinom – powiedziała miękko. – Ja nie jestem...
- Cicho, żono! – rozkazał. Potem zaśmiał się. – Nawet mi to przez myśl nie przeszło! Nawet gdyby ta kobieta nie była córką imperatora, sama przyznasz, że taka kobieta kiepsko się nadaje na konkubinę.

Jego żona zachichotała. Sanga potrząsnął głową.

- Wcale nie porównywałem waszych twarzyczek w sposób, w jaki ci się wydaje, najdroższa. Ja po prostu... ach! Zbyt trudno jest mi to wyjaśnić!
- A więc będę cię łaskotać!

I dotrzymała słowa. Ale mimo tak radosnych tortur, Sanga nigdy nie wyjaśnił jej myśli, jakie nawiedziły go. tego wieczora, Ani tamtej nocy, Ani żadnej innej, które nadeszły, \

Nie potrafił tego wytłumaczyć. Myśli były dla niego zbyt nowe. Zbyt powiązane z sekretami, których przysiągł dochować. Zbyt powiązane z mglistymi zakamarkami odległej przyszłości, którą podejrzwał w komnacie czcigodnej pani Holi oczami istoty, dla której kobieta była tylko naczyniem.

W końcu jego żona zasnęła. Sanga jeszcze przez jakiś czas leżał bezsennie. Nie mógł zasnąć, myśląc o rodowodzie. Myślał o nieładnej twarzy jego żony. O jej rysach, które, przeplatając się z jego własnymi, ukazywały się na twarzyczkach jego dzieci. Myślał o pięknej twarzy córki imperatora, którą przeznaczono na naczynie dla przyszłych bogów o doskonale pięknych obliczach.

Myślał o linii swego życia. O życiu, które już minęło. O tym, co trwa teraz. I o przyszłości, która go czeka.

Zastanawiał się nad czystością; myślał o zbrukaniu. Rozwagał doskonałość. Wspominał cebulę.

Ale najwięcej ze wszystkiego, zastanawiał się nad iluzją i prawdą, i nad tym, jak łatwo iluzja może stać się czymś rzeczywistym,

A prawda może stać się iluzją.

*Stworzenie i jego zrozumienie*

Kiedy generał w końcu opuścił imperatorową i wyszedł z pałacu, dzień właśnie dobiegał końca. Przyciągnięty przez zachodzące słońce, Belizariusz podszedł do balustrady, za którą chlupotały wody Bosforu. Oparł się o kamienną barierę, podziwiając piękny widok.

Nagle usłyszał pilne wezwanie Doradcy.

**Jest tego więcej. Teraz rozumiem więcej z wiadomości od Wielkich. Tak myślę. Nie jestem pewny.**

*Powiedz mi.*

**Powiedzieli nam... powiedzieli nam także to:**

**Znajdźcie wszystko, co nas stworzyło.**

**Znajdźcie namiętność w dziewicy i czystość w dziwce;**

**Wiarę w zdrajcy, przeznaczenie w kapłanie.**

**Znajdźcie zwątpienie w proroku; decyzję, podjętą przez niewolnika;**

**Litość w zabójcy, morderczą naturę żony.**

**Szukajcie mądrości w młodości i naglącej potrzebie starca.**

**Wypatrujcie prawdy w płynącej wodzie, fałszu w kamieniu.**

**Zobaczcie twarz wroga w lustrze, przyjaciela po przeciwnej stronie pola bitwy.**

**Szukajcie tego wszystkiego, co nas stworzyło.**

**Na ziemi, gdzie powstaliśmy.**

Zapadła cisza. Przerwała ją myśl od Doradcy.

**Czy ty to rozumiesz?**

Belizariusz uśmiechnął się. Wcale nie krzywo, ani trochę.

*O tak. Tak.*

**Myślę, że ja rozumiem to takie. Nie jestem pewny.**

- Oczywiście, że rozumiesz – mruknął Belizariusz. – Przecież to my ciebie stworzyliśmy. Na tej samej ziemi.

Cisza. I znów głos Doradcy.

**Obiecałeś.**

W tej myśli nie było nawet śladu wyrzutu, czy upomnienia. Teraz już tego nie słyszał. Słowa wypowiedziano głosem zadowolonego dziecka, które kładzie głowę w bezpiecznym zaciszu ojcowskiego ramienia.

**Obiecałeś.**

---

[1] Bhagawadgita (sans. „Pieśń Pana”) – staroindyjski poemat religijno-filozoficzny, będący częścią Mahabharaty. Poemat ma formę dialogu pomiędzy Kriszną i Ardżuną, toczącego się na polu bitwy pod Kurukszetą.

[2] Mahabharata – indyjska epopeja o wojnie potomków Bharaty. Prócz właściwej epopei zawiera wiele innych treści, takich jak na przykład traktaty o moralności, filozofii i prawie

[3] Dharma (sans.) – droga prawości, właściwe postępowanie.

[4] Awatar – wcielenie boga Wisznu.

[5] Kalkin – dziesiąte wcielenie boga Wisznu, na które czekają wyznawcy hinduizmu. Ma ono przedstawiać boga na białym koniu z płonącym mieczem w dłoni.

[6] Pidgin - język o uproszczonej składni i ubogim słownictwie, będący mieszaniną kilku języków, którymi mówi się na danym obszarze.

[7] Viharas - klasztor

[8] Stupas - święte miejsce.

[9] Tulwar - szabla turecka, zwana także „ostrzem Alibaby".

[10] „Podwójnie urodzeni" - członkowie trzech pierwszych kast indyjskich, czyli braminów, kszatrijasów i vaisja, którzy rodzą się dwukrotnie - po raz pierwszy, kiedy pojawiają się na świecie i po raz drugi, kiedy przechodzą inicjację (tylko chłopcy).

[11] Pariasi - ludzie, pozostający poza obrębem czterech kast; skalani rytualnie z racji przynależności do grup wykonujących zawody związane na przykład ze śmiercią (rzeźnicy, grabarze, myśliwi, kaci).

[12] Sati - samobójstwo wdów popełniane na stosie pogrzebowym męża.

[13] Sadhu - święty mąż, wędrujący asceta

[14] Dewa („deva" - sans.) - boski, niebiański

[15] Bhukti (sans.) - spełnienie materialnych pragnień.